

*O'Brien Anne*

*Królewska kochanka*



*Dla Georgea, który wytrzymał z dwiema kobietami, mną i Alice Perrers.*

*Kocham i dziękuję.*

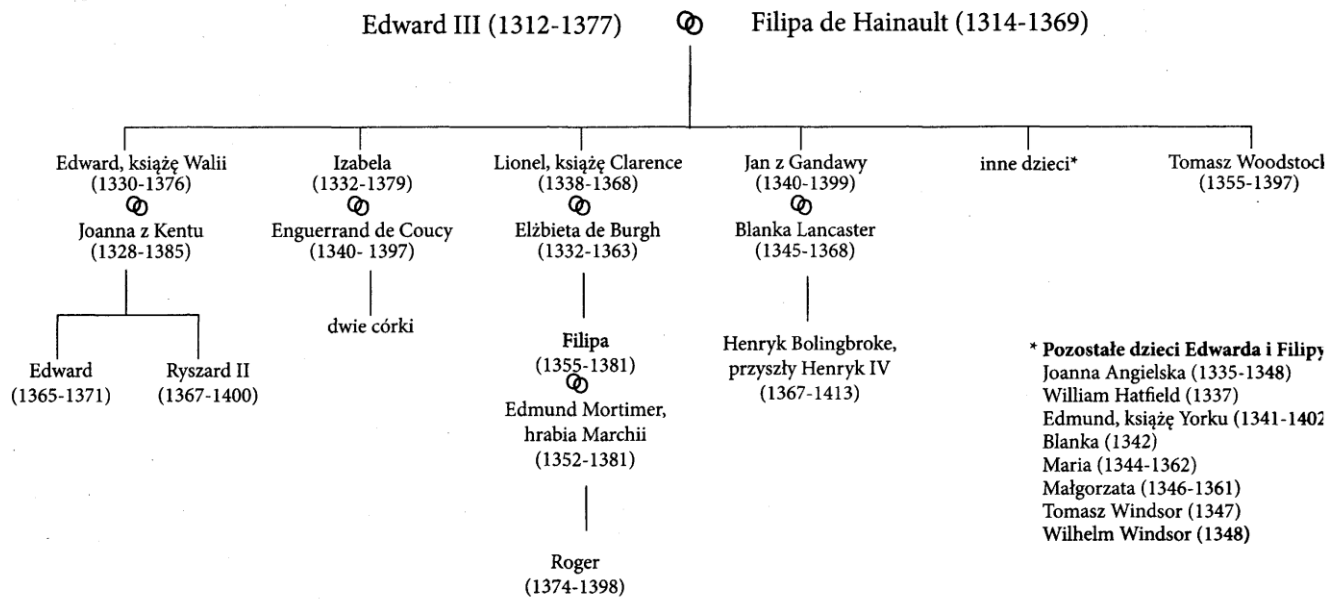
*A żyła wtedy w Anglii dziewczka rozpustna, którą zwali Ales Peres.  
Z rodu pośledniego, ani gładka, ani wdzięczna, te niedostatki  
potrafiła  
jednak ukryć za pomocą pochlebstw, bo język miała nadzwyczaj  
giętki...*

(Wzmianka w źródłach historycznych opisujących schyłek życia króla Edwarda III i jego śmierć)

*Nie przystoi, by wszystkie klucze wisały przy pasku jednej kobiety.  
(Biskup Rochesteru)*

*Nikt nie śmiał wystąpić przeciwko niej...  
(Thomas Walsingham, mnich z klasztoru w St Albans)*

# Potomkowie Edwarda III (wersja uproszczona)



## PROLOG

*Dziś jesteś moją Panią Słońca - mówi król Edward, podchodząc do mnie, by pomóc przy wsiadaniu do rydwanu. -Moją Królową Ceremonii.*

*Najwyższy czas...*

*Oczywiście nie wyznaję tego głośno, wszak jestem, mimo wszystko, kobietą pojętną. Dlatego tylko w duchu, bezgłośnie. Dwa słowa, gorzkie słowa, bo tak długo musiałam czekać na ten zaszczyt. Dwanaście lat jako faworyta Edwarda.*

*Uśmiech mój słodki jest jak miód.*

*- Dziękuję, milordzie - mówię cicho, też słodko, składając przed monarchą głęboki ukłon.*

*Już siedzę w rydwaniu. Wokół mnie złocista plama płaszcza podszytego szkarłatną taftą. Suknia czerwona, podszyta jedwabiem białym i wykończona gronostajami. Barwy Edwarda, futro jak dla królowej. Iskrząca się obfitość drogich kamieni. Rubiny czerwone jak krew, ciemne szafiry pełne tajemnic i niezwykle beryle, zdolne pokonać moc trucizny. Wszyscy wiedzą, że mam na sobie klejnoty królowej Filipy.*

*Obsypane pierścieniami dłonie składam na podołku. Jestem spokojna, odprężona. Sama jak palec, a przecież o tyle wywyższona ponad innych. Ale takie jest moje prawo.*

*Rozglądam się dookoła, ciekawa, czy jednak nie natrafię na mroczne, złowrogie spojrzenie księżnej Joanny, która jest moim zaprzysięgłym wrogiem. Ale nie, nic nie wskazuje na jej obecność, czyli istotnie siedzi w swej komnacie w Kennington i zlorzeczy mi. Zwą ją Nadobną Joanną... Joanna Tłuszciocha! Moja wielka antagonistka, wobec której muszę być zawsze bardzo czujna. Wobec tej istoty o wrażliwości i moralności zdziczałej kotki w rui.*

*Spoglądam na Edwarda dosiadającego już konia, i moje wargi same składają się do uśmiechu. Bo jest czym nasycić oczy. Edward król, tak wysoki, tak mocny, tak piękny mężczyzna. Wspaniała z nas para. On i ja. Na nim nie znać upływu czasu, a ja jestem w kwiecie wieku. Kobieta, której Bóg wprowadził poskąpił urody, lecz jednak obdarzył wieloma talentami.*

*Jestem Alice, faworyta Jego Królewskiej Mości, jego ukochana Pani Słońca. - Ach!*

Nagle tuż przede mną przelatuje pikujący gołąb. Gołąb okrutnik, bo przemykając, zabiera ze sobą porywający obraz mej chwały i zmusza do powrotu do ponurej rzeczywistości. Siedzę w moim sadzie, bardzo daleko od królewskiego dworu, od mego króla, zmuszona pogodzić się z prawdziwym stanem rzeczy. Jakże nisko upadłam, uwięziona teraz we własnej, bezsilnej samotności. Jak nieżyjący już od dawna nieszczęsny lew Edwarda. Sama jak palec, z dala od reszty świata, odarta ze wszystkiego, co udało mi się zdobyć dla siebie.

Jestem niczym. Alice Perrers już nie istnieje.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Od czego zacząć? Wszak niełatwo wracać do przeszłości, gdy w pamięci nie zachowała się ani jedna chwila radosna. Ale zrobię to. Odszukam w pamięci wszystko, co w niej pozostało. Wspomnienie pierwsze, najdawniejsze. Byłam wtedy jeszcze bardzo mała, niezdolna pojąć tak do końca, kim jestem i gdzie jestem. A byłam w Barking, w wielkim kościele Najświętszej Maryi Panny należącym do opactwa. Działo się to ósmego dnia grudnia. Klęczałam, wokół mnie zakonnice, także na klęczkach, i śpiewały modlitwę na rozpoczęcie komplety. Od lodowatego powietrza w piersiach kłuło, posadzka pod kolanami była bezlitośnie zimna i twarda, wiedziałam jednak, choć taka mała, że nie wolno się wiercić. Więc klęczałam zapatrzona w świętą figurę stojącą na postumencie w kaplicy Najświętszej Panny i ustrojoną w nową niebieską szatę, welon i podwikę z drogiego jedwabiu, który jaśniał w kościelnym półmroku zdumiewającą bielą. Wokół stóp świętej figury migotał złocisty krąg płomyków świec. W ich drżącym świetle nieruchoma postać zdawała się oddychać, zdawała się poruszać...

- Kto to jest? - spytałam może i zbyt głośno, ale bardzo chciałam to wiedzieć, tym bardziej że wiedziałam jeszcze tak mało.

- Najświętsza Panna - odparła szeptem siostra Goda, mistrzyni nowicjuszek.

- Ale jak ma na imię?

- Maria. Najświętsza Maria Panna.

- Dziś Jej święto?

- Tak, uroczystość Niepokalanego Poczęcia. A teraz już ciii...

Naturalnie nie wiedziałam, o co chodzi, ale Najświętszą Pannę pokochałam od razu. Była taka piękna. Oczy spuszczone, po namalowanych wargach błąkał się łagodny uśmiech. Ręce uniesione, wzywające do siebie.

I ta korona! Korona z gwiazd, którą w tym tak uroczystym dniu włożono Najświętszej Paniencie na głowę. Złoto lśniło, mieniło się w blasku świec, drogie kamienie, też rozświetlone, skrzyły się przepięknie. Nie mogłam oderwać oczu od tego cuda. Kiedy nabożeństwo skończyło się i zakonnice zaczęły opuszczać kaplicę, jak urzeczona podeszłam bliżej, zapatrzona w cichą postać spowitą w złoto wokół głowy i wokół stóp.

- Chodź już, Alice! - Siostra Goda, chwyciwszy mnie mocno za rękę, pociągnęła za sobą, ale nie ruszyłam się z miejsca. - Chodź, Alice!

- Dlaczego ona ma koronę z gwiazd?

- Bo jest Królową Niebios! Alice! Ruszże się wreszcie!

Ostre słowa i szturchaniec ożywiły moje nogi, które ruszyły tam, gdzie im kazano. Tylko niepokorna dłoń wyciągnęła się jeszcze raz ku złocistej koronie. Dłoń osoby o wzroście bardzo jeszcze mizernym, nie dała więc rady sięgnąć skrzącego się cuda.

Jeszcze jedno spojrzenie i cichy szept dziecka:

- Też bym chciała mieć taką koronę...

Jedno wspomnienie ożywia kolejne. Siostra Goda, taka niewysoka i drobna, a rękę miała ciężką. Tego dnia po powrocie z kaplicy mimo późnej godziny siekła mnie skórzanym postronkiem, siekła zaciekle, póki moja grzeszna dłoń nie zrobiła się czerwona i nie pojawiły się bąble. Biła mnie, sycząc, że to kara za grzech próżności i pożądlivosti. Bo kimże ja jestem, że poważylam się podejść tak blisko do Najświętszej Panny, Królowej Niebios! I zapragnąć Jej korony! Ja, która jestem czymś jeszcze marniejszym niż gołębice wlatujące do prezbiterium!

Przez cały następny dzień nie dostałam nic do jedzenia. Miało mnie to nauczyć pokory. Wstałam z pustym żołądkiem i z tak samo pustym poszłam spać. I kiedy w brzuchu burczało, a ręka bolała i piekła, po raz

pierwszy - i nie ostatni - odczułam na własnej skórze, że nie jest kobiecą zaletą dostawać to, czego zapragnie.

- Niedobre z ciebie dziecko. Bardzo niedobre - stwierdziła siostra Goda na zakończenie tego smutnego dnia.

Teraz ugodziła słowem, dlatego nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami do drugiej, kiedy dzwony opactwa zaczęły wzywać wszystkich na jutrznię. Nie płakałam. Byłam bardzo małym dzieckiem i słowa siostry miały dla mnie moc wyroczni.

A wspomnienie trzecie?

Och, ta próżność! Siostra Goda nie dała rady wybić jej ze mnie ani słowem, ani rzemieniem. Nie pamiętam już, o co dokładnie wtedy chodziło, w pamięci pozostało tylko spojrzenie siostry, chłodne, obojętne, i jej ostre słowa:

- Jesteś dla mnie prawdziwym utrapieniem! Ty! Przecież bękart! Twoi rodzice na pewno nie byli połączeni świętym węzłem małżeńskim. Jesteś bękartem, i taka brzydka! Wszyscy zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga, ale ja w tobie tego podobieństwa nie widzę!

Brzydka. I bękart. Co było gorsze? O tym mój dwunastoletni umysł nie potrafił zdecydować. I czy naprawdę byłam brzydka? Gdyby siostra Goda miała w sobie choć odrobinę miłosierdzia, powiedziałaaby inaczej. Na przykład - pospolita. Ale brzydka? Było to tym bardziej okrutne, że o brzydocie nie miałam pojęcia. Bo i skąd? W tym świecie brzydota nie istniała, skoro w całym opactwie nie było ani jednego zwierciadła, bo do niego zagląda się z próżności. Ale wiedziałam też, że w całym opactwie nie ma siostry, która by nie zerkała na swoje odbicie w wodzie czy w wyczyszczonych do połysku srebrnych naczyniach kościelnych. Zrobiłam więc to samo. I co zobaczyłam? To, co widziała siostra Goda.

Tego wieczoru, zanim zgaszono moją świecę, zerknęłam na taflę lodowatej wody w mojej misce. Woda skrzyła się w blasku świecy, ale to, co dojrzałam w migotliwej tafli, wystarczyło, by wprawić mnie w osłupienie.

I przerazić. Bo i cóż zobaczyłam? Włosy króciusieńkie, obcięte blisko skóry, by nie kusić wszy i poskromić próżność. Włosy ciemne, sztywne i proste. Oczy czarne jak owoce tarniny. Albo jak dziury wyjedzone przez mole w wełnie. A poza tym zapadnięte policzki, wydatny



nos, wielkie usta. Brwi bardzo czarne, bardzo szerokie i grube, jak dwie krechy narysowane węglem...

Byłam przerażona. Bo co innego, kiedy słyszysz, że jesteś brzydka, a co innego, gdy przekonasz się o tym na własne oczy. Nawet w rozdrzanym, niewyraźnym odbiciu w wodzie trudno było nie dostrzec, że nie mam w sobie ani krzty urody. A byłam już wystarczająco duża, wystarczająco kobieca, by pojąć tę gorzką prawdę. Tak bolesną, że na moment zamarłam. Świeca wysunęła mi się z rąk i wpadła do wody. Woda zafalowała, brzydka twarz - moja twarz - znikła, ustępując ciemności, która spowiła zimną wąską celę. Mój kął wśród grubych klasztornych murów, teraz zdających się napierać na mnie, na istotę tak bezbronną, tak samotną.

Długo w noc płakałam, rozpaczliwie, przerażona ciemnością i samotnością. Tego boję się do dziś.

Dni w klasztorze zlewają mi się w pamięci w szarą polewkę z nędzy, niedoli, goryczy, przyprawioną karceniem siostry Gody.

- Znowu spóźniłaś się na jutrznię, Alice. Nie myśl, że jesteś taka sprytna, bo widziałam, jak ukradkiem wchodzisz do kościoła.

Owszem. Spóźniłam się wtedy na jutrznię.

- Alice, co z twoim welonem? Toż to obraza boska! Wycierałaś nim podłogę?!

Oczywiście, że nie, ale choć starałam się bardzo, nie udało mi się uchronić welonu przed śladami palców i popiołu, a także przed rzepami, które czepiają się go nieustannie.

- Alice, jednego zdania nie potrafisz zapamiętać! Najprostszej modlitwy nie możesz się wyuczyć! W twojej głowie pusto jak w torbie żebraka!

Nie, wcale nie pusto, tylko w tym momencie moja głowa zajęta była czymś innym. Na przykład delektowaniem się mięciutką sierścią kota, mieszkańca opactwa, który wylegiwał się na słońcu. Kota, którego właśnie pogłaskałam.

- Alice, dlaczego garbisz się i powłoczysz nogami?

Dlatego, że mam lat dwanaście i rosnę. A jak człowiek rośnie, trudno mu poruszać się z wdziękiem.

Codziennie rano nasza ksieni, matka Sybil, spoglądając srogo ze swego poczesnego miejsca, upominała grzesznice, które trafiły pod jej skrzydła:

- Powołanie to dar Boga, dzięki któremu możemy chwalić Pana i modlitwą, i pracą dla biednych, którzy są wśród nas. Módl się i pracuj. Uszanujmy ten boski dar i przestrzegajmy reguł ustanowionych przez świętego Benedykta, założyciela naszego zakonu.

Matka Sybil była bardzo szybka w użyciu bata na tych, którzy reguł nie przestrzegali. Pamiętam doskonale, jak bolały jej cięgi, jak kłuły słowa, kiedy rozprawiała się ze mną, bo to ja nie pozamykałam kur w kurniku, by uchronić je przed zakusami drapieżnego lisa. Nie zdążyłam tego zrobić, bo dzwon wzywał już na kompletę, a następnego ranka wszystkie kury były w krwi. Podobnie jak moje plecy po wymierzeniu kary. Zasłużonej, co podkreśliła matka przełożona, kręcąc rzemieniem, zwisającym z paska. Ja jednak uważałam inaczej, ponieważ złamałam regułę tylko dlatego, że przestrzegałam innej. Niestety, wtedy jeszcze nie zdążyłam się nauczyć, że w takiej sytuacji lepiej milczeć. Powiedziałam, co myślałam, i ręka wielebnej matki po raz kolejny się uniosła, by opaść ze zdwojoną siłą.

Kazano mi zebrać biedne poszarpane truchła, przecież mięso nie może się zmarnować. Następnego dnia w południe zakonnice raczyły się kurczakami i chlebem, słuchając jednocześnie przypowieści o dobrym Samarytaninie. Na moim talerzu leżał tylko chleb. Bo niby dla czego miałam czerpać korzyści z moich grzechów?

A co z powołaniem? Dla mnie życie człowieka, którego Bóg obdarzył powołaniem, polegało głównie na uległości, posłuszeństwie i odczuwaniu oraz okazywaniu wdzięczności. Jeśli tak, to na pewno tego daru nie otrzymałam. Ale wyboru nie miałam. Od małości byłam tu, w klasztorze, i nic nie wskazywało, że kiedykolwiek to miejsce opuszczę. Kiedy skończyłam lat czternaście, siostra Goda przekazała mi, że przestaję być nowicjuską. Złożę śluby i będę zakonnica, póki dobry Bóg nie powoła mnie do siebie i tam, na Jego boskim łonie zaznawać będę po wsze czasy niebiańskiego spokoju. Lub też, jeśli będę grzesznicą, zostanę zesłana do miejsca straszliwego, gdzie trawić mnie będzie ogień piekielny. Również po wsze czasy.

Kiedy skończyłam lat piętnaście, zaczęła mnie obowiązywać reguła milczenia. Mówić wolno było tylko raz dziennie, po posiłku w południe. Tylko przez godzinę i tylko włączając się do ogólnej rozmowy na tematy bardzo poważne. Co dla mnie było niewiele lepsze od ciągłego milczenia.

Oprócz tego usta można było otworzyć tylko podczas mszy, by zaśpiewać świętą pieśń.

I tak do końca życia. Święta Maryjo, Matko Boża, ratuj mnie!

Bo tylko to mi pozostało. Żarliwa modlitwa. Jeśli Boża Rodzicielka nie wysłucha mnie, będę musiała złożyć śluby zakonne. Jak ja to zniosę? Ja, która nie pojmuję, jak kobieta może świadomie wybrać życie w okowach klasztornych murów, za oknami zasłoniętymi okiennicami, za drzwiami zawsze zamkniętymi na klucz? Woli być uwięziona, zamiast posmakować wolności?

Otworzyć drzwi...

Tak, bo wśród tych drzwi są i takie, które mogłyby się przede mną otworzyć. No, być może... I mogłabym przez nie umknąć!

- Siostró Godo, a kto jest moim ojcem?

Ojciec. Oczywiście! Jeśli mam ojca, chyba nie będzie głuchy na moje prośby i błagania.

- Pan na Niebiosach jest twoim Ojcem - odparła siostra, przewracając kartkę psalterza. - A teraz skup się, dziecko, będziemy się zastanawiać nad pewnym fragmentem...

- Ale kto jest moim ojcem... Tam! O tam!

Tam, czyli w innym świecie, za oknem, gdzie gwar, bo dzień targowy i mieszczanie tłumnie wylegli z domów.

- Nie wiem, Alice - odparła nadspodziewanie szczerze. - Słyszałam, że przyniesiono cię tutaj razem z sakiewką pełną złotych monet. - Potrząsnęła lekko głową, a welon zafalował i znów zastygł wokół pomarszczonej twarzy. - Ach, nieważne - mruknęła i poczłapała do skrzyni, by wydobyć jeszcze jeden przybrudzony manuskrypt.

Ale dla mnie bardzo ważne. Sakiewka ze złotem? To już coś więcej, niż tylko imię. Wiedziałam przecież, że jestem Alice, lecz nic poza tym. Alice bez żadnej rodziny, bez żadnego wiana. W przeciwieństwie do większości sióstr nikt mnie nie odwiedzał ani w święta Bożego Narodzenia, ani w Wielkanoc. Nikt. Nigdy też od nikogo nie dostałam po-

darku. Kiedy będę składać śluby zakonne, w tym tak ważnym dniu nie będę miała przy sobie nikogo bliskiego. Nawet habit, który tego dnia włożę, będzie habitem po zmarłej zakonnicy. Jeśli szczęście mi dopisze, była podobna do mnie i wzdłuż, i wszerz. Bo jeśli nie, to nowa szata spowije mnie jak namiot albo też przyjdzie mi ukazywać światu kostki u nóg.

Boże, dlaczego tak się stało? Cóż ja takiego uczyniłam, że mnie porzucono? Odrącono w sposób tak nieodwołalny?

- Ale kto mnie tutaj przyniósł, siostró Godo?

- Nie pamiętam. Bo i niby dlaczego miałabym pamiętać? - odparła opryskliwie. - Tyle niechcianych dzieci zostawiają pod drzwiami kościoła. Ciebie zostawiono na ganku. Chyba tak... Znalazła cię siostra Agnes, ale ona nie żyje już od pięciu lat. Była bardzo stara. I chyba coś tam mówiła...

- Co? Co mówiła?

- Mówiła, że jesteś dzieckiem prostego człowieka, jakiegoś wyrobnika, co robił kafle, i dziewczki z gospody... Ale dość już tego, Alice! Skup się, będziemy powtarzać Modlitwę Pańską. *Pater noster, qui es in caelis...*

Kiedy moje wargi posłusznie układały się do słów modlitwy, głowa nadal zajęta była czymś innym. A więc byłam bękartem, zaś moi rodzice... Siostra Agnes ponoć mówiła, że wyrobnik i dziewczka... I cóż to zmienia? Nic. Jestem po prostu jednym z wielu niechcianych dzieci i powinnam być wdzięczna, że nie porzucono mnie na niechybną śmierć.

Dziecko dziewczki sprzedajnej... Ale zaraz... Gdybym istotnie była dzieckiem wszetecznicy, czy pobierałabym nauki w klasztorze? Dlaczego nie zapędzono mnie do roboty, dlaczego nie jestem konwerską, czyli siostrą świecką, jedną z tych, co w pocie czoła harują na polach opactwa albo w kuchni czy piekarni? Owszem, ubierają mnie prawie w łachmany, w to, co zostało po chorych czy zmarłych, i wcale nie traktują mnie życzliwie, niemniej nauczono mnie czytać i pisać, co jasno dowodzi, że szykują mnie na siostrę zakonną, a nie świecką.

- Siostró Godo...

- Nie mam już nic więcej do powiedzenia! Zabieraj się do nauki! - Powiedziała to bardzo ostro, a jednocześnie uderzyła mnie laską. W rękę, ale niezbyt mocno. Tylko pacnęła, tak bez przekonania, jakby

uznała, że jestem przypadkiem beznadziejnym i zamiast się niecierpliwić, lepiej narzucić sobie obojętność. - Nie ruszysz się stąd, Alice, póki nie wyuczysz się tego na pamięć. Dlaczego jesteś taka uparta? Ty, która powinnaś codziennie na klęczkach dziękować Panu Bogu, że nie musisz szukać chleba w londyńskich rynsztokach. Chyba że ty... - teraz ciszej, leciutko zachrypniętym szeptem -...chcesz być dziewczką sprzedajną?

Na co ja, nie bacząc, że uznane to będzie za zuchwałość, wzruszyłam ramionami i oświadczyłam głosem jasnym i dźwięcznym, prawie z butą:

- Nie zostałam stworzona na zakonnicę!

- Nie? Przecież nie masz wyboru! Dokąd miałabyś pójść? Kto ciebie weźmie?

Odpowiedzi nie znałam. Bo i skąd? Ale kiedy laska siostry Gody uderzyła o stół bardzo mocno, poczułam gniew, który zrodził pewną myśl. I ta myśl w mej głowie pozostała już na zawsze, bezgłośnie wyszeptana w tamtej chwili:

- Musisz sama sobie pomóc, Alice. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Ta myśl była początkiem dorosłości. Tak, bo dzieckiem na pewno

być przestałam. Ja, Alice, owoc igraszek prostaka, który po opiciu się kwaśnym piwem obłapiał brudną dziewczkę z gospody.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Udało mi się uciec z klasztoru. Tak, z tym że to nie ja znalazłam sobie drogę ucieczki, lecz podsunął mi ją los, który postanowił być dla mnie łaskawy, gdy ukończyłam lat piętnaście. Kiedy to siostra Matylda niespodzianie zaczęła rzucać mi do rąk jakieś ubrania.

- Włóż to. I to też. I to. Za pół godziny masz być przy furcie klasztornej.

- Ale dlaczego, siostrze?

- Rób, co każę!

Dano mi suknię z cienkiej wełny bliżej nieokreślonego koloru, bo tak już spraną. Także suknię wierzchnią z długimi rękawami, szaroburą jak szlam, który po ulewie osadza się na brzegu rzeki. Ta suknia również okrywała już czyjeś plecy, była też o wiele za krótka, stało się więc to, czego się obawiałam, a mianowicie kostki miałam odsłonięte. Ale to nie wszystko, bo nagle coś zaswędziało. Czyli być może odziedziczyłam po kimś nie tylko szaty, lecz i pchły.

Całość dopełniał kaptur, jakiś taki szary.

Dlaczego mi to dano? Czyżby... czyżby wysyłano mnie po sprawunki?! Z wrażenia aż dostałam gęsiej skórki. Byłam bardzo poruszona, choć i wylękniona. Nigdy dotąd nie opuszczałam klasztornych murów. Dziś po raz pierwszy miałabym ku temu sposobność...

Siostra Faith, furtianka, otworzyła furtę i wskazała czekający po drugiej stronie ulicy wóz. Zachwycona, choć i z duszą na ramieniu, przeszłam przez próg. I furta natychmiast zamknęła się za mną. Cichy odgłos zasuwanej zasuwki - kiedy stałam już po drugiej stronie! - w tamtej chwili był dla mnie najpiękniejszym dźwiękiem. Słodszym niż Anioł Pański odśpiewany najśłodziej.

Wóz załadowany był drewnianymi balami. Na wozie naturalnie siedział woźnica, ponury osiłek, pokaszujący, pociągający nosem i śmierdzący brudną, moką wełną.

- Dokąd jedziemy?

- Do Londynu - burknął i splunął do rynsztoka, którym płynęły brudy i odpadki po dniu targowym. - Do domu pana Janyna Perrersa.

- Pomóż mi wsiąść!

Coś tam znowu burknął o zuchwałości, ale wielką łapą chwycił mnie za rękę i podciągnął, dzięki czemu udało mi się wgramolić na te bale. Usiadłam możliwie jak najwygodniej, a ponury woźnica dalej mamrotał pod nosem:

- Ten, co cię weźmie za żonę, nie będzie miał lekkiego życia, o nie...

- Ależ ja wcale nie zamierzam brać sobie męża!

- A dlaczegoż to?

- Bo jestem za brzydka.

Przecież widziałam siebie! Przejrzałam się w lustrze wody w mojej misce i zobaczyłam nagą prawdę. Alice jest brzydka jak noc. Widziałam to wyraźnie, jakbym przeglądała się w zwierciadle jakiejś hrabiny. Czy jakikolwiek mężczyzna zechce taką maskarę za żonę? Żaden! Nigdy!

- Nie szkodzi. Mężczyzna nie musi zbyt często patrzeć na dziewczuchę, którą wziął sobie do łóżka. - Trzasnął z bata tuż nad łbami wołów i wóz ruszył.

Dokąd? Do Londynu! Do domu pana Janyna Perrersa, zapewne więc jadę tam na służbę. Pan Janyn Perrers, sypnąwszy złotem, poprosił o silną, pracowitą dziewczynę, więc matka przełożona skorzystała z okazji i pozbyła się biednej jak mysz kościelna nowicjuszki, która niczego nie jest w stanie wnieść do klasztornego dobytku ani tym bardziej przysporzyć chwały świętemu miejscu.

Wierciłam się na twardym siedzisku, przesuwając co chwilę, bardzo zniecierpliwiona i nieszczęśliwa, że woły tak powoli posuwają

się do przodu. Przecież jadę do Londynu! Londyn! Krew burzyła się, w głowie prawie wirowało. Wreszcie wyrwałam się na wolność z klasztornych murów! A wolność to słowo cudowne, mami, odurza jak najmocniejsze wino. Chyba jeszcze bardziej...

Londyn. Przede wszystkim bardzo tu brudno i głośno. Wokół opactwa w Barking wcale nie panowała cisza jak makiem zasiał, a w dzień targowy było rojno i gwarno, ale na pewno nie tak jak tutaj. Nie spodziewałam się ujrzeć aż tylu ludzi, ludzi rozwrzeszczanych, często cuchnących, stłoczonych w jednym miejscu. Wszystko tu zresztą było zadziwiające. Po prostu nie wiedziałam, na co najpierw spojrzeć. Czy na wysokie, zasłaniające niebo domy, stojące karnie jeden obok drugiego po obu stronach ulicy niewiele szerszej od szerokości wozu, czy na najprzeróżniejsze towary wyłożone przed sklepami. Czy na kobiety paradujące w szatach o jasnych kolorach, a może na obszarpanych i brudnych uliczników, a także dziewczki, które poczynają sobie bardzo zuchwale. Dla mnie był to nowy, nieznany świat, zatrważający, a jednocześnie tak bardzo kuszący. Patrzyłam i patrzyłam. Po prostu gapiłam się jak naiwne dziecko ze wsi.

- Tu wysiadasz.

Wóz zatrzymał się, silne łapska wzięły mnie pod boki i zestawiły na ziemię, a brudny palec wskazał cel mej podróży.

Dom był tak wąski, jakby wcale nie miał szerokości, tylko te dwa piętra, tam, w górze, nad moją głową. Dziwne, że pan Perrers, człowiek na pewno niebiedny, mieszka w domu tak niepozornym... Brnąc przez śmieci i odpadki zalegające w rynsztoku, podeszłam do drzwi i zapukałam.

Drzwi otworzyła chuda jak patyk kobieta. Była o wiele wyższa ode mnie i z głową ustrojoną w nieznany dla mnie sposób. Na głowie siatka, do której przyczepione były dwa metalowe cylindry, jeden po lewej, drugi po prawej stronie mizernej twarzy. W tych cylindrach niewątpliwie ukryte były warkocze. I to wszystko razem wyglądało tak, jakby głowę tej nieszczęśnicy wsadzono do klatki.

- Czego chcesz?

- Czy to dom Janyna Perrersa?

- A co ci do tego?



Zmierzyła mnie wzrokiem pełnym odrazy, wyraźnie zamierzając zamknąć mi drzwi przed nosem. Nie, wcale nie poczułam się urażona, skoro odziana byłam niemal w łachmany. Ale nie miałam zamiaru odstąpić.

- Przysłano mnie tutaj - powiedziałam szybko, przytrzymując ręką drzwi. - Jestem Alice. - I ukłon. Tak, bo nagle mnie olśniło, że to właśnie powinnam zrobić.

Pokłoniłam się więc, jednak tej chudej kobiety w cylindrach wcale to do mnie nie przekonało. Znow rzuciła mi złe spojrzenie i krzyknęła:

- Chcesz tu żebrać?! Zaraz wezmę miotłę i...

- Przysłały mnie zakonnice.

Wtedy spojrzała na mnie z jeszcze większą odrazą, a zaciśnięte wargi podobne były do zwiniętego sznurka.

- A, więc to ty jesteś tą dziewczyną... Nie mogły znaleźć kogoś lepszego? - Nie mogły, bo nikogo innego nie miały na podorędziu. Byłam jedyną nowicjuską. Nie zdążyłam jednak tego przekazać, bo machnąwszy z rezygnacją ręką, otworzyła drzwi szerzej. - Trudno. Skoro już tu jesteś... Pamiętaj, że w przyszłości masz korzystać z drzwi na tyłach domu, obok wychodka.

Tak zostałam powitana w miejscu, które miało stać się moim nowym domem.

Domem, w którym wcale nie żyło się przyjemnie. Nawet ja, która od niemowlęcia przebywałam w klasztorze, wyczułam to od razu, kiedy tylko przekroczyłam próg.

Janyn Perrers. Pan domu. Lichwiarz. Prawdziwy krwiopijca, człowiek niedobry i chciwy. Wysoki i chudy jak szczapa, jakby nie miał w sobie najmniejszego zbytecznego skrawka mięsa. Człowiek wyjątkowo chłodny i małomówny. Otwierał usta tylko wtedy, kiedy uznał to za konieczne. Wtedy coś mamrotał z wyraźnie obcym akcentem, i na ogół nie było to nic miłego. W swoim domu był najwyższym autorytetem. W interesach był niezwykle skrupulatny i całkowicie nimi pochłonięty. Jego całym życiem było zdobywanie złotych i srebrnych monet i pożyczanie ich na bardzo wysoki procent. Twarz może i byłaby pociągająca, gdyby nie głębokie bruzdy i zapadnięte policzki. Bardzo zapadnięte, jak u trupa. Włosy - a raczej ich resztki - to tylko kilka brudnych, wijących

się kosmyków na karku, bo kiedy zdjął filcową czapkę, głowa wyglądała jak wielkie wyświecone jajo. Nie wiedziałam, ile dokładnie ma lat, ale na pewno był to człowiek już niemłody, och, bardzo niemłody. Te wyblakłe oczy, ten niepewny krok. Palce zawsze miał poplamione inkaustem, usta też, kiedy zdarzyło mu się obgryzać pióro.

Tamtego dnia, pierwszego dnia w jego domu, usługiwałam mu podczas wieczornego posiłku. Kiedy ostrożnie stawiałam przed nim talerz, skinął głową, dając do zrozumienia, że zauważył nową osobę w swoim domu. I poza tym nic. Ani jednego słowa z ust człowieka, który przecież sam mnie najął.

Natomiast jego siostra, Damiata, nie omieszkała od razu dać mi do zrozumienia, że nie przypadłam jej do gustu. Signora Perrers, władczyni w czterech ścianach. Chuda, mizerna, ale bardzo silna duchem. Rządziła gospodarstwem twardą ręką, szczególnie twardą, gdy wymierzała karę komuś, kto jej nie zadowolił. A w tym domu nic nie mogło się dziać bez jej wiedzy czy przyzwolenia.

Oprócz mnie najęty był jeszcze chłopiec do noszenia, dźwigania i czyszczenia wychodka. Mówił bardzo mało, a myślał pewnie jeszcze mniej. Wiódł bardzo nędzny żywot. Widywałam go z rzadka, zwykle gdy jadł, trzymając chleb czy kawałek mięsa w brudnych palcach. Pożerał strawę bardzo szybko i zbiegał gdzieś na dół, z powrotem do roboty. Nie znałam nawet jego imienia.

W domu pana Perrersa pojawiał się często William de Greseley. Tylko pojawiał, ponieważ tu nie mieszkał. A pracował w wielu miejscach, gdyż był skrybą i człowiekiem bardzo byстрыm. Czarnowłosa, brwi też intensywnie czarne. Przypominał szczura, bo rysy miał wyjątkowo ostre. I był blady, bardzo blady, jakby nigdy nie oglądał dziennego światła. Panem Greseleyem nikt w tym domu za bardzo się nie przejmował, może tyle co flądą, którą signora Damiata kupiła na targowisku. Jego zadaniem było wpisanie do ksiąg dziennego utargu. Robił to znakomicie, jakby ten inkaust, który plamił palce pana Perrersa, Greseley miał we krwi. Mnie, służącej, pan Greseley prawie nie zauważał, mierząc mnie pewnie tą samą miarę, co robaka przemykającego po podłodze w izbie, w której trzymano księgi rachunkowe.

Rządziła mną signora. Miałam wykonywać te wszystkie prace, do których nie brał się bezimienny chłopak, i zawsze miałam mnóstwo do roboty.

Taka była rodzina Perrersów, ich dom, domownicy. A działo się to w miejscu oddalonym o wiele mil od opactwa w Barking, co dla mnie liczyło się najbardziej. Twardo postanowiłam, że wytrzymam wszystko.

- Ten, co cię weźmie za żonę, nie będzie miał lekkiego życia, o nie...

- Ale ja wcale nie zamierzam brać sobie męża!

Doskonale pamiętałam tę rozmowę z woźnicą. I co? O Matko Przenajświętsza! Tak gorliwie zaprzeczałam, a tu proszę! Po zaledwie siedmiu dniach składałam przysięgę małżeńską przed drzwiami kościoła!

Kiedy wezwano mnie do paradnej izby na tyłach domu i pan Perrers powiedział o swoich zamiarach, signora Damiata była tak samo zaskoczona jak ja. Z tym że ja osłupiałam, signora natomiast bardzo głośno dała wyraz swemu niezadowoleniu:

- Na litość boską! Zapomniałeś, że masz syna, swego spadkobiercę, który uczy się profesji w Lombardii? A ja prowadzę ci dom. I po co ci żona? Po co? W twoim wieku?! - Była bardzo wzburzona, dlatego obca wymowa z każdym słowem stawała się bardziej wyrazista. A tak naprawdę już nawet nie mówiła, tylko syczała, wyrzucając z siebie jedną sylabę za drugą: - A jeśli już koniecznie musisz, to weź sobie pannę z wianem, z bogatej kupieckiej rodziny! O Jezu! Czy ty w ogóle mnie słuchasz? - Dłonie signory, zaciśnięte w pięści, uniosły się, jakby chciała brata uderzyć. - Janynie! Przecież ona w ogóle nie nadaje się na żonę dla człowieka tak znamienitego jak ty!

Jeśli miałam jeszcze jakieś wątpliwości, czy w tym domu naprawdę najwyższą instancją jest brat, a nie siostra, to natychmiast znikły, gdy pan Perrers, przerywając na chwilę przewracanie kartek w książce, spojrzał na mnie i oznajmił ze stoickim spokojem:

- Ale ja tak chcę. Wezmę ją za żonę i nie ma już o czym gadać. Mnie, naturalnie, nikt o zdanie nie pytał. Owszem, byłam obecna

przy tej rozmowie, ale udziału w niej nie brałam. Byłam czymś w rodzaju kości, którą wydzierały sobie dwa psy. Z tym że pan Perrers wcale się nie wzburzył, nie klócił. Po prostu oznajmił, że takie jest jego życzenie, a siostra musiała zamknąć usta.

I w taki oto sposób wzięłam sobie męża. Zrobiłam to w brudnej sukni, którą miałam na sobie, gdy kroiłam cebulę i oprawiałam ryby. Oczywiście, bo na młodą żonę szkoda wydawać pieniądze. Och, na pewno nie byłam radosną panną młodą. Oszołomiona i rozżalona spełniłam życzenie chlebowodawcy, przecież do głowy by mi nie przyszło sprzeciwiać mu się, kiedy zachciało mu się połączyć ze mną świętym węzłem. Co uczynione zostało na schodach do kościoła, w obecności dwóch świadków, czyli ponurej i milczącej signory Damiaty oraz pana Greseleya, który akurat był pod ręką. Jego twarz jak zwykle była całkowicie pozbawiona wyrazu.

Znudzony ksiądz gdzieś ponad naszymi głowami wymamrotał kilka wymaganych przy tego rodzaju okazji słów i już byłam żoną. A co potem? A nic. Żadnego wesela, żadnego weselnego kołacza, ani jednego kubka piwa. Przecież do tego małżeństwa nic nie wносиłam, nie było więc potrzeby obchodzić tego uroczyście. Aha... i o ile pamięć mnie nie zawodzi, padał wtedy deszcz. Tak, kropiło z nieba całkiem solidnie. Kaptur miałam przemoknięty na wskroś, kiedy składałam przysięgę przy akompaniamencie wrzasków chłopców czyhających na monety. I doczekali się, bo pan młody okazał dobrą wolę i rzucił im całą garść.

Pamiętam jeszcze, jak palce pana Perrersa zaciskały się mocno na mej dłoni, co było dla mnie jedynym dowodem, że to, co teraz się dzieje, dzieje się naprawdę.

A może jednak lepiej było zostać oblubienicą Chrystusa? Czy małżeństwo jest czymś lepszym od służebności? W moim odczuciu różnica była niewielka.

Po tej jakże krótkiej ceremonii prawie natychmiast zostałam wysłana na strych, by pozdejmować girlandy pajęczyn. Zła jak osa wymachiwałam miotłą, siejąc popłoch wśród pajaków, które umykały co siłą na swych licznych nogach.

Szczęściarze... Bo ja nie mam dokąd uciec!

Tak, nie mam, a wkrótce noc... Kiedy uprzytomniłam to sobie, rozsadzający mnie gniew znikł, a pojawił się strach. Bo ta noc to noc poślubna, którą widziałam w barwach najczarniejszych. Wystarczyło przecież pomyśleć, jak wygląda mój oblubieniec, jakim jest człowiekiem ten cały pan Janyn Perrers.

Signora przyszła do mej izdebki, niewiele większej od dużej skrzyni wetkniętej pod dach, i wlepiając we mnie pełne złości oczy, bez słowa skinęła, więc poszłam za nią. Tak jak stałam, w samej koszuli, na bosaka. Zeszliśmy na dół, signora otworzyła drzwi do izby Janyna, wepchnęła mnie do środka i drzwi zamknęła. A ja tuż za progiem oczywiście zastygłam. Byłam nieruchoma jak posąg, nawet przełknąć śliny nie mogłam. Bałam się przecież okropnie, a już najbardziej swojej niewiedzy o tym, co trzeba robić i w ogóle co jest najważniejsze podczas nocy poślubnej. A poza tym przecież wcale nie chciałam tu być! Absolutnie nie! Chociażby dlatego, że to wszystko razem było takie niepojęte. Bo niby z jakiego powodu ktoś taki jak pan Perrers zapragnął mieć za żonę kogoś takiego jak ja? Bez urody, bez ogłady, bez wiana. Stałam i trzęsłam się ze strachu w tej ciszy zatrwajającej, kiedy słychać było tylko cichutkie skrobanie myszy gdzieś za otynkowaną ścianą. Czas mijał... i nic, nadal cisza, tylko to skrobanie. Na chwilę zamknęłam oczy, a kiedy ostrożnie uniosłam powieki, zerknęłam niestety właśnie tam. Na wielkie łóżce z ciężkimi, zakurzonymi zasłonami, które chronią przed nocnym chłodem.

Nie tylko. Mają przecież też odgradzać małżonków od całej reszty świata...

Szybko znów zamknęłam oczy, modląc się w duchu, by pan Perrers wreszcie przemówił. Powiedział, czego ode mnie oczekuje. Powiedział cokolwiek.

- Już poszła. Możesz otworzyć oczy.

Zabrzmiało to niby jak zawsze, czyli burkliwie i z tym obcym akcentem, ale zdało mi się, że jest trochę rozbawiony. Posłuchałam więc, otworzyłam oczy i wreszcie go zobaczyłam. Patrzyłam na Janyna odzianego w długą, luźną szatę koloru ochry w tym jaskrawym odcieniu, bardziej żółtym niż brązowym. Zakrywała go całego, od szyi po kostki chudych nóg. Siedział za stołem zawalonym stosami dokumentów i zwojami pergaminu. Ręce ułożone na blacie, koło prawej ręki leży skórzana sakiewka, z której wystają jakieś patyki, obok mniejsza sakiewka ze srebrnymi monetami. A z lewej strony świecznik z kilkoma świecami. W ich migotliwym świetle widać było wirujące drobinki kurzu. Pachniało tym kurzem, pergaminem i jeszcze czymś. Zapach był tak ostry, że mimo woli zmarszczyłam nos. Najpewniej tak pachniał

inkaust, którym dokonywano starannych wpisów do ksiąg, świadczących o bogactwie.

Dziwne, ale kiedy to sobie uświadomiłam, przestałam się bać. Może nie całkiem, ale na pewno bałam się o wiele mniej.

- Podejdź bliżej ognia - powiedział Janyn.

Ostrożnie zrobiłam jeden krok. Poczułam ulgę, że nie rzuca się na mnie, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ucieszyłam się też dlatego, że oboje, i on, i ja, jesteśmy ubrani.

Janyn ze stojącej tuż obok krzesła skrzyni wyjął płaszcz.

- Włóż to, bo jest zimno. - Podał mi go. - Ten płaszcz jest twój.

Jest mój! Po raz pierwszy w życiu ktoś mi coś podarował. Zachwycona odebrałam od niego okrycie i narzuciłam na ramiona. Płaszcz był długi, obszerny, niewątpliwie z bardzo drogiej wełny, w pięknym rdzawym kolorze. Utkany został przepięknie i był cudownie, wprost nieskończenie miękki. Rozkosz!

Och, gdybym jeszcze miała coś na nogach! Podłoga była lodowata...

- Włóż je.

Podsunał do mnie parę trzewików z cienkiej skóry w kolorze czerwonym. Olbrzymich, ale miękkich i ciepłych, wygrzanych jego stopami. Kiedy wsunęłam w nie stopy, aż westchnęłam, bo zrobiło mi się tak bardzo przyjemnie.

Wtedy Janyn spytał:

- Jesteś dziewczyną?

I natychmiast całe zadowolenie znikło jak mgła w porannym słońcu. Zadrżałam. Przecież wcale nie chciałam dzielić łoża z tym starcem, nie chciałam, by dotykał mnie nagiej sękatymi palcami poplamionymi inkaustem.

- Tak - odparłam z nadzieją, że moja odraza nie jest zbyt oczywista. Choć była to raczej płonna nadzieja, skoro pan Perrers przyglądał mi się nadzwyczaj bacznie, a ja czułam, że policzki moje robią się szkarłatne.

- Oczywiście, że tak. Inaczej być nie może - stwierdził, kiwając głową. - A teraz powiem ci coś, co być może cię uspokoi. Przecież widzę, jak się boisz, po prostu masz to wypisane na twarzy. A więc... Nie, nie będę sprawiał ci kłopotu. Już od wielu lat nie ciągnie mnie do kobiet.

Po raz pierwszy słyszałam, by wypowiedział aż tyle zdań jednym ciągiem.

- W takim razie... dlaczego wzięłaś mnie za żonę, panie? Bogatego wiana nie miałam, więc można by to wytłumaczyć tylko

w ten sposób, że leciwy mężczyzna chciał przed śmiercią jeszcze raz posmakować młodego kobiecego ciała. Lecz okazało się, że mój mąż wcale tego ciała nie pragnie.

Zanim odpowiedział, najpierw spojrział na mnie chłodno i wnikliwie, jakbym była jedną z jego ksiąg rachunkowych. Potem odchrząknął jakby znów trochę rozbawiony.

- Są dwa powody. Chcę mieć kogoś, kto będzie mnie doglądał, gdy już dojdę do wieku sędziwego. Zależy mi na posiadaniu małżonki również dlatego, że wtedy moja siostra przestanie suszyć mi głowę, żebym ożenił się z panną z kupieckiej rodziny. A z taką rodziną trzeba się policzyć. I zwykle żądają niemało...

Westchnęłam. Ale cóż... Chciałam prawdy, to ją mam. Będę opiekować się nim... i nic poza tym. Ale coś zyskałam, i temu nie da się zaprzeczyć. Powinnam coś powiedzieć, tak dla podtrzymania pierwszej małżeńskiej rozmowy, ale jakoś nie mogłam ułożyć żadnego gładkiego zdania.

Ale znów odezwał się Janyn:

- Małżeństwo da ci poczucie bezpieczeństwa. - Powiedział właśnie to, jakby czytał w moich myślach, natomiast dokończył w sposób bardzo zaskakujący: - Wzięłaś sobie starego męża. Czy zamierzasz wziąć sobie też kogoś młodego, do cielesnych uciech?

- Ależ skąd! - zawołałam porażona jego otwartością. - To znaczy... teraz na pewno nie... Bo jak? Przecież ja nikogo tu nie znam.

Roześmiał się, po czym odparł:

- Jeśli jednak trafi się jakiś młokos, któremu będziesz przychylna, wolałbym o tym wiedzieć. - Przerwał na moment. - Aha... W testamentie zrobię dla ciebie zapis, żebyś po mojej śmierci miała na chleb.

I na tym koniec. Mój świeżo upieczony mąż, uznając rozmowę za zakończoną, spokojnie zabrał się za to, co robił, zanim tu się pojawiłam, a mianowicie za pisanie. A ja stałam jak kołek, zachodząc w głowę, co powinnam zrobić. Wyjść? Chyba tak, skoro powiedział otwarcie, że niczego ode mnie nie chce.

Ale nie wychodziłam. Stałam i patrzyłam, jak koścista dłoń z grubymi, sękatymi palcami porusza się szybko we wszystkie strony, a spod czubka pióra wypływają rzędy namalowanych czarnym inkaustem znaków różnego kształtu. Cyfry. Fascynujące! Patrzyłam i patrzyłam, ale nie mogłam przecież stać tu tak całą wieczność.

Kiedy ogień w kominku zaczął przygasać, spytałam:

- Co mam teraz robić, panie Perrers?

Drgnął i poderwał głowę, pewnie zdumiony, że nadal tu jestem.

- Chce ci się spać?

- Nie.

- W takim razie... może... No tak, nalej piwa do dwóch kubków i usiądź tu przy mnie.

Nalałam piwa i przysiadłam na stołku podsuniętym przez małżonka.

- Potrafisz pisać, Alice?

- Tak. - Moje życie w klasztorze było nieskończenie jednostajne, w związku z czym, by nie umrzeć z nudów, zaczęłam bardziej przykładać się do nauki, a z czasem oddawać się temu z wielkim zapałem. Nadmienię przy tym, że ta moja przemiana skłoniła siostrę Godę do odmówienia różańca w podzięce świętemu Judzie Tadeuszowi, patronowi od spraw trudnych i beznadziejnych.

I w związku z tym potrafiłam pisać, i to biegle.

- Czyli klasztory też na coś się przydają - stwierdził. - A potrafisz też pisać liczby i prowadzić rachunki?

- Nie.

- W takim razie nauczysz się. - Podsunął otwartą księgę. - Przepisz to, co jest w tym wykazie, a ja popatrzę, jak to robisz.

Ktoś mógłby pomyśleć inaczej, a wcale się nie opierałam, bo z natury jestem strasznie ciekawska. Przez chwilę przyglądałam się czarnym znaczkom, potem sięgnęłam po pióro i po nóż, który mąż miał na podobieństwo. Bo pióro trzeba naostrzyć, a ja i w tym byłam biegła. Nauczyła mnie tego pewna dama nadzwyczajnej urody i nadzwyczajnej złośliwości, która kiedyś zaszczyliła swoją obecnością opactwo w Barking. Wspomnienie o owej damie czasami ożywało w mej pamięci, niestety zwykle wtedy, gdy absolutnie sobie tego nie życzyłam. Jak teraz, kiedy nie była to odpowiednia pora, by zawracać sobie głowę wychwalaną pod niebiosa hrabiną Kentu.



- A co to jest? - spytałam, wskazując na patyki wystające z większej sakiewki.

- Patyki z karbami.

- Do czego służą te karby?

- Za ich pomocą zapisuje się dochód, spłacony dług i dług należny - wyjaśnił, przyglądając się bacznie, jak sobie radzę z ostrzeniem pióra. Może się bał, że je zniszczę! - Taki patyk przełamuje się na pół i każda ze stron umowy bierze jedną połówkę. Obie połowy muszą być dokładnie takie same.

- Sprytne - stwierdziłam, biorąc jeden z patyków. Był z orzechowego drewna, wykonany niemal kunsztownie, choć nie miał cieszyć oczu, tylko udokumentować, ile ktoś posiada pieniędzy.

- Może i tak... Ale pisz już, pisz.

Więc pisałam, najpierw pod jego czujnym okiem, po chwili jednak w pełni usatysfakcjonowany pozwolił mi robić to samodzielnie.

Przedziwna noc. Tak, przedziwna, a jednocześnie tak bardzo dla mnie przyjemna, kiedy w wielkim skupieniu pisałam cyfry tworzące liczby, a liczby wskazywały, ileż to złotych monet zebrano w ciągu tygodnia. Fascynujące! Kiedy skończyłam, mąż kazał mi położyć się w jego wielkim łóżu i spać, a sam pracował dalej. Oczywiście! Kiedy zapadałam już w sen, słyszałam, jak gęsie pióro dalej skrzypi pracowicie. Czy Janyn potem przyszedł do tego łóża, ułożył się obok mnie? Raczej nie, bo kiedy obudziłam się, pościel obok mnie była nietknięta. Tak samo moja koszula, która nadal szczelnie okrywała mnie całą.

Skromna koszula zakonniczy dziewicy...

Moja noc poślubna była więc całkiem inna, niż się spodziewałam, ale nie narzekałam, o nie. Mogło być przecież o wiele gorzej, prawda?

Następnego dnia obudziłam się wśród ciszy idealnej, musiało więc być jeszcze bardzo wcześnie. Poza tym ciemno, ponieważ zasłony w łóżu były zasunięte. Kiedy ostrożnie odsunęłam jedną z nich, zobaczyłam, że ogień w kominku zgasł. Sam, na pewno nikt go nie zagasił. Ze stołu sprzątnięto, żadnych kubków i książek. I w tej izbie, oprócz mnie, nie było nikogo. Byłam tu sama i w wielkiej rozterce, ponieważ moja sytuacja nie należała do najłatwiejszych.

Obudzić się rano w łóżu pana Perrera.

Łożu tak miękkim i ciepłym, którego wcale nie chce się opuszczać. Więc usiadłam tylko, oparta na poduszkach. Siedziałam sobie i oglądałam swoje ręce. Dokładnie, z obu stron. Spracowane, zniszczone od lodowatej wody, noszenia gorących naczyń i innej ciężkiej roboty. Takie to właśnie są ręce pani Perrers...

Skrzywiłam się. Pani Perrers? Dobrze sobie! Więc co, może powinnam w tej nowej sytuacji strącić signorę Damiatę z piedestału i sama objąć rządy? Oczywiście! Dostojnym krokiem wejdę do paradnej izby i przekażę signorze swoje życzenia odnośnie do posiłków, a także długości moich szat. Wyrażę również chęć nabycia nowych. Już widziałam jej minę! A odpowiedź? Doskonale mogłam sobie wyobrazić, jakież to słowa uleczą spomiędzy wąskich warg signory. Dlatego z góry wiedziałam, że żadnych swoich życzeń przekazywać nie będę, bo po prostu się nie ośmielę.

Zaraz jednak pomyślałam, a może nawet wyszeptałam:

- Ale przecież masz do tego prawo, Alice!

Niewątpliwie taka była prawda, jednak mój bardzo rozwinięty instynkt samozachowawczy podpowiadał, że jeszcze nie pora na szarogęszenie się w tym domu. Lepiej poczekać, bo pochopne, nieprzemyślane działania mogą zadziałać na moją niekorzyść, i na razie pomyśleć o czymś innym. Bo jest o czym. Chociażby to. Jak mam się zwracać do pana Perrersa? Czy naprawdę jestem jego żoną, choć dziewictwa nie straciłam? O tym właśnie myślałam, kiedy otulona w nowy płaszcz wracałam do izdebki na poddaszu. A po kilku chwilach, ubrana jak zwykle, czyli jak służąca, schodziłam na dół, śpiesząc do kuchni, by rozpaść w kuchennym piecu.

Jednak do kuchni nie dotarłam, bo chociaż starałam się stapać po schodach jak najciszej - przecież nie chciałam nikogo spotkać - nie udało mi się zrobić tego bezszelestnie. Stare, rozklapane trzewiki stuknęły o każdy stopień, a po chwili usłyszałam znajomy głos:

- Alice...

O nie! Co robić? Oczywiście udawać, że nie słyszę! Schodziłam więc dalej, jednak pan Perrers nie zamierzał zrezygnować.

- Alice! Chodź tutaj! I zamknij za sobą drzwi!

A więc trudno, nie wymigam się. Trzeba tam iść, choć umieram ze strachu. Może i niepotrzebnie, przecież wczoraj tak naprawdę był dla mnie całkiem... miły. Na pewno tak.

Poszłam więc tam, skąd dobiegało wołanie, czyli do izby, w której mąż przyjmował klientów, ten niekończący się strumień ludzi spragnionych pożyczki. Siedział za stołem pochylony nad księgami, jak każdego ranka, kiedy przynosiłam mu chleb i piwo.

Dygnęłam. Trudno przecież tak nagle zmienić obyczaje.

Poderwał głowę.

- Dobrze spałaś?

- Nie, panie.

- Za dużo wczoraj było przeżyć? - Może i żartował sobie ze mnie, ale wyraz twarzy nie uległ zmianie, jak zwykle była posępna. I z tą posępną miną wyciągnął do mnie rękę, w której trzymał tę mniejszą sakiewkę. - Weź to, Alice.

Spojrzałam na sakiewkę, potem na niego.

- Chcesz, panie, bym coś dla ciebie kupiła, tak?

- Nie, to dla ciebie - odparł, a ponieważ ja swojej ręki nadal nie wyciągałam, położył pieniądze na stole i pchnął je w moją stronę.

- Dla mnie?!

Ostrożnie wzięłam sakiewkę pełną monet. Na moje wyczucie było ich o wiele więcej, niż zwykle daje się służącej. Dlaczego aż tyle?

Wyjaśnił mi to Janyn Perrers. Mówił bardzo powoli i bardzo wyraźnie, jakby miał do czynienia z osobą niespełna rozumu:

- To jest podarek poranny, Alice. Podarek, jaki daje się podczas pierwszego małżeńskiego poranka. Czy w tym kraju nie ma takiego obyczaju?

- Tego nie wiem. - Bo niby skąd?

- Taki obyczaj jest, Alice. Można go nazwać zadośćuczynieniem za utracone dziewictwo.

- W takim razie ten podarek mi się nie należy. Przecież nie wzięłam mnie, panie.

- To prawda, ale stało się tak wyłącznie z mojej winy, więc podarek jak najbardziej ci się należy. Za to, że byłaś wyrozumiała dla starego człowieka i jego słabości.

Czułam, że moje policzki mają już na pewno taki sam kolor, jak pieczęcie na dokumentach leżących na stole, czyli szkarłatne. Przecież byłam bardzo speszona i zaskoczona tym, że mój mąż okazuje mi wdzięczność.

A po jego twarzy wreszcie przemknęło coś, co od biedy można by nazwać uśmiechem.

- Alice, zatrzymaj tę sakiewkę. Jesteś moją żoną, a obyczaje należy uszanować.

- Tak, panie. - Dygnęłam.

- I jeszcze coś... - Teraz był wyraźnie zakłopotany. Bezwiednie przesunął czubkiem pióra po stosach dokumentów. - Wolałbym, żebyś nie mówiła nikomu...

- O naszej wspólnej nocy - miłosiernie dokończyłam za niego. - To zostanie między nami, panie.

- Także nasze przyszłe noce.

- Oczywiście. Z nikim nie będę o tym rozmawiać. Szczerze mówiąc, to i tak nie miałabym z kim, prawda?

- Dziękuję. A teraz przynieś mi piwa. I powiedz signorze, że wychodzę za godzinę.

- Tak, panie.

- I będę bardzo zadowolony, jeśli będziesz zwracała się do mnie po imieniu.

- Tak, panie. - Oczywiście przytaknęłam, chociaż nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek będę w stanie wydusić z siebie „tak, Janynie”.

Kiedy znalazłam się za drzwiami w niewielkim korytarzu, od razu oparłam się o pobieloną ścianę. To taka deska ratunku, kiedy człowiekowi z wrażenia nogi się uginają. Dostałam podarek! I to jaki! Ostrożnie wsunęłam rękę do sakiewki, poruszyłam palcami i poczułam się jak w siódmym niebie, gdy monety z cichym brzękiem przesunęły się między nimi. Tyle monet! Nigdy w życiu nie widziałam takiego mnóstwa pieniędzy. A o tym, że miałyby być to moje pieniądze, nawet już nie wspominając. A teraz mam. Wszystko, co w tej sakiewce, należy do mnie. Do mnie! Czyli jedno jest pewne. Nie jestem już nowicjuską bez złamanego szeląga!

Owszem, tym nie jestem, ale w takim razie kim? Ano kimś takim, o kim się mówi: ni pies, ni wydra. Mieszkam w domu, który mój nie

jest. Jestem żoną, ale nadal dziewczyną. A fakt, że jestem żoną pana tego domu, w niczym nie zmieni mej pozycji w tym właśnie domu. Mogłabym się o to założyć, na hazard stawiając to wszystko, co jest w tej sakiewce, która spadła mi prosto z nieba. Signora Damiata nigdy nie ustąpi pola. Nigdy nie zajmę poczesnego miejsca przy stole...

Nagle usłyszałam ciche stąpanie miękkich trzewików po kamiennej posadzce. Czyżbym w tym korytarzyku nie była sama? Poderwałam szybko głowę. Owszem, nie byłam sama. Był tu także pan Greseley, parę kroków dalej. Też pewnie opierał się o ścianę, od której właśnie się oderwał, i zmierzał ku mnie. Pan Greseley była to osoba bardzo mało mi znana, prawie tajemnicza, dlatego rękę z sakiewką szybko wsunęłam między fałdy spódnicy.

Jednak pan Greseley nie doszedł do mnie, tylko zatrzymał się kawałek dalej, na wyciągnięcie ręki, i ponownie oparł się o ścianę, tę samą co ja, wbijając wzrok w ścianę przeciwległą. Pan Greseley jak zawsze był idealnie obojętny. W wyrazie jego twarzy i w zachowaniu nie było cienia życzliwości, ale też i nie wyczuwało się wrogości. Po prostu dzięki długoletniej praktyce potrafił znakomicie ukryć uczucia, zamierzenia i myśli, przesłaniając to maską obojętności, którą chyba tylko trzęsienie ziemi dałoby radę z niego zedrzeć.

- Chyba nie masz zamiaru schować tego pod poduszkę? - spytał półgłosem.

- Schować? Co? - Moje palce mocniej zacisnęły się na sakiewce.

- Poranny podarek, który on ci właśnie dał.

- Ale skąd ty...

- Oczywiście, że wiem, bo kto w tym domu sprawuje pieczę nad domowymi wydatkami? Wiadomo, że ja! - Spojrzał na mnie przelotnie, prawie groźnie, i z powrotem wlepił oczy w ścianę przeciwległą. - Łatwo było się domyślić, na co przeznaczona będzie ta kwota!

A we mnie aż się zagotowało. O nie! Nie miałam najmniejszego zamiaru dać się obrażać jakiemuś kauzyperdzie!

- Chwileczkę! To są sprawy między mną a panem Perrersem!

- Oczywiście! - przytaknął skwapliwie, czyli zarazem gładko i nieprzyjemnie.

W myślach porównałam to z sadłem pływającym w wodzie wlanej przed szorowaniem do brudnego garnka, w którym duszono jagnięciny

- Twoje sprawy na pewno to nie są! - dodałam nadal ostrym tonem. Pan Greseley, już tylko gładki, skłonił głowę.

- Na pewno nie. Jestem tu po to, by udzielić ci dobrej rady, pani. Ciekawe... Natychmiast oderwałam oczy od przeciwległej ściany, by spojrzeć w bok, na Greseleya.

- Ale dlaczego?

On natomiast wcale na mnie nie patrzył, gdy udzielał odpowiedzi, niewątpliwie szczerzej, bo brzmiała następująco:

- Sam nie wiem.

- Przecież to bez sensu.

- Owszem, bez sensu, a także wbrew wszelkim zasadom obowiązującym w interesach. Niemniej jednak czuję potrzebę udzielenia ci dobrej rady, pani, a owa rada jest następująca: Niech ci do głowy nie przyjdzie chować ten podarek pod poduszką, w ogóle gdziekolwiek w tym domu. Bo ona na pewno go znajdzie.

- Kto? - spytałam, choć doskonale już znałam odpowiedź.

- Signora, która jeśli chodzi o pieniądze, ma nadzwyczajnego nosa. Zawsze je wywęszy, jak myszy ser schowany w spiżarni. A jak je znajdzie, nigdy już ich nie zobaczysz.

- Byłam pewna, że ona o tym podarku nic nie wie.

- Tak powiedział ci Janyn? Nie łudź się, pani. W tym domu nic bez jej wiedzy się nie dzieje. Akurat ja mogę to powiedzieć, bo napatrzyłem się przez te wszystkie lata. Nieważne, jak dowiedziała się o tym podarku. Ważne, że wie, gwarantuję, że wie, i ten podarek jest bardzo nie po jej myśli. Bo ona uważa, że wszystko, co ma Janyn, ma odziedziczyć jego syn, jej ukochany bratanek.

Ten, którego tu nie ma, bo w Lombardii uczy się, jak prowadzić interesy tego samego rodzaju co ojciec.

- A więc cóż mi radzisz, panie? Mam wykopać dół w ogrodzie?!

- Na pewno znajdzie.

- Może ukryć w szczelinie na poddaszu?

- Też znajdzie. Już mówiłem, myszy i ser.

- W takim razie co mam zrobić?!

Wreszcie ujawnił jakąś emocję, a mianowicie był wielce zadowolony z siebie, co bardzo mnie zirykowało. Gniew jednak znikł jak ręką odjął, kiedy usłyszałam, co mi radzi. Wprost nie wierząc własnym uszom, w pierwszej chwili osłupiałam, a potem wybuchnęłam śmiechem.

Bo powiedział:

- Daj mi te pieniądze, pani.

- Tobie, panie? - odparłam gniewnie oficjalnym tonem, a potem dodałam z gryzącą ironią: - Uważasz mnie za kobietę niespełna rozumu?

- Nie, za kobietę rozsądną. Dlatego mi je dasz. - Wyciągnął ku mnie poplamioną inkaustem rękę.

Natomiast moja ręka, ta z sakiewką, ani drgnęła, za to usta jak najbardziej:

- Nie dam!

Westchnął głęboko, widomy znak, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

- Daj mi je, a ja zrobię z nich użytek i uczynię cię kobietą zamożną.

- Niby jak?

- Już mówię, a ty, pani, racz mnie wysłuchać.

Miałam rację co do jego cierpliwości. Naprawdę już się wyczerpała, bo Greseley głos zniżył do syczącego szeptu:

- Powiedz mi, pani, co nigdy nie traci na wartości? Co trwać będzie wiecznie? Czego nikt nie włoży do worka i ci nie ukradnie?

- Och, to definicja złota!

- Złoto wsadzi za pazuchę i nie masz już nic!

- W takim razie... może klejnoty?

- Klejnoty?! Tak samo jak ze złotem, bardzo łatwo je stracić. Zastanów się!

- Cóż... hm... Och, nic już nie wymyślę. Może zdradzisz, panie, o co chodzi?

Małe oczy pana Greseleya roz błysły jak koraliki, gdy wyjawiał mi swoją tajemnicę:

- O ziemię, pani! O ziemię! A on obdarował cię hojnie. Daj mi te pieniądze, a kupię ci za nie kawał dobrej ziemi.

Ziemia! W pierwszej chwili poczułam uniesienie, zresztą może pod wpływem blasku w oczkach pana Greseleya. Bardzo szybko jednak się opamiętałam i do głosu doszedł rozsądek.

Ja miałabym kupić ziemię? Ja?!

- Nie pojmuję, panie.

- Więc powtarzam. Kupię ci, pani, kawał dobrej ziemi, tylko daj mi swój poranny podarek.

- A co chcesz w zamian?

- O proszę! Nie pomyliłem się. Czułem, żeś bystra i masz głowę do interesów. Powiem ci, ile za to chcę, ale w swoim czasie. Nie obawiaj się, na pewno nie zażądam zbyt wiele.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której zerkałam tylko na tego dziwnego mężczyznę, który prawil mi to wszystko z kamienną twarzą. Jakież on zimny! Po prostu jak ryba. Było oczywiste, że chce to zrobić, bo sam na tym skorzysta. Oczywiście, i tak wszystko byłoby jasne i zrozumiałe. Tyle że czułam, iż zwykły zysk to nie jest jedyny powód...

- Dlaczego chcesz to zrobić, panie? Dlaczego chcesz zająć się moimi sprawami?

- Bo mam przeczucie, że warto z tobą wejść w układy - odparł z przedziwną prostotą. - Masz głowę do interesów i byłoby szkoda, gdybyś tego nie wykorzystwała. Więc kup tę ziemię, pani, z moją pomocą oczywiście.

Milczałam. Owszem, odpowiedź była prosta, zdania brzmiały logicznie, lecz przecież był to dla mnie absurd. Ja, Alice Perrers, ponoć z głową do interesów, mam kupić ziemię? Ja? Trudno w to uwierzyć. Dlatego milczałam, a sakiewka w mej dłoni robiła się coraz cięższa. Podrzuciłam ją, złapałam, odetchnęłam głęboko kilka razy.

I cisza trwała nadal, aż wreszcie odezwał się Greseley:

- Nie można tak zastanawiać się bez końca. Zdecyduj wreszcie. Daj mi tę sakiewkę. Albo i nie. Ale nie łudź się, pod tym dachem twoje pieniądze nie są bezpieczne. Najdalej za kilka dni nie będziesz ich już miała.

- I dlatego powinnam zaufać tobie, panie! Czy tak?

- Oczywiście.

Niestety, w kwestii zaufania moje doświadczenie było bardzo ubogie. Cóż więc w tym zaskakującego, że niełatwo mi było podjąć decyzję



o powierzeniu całego mego bogactwa człowiekowi nie tylko obcemu. Także dziwnemu, z tą miłością do liczb, dokumentów, pieczęci i umów. Człowiekowi, który nagle zwraca się do mnie z tak kuszącą propozycją...

Co robić? W głowie miałam chaos, multum argumentów za, tyle samo przeciw. Odbyłam gorączkową rozmowę sama z sobą, po części pomyślaną, po części wyszeptaną niemal bezgłośnie:

- Powiedz nie! Nie wypuszczaj tych pieniędzy z rąk. Po prostu ukryj je dobrze, tam gdzie nikt ich nie znajdzie.

- Nie opieraj się, zaryzykuj. Zastanów się, będziesz miała własną ziemię, może jakiś dom...

- Bzdura! Przecież to oczywiste, że capnie te pieniądze i czmychnie. Nigdy ci ich nie oda!

- Zaufaj mu.

- Nie potrafię!

- Spróbuj się zmusić! To najlepsze wyjście!

- Na pewno najlepsze?

Ta wymiana argumentów zakończyła się gwałtownie, kiedy Greseley nagle oderwał plecy od ściany i ruszył przed siebie, rzucając jeszcze przez ramię:

- Tylko potem nie miej do mnie pretensji, że cię nie ostrzegłem!

I wtedy przemknęła mi przez głowę jeszcze jedna myśl. I też ją po części wyszeptalam:

- Nie bądź głupia, Alice. Sama nic z tymi pieniędzmi nie zrobisz, najwyżej je stracisz. A Greseley, ta przebiegła wesz, wie najlepiej, jak nimi obrócić. Takiej sposobności nie wolno zmarnować. Tym bardziej że będzie też sposobność niejednego się od niego nauczyć! - I już nie szepsem zawołałam: - Zaczekaj, panie! - Gdy się zatrzymał, dodałam: - Dam ci te pieniądze!

- Bardzo dobra decyzja. - Mówiąc to, odwrócił się na pięcie.

- Ile czasu to zajmie?

- Kilka dni.

Uniosłam rękę z sakiewką. Jeszcze tylko ta ostatnia, króciutka chwila wahania, i sakiewka opadła na wyciągniętą dłoń Greseleya. A ja pomyślałam, że być może jednak jestem nieskończenie głupia i naiwna.

- Jeśli ukradniesz... - zasyczałam.

- To co, pani Perrers?

Pani Perrers! Po raz pierwszy jestem dla niego panią Perrers! Nie ty, nie pani, ale pani Perrers...

- Jeśli mnie okradniesz, to marny twój los. Radzę ci wtedy nająć kogoś, kto posmakuje twego jadła czy picia, zanim weźmiesz do ust cokolwiek w tym domu...

- Nie będzie takiej potrzeby, pani.

Był do tego stopnia zadufany w sobie, że niewątpliwie wziął to za cześć pogróżki. A ja swoje wiedziałam. Wywar z tojadu dodany do grzanego wina powali największego osiłka.

Sakiewka znikła w szerokim rękawie Greseleya, po chwili znikł cały Greseley. Rzecz dziwna, ale w chwili, gdy klamka zapadła, wcale nie żałowałam tego kroku. Przeciwnie, poczułam euforię, taką wszechogarniającą, od stóp do głów.

Głupia, głupia, głupia!

W ciągu kilku kolejnych dni nieustannie obrzucałam się w duchu najgorszymi inwektywami.

Bezdennie głupia! Powiedział, że masz głowę do interesów, i od razu ci w tej durnej głowie zaszumiało! Po prostu wystrychnął cię na dudka! Wiedział, jak owinać sobie ciebie wokół tego czarnego od inkaustu palca!

Działo się tak dlatego, że w wiadomej sprawie nie działo się nic, a pod koniec tygodnia byłam już pewna, że mego porannego podarku nigdy już nie zobaczę. A Greseleya widywałam, a jakże, podczas posiłków. Ale wtedy nie odzywał się do mnie. Mało tego, starannie unikał mego spojrzenia. Cierpliwości starczyło mi tylko na tych kilka dni, po upływie których nie wytrzymałam i tuż przed śniadaniem, kiedy sadowił się na stołku, wysyczałam mu wprost do ucha:

- I co zrobiłeś z tym, panie? Na co on:

- Czy mogłabyś, pani, podsunąć mi dzban z piwem?

Nalał sobie piwa, wypił duszkiem, włożył do ust kawałek chleba i wyszedł, zanim zdążyłam coś tam jeszcze wysyczeć.

Wiedziałam, że tego dnia miał na mieście pozałatwiać różne sprawy. Zajęty był nimi do późnego wieczora, a ja przez ten czas znęcałam

się nad sobą. Jak mogłam być tak naiwna i zaufać człowiekowi, którego znam tak mało, tak powierzchownie? Popełniłam wielki błąd i straciłam wszystko! Nigdy już nie zobaczę tej sakiewki, tych monet! Nigdy! Byłam w coraz większej rozpacz. Wprawdzie wciąż tliła się we mnie nikła iskierka nadziei, jednak coraz bardziej natrętnie nawiedzało mnie pytanie, czy jedna łyżka wywaru z tojadu wystarczy na taką mizerotę jak pan Greseley. Jedna czy dwie?

Wreszcie powrócił. Była pora wieczerzy, więc zasiadł do wspólnego stołu, a ja twardo postanowiłam, że tym razem mi się nie wymknie. Zmuszę go, by wreszcie otworzył usta. Koniec z tym! Nie pozwolę dłużej traktować się jak powietrze!

Ale póki co jadł. Jeśli miał wyrzuty sumienia, to na pewno nie odbierały mu apetytu. Płaty mięsa i chleb po prostu pożerał, nie zwracając uwagi na moje gniewne spojrzenia rzucające mu z drugiej strony stołu.

W końcu nie wytrzymałam. Wstałam i sięgając po półmisek ze śledziami, który stał tuż przed nim, wyszeptałam:

- Musimy porozmawiać...

Jednocześnie - a tak! - dałam mu porządnego szturchańca w plecy, między łopatki. W zamian za to poczęstowana zostałam spojrzeniem chłodnym, przenikliwym i absolutnie nieprzekazującym niczego.

- Uważaj z tym półmiskiem, dziewczyno! - zawołała signora. - W końcu nie siedzimy na złocie!

Kiedy sprzątałam ze stołu, wciąż niewzruszony Greseley spokojnie jadł dalej. Jednak po jakimś czasie wyjął zza pazuchy zwinięty pergamin, popukał w niego znacząco palcami i wsunął do pustego dzbanka, który stał na piecu kuchennym. Wszystko to działo się poza zasięgiem wzroku signory i Janyna, lecz ja widziałam doskonale. Przesłanie naturalnie pojęłam i przeżywałam prawdziwe męki, czekając na dogodny moment, kiedy będę mogła zajrzeć do dzbanka.

Wreszcie kuchnia opustoszała. Janyn poszedł do siebie, do swoich ksiąg, a signora, podążając też do siebie na górę, była już prawie na szczycie schodów. Wtedy podskoczyłam do dzbanka, szybko wyciągnęłam zwój pergaminu i umknęłam do swej izdebki. Tam, naturalnie, od razu pergamin rozwinęłam i wlepiłam oczy w czarne litery. Kilka linijek, a treści moc, bo pisane drobnym maczkiem i prawniczym językiem, dlatego niektóre zdania brzmiały dla mnie niejasno, niemniej

nie miałam żadnych wątpliwości. Greseley zrobił to, co obiecał, czyli w moim imieniu dokonał zakupu. Alice Perrers nabyła nieruchomość przy Gracechurch Street w Londynie.

Trzymałam w ręku dokument i syciłam nim oczy. Nie odrywałam ich, jakby bojąc się, że kiedy spojrzę ponownie, dokumentu już nie będzie. Po prostu zniknie.

Nieruchomość, czyli dom. Lub domy. Przecież wiem! Ale jak ta nieruchomość wygląda? Boże wielki! I co ja z tą nieruchomością, moją nieruchomością, mam zrobić?

Greseleya udało mi się dopaść już następnego dnia z samego rana, w kuchni. Siedział z nogami opartymi na jednym z kozłów pod blatem stołu i popijał piwo.

- Na moje oko wszystko wygląda dobrze - wyrzuciłam z siebie podekscytowana. - Ale co ja mam z tym zrobić?

Spojrzał na mnie tak, jakby to, co sobie przedtem tyle razy wyrzucałam, było zgodne z prawdą. Jestem bezdennie głupia

- Nic. Po prostu cieszyć się z korzystnej transakcji, pani.

- Nie rozumiem.

- To nieistotne, czy rozumiesz, pani, czy nie. Najważniejsze, że jest twoje. - Mówiąc to, spoglądał na mnie bardzo wnikliwie.

Dlaczego? Bóg z nim. Najważniejsze, że i spojrzenie, i słowa nie bardzo mi się spodobały, co zaraz mu uświadomiłam:

- Panie Greseley, nie życzę sobie, byś mnie zbywał. Chcę, żebyś mi wyjaśnił wszystko dokładnie, a ja będę wiedziała, na czym stoję. - W tym momencie wybuchnął donośnym śmiechem. - Dlaczego się śmiejesz, panie?

- Bo to kolejny dowód, że nie pomyliłem się.

- W czym?

- A w tym, że masz głowę do interesów. Proszę, usiądź tutaj, a ja wszystko ci wyłożę.

Zaraz też wyjaśnił mi, jak wygląda sytuacja i jak można z niej zrobić sytuację bardzo dla mnie korzystną. Weszłam w posiadanie mienia, ale nie muszę się sama o nie troszczyć, wystarczy nająć kogoś, naturalnie za odpowiednią opłatą. Oczywiście musi to być ktoś odpowiedni, kto

zna się na tym i chce to robić. I ten ktoś będzie zarządzać ową nieruchomością.

- Rozumiesz, pani? Ty jesteś właścicielką, a on dba o wszystko, o posiadłość, o dochody.

- Naturalnie, że rozumiem. A czy tego kogoś mogę nająć na tak długo, jak zechcę?

- Tak, pani.

- To dobrze... - Przerwałam na moment, oswajałam się z nową Alice Perrers. Jestem posesjonatką... - A teraz wreszcie powiedz, bo usycham z ciekawości, o jaką dokładnie nieruchomość chodzi.

- Domy, pani. Kilka domów stojących obok siebie. Na dole sklepy, na górze izby do mieszkania.

- Chcę te domy zobaczyć.

- Oczywiście, pani. Wybierzemy się tam.

O co jeszcze chciałam spytać? A tak, już wiem:

- Czy zostały jeszcze jakieś pieniądze? Greseley uśmiechnął się.

- Myślisz o wszystkim, pani. - Z uśmiechem wyjął kilka monet z sakiewki przy pasku. - Tyle zostało.

- Dziękuję... Aha, jeszcze jedno, panie Greseley. Jesteś biegły w prawie, znakomicie radzisz sobie w interesach. Czy zechciałbyś zostać moim rządcą?

- Jak sobie życzysz, pani. Ale pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Następnym razem będziemy działać jak prawdziwi wspólnicy.

- Aha... Tylko czy ten następny raz się nam zdarzy?

- Sądzę, że tak.

- A działać jak wspólnicy to dobrze czy źle?

Greseley w odpowiedzi zmarszczył tylko wydatny nos. Zapewne był to wyraz ubolewania nad moją ignorancją. A nie miał racji, bo całkowitą ignorantką wcale nie byłam. Wiedziałam, że wspólnicy działają ramię w ramię, na równych prawach. Chciałam tylko, by choć trochę na ten temat powiedział, poszerzając moją wiedzę. Ale jak nie, to nie. Najważniejsze, że sam wyszedł z tą propozycją. Było to dla mnie coś niezmiernie ważnego, zdawałam sobie przecież sprawę, że sama, bez wspólnika, zdziałam niewiele, bo i umiem niewiele. Nawet jeśli jestem

kimś w rodzaju żony, to większość wieczorów spędzam na sprawdzaniu patyków z korbami i wpisywaniu kolumn liczb do ksiąg. Jestem więc skrybą, a nie kobietą od interesów.

A jednak jestem! Znów poczułam ten miły dreszczyk. Jestem właścicielką nieruchomości! Och, jak bardzo mi się to podobało. Sam fakt, że jestem posesjonatką, był cudowny, ale dokonywanie transakcji, podejmowanie decyzji...

A skoro o decyzji mowa...

Z powrotem podsunęłam monety do niego.

- Od tej chwili, panie, jesteś moim adwokatem!

- Istotnie, pani Perrers. - Skwapliwie wsypał monety z powrotem do sakiewki.

Gdzie ukryłam dowód, że jestem posesjonatką? W ubraniu. Ważny dokument, starannie zwinięty i obwiązany sznurkiem, wetknięty został za pazuchę, czyli między koszulę a suknię wierzchnią. I tam było już jego stałe miejsce. Chociaż czasami go stamtąd wyjmowałam. Rozwiązywałam sznurek, rozwijałam pergamin i ostrożnie, niemal z nabożeństwem, przesuwałam koniuszkami palców po jakże ważkich słowach, dzięki którym wszystko nabierało mocy. Wszystko, co było tak bardzo istotne dla mojej przyszłości, dla mego dalszego istnienia. Te słowa, ubrane w czarne literki, były tak kojące jak ciepłe dłonie, które w mroźny dzień ogrzeją ci ręce i policzki.

Kiedyś bardzo nie lubiłam Greseleya, ale teraz to się zmieniło. Owszem, nadal go nie lubiłam, ale na pewno już nie tak bardzo!

Czarna śmierć ponoć wróciła. Czyżby naprawdę dopadł nas ten sam przerażający pomór, który podstępnie wdarł się do Londynu tuż przed moim urodzeniem? Wieść o tym podawano sobie z ust do ust na ulicy, rynku czy w gospodzie. Wszędzie mówi się o zarazie, tej samej, co przed laty, choć tym razem zabiera przede wszystkim dzieci, a krzepkich dorosłych oszczędza.

W naszym domu morowe powietrze dopadło jednak człowieka dorosłego. Pana tego domu, Janyna. To na jego ręku, kiedy podczas obiadu podciągnął rękaw tuniki, zobaczyliśmy złowrogie czerwone plamki. Wszyscy zamarli, a Janyn bez słowa wyszedł z kuchni i zamknął się w swojej izbie.

Od tej chwili domem Perrersów zaczął rządzić strach.

Chłopiec do posług znikł jeszcze tej samej nocy, natomiast Greseley znalazł sobie bardzo absorbujące zajęcie na drugim końcu miasta. A signora Damiata z haniebną prędkością uciekła do swej krewnej, której dom został oszczędzony. Któż pozostał, by zadbać o Janyna? Naturalnie ja. Byłam przecież jego żoną, choć nigdy mnie nie dotknął. Tylko czasami jego sękaty palec przypadkiem otarł się o moją rękę, kiedy podczas wpisywania do ksiąg zrobiłam jakiś błąd i Janyn wskazywał feralne miejsce. Ale byłam połączona z nim świętym węzłem małżeńskim i na mnie ciążył obowiązek tej ostatniej posługi.

Od chwili, gdy na jego rękach pojawiły się czerwone i purpurowe plamki, choroba postępowała z przerażającą szybkością. A ja, wstrzymując oddech, myłam go, i twarz, i całe gnijące, straszliwie cuchnące ciało. Zarazem rozpaczliwie starałam się przypomnieć sobie to wszystko, co mówiła o zarazie siostra Margery, która zawiadywała klasztorną infirmerią. W sumie mówiła niewiele, ale zawsze to było coś. Wiedziałam, że okna w izbie Janyna mają być zawsze otwarte szeroko, by uciekało zatrute powietrze. Dla własnego bezpieczeństwa ręce i twarz mam myć w wodzie z octem, a jeść chleb namoczony w najlepszym winie. Och, gdyby signora Damiata o tym się dowiedziała, załamałaby ręce nad takim marnotrawstwem! Niestety, nic nie było w stanie powstrzymać ubytku sił. W opustoszałym domu słychać już było tylko chrapliwy oddech mego gasnącego męża... i ciche kroki nadchodzącej pani z kosą.

Czy bałam się o siebie?

Tak, przecież to oczywiste, ale jednocześnie wiedziałam, że gdyby zabójcza zaraza chciała zabić i mnie, zrobiłaby to już wcześniej, kiedy razem z Janynem pochyleni nad księgami wysiadaliśmy przy jednym stole. Mój los byłby wtedy przesądzony. Ale pani z kosą nie upomniała się o mnie, a mnie nie pozostawało nic innego, jak być tutaj i przetrwać ten jakże trudny czas.

Kawałeczek pergaminu pojawił się nagle. Zauważyłam biały rożek pod drzwiami, kiedy ledwie już żywa siedziałam skulona na stołku przy łożu Janyna, który miał coraz większe trudności z oddychaniem, tak naprawdę już rzeził.

Gdy mały zwitek pergaminu ktoś powoli wsuwał, podeszłam do drzwi. Cicho, na palcach, i dlatego słyszałam, jak ten ktoś odchodził,

starając się, tak jak ja, zrobić to jak najciszej. A mały zwitek pergaminu leżał już przed drzwiami.

Pismo rozpoznałam od razu. Greseley. Na pewno on, tym bardziej że zdania zostały sformułowane przez osobę biegłą w sprawach urzędowych:

*Kiedy zostaniesz wdową, będziesz miała prawo do renty wdowiej, czyli jednej trzeciej dochodu z majątku męża. Ale tego na pewno nie dostaniesz.*

*Zgodnie z prawem będziesz miała czterdzieści dni na opuszczenie domu, by spadkobierca mógł objąć swoje dziedzictwo. Ale na pewno każą ci się wynieść natychmiast, w ciągu jednego dnia.*

*Dlatego, jako twój prawnik, radzę ci: zabieraj, co się da. Bo zadbają, byś nie dostała tego, co ci się prawnie należy. Będziesz miała tylko to, co weźmiesz sama.*

Bardzo poważne ostrzeżenie. I jakże zatrważające! Spojrzałam na Janyna. Na szczęście zasnął, nie byłam mu więc potrzebna i mogłam od razu rozpocząć poszukiwania.

I nic! Absolutnie nic! Brat jeszcze nie umarł, ale siostra zdążyła już zrobić porządki. Izbę, w której Janyn załatwiał interesy, jak zresztą cały dom, signora Damiata ogołociła ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. W skrzyniach nie było ani jednego worka ze złotem. Znikły wszystkie dokumenty, wszystkie księgi, wszystkie patyki z karbami. Przetrzęsnęła cały dom, zabierając to wszystko, co mogło być nęcące dla złodziejasków. Albo dla mnie.

Przetrzęsnęła też moją izdebkę na poddaszu i zabrała jedyną wartościową rzecz, jaką posiadałam. Nowy płaszcz, podarek od męża...

Janyn obudził się. Kiedy usłyszałam jego krzyk, pędem zbiegłam na dół. Krzyczał, rzeził, prawie już konał. Od tej chwili nie odstępowałam go na krok, robiąc wszystko, by ulżyć nieszczęśnikowi. Oporządzić, umyć człowieka, który jest już tylko szkieletem obrośniętym gnijącym mięsem. Nic więcej nie można było zrobić. Wywar z zielonej szalwii, zebranej z zarośniętej krzakami grządki na podwórzu signory Damiaty, nie pomógł na wrzody. Następnego dnia pod wieczór Janyn już nie oddychał. Czy modliłam się za niego? Tak. Bo może i jest to rodzaj modlitwy, kiedy w skupieniu przecinasz jeden wrzód za drugim, by wyciekła z niego cuchnąca zawartość. Potem obmyłam ciało zmarłego,



twarz przykryłam białym płótnem. W całym domu cisza, jakby podczas smutnego obrządku cały dom wstrzymał oddech.

Podczas tego obrządku z pościeli wysunął się jakiś dokument. Odłożyłam go na bok, ale potem wzięłam do ręki, przysiadając na stołku przy łożu. I siedziałam tak cała stężała, jakbym bała się, że kostucha, która przyszła po Janyna, może mnie też zauważyć. Nie poruszyłam się ani razu, póki tej ciszy dookoła nie przerwał odgłos szamotaniny. Jakiś nieszczęsny ptak wpadł do komina, a ja dzięki temu wróciłam do rzeczywistości. Pewna już, że kostucha na mą duszę ochoty jeszcze nie ma, postanowiłam zajrzeć do dokumentu, który przez cały czas ścisiskałam w palcach. Okazało się, że to akt własności na nazwisko Janyna. Mój zmarły mąż nabył dwór w West Peckham, gdzieś w Kent. Przeczytałam dokument uważnie, raz, potem drugi, bo w mojej głowie zaczęło coś świtać. A tak! Co prawda nie miałam pojęcia, jak wprowadzić to w czyn, ale znałam kogoś, kto na pewno będzie wiedział. Trzeba tylko go odnaleźć.

Kiedy schodziłam na dół, gdzieś tak w połowie schodów nagle zauważyłam jakąś postać.

W wąskim korytarzu czekała na mnie signora Damiata.

- Umarł?

- Tak.

Przeżegnała się, na mgnienie oka pochyliła głowę, po czym pośpiesznie ruszyła do drzwi na tyłach domu, kiwając na mnie, bym szła za nią.

- Rozmawiałam już, z kim trzeba - rzuciła przez ramię. - Zabiorą go stąd. A ja wrócę, kiedy zaraza minie.

- A co będzie ze mną?

- Z tobą? Jestem pewna, że znajdziesz sobie jakąś robotę. Zaraza nie pomniejsza apetytu mężczyzn!

- Ale co z moim spadkiem?

- Z jakimże znowu spadkiem? - spytała Damiata o ton głośniejszym, uśmiechając się szyderczo.

- Moim! Mam do niego prawo! Jestem wdową. Nie możesz pozbawić mnie dachu nad głową i pieniędzy, jakie mi się należą!

Owszem. Mogła. Drzwi były już otwarte.

- Wynoś się!

Wypchnęła mnie na ulicę, sama też szybko wyszła z domu. Huknęła drzwiami, zamknęła je na klucz i odeszła bez słowa, za to krokiem bardzo szybkim. Prawie biegła, przeskakując przez kałuże i śmieci zalegające na ulicy.

I w taki oto sposób życie dało mi jeszcze jedną nauczkę. Nie licz na czyjeś serce, gdy chodzi o pieniądze i przetrwanie.

Stałam na tej ulicy sama jak palec i odrętwiała z przerażenia. Czułam się tak, jakby ktoś moje nogi omotał łańcuchem i przykuł do ziemi. Bo i dokądże miałam pójść? Ja, wdowa, po trwającym niewiele ponad rok małżeństwie? Szesnastoletnia, tak przynajmniej wynikało z moich obliczeń. Dokąd? Gdzie się schronić? Czy w tym wielkim mieście znajdzie się dla mnie...

- Pani Perrers!

- Pan Greseley!

O Boże, przecież to on! Wyszedł z bocznej uliczki, zbliżał się do mnie. Nigdy dotąd na czyjś widok nie czułam tak wielkiej ulgi, choć jednocześnie i ukłucia zazdrości. Pan Greseley stracił swego chlebowodawcę, ale poradzi sobie. Zawsze ktoś go najmie, zawsze znajdzie i pracę, i ciepłe łóżko w domu jakiegoś kupca. A ja...

- Co ta stara jędza dała ci, pani? - spytał bez żadnych wstępów.

- Nic. Stara jędza ogołociła cały dom - odparłam z ponurą miną. Tak na początek, a zaraz potem, już z triumfującym uśmiechem, pomachałam mu przed nosem dokumentem, który wypadł z pościeli umierającego Janyna i wleciał prosto do moich rąk. - Zabrała wszystko oprócz tego! Nie zauważyła! A tu chodzi o dwór!

- Dwór? - Oczy Greseleya rozbłysły. - Naprawdę? Jakie masz wobec niego plany?

- Zamierzam prosić cię, byś zrobił tak, by ten dwór stał się moją własnością. Zrobisz to, panie?

Greseley podumał przez chwilę, pocierając palcem wydatny nos, wreszcie odparł:

- Cóż... Dla kogoś, kto zna się na rzeczy, to dość prosta sprawa. Można przecież scedować to na ciebie, na wdowę po panu Perrersie, obecnie kobietę samotną.

Owszem, samotną, ale nie taką, którą wyzbyto z majątku. Ta myśl wcale nie była niemiła. Przeciwnie, tak miła, że uśmiech mój zdecydowanie poszerzał.

- Czyli zrobisz to dla mnie, panie? - Niestety pan Greseley nadal się zastanawiał, dlatego też bardzo się starałam, by moje spojrzenie było jak najbardziej błagalne. - Proszę, panie Greseley... - zaszemrałam i ku mej wielkiej radości zauważyłam, że poskutkowało. Bo Greseley wyraźnie się zarumienił. - Przecież wie pan doskonale, że sama tego nie zrobię!

Wreszcie uśmiechnął się, szczerząc te swoje nierówne, żółtawe zęby.

- Owszem, mogę to załatwić, tym bardziej że, jak już to uzgodniliśmy, jesteśmy współnikami, prawda? Ty, pani, wynajdujesz mi robotę, a ja ją wykonuję. A ten dwór będzie można dać w lenno jakiemuś rycerzowi. Albo mnie!

Jakoś mnie to nie zdziwiło. Wiadomo przecież, że żaden altruista z pana Greseleya. Ale był bardzo chętny do działania, podekscytowany jak kobieta. Jakże łatwo przekonać mężczyznę uśmiechem i słodkim tonem! I jak skutecznie, bo pan Greseley już wyciągał do mnie rękę. Niezbyt czystą, za to z zaskakująco długimi, smukłymi palcami, które w zapisywaniu liczb były nieporównanie bardziej biegłe od moich.

I tak oto stojąc przed drzwiami mego dawnego i zamkniętego na cztery spusty domu, wręczyłam mu dokument. Potem podaliśmy sobie ręce w taki sam sposób, w jaki robił to Janyn, kiedy zawierał transakcję z klientem. I wtedy pomyślałam, że nieurodziwa twarz Greseleya już nie wzbudza we mnie niechęci. Była, jaka była, nieważne. Bo naprawdę ważne jest to, że ten człowiek jest moim współnikiem.

Mimo to...

- Ale nie oszukasz mnie, panie!

- Na pewno nie! - zaprzeczył tak żarliwie, że aż zabawnie. Zaraz jednak sposepniał. - Dokąd pójdziesz, pani?

A ja już wiedziałam. Pojdę tam, gdzie będę miała dach nad głową i łyżkę strawy. Gdzie życie, choć nieusłane różami, na pewno jest lepsze niż życie dziewczki sprzedajnej, która wałęsa się po ulicach i dokach w poszukiwaniu zarobku.

- Wracam do klasztoru, panie. Na pewno przyjmą mnie z powrotem. Poczekam na lepsze czasy. Nadejdą, kiedyś wszystko się zmieni na lepsze, głęboko w to wierzę.

- Niezły pomysł. - Greseley z aprobatą pokiwał głową. - A to może ci się przydać... - Wyjął z sakiewki dwie złote monety. - Weź je. Pomogą drzwiom opactwa otworzyć się przed tobą, choć na jakiś czas. To pożyczka. Później mi je oddasz.

Znów skinął głową i ruszył przed siebie z aktem własności dworu w West Peckham schowanym za pazuchę.

- Ale jak ciebie znajdę, panie?

- W gospodzie Tabard, w Southwark, na południu Londynu. Tyle się dowiedziałam. I odszedł.

Wracałam tam, gdzie moja stopa nigdy już nie miała postać. Przyśięgałam to sobie wiele razy, a jednak jechałam właśnie tam na pustym wozie cuchnącym rybami, którego woźnica łaskawie zgodził się mnie podwieźć. Mnie, dumną właścicielkę kilku domów w Londynie i dworu w West Peckham. Co prawda odpowiednich dokumentów przy sobie nie miałam, ponieważ zaopiekował się nimi Greseley, do tego byłam zadłużona, przecież trzeba będzie zwrócić Greseleyowi dwie złote monety. Ale trudno, jak trzeba, to trzeba, szczególnie że chodziło o Greseleya. Po raz kolejny miałam bowiem okazję się przekonać, że jest nie w ciemną bity, bo owe monety istotnie sprawiły, że drzwi opactwa otwarły się przede mną skwapliwie.

Z tym że za tymi drzwiami nie czekały na mnie żadne zbytki. Przeciwnie, dano mi jasno do zrozumienia, że muszę zapracować na swój chleb. Zostałam konwerską, czyli siostrą świecką, która urabia sobie ręce po łokcie dla dobra oblubienic Chrystusa, ale nie składa ślubów wieczystych.

Dlaczego się zgodziłam? Ponieważ nie wracałam tu na zawsze. Oczywiście, że nie! Posmakowałam już życia poza klasztornymi murami i bardzo mi się spodobało, a klasztor miał być tylko tymczasowym schronieniem. Byłam o tym przekonana, z każdym dniem, wypełnionym ciszą i pracą, coraz bardziej. Nigdy nie będę zakonnica. A także nigdy już nie wyjdę za tego mężczyznę, za którego wyjść mi każą. Nigdy! Nadejdzie przecież taki dzień, kiedy zawiadywany przez Greseleya ma-

jątek da mi tyle złotych monet, że będę mogła żyć we własnym domu, spać w swoim łóżku, mieć piękne szaty i służbę na każde skinienie.

Co za piękna wizja! I jak bardzo podtrzymywała mnie na duchu, kiedy prałam habity, biłam kijanką w podwiki, by unicestwić plamy i przywrócić chustom nieskazitelną biel. Twardo postanowiłam, że skończę raz na zawsze z tą ciągłą podległością, stanę się wolna. Dlatego nie będę ani zakonnica, ani żoną, ani nierządnicą. Będę sama stanowić o sobie. A teraz ważne, że jestem bezpieczna w znanym mi tak dobrze miejscu i na czas pobytu w klasztorze pogodzona z niezmiennym rytuałem pracy i modlitwy.

„Poczekam na lepsze czasy”.

Tak powiedziałam Greseleyowi, więc czekam. I będę czekać cierpliwie, oby tylko nie za długo. O to modliłam się, kiedy ręce mdlały po wymachiwaniu ciężką motyką na klasztornym polu kapusty.

I bardzo żałowałam, że nie mam już mego pięknego i ciepłego płaszcza.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Już jest tutaj. Już nadchodzi... Szepty zaszeleściły jak pole owsa, gdy powieje łagodny wiatr. Przedtem szeleściły habity, gdy my, siostry, wchodziło kościoła opactwa na nieszpory. Uklękłyśmy, pochyliliśmy się równe rzędy czarnych welonów i białych podwik sióstr zakonnych. Ale mnie nie było w tej bieli i czerni, tylko wśród sióstr świeckich, ubranych w workowate barchanowe suknie, na głowach miałyśmy kaptury. Z pozoru wszystko wyglądało jak zawsze. A jednak nie, bo tego dnia wszystkie siostry, i zakonne, i świeckie, nie były skupione wyłącznie na suplikowaniu o Bożą łaskę dla grzesznego świata. O nie! Tego dnia grzech zbytniego pobłażania sobie był tak oczywisty, jak złociste płomyki świec drżące od powszechnej ekscytacji. Dlaczego tak się stało?

A dlatego, że na krześle biskupim, ustawionym obok ołtarza głównego, zasiadła królowa Anglii. Z jakiego powodu zaszczycała opactwo swoją obecnością? Nie miałam pojęcia, a co gorsza, z mego pośledniego miejsca w stallach na chórze nie mogłam dojrzeć monarchini. Nic, ani jednego kawałeczka Jej Królewskiej Osoby!

Nabożeństwo zostało odprawione jak zawsze, zupełnie jakby na rzeźbionym krześle biskupa nikt nie siedział. Gdy ksiądz pobłogosławił, wszystkie siostry jednocześnie powstały z miejsc. Głowy pochylone, ukryte w szerokich rękawach ręce złożone. Gdy matka Sybil uklękła

przed ołtarzem, Jej Królewska Mość powstała z krzesła. Nie widziałam tego co prawda, ale domyśliłam się, że to nastąpiło. Że już wstała i dostojnym krokiem ruszyła ku nawie poprzecznej kościoła. Oczywiście umierałam z ciekawości, przecież nigdy dotąd nie widziałam naszej monarchini. W całym moim niedługim życiu tylko raz miałam sposobność widzieć kogoś urodzonego naprawdę wysoko, a mianowicie hrabinę Kentu, damę, która wyuczyła mnie ostrzyć gęsie pióra do pisania. Dzięki niej poznałam też wiele prawd, w znakomitej większości dla mnie upokarzających. A do kościoła Najświętszej Maryi Panny hrabina Kentu wkraczała zawsze z wielką pompą. Jej przybycie anonsowały i dźwięki trąby, i posłaniec. Królowa nie korzystała z tak hałaśliwej oprawy swej osoby, co dla mnie dowodziło, że jest istotą o wiele wspanialszą.

Na szczęście już po krótkiej chwili moja ciekawość została zaspokojona. Zobaczyłam ją... i zdumiałam się ogromnie. Spodziewałam się przecież, że ujrzę dostojną damę w pysznych szatach z najlepszych tkanin, mieniących się setką barw i ozdobionych kunsztownym haftem. Suknia naturalnie z długim trenem, rękawy bardzo szerokie i obszyte drogim futrem. Złota korona, złoty łańcuch, srebrne pierścienie ciężkie od drogich kamieni. Spodziewałam się, że ujrzę władczynię ze wszystkimi atrybutami królewskości. A jednak królowa wyglądała bardzo skromnie, można nawet powiedzieć, że była prawie niewidoczna. Filipa de Hainault.

Czas nie obszedł się nią łaskawie, zniweczył wszystkie ślady dawnej urody, którą niewątpliwie posiadała, gdy trzydzieści lat temu z okładem jako młoda dziewczyna przybyła do Anglii z Niderlandów, by poślubić pełnego wigoru króla Edwarda. Niewysoka, w dalekich od przepychu szatach, żadnych klejnotów czy atrybutów władzy. Włosy starannie schowane pod kilkoma podwikami i welonem. Skromna, starzejąca się kobieta powłócząca nogami.

Tak, bo widziałam, jak szła z wielkim trudem, a po chwili zatrzymała się dla zaczerpnięcia tchu. Pomyślałam wtedy, że pewnie jest jeszcze starsza, niż mi się wydawało w pierwszej chwili. Wyteżyłam wzrok i natychmiast skarciłam siebie w duchu za brak serca, bo królowa poruszała się z takim trudem nie z powodu wieku, ale wskutek choroby. Była bardzo cierpiąca i dlatego, wsparta na ramieniu młodej damy, posuwała

się do przodu nadzwyczaj wolno, zatrzymując się co kilka kroków, bo każdy ten krok niewątpliwie sprawiał jej niewysłowiony ból. Poza tym kark i ramiona miała zeszywniałe i trudno jej było poruszać głową. A ręka, oparta na ramieniu młodej damy, była opuchnięta, powleczone nienaturalnie cienką, lśniąca skórą, podobną do skóry bębena. Nic dziwnego więc, że na królewskich dłoniach nie było ani jednego pierścienia, bo wepchnięcie go na opuchnięty palec byłoby prawdziwą męką.

Kiedy Jej Królewska Mość zbliżała się do nas, sióstr świeckich, wszystkie przykucnęłyśmy w głębokim ukłonie, a królowa po raz kolejny przystanęła, by złapać oddech. Widziałam, jak szata na jej piersiach uniosła się, gdy nabierała głęboko powietrza. Nozdrza drżały, między brwiami widać było głęboką bruzdę. Po krótkiej chwili królewskie stopy bardzo ostrożnie, ale i nieudolnie znów zaczęły przesuwac się do przodu. Królowa potknęła się i gdyby nie silna ręka towarzyszącej jej młodej damy, mogłoby to się skończyć bolesnym upadkiem. Lecz dzięki temu, że dama ją podtrzymywała, królowa nie upadła, tylko osunęła się na kolana. Ale i tak musiało ją bardzo zboleć, bo krzyknęła rozpaczliwie, a potem wyszeptała:

- Pomóżcie mi... - Oczy miała zamknięte, a wyciągnięta ręka gotowa chwycić każdego, kto pośpieszy z pomocą. - Boże Wszechmogący, pomóż mi! - Opuchnięte palce rozwarły się, różaniec wysunął się z rąk, perły i rzeźbione w drewnie paciorki zastukały o kamienną posadzkę, a królowa znów szepnęła: - Proszę, pomóżcie mi...

Kiedy ktoś woła o pomoc, nie wolno się wahać, dlatego bez namysłu pośpieszyłam na ratunek, ale gdy me palce objęły królewską - królewską! - dłoń, to zamarłam, gdyż dotarło do mnie, na co się poważyłam. Dotknęłam ręki Jej Królewskiej Mości! Za tę zuchwałość spotka mnie surowa kara.

Uklęłam, bo królowa mnie nie puszczała. Trzymała się mej ręki kurczowo, oczywiście na miarę swoich sił, bo w istocie był to uścisk ledwie wyczuwalny. Ale co się dziwić, skoro ścisnęły palce tak słabe, tak opuchnięte.

- O Matko Przenajświętsza... - wyszeptała. - Ten ból jest nie do wytrzymania...



Wszyscy wokół, poruszeni moją zuchwałością, w pierwszej chwili tak samo jak ja zamarli, ale teraz ożyli. Zaniepokojona dama, która towarzyszyła władczyni, pomogła jej wstać z kolan. Królowa, ciężko dysząc, stanęła na chwiejnych nogach. Oczywiście moją rękę już puściła, a ja nadal klęczałam, lecz kiedy wreszcie ośmieliłam się unieść nieco głowę, zauważyłam, że wśród tego całego zamieszania oczy królowej Filipy zwrócone są w moją stronę. Przyglądała mi się bacznie brązowymi oczami, którym cierpienie odebrało cały blask. Bardzo trudno w takie oczy zaglądać, dlatego szybko spuściłam głowę i wtedy zauważyłam różaniec, który nadal leżał na posadzce. Po taką rzecz, rzecz świętą, nawet królowa może się schylić, ale akurat ta królowa nie miała na to siły.

Więc ja go podniosłam. Znów zrobiłam to spontanicznie, bez namysłu. Zgarnęłam go z kamiennej posadzki i podałam Jej Królewskiej Mości, ponownie zdumiona swoją zuchwałością, ale głucha na ostrzegawcze pomruki matki przełożonej, która z łopotem habitu śpieszyła w tę stronę, zamierzając sama podać królowej różaniec.

- Dziękuję. Dziś wszystko wypada mi z rąk. Dziękuję, żeś taka uczynna.

Królowa przemówiła do mnie! Niepojęte. I nie tylko przemówiła, ale również dotknęła mojej ręki, a jej twarz, naznaczona bólem, na moment pojaśniała.

Zaraz potem matka przeorysza, rzucając mi spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego, zwróciła się do królowej:

- Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. Ta dziewczyna wstydu nie ma! Dotykać ręki Waszej Królewskiej Mości! Jak mogła! Gdzie pokora...

- Ależ nic się nie stało! - odparła królowa. - Pośpieszyła mi z pomocą jak ów dobry Samarytanin, który okazał miłosierdzie podróżnemu, na którego napadli zbójcy. Święta Panienska doceni, że pomogła starej kobiecie... - Nie zdążyła jednak odebrać ode mnie różańca, bo nagle krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem i jeszcze bardziej rozpaczliwie niż poprzednio, przykładając dłoń do brzucha okrytego suknią z adamaszku.

- Koniecznie muszę usiąść. Izabelo, prowadź mnie do mej komnaty.

- Gdy młoda dama z posępną miną chwyciła ją mocno pod ramię, królowa dodała: - Tak mi przykro, Izabelo...

- Mamo, po prostu jesteś zmęczona. Przecież uprzedzałam, że dla ciebie będzie to zbyt duży wysiłek. Powinnaś była mnie posłuchać!

- Wiem, Izabelo, ale pewne rzeczy, niezależnie od okoliczności, trzeba zrobić. A ja nie mogłam już dłużej z tym zwlekać.

Izabela... A więc nie była damą dworu, tylko królewską córką. Wysoka, jasnowłosa i pełna wigoru księżniczka, owszem, zaniepokojona zdrowiem matki, ale na moje oko bardzo też tym znudzona. Jak mogłam się tak pomylić? Tym bardziej że chociaż królowa ubrana była skromnie, księżniczka nosiła się jak na osobę tak wysoko urodzoną przystało. Świadczyła o tym każda nić w wyszukanych haftach, każdy drogocenny kamień w złotej siateczce na włosach czy pozłacane ciżmy.

- Niektóre sprawy mogłaś odłożyć na później, matko - powiedziała księżniczka, prowadząc królową środkiem kościoła. Kiedy doszły do kościelnych drzwi, rzuciła nagle przez ramię: - A co tak tam klęczysz, dziewczyno? Przynieś ten różaniec do komnat!

Co ja takiego powiedziałam Greseleyowi? „Kiedyś wszystko się zmieni na lepsze, głęboko w to wierzę”. Tak, to właśnie powiedziałam, i jak się okazało, wystarczyło powiedzieć to tylko raz. Bo stało się.

Mimo nalegań księżniczki królowa, nadal pozostając w opactwie, absolutnie nie chciała się położyć.

- Wyleżę się, kiedy kostucha zasadzi się już na mnie - zakończyła dyskusję.

Stałam w drzwiach wielkiej sali i patrzyłam, jak królowa ostrożnie sadowi się w krzesło z wysokim oparciem i podłokietnikami. Oczywiście, że mogłam położyć różaniec na skrzyni podróżnej, która stała nieopodal drzwi, i wyjść niezauważona przez nikogo, ponieważ Izabela była zaabsorbowana matką. Właśnie wydawała polecenia służącej, by przyniosła grzanego wina i płaszcz podbity futrem, bo nogi Jej Królewskiej Mości drżą i trzeba je okryć. Mogłam więc się oddalić, ale nie zrobiłam tego, bo instynkt podpowiadał, bym została. Więc dalej tkwiłam koło drzwi z isierką nadziei w sercu, że królowa ponownie mnie zauważy, ponownie przemówi do mnie tym niezwykle łagodnym, melodyjnym głosem. Nie głosem władczyni, a dobrego człowieka, przy

tym kobiety tak bardzo cierpiącej, że serce mi się krajało. Krajało się tym bardziej, że jak podejrzewałam, królowa cierpi nie tylko z powodu niedomagań ciała. Musi mieć też wiele zmartwień i jest tym wszystkim tak bardzo już wyczerpana, że odniosłam wrażenie, jakby gdzieś tu, w ciemnym kącie, czaiła się już pani z kosą.

- Izabelo, proszę, tylko nic nie mów Jego Królewskiej Mości - powiedziała królowa słabym, zachrypniętym głosem, odbierając z rąk córki kubek z winem.

- Dlaczego, matko?

- Bo zabraniam. Nie chcę, żeby się o mnie martwił. - Mówiła cichym głosem, oczy miała przymknięte.

A jednak wyczuwało się, że w wątląm ciele mieszka wielki duch, a wątła królowa dysponuje żelazną siłą woli.

Byłam dla niej pełna podziwu, a także współczucia, stąd zuchwałe pytanie, które zadałam sobie w duchu: Czy król nadal kocha tę schorowaną kobietę w wieku już podeszłym? Może kocha, a może nie. Może nigdy nie darzył jej miłością, przecież ci o krwi błękitnej zwykle łączą się świętym węzłem małżeńskim tylko ze względów politycznych. Ale tu chyba jest inaczej. Skoro królowa chce oszczędzić swemu małżonkowi zmartwień...

I nagle... Tak! Królowa mnie zauważyła! Spojrzała na mnie i ręką, w której trzymała kubek, zdecydowanym ruchem odsunęła od siebie córkę. Wyprostowała się, uniosła głowę. Królewskość zwyciężyła. Na krześle z wysokim oparciem siedziała już wspaniała monarchini, która raczyła mnie zauważyć, a nawet uśmiechnąć się do mnie. Uśmiechnąć tak słodko. Cała twarz pojaśniała, wypiękniała, a ja pomyślałam, że to niemożliwe, bym jeszcze przed chwilą uważała, że królowej całkiem brak urody. Jakże się myliłam!

- Przyniosłaś różaniec? - spytała, wyciągając do mnie rękę.

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Kazałam, by go tu przyniosła - niecierpliwie wtrąciła Izabela, która nalewała wino do drugiego kubka. - Byłam zajęta tobą, nie miałam czasu troszczyć się o sznurek z paciorkami.

- Dobrze, że różaniec jest już tutaj. - Gdy łaskawie skinęła na mnie, podeszłam bliżej i uklękłam przed majestatem, a królowa spytała: - Jak ci na imię?

- Alice.

- Alice... Widzę, że jesteś konwerską. Nie czujesz powołania? Nikt nigdy mnie o to jeszcze nie pytał, nikt też nie zwracał się do mnie w sposób równie łagodny. Byłam tym ogromnie zaskoczona, a zarazem tak bardzo wzruszona, że aż bliska łez.

- Nie, Wasza Królewska Mość - wyznałam. - Kiedyś byłam nowi-cjuszka, potem wyszłam za mąż i po roku owdowiałam. Dlatego wróciłam tutaj, do klasztoru, ale jestem teraz konwerską.

- I chcesz tu pozostać?

- Nie, Wasza Królewska Mość. - Przecież kłamać nie będę! - Zostanę tu tylko tak długo, jak będę musiała.

- Ile masz lat?

- Prawie siedemnaście. Tak myślę... - A potem dodałam jeszcze coś, bo jakoś tak bardzo zachciało mi się i to powiedzieć: - Nie jestem już dzieckiem, Wasza Królewska Mość.

- Też tak uważam! - odparła królowa, uśmiechając się jeszcze bardziej promiennie. - A wiesz, ile ja mam lat?

- Nie wiem, Wasza Królewska Mość.

- Czterdzieści osiem. Przypuszczam, że dla ciebie to już wiek sędziwy. - Owszem, taki wiek uważałam za podeszły, i tak też królowa wyglądała, ale przecież cierpienie wyryte na jej twarzy dodawało co najmniej jeden dziesiątek lat. Oczywiście milczałam, zaś królowa po chwili mówiła dalej: - Kiedy przybyłam do Anglii, byłam młodsza od ciebie, a wydaje mi się, że było to tak niedawno! Czas mija szybko. Zbyt szybko...

- Mamo, proszę, napij się jeszcze. - Izabela wsunęła jej do ręki kubek z winem, pomagając opuchniętym palcom go objąć. - Wypij, a potem powinnaś się położyć. Koniecznie, mamo.

Byłam pewna, że królowa zaraz mnie odprawi, ale nie, bo jak prawdziwa władczyni postąpiła wedle własnej woli.

- Jeszcze nie teraz, Izabelo. Za chwilę. Alice, masz jakąś rodzinę?

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- Kto jest twoim ojcem?

- Nie znam go. Podobno był wyrobnikiem, robił kafle. Nigdy go nie widziałam, tak samo zresztą jak matki.

- To bardzo smutne... A wiesz, Alice, że bardzo mi przypominasz moje córki, Małgorzatę i Marię. Zmarły podczas pomoru, w zeszłym roku, we wrześniu.

- Mamo... - Izabela ciężko westchnęła.

I słusznie. Bo w czymże niby ja, Alice Perrers, miałam przypominać księżniczki z królewskiego rodu?!

- Były w tym samym wieku co ty... - powiedziała cicho królowa, na moment umykając wzrokiem. - Masz zaledwie siedemnaście lat... Taka młoda, a już jesteś wdową. Czy zamierzasz powtórnie wziąć sobie męża?

I tu, niestety, pozwoliłam sobie na bardzo szczerą odpowiedź:

- A któż mnie zechce, Wasz Królewska Mość?! - wypaliłam. - Przecież nie mam wiana. Mogę tylko dać... - Wreszcie ugryzłam się w język.

Ale wyraźnie zaciekawiona królowa ponagliła mnie pytaniem:

- A cóż ty możesz dać, Alice?

- Tylko to, co potrafię, Wasza Królewska Mość. Umiem czytać, pisać i rachować - wyliczyłam zachwycona, że wreszcie kogoś to interesuje. I to kogo! Królową Anglii! - Umiem czytać też po francusku i po łacinie. Potrafię prowadzić rachunki! - Szczerze mówiąc, sama byłam poruszona, że tak wiele umiem.

- Czyli potrafisz niemało - stwierdziła z uśmiechem królowa. -A gdzie się nauczyłaś prowadzić rachunki?

- Wyuczył mnie tego Janyn Perrers, mój zmarły mąż, lichwiarz.

- To czynność i żmudna, i trudna, prawda? Spodobała ci się?

- Tak. Pojęłam bez trudu.

- Czyli jesteś bardzo bystra. Alice, uczona białogłowa.

Rozbawiłam ją? Chyba tak, dlatego żałowałam, że jak dziecko chciałam się swoimi umiejętnościami, zdobycie których kosztowało mnie niemało wysiłku. A królowa niespodzianie wzięła mnie za rękę. Przyjrzała jej się bacznie, królewski palec przesunął się po śladach ciężkiej pracy, po połamanych paznokciach, odciskach i zadrapaniach.

- Powiedz mi coś, Alice... Gdybyś mogła sama wybrać dalszą drogę życia, na co byś się zdecydowała?

Na co ja odparłam bez wahania, wyznając szczerze, o czym marzę, w czym pokładam tak wielkie nadzieje i dzięki tej nadziei nie wpadam w rozpacz podczas czarnych nocnych godzin.

- Chciałabym mieć swój dach nad głową. Kupić ziemię i dom, być człowiekiem wolnym, niezależnym...

- Nie sięgasz za wysoko? - wtrąciła Izabela, uśmiechając się drwiąco.

- Zamiary chwalebne - oświadczyła królowa.

Niestety już bez uśmiechu i głosem drżącym, dlatego Izabela natychmiast znalazła się przy niej.

- Mamo?

- Cóż, muszę odpocząć. To był dla mnie niełatwy dzień.

Nie protestowała, kiedy córka pomogła jej wstać i poprowadziła ku drzwiom do sypialni, ale tuż przed progiem zatrzymała się i pokonując ból, odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Alice, zatrzymaj ten różaniec. To podarek od króla, kiedy urodziłam naszego pierwszego syna, Edwarda. - Oczywiście zrobiłam wielkie oczy, bo królowa szybko dodała: - To nie jest rzecz drogocenna. W owym czasie król nie miał pieniędzy na zbytki. Chcę, byś zatrzymała ten różaniec jako pamiątkę po dniu, w którym uratowałaś królową przed upadkiem na oczach poddanych.

Różaniec! Nadal trzymałam go w ręku, zaciskając mocno palce na pokrytych złotą emalią dużych paciorkach, na których odmawia się Modlitwę Pańską i Chwała Ojcu. W różańcu były perły, tak ciepłe, tak ^adkie. Czyżby królowa istotnie chciała podarować mi rzecz tak piękną? Podarek od męża?

Naturalnie, że byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby ten różaniec stał się moją własnością. Niemniej jednak...

- Bardzo wdzięczna jestem Waszej Królewskiej Mości, ale... ale tu, w klasztorze, nie wolno mieć niczego. Składamy śluby ubóstwa.

- Nie wolno nawet przyjąć podarku od królowej, która chce okazać wdzięczność?

- Nie wolno.

- Nie mogłabyś tego podarku zatrzymać?

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- Czyli dając ci to, wykazałam się bezmyślnością... - Skrzywiła się. Okropny ból znów dawał znać o sobie. - O Matko Przenajświętsza... Jestem ledwie żywa. Izabelo, proszę, prowadź mnie do łóża.

Księżniczka ostrożnie przeprowadziła matkę przez próg i znikły za drzwiami. A ja w mgnieniu oka podjęłam decyzję. Po raz ostatni spojrziałam na różaniec i szybko, zanim zacznę się jednak wahać, położyłam go na klęczniku i wycofałam się na korytarz. Zamknęłam drzwi i na moment przystanąłam, opierając się o nie plecami. Cóż takiego zrobiłam przed chwilą? Odmówiłam przyjęcia podarku od samej królowej! Ale czy mogłam postąpić inaczej? Nie! Podarku i tak nie pozwolono by mi zatrzymać, różaniec bez wątplenia trafiłby do rąk matki przełożonej. Oczyma wyobraźni już widziałam, jak zwisa z jej ozdobionego srebrem paska. Tak samo jak widziałam mój przepiękny płaszcz otulający plecy signory Damiaty.

I stąd twarde postanowienie. Jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się przyjąć coś cennego, muszę mieć całkowitą pewność, że pozostanie to moją własnością.

Królowa Filipa i jej córka o ciętym języku zostały w klasztorze tylko na jedną noc i o wschodzie słońca, kiedy zaczęto odprawiać jutrznię, już były gotowe do wyjazdu. Siostra Margery pomogła królowej wsiąść do lektyki wyścielonej miękkimi poduszkami. Dodatkowo siostra Margery, która zawiadywała infirmerią, przygotowała dla królowej nalewkę uśmierzającą ból. Był to wywar z młodych listków klonu zmieszany z winem. Doskonale wiedziałam, z czego jest ta nalewka, przecież pomagałam ją przygotować.

- Jej Królewska Mość cierpi na puchlinę wodną - oznajmiła z pełnym przekonaniem siostra Margery. - Widziałam już takie przypadki. To okropna choroba. Królowa bardzo boleśnie odczuwa każdy, nawet najmniejszy wstrząs.

Oczywiście udzieliła lady Izabeli dokładnych wskazówek odnośnie nalewki. Nie wolno wypić za dużo, bo to bardzo źle wpływa na trawienie. Za mało też nie można, bo nie pomoże i nadal będzie bolało. Oprócz nalewki siostra przekazała również garnuszek z sadłem baranim, do którego dodano zgnieciony korzeń witułki. Należy nim posmarować opuchnięte członki, co na pewno przyniesie ulgę. Sadło przygotowałam ja, tylko ja, ale to nie ja wręczałam je królowej, to nie mnie dziękowano. Nawet mnie tam nie było, tylko słyszałam, jak mo-

narchini odjeżdża. Słyszałam przez okienko w piwnicy, tam bowiem mnie posłano, bym zliczyła pęta kiełbas i beczułki z piwem.

- Zabierz mnie ze sobą! Pozwól, bym ci służyła! - Lecz tego cichego błagania usłyszeć nie mogła. I było to błaganie o coś, co nigdy się nie spełni.

Nie miałam żadnych złudzeń. Dla mnie spotkanie z królową było ogromnym przeżyciem, także nadzwyczajnym splotem okoliczności, który mógłby doprowadzić do zasadniczej zmiany w moim życiu, jednak władczyni już niebawem po naszej króciutkiej rozmowie z całą pewnością zapomniała o moim istnieniu. A ja nigdy o niej nie zapomnę. Nigdy. Zwłaszcza jej umęczonej chorobą twarzą, na której było tyle ciepła, tyle słodczy. Takie twarze mają matki. Tak w każdym razie przypuszczałam, bo pewności mieć nie mogłam. Niby skąd, skoro swojej matki nie dane mi było zobaczyć.

Pomyślałam o Greseleyu. Co porabia, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę? Czy dba o domy przy Gracechurch Street i o dwór w West Peckham? Czy przynoszą wystarczający dochód? Dochód dla mnie?

Modliłam się nad tymi kiełbasami jeszcze bardziej żarliwie niż przedtem, modliłam się w polu nad główkami kapusty. Błagałam w modlitwach, by to, w czym pokładałam wielkie nadzieje, stało się jak najszybciej.

Zanim nadzieja zgaśnie.

Kiełbasa i kapusta zostały zjedzone z większym lub mniejszym apetytem. Piwo wypito bardzo szybko i kazano donieść. Owszem, doniesiono, ale pośledniejsze, więc matka Sybil zbeształa piwowara. Cóż innego mogło wydarzyć się w klasztorze? Nic, oprócz nudnych, byle jakich wydarzeń, które w niczym nie ubarwiały mojej smutnej egzystencji. Płatki z kwiatów na sękatych gałęziach w sadzie opadły, minęła wiosna, mijało lato. Moja cierpliwość raz była większa, raz mniejsza. Boleśnie najmniejsza nocą, gdy cisza spowijała mnie jak całun.

I wreszcie stało się!

Wezwano mnie do matki przełożonej. Po co? Tego mi nie powiedziano. Miałam iść na dziedziniec, więc poszłam. Matka Sybil rozmawiała właśnie z jakimś wysokim mężczyzną, chyba posłańcem, bo ubrany był w cienką wełnę i skórę, czyli do jazdy wierzchem. Wierzchowiec,



piękny wałach, stał nieopodal. Wodze trzymał starszy już mężczyzna, ale krzepki, poza tym było jeszcze kilku konnych. Orszak niewielki, ale dobrze uzbrojony, w łuki i miecze.

- Ty jesteś Alice, pani? - spytał posłaniec, spoglądając na mnie z nieskrywaną ciekawością.

- Tak, panie - odparłam świadoma, że włosy mam w nieładzie, tak samo suknię, a trzewiki całe w błocie. Inaczej być nie mogło, skoro jeszcze przed chwilą czołgałam się na kolanach pod niskimi gałęziami w sadzie, zbierając śliwki, które pospadały już z drzew. Owszem, kiedy mnie wezwano, starałam się doprowadzić do porządku, otrzepać spódnicę, zrobić coś z trzewikami, ale te próby spelzły na niczym.

- Pojedziesz ze mną - oznajmił, mierząc mnie wzrokiem. - Przydałby się jakiś płaszcz. - Spojrzał na przełożoną. - Czy mogłabyś, matko, postarać się o jakiś płaszcz dla niej?

O co chodzi? Zerknęłam na matkę Sybil, jednak tylko lekko wzruszyła ramionami, dając mi do zrozumienia, że na to, co się dzieje, nie ma żadnego wpływu. Czyżby? A może znowu kupiono mnie i pracę moich rąk?

Albo, nie daj Boże, znowu jakieś małżeństwo?!

- Jeździsz, pani, konno? - spytał posłaniec.

- Nie, panie.

- Nie? - Skinął na służącego, który trzymał jego konia. - Rob! Pojedzie razem z tobą, waży przecież tyle co nic.

I już po chwili dokładnie otulona płaszczem z szorstkiej wełny siedziałam na szerokim grzbiecie klaczy, tuż za owym Robem, który krzyknął do mnie:

- Trzymaj się mocno, pani!

Zgodnie z poleceniem z całej siły uchwyciłam się jego skórzanego kaftana, a klacz przysiadła na zadzie i ruszyła z kopyta wraz z niewielkim orszakiem. Przemknęliśmy przez kilka ulic i już byliśmy za miastem, na otwartej przestrzeni.

- Panie! - zawołałam do posłańca, który jechał przede mną w niewielkiej odległości. - Panie! Dokąd jedziemy?!

Nawet nie raczył się odwrócić, widomy znak, że choć tytułował mnie „panią”, to nie zamierza okazywać mi szacunku. Niemniej jednak odpowiedział:

- Do Haveringatte-Bower.

Ta nazwa niczego mi nie mówiła.

- Ale dlaczego tam?

- Królowa posłała po ciebie.

Nie wierzyłam własnym uszom. Królowa! Przypomniała sobie o mnie! O szarej myszy, o konwersce z opactwa w Barking, która podniosła z podłogi jej różaniec! I nic więcej! Mało tego, że sobie przypomniała, to jeszcze posłała po mnie! Więc moje marzenie ziściło się... Niestety, wcale nie czułam z tego powodu wielkiej radości, tylko strach, i to tak wielki, że aż zadrżałam.

- Panie! Czy Haveringatte-Bower to pałac królewski?! Posłaniec przytrzymał konia i dał znak Robowi, żeby podjechał do niego. Mogłam więc spojrzeć na posłańca z bliska, dzięki czemu wiedziałam już, co o mnie myśli. Miał to wypisane na twarzy bardzo wyraźnie, jak liczby w księdze rachunkowej. Ale wcale nie byłam tym zaskoczona. Czyż można wymagać od innych szacunku, gdy ma się na sobie zgrzebną suknię poplamioną sokiem śliwek z klasztornej sadu?

A na głowie równie zgrzebną płócienną chustę, na plecach zaś płaszcz

też bardzo mało wytworny?

To właśnie miał przed oczami, niewątpliwie więc zastanawiał się, co można mi powiedzieć, a co lepiej przemilczeć.

- Dlaczego królowa posłała po mnie?

- Nie wiem. Sama ci to powie. - Ściągnął wodze, jakby uznał rozmowę za zakończoną i zamierzał popędzić konia.

Ale moja ciekawość jeszcze nie została zaspokojona. - Kim ty jesteś, panie?

Odpowiedzieć nie raczył i na pewno nie dlatego, że nie dosłyszał. Poniechałam więc dalszych pytań, czas milczenia wykorzystując na dokładniejsze przyjrzenie się memu tak małomównemu towarzyszowi podróży. Był w wieku trudnym do określenia, ani młody, ani stary. Twarz o regularnych rysach, pełna powagi, oczy zielonobłękitne, spojrzenie bardzo bystre. I taki pewny siebie! Czyli pomyliłam się. To nie jest zwyczajny posłaniec, tylko ktoś, kto stoi o wiele wyżej. Dlatego lęk zadziera nosa! Jakby był bardzo stary i wszystkie rozumy pozjadał. A stary przecież nie był, tylko nadęty, i było oczywiste, że aż do samego Hawering nie zamierza zamienić ze mną już choćby słowa.

Ja jednak chciałam zamienić, i to niejedno. Dlatego chwyciwszy się kaftana Roba jeszcze mocniej, wychyliłam się w bok ku milczącemu jeźdźcowi i wystąpiłam z kolejnym pytaniem:

- A jak daleko jest do Havering-atte-Bower?

- Dwie godziny jazdy. Trzy godziny, jeśli będziemy tracić czas na pogawędki.

Tę uszczypliwą uwagę puściłam mimo uszu.

- Czyli czasu mamy sporo. Mógłbyś mi więc, panie, pomóc, bo przecież wiem tak niewiele.

- A czegoż to nie wiesz?

- Nie wiem, na przykład, jak do ciebie się zwracać...

- Jestem William de Wykeham. Przypuszczam, że nic ci to nie mówi. Uśmiechnęłam się, starając się, by uśmiech był niewinny jak u dziecka, a jednocześnie uniosłam trochę głowę, gotowa do dalszych pytań. Oczywiście! Chytrych pytań, bo wiadomo, że najłatwiej zjednać sobie człowieka, gdy porozmawiasz z nim o tym, co dla niego jest najważniejsze. Jeśli chodzi o Janyna Perrersa, to wiadomo, przedmiotem rozmowy zwykle były pieniądze i procenty.

- Nie przeczę. Ale zmieni się to, jeśli raczysz, panie, coś jeszcze wyjaśnić. Jak mam się do ciebie zwracać? Jak tytułować? Nie wiem przecież, jaki urząd sprawujesz na królewskim dworze...

- Po prostu Wykeham. Służę Jego Królewskiej Mości, niekiedy też Jej Królewskiej Mości. Jestem duchownym, dbam o sprawy Kościoła. Zajmuję się też wznoszeniem budowli. - Ostatnie zdanie powiedział z wyraźną dumą.

Więc ja, oczywiście, zawołałam z wielkim podziwem:

- Och! - I był to szczerzy okrzyk, bo wydało mi się to bardzo chwalebny zajęciem. - Czy zbudowałeś, panie, wiele pałaców?

Było to z mojej strony bardzo trafne posunięcie, bo Wykeham od razu otworzył się przede mną, i to na oścież! Aż do samego Havering-atte-Bower usta mu się nie zamykały. Opowiedział mi obszernie, wręcz rozwodził się, o tym, co zamierza i czego już dokonał. O wieżyczkach, sklepieniach łukowatych, filarach i przyporach. O ścianach osłonowych i najlepszych sposobach ogrzewania. Matko Przenajświętsza! Był tak nudny jak bezmięsne posiłki podczas Wielkiego Postu, a ja przecież tak

bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś o życiu w królewskim pałacu, o posiłkach, o strojach, o najważniejszych osobistościach. Niestety, tego się nie dowiedziałam, przekazano mi natomiast między innymi bardzo dokładny opis nowej wieży w Windsorze, i to z najdrobniejszymi szczegółami, czego naturalnie wysłuchałam z wielką uwagą. Stwierdzając przy tym w duchu, że mężczyźni bardzo łatwo skłonili do rozmowy. Na pewno o wiele łatwiej niż kobiety, które są ostrożniejsze.

Kiedy nad koronami drzew ukazały się imponujące wieże ustawione w zwartym szyku, Wykeham oznajmił:

- Twoja podróż dobiegła końca, pani, a ja niestety o czymś zapomniałem. - Trzymając wodze w jednym ręku, drugą sięgnął do sakwy przy siodle i wyjął z niej... różaniec! - Jej Królewska Mość kazała ci to przekazać. Powiedziała, że przyda się w podróży, będziesz czuła się pod boską opieką. Choć prawdę mówiąc, nie zauważyłem, żebyś podczas tej naszej podróży czuła się niepewnie. Wyznam szczerze, że nie znam drugiej takiej kobiety, która by mówiła tak dużo i tak gładko!

To, co targnęło mą duszą w tym momencie, można by określić tylko jako uczucia mieszane. Z jednej strony syciłam się wielką radością, że różaniec królowej wrócił do mnie, z drugiej jednak dręczyło mnie niezadowolenie. Bo to, co powiedział Wykeham nie bez szczypty sarkazmu, moim zdaniem miało się z prawdą.

- Ależ ty, panie, mówiłaś o wiele więcej niż ja! - zaproponowałam żywo.

- Ja? Nonsens!

Na co Rob zaśmiał się rubasznie i dodał swój komentarz:

- Kto by się spodziewał, pani, żeś taka mocna w języku, skoroś lekka jak piórko!

Co robić? Też się roześmiałam i rzuciłam wesoło:

- Ale teraz wszystko mnie boli. Nie tylko język!

- Dojdiesz szybko do siebie, lecz ze mną jest gorzej. Tak mocno mnie ścisłałaś, że podrapałaś mnie do krwi.

Nawet srogi Wykeham się zaśmiał, co sprawiło, że lęk, który towarzyszył mi przez całą podróż, jakby znikł. Może i nie całkiem, ale na pewno bałam się już o wiele mniej tego, co mnie czeka.

- Dlaczego królowa przysłała mi coś tak cennego? - spytałam, podnosząc rękę z różańcem wysoko, ku słońcu, zachwycona, kiedy

w jego blasku sznur połączonych paciorków zmienił się w prześliczną opalizującą tęczę.

Wykeham zmierzył mnie surowym spojrzeniem od stóp do głów, czyli od upstrzonej plamami spódnicy po głowę okrytą zgrzebną chustą. I odpowiedział bardzo szczerze:

- Nie wiem.

Czyli wiedział tyle co ja.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Havering-atte-Bower*

Kiedy jechałam do celu mej podróży w ślad za tumanami kurzu wzbijanego kopytami wierzchowca Wykehama, byłam jeszcze człowiekiem niemającym najmniejszego pojęcia o pałacach królewskich. Nigdy w życiu takich wspaniałości nie oglądałam, niemniej jednak kiedy wjeżdżaliśmy na dziedziniec, nie pałac był mi w głowie, lecz moje zmaltretowane po długiej jeździe ciało. Bolał mnie każdy jego skrawek i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zsunę się z wielkiego topornego zwierzęcia i znów stanę na ziemi.

Ale kiedy toporne zwierzę zatrzymało się na dziedzińcu przed pałacem Havering, wcale się z niego nie zsunęłam, tylko nadal siedziałam na nim i patrzyłam jak urzeczona.

- Czy zsiądziesz z niego jeszcze dzisiaj, pani? - spytał opryskliwie Wykeham, który nie tylko stąpał już po ziemi, lecz był w połowie schodów prowadzących do wielkich, nabitych żelaznymi ćwiekami drzwi.

- Ale jeszcze nigdy dotąd... - zajęczałam. I zamknęłam usta. Bo przecież wiadomo, że on mnie nie słucha.

Jednak prawda była taka, że jeszcze nigdy dotąd nie widziałam czegoś tak nieprawdopodobnie wspaniałego i jednocześnie tak dziwnie człowiekowi życzliwego. Do tego pięknego pałacu chciało się wejść, i to

jak najszybciej, czego nie można było powiedzieć o szarym, ponurym opactwie w Barking. Pałac wydał mi się też budowlą ogromną, choć w istocie, o czym przekonałam się później, jak na królewską rezydencję wcale nie imponował rozmiarami. A był taki piękny... Jak z bajki. Chylące się już ku zachodowi słońce złociło kamienne mury i okna, te nieduże i te wielkie, z lewej strony, niewątpliwie okna wielkiej sali. Złociło też arkady kaplicy po prawej stronie, a tam, gdzie kończył się dziedziniec, widać było wiele mniejszych budynków. Mnóstwo ścian i dachów wznosiło się ku niebu, różnych w kształcie i wysokości, jakby budowano je w różnym czasie. Wokół pałacu zielenił się szeroki pas bujnej trawy, a tylko gdzieniegdzie rosło piękne drzewo. Wyglądało to urzekająco, jak kobierzec z zielonego aksamitu otulający drogocenny klejnot.

- Jest piękny! - zawołałam zachwycona. Wykeham, o dziwo, raczył odpowiedzieć:

- A tak. Pięknie i jakoś tu się jeszcze wszystko trzyma, czas jednak mija nieubłaganie. Ten pałac kazał zbudować Edward I, dziadek Jego Królewskiej Mości, warto by więc już coś niecoś zmienić, przede wszystkim rozbudować kuchnię. Ale królowa upodobała sobie to miejsce, więc o takich robotach nie ma mowy. Przebywa głównie tutaj, a teraz jest też król ze swoim dworem... - Głos Wykehama zamierał. Widziałam, jak oparte na biodrach dłonie zacisnęły się w pięści. - Na Boga, kobieto! Zsiadaj już z tego konia!

Szybko zsunęłam się z końskiego grzbietu i stanęłam na ziemi, oczywiście na chwiejnych nogach, dlatego byłam wdzięczna Wykeha-mowi, że podszedł do mnie i chwycił mocno pod ramię. Podziękowałam grzecznie, postąpiłam jeszcze chwilę, czekając, aż rozdygotane ciało odzyska równowagę, i razem z Wykehamem wstąpiłam na schody.

Pchnął nabite ćwiekami drzwi i weszliśmy do wielkiej sali, zgodnie z nazwą olbrzymiej, ale i pustej, bo stoły wyniesiono. Zapewne wrócą tu wieczorem. Został tylko jeden, bardzo solidny, na podwyższeniu pod przeciwległą ścianą.

Pusto, cicho, na dworze upał, w sali miły chłód, choć słońce zaglądało i tutaj. Złociste promienie, wpadające przez okno, malowały ciemne krokwie w złote paski niczym pręgi na grzbiecie kota.

Po sali krzżeli się słuźący, którzy wymieniali Źelazne uchwyty na pochodnie. Zza drewnianego przepierzenia na koñcu sali, za którym niewątpliwie było wejście do kuchni, słychać było głośny śmiech. A ja, popatrując na piękne gobeliny o pysznych barwach i równie barwne płytki posadzki, nagle poczułam lęk. Bo może oprócz Królewskich Mości przebywa tu również nadobna hrabina Kentu, która tak mocno wryła mi się w pamięć? Może nawet jest gdzieś tutaj, w tej wielkiej sali? Zaraz ją ujrzę, a ona spojrzy na mnie jak na robaka... Trwoźnie przemknęłam po sali spojrzeniem, po czym, kiedy rozsądek doszedł jednak do głosu, skarciłam siebie w duchu za głupotę. Przecież Nadobna Joanna, jeśli naprawdę wyszła za Edwarda, księcia Walii, to nawet jeśli i gości w Havering, to nie biega po całym pałacu, tylko przebywa w komnatach królowej. Oczywiście! Siedzi wygodnie, popija wino, a słuźąca szczotkuje jej hrabiowskie włosy, albo też i włosy księżnej. I jeśli słuźącej zdarzy się pociągnąć choć za jeden włos, Nadobna Joanna, nie czując żadnych wyrzutów sumienia, wymierzy jej siarczysty policzek.

Z kuchni wyszła słuźąca z tacą, na której stały dzban i kubki. Przechodząc przez salę, dygnęła przed Wykehamem i poszła dalej. A ja, odprowadzając ją wzrokiem, pomyślałam, czy to aby właśnie nie to jest moim przeznaczeniem? Praca w pałacowych kuchniach... Jeśli tak, to dlaczego mnie tu przywieziono? Jaki w tym sens? Przecież w okolicy, i jak każdej innej okolicy, nie brak dziewcząt chętnych do pracy, a już \ szczególnie w królewskim pałacu. Po prostu niemożliwe, żeby sprowadziła mnie tutaj aż z opactwa, żebym słuźyła jako podkuchenna. A może królowa chce, żebym słuźyła nie w kuchni, ale w komnatach, skoro umiem czytać i pisać? Nie, to też niemożliwe, przecież brali kuje mi oglady. W takim razie, na litość boską, dlaczego tu jestem?! - Proszę za mną - rzucił przez ramię Wykeham, ruszając do przodu. Gdy podreptałam za nim, z tyłu, przy drzwiach, zaczęło coś się dziać, więc wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Ja również.

W drzwiach pojawił się jakiś rosły mężczyzna. Podświetlony był od tyłu blaskiem zachodzącego słońca, więc twarz jawiła się jedną ciemną plamą. Lecz postać była imponująca, i wzrost, i budowa ciała. Prawdziwy rycerz. Wokół jego nóg kłębiło się kilka psów, a na jednej z rąk, schowanej w grubej skórzanej rękawicy, siedział sokół w kapturze. Gdy



dumny ptak zatrzepotał skrzydłami, mężczyzna ruszył do przodu. Zrobił jeden krok, wstępując w złocisty pas wpadającego przez okno blasku słońca, i na jedną krótką chwilę wokół głowy i ramion zajaśniało.

Aureola. Tak, złocista aureola, jak u świętych z witraży w kościele opactwa...

Następny krok i czarodziejska chwila minęła. Znowu był to zwyczajny człowiek. Psy obiegiły salę, przypadły do mnie i zaczęły wachać spódnicę, a ja, wylękniona, bo nigdy dotąd nie widziałam tak wielkich psów o zaślinionych pyskach, cofnęłam się o krok. Kiedy starałam się odpędzić od siebie wyjątkowo natrętnego psa, zauważyłam, że Wykeham kłania się głęboko, jednocześnie spoglądając na mnie bardzo wymownie.

- Co się stało? - spytałam półgłosem.

Wtedy bez słowa chwycił za mój wiekowy płaszcz i szarpnął w dół tak mocno, że płaszcz zsunął się z ramion i opadł na podłogę. Ja, nadal nie pojmując, o co chodzi, stałam jak kołek. I wtedy ów mężczyzna z sokołem i psami przemówił niskim, głębokim głosem, tak pięknym, że wstrzymałam oddech:

- Wykeham! Na Boga! Dlaczego ciebie nigdy tu nie ma, kiedy jesteś potrzebny?!

Głos był dźwięczny i mocny. Odbijał się od krokwi powały, na pewno docierał na sam kraniec ogromnej sali. Właściciel tego głosu kroczył ku nam, a Wykeham ponownie zgiął się w niskim ukłonie, jednocześnie częstując mnie spojrzeniem już tak wymownym, że wreszcie pojęłam i wreszcie poszłam w jego ślady, to znaczy też złożyłam głęboki ukłon przed mężczyzną, który moim zdaniem był po prostu jakimś tam mężczyzną, który zgłodniały i spragniony po polowaniu zajrzał do wielkiej sali w poszukiwaniu piwa i chleba.

Podszedł do nas szybkim, sprężystym krokiem, a Wykeham po raz trzeci zgiął się w ukłonie.

- Wasza Królewska Mość... Czyli... król!

Natychmiast chwyciłam spódnicę w garść i przykucnęłam w ukłonie jak najgłębszym, pochylając się przy tym jak najbardziej, by ukryć zaczerwienioną z przejęcia twarz. O Boże! Znowu się pomyliłam! Ale

skąd miałam wiedzieć, kto to jest naprawdę? Przecież wcale nie jest ubrany jak król!

Kiedy wreszcie odważyłam się unieść nieco głowę, pojęłam od razu, że ten człowiek nie potrzebuje pysznego stroju ani klejnotów, by okazać swoją wyższość. Bo i bez złota czy gronostajów od razu widać, że to król. Wyglądał wspaniale, choć swoje lata już miał. Ale czas obszedł się z nim łaskawie. Twarz piękna: szerokie czoło, kształtny nos, bujne płowe włosy lśniące jak srebro... Żaden zasuszony starzec, jak mój zmarły mąż, tylko prawdziwy władca, mocarz nad mocarze rozsiewający wokół siebie monarszy blask.

Lśniący jak diament wśród bezwartościowych błyskotek, dodałam w duchu.

Owszem, był monarchą, i to jakim! Jednak trapiły go również całkiem przyziemne sprawy. | - Wykeham, dobrze, że cię wreszcie widzę. Chodzi o tę komnatę kąpielową. Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym...

- Tak, panie. Mam to na uwadze - odparł Wykeham spokojnie.

- I o doprowadzenie wody. Wiesz przecież, że królowa potrzebuje ciepłej wody. Ciepłej!

Król, skoro włosy miał jasne, skórę na pewno też miał jasną. Musiał jednak dużo czasu spędzać na dworze, na słońcu, chłodzie i wietrze, bo piękna twarz była ogorzała. A oczy w tej ogorzałej twarzy były niebieskie, i o spojrzeniu tak bystrym, jak u ptaka drapieżnego, który siedział na jego zaciśniętej w pięść dłoni. Tak, widziałam również oczy tego ptaka, ponieważ król zsunął mu kaptur z głowy. A teraz rozpinał \*- płaszcz. Wszystko, co robił, wykonywał nadzwyczaj zręcznie wdzięcznymi i płynnymi ruchami. Rozpinał płaszcz, ściągał go z ramion i rzucał paziowi, który dreptał za Jego Królewską Mością.

Jak mogłam nie poznać, że to król Edward? Przecież przypięta do pasa pochwa noża była wysadzana drogimi kamieniami, a pawie pióro przypięto do kapelusza broszą z rubinem. Ale nawet bez blasku klejnotów powinnam była od razu rozpoznać w nim króla.

Czyli to był ów wspaniały mąż królowej Filipy! Byłam nim olśniona. Stałam i podziwiałam, całkowicie świadoma, że z kolei ja wyglądam jak nędzarka w tym brudnym zgrzebnym przyodziewku, z tym płaszczem leżącym u moich stop. Na szczęście król nie patrzył na mnie, bo gdyby

jednak raczył spojrzeć, na pewno by pomyślał, że jestem żebraczką, która przysłała po resztki z pałacowej kuchni. Nawet ten ptak łypał na mnie, jakbym była robakiem, którego warto przełknąć.

A król wyciągnął władczo rękę przed siebie i rzucił rozkaz psom:

- Za drzwiami! - Psy posłusznie znikły za progiem, a król po przyjacielsku klepnął Wykehama w ramię i spytał: - Gdzie się podziewałeś?

- Byłem w opactwie Barking, panie.

- W Barking? A po cóż tam pojechałeś?

- Przekazać darowiznę dla klasztoru od Jej Królewskiej Mości.

- A tak, zapomniałem o tym... - W końcu spojrzenie królewskich oczu przemknęło po mnie. - Kto to jest? Ktoś najęty do służby? - Zdjął kapelusz obszyty bobrami, ozdobiony broszą i piórem, i skłonił głowę. Może odruchowo, ale skłonił, choć niewątpliwie był pewien, że jestem nową dziewczką kuchenną! Ja, naturalnie, po raz kolejny przykucnąłem w głębokim ukłonie, a król po raz kolejny spojrział na Wykehama. - To siostrzyczka, tak? Z klasztoru w Barking? Pomogłeś jej stamtąd uciec?

- Nie, panie - z uśmiechem odparł Wykeham. - Jej Królewska Mość posłała po nią.

Niebieskie oczy króla o bardzo przenikliwym spojrzeniu znów zwróciły się w moją stronę.

- Zapewne jeszcze jedno porzucone dziecko, które chce wziąć pod swoje skrzydła. Jak się nazywasz?

- Alice.

- Zadowolona, żeś umknęła z klasztoru?

- Tak, Wasza Królewska Mość - odparłam głośno i wyraźnie, bo szczerze.

Na to król roześmiał się tak głośno i radośnie, że mimo woli również się uśmiechnęłam, po czym rzucił niepozostawiający wątpliwości komentarz:

- Też byłbym zadowolony. - I dodał po chwili: - Służba Bogu to rzecz chwalebna, ale nie o każdej godzinie, każdego dnia i każdej nocy. A co ty potrafisz, dziewczyno? Grasz może na lutni?

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- Śpiewasz? Moja żona bardzo lubi muzykę.

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- A więc cóż... Królowa ma swoje powody, by cię tu sprowadzić.  
-Nagle, spojrzawszy w bok, zawołał: - Do mnie! Do mnie!

Zabrzmiało to dziwnie, byłam jednak tak przejęta i oszołomiona rozmową z Jego Królewską Mością, że odruchowo wysunęłam nogę do przodu, gotowa do niego podejść. Ale kiedy król pstryknął palcami, uprzytomniłam sobie, że wołał nie do mnie, lecz do wielkiego psa, który ukradkiem wbiegł z powrotem do sali i obwąchiwał gobelin. Jednak pies był posłuszny, bo kiedy usłyszał rozkaz, od razu podbiegł do swego pana i zaczął ocierać się o nogi. Król pogłaskał go, złapał za obrozę i spojrział znów na Wykehama.

- Will, powiedz Jej Królewskiej Mości, że... Nie, pójdiesz teraz ze mną. Zrobiłeś już to, co ci poleciła, a ja mam do ciebie ważną sprawę...

Podniósł głos. - Joscelyn! Joscelyn! Mężczyzna, który czekał nieopodal wejścia do kuchni, natychmiast podszedł i powiedział:

- Jestem, panie.

- Zaprowadź tę dziewczynę do królowej. Posłała po nią. Will, chcę ci pokazać, gdzie moim zdaniem powinna być komnata kąpielowa. Ale najpierw pozbędę się tych psów i ptaków. - Król uśmiechnął się do sokoła, gwizdnął cicho i ruszył do drzwi.

Wykeham podążył za nim. Żaden z nich nie spojrział już na mnie, co było zrozumiałe, bo niby dlaczego mieliby to robić?

Sir Joscelyn, który, jak dowiedziałam się później, był ochmistrem, skinął na mnie, jednak ja, tak bardzo onieśmielona, nie ruszałam się z miejsca, tylko zerknęłam na Wykehama, przechwytyując jego spojrzenie. Wykeham skinął głową, bez wątpienia pragnąc dodać mi otuchy, dalej coś powiedział królowi, sądząc po gestykulacji, o budowli i jej rozmiarach. Zaśmiali się, król zdecydowanie głośniejszym i dłuższym, zagłuszając kolejną wypowiedź Wykehama. A potem znikli za progiem. Jego Królewska Mość, także Wykeham, co odczułam bardzo boleśnie, jakby opuściła mnie jedyna na całym świecie życzliwa mi osoba. Tylko czy naprawdę był mi życzliwy? Chyba tak, w każdym razie na swój szorstki sposób, ale ja i tak byłam mu bardzo wdzięczna. A jeśli chodzi o króla, to spodziewałam się jednak, że ujrzę go w pełnym majestacie, w koronie, a przynajmniej w ciężkim, złotym łańcuchu. A już na pewno nie z ptakiem na ręku i otoczonego sforą psów.

Ale rozczarowana nie byłam. W koronie czy bez, przecież to był król, władca, dla którego ciężar władzy był tak lekki jak cienki letni płaszcz.

- Chodź już, dziewczyno. Czas nagli.

Ruszyłam więc za ochmistrem, przyciskając do piersi wygrzany moją ręką różaniec. Szłam z duszą na ramieniu. Bo cóż takiego mnie czeka, mnie, kolejną bezdomną istotę, którą królowa przyjęła pod swój królewski dach...

Komnaty królowej powitały nas ciszą. Kiedy w kolejnym przedpokoju nie zastaliśmy nikogo, sir Joscelyn zapukał do drzwi i poproszono, by wszedł. Co uczynił, pociągając mnie za sobą. Więc też weszłam z tej pełnej ciszy pustki przedpokojów do wielkiej, zalanej słońcem komnaty pełnej kolorów i życia, łagodnych głosów, pachnących szeleszczących szat, różnobarwnych i zwiewnych, jakby komnatę tę zapępiały nie damy, lecz motyle.

Byłam tym chyba jeszcze bardziej oczarowana niż wspaniałością wielkiej sali. Stałam i gapiłam się prawie z otwartą buzią, jak jakaś prostaczka. Ale nie byłam w stanie nic innego zrobić, jak tylko sycić oczy urzekającym widokiem. Piękne damy w pięknych szatach, zajęte szyciem, haftowaniem lub pogawędką. Wszystkie wdzięczne i uśmiechnięte. Kilka pochylonych nad książką, inne znów zajęte grą. Jedna z dam śpiewała przy jasnych dźwiękach lutni. I, co bardzo istotne - ani jednego welonu nasuniętego na czoło, ani jednej podwiki! Był to świat, którego dotąd nie znałam, a który moje oczy i uszy wprawił w największy zachwyt.

Królowej nie dostrzegłam, a także, ku mej wielkiej uldze, hrabiny Kentu.

Ochmistrz spojrział na ten urzekający tłum i szybko wyłowił wzrokiem osobę, do której zamierzał się zwrócić.

- Pani... - Złożył głęboki, dworski ukłon, a ja, jak na pojętną uczennicę przystało, zrobiłam to samo. - Pani, chciałbym rozmawiać z Jej Królewską Mością.

Księżniczka Izabela uniosła głowę, jednak jej palce nadal nieśpiesznie i delikatnie trącały struny lutni. A ja pomyślałam, że teraz już wiem, skąd u niej uroda, skąd jasność. Była córką swego ojca.

- Jej Królewska Mość niedomaga, Joscelyn. Czy nie można tej rozmowy odłożyć na później?

- Król kazał przyprowadzić tu tę dziewczynę.

Szturchnął mnie, więc wysunęłam się nieco do przodu i ponownie złożyłam głęboki ukłon.

- Ale po co? - spytała Izabela, nie odrywając oczu od lutni. Czyli jeśli chodzi o uprzejmość, nie była córką swego ojca.

- Przywiózł ją tu Wykeham, pani.

Księżniczka wreszcie raczyła unieść głowę i spojrzeć na mnie.

- Kto ty jesteś?

- Alice, milady. Alice z Barking, z klasztoru Najświętszej Maryi Panny.

Na króciutką chwilę między brwiami Izabeli pojawiła się pionowa kreska.

- A, pamiętam! Dziewczyna z różańcem, która pracowała w kuchni czy gdzieś tam.

- Tak, milady.

- Jej Królewska Mość posłała po ciebie? - Palce księżniczki znów trąciły struny lutni, stopa niecierpliwie zastukała o podłogę. - Skoro tak, trzeba coś z tobą zrobić. - Błysk w oku księżniczki nie wróżył nic dobrego.

Jedna z dam podeszła do księżniczki i kładąc poufale dłoń na jej ramieniu, spytała:

- Zagraz nam, Izabelo? Mamy nową piosenkę!

- Naturalnie! Joscelyn, zaprowadź tę dziewczynę do kuchni. Niech przydzieli jej kąt do spania, nakarmi i dadzą jakąś robotę. Jestem pewna, że właśnie to Jej Królewska Mość miała na myśli.

- Tak, milady.

Cała uwaga Izabeli skupiona już była na damach i nowej piosence. Ochmistrz naturalnie i tak się skłonił, po czym popychając mnie przed sobą, ruszył do wyjścia. Drzwi cudownej komnaty, komnaty jak z bajki, zamknęły się za mną... czyżby na zawsze?! A ja tak bardzo pragnęłam być właśnie tam i uczestniczyć w tym cudownym, kolorowym życiu!

Sir Joscelyn szedł bardzo szybko, nie oglądając się za siebie. Ja za nim, świadoma, że powinnam być nieskończenie wdzięczna za strawę i kąt do spania. Czy życie dziewczki kuchennej w Havering-atte-Bower

okaże się lepsze niż życie konwerski w opactwie w Barking? Lepsze niż życie skryby? Bo przecież w domu Janyna Perrersa byłam przede wszystkim tym właśnie, czyli skrybą.

Cóż... Niedługo przekonam się na własnej skórze, a to dzięki złośliwej księżniczce Izabeli. A tak! Tym właśnie wykazała się księżniczka, bo królowa na pewno nie sprowadziła mnie tu z odległego Barking tylko po to, bym oskubywała kurczaki w jej kuchni. Izabela wiedziała o tym doskonale, ale wysłała mnie do kuchni. Dlaczego? A dlatego, że mam w niej wroga. Wiedziałam o tym od samego początku.

- Panie Humphrey, ta dziewczyna... - „dziewczyna” wypowiedziane oczywiście z pogardą -...to jeszcze jeden śmieć z rynsztoka, który z woli Jej Królewskiej Mości będzie na naszym utrzymaniu!

Tak właśnie przedstawił mnie ochmistrz, nawet nie starając się ściśnić głosu. A pan Humphrey, pochłonięty opracowaniem tłustego wieprzka, w odpowiedzi tylko chrząknął znacząco i dalej machał tasakiem, zresztą niebywale zręcznie.

- Milady kazała przyprowadzić ją tutaj - dodał ochmistrz.

Ręka z tasakiem znieruchomiała, głowa poderwała się i pan Humphrey spojrzał srogo spod krzaczastych brwi.

- A co ja, jeśli wolno spytać, mam z nią zrobić?

- Dać jej jeść, kąt do spania i zapędzić do roboty.

- Ależ Jos, tylko rozejrzyj ty się dookoła! I co widzisz? Naturalnie też się rozejrzałam po wielkiej kuchni tętniącej życiem,

pełnej spoconych chłopców w różnym wieku, którzy uwijali się jak w ukropie. I nie było to tylko takie sobie ot, powiedzonko, bo od palenisk i pieców kuchennych bił taki żar, że już czułam spływające po plecach kropelki potu, a włosy pod kapturem zwilgotniały.

- O co chodzi? - warknął ochmistrz, pewnie zły za to, że kucharz zwrócił się do niego tak poufale.

- A o to, że u mnie dla dziewczyn roboty nie ma. Za mało mają siły. Tu potrzebny jest mocny chłopak, a dziewczyna może robić sery albo podawać do stołu. Ale do kuchni się nie nadaje! - Na potwierdzenie tych słów kucharz ze zdwojoną siłą rąbnął tasakiem nieszczęsnego wieprzka.

- Musisz ją przyjąć, Humphrey. Rozkaz księżniczki Izabeli... - Tu znaczące chrząknięcie. - Powiedziała, że ma pracować w kuchni.

- A skoro taka jej wola...

- Tak ma być! - dokończył ochmistrz i jak się mogłam tego spodziewać, odwrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając mnie samą jak palec w środku tej męskiej krzątaniny w kuchni zamku Havering.

Ktoś coś mył, ktoś szorował, siekano i mieszano. I ten harmider, po klasztornej ciszy po prostu cudowny! Śmiechy, okrzyki zdziwienia, głośne rozkazy kucharza, a po każdym rozkazie niemal zawsze przekleństwa albo narzekania chłopaków. Z tym że rozkazy wykonywano natychmiast, co było widowym dowodem, że pan Humphrey rządzi twardą ręką.

A jedzenie! Na widok pieczonego mięsa, które rozsiewało urzekający zapach, w pustym brzuchu od razu zaburczało...

- Nie stój tak, jakbyś wrosła w ziemię!

Kucharz po udzieleniu reprimendy odrzucił tasak i wreszcie zaszczycił mnie spojrzeniem, naturalnie tylko przelotnym. Natomiast cała gromada kuchcików od samego początku zaszczycła mnie zupełnie innymi spojrzeniami, do tego okraszonymi głupawymi uśmiezkami i gestami, o których nawet ja, która o życiu wiedziałam tak niewiele, to jednak wiedziałam doskonale, że są to gesty nieprzyzwoite. Bo zdarzyło mi się kilka razy podejrzeć, jak na rynku wymieniają się tymi gestami dziewczka sprzedaj na i niezbyt zadowolony z jej usług mężczyzna.

A skoro wiedziałam, że są to gesty nieprzyzwoite, nic więc dziwnego, że moje policzki zrobiły się szkarłatne, i to na pewno nie od żaru buchającego z paleniska.

- Siadaj tu!

Pan Humphrey olbrzymią ręką nacisnął na moje ramię, zmuszając, bym usiadła przy wielkim stole na środku kuchni, na którym królował oprawiany wieprzek. Usiadłam i ktoś bezceremonialnie podsunął mi pod sam nos miskę z gęstą potrawką i wcisnął do ręki łyżkę. A nieopodal miski, w zasięgu ręki, pojawiła się zeschnięta kromka białego chleba.

- Jedz, ale szybko, a potem do roboty.



Nie trzeba było mnie popędzać. Te wszystkie dobroci pochłaniałam z zawrotną prędkością, popijając piwem, które również raptem znalazło się w zasięgu ręki.

- A teraz włóż to.

Pan Humphrey podał mi wielki lniany i zaplamiony fartuch, a sam z naręczem świeżych polan poszedł dorzucić do ognia. Ów fartuch byłby w sam raz dla kogoś dwa razy większego ode mnie. O zwykłym przepasaniu nie było mowy, musiałam się owinąć i mocno obwiązać, bo inaczej potknęłabym się już po pierwszym kroku i ku uciesze wszystkich runęła na ziemię.

Owijalam się więc i obwiązywałam, przeklinając w duchu Izabelę, a w tym czasie koło mnie pojawił się znowu pan Humphrey.

- Niech no na ciebie popatrzę! Jak się nazywasz?

- Alice - bąknęłam nieśmiało.

- A więc posłuchaj, Alice. Tu nie chodzimy ze zwieszoną głową chociażby dlatego, że łatwo się o coś potknąć czy uderzyć i wylądować na tyłku. - Spojrzenie pana Humphreya wcale nie było przychylnie. - Nieduża jesteś...

- Ale w sam raz do tego, co mi chodzi po głowie! - wykrzyknął rosły kuchcik z płową czupryną, a cała reszta urwipołciów wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Zamilcz, Sim! I ręce trzymaj przy sobie, bo inaczej... - Pan Humphrey chwycił za tasak i kilkakrotnie ciął nim powietrze, po czym tasak wylądował z powrotem na stole, a pan Humphrey złapał mnie za rękę, by przyjrzeć się moim dłoniom. - Hm... Więc co mogłabyś robić?

Milczałam, pewna, że cokolwiek powiem, nie będzie miało żadnego znaczenia. Wiadomo, że zapędzą mnie do najgorszej roboty. I wiadomo też, że zawsze będę tu przedmiotem drwin, bo językami tej czeredy kucharz jednak nie rządzi, skoro mimo jego pogroźek dwóch młokosów, nabijając na rożen kawał sarniny, nadal przerzucało się sprośnościami.

- A ty co, zapomniałaś języka w gębie?! - huknął na mnie kucharz.

Ale nawet nie drgnęłam, bo pod rządami signory Damiaty nauczyłam się panować nad sobą i znosić wszystko, by nie spotkała mnie kara. Ale pomyślałam też, że tutaj nie powinnam pozwalać, by mną pomiatano. W końcu mam dwie ręce i coś niecoś potrafię, może więc uda mi się zyskać choć odrobinę uznania.

- Mogę robić to, panie Humphrey. - Wskazałam palcem zajętych zmywaniem i szorowaniem kuchcików, którzy stali nad cebrzykami. - To także. - Skierowałam palec na niedużego chłopca, który dokładał do ognia.

- To potrafi zrobić byle głupek! - huknął kucharz i szczerząc zęby w durnym uśmiechu, podskoczył do chłopaka przy palenisku, udając, że kopie go w tyłek.

Zachwycony figlami chłopak też wyszczerzył zęby w uśmiechu jeszcze bardziej głupawym.

- Umiem piec chleb, panie Humphrey. Zabijać kury... - Kury, które trzymane w wiklinowym koszyku przy palenisku, zagdakały niegłęboko, pogodnie, bo były nieświadome najbliższej przyszłości. A ja wskazałam starszego mężczyznę, który oprawiał ryby, wyjmował wnętrzności i wrzucał do miski. - To też potrafię. A także umiem przyrządzić gorący napój, który leczy kaszel. I umiem jeszcze...

- Coś jeszcze? Czyżby do mojej kuchni trafiła prawdziwa perła?!

- Złożył przede mną błazeński ukłon.

Byłam pewna, że nawet w połowie nie uwierzył w to, co mu powiedziałam, ale nie zamierzałam już zamilknąć, o ile nie otrzymam takiego rozkazu.

- Potrafię czytać, pisać i rachować, panie Humphrey. Mogę zrobić wykaz zapasów w spiżarniach, mogę prowadzić księgi i rachunki.

- Oczywiście, że tego nie ukrywałam. Bo jeśli mam tu żyć, jeśli mam egzystować w Havering, to muszę się postarać, by ta egzystencja była w miarę znośna. Przetrwać i z Bożą pomocą dotrwać lepszych czasów, taki miałam plan.

- Na Boga! To cud, prawdziwy cud! - Niby dalej kpił, ale już nie tak bardzo jak poprzednio. - Bo jakimż to cudem kobieta o takich umiejętnościach trafiła do mojej kuchni?

Oczywiście wszyscy ryknęli śmiechem, a potem pan Humphrey przydzielił mi pierwsze zadanie, czyli wybieranie popiołu z paleniska i szorowanie oblepionych tłuszczem blach do pieczenia. Zapowiadało się więc, że będzie podobnie jak w klasztorze czy w domu Janyna Perrersa.

A jednak było inaczej, co bardzo mi odpowiadało, bo to miejsce tętniło życiem, nikt nie wymagał bezwzględnie milczenia i bezwzględ-

nego posłuszeństwa, było dużo ruchu i spontaniczności, człowiek nie czuł się tak, jakby na poły był już martwy. Samej pracy oczywiście nie kochałam. Była ciężka i niewdzięczna, zawsze pod baczным okiem pana Humphreya lub sir Joscelyna, ale nie było też ponurej dezaprobaty ani upomnień i kar, jak wtedy, gdy naruszyłam surowe reguły świętego Benedykta, lub gdy bystre oko signory Damiaty przyłapało mnie na jakimś przewinieniu. Tu wszyscy mieli coś do powiedzenia, każde wydarzenie w kuchni omawiano szczegółowo, a także to wszystko, co wydarzyło się poza kuchnią. Sam pan Humphrey imponował niezwykłą elokwencją. Byłam pewna, że gdy krojąc żołądek indyka, wypowiadał się w sprawach królestwa, robił to z równą swadą jak wielki lord. I na pewno wykazywał się taką samą bystrością umysłu.

Tak, to był całkiem inny świat. Miałam swój siennik w małej izdebce na poddaszu, którą dzieliłam z dwoma dziewczynami pracującymi w mleczarni, gdzie odcedzały mleko i robiły sery. Dano mi koc, koszulę i spódnicę. Jak na moje oko, wszystko było nowe. Naprawdę! Dostałam też kawałek płótna do owinięcia głowy i trzewiki, no, raczej toporne. Ale, na Boga, czy mogłam narzekać? Przecież miałam bez porównania lepiej niż konwerska w klasztorze o regule od świętego Benedykta.

Zajęta robotą, ciekawie nadstawiałam ucha, by wiedzieć, co w trawie piszczy. A było czego posłuchać, bo kuchcikowie plotkowali od rana do wieczora. Obgadywali wszystko i wszystkich, dzięki czemu moja wiedza o królewskiej rodzinie z każdym dniem stawała się bogatsza. Królowa jest chora. Król dba o nią bardzo. Król najlepsze dni ma już za sobą. Wiele lat minęło od chwalebego zwycięstwa pod Crecy nad piekielnymi Francuzami, ale król nadal jest człowiekiem godnym podziwu. Natomiast Izabela nie chce wyjść za mąż. Dla niej każdy kandydat jest nieodpowiedni. Król po prostu powinien złoić jej skórę i zmusić do posłuchu. A ta hrabina Kentu - o, tu nadstawiałam uszu bardzo pilnie - co wyszła za Czarnego Księcia i pewnego dnia zostanie królową, jest niewiele lepsza od dziewczki sprzedajnej. A grzeczna jest tylko wtedy, kiedy chce. Chwała Bogu, że jest teraz w Akwitanii ze swoim księciem, który podobno od dawna niedomaga...

Chłopcy gadali i gadali, kompletnie nieświadomi, jak wdzięczną mają we mnie słuchaczkę. Dzięki nim również w sprawach politycznych byłam na bieżąco. Wiedziałam, że Gaskonia i Akwitania, angielski-

skie posiadłości po drugiej stronie Kanału, zbuntowały się, a w Irlandii również wrze jak zupa w garnku. Wiedziałam też, co jeszcze wymyślił niezmordowany i nad wyraz pomysłowy Wykeham! W Westminsterze ponoć woda dopływa do samej kuchni. Tylko odkręcisz kurek w ścianie, a woda już leci do cebrzyka. Daj Boże, żeby coś takiego zrobili i tu, w Havering...

O tak, bo tego dnia chyba ze dwadzieścia razy biegałam po wodę do studni. Panu Humphreyowi ktoś, kto pisze i rachuje, wcale nie był potrzebny, dlatego oprócz noszenia wody także zamiatałam, szorowałam, dźwigałam i nosiłam. I wynosiłam... naczynia nocne z komnat, by wylać ich zawartość.

Nie leniłam się, zawsze byłam zaharowana, co miało swoje dobre strony, bo dzięki temu lubieżnym wyrostkom niełatwo było do mnie przystąpić. A przede wszystkim trzeba było strzec się Sima, najwyższego z nich, z jasnymi włosami i pożądlivym uśmieszkiem. Widziałam przecież na własne oczy, jak jedną ze służących przyparł do drzwi drewnutni. Sądząc po minie, dziewczynie wcale nie było to w smak, on natomiast chrząkał i dyszał, mało tego, nogawice miał opuszczone do kostek! O nie! Za nic w świecie nie pozwoliłabym mu się dotknąć brudnymi łapami z jeszcze brudniejszymi paznokciami. Za nic, i to żadną częścią ciała! Na szczęście wiedziałam, jak się obronić. Trzeba nadepnąć na nogę albo wbić łokieć w brzuch napastnika.

Niestety Sim i cała ta zgraja łatwo potrafili mnie wytropić w spiżarni albo w piwnicy. W ciągu pierwszego tygodnia Simowi kilka razy udało się objąć mnie wpół, a w tygodniu drugim nie dość, że objął, to jeszcze, zionąc mi prosto w twarz śmierdzącym oddechem, spytał z przymilnym uśmiechem:

- Dasz buziaka, Alice?

Naturalnie w odpowiedzi zabębniłam pięścią w jego szeroką pierś, u potem rozdarłam się:

- Ode mnie nie dostaniesz!

- A któż inny zdobędzie się na to, by cię pocałować? Cała zgraja, jak zwykle, zarechotała.

- Na pewno nie będziesz to ty... - wysyczałam.

- Jesteś szpetna jak noc, ale lepsza niż zewłok byka!

- A ja prędzej pocałuję karpia ze stawu niż ciebie! Zostaw mnie w spokoju. Zabieraj się stąd razem z tymi swoimi gargulcami!

O tak! Byłam elokwentna, ponieważ odkryłam w sobie właśnie prawdziwy talent do potyczek słownych. Z tym że w potyczce z Simem nie ograniczyłam się tylko do słów, bo łokcie również poszły w ruch.

Ale Sim nie zamierzał ustąpić.

- Lepszego ode mnie nie znajdziesz - wydyszał, ocierając się o mnie nabrzmiałym z pożądania przyrodzeniem.

Wtedy rozjuszona już na całego walnęłam go kolanem, ile tylko sił we mnie, w to właśnie miejsce. Puścił mnie natychmiast, a ja wrzasnęłam:

- Trzymaj ręce przy sobie! Bo jak nie, to pożyczę od pana Hum-phreya tasak i pożegnasz się z przyrodzeniem! Doprawi się czosnkiem i rozmarynem i upiecze na kolację!

Mimo takich niemiłych zdarzeń w sumie nie byłam nieszczęśliwa, bo jakoś dawałam sobie radę. Było mi tylko smutno, że nie jestem ładna, no i że nikt nie chce skorzystać z moich umiejętności. Bo naprawdę niewiele trzeba umieć, by wynieść pełny nocnik albo maczać knoty w śmierdzącym łoju. Knoty do świec do kuchni, komórek i spiżarni. A kiedy zapędzono mnie do tych knotów, kiedy tak maczałam i maczałam, to dużo rozmyślałam. Czasami wspominałam pierwsze tygodnie mego nowicjatu, czasami pozwalałam, by do mej głowy dostojnie, jak władczyni, wkroczyła hrabina Kentu, i mimo że przebywała w Akwitanii, na kilka chwil zagościła w przesyconej najrozmaitszymi niewdzięcznymi zapachami kuchni w Havering-atte-Bower. Hrabina Kentu... Jakże to mogło się stać, że kobieta stojąca tak wysoko zauważyła istotę tak marną, tak nisko urodzoną jak ja? Ale tak właśnie się stało, kiedy hrabina w środku lata przyjechała do opactwa. Już sam jej przyjazd był dla moich młodziutkich oczu nadzwyczajnym widowiskiem. Po prostu je wytrzeszczałam, kiedy przed klasztor zajechała wspaniała lektyka, którą ciągnęły lśniące konie. Lektyka z lambrekinami i zasłonami z pozłacanej skóry, wyścielona niewątpliwie najbardziej miękkimi z najbardziej miękkich poduszek. A wokół chmara konnych i służących, natomiast z tyłu wozy wyładowane po brzegi wszelakim dobrem. Patrzyłam z zapartym tchem, jak spoza zasłony wysuwa się smukła dłoń ozdobiona pierścieniami i wykonuje władczy

gest. Zasłony zostają rozsunięte, a z lektyki wysiada strojna dama i delikatnie strzepuje fałdy sukni z jedwabnego adamaszku, ciemnoniebieskiego przetykanego srebrną nitką i obszytego niewątpliwie najdroższym futrem. A kiedy dama wygładzała fałdy płaszcza, drogie kamienie na palcach skrzyły się tak, że prawie rzucały snopy światła. Nie była pierwszej młodości, ale starą też by jej nikt nie nazwał. I była niebywale piękna. No, twarz na pewno bardzo urodziwa, ale czy hrabina miała też gibką postać? Nie wiadomo, bo mimo bardzo ciepłego dnia okryła się grubym płaszczem. Włosy schowała pod pątlikiem i czarnym welonem, ale bardzo jasną twarz zostawiła odsłoniętą. Owal miała idealny, rysy rzeźbione, oczy koloru młodych listków buka, ogromne i lśniące.

Joanna, hrabina Kentu. Jeśli wierzyć plotkom z kuchni w pałacu Havering, dama przewrotna i rozwiązała.

Z jednego z wozów wyskoczyły trzy pieski i wesoło poszczekując, przybiegły do swej pani. Sokół też przyjechał. Siedział na podróźnej żerdzi i patrzył na mnie jakby ze złością. Było też zwierzę całkowicie mi nieznane. Jasnobrązowe jak koń, z jasnymi ślepiami, długim ogonem i... rękami! Tak! Miało normalne dłonie, palce! Wokół pyska miało kołnierz z włosów, a na szyi złotą obrozę, z której zwisał łańcuch przyczepiony do rzeźbionej rozporoki z boku lektyki. Od tego zwierzęcia nie mogłam oderwać oczu. Było tak bardzo niezwykle, że zachwyciło mnie, a zarazem wzbudziło lęk.

Stworzenie było nie tylko przedziwne, ale i pełne wigoru, bo nagle podskoczyło i wydając z siebie ochryple okrzyki i wymachując rękoma, pobiegło przed siebie, ku zakonnicom, które wyległy na dziedziniec, by powitać gościa. No i w efekcie mniszki od świętego Benedykta z przeraźliwym piskiem się rozpierzchły. Trzy pieski zajazgotały i też uciekły. A kiedy zwierzę przebiegało koło mnie, pojęłam, co to jest. Przecież to małpa!

Błyskawicznym ruchem złapałam za koniec łańcucha, który jakimś cudem odczepił się od lektyki, a małpa siłą rzeczy musiała się zatrzymać tuż koło mnie, wydając te swoje przedziwne piski i okrzyki. Wyszczrzyła ostre zęby, ale tego się nie przelekłam, tylko chwyciłam ją za ręce. Tak! Przecież nie była duża, miała cienkie kosteczki i nieprawdopodobnie miękkie futerko. Wczepiła się tymi swoimi paluszkami w mój

welon, piszczała, ale ja nie puszczałam, czując jednocześnie, że oblewam się purpurą. Przecież oczy wszystkich zwrócone były ku mnie. Tak właśnie było...

Zadrżałam, jakbym znowu poczuła bolesne drapnięcia pazurków małpy. A przecież to dawne dzieje. Teraz siedziałam w cuchnącej roztopionym łojem kuchni, cięłam knoty i cięłam, i maczałam, maczałam. Ale to się wydarzyło przed kilkoma laty. Złapałam małpę Nadobnej Joanny. I wcale nie był to impuls, jak wtedy, gdy podtrzymałam upadającą królową. Przeciwnie, złapałam małpę świadomie, widząc w tym jedyną szansę, że ktoś wreszcie mnie zauważy i coś w moim życiu się zmieni. I wcale nie żałowałam mego postępu, nawet wtedy, gdy zauważyłam, że dama przygląda mi się wprawdzie bardzo bacznie, ale bez cienia życzliwości. Patrzyła tak, jakby oglądała tłustego karpia wyłożonego na straganie.

Próbowałam złożyć ukłon. I złożyłam, lecz naturalnie był to ukłon bardzo niezręczny, miałam przecież na ręku rozgniewaną i piszczącą małpę.

- O proszę! - powiedziała dama, a jej usta rozciągnęły się w czymś, co od biedy można by uznać uśmiechem, jednak spojrzenie pozostało chłodne. - Zdziwiłaś mnie! - Uśmiech poszerzał, stał się olśniewający i skrzący jak lód w zamrożonej kałuży zimowego poranka. Spojrzenie też wciąż było lodowate. - Potrzebuję kogoś do posług. Ty będziesz to robić. - Uniosła rękę we władczym geście na znak, że sprawa już przesądzona. - Chodź ze mną. I nie puszczej magota.

Więc poszłam za nią tak bardzo przejęta, że w gardle mi zaschło. Niepojęte! Zostałam wybrana na służącą! Ja! Właśnie ja! Będę usługiwać damie, która sama mnie wybrała. Co prawda tylko przez krótki czas, ale była to szansa, której nie wolno zmarnować. Szansa, by wreszcie stać się kimś innym.

Szłam za damą, kurczowo trzymając małpkę za luźną skórę na szyi ozdobionej złotem. Trzymałam niedługo, bo kiedy tylko weszliśmy do komnat, w których zwykle zatrzymywali się goście przybywający do klasztoru, małpa wyrwała mi się i wskoczyła na haftowaną zasłonę łoża, zatapiając ostre zęby w adamaszku. Ja natomiast przystanąłam w progu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Weź to! - padł pierwszy rozkaz.

Dama cisnęła na podłogę haftowane rękawiczki, a ja oczywiście miałam je podnieść. Welon i podwika również sfrunęły na podłogę, chociaż były z najdroższych tkanin. Podskoczyłam, nachyliłam się i podniosłam wszystko z podłogi.

Była to moja pierwsza lekcja o tym, co ma robić służąca damy. Na koniec płaszcz spłynął wprost do moich rąk. I stałam tak z naręczem najdroższego przyodziewku, nie mając pojęcia, co z tym zrobić, bo dama nie raczyła udzielić jakichkolwiek wskazówek. A ja, wystraszona jej zachowaniem, nie miałam śmiałości się zapytać.

- Na litość boską! - wreszcie wyrzuciła z siebie tak lekko i obojętnie, jakby niewiele sobie robiła z tej najwyższej instancji, do której się zwracała. - Czyż naprawdę muszę mieszkać w tych ponurych izbach? Przecież tu gorzej niż w lochach Tower! - Sięgnęła po szkatułkę z klejnotami, otworzyła ją i wybuchnęła śmiechem, ale takim bardzo nieprzyjemnym. - Ty zapewne nie wiesz, kim jestem, bo niby skąd no-wicjuszka z klasztoru w zapadłej dziurze miałaby to wiedzieć? Ale się dowiesz. W ciągu dwunastu miesięcy całe królestwo będzie miało sposobność poznać prawdę o tym, kim jestem!

Ta zjadliwość całkowicie nie pasowała do słodkiej twarzy. A zachowywała się okropnie! Gdy z rozmachem cisnęła szkatułkę na łożo i na wzorzystą kapę wypłynął skrzący się potok drogocennych błyskotek, z ust hrabiny wypłynęło wcale nie ciche przekleństwo, po czym, wbijając we mnie wzrok, prawie wysyczała:

- Jestem Joanna, hrabina Kentu. Jak dotąd. Bo niebawem zostanę żoną księcia Edwarda, przyszłego króla Anglii.

Nie wiedziałam o niej nic, tak samo jak o księciu, który miał być następnym królem. Wiedziałam tylko, że zostałam wybrana na służącą damy. Pękałam z dumy! Niestety, jak się potem okazało, powodu ku temu nie było.

Z wielką ochotą zostałam niewolnicą hrabiny, z racji swej urody zwanej nadobnym dziewczęciem z Kentu. Dziewczęciem nie była już od dawna, ale urodą nadal błyszczała, i właśnie z tego była znana w całym królestwie, co zresztą skwapliwie mi przekazała.

Zostałam więc służącą owej nadobnej damy. Kiedy mnie potrzebowała, podzwaniała srebrnym dzwonkiem, niewielkim, ale zadziwiająco głośnym. I słyhać go było bardzo często.



- Weź tę suknię i wytrzep. Starannie, bo na dole jest bardzo zakurzona.

Wytrzepałam, oczywiście bardzo starannie.

- Narwij mi lawendy. Macie chyba lawendę w klasztorным ogrodzie? I odszukaj w skrzyniach moje futra. Nie będę ich przecież nosić jeszcze przez kilka miesięcy.

Ogołociłam więc z lawendy grządkę siostry Margery, która zawiadywała infirmerią, mimo że mogła mnie spotkać za to surowa reprimenda.

- Zabierz stąd to nieboskie stworzenie! - Chodziło naturalnie o małąkę. - Zanieś ją na dziedziniec. Od tych jej pisków i gładzenia głowa mi już pęka! I przynieś wody. Ma być cała miska. Ale gorącej wody! Nie zimnej, jak poprzednim razem. A potem przynieś mi inkaust i pióro.

Hrabina Joanna była bardzo wymagającą panią, ale niezbyt się tym przejmowałam. Najważniejsze było to, że wreszcie rozwarło się przede mną okno na zachwycający świat królewskich komnat.

- Uczesz mnie!

Więc czesałam. Najpierw ostrożnie wyjmowałam z włosów wplecione czerwone i złociste sznury, potem czesałam grzebieniem z kości słoniowej, żałując bardzo, że sama takowego nie posiadam.

- Ostrożnie, dziewczyno! - Paznokcie damy wbiły się w moją rękę. - Nie dość, że głowa mi pęka, to jeszcze robisz wszystko tak niezręcznie!

Hrabinę Joannę głowa bolała bardzo często, dlatego szybko pojęłam, że należy poruszać się prawie bezszelestnie, a najlepiej jak najszybciej schodzić jej z oczu. Ale i tak bez przerwy wzywała mnie do siebie. Kazała się wynosić, a po chwili znów słychać było srebrny dzwoneczek.

A pewnego dnia zdarzyło się coś, co dla moich naiwnych oczu było wielkim wstrząsem.

Hrabina Joanna zażyła kąpieli!

Była to prawdziwa ceremonia. Ja stałam, trzymając w ręku świeżo upraną koszulę i ręcznik z szorstkiego płótna, a hrabina Joanna, wykazując się całkowitym brakiem skromności, zdjęła z siebie wszystko. A tak, ukazała się moim oczom naga jak ją Pan Bóg stworzył! Byłam tym tak bardzo wstrząśnięta, że w pierwszej chwili miałam wraże-

nie, jakbym i ja została całkowicie pozbawiona przydzwiewku. Nigdy dotąd przecież nie widziałam człowieka obnażonego. Zakonnica nigdy nie zdejmuje koszuli. Śpi w niej, w koszuli też myje się moką szmatką zmoczoną w wodzie. I w koszuli umiera. Nagość w oczach Boga to wielki grzech. Jednak w oczach hrabiny Joanny absolutnie nim nie był. Olśniewająco naga wstąpiła do balii wypełnionej pachnącą wodą i myła się, a ja stałam, czekając, kiedy każe podać sobie ręcznik. I gapiłam się.

- Co z tobą, dziewczyno? - zapytała po chwili jakby rozbawiona. - Nigdy nie widziałaś obnażonej kobiety? Och, pewnie tak, skoro żyjesz wśród tych staruch! - Zaśmiała się.

Śmiech to miły dźwięk, człowiek zwykle ma ochotę zawtórować, ale kiedy śmiała się hrabina Joanna, wcale nie było mi do śmiechu. Bo jej śmiech zawsze był podprawiony złośliwością.

- Obnażonego mężczyzny też nigdy nie widziałaś, prawda? - spytała po chwili i znów się zaśmiała. A potem ziewnęła szeroko, przeciągając się przy tym, i z tej to przyczyny jej krągłe piersi na moment znalazły się nad powierzchnią wody. - Umyj mi głowę.

Umyłam.

Potem hrabina otulona w miękką szatę i z mokrymi włosami opadającymi na ramiona poszperała w jednej ze skrzyń i wyjęła z niej zwierciadło. Podeszła z nim do okna, bliżej światła, i zaczęła się przeglądać. Po chwili uśmiechnęła się z zadowoleniem. Bo niby dlaczego miało być inaczej?

A ja nie mogłam oderwać oczu od niewielkiego błyszczącego przedmiotu w srebrnej ramce. Hrabina musiał wyczuć mój wzrok, bo spytała:

- Co tak się patrzysz? - Speszona tylko pokręciłam głową, a hrabina rzuciła zwierciadło na łożo. - Ach, nie będziesz mi już potrzebna. Idź sobie. Przyjdź zaraz po komplecie.

Ale ja nie ruszałam się z miejsca. Bo palce mnie świerzbiły, by dotknąć tego cuda w srebrnej ramce.

- Milady... to zwierciadło...

- Tak. A o co chodzi?

- Czy... czy mogłabym się przejrzeć?

Nie zdążyłam umknąć. Uderzyła mnie w twarz, i to tak mocno, że zachwiałam się i na moment zabrakło mi tchu.

- Cóż za zuchwałość! - wykrzyknęła, ale zaraz potem spojrzała na mnie jakoś tak uważniej. Cienkie brwi uniosły się, tworząc dwa idealne łuki. Kąciki ust też się uniosły w takim niby-uśmiechu, oczywiście złośliwym. - Skoro tak bardzo chcesz...

Ostrożnie wzięłam zwierciadło do rąk i spojrzałam na swoje odbicie, o wiele wyraźniejsze niż w wodzie w misce. Spojrzałam i zamarłam na moment, potem bez słowa, bo nie byłam w stanie nic z siebie wykrztusić, odłożyłam zwierciadło na łożo.

- Spodobało ci się to, co zobaczyłaś? - spytała hrabina rozradowana moim upokorzeniem.

- Nie - wyszeptałam z trudem, bo w gardle mi zaschło. Niestety to, co kiedyś zobaczyłam w wodzie, było prawdą, a to, co zobaczyłam w zwierciadle, było tylko bolesnym potwierdzeniem jakże gorzkiej prawdy, że wyglądam właśnie tak. Oczy ciemne, bez żadnej głębi i blasku. Jak woda w bezksiężycową noc. Brwi gęste, bardzo czarne, jakby nakreśliły je inkaustem niezręczne palce. Twarz kwadratowa, o bardzo mocno zarysowanych szczękach. Wydatny nos i szerokie usta. Wszystko było... takie duże. Dobrze, że przynajmniej włosy zakryte...

Jestem brzydka, brzydka jak robak. W niczym nie przypominam czerwono-złotej, białoskórej piękności, która uśmiechała się triumfująco.

- A czego się spodziewałaś, dziewczyno?

- Sama nie wiem.

- Nie kłam. Spodziewałaś się ujrzeć kogoś, za kim oglądają się mężczyźni, nieprawdaż? Naturalnie, że tak, bo każda by tak chciała. Kobiecie wiele się wybacza, ale braku urody nigdy. A już tak brzydkiej jak ty na pewno nie.

Słowa okrutne, wypowiedziane dobitnie i niewątpliwie z rozmysłem. Wtedy pojęłam, dlaczego na swoją służkę wybrała właśnie mnie. Nie miało to nic wspólnego z zachowaniem kapryśnej małpy czy moimi predyspozycjami. Wybrała mnie, bo jestem brzydka. Brzydka jak noc i nieokrzęsana, więc na tym tle jej uroda, wytworność, ogłada mogły rozbłysnąć jak najjaśniejsza gwiazda. Joanna, hrabina Kentu.

Myślę, że to właśnie wtedy, kiedy mnie olśniło i wszystko sobie przemyślałam, znenawidziłam ją na całe życie.

A potem raptem koniec.

- Wyjeżdżam - oświadczyła hrabina.

Stało się to po trzech tygodniach jej pobytu w klasztorze, mimo wszystko najbardziej zachwycających i ekscytujących tygodniach w moim dotychczasowym życiu. Dlatego z wielkim smutkiem patrzyłam, jak po raz wtóry przed klasztor zajeżdża wspaniała lektyka otoczona konnymi.

Hrabina siedziała w swej sypialni, na krześle z wysokim oparciem. Stopy w pozłaczanych trzewikach ustawione równiutko obok siebie oparte były na stołeczku. A dookoła wszyscy się krzątali, zajęci pakowaniem.

- Na Boga! Jakże jestem szczęśliwa, że opuszczam te okropne, przytłaczające mury! Gdyby zdarzyło mi się tu umrzeć, pewnie nikt by się o tym nie dowiedział! A ty, Alice, trzeba przyznać, na coś jednak mi się przydałaś, więc powinnam cię wynagrodzić. Ale nie wiem jak...

- Spódnice zaszeleściły, gdy hrabina wstała z krzesła. - Weź to pudło. i magota.

Jakoś udało mi się wziąć małpę na ręce, choć nie obyło się bez kilku ugryzień. Ale nie zwróciłam na to uwagi, bo głowę miałam zajęętą czymś innym. Chciałam hrabinę o coś spytać, i to koniecznie, bo drugiej sposobności już nie będzie.

- Milady...

- Nie mam czasu! - Szła już ku drzwiom.

- Milady, czy może mi pani powiedzieć, co kobiecie daje... władzę? Zatrzymała się, powoli odwróciła na pięcie i zaśmiała cicho, a w jej spojrzeniu było tyle pogardy, że aż poczerwieniałam.

- Władzę? A cóż taka istota jak ty może wiedzieć o prawdziwej władzy? Nic! A gdybyś nawet jakimś cudem ją posiadała, czy wiedziałabyś, co z nią zrobić? Wątpię!

- Ale mi chodzi o inną władzę, o władzę nad sobą, nad swoim życiem!

- wyjaśniłam żarliwie. - Żeby mieć w sobie taką siłę, która pozwoli samemu wybrać sobie drogę życia.

- O to ci chodzi... - Znów się uśmiechnęła, tym razem szyderczo, przecież mną gardziła, jak każdym, kto był urodzony od niej niżej.

- Takiej siły to ty nigdy mieć nie będziesz, bo swojego stanu nigdy nie zmienisz. Jedyne, co możesz osiągnąć, to kiedyś zostać ksienią tego

klasztoru. Ale to też raczej niemożliwe. Jeśli nie ma się dobrego urodzenia, bardzo pomocna kobiecie jest uroda, ale Bóg ci jej poskąpił... Tak... Ty możesz osiąść tę siłę tylko w jeden sposób... Chyba... - Uśmiech znikł z twarzy hrabiny. Czyli jednak udało mi się zmusić ją do myślenia. - Wiedza - oświadczyła po chwili.

- Wiedza? Wiedza daje siłę?

- Tak, jeśli to, co wiesz, jest ważne dla kogoś innego.

Wiedza. A czegoż to ja mogłam nauczyć się w klasztorze? Czytać, pisać, kopać w ogrodzie, pomagać w infirmerii i czyścić srebrne naczynia mszalne.

- Ale... wiem tak niewiele.

- A na tę przypadłość to już nic nie poradzę. Chociaż coś ci jeszcze powiem. Kobieta powinna być dwulicowa. Tak, właśnie dwulicowa, bo dzięki temu może wykorzystać to, czym obdarzył ją Stwórca. Osiągnie bardzo wiele, jeśli nauczy się przebiegłości, podstępnych działań, intryg. Ot, cała prawda! - wyrzuciła z siebie jednym tchem, po czym podeszła do mnie i wyszeptła wprost do ucha: - Jeśli potrafisz być właśnie taka, wytworzysz w sobie siłę, która pomoże ci dojść do celu bez względu na to, ilu napotkasz po drodze wrogów. Bo na pewno napotkasz. W ciągu mego życia narobiłam sobie wielu wrogów, ale w dniu, w którym poślubię księcia, będą znaczyć dla mnie tyle, co plewy na wietrze. Będę śmiać im się w twarz, śmiać się z tego, co o mnie gadają. Zapamiętaj więc, dziewczyno! Jeśli chcesz się wspiać, nie możesz być święta. A musisz coś ze sobą zrobić, bo inaczej do końca swych dni będziesz tkwić w tym klasztorze, który dla mnie jest wielkim kamiennym grobowcem. Będziesz tu, póki nie włożą ci szaty grobowej i nie owiną całunem.

- Och nie! - Byłam bliska łez, bo ponura wizja hrabiny Joanny za-kłuła bardzo boleśnie, jak wyjątkowo dobrze wyostrzone pióro. - Ja... ja na pewno stąd ucieknę.

Nigdy dotąd tej myśli nie ubrałam w słowa, nigdy dotąd nie wypowiedziałam jej na głos. Dopiero teraz uleciała ze mnie nabrzmiała rozpacz. Była to myśl o czymś, co zdawało się niemożliwe, ale przytłoczona ogromem tego wszystkiego, czego mi brak i czego pragnę, ubrałam ją w krótkie buntownicze zdanie.

I znów przywołałam ten szyderczy śmiech.

- Uciekniesz? Och, daruj sobie - drwiła hrabina. - Kiedy tak na ciebie patrzę, jestem prawie pewna, że tkwić tu będziesz do grobowej deski. Przecież nie masz nic, więc nawet jeśli uciekniesz, to z czego będziesz żyć? Musiałabyś wystarać się o męża, ale nie sądzę, by poszło ci to gładko... Możesz zostać nierządnicą, ale wtedy czeka cię krótkie, burzliwe, pozbawione wszelkiej stabilności i bardzo niebezpieczne życie. Takiego losu nikomu nie życzę, lepiej już pozostań zakonnicą.

Odsunęła mnie na bok i wyszła z komnaty, podążając na dziedziniec. Ja za nią, z małpą w objęciach. Wsiadła do lektyki, a kiedy wkładałam tam małpę, usłyszałam wyrok ostateczny:

- Nie ludź się, twoje życie i tak zawsze niewiele będzie warte. - Po czym hrabina dodała już z uśmiechem: - Wiem już, jak ciebie wynagrodzić. Weź magota. Będziesz miała z nim trochę zabawy, a dla mnie ta małpa to tylko utrapienie.

I małpa została wyrzucona z lektyki prosto w moje ramiona.

Lektyka znikła w tumanach kurzu unoszącego się spod kopyt lśniących koni, uwożąc hrabinę Joannę razem z pieskami, sokołem i tym wszystkim, co wprowadziło taki zamęt do mej duszy. Ale nie zapomniałam o niej, ponieważ to ona rozpałała moją wyobraźnię. A rozpałała ją aż tak bardzo, że stało się to niemal udręką. Nic jednak nie mogłam na to poradzić, skoro ambicja przewrotną ręką złapała mnie za ramię niebezpiecznie mocno i nie miała najmniejszego zamiaru puścić.

Niewiele warte! Moje życie! Zawsze!

Kiedy klęczałam razem z siostrami podczas komplety, zaprzeczałam temu z największą determinacją. Jestem bardzo młoda, na pewno coś warta, na pewno zrobię coś ze swoim życiem...

Tak przed laty było...

I nie spełniło się twoje proroctwo, hrabino!

Uśmiechnęłam się do siebie, mimo że przebrzydły zapach łoju miałam już nie tylko w nosie, lecz i w gardle. Uśmiechnęłam, bo mimo bardzo niepochlebnych słów hrabiny, cudownym zrządzeniem losu udało mi się umknąć z klasztoru. Nie tylko umknąć, ale także przenieść się do królewskiego pałacu!

Byłam tak rozradowana, że nawet zaczęłam coś tam sobie cichutko nucić. Bo nie jestem tam, lecz tutaj, w Havering-atte-Bower, i wcale nie jest powiedziane, że to koniec, że osiągnęłam już szczyt. Być może

łaskawy los znów się do mnie uśmiechnie i wskaże mi drogę kolejnej ucieczki od tego piekielnego żaru i smrodu. I wreszcie będę mogła rozwinąć skrzydła.

Kiedy odsuwałam nogą jedno z kuchennych kociąt, które uczepiło się mej spódnicy, ochota do podśpiewywania raptem przeszła. Wystarczyła bowiem chwila nieuwagi, i gorący, roztopiony łój prysnął na rękę. Syknęłam z bólu, podmuchałam w obolałe miejsce. I dalej, już jednak nie podśpiewując, rozmyślałam o hrabinie, teraz już księżnej, która po powrocie z Akwitanii niewątpliwie zawita do pałacu w Havering. Cały rozbawiony dwór będzie emablował pełną życia i wdzięków świeżo upieczoną księżną, a wszystkie cnoty przekwitającej królowej okażą się niczym wobec blasku rozsiewanego przez księżną Joannę. Na pewno tak się stanie. Królową przyćmi kobieta niedorastająca jej do pięt. I trochę żal Jej Królewskiej Mości. Ale czyż nie taki jest porządek rzeczy?

- Zastanówmy się przez chwilę - powiedziałam do kotka, który wczepił się pazurkami w trzewiki. - Cnota czy ambicja? Dobroć czy doświadczenie życiowe? Sama nie wiem... A szkoda, wielka szkoda...

Złapałam kotka na rękę i nie bacząc na rozpaczliwe miauczenie, zamknęłam go w komórce, po czym udałam się tam, skąd dobiegały gniewne nawoływania pana Humphreya, lecz nadal byłam pochłonięta tym dylematem. Cnota to coś pięknego, potrafi jednak być czymś tak siernieżnym jak talerz z chlebem upieczonym przed wieloma godzinami. A ambicja? O, to całkiem coś innego! To bażant na królewski stół, soczysty bażant, którego pan Humphrey gotował w winie przyprawionym korzeniami.

A co stało się z małpą? Matka przełożona kazała zanieść ją do infirmerii i zamknąć w komórce. Nigdy więcej jej nie widziałam, czego zresztą nie żałowałam, zważywszy na jej upodobanie do gryzienia.

Małpa... Znów się uśmiechnęłam. Gdybym miała ją tutaj, kazałabym jej pogonić Sima. Oj, miałby się z pyszna! A ja śmiałabym się do rozpuku...

I nagle los zgotował przerażającą niespodziankę, a stało się to po dwóch tygodniach, kiedy na dobre zadomowiłam się w kuchni w Havering. Tamtego feralnego dnia przydzielono mi bardzo niewdzięczną robotę, mianowicie miałam wyszorować pniak, na którym krajano mięso.

Na tym nie koniec, bo pan Humphrey niemal krzykiem wydawał dalsze polecenia:

- A kiedy to zrobisz, przynieś ze spiżarni szalotki. Cały koszyk! I poszukaj w ogrodzie szaławii. Chyba wiesz, jak wygląda?!

Każdy głupek wie, jak wygląda szaławia! - chciałam mu odpyskować, ale oczywiście tylko pomyślałam, nerwowo skubiąc trzymaną w rękę ścierkę. Już nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie skończą się dla mnie te wrzaski, ten żar, ten zapach świeżej krwi.

- Aha! Jak będziesz w ogrodzie, to narwij jeszcze szczypiorku! Byłam już prawie w drzwiach, kiedy raptem ktoś złapał mnie za nadgarstek tak niespodziewanie, że omal nie upadłam. Ale i tak skutki były fatalne, bo zachwiałam się i wpadłam prosto w objęcia Sima.

- O proszę! Oto nadobna pani Alice, która zawsze zadziera nosa! Poderwałam ręce, żeby zatkać uszy, bo miałam już po dziurki

w nosie tych jego zaczepek. Naturalnie złapał mnie za dłonie, więc zatkać uszu nie mogłam. Sim był bardzo natrętny, na szczęście jak dotąd zawsze udawało mi się go odpędzić. Ale nie zniechęcić, choć miał już na rękę czerwony znaczek, pamiątkę po nożu. Drasnęłam go oczywiście ja, kiedy próbował zadrzeć mi spódnicę.

- Daj mi spokój, ty ciemnego! - warknęłam, ale oczywiście nie puścił, tylko zgodnie ze swoim obyczajem przyparł mnie do ściany, wsuwając kolano między moje nogi. - Gdybym tylko mogła, wytrzebiłabym ciebie jak warchlaka! - Ugryzłam go w rękę.

Sim, o tyle przecież ode mnie silniejszy, zaśmiał się i wsunął rękę za me plecy. Czułam i słyszałam, jak rozdziera mi suknię, szarpie za koszulę...

I właśnie wtedy to się stało. Różaniec! Bezcenny dar od królowej, zawieszony na szyi, ukryty pod suknią. Nigdy się z nim nie rozstawałam, lecz kiedy Sim szarpał mnie tymi swoimi łapskami, cienki sznurek, na który nanizane były paciorki, pękł, a różaniec ześlizgnął się na podłogę.

O Matko Przenajświętsza! Szarpnęłam się z całej siły, dzięki czemu uwolniłam się z łap Sima, po czym przykucnęłam, by jak najszybciej zgarnąć z podłogi królewski dar. Niestety Sim był szybszy. To on zgarnął różaniec z podłogi i uśmiechając się triumfująco, podniósł go tak wysoko, bym nie mogła go dosięgnąć.

- Oddaj mi go!



- Oddam, ale najpierw ty mi się oddasz!

- Nigdy w życiu! - Wrzeszczałam, jednocześnie wlepiając oczy w różaniec. Może uda mi się podskoczyć, wyrwać go z jego łap...

Niestety Simowi, kiedy spojrzał na różaniec bardziej wnikliwie, oczy rozbliły.

- Ej że! Czy mnie wzrok nie myli? To warte jest całkiem sporo! Udało mi się w końcu złapać za różaniec, ale co z tego, skoro Sim

nie wypuścił go z rąk. Zaczął uciekać, ja biegłam za nim, dalej uwieszona różańca. Puściłam dopiero wtedy, gdy potknęłam się i omal nie upadłam.

I wtedy usłyszałam ryk pana Humphreya:

- Co tu się dzieje?!

- A to, że ktoś tu kradnie - oznajmił Sim.

- A pewnie! Przecież nie dalej jak przed godziną przydybałam cię, jak opychałeś się serem!

- Tu nie chodzi o ser, panie Humphrey! - odparł Sim, uśmiechając się chytrze.

I raptem wokół nas pojawiła się cała zgraja kuchcików, którzy wykrzykiwali złośliwie:

- Złodziejka! Złodziejka!

- Nie jestem złodziejką! - wrzasnęłam, kopiąc Sima w kostkę. - Puść mnie!

- Ty wiedźmo! - wydarł się, łapiąc mnie jeszcze mocniej. - A nie mówiłem, że nie można jej wierzyć?! Bo tak zadziera nosa! A teraz sami widzicie! To złodziejka! Ukradła to!

Podniósł wysoko rękę, by każdy mógł zobaczyć skrzące się złocone cacko owinięte wokół jego brudnych palców.

A mnie rozsadzał gniew. Jak on śmiał pomawiać mnie o kradzież! Zabierać to, co należy do mnie!

- Złodziejka!

- To kłamstwo! Nic nie ukradłam!

- Więc skąd to masz?

- Słuchajcie! - wreszcie ktoś ujął się za mną. - Przecież przyjechała tu z klasztoru, może tam dali jej ten różaniec!

I znów zagrzmiął pan Humphrey:

- Sprowadźcie Joscelyna! Niech on rozsądzi. Bo mnie robota goni.

I wszystko potoczyło się z zawrotną prędkością, bo po chwili Josce-lyn oznajmił gromkim głosem:

- To różaniec Jej Królewskiej Mości! - Wszyscy wlepili we mnie oczy, a w każdym oku największe potępienie. - Skorzystałaś z tego, że królowa nie domaga, i ukradłaś jej różaniec!

Czyli wyrok został już wydany, ale nie zamierzałam poddać się bez walki.

- Jej Królewska Mość sama mi go dała - odparłam stanowczo.

- Ukradłaś!

- Nie!

Staralam się mówić pewnym tonem, ale jak najspokojniej, choć byłam strasznie roztrzęsiona. Bałam się tak bardzo, że trudno mi było zebrać myśli. Bo tu, w Havering, choć wybaczano wiele, kradzież uznawano za wielkie przewinienie, a okradanie królowej to był już grzech najcięższy. Po raz pierwszy uprzytomniłam sobie, jak wielkim szacunkiem darzona jest nasza monarchini. Wszędzie, nawet tutaj, w kuchni, komórkach i spiżarniach.

Moje spłoszone spojrzenie przemknęło po otaczających mnie ludziach. Wszyscy spoglądali na mnie z największą odrazą, a na twarzach Sima i tej jego zgrai oprócz odrazy widniał także zachwyt. Radowali się przecież moim upadkiem.

- Gdzie marszałek dworu? - spytał Joscelyn.

- W kaplicy - pisnął jeden z kuchcików.

Sir Joscelyn, w jednym ręku ściskając różaniec, w drugiej trzymając w żelaznym uścisku moją rękę, pociągnął mnie za sobą do prezbiterium w królewskiej kaplicy, gdzie dwóch służących bardzo ostrożnie zdejmowało z wózka rzecz niemałą i osobliwą. Był to zlepek różnych części, żelaznych i drewnianych, w których na moje oko przeważały kółka. Czynili to pod baczным nadzorem lorda Herberta, marszałka dworu królewskiego, którego słowo na tymże dworze było prawem.

I pod baczным okiem Jego Królewskiej Mości. A tak, bo król we własnej królewskiej osobie stał obok marszałka.

Sir Joscelyn skłonił się i przemówił:

- Wasza Królewska Mość... Lordzie Herbercie...

- Nie teraz, nie teraz!

I król, i marszałek byli całkowicie pochłonięci tym, co działo się przy wózku, więc sir Joscelyn nie odezwał się już ani słowem. Wszyscy zamarli na kilka chwil, aż wreszcie to coś zostało ostrożnie ustawione na posadzce.

- Dobrze - powiedział król, odwracając się i spoglądając na natrętów, czyli na nas.

A ja zadrżałam. Boże wielki! Przecież zaraz zostanę oskarżona przed obliczem samego monarchy!

Dowód mego przestępstwa okazano królowi, który obejrzał różaniec i potwierdził, kto jest jego właścicielką. A ja drżałam już jak liść osiki na porywistym wietrze, kiedy lord Herbert osądził, potępił i skazał mnie na zamknięcie w piwnicy, absolutnie nie słuchając tego, co próbowałam mu przekazać. A król? Było oczywiste, że cała jego uwaga skupiona jest na tym dziwowisku, które zdjęto z wózka i złożono u jego stóp, natomiast ja cierpiałam męki oskarżona o coś, czego nie zrobiłam.

Poza przerażeniem czułam też jednak, jak budzi się we mnie wielka gorycz, która miała tę błogosławioną zaletę, że w przeciwieństwie do strachu pobudzała ambicję i kazała jej przemówić. Podobnie działo się we mnie, gdy tyranizowała mnie hrabina Joanna.

A właśnie że jestem warta czegoś lepszego! - coś krzychało we mnie. Zasługuję na coś o wiele więcej! Na coś o wiele więcej niż na żywot popychadła od czarnej roboty w kazamaty kuchni pałacu w Havering. Niż na żywot wrzuconej do ciemnej piwnicy więźniarki, którą skazano za niepopelnione winy!

Dlatego musiałam zrobić wszystko, by zwrócić na siebie uwagę Jego Królewskiej Mości. Tak. Wszystko, po prostu wszystko!

- Wasza Królewska Mość! Ośmielam się prosić, byś wysłuchał mnie, panie. Przybyłam tu na rozkaz Jej Królewskiej Mości, która posłała po mnie. A ten prostak... - zawiesiłam na moment głos i wycelowałam palcem w Sima -...ten prostak, który zasługuje tylko na to, by przepędzić go na cztery wiatry, śmie nazywać mnie złodziejką!

- A tak, istotnie... - mruknął król.

Czyli niby mnie słuchał, ale tak naprawdę myślał o czymś innym. Więc napadłam na monarchę ponownie:

- Wasza Królewska Mość, błagam o sprawiedliwość! Nikt nie chce mnie wysłuchać. Czy dlatego, że jestem niewiasta?! Panie, okaż swą łaskawość!

Wreszcie spojrzenie monarchy spoczęło na mnie, rozległy się też jego słowa:

- Król zawsze jest sprawiedliwy.

- Ale sprawiedliwość do kuchni nie dociera, panie! Ci nicponie mają ją za nic. Sprawiedliwość? Dla nich to kupa łajna, którą któryś z nich zostawił w ciemnym kącie! - A tak, właśnie tak to ujęłam! Ale podczas tych dwóch tygodni pobytu w pałacowej kuchni niejedno słyszałam, więc język bardzo mi się wzbogacił. A że odezwałam się mało wytwornie? Nie szkodzi. Najważniejsze, że na tyle kwieciście i dosadnie, bym wreszcie zwróciła na siebie uwagę króla.

- Tak powiadasz? W takim razie należy ci się jakieś zadośćuczynienie z mojej strony - oświadczył nie bez sarkazmu, choć tak czy inaczej zapalił we mnie iskierkę nadziei. - Czy ukradłaś, dziewczyno?

- Ależ nie! - odparłam chyba zbyt głośno i wyraźnie, zbyt autorytatywnie, choć przecież doskonale czułam powagę królewskiego majestatu. Ale inaczej być nie mogło, skoro strach przed ciemną piwnicą pełną szczurów był silniejszy niż wszystko. - Mam prawo posiadać ten różaniec! Pan Wykeham wie, że go nie ukradłam. Gdyby Wasza Królewska Mość raczył go spytać...

- Wykeham pojechał do Windsoru.

Czyli tylko w niej moja ostatnia nadzieja, wyrzuciłam więc z siebie:

- Ale Jej Królewska Mość też wie, że tego nie uczyniłam! Lecz ostatnia nadzieja również prysła, bo usłyszałam:

- Jej Królewska Mość bardzo niedomaga. Nie będziemy zakłócać jej spokoju. Lordzie Herbercie, pamiętaj, żeby nie niepokoić królowej tą sprawą.

Czyli żadnej nadziei. Ogarnęła mnie mroczna pewność, że równie mroczna piwnica nieodwołalnie jest mi sądzona. Byłam zrozpaczona, gotowa krzyczeć z rozpacz, gdy nagle zdarzył się cud.

- A czymże to nie wolno mnie niepokoić, Edwardzie?

Ten cichy, melodyjny głos... A wraz z nim iskierka nadziei znów rozbłysła.

Sir Joscelyn i lord Herbert skłonili się nisko, a król ruszył do królowej, przechodząc koło mnie tak blisko, że otarł się o mnie królewską szatą. Podeszedł do małżonki, wziął ją za rękę i poprowadził ku jednej ze stali. Twarz króla teraz całkiem inna. Przedtem wyrażała zniecierpliwienie, a teraz największą czułość, jakby był sam na sam ze swoją królową. A ona uśmiechała się do niego, obejmując dłońmi jego dużą dłoń. Drobnym gestem, a znaczącym tak wiele! Gest tak porywający, że zapatrzona w królewską parę na krótką chwilę zapomniałam o swoim nieszczęściu.

Król pocałował królową w policzek.

- Filipo, miła moja... Starczyło ci sił, by tu przyjść? Powinnaś wypoczywać!

- Robię to bez przerwy już od tak dawna - pogodnie odparła nasza pani - a bardzo chciałam zobaczyć ten zegar.

- Ale wyglądasz mizernie.

- Och, Edwardzie! Nie wydziwiaj. Czuję się o wiele lepiej. Niestety jej ziemista, ściągnięta twarz świadczyła, że wcale tak nie jest.

- Usiądź, moja droga - powiedział król, podprowadzając ją do wyściełanego krzesła. - A jak tam plecy? Bolały?

- Tak. Ale nie jest najgorzej. - Na pewno bolały, ponieważ usiadła nienaturalnie prosto. Lewa ręka też musiała boleć, bo zgięła ją, a łokieć oparła na dłoni drugiej ręki. - Bardzo ciekawe - powiedziała, wpatrując się w to coś, co, jak już wiedziałam, było mechanizmem wspaniałego czasomierza. - Kiedy ten zegar zacznie chodzić? - Dopiero po tym pytaniu zdała sobie sprawę, że w kaplicy jest jeszcze kilka innych osób.

- Czy coś się stało?

Lord Herbert odchrząknął, po czym omiatając mnie złym wzrokiem, oznajmił:

- Tak, Wasza Królewska Mość. Chodzi o tę dziewczynę. Królowa też spojrzała na mnie, a ja omal nie umarłam ze szczęścia,

bo w jej oczach błysnęło, czyli musiała mnie rozpoznać. Co zaraz też potwierdziła:

- Alice?

- Tak, Wasza Królewska Mość! - przytaknęłam skwapliwie, składając niski ukłon. Niski na tyle, na ile było to możliwe, ponieważ lord

Herbert nadal mocno trzymał mnie za ramię, jakby bał się, że stąd umknę.

Filipa zmarszczyła czoło, niewątpliwie wyęzając umysł.

- No tak, posłałam po ciebie Wykehama. Przybyłaś tu, kiedy nie domagałam.

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Co porabiasz?

- Pracuję w kuchni.

- W kuchni? A któż tam cię wysłał? Do kuchni!

- Księżniczka Izabela - wyjaśnił skwapliwie sir Joscelyn. Oczywiście! Żeby się wybielić! - Sądziła, że taki był zamysł Waszej Królewskiej Mości.

- A ja sądzę, że mojej córce jak zwykle nie chciało się pomyśleć o czymś innym niż jej zachcianki. Szkoda, żeś ty, sir Joscelynie, nie wykazał się rozsądkiem.

Zapadła cisza, tak nieprzyjemna, przedłużająca się, aż wreszcie lord Herbert oznajmił:

- Ta dziewczyna jest złodziejką, Wasza Królewska Mość.

- Czy to prawda? - spytała królowa, spoglądając na mnie.

- Nie, Wasza Królewska Mość! - zaprzeczyłam żarliwie.

Na to król Edward wysunął przed siebie rękę, by żona mogła spojrzeć na spoczywający na jego dłoni różaniec.

- Obawiam się, że jest. Czy to twój różaniec, Filipo?

- Tak. A raczej był. To różaniec od ciebie, Edwardzie.

- Jakże więc się stało, że miała go ta dziewczyna?

- Ponieważ jej go dałam.

I tu nie wytrzymałam, choć było to z mojej strony największą zuchowałością.

- Mówiłam im, Wasza Królewska Mość! - niemal wykrzyczałam. - Mówiłam, a oni mi nie wierzą!

Król w geście niedowierzania rozłożył ręce.

- Podarowałaś ten różaniec dziewczce kuchennej? Dlaczego to zrobiłaś, Filipo?

- Och, potem ci powiem - odparła z westchnieniem. - Lordzie Herbercie, proszę ją puścić. Podejdz do mnie, Alice. Chcę spojrzeć na ciebie.

Wyciągnęła ku mnie rękę, więc zrobiłam krok do przodu i padłam przed nią na kolana, nieskończenie wdzięczna za jej łaskawość. Klęczałam, a znużone spojrzenie pozbawionych blasku oczu powoli przesuwano się po mej twarzy. Bardzo powoli, jakby jednocześnie królowej chodziła po głowie jakaś myśl natrętna, natrętna i chyba niezbyt miła, bo twarz była posępna.

Ale potem królowa nie tylko uśmiechnęła się do mnie, lecz także lekko dotknęła palcem mego policzka.

- Kto by pomyślał, że taka zwyczajna rzecz jak różaniec sprawi tyle kłopotu? Aż tyle, że potrzebny był cały dwór królewski, by tę sprawę rozwikłać? - Powoli wstała z krzesła, dając mi ręką znak, że mam podnieść się z kolan. - Dziękuję, sir Joscelynie. Dziękuję, lordzie Herbercie. Wiem, że moje dobro leży wam na sercu. Wasze starania godne są pochwały, ale ta dziewczyna na pewno nic nie ukradła. Podaj mi ramię, Alice. Trzeba to wszystko jak najszybciej uładzić.

Pomogłam jej wyjść z kaplicy i wstąpić na schody. Oczywiście byłam bardzo przejęta, starałam się zrobić to jak najzręczniejsz, skupiona całkowicie na osobie władczyni. Niemniej usłyszałam, co król wymamrotał pod nosem. A wymamrotał takie oto słowa:

- Chwała Bogu, że nie muszę zawracać sobie tym głowy...

Im bliżej byłyśmy komnat królowej, tym szybciej krew krążyła mi w żyłach z podekscytowania. Bo kimże ja będę? Zwyczajną służącą? A może spotka mnie to szczęście, że zostanę wyznaczona przez Jej Królewską Mość do osobistej posługi? Nadal trudno mi było pojąć, jak to się stało, że królowa nagle mnie zapragnęła, gdy wokół taka obfitość posiadających wielorakie umiejętności ludzi, przy których ja, Alice Per-rers, jestem niczym. Ale wezwała mnie, czyli musi mieć wobec mnie jakieś zamiary. Jakie? Nie wiadomo. Niezależnie jednak od dociekań i od tego wszystkiego, co zakryte przed moim umysłem, było oczywiste, że w moim życiu nastąpił przełom. Koniec z monotonią, koniec z harówką. Od tej chwili będzie całkiem inaczej.

Zaprowadzono mnie do komnaty, w której nikt nie mieszkał, czego dowodziły zarówno brak sprzętów, jak i kłęby kurzu unoszące się wokół sukni. Nie było tu ani łoża, ani skrzyń czy stołu. Coś jednak stało, a mianowicie wielka miedziana balia oraz kubły z gorącą wodą. Poza

tym czekały dwie młode służące, które zwykle pracowały w piwniczce z trunkami. Przekazano mnie w ich ręce, a one, uzbrojone w gorącą wodę i wielki zapal wzbogacoony niekłamana ciekawością, ochoczo zabrały się do dzieła.

Po raz pierwszy w życiu brałam kąpiel. Nigdy dotąd nie zanurzałam się cała w wodzie, a teraz zrobiłam to samo, co na moich oczach zrobiła przed laty hrabina Joanna, naga i zuchwała, tak pewna swej urody. I teraz ja też, też goła, jak mnie Pan Bóg stworzył, zanurzyłam się w wodzie jak pstrąg w wygrzanym letnim słońcem stawie. Szybko zanurzyłam aż po szyję, żeby służące nie zdążyły mej nagości zobaczyć, i zażądałam:

- Wyjdźcie stąd! Sama potrafię się wyszorować!

Ale dziewczęta, uśmiechając się głupawo, zaprotestowały:

- Mamy być z tobą! Tak kazała królowa, a królowej nie wolno się sprzeciwiać.

Cóż, miały rację, więc jedyne, co mogłam zrobić, to postarać się, by cała ta sytuacja była dla mnie jak najmniej krępująca i ponizająca. Co niestety było trudne, bo młode służące były ciekawskie i bezpardonowe, co miało taki skutek, że ochoczo wytykały mi wszystkie braki:

- Za chuda!

- Żadnych krągłości!

- Piersi prawie nie ma!

- Biodra za wąskie!

Bez żadnych skrępowań uświadamiały mi, czego brakuje memu obnażonemu ciału. Nie zamknęła im ust nawet moja ostra uwaga, że ktoś, kto tyle lat żył w klasztorze, nie może być pulchny i kobiecy. A gdzie tam! Gadały jak najęte, wyrażając się bardzo niepoohlebnie o moich spracowanych dłoniach. I kto to widział, żeby mieć tak grube i tak czarne brwi! A włosy? Nie dość, że zaniedbane, to jeszcze ciemne. A każda dziewczyna wie, że teraz ma się na głowie tylko włosy jasne. Są na to sposoby...

Nie, już się z nimi nie spierałam, tylko wzdychałam. A także marudziłam:

- O Boże... Czy musicie mnie tak mocno szorować jak kamienną posadzkę? Nie możecie delikatniej?



Co puściły mimo uszu i dalej namydlały mnie, szorowały zawzięcie, opłukiwały i wreszcie wytarły miękkim płótnem. Przy czym usta im się nie zamykały. Ja już tylko milczałam, z zamkniętymi oczami bezwolnie poddając się tym ablucjom. Dopiero kiedy poczułam, jak moje wytarte już ciało spowija coś chłodnego i nieprawdopodobnie miękkiego, uniosłam powieki i na moment zaparło mi dech. Bo coś takiego, jak dotąd, widziałam tylko raz w skrzyniach hrabiny Joanny. A teraz i mnie spowiły przepiękne i najdroższe materiały. Koszula z najcieńszego i mięciutkiego płótna, które nie uwierało przy najmniejszym ruchu. Suknia wierzchnia, obcisła na biodrach, niebieska jak płaszcz Najświętszej Pani. Suknia, którą, jak przekazały mi biegłe w strojach dziewczęta, zwie się cotehardie. Ja naturalnie o tym nie wiedziałam. Tak samo jak nazywa się jeszcze jedna suknia, wkładana na sam koniec. Surkot, czyli suknia bez rękawów, bardzo głęboko wycięta pod pachami, prawie do pasa, i obszyta szarym futerkiem. I ze ślicznym emaliowanym paskiem. Naturalnie wszystko to uszyto dla kogoś innego i już jakiś czas temu, bo miejscami trochę było wystrzępione. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Byłam w siódmym niebie, bo wszystkie te suknie były dla mnie kwintesencją kobiecej wytworności. Nigdy nawet nie marzyłam, że coś takiego będę miała na sobie, a teraz miałam! Te cuda z połyskujących, miękkich tkanin wyslizgujących się z palców. Jedwabiu, adamaszku i cieniutkiej wełenki...

Po raz pierwszy też w życiu ubrana byłam na kolorowo, w barwy najrozmaitsze, tak cudownie pobudzające zmysły. Czułam się jak drogocenny klejnot, starannie wypolerowany, by skrzył się jak najpiękniej.

A dziewczęta dalej załamywały ręce nad moimi włosami.

- Takie sztywne, grube, prawie czarne! I za krótkie. W warkocze nie zapleciesz! Wtedy wreszcie odpyskowałam:

- Lepsze to niż włosy nowicjuszek, obcięte prawie do samej skóry!

Dziewczęta, dalej narzekając, upchnęły moje sztywne włosy pod zażyłymi splotami pozłacanej siateczki i przykryły leciutkim i zwiewnym welonem z półprzezroczystego materiału. Wplotły też we włosy wstążkę, która przytrzymywała welon, nie pozwalając mu unieść się i odsłonić tego, co pod nim, czyli krótkich włosów, obecnie jedyne już tylko dowodu mojej przeszłości.

I żadnej podwiki. O nie. Przysięgałam przecież sobie, że nigdy w życiu czegoś takiego już nie będę miała na mojej głowie.

- Jeszcze to.

Włożyłam cieniutkie nogawiczki, przytrzymywane pod kolanem podwiązkami z wełny, a potem na moje stopy wsunięto miękkie trzewiki.

Wstałam, a kiedy fałdy wspaniałych sukien opłynęły moje nogi, z wrażenia przestałam oddychać. I dalej prawie nie oddychałam, gdy zrobiłam kilka pierwszych ostrożnych kroków, a fałdy, wcale nielekkie, unosiły się i szeleściły zachwycająco. Powietrza brakowało i z wrażenia, i dlatego że sznurówka w staniku sukni ściągnięta była bardzo mocno. A stanik ten był bardzo głęboko wycięty, sięgając moich mizernych piersi. Nie, wcale nie czułam się pewnie. Och, czułam się tak, jakbym to nie była ja, a co najmniej jakby mnie przebrali, bo mam wystąpić w widowisku wystawianym w klasztorze w wieczór Trzech Króli.

Czy służące królowej chodzą w tak wspaniałych szatach?!

W chwili, gdy zamierzałam sprytnie kopnąć nogą w tył, by suknia i tam ułożyła się ładnie, drzwi otwarły się i do komnaty weszła Izabela. Dziewczęta złożyły głęboki ukłon, ja również, unosząc nieco adamaszkowe fałdy, mając nadzieję, że nie robię tego za bardzo niezręcznie, gdy kłaniam się księżniczce Izabeli, której zawdzięczam dwa tygodnie upokorzeń w kuchni.

- Nawet znośnie - stwierdziła, obchodząc mnie dookoła. - Przejrzyj się. - Podsunęła mi maleńkie zwierciadło zwisające na łańcuszku przy pasku.

Och, nie! Pamiętałam przecież, jak moja próżność została surowo ukarana, i to już dwukrotnie. Dlatego teraz szybko schowałam ręce za plecy, jak dziecko przyłapanie na psocie.

- Nie, nie będę się przeglądać.

- A dlaczego? - spytała ze złośliwym uśmiechem.

- Ponieważ to, co zobaczę, na pewno mi się nie spodoba - odparłam, starając się nie umykać spojrzeniem w bok. O nie! Powiedziałam, co powiedziałam, i zrobiłam to w szczerym odruchu, bo za piękność siebie nie uważam, skoro gołym okiem widać, że nią nie jestem. Ale nie będę robić z siebie pośmiewiska, że niby uważam siebie za takie całkiem nic, i dlatego patrzyłam jej prosto w oczy.

- Może i masz rację. Bo jeszcze wiele trzeba zrobić - mruknęła Izabela.

Współczuła mi? Jeśli tak, to odrobinę, przede wszystkim jednak była zagniewana. Na pewno, bo kiedy dawała mi znak, bym szła za nią, machnęła ręką bardzo gwałtownie.

Szliśmy w idealnej ciszy jednym korytarzem i drugim, i po schodach do wielkiej komnaty na piętrze, w której królowa Filipa przesiadywała za dnia razem z damami dworu.

- Tak jak kazałaś, matko, umyły ją i ubrały. Nie wiadomo po co! Odpowiedź królowej była zaskakująco ostra:

- Jesteś bardzo nieżyczliwa, Izabelo.

Ale wcale nieskruszona księżniczka zareagowała równie ostro:

- I co my z nią zrobimy?

- Będzie tak, jak ja to sobie umyśliłam, a ty niepotrzebnie się wtrąciłaś. Alice będzie moją damą dworu.

Damą dworu? Brwi zdumionej niepomernie Izabeli przesunęły się znacznie wyżej. Moje niewątpliwie też, byłam jednak zbyt wstrząśnięta, by zachować kamienną twarz, choć powinnam.

- Mamo, przecież ona nie jest ci potrzebna. Masz już cały tuzin dam dworu!

Po twarzy królowej przemknął uśmiech, a jak dostrzegło moje bystre oko, był to uśmiech smętny.

- A może potrzebuję właśnie jej? - odparła.

- Jeśli potrzebna ci jeszcze jedna dama dworu, to dlaczego nie weźmiesz panny odpowiednio urodzonej? Przecież ich nie brakuje!

- Nie, nie brakuje, ale nie sądzisz, że to ja wiem najlepiej, kto jest mi potrzebny? - Wyraźnie zniecierpliwiona dała ręką córce znak, by oddaliła się, po czym odwróciła się do mnie i bez słowa podała mi różaniec.

Ten właśnie różaniec.

- Wasza Królewska Mość...

Moje palce kurczowo zacisnęły się wokół drogocennych paciorków. Wielki Boże! Jeszcze to... Jakaż jestem szczęśliwa... Ostatnie jednak słowo miała Izabela:

- Matko, tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam. Wcale się nie przejęła drobnym faktem, że ja również to słyszę.

Ale nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ pochłonięta byłam próbą znalezienia odpowiedzi na to podstawowe pytanie: Dlaczego ja?

- Dlaczego ja? - powtórzyłam, w pierwszej chwili nie zdając sobie sprawy, że mówię to na głos. - W czymże to ja mogę przydać się Jej Królewskiej Mości?

Wtedy Filipa spojrzała na mnie bardzo wnikliwie, prawie przesywając mnie wzrokiem. I milczała, jakby zastanawiała się nad czymś, nad czym naprawdę należało się zastanowić. Jej twarz promieniała powagą, stała się niemal surowa.

- Wasza Królewska Mość?

- Wybacz. Zamyśliłam się.

Na moment zamknęła oczy, a kiedy uniosła powieki, spojrzenie miała nieskończenie smutne, choć głos jak zwykle był pogodny i pełen ciepła:

- Pewnego dnia powiem ci, Alice, ale jeszcze nie teraz. Teraz popatrzmy, co można jeszcze z tobą zrobić.

I stało się. Dziwnym zrządzeniem losu, a raczej z powodu, którego królowa nie chciała mi jeszcze wyjawić, zostałam *domicellą*. Damą dworu, ale nie *dominą*, jedną z urodzonych wysoko, tylko *domicellą*, inaczej dworką, najmłodszą ze wszystkich dam, która posiada też najmniej umiejętności i liczy się najmniej. Czy miało to jakieś znaczenie? Naturalnie, że nie. Najważniejsze było to, że należałam do dworu królowej i mieszkałam w jej komnatach. Nie mogłam uwierzyć, że los okazał się tak łaskawy. Radość mnie rozpierała, dlatego kiedy wysłano mnie po coś tam i szłam przez puste przedpokoje, chwyciłam spódnicę w garść i dalej podążałam wymyślonym na poczekaniu krokiem tanecznym. Płasałam przy słodkich dźwiękach lutni dobiegających z odległej komnaty. Z tym że nie płasałam pięknie. Tego nauczyłam się później, a wtedy w tym przedpokoju z wielkiej radości tańczyłam po swojemu. Bo jak tu nie płasać, kiedy rzeczywistość przerasta najśmielsze marzenia!

Tańczyłam sobie i tańczyłam w tych pięknych szatach - zadziwiające, ileż to radości i pewności siebie daje kobiecie taki przydomek - póki gdzieś w oddali nie zamajaczyła jakaś postać. Płasy naturalnie przerwałam, a po chwili minęła mnie służąca, z którą razem harowałyśmy w żarze pałacowej kuchni. Widziałam, jak na mój widok zrobiła

wielkie oczy, a potem... skłoniła się przede mną! Co prawda z ociąganiem, ale tak! Złożyła przede mną ukłon i pognąła w te pędy do kuchni, by przekazać wieść o tym, jak wysoko wspięła się Alice Perrers.

Znów sama, znów nogi w podskokach. Alice Perrers, dama dworu w szatach jedwabnych. Trudno uwierzyć, że w ciągu jednego dnia z brudnej służącej można przemienić się w skropioną wonnościami istotę, której młoda podkuchenna musi się ukłonić! Byłam tak szczęśliwa, że z trudem powstrzymywałam się, by nie wykrzyknąć swego szczęścia prosto w twarz nieruchomym postaciom na gobelinach.

Moja noga nigdy już w kuchni nie postanie. Nigdy!

Ciekawe, co miałyby do powiedzenia ten kauzyperda, ten Greseley, gdyby mnie teraz zobaczył! Na pewno by zajęczał, że szkoda monet na wonności i jedwabie. Lepiej kupić cegły i... moździerz! A Wykeham? Na pewno coś podobnego. Przecież on w głowie ma tylko jedno, a mianowicie komnatę kąpielową dla królewskiej pary.

A król? Król to w ogóle by mnie nie zauważył, chyba że byłabym istotą zbudowaną z kółek zwyczajnych i zębatach, które by się kręciły, ocierały o siebie i cichutko tykały. Wtedy tak, może by zauważył.

Próbowałam wykonać szybki obrót na jednej nodze. Wyszło nie-szczególnie, a to dlatego, że trzewiki były trochę za duże. Ale nic to. Nadejdzie dzień, kiedy na nogach będę miała trzewiki zrobione na miarę. Takie w sam raz!

Byłam nieopisanie wprost szczęśliwa, choć nie wiedziałam, czemu zawdzięczam tę cudowną odmianę mego losu. Dlaczego królowa posłała po mnie? Co było tego przyczyną? Miejmy nadzieję, że nic takiego, co by radość tę zepsuło. Oby...

Damy dworu, potykając się o suknie, krzątały się wokół mnie, przestaczając ostatecznie w istotę adekwatną do mej obecnej pozycji, czyli w damę. Nagle stałam się ich pieszczotką, stworzeniem, które należy właśnie dopieścić, ugłaskać, upiększyć. Stworzeniem, które wniosło coś nowego do ich monotonnego życia. Wprawdzie rola pieszczotki nie była szczytem moich marzeń, jednak to, co się wokół mnie i ze mną działo, było przeżyciem niezapomnianym.

Przecież stwarzano całkiem nową, całkiem inną Alice Perrers, kiedy smarowano mnie wonnymi olejkami, kiedy dłonie maczałam w czymś,

co miało zrobić z nich dłonie białe i delikatne. A to coś było o wiele bardziej wonne niż to, co wytwarzano w klasztorze pod okiem siostry Margery. Moje bardzo czarne i szokująco za gęste brwi należały już do przeszłości. Zostały mocno wyskubane i zmienione w dwa wytworne łuki. A klejnoty i piękne szaty wręczano mi tak, jakby nie było to nic szczególnego. Ot tak, po prostu. Pierścień, brosza do spinania płaszcza, złoty łańcuch wysadzany lśniącymi kamieniami, który zawisł na mej piersi. Nie były to klejnoty bardzo cenne, ale klejnotami były, i to w wystarczającej ilości, by podkreślić moją obecną pozycję. Dzięki nim ukazywałam się innym jako ktoś godny poszanowania, tak samo jak damy z najznamienitszych rodów.

Rozpostarłam palce. Skóra na nich była gładziutka, paznokcie starannie obcięte. Jeden z palców ozdobiony został przepięknym pierścieniem z ametystem, który wzbudził mój największy zachwyty. Podsumowując, wszystko to razem było tak bardzo cudowne, jakbym nagle weszła w nową i jakże pożądaną skórę, podobnie jak wąż, który wiosną zrzuca starą i ukazuje się światu w skórze nowiusieńkiej, o jasnych i czystych barwach. Jestem przecież kobietą, więc byłoby bardzo dziwne, gdybym nie cieszyła się z takiej metamorfozy. A różaniec królowej oczywiście miałam przy sobie, przypięłam go do ślicznego paska ze srebrną sprzączką. Był o wiele ładniejszy niż pasek matki Sybil.

- Już jest o wiele lepiej! - oświadczyła Izabela po dłuższej kontemplacji mej strojnej osoby. - Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego królowa cię wezwała.

Akurat w tej kwestii byłam z nią całkowicie zgodna, bo również tego nie pojmowałam.

Damy dworu królowej były ładne, niektóre piękne, wszystkie bardzo wytworne i kobiece, lecz ja niestety taka nie byłam. Suknie szyte według najnowszych kanonów, czyli obciskające kibić, podkreślały ich ponętne kształty, a na mnie, chudej jak patyk, wisały, jakby powieszono je na drążku, by wyschły. Poza tym damy były bardzo biegłe w muzykowaniu i umilały czas królowej pięknymi melodiami oraz słodkim śpiewem. Niestety, wszelkie próby wyuczenia mnie owego słodkiego śpiewu spełzły na niczym. Owszem, bardzo się starałam wydobyć z siebie jakieś trele, ale ani jedna nutka nie wypadła czysto. Tak samo me

palce nie nadawały się do delikatnego trącania strun ani lutni, ani giterny.

Damy dużo haftowały, głównie ptaki i kwiaty na krajkach, lecz ja do tego nie miałam cierpliwości. Poza tym konwersowały wdzięcznie po francusku, plotkując zawzięcie o wszystkim i o wszystkich na królewskim dworze. Ja niestety znałam tylko jedną osobę, a mianowicie Wykehama, który po powrocie z Windsoru w ogóle się do mnie nie odzywał, a mógł przecież powiedzieć choć kilka słów. Nie mógł przecież nie zauważyć, jak wielka zmiana zaszła w moim życiu.

Na przykład to:

- O, pani Perrers! Widzę, że wiedzie ci się o wiele lepiej. Może nawet nauczyłaś się już jazdy wierzchem?

A on nic. Ale wiadomo przecież, że pan Wykeham kobiet w ogóle nie zauważa, więc o jakimkolwiek uwodzeniu nie ma mowy. Wszak jest osobą duchowną, a poza tym w głowie ma tylko sklepienia łukowe. Dlatego też damy często podśmiewały się z niego.

Dla nich uwodzenie było sztuką samą w sobie. Dla mnie, osoby bardzo prostolinijnej, czymś, czego również nie zdołałam się nauczyć. Wobec innych ludzi byłam bardzo ostrożna, wcale nie nastawiałam się do nich od razu przychylnie. A nie potrafiłam udawać. Czy to grzech? Jeśli tak, to moja wina, wielka wina, ale nie umiałam odgrywać komedii, że ktoś raptem mnie zaciekawił i jestem bardzo tej osobie przychylna, jeśli ta osoba nic dla mnie nie znaczyła.

Cóż więc mogłam dać z siebie innym? Czym się wykazać, by nie wyproszono mnie z komnat królowej? Nie wyrzucono jak stare suknie, których pozbywała się Izabela?

Można było ze mną zagrać w szachy. O tak! Byłam zafascynowana figurkami z kości słoniowej, prawami, jakimi się rządzą. Nie miałam żadnego kłopotu z zapamiętaniem, jak ma się laufer wobec wieży, czym ograniczona jest królowa, choć na szachownicy najczęściej może dokonać. Damy jednak grały namiętnie nie w szachy, lecz w lisa i gęsi, która wydała mi się rozrywką raczej głupawą. Jednak kiedy sama zaczęłam w nią grać, bardzo mnie zaciekawiła. Uwielbiałam w taki sposób manewrować pionkami, by głupie gęsi nie dały się żarłocznemu lisowi zapędzić w kozi róg.

Raz zdarzyło mi się zagrać z Izabelą, ale nie była tym zachwycona.

- Więcej z tobą nie gram, Alice Perrers - powiedziała, gdy już skończyłyśmy. - Twoje gęsi były niebywale przebiegłe.

- Owszem. Udało im się przechytrzyć lisa milady, i to on, biedaczysko, pożegnał się z życiem.

- Niestety!

Izabela zaśmiała się, nie sprawiała jednak wrażenia rozbawionej. Z pewnością była niemile zaskoczona moim zwycięstwem, ale do rewanżu się nie paliła i już nigdy nie zasiadła ze mną do gry.

Poza tym ku uciechu dam przyrządzałam różne napoje miłosne, naturalnie nieszkodliwe, wygrzebując z pamięci zapiski siostry Margery z klasztornej infirmerii. Robiłam dla nich również amulety miłosne. Szczypta kocimiętki, garść pierzastych listków i kwiatków krwawnika, a także łądyżka werbeny. Wszystko to owijałam w kawałek zielonego jedwabiu i przewiązywałam czerwonym sznureczkiem. Wierzyły, że amulet naprawdę ma miłosną moc, a ja nie zaprzeczałam, wszak wiara czyni cuda. Naturalnie Izabela nie chciała takiej saszetki, podobno z obawy, że tę przeznaczoną dla niej napełnię zabójczą psią pietruszką.

Zabawiałam je również głośną lekturą, czego domagały się nieustannie. Czytałam opowieści o miłości dworskiej, o rycerzach i damach ich serca, a damy królowej Filipy słuchały z wielkim przejęciem i wzdychały.

Wiem, że całkiem dobrze się sprawiłam jak na istotę bez nazwiska, podrzutka, który chował się w klasztorze, więc raził brakiem ogłady. Ale klasztor to przeszłość, wiedziałam też, że nigdy już nie będę beziemienna, nie będę pomijana. Czułam się z siebie dumna. Owszem, duma jest grzechem, ale dlaczego nie miałabym nie popełniać tego grzeszku, skoro powód był? Doprawdy, wykonałam solidną robotę, by podolać niełatwemu dla mnie zadaniu, bardzo się starałam, by okazać się godną mojej nowej pozycji, i bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że mi to się udało. A przecież zostałam nie byle kim, tylko Alice, damą dworu Jej Królewskiej Mości!

A Izabela nie miała racji. Nigdy bym nie dodała do jej saszetki psiej pietruszki. Nigdy, bo w pamięci zachowałam przestrogi siostry Margery o złych praktykach, do których uciekają się źli ludzie za podszeptem diabła.



Natomiast jeśli chodzi o moją pozycję... W czymże mogłam okazać się przydatna królowej Filipie, skoro cały dwór skupiony był na uprzedzaniu jej życzeń? Odpowiedź na to pytanie wcale nie była trudna. Wiedziałam, co dla naszej władczyni mogę zrobić, i oczywiście to robiłam. Na przykład dziś przygotowałam jej wywar z kory wierzby białej, bo królowa bardzo cierpiała. Niestety, coraz częściej zdarzały się dni, kiedy wiła się z bólu, a stale z nią obcując, widziałam postępujący ubytek sił. Ucieszyłam się, gdy po wypiciu wywaru z kory poczuła się o wiele lepiej, choć jednocześnie była bardzo senna. Widziałam, jak zmarszczki wokół oczu wygładzają się, znak, że królowa zaraz zaśnie.

- Jesteś dla mnie prawdziwym błogosławieństwem, Alice. Dobra z ciebie dziewczyna.

- Wasza Królewska Mość bardzo dla mnie łaskawa, a wyznam, że z tą dobrocią to u mnie różnie bywało. Kiedy byłam nowicjuską...

- To co?! Siadaj tu koło mnie, Alice. Musisz mi opowiedzieć o tym, jak byłaś nowicjuską i złą, przewrotną dziewczyną!

Królowa uśmiechała się, żartowała, lecz powieki miała ciężkie, oczy same się zamykały, ale usiadłam przy niej. Taki był przecież rozkaz królowej. Opowiedziałam więc o matce przełożonej i jej upodobaniu do czerwonych nogawiczek. O siostrze Godzie, która rękę ma ciężką, o kurach, które padły ofiarą lisa z powodu mego zaniedbania, i jaka mnie za to spotkała kara. Na szczęście starczyło mi rozumu, by nie pisnąć ani słowem o hrabinie Joannie. Gdybym wspomniała królowej o jej dwulicowej synowej - teraz na szczęście przebywała daleko, w Akwitanii, przy mężu księciu, którego w końcu udało jej się usidlić - królowa na pewno miałaby niespokojną noc.

- Jak to dobrze, że znalazłam ciebie, Alice...

- A ja jestem nieskończenie wdzięczna Waszej Królewskiej Mości, że tak właśnie się stało. Moje życie odmieniło się całkowicie - odparłam, wcierając delikatnie w dłonie i nadgarstki królowej maść o słodkim zapachu, która bardzo głęboko wnikała w ciało.

Cisza, ale to wcale nie oznaczało, że królowa zasnęła. Nie, bo oczy miała otwarte i wyraźnie się nad czymś zastanawiała. Nad czymś, co wcale nie było przyjemne, stąd ta pionowa kreska między brwiami. Po chwili zamrugnęła i spojrzała na mnie jakoś tak... niepewnie i powiedziała cicho:

- To prawda, Alice, dobrze się stało, że stanęłaś na mej drodze...

Byłam pewna, że wcale nie chodzi o to, że nacierałam obolałe ręce kochającą maścią. A może? Zadrżałam wystraszona, bo skąd raptem ta niepewność i w jej spojrzeniu, i w jej głosie? Czyżbym zrobiła coś niestosownego i królowa już nie jest mi przychylna? Gorączkowo zaczęłam szukać w pamięci, w czym uchybiłam moim powinnościom i dworskim obyczajom, że królowa zwątpiła we mnie. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy, dlatego uznałam, że najlepiej po prostu zapytać:

- A dlaczego Wasza Królewska Mość posłała właśnie po mnie? Spojrzała na mnie spod półprzymkniętych powiek, zaciskając palce na wysadzonym drogimi kamieniami krzyżyku zawieszonym na szyi. I odpowiedziała, ale tonem bardzo dziwnym, takim, jakiego nigdy u niej jeszcze nie słyszałam. Bardzo oschłym, a zanim zaczęła mówić, odsunęła ode mnie rękę, którą smarowałam maścią. Zrobiła to bardzo szybko, jakby nie mogła już znieść dotyku moich palców.

- Wybrałam ciebie, Alice, bo chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś, co niestety nie będzie dla ciebie łatwe, ale chcę, żebyś to zrobiła. Nie teraz, jeszcze nie... ale już niebawem... - Powieki opadły, jakby królowa nie mogła już dłużej na mnie patrzeć. - Jestem bardzo znużona. Alice, proszę, poślij po mego spowiednika. Zanim zasnę, chciałabym się razem z nim pomodlić.

Wyszłam, ale zadziwiające słowa królowej nadal dźwięczały mi w głowie, kiedy zapalałam świecę, kiedy wracałam do komnaty, którą dzieliłam z dwoma innymi damami, kiedy starałam się zasnąć, a sen nie nadchodził.

I wciąż słyszałam słowa królowej, jakby nie tkwiły tylko w mej pamięci, ale stale rozlegały się przy mnie:

- Wybrałam ciebie, Alice, bo chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś, co niestety nie będzie dla ciebie łatwe, ale chcę, byś to zrobiła. Nie teraz, jeszcze nie... ale już niebawem...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pisanie czegoś w rodzaju dziennika stało się już moim obyczajem, ale nie chciałam zaniedbywać umiejętności, której nauczenie się kosztowało mnie немало wysiłku. Niestety, tylko w ten sposób mogłam wykorzystać moją biegłość w pisaniu, bo w pałacu nikomu nie była potrzebna, jako że skrybów było tu bez liku, prawie tylu, co myśliwych. Więc pisałam dziennik, czasami po francusku, czasami po łacinie, w zależności od nastroju. Wypraszałam u królewskich sekretarzy kawałek pergaminu, pióro i inkaust. Wcale nie byli oporni, kiedy prosiłam z uśmiechem lub rzucałam spojrzenie powłóczyście. A tak! Bo powoli zaczynałam uczyć się, jak należy postępować na dworze królewskim, jak skłaniać innych, by ulegli twojej woli.

A o czymże pisałam? O tym, jak spędziłam kolejny dzień, notowałam to wszystko, co chciałam zachować w pamięci. Ten dziennik, o ile pamięć mnie nie myli, pisałam przez cały rok.

Czy obawiałam się, że damy dworu mogą podejrzeć, o czym piszę? Nie, raczej nie, bo damy, nawet jeśli były zaciekawione, to przede wszystkim podśmiewały się ze mnie, że tak skrobię zawzięcie tym piórem i skrobię. Niemniej jednak, żeby zaspokoić ich ciekawość, kiedyś przeczytałam im to, co właśnie napisałam:

*Dzisiaj wraz z damami dworu pojechałam na polowanie, co zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. I wcale mi się to polowanie nie spodobało.*

*Jego Królewska Mość obchodzi pięćdziesiąte urodziny, dlatego odbył się wielki turniej na polach w Smithfield. Konni walczyli na kopie. Wszyscy pojechali oglądać. Uczę się tańczyć.*

- O Święta Panno, zmiłuj się... - Izabela ziewnęła szeroko, oczywiście zasłaniając usta smukłymi palcami. - Jeśli nie ma nic ciekawszego, o czym mogłabyś napisać, to po co w ogóle piszesz? Już ciekawsze byłoby przestawianie garnków w kuchni...

Nudne? Och, nieskończenie nudny był ten fragment, który im przeczytałam. I dzięki temu zyskałam pewność, że damom nie będzie się chciało podejrzec, co tam jeszcze wypisuję.

I oczywiście pisałam dalej, a potem, kiedy w moim życiu zapanował chaos i nie tylko, bo owo życie wisiało przecież na włosku, nieraz wracałam do tych płachetek pergaminu. Czytałam stare zapiski, każdy, nawet najkrótszy, a wszystkie budziły wspomnienia o tym, co działo się dzień po dniu podczas tego pierwszego i jakże cudownego roku, kiedy w moim życiu wszystko zmieniło się w zachwycający sposób. Póki nie nadszedł rok następny, już inny i nadzwyczaj obficie brzemienny w skutkach.

*Dzisiaj wraz z damami dworu pojechałam na polowanie, co zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. I wcale mi się to polowanie nie spodobało.*

Dali mi wałacha z piekła rodem, a ja nigdy nie znajdę przyjemności w tym, że przez dwie godziny z okładem jestem podrzucana i obijana, i to tylko po to, by na koniec być świadkiem, jak zziajane psy dopadają ofiary, by z zimną krwią popełnić morderstwo.

Samego morderstwa co prawda nie widziałam, ponieważ tuż przed ową straszną chwilą koń ruszył galopem, a ja z przeraźliwym piskiem gruchnęłam na ziemię. Siedziałam więc na tej ziemi zła jak osa i nie-szczęśliwa, gorączkowo otrzepując spódnicę z ziemi i zeschniętych gałązek. Kaptur i siateczka na włosy zsunęły się z głowy, a na domiar wszystkiego byłam sama jak palec, bo wszyscy pognali dalej, mój niesforny wierzchowiec oczywiście też. Dlatego droga powrotna do pałacu jawiła mi się jako przeraźliwie długa droga przez mękę.

- Na Boga! Dama w opałach!

Byłam tak zaabsorbowana otrzepywaniem i uzalaniem się nad sobą, że nie usłyszałam tętentu tłumionego przez miękkie leśne poszycie.

Dopiero kiedy usłyszałam ten okrzyk, poderwałam głowę i zobaczyłam dwa konie, które wryły się kopytami tuż przede mną. Jeden rumak wyglądał groźnie, bo był ogromny, drugi był niewysoki, za to bardzo mocnej budowy.

Na groźnym, niespokojnym ogierze naturalnie siedział król, który spytał żartobliwie:

- O, pani Alice! Jak ci tam, pani, na dole?

Ale wcale mi nie było do śmiechu, dlatego odburknęłam:

- Wcale nie jest mi dobrze.

- Ale że takiego konia przydzielono pani... Kto wpadł na pomysł, żebyś właśnie jego dosiadła? To nie koń dla dam!

- Lady Izabela. A ta wstrętna kreatura zrzuciła mnie... Nie powinnam była w ogóle jechać na polowanie. Nie cierpię koni.

- Dlaczegoż więc pojechałaś?

A tego to ja sama tak do końca nie wiedziałam. Może dlatego, że po prostu jechali wszyscy, ponieważ polowanie było jedyną rozrywką, jaką mogła jeszcze cieszyć się królowa, naturalnie wtedy, gdy czuła się lepiej.

Przebijające się przez gałęzie drzew słoneczne promienie były oślepiające, by więc dokładniej dojrzeć króla, musiałam osłonić ręką oczy. Widziałam, jak Jego Królewska Mość nadzwyczaj zręcznie, niczym młodzik, zeskoczył z konia i rzucił wodze chłopcu, który siedział na tym niedużym, krępym koniu. I nie był to jakiś tam zwykły chłopiec, tylko książę Tomasz, najmłodszy syn królewskiej pary.

Mały książę złapał wodze, a król ruszył do mnie, wydając jeszcze polecenie:

- Tomasz, złap konia damy!

Chłopiec natychmiast puścił wodze królewskiego rumaka, zawrócił swym koniem i pognał jak wicher. A król wyciągnął do mnie rękę.

- Mogę sama wstać, Wasza Królewska Mość! - Owszem, zabrzmiało to niegrzecznie, ale czułam się okropnie, ukazując się majestatowi w tak upokarzającym położeniu.

- Nie wątpię, pani, że dałabyś radę, ale zrób, co każe.

Oczy mu się śmiały, niemniej rozkazał, a skoro władca każe, zrobić trzeba. Wyciągnęłam więc rękę, a on pochwycił ją i pociągnął, a ja wstałam. Wtedy król przystąpił do otrzepywania mej szaty swoją dużą

królewską ręką, nic dziwnego więc, że wstyd zabarwił moje policzki na kolor szkarłatny.

- Ależ Wasza Królewska Mość nie powinien...

- Dlaczego nie? A ty, pani, gdy cię otrzepuję, upnij włosy.

- Nie mogę, są za krótkie, by je upiąć. I sama nie doprowadzę ich do ładu.

- W takim razie pomogę.

- Wasza Królewska Mość miałby upinać mi włosy? Jakże to tak? Mam może jeszcze prosić lady Izabelę, by wyszorowała mi plecy? - Znowu odezwałam się niezbyt grzecznie i zbyt poufale, ale trudno, przecież byłam bardzo zdenerwowana całą tą sytuacją.

- Pozwól, pani - zaczął król z cichym westchnieniem - bym zachował się jak na rycerza przystało i otoczył damę opieką.

Zdjął mi z głowy siateczkę do włosów, wetknął ją sobie za pas i chwilę się zastanowił, a potem po prostu włożył mi na głowę mój skromny kaptur. Rzemyki zawiązał szybko i zręcznie, jakby zawiązał rzemyczki kaptura ulubionego sokoła. Naturalnie podczas tych monarszych zabiegów stałam nieruchomo, wstrzymując oddech.

Po dokończeniu swego dzieła król odstąpił o krok i zmierzył mnie wzrokiem.

- Nawet znośnie - oznajmił. - Lata mijają, a palce, dzięki Bogu, jakoś się jeszcze sprawują... - Przekrzywił głowę, chwilę nasłuchiwał i skinął głową. - Pani, niedługo znowu będziesz musiała dosiąść konia.

A teraz to i ja już pochwyciłam uchem narastający tętent, i wcale nie był to dla mnie porywający dźwięk.

- Ale ja... ja wcale nie mam na to ochoty.

- Musisz, pani. Nie będziesz przecież wracała na piechotę! Argument był oczywisty, a przez to ostateczny. Tomasz podjechał

do nas, prowadząc mego krnąbrnego wierzchowca, a ja ani się obejrzałam, i już siedziałam w siodle. Po prostu mnie tam wsadzono.

Król własnoręcznie dociągnął popręgi, po czym spojrzał w górę, czyli na mnie. Mówiąc dokładniej, spojrzał mi prosto w twarz. A tak!

Zaraz jednak cofnął się nieco i klepiąc konia po zadzie, zawołał:

- A więc w drogę, pani Alice! - A gdy koń ruszył, polecił: - Tomasz, miej na nią baczenie! Królowa ci nie wybaczy, jeśli pani Alice

znowu spadnie. Nie daj Boże, w krzaki jeżyn! - A po króciutkiej chwili dodał coś jeszcze, co też dosłyszałam. - Ja też nie wybaczę!

Tomasz miał zaledwie siedem lat, a trzymał się w siodle wspaniale. Ja tak nigdy jeździć nie będę, to pewne, ale teraz mały księżę zgodnie z ojcowskim rozkazem miał na mnie baczenie, więc w drodze powrotnej nie spotkała mnie już żadna niemiła przygoda. Nic więc nie oderwało mnie od natrętnych myśli nieustannie przemykających przez głowę. A wszystkie związane były z Jego Królewską Mością, na przykład myślałam o tym, jak niebywale zręczne są jego ręce...

*Jego Królewska Mość obchodzi pięćdziesiąte urodziny, dlatego odbył się wielki turniej na polach w Smithfield. Konni walczyli na kopie. Wszyscy pojechali oglądać.*

To było coś zachwycającego! Król w nowej zbroi wyglądał tak bardzo wspaniale, że wprost braknie słów. Twarz króla ogorzała, złocisty miecz i zbroja zdawały się płonąć, gdy królewska ręka unosiła się i opadała. A pióra zdobiące hełm z monarszym dostojenstwem chyliły czoła...

Byłam urzeczona... i tak bardzo bałam się o niego. Aż nogi mi drżały! Ale nie mogłam oderwać od niego oczu. Zamknęłam je dopiero wtedy, kiedy na rękawie pojawiły się czerwone plamy krwi.

Naturalnie niepotrzebnie się lękałam, bo król miał w sobie niewyczerpane pokłady sił i żywotności. W całej tej ciżbie walczących on jeden walczył niezrównanie, jak bohater ze starych baśni. W walce najlepszy, a jednocześnie łaskawy, i chwalił przymioty tych, których pokonał.

A potem gdy zwycięzcy i pokonani, jak to mężczyźni, po ciężkich zmaganiach pogadywali przyjaźnie i przerzucali się żartami, damy zaczęły rzucać kwiaty swoim wybrankom. Ja nie miałam komu rzucić, ale wcale nad tym nie ubolewałam, przecież moje oczy pełne były tylko tego jednego, jedyne, któremu rzucić kwiatów nie mogłam.

A jednak... Och, wielka ochota przerodziła się w zuchwałość! Bo gdy podjeżdżał do galerii, gdzie siedziała królowa ze swymi damami, kwiat róży sam uleciał z mej ręki, a stało się to idealnie w tej samej chwili, w której król zdejmował hełm. Był tak blisko mnie! Widziałam pobladałą nieco twarz, a kiedy ocierał ją rękawicą, zauważyłam na po-

liczku czerwoną smugę. Natomiast kwiat, który rzuciłam tak nieudolnie, otarł się o policzek królewskiego konia. Na pewno go tylko musnął, ale szlachetne zwierzęta są wyjątkowo płochliwe. I stało się. Koń wspiął się, a król krzyknął:

- O Jezu! - Rzucił hełm na ziemię i przez dobrą chwilę zmagął się z rumakiem.

- Czyś ty straciła rozum?! - syknęła Izabela.

Ja naturalnie całkiem zdrętwiałam ze strachu i nie byłam w stanie choćby słowa wykrztusić, pewna, że zaraz usłyszę reprimendę z królewskich ust. Taki wstyd! O Boże!

Lecz bałam się niepotrzebnie, bo nie było żadnej reprimendy.

Król skinął na pazia, by podniósł hełm i stratowany kwiat, a potem spojrzał na mnie.

- Dziękuję, milady. - Powiedział to z wielką powagą, skłaniając głowę, i wsunął zmaltretowaną różę za ryngraf chroniący pierś rycerza.

Ja, naturalnie, oblałam się purpurą. Powód przecież był! Sam król, dumny król Anglii, pan i władca, uszanował mnie, chociaż przeze mnie omal nie spadł z konia.

- Niestety naszej podkuchennej daleko jeszcze do obyczajnego zachowania - zauważyła cierpko Izabela, i wcale nie powiedziała tego szeptem, tylko wręcz przeciwnie.

Damy naturalnie zaśmiały się. A król? Trącił konia nogą, by podszedł bliżej do złoconego płótna galerii, a gdy już tak się stało, król wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

- Pani, uczyni mi ten zaszczyt... - Ja również wyciągnęłam rękę i złożyłam dłoń na królewskiej dłoni, a wtedy król ucałował me palce. - Ta róża to miły gest, choć zboczyła nieco z drogi. Mój koń i ja dziękujemy ci za nią, pani.

I znów cichy śmiech dam, ale już całkiem pozbawiony złości. Broń Boże! Przecież te słowa wypowiedział monarcha.

A ja? Ja skupiona byłam na mej dłoni, na której nie widniało nic, ale i tak czułam gorący ślad po królewskim pocałunku. Bardziej gorący niż uderzenie krwi do moich policzków.

*Uczę się tańczyć.*



O Matko Przenajświętsza! Pewnie już po raz dwudziesty zrobiłam krok nie tak, jak trzeba, bo nie w rytmie wybijanym bardzo dobitnie na bębenku i szałamai. Niepojęte! Przecież potrafię niezłe rachować, a kroków w tańcu za nic nie mogę się doliczyć, a jakby tego było mało, to jeszcze mam wielki kłopot z zachowaniem równowagi. Po raz nie wiadomo który zachwiałam się i królewskie palce zacisnęły się mocniej na mej dłoni.

Cóż... Król tańczył nieporównanie lepiej ode mnie, co wprawiało mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

I znów, zgodnie z układem tanecznym, stanęliśmy blisko siebie.

- Pani Alice, wolno ci przecież na mnie spojrzeć!

- Wiem, ale boję się, że znów się potknę o twoją nogę, panie, albo o swoją, i jeszcze zanim ten wieczór minie, zostanę niezdarną kaleką.

- Wyuczę cię tych kroków. - Zerknęłam na niego ot tak, po prostu, ale król zrozumiał to opacznie: - Nie wierzysz w moje umiejętności, Alice?

Po imieniu! Tak poufale! Nic dziwnego, że natychmiast poderwałam głowę i już nie zerkałam, tylko spojrzałam mu prosto w oczy. Były pełne blasku, wywnioskowałam więc, że król poczuł się rozbawiony. Oczywiście! Bo znów pomyliłam krok.

- Gdzieżbym śmiała, Wasza Królewska Mość... Naturalnie, że wierzę - bąknęłam.

A on dalej żartobliwie:

- Królowi nie wolno odmawiać! A ja to samo, co poprzednio:

- Gdzieżbym śmiała, Wasza Królewska Mość!

- Jeśli oboje się postaramy, miła Alice, damy radę i nasze stopy za bardzo na tym nie ucierpią. Połamane palce będziemy liczyć potem.

Miła Alice... Czyżby król mnie uwodził?! Och, niemożliwe! Jest po prostu układny, a ja wcale mu się nie podobam. Mało tego, doprowadzam go do rozpaczyny swoją nieudolnością.

Kiedy płąsy dobiegły końca i korowód taneczny się zatrzymał, król powiedział mi coś jeszcze, tym razem wcale nie tonem żartobliwym:

- Zauważyłem, pani Alice, żeś bardzo szczerą w wypowiedziach. Myślę, że powinnaś uprzedzić o tym mężczyznę, który zapragnie z tobą zatańczyć.

- Będę o tym pamiętać, panie, choć nie sądzę, by zaszła taka potrzeba. Nikt przecież nie dorównuje odwagą Waszej Królewskiej Mości!

- Więc może już lepiej nią się nie wykazywać, bo jednak... - mruknął król bardziej już tak do siebie, po czym odprowadził mnie na moje miejsce wśród dam usadowionych wokół królowej.

Królowa wcale nie wzbraniała mi tańczyć z Jego Królewską Mością, jednak gdy zerknęłam na nią, to nie ujrzałam twarzy pogodnej, lecz całkiem smutną, całkiem bez uśmiechu...

*Królowa dała królowi lwa!*

A tak! Ilekroć słychać było groźny pomruk bestii, zbite w trwożliwe stadko damy zasłaniały oczy, drżały i cofały się o krok, tylko czekając, kiedy każdą z nich otoczy opiekuńczym ramieniem któryś z walecznych i pełnych galanterii rycerzy króla. Oczywiście udawały, że boją się straszliwie, natomiast ja nie zamierzałam niczego udawać. Po prostu nie bałam się i spojrzawszy na nie z politowaniem, śmiało podeszłam do wielkiej klatki. Bo i niby dlaczego miałam trząść się ze strachu, skoro od groźnego zwierzęcia dzieliły mnie żelazne pręty i zamki? A chciałam popatrzeć z bliska na tę piękną płową grzywę i bogactwo ostrych zębów. Byłam zafascynowana do takiego stopnia, że kiedy lew, przysiadłszy na zadzie, zaczął gniewnie bić ogonem, podeszłam jeszcze bliżej.

Owszem, był groźny... a zarazem kompletnie bezsilny...

- Nie boisz się, pani?

Król! Nie słyszałam, kiedy podszedł i stanął tuż za mną.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Przecież nie ma takiej potrzeby. Damy też się nie boją, tylko udają, bo chcą...

- Zwrócić na siebie uwagę?

- Tak, panie.

Oczywiście spojrzeliśmy na rzekomo wystraszone damy, które znalazły już pocieszycieli i obrońców.

- A ty, pani, nie pragniesz, by ktoś miał na ciebie baczenie? Jakiś młody rycerz? Żadnemu z nich nie okazujesz przychylności?

Na co ja, naturalnie zgodnie z prawdą, odparłam:

- Nie, panie.

- Aha... Ale podziwiasz mego lwa?

- Ależ tak! Oczywiście.

Lew patrzył na nas z niewzruszoną nienawiścią, ale co się dziwić? W końcu to ludzie pozbawili go wolności, odgradzili od reszty świata żelaznymi prętami. Jakżeż podobna była kiedyś moja sytuacja! Też odgradzona od reszty świata, też całkowicie pozbawiona wolności, też bez żadnego wpływu na swój los. Na szczęście cudownym sposobem zdołałam się od tego wyzwolić. A lew? Niestety, jego los już przesądzony. Nieszczęsne zwierzę do końca swoich dni pozostanie w niewoli.

- Nie boisz się go, pani?

A tym pytaniem Jego Królewska Mość wzburzył mnie, poruszył wiele strun, dlatego odpowiedź była nie tylko szczerą i wyczerpującą, ale i bardzo gwałtowną:

- Nie, panie. Nie boję się zniewolonego zwierzęcia, ale kiedy na nie patrzę, kiedy widzę jego niedolę, czuję coś takiego, czego ty z pewnością nigdy nie odczuwałaś. Uprzytamnam sobie, jak trudne jest życie, jak bardzo bywa niebezpieczne. I człowiek, i zwierzę nie zna dnia ani godziny. A mój los jakże podobny jest do losu tego lwa. Też jestem sama jak palec, też nie mam nikogo bliskiego, nie mam żadnego oparcia w rodzinie, bo jej nie mam. Nie znam nawet swojego prawdziwego nazwiska, które powinnam nosić z racji urodzenia. Jestem nikim i tak samo jak ten lew jestem całkowicie zależna od dobrych chęci czy litości innych ludzi. I mam tego serdecznie dość! - Natychmiast wlepiłam oczy z powrotem w lwa. Matko Przenajświętsza! Chyba mnie opętało! Jak mogłam coś takiego wyznać królowi! Jak mogłam?!

A król na to:

- Przecież los ma wiele do zaofiarowania młodej kobiecie. Czyżby była to złośliwość tego rodzaju, jakimi raczyła mnie Nadobna Joanna?! Tylko podana delikatniej?!

- Ale nie na wszystko, co los podsuwa, można przystać, Wasza Królewska Mość - odparłam zdecydowanym tonem.

- Ależ oczywiście! Zgadzam się z tobą, pani, całkowicie. I rozumiem doskonale, że samotnej kobiecie niełatwo iść przez życie.

- To prawda, niełatwo, dlatego myślę, że powinnam pogodzić się z tym, co jest wokół mnie, w moim życiu, co powinno być we mnie samej. Czyli zrobić to, do czego zmuszone jest to biedne zwierzę.

- Wszyscy jesteśmy więźniami swego losu. Tak już jest...

Doskonale wiedziałam, że rozmowa z królem staje się zbyt szczerą, zbyt poufałą, co nie tylko było niestosowne, ale mogło stać się niebezpieczne. Dlatego zrezygnowałam z dalszego rozdzierania szat i powiedziałam coś, co wydało mi się w tej sytuacji jak najbardziej stosowne:

- Bardzo bym nie chciała, panie, żebyś uważał mnie za osobę niewdzięczną. Zdaję sobie sprawę, ile zawdzięczam Jej Królewskiej Mości.

- Ależ wcale tego tak nie odebrałem! I nie wiedziałem, że swoją przyszłość widzisz w tak czarnych barwach.

- A skąd miałbyś wiedzieć, panie? Jesteś królem, jakże miałbyś się przejmować losem istoty tak marnej jak ja? - Tak to widziałam, po prostu stwierdziłam fakt dla mnie oczywisty.

Okazało się jednak, że moje słowa ubodły króla, bo wyraźnie sposepniał.

- Królowi nie jest obojętny los jego poddanych - oznajmił z powagą - a ty, pani, jak mniemam, nie masz zbyt dobrego pojęcia o mężczyznach, niezależnie od tego, jaki urząd piastują.

- Tak w istocie jest, panie, i nie dzieje się tak bez przyczyny. Zresztą nie tylko za sprawą mego ojca, którego nigdy na oczy nie widziałam i o którym nic nie wiem. Także za sprawą mego męża, który wziął mnie za żonę tylko dlatego, by zamknąć usta namolnej i apodyktycznej siostrze. A to małżeństwo, mówiąc szczerze, żadnym prawdziwym małżeństwem nie było. Ot, taki układ... - O Boże! Znowu wyrwało mi się coś, co nie powinno.

Obwinałam się w duchu za te słowa, a król był wyraźnie poruszony. Chyba nawet drgnął, jakby któryś z jego ukochanych piesków raptem capnął go za łydkę. Tak sobie żartobliwie pomyślałam, niemniej bardzo byłam na siebie zła.

- Powiedziałaś mi, pani, prawdę bardzo gorzką. Nie pozostaje mi nic innego, jak postarać się, byś o mojej płci nabrała lepszego mniemania.

- Wasza Królewska Mość nie musi nic robić!

- Wiem, że nie muszę, ale chcę, Alice.

Lew znów zaryczał, zaczął bić łapami o żelazne pręty i drapać pazurami, więc dalsza rozmowa była niemożliwa, poza tym do klatki pochodzili służący, którzy mieli przewieźć lwa do królewskiej menażerii. Król

i ja odeszliśmy więc od klatki, ja dziękując Bogu za to zamieszanie, bo dzięki temu nie powiem już niczego, czego nie powinnam. Król jednak wcale nie uważał rozmowy za skończoną.

- Nie masz racji, pani, skoro myślisz, że w moim życiu nie ma chwil strachu czy wątplenia. Był taki czas, kiedy moja przyszłość wisiała na włosku. Nie wiedziałem, kto jest moim sprzymierzeńcem, a kto wrogiem, i nieustannie podważano mój królewski autorytet. Dobrze wiem, jak to jest, kiedy człowiek budzi się rano, nie wiedząc, co do wieczora zgotuje mu los. Czy coś dobrego, czy złego.

Nigdy bym się nie spodziewała, że królowie również mają tego rodzaju wątpliwości. Byłam bardzo zdumiona, co oczywiście widać było na mojej twarzy, i pewnie dlatego król jeszcze dodał:

- Tak było, pani. Pewnego dnia opowiem ci o tym. A teraz to po prostu osłupiałam. A król odszedł.

*Dostałam podarek. Od samego Edwarda.*

Jednak na ten podarek wcale nie spojrziałam z zachwytem czy choćby z radością. Na to coś z bujną grzywą i ogonem, tak wdzięcznego i pięknego jak rycina z mego psalterza. To coś, co stało w stajni i nerwowo rzucało łbem.

- Nie podoba ci się?

- Ależ tak... Nie rozumiem tylko, dlaczego Wasza Królewska Mość mi ją daje.

- A dlaczego miałbym nie dać?

- A dlaczego Wasza Królewska Mość zadaje mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć?

- Ty, pani? - Edward zaśmiał się. - Ty potrafisz odpowiedzieć na każde pytanie.

- Oczywiście! Ona zawsze znajdzie ciętą odpowiedź - przytaknęła Izabela, która przyszła pogłaskać śliczne siwe jabłkowite stworzenie.

- Ojczy, a kiedy to po raz ostatni podarowałaś mi nowego konia?

- Kiedy mnie o to poprosiłaś. O ile się nie mylę, dwa miesiące temu.

- Rzeczywiście. A ponieważ dziś jesteś taki hojny, muszę coś u ciebie wyprosić...

- Wyprosić? Ty? Czyżbyś miała powód, by wątpić w moją hojność, Izabelo? - spytał król nieco oschle.

- To prawda... - Jeszcze raz klepnęła klacz. - Alice, skoro dają, to bierz, nie ociągaj się. Masz możliwość obrosnąć w piórka kosztem królewskiej szkatuły.

I odeszła, ale nie dostojnym krokiem, tylko jak to Izabela, szybko, niemal gwałtownie, bo jak zwykle była niespokojna, czymś rozdrażniona, czymś zaaferowana.

- Moja córka zawsze mówi, co jej ślina na język przyniesie - powiedział Edward, odprowadzając ją posepnym wzrokiem. - Wybacz, pani.

Niestety, po tym wystąpieniu córki wyraźnie stracił humor, dlatego nie wspomniałam o księżniczce Izabeli już ani słowem, tylko spytałam o coś innego:

- Nie powiedziałaś, panie, dlaczego chcesz mi tę klacz podarować.

- Ponieważ potrzebujesz odpowiedniego wierzchowca, który w razie nieobecności mego syna zadba o ciebie. A to klacz wyjątkowa. Jeśli okażesz jej serce, będziesz miała wspaniałą i troskliwą towarzyszkę.

Krótko, konkretnie i zdecydowanie, jak prawdziwy król, człowiek o wielkiej sile wewnętrznej i pełen męskiej dumy, którego słów nie wolno kwestionować. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że powinienam okazać wielką wdzięczność. Być urocza i zachwycona prezentem, tym bardziej że przed chwilą nie było mu miło, kiedy księżniczka wyraźnie dała ojcu do zrozumienia, że jest zbyt wspaniałomyślny wobec zwyczajnej służącej.

Niestety, był pewien szkopuł.

- Jestem bardzo wdzięczna Waszej Królewskiej Mości, a moja powściągliwość wynika stąd, że nie przywykłam do otrzymywania prezentów. Jej Królewska Mość była pierwszą moją dobrodziejką... Nie! Przecież dostałam już coś przedtem. Podarowano mi małpę!

- Małpę?! - Edward naturalnie uśmiechnął się. - Masz ją nadal, pani?

- Niestety nie. Została w klasztorze. Obawiam się, że los jej został przesądzony, bo to stworzenie do miłych nie należało. Cóż, małpa jak to małpa, po prostu była wstrętna!

A teraz zaśmiał się na głos.

- Czyli, jak powiadasz, jeśli chodzi o podarki, los nie był dla ciebie łaskawy. Najwyższy czas to zmienić. Moja w tym głowa.

- Twoja, panie? Ależ nie przystoi, by król dawał podarki dziewczynie znikąd, bez nazwiska, bez rodziny.

- Król zawsze daje to, co chce i komu chce. Dlatego daję ci tę klacz.

- Ale ja nie mogę jej przyjąć, panie.

Nie, jakoś nie mogłam się przełamać. Bo jakże to tak, ja, Alice Perrers, miałam przyjąć ten prawdziwie królewski dar, przepiękną i wartą krocie klacz?

- Przyjmij ją, pani. Chcę, by dawała ci radość. Należy ci się za to, że tak wiernie służysz naszej królowej.

Nie, nie mogłam się już dłużej ociągać, a kiedy klacz trąciła mnie w ramię aksamitnym nosem, od razu ją pokochałam. Bo była piękna. I była podarkiem od Jego Królewskiej Mości.

*Królowa jest chora. Nie może wstawać z łóża, często prosi, by jej poczytać.*

Kiedy król przyszedł odwiedzić królową, naturalnie wstałam, złożyłam głęboki ukłon, szybko zamknęłam książkę i odłożyłam na bok, pewna, że każą mi się oddalić. Wspólne chwile z małżonką niewątpliwie były dla króla bezcenne, a jednak dał ręką znak, bym czytała dalej. Rozsiadł się na krześle i słuchał bardzo pilnie, kiedy czytałam opowieść długą i smutną, którą królowa szczególnie sobie upodobała. Zawsze popłakiwała nad nieszczęśliwym losem Tristana i Izoldy. Tym razem też miała oczy mokre od łez, a król, głaszcząc ją po rękę, beształ za te łzy, jednocześnie zapewniając, że jego miłość do niej jest o wiele większa niż Tristana do pięknej Izoldy. I że on, Edward, nie jest tchórzem. Odwrócić się do ściany i umrzeć! O nie. Tylko miecz wbity w brzuch mógłby odebrać mu żywot. Czy Filipa z tego powodu miałyby też zakończyć życie? Bo serce by jej pękło? Banialuki! Filipa i Edward ulepieni są z twardej gliny, która jeszcze stwardniała po tylu latach małżeństwa. A to, co zrobiło tamtych dwoje, owi Tristan i Izolda, to wstyd i hańba!

W rezultacie królowa śmiała się przez łzy.

- Głupia bajka, głupia...

- Ale pięknie przeczytana, z wielkim uczuciem - powiedział Edward, a wychodząc, dotknął lekko mego ramienia.

Czy królowa to zauważyła? Nie sądzę, ale zaraz potem kazała mi odejść, bo potrzebuje chwili samotności. Tak powiedziała. I ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy dochodziłam do drzwi, znów coś powiedziała do mnie:

- Wybacz, Alice, ale sama włożyłam na swe barki bardzo ciężkie brzemie i czasami nie potrafię tego udźwignąć.

Jakie brzemie? Co dręczy królową? Tego niestety nie wiedziałam.

*Zegar króla jest już w nowej wieży.*

Wpatrywałam się z zachwytem przede wszystkim w króla, który wprost promieniał radością i śmiał się głośno, serdecznie, bo drogocenny zegar był już prawie gotowy. Miejsce w nowej wieży, gdzie zegar miał zostać umieszczony na wieczne czasy, przyszykowane. Cały mechanizm złożony, ku wielkiej satysfakcji wyjątkowo skrupulatnego rzemieślnika z Włoch. I tego dnia to wyjątkowe urządzenie, ten niezwykły czasomierz wreszcie miał zacząć chodzić. Królowa bardzo chciała uczestniczyć w tym wielkim wydarzeniu, wszak to na jej życzenie Edward kazał zrobić zegar wzorowany na słynnym zegarze z opactwa w St Albans, z cudnie przesuwającymi się gwiazdami i słońcem.

Niestety, okazało się to niemożliwe.

- Nie dam rady - przyznała, na próżno próbując wepchnąć w trzewik opuchniętą stopę. - Ale ty, Alice, koniecznie tam idź. Królowi potrzebna jest widownia.

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Chwała Bogu! - dodała Izabela.

- A dlaczegoż to? - spytała cierpko Filipa. - Tego ranka raczej nie widzę powodu, by Mu dziękować.

- Chwała Bogu, że to nie mi każesz iść i patrzeć na tę ohydę.

- Nie, wcale nie każę, ale Alice na pewno bardzo to zaciekawia. Będzie wiedziała, o co podpytać króla, a potem nam wszystko opowie. Prawda, Alice?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Kiedy wychodziłam z komnaty, usłyszałam jeszcze wołanie Izabeli:



- Tylko nie za bardzo szczegółowo! Nie każdy jest zafascynowany jakimiś tam linami i kółkami!

A ja byłam bardzo zaciekawiona linami i kółkami, zwłaszcza tymi z zębami. Kiedy kółka się obracały, owe zęby szczepiały się z zębami kółka sąsiedniego. Naprawdę! Czyż to nie fascynujące? Nic dziwnego, że biegłam tam jak na skrzydłach, tak bardzo byłam ciekawa, co zmagistrował ten włoski rzemieślnik.

Czy tylko dlatego?

Naturalnie, że nie. Bardzo chciałam zobaczyć coś, co zafascynowało Edwarda. Zobaczyć króla w innej sytuacji, nie wtedy, gdy trzyma w ręku miecz czy zajęty jest przygotowaniami do jakiejś uroczystości. Po prostu chciałam zobaczyć tego człowieka czynu, gdy jest czymś zachwycony.

Dlatego właśnie byłam świadkiem ostatnich przygotowań do uruchomienia zegara. Oczywiście nie byłam jedynym widzem. Koło króla stało wiele osób, także koło Włocha i jego pomocnika. Byli to służący i zbrojni, ponieważ do uruchomienia zegara potrzebowano wielu silnych rąk.

Naturalnie był też Tomasz. Mały królewicz nigdy by nie przepuścił takiego widowiska.

- Trzeba go podnieść, Wasza Królewska Mość. O, dotąd! - powiedział Włoch, zgodnie z narodowym obyczajem cały czas gestykując. - A potem umocować ciężarki i liny, na których zawisnie dzwon.

Liny przynieśli zbrojni. Słyszałam wydawane im precyzyjne polecenia, jak mają umocować obciążniki przy mechanizmie obrotowym. Książę Tomasz też otrzymał zadanie, mianowicie miał stać, patrzeć i dać znać, kiedy wszystko będzie już na swoim miejscu.

A mnie kazano stanąć z boku!

- Ciągnąć! - ryknął Włoch. I ciągnęli. A potem: - Pchać!

Za każdym razem poszczególne części zegara były coraz bliżej swego miejsca.

- Już prawie tam są! - krzyczał niemal nieprzytomny z przejęcia Tomasz.

I znów rozkaz Włocha:

- Pchać!

Pchali, pchali i nagle jedna z lin zerwała się. Przyczepiony do niej obciążnik upadł na kamienną podsadzkę, wzbijając tuman kurzu i małych kamiennych odprysków, a drugi koniec grubej liny, niczym teraz nieobciążony, czyli wolny jak ptak, przeciął powietrze efektywnym łukiem, opadł i jak wąż prześlizgnął się zygzakiem po posadzce, nieuchronnie kierując się w moją stronę! Uderzył mnie po kostkach z taką siłą, że nogi same oderwały się od posadzki. Oczywiście upadłam, zmieniając się w mało wytworną górkę spódnic.

- *Signorina!* - Wystraszony Włoch dopadł do mnie.

Z drugiej strony z równie dramatycznym okrzykiem dopadł do mnie Edward:

- Alice!

A ja powoli usiadłam. Z zaskoczenia, wstrząsu i bólu prawie nie oddychałam. Włoch natychmiast przystąpił do ocierania mej zabrudzonej twarzy.

- *Signorina! Mille scuse! Mille scuse!*

Ja natomiast przystąpiłam do dyskretnego doprowadzania do ładu skotłowanych spódnic. Owszem, podjęłam takie działania, choć byłam półprzytomna, a w każdym razie nagle odmieniona. Po takim wstrząsie zdawało mi się, jakbym na wszystko patrzyła gdzieś z boku i z daleka. I byłam tak obolała, że wyjęczałam cicho:

- Edwardzie...

- Już wszystko dobrze - powiedział miękko, biorąc mnie za rękę i unosząc je do ust.

Nic dziwnego, że moje zmysły w mgnieniu oka ożyły, stąd nagły przypływ sił.

- Nic mi się nie stało, panie!

Ale Edward puścił to mimo uszu i krzyknął do Tomasza:

- Biegnij po medyka!

Mały książkę popędził co siłą, a ja jeszcze raz, ale już nie tak buńczucznie, zapewniłam:

- Nic mi się nie stało, panie...

- To ja zadecyduję, czy stało się coś, czy nie - powiedział Edward do mnie, a do mistrza od zegarów, który nadal załamywał rękę, o wiele głośniejszym głosem: - Uspokój się, człowieku! To nie twoja wina. Sprawdźcie mechanizm, a ja zajmę się panią Alice. - I znów do mnie: - Możesz wstać?

- Tak, panie.

Podtrzymał mnie, a ja wstałam, ale to wcale nie oznaczało, że stałam na pewnych nogach. Wcale nie, bo zachwiałam się i zmuszona byłam złapać go za rękę. I nie była to z mojej strony jakaś kobieca sztuczka. Absolutnie nie, po prostu zakręciło mi się w głowie, a zaraz potem jeszcze bardziej, z wielkiego wrażenia, bowiem Edward, król Anglii, porwał mnie na ręce i poniósł przed siebie jak najdalej od tego całego zamieszania.

Po raz pierwszy w moim niedługim jeszcze życiu znalazłam się w ramionach mężczyzny, targana więc byłam tymi wszystkimi uczuciami i odczuciami, które dotąd tylko sobie wyobrażałam. Kiedy stanie się to, co właśnie się stało. Tuż przy mnie rosło, ciepłe męskie ciało, tak blisko, że słyszę miarowe bicie królewskiego serca. A obejmujące mnie ramiona są takie twarde, takie silne. I ten ostry zapach męskiego potu. Oszałamiający...

Do takiego stopnia oszałamiający, że ze mną całą działo się coś przedziwnego. W gardle zaschło, dłonie zwilgotniały, a każdy skrawek mojej cielesnej powłoki pobudzony został do życia. Nie tylko ożył, ale także zapłonął. Tak, na pewno płonęłam, bo czułam w środku żar. A serce to już chyba nie mogło bić szybciej...

Jednak w którymś momencie oprzytomniałam.

- Proszę, puść mnie, panie. Gdyby królowa to zobaczyła, na pewno by jej się nie spodobało, a dziś Jej Królewska Mość czuje się bardzo źle. I dokąd, panie, mnie niesiesz?

- Nie wiem.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie w taki sposób, jakby faktem, że jestem w jego ramionach, był tak samo poruszony jak ja. Jego oczy były tak blisko moich, a kiedy się odezwał, ciepły oddech owiewał mi skronie.

- Prawdę mówiąc, Alice, tak się wystraszyłem, że rozsądek gdzieś się zapodział. Powiedz, boli cię coś?

- Ależ nic mnie nie boli! Proszę, puść mnie, panie. Mogę iść sama, na własnych nogach.

Kąciaki królewskich ust wyraźnie drgnęły.

- Jestem rycerzem, pani. Nie wypuszczę cię z rąk, póki nie zaniosę tam, gdzie nic już ci zagrażać nie będzie.

Och nie! Przecież słyszę tego Włocha, więc musi być gdzieś w pobliżu. Słyszę wiele innych głosów, to zapewne zbrojni. A poza tym po pałacu zawsze kręci się cała chmara służących!

- Proszę, puść mnie, panie. Ktoś może nas zobaczyć.

- I cóż to szkodzi? - odparł jakby odruchowo, bo zaraz potem brwi przesunęły się nieco wyżej, a wyraz oczu był taki, jakby jednak się zastanawiał. Dopiero teraz, kiedy wiadomo było, że wystarczy, by podejrziała nas jedna osoba, a za niecałą godzinę cały dwór będzie wiedział, że król nosi na rękach Alice.

- Puść mnie! - zażądałam tak już zdesperowana, że miałam za nic dworską etykietę czy respekt przed monarchą.

- Skoro nalegasz...

Skręcił w bok, do prezbiterium, i tam usadził mnie w jednej ze stali, co bardzo mnie ucieszyło, było to bowiem miejsce zaciszne, mogłam więc po odejściu króla spokojnie sobie tu posiedzieć i poczekać na medyka.

Niestety, wcale nie odszedł. Został, przykląkł przede mną i wtedy stało się właśnie to. Jego Królewska Mość obdarzył mnie pocałunkiem. I nie było to delikatne muśnięcie wargami mych palców czy przyjacielskie cmoknięcie w policzek, a tego przecież mogłam się spodziewać. Nie, Edward pocałował mnie w usta, i zrobił to całkiem inaczej niż mój świętej pamięci mąż, Janyn Perrers, kiedy w nader rzadkich mężowskich porywach przytknął na mgnienie oka wąskie wargi do moich ust.

A Edward? Och, Edward objął mnie i przytulił, a jego gorące wargi, choć przylgnęły do moich również na mgnienie oka, omal ich nie zgmiotły.

Pocałował i poderwał głowę. Ja również, zdumiona niepomiernie samym faktem, że to właśnie zrobił. A także następstwami, bo był to przecież jeden króciutki pocałunek, a krew we mnie się wzburzyła, w głowie zapanował chaos.

Dałam jednak radę wyszeptać:

- Nie powinieś był tego robić, panie...

- Ośmielasz się pouczać króla?

Niby srogo, ale z uśmiechem... co prawda niewesołym. Po czym wykazując się największą nierozwagą, ponownie zrobił to, co przed chwilą, czyli pocałował tak samo żarliwie, a potem wyznał:

- To dlatego, że ty... patrzysz na mnie z taką ufnością. A nie powinnaś!

- Nie? - pisnęłam, ponieważ innego głosu nie byłam w stanie z siebie wydobyć. - Czyli to moja wina, że całujesz, panie, damę dworu Jej Królewskiej Mości?

Przez krótką chwilę ciszy było tak, jakby Filipa raptem pojawiła się tu we własnej osobie, aż tak bardzo oczywisty był fakt jej istnienia. A potem król powiedział:

- Nie, Alice, to nie twoja wina, lecz moja. Jestem poruszony tym, co się wydarzyło z tą liną. Mogłaś ponieść wielki szwank na zdrowiu, a ja nie zadbałem o ciebie należycie.

Słuchałam, starając się ze wszystkich sił, by mój oddech wreszcie się uspokoił. Zresztą nie tylko oddech, bo cała w środku byłam roztrzęsiona. Z wierzchu też. Co naturalnie było konsekwencją tych wszystkich niebywałych przeżyć. Edward jednak zrozumiał to opacznie, bo powiedział:

- Zimno ci, Alice.

Wstał i szybko zdjął wierzchnią tunikę bez rękawów, którą włożył tego dnia, idąc do kościoła, gdzie zawsze wiało chłodem. I tę tunikę zarzucił mi na ramiona, a zarzucając, dotknął ich i znów poczułam ten osobliwy żar. Tak wielki, że aż pulsowało mi w skroniach.

Usłyszałam też ciche kroki, stąd moje wyszeptane ostrzeżenie:

- Panie...

Edward natychmiast odstąpił, a po krótkiej chwili pojawił się przy mnie medyk, który zadał mi wiele pytań, z których większość uznałam za nieistotne. Po czym zalecił wypoczynek i poszedł sobie.

A Edward zarządził:

- Odprowadzę cię do komnat królowej.

Pomyślałam, że oczywiście, bo tak będzie najlepiej. Wreszcie zakończyć tę chwilę sam na sam z mężczyzną, który kusi mnie za bardzo. A skoro wracam już do królowej...

- Panie, a co z zegarem? Obciążnik oberwał się. Czy da się to naprawić? Chciałabym wiedzieć, bo królowa jest bardzo ciekawa wszystkiego, co wiąże się z zegarem...

I zamilkłam, bo król spojrzał na mnie wzrokiem płonącym.

- Do diabła z tym zegarem! - zawołał rozsierdzony. - Błahostka! Myślę teraz o tobie! Nie żałuję, że cię pocałowałem. Jesteś taka ponętna, oszałamiasz mnie. Dlaczego tak jest?!

Tak mówił, a spojrzenie miał gniewne, jakbym znowu w czymś zawiniła!

- Ależ panie, to tylko chwila ulotna! Jestem pewna, że do jutra o wszystkim zapomnisz, tym bardziej że zegar będzie już naprawiony...

- Nie sądzę, bo to nie był tylko impuls. Na pewno nie. Powiedz, czy ty nic nie czujesz? Nic?!

Wyrzucił to z siebie prawie napastliwie, ja natomiast odparłam bardzo spokojnie:

- Nie wiem, panie.

- A ja myślę, że wiesz.

- Ależ panie! Proszę... Dlaczego mnie o to pytasz? Czy ma to jakieś znaczenie? Bo i kimże ja jestem? Tylko damą dworu, tą najmłodszą, nic nieznaczącą...

- Wiem, kim jesteś, Alice. Ale chcę to wiedzieć. Chcę wiedzieć, co myślisz o tym... incydencie.

- Więc powiem, panie, bo muszę na twój rozkaz. Przede wszystkim myślę, że tak wspaniałego i tak godnego podziwu człowieka jak ty, panie, nigdy jeszcze w życiu nie spotkałam. - Czyż nie była to prawda?

- I to wszystko? Bo mi nie wystarcza, Alice! - powiedział król władczo, jak monarcha. Dłoń spoczywająca na moim ramieniu była bardzo ciężka, a rosłe ciało wyprostowane, wyprężone jak cięciwa łuku. - Chcę cię zobaczyć, Alice, jeszcze dzisiaj. Przyjdiesz do mnie wieczorem.

Nie pytał, czy sama też tego pragnę, i nic nie obiecywał, tylko rozkazał. Plantagenet z krwi i kości. Wiedziałam, co mnie czeka, nie miałam żadnych złudzeń, tylko świadomość, że nie mam tu nic do powiedzenia. Nie mam nawet prawa pomyśleć, że może być inaczej, niż postanowił władca.

Królowej powiedziałam, że z zegarem są pewne trudności, ale Jego Królewska Mość ma na wszystko baczenie.

Czy zdawałam sobie sprawę z tego, co robię? Czy wiedziałam od samego początku, jak to się rodzi, rozwija?

Tak, wiedziałam, nie jestem przecież głupia. Zdawałam sobie doskonale sprawę, co się dzieje. Zauważyłam, kiedy król po raz pierwszy spojrzał na mnie uważniej, zauważyłam, kiedy w moich infantylnych zapiskach po raz pierwszy nazwałam go Edwardem, a nie królem. Stało się to wtedy, kiedy podarował mi śliczną klacz. Właśnie wtedy przestałam widzieć w nim tylko i wyłącznie króla.

Czy oczarowałam, uwiodłam, o co oskarżały mnie złośliwe języki wiele lat później? Czy byłam współwinna w tym uwiedzeniu?

Współwinna na pewno tak, ale nie uwiodłam, bo nigdy żadna kobieta nie zdołała usidlić Plantageneta, a ten Plantagenet też sam o wszystkim decydował i podążał swoją własną drogą.

Czy byłam złośliwą, przewrotną kobietą? Na pewno nie. Zawsze byłam lojalna wobec królowej, a poczucie winy nie było mi obce. Przecież wszystko, co miałam, dała mi Filipa, a ja ją zdradziłam. I to gryzło mnie jeszcze boleśniej niż ostre zęby złośliwej małpy hrabiny Joanny.

Ambicja?

Bez wątpienia. Przecież był to dobry sposób, by wziąć odwet za lata nędzy i upokorzeń. Kiedy kobieta młode lata spędza w nędzy, bez żadnego dobytku, dlaczego miałyby nie skorzystać ze sposobności i te braki nadrobić? Tym bardziej że ta sposobność sama pchała się do rąk!

A poza tym czy mogłam zmienić bieg wypadków, które sprawiły, że zostałam faworytą króla? Oczywiście, że nie. Widocznie tak było mi sądzone. No i przy Edwardzie wreszcie mogłam być sobą, a nie jedną z głupawych dam dworu, którym tylko paplanina i plotki w głowie. Byłam, jak powiedziałam, sobą, a Edward zawsze słuchał mnie uważnie, jakby istotnie liczył się z moim zdaniem. Edward... Zawsze władczy, prawdziwy monarcha i kwintesencja męskości. Byłam nim urzeczona, oszołomiona. Cóż się dziwić, skoro jestem tylko kobietą. Kiedy zwracał ku mnie oczy, od razu w głowie mi szumiało jak po wypiciu kielicha mocnego gaskońskiego wina.

Poza tym był królem, a ja jego poddaną. Miał nade mną władzę. Ale ja nad nim też.

Czy mogłam temu zapobiec? Nie, nie mogłam, po prostu los tak chciał. A gdybym ja chciała inaczej, i tak na nic by to się nie zdało. Bo tamtego dnia, wieczorem, dokładnie o jedenastej, wszystko wymknęło mi się z rąk.

Czekałam. Serce w piersi kołatało, robiło mi się słabo, a nawet się bałam, że będę musiała biec do ustronnego miejsca. Jakoś jednak zdołałam pokonać mdłości, i to tak skutecznie, że zdecydowałam się wypić parę łyków piwa, po czym przysiadłam na brzegu łoża, udając, że jestem bardzo zaciekawiona rozmową dwóch dam, z którymi dzieliłam komnatę. Plotły włosy na noc, trajkocząc bez przerwy. Po chwili miałam już tego dość i starałam się zająć rozplątywaniem węzełków na wstążce, ale to tylko jeszcze bardziej mnie zdenerwowało. Odrzuciłam więc wstążkę, zdjęłam welon i złożyłam go bardzo starannie. I rozłożyłam. I odłożyłam na bok.

Niestety wszelkie próby, by zająć czymś ręce, spełzły na niczym. Pozostała mi już tylko przechadzka po komnacie, więc pochodziłam tam i z powrotem i znów usiadłam, a w głowie i w sercu dalej zamęt. Lojalność... Jego Królewska Mość, którego jestem poddaną, obdarzył mnie pocałunkami. Jej Królewska Mość, której jestem służką, darzy mnie zaufaniem. Pocałunki, a teraz... Czy można jeszcze bardziej nadużyć czyjegoś zaufania? Nie. Czyli to nikczemna zdrada wobec królowej, której podkrada się to, co do niej należy.

I cóż ja mam zrobić? Co?! Och, daj Boże, by okazało się, że wcale nie jest tak, jak myślę. Że zrozumiałam wszystko opacznie. Król wcale mnie do siebie nie wezwie i o poczuciu winy, o zdradzie mogę zapomnieć.

Czyżby? Kiedy usłyszałam pukanie do drzwi, podskoczyłam jak oparzona, a kiedy drżącymi rękoma drzwi te otworzyłam, zobaczyłam pazia w królewskich barwach.

- Jej Królewska Mość nie może zasnąć i wzywa cię, pani, do siebie.

- Już idę.

Czyli tak to zostało pomyślane. Chytra sztuczka, by wywabić mnie z komnaty, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Zapewne po-



prowadzona zostaną ciemnymi korytarzami, które wcale nie prowadzą do komnat królowej, lecz króla. Nie, wcale mi nie było w smak takie ukrywanie się, ten podstęp. Naprawdę tego nie chciałam, ale cóż... już omotała mnie pajęczyna intrygi. Pajęczyna, którą po części wysnułam sama.

Paź czekał za drzwiami. Włożyłam płaszcz i z ręką na kłamce przekazałam damom:

- Być może nie wrócę przed świtem. Jeśli Jej Królewska Mość bardzo niedomaga i jest niespokojna, będę spać przy niej, w przedpokoju.

Damy, zajęte swoimi sprawami, pokiwały tylko głowami.

Czyli wcale nie było to takie trudne.

A teraz idź już, Alice, nakazałam sobie. Król chce cię w swym łóżu. Nakazałam... i zadrżałam.

Jednak paź nie poprowadził mnie chyłkiem przez mroczne korytarze, tylko po przebyciu krótkiego korytarza otworzył drzwi do małego przedpokoju, gdzie znajdowały się drugie drzwi, przez które wchodziło się do komnat królowej. Ten przedpokój wykorzystywany był do poufnych rozmów w cztery oczy, tu także można było się skryć w samotności i ciszy, gdy ktoś potrzebował chwili zadumy. Ja też przecież, po znamiennej rozmowie, kiedy to król otwarcie powiedział mi

O swoich zamiarach względem mojej osoby, siedziałam tu chyba z godzinę.

Przedpokój znajdował się w wieży, dlatego kamienne ściany tworzyły idealne koło. Na tych ścianach wisiały gobeliny o bardzo żywych kolorach, bo był na nich las, a w nim mnóstwo ptaków i zwierząt. Gdziekolwiek bym spojrzała, wszędzie widziałam wlepione we mnie ślepie. Żłociste oczy sowy, okrągłe i nieruchome. Rzewne oczy sarny, bystre oczy psa myśliwskiego. I te stworzenia wpatrywały się we mnie bardzo przenikliwie, dlatego strach mój był coraz większy.

Stałam przez chwilę, póki nie zdecydowałam, że jednak usiądę, i podeszłam do jednej z ławek pod ścianą. Przysiadłam na niej sztywna jak kołek. Panowała cisza, a kiedy uszy wyłapały nawet najcichszy dźwięk, to podskakiwałam.

I co teraz? Wiadomo co. Mam czekać cierpliwie i z pokorą, bo na to, co się wydarzy w ciągu najbliższych godzin, nie mam żadnego wpły-

wu. Więc czekałam, zaciskając zwilgotniałe ze zdenerwowania dłonie, a w głowie kłębiło się od pytań. Co powiem? Co zrobię? Co będzie, jeśli nie zadowolę króla? A tak zapewne się stanie, bo moja wiedza o tym, co dzieje się między kobietą a mężczyzną za zasłonami łoża, była bardzo skąpa. Przecież zakonnice nie szykowały mnie na królewską nałożnicę! Na nałożnicę kogokolwiek! A jeśli chodzi o Janyna...

Palce bezwiednie chwyciły się ławki tak kurczowo, że aż zaboląło.

- O Panno Przenajświętsza - wyszeptałam gorączkowo - błagam, nie opuszczaj mnie!

Zupełnie jakbym w takiej chwili miała prawo wzywać na pomoc Królową Niebios...

Kiedy usłyszałam, że drzwi otwierają się, natychmiast zerwałam się na równe nogi, zerkając na drzwi, przez które weszłam, czyli te z korytarza, pewna, że pojawi się w nich paż, który poprowadzi mnie dalej, w tę zdradliwą podróż...

Ale pomyliłam się, bo otwarły się drzwi do komnat królowej. I kto stanął w progu? Och nie! Teraz to już umierałam ze strachu, bo w progu ukazała się... królowa!

Do środka weszła powoli, dostojnie, jakby wkraczała do sali audien-cyjnej, a drzwi zamknęła za sobą jak najciszej. Pod luźną szatą miała tylko koszulę, włosy splecione w warkocze, pomarszczona twarz wymi-zerowana od ciągłej walki z bólem. Ale i tak Filipa była królową w każdym calu.

Przez długą chwilę milczałyśmy, popatrując tylko na siebie. A na nas patrzyły setki nieruchomych oczu wyhaftowanych na gobelinach.

Filipa na pewno czuła się bardzo źle. Była nienaturalnie wyprostowana, chorą rękę, zgiętą w łokciu, podpierała zdrową ręką. Cierpiała, a jednak przyszła tu, by rzucić mi w twarz oskarżenie i przekląć moją zuchwałość.

Cóż mogłam zrobić? Tylko pokłonić się jak najniżej i spuścić głowę, by ukryć szkarłatny rumieniec, rumieniec największego wstydu. Bo na cóż to ja chciałam się powazyć? Na największą podłość, bo to, co mogłoby się zdarzyć, byłoby dla królowej największym upokorzeniem. Mogłoby ją zniszczyć.

Mogłoby, byłoby... Dlaczego? Dlatego, że byłam już całkowicie pewna, że czegoś takiego nigdy nie zrobię.

- Alice... - Głos królowej był cichy, niewiele głośniejszy od westchnienia.

- Och milady! Błagam, wybacz mi!

- Wiedziałam, że tu będziesz.

Wiedziała! Skąd? Jakim sposobem? Bardzo prostym. Przecież nie pierwszy raz miałam okazję zobaczyć, jak bardzo królewscy małżonkowie są do siebie przywiązani. Czasami miałam wrażenie, że jeszcze zanim Edward wszedł do komnaty, Filipa już wyczuła, że mąż idzie do niej.

Teraz też wyczuła. Edward, miłość jej życia, chce ją zdradzić.

Nie, nie mogłam jej tego zrobić.

Przerażona swoją podłością, padłam na kolana.

- Wybacz, milady. Wybacz!

Palce monarchini dotknęły mej pochylonej głowy. Zrobiły to tak delikatnie, że ośmieliłam się głowę unieść i spojrzeć Filipie w twarz, teraz zalaną łzami. Tych łez było tak wiele, że miejsca na twarzy już nie starczało, i musiały spłynąć na adamaszkową szatę, zdobiąc ją ciemnymi plamkami.

Plamek było coraz więcej. Ślady łez, których sprawczynią byłam ja. Och Boże... Spoglądanie na ten bezmiar smutku było ponad moje siły. Zrozpaczona ukryłam twarz w dłoniach.

Moje oczy też były pełne łez.

- Nigdy nie zranię cię, pani - wyszeptałam.

- Wiem.

- Nie zrobię tego, pani. Przysięgam. Wrócę do siebie! - Filipa, pojękując z bólu, nachyliła się nade mną i pociągnęła mnie za ramię, zmuszając, bym powstała z kolan. A ja, paląc się ze wstydu, mówiłam dalej: - Powiem Jego Królewskiej Mości, że...

- Co mu powiesz, Alice?

- Nie wiem, milady, ale na pewno opuścę dwór, wyjadę stąd...

O tak! Byłam gotowa zrobić wszystko, by uleczyć ranę, którą zadałam sama sobie. Gorzką świadomość, że gotowa byłam popełnić tak haniebną zdradę.

- Nie, Alice. Nie opuścisz dworu, tylko zrobisz coś innego.

- Ależ milady! Nie zasługuję na twoje wybaczenie. Ja...

Wtedy znów chwyciła mnie za ramię, i to nadspodziewanie mocno, zmuszając, bym zamknęła usta. A sama odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Zrobisz, Alice, to, czego życzy sobie król. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiałam. Dla mnie wszystko to razem było całkowicie pozbawione sensu.

- Nie, pani. Nie pojmuję.

- Pójdiesz do króla. Kiedy zjawi się jego paż, udasz się tam, gdzie cię zaprowadzi.

- Ależ nie mogę tego zrobić! Nie mogę być tak nielojalna...

- Nie będziesz nielojalna, Alice. Bo ja... ja chcę, żebyś to zrobiła.

Czyż mogła bardziej mnie zadziwić? Na pewno nie, dlatego nie bacząc, że to przecież monarchini, przykryłam swą dłonią jej dłoń. Taka niema prośba, by zastanowiła się nad tym, co mówi.

Niema prośba poparta słowami:

- Niemożliwe, żebyś tego chciała, pani! Błagam, zastanów się!

A Filipa, potrząsając głową, wsunęła palec pod moją brodę, zmuszając, bym spojrzała jej prosto w oczy. A ona mogła spojrzeć w moje. Po czym kiwnęła głową, jakby podjęła ostateczną decyzję, i cofnęła się o krok.

- Spójrz na mnie, Alice, ale nie jak na królową, lecz jak na kobietę. - Podniosła rękę, dzięki czemu nie mogłam nie zobaczyć, jakiego straszliwego spustoszenia dokonuje w niej postępująca choroba. - Mam już prawie pięćdziesiąt lat, Alice. Czas okazał się dla mnie mniej łaskawy niż dla mego męża. Moje ciało od dawna nie jest ponętne, a w słabym ciele duch też słaby. Kiedyś był mężny, ale tyle dzieci mi pomarło... Na mnie też niebawem przyjdzie pora. Już czuję, jak kostucha usiłuje przydeptać rąbek mej koszuli, już czuję na plecach jej zimny oddech.

- Ale przecież potrafię uśmierzyć twój ból, pani.

- Ale nie każdy, bo kiedy jest już tak wielki, tak przejmujący, wtedy nie pozwalam się nikomu dotknąć. Dobrze wiesz, jak to ze mną jest...

Oczywiście, że wiedziałam. Jak udęczona jest chorobą. Już tylko wygląd mówił sam za siebie. Cała opuchnięta, skóra porozciągana, ramiona zniekształcone. Bywały dni, kiedy jedynie dzięki żelaznej sile woli królowa dawała radę przejść z sypialni do wielkiej komnaty, gdzie przesiadywano za dnia.

- Wiem, milady.

- Trudno, żebyś o tym nie wiedziała. A Edward wciąż jest taki żywotny i jak każdy mężczyzna ma swoje potrzeby. Potrzebuje kobiety, która zadowoli jego ciało. Ja tego zrobić już nie mogę, skoro sam ciężar pościeli jest dla mnie udręką. A tak bardzo kocham mego męża. Urodziłam mu trzynastoro dzieci, czym zaskarbiłam sobie jego wielki szacunek. Nadal kocham go nad życie, ale łoża już mu nie ogrzeję. Nie, choć mi serce pęka. Kiedyś nie mogłam się doczekać, kiedy przyjdzie do mnie. Czekałam z największą niecierpliwością, cała rozplomieniona. Teraz już nie, bo strach przed tym, czego będzie sobie życzył, jest zbyt wielki. Z tym że nie pomyśl sobie przypadkiem, że Edward jest bezmyślny czy okrutny. Nigdy nie żądał ode mnie czegoś, czego nie mogłabym znieść. A teraz... teraz niczego już nie zniosę. Wszystkiego się boję, a nie chcę, by ten strach stał między nami, między Edwardem a mną. Dlatego postanowiłam temu wszystkiemu zaradzić.

Milczałam, myśląc o tym, że królowa jest nieskończenie uczciwa i przejmująco szczerą. Twarz mieniła się od gwałtownych uczuć, choć decyzję już podjęła. Ale, na Boga, nie była to decyzja łatwa!

- Wiele razy mówiłam Edwardowi, by wziął sobie nałożnicę, bo nie sprostał już małżeńskim obowiązkom, lecz do tej pory nie wziął żadnej. A na ciebie zwrócił uwagę. Czyli jednak poszło po mojej myśli. Na początku postanowiłam, że niech stanie się to, co ma się stać, a ja po prostu usunę się w cień. Ale potem pomyślałam, że nie, że jednak muszę z tobą porozmawiać. Jesteś bystra, masz jasny umysł i w żadnym razie nie zasługujesz na to, by traktować cię jak istotę bezwolną, zwłaszcza w sprawach tak delikatnych. - Zamilkła na moment i dyskretnie powiodła czubkiem języka po spierzchniętych wargach. - Chcę, Alice, żebyś to zrobiła. Przecież nie bez powodu postarałam się, byś stanęła na jego drodze.

- Milady to wszystko obmyśliła wcześniej?!

- Obmyśliłam? Nie, raczej... zastanawiałam się nad tym.

- A czy król o tym wie?! - Byłam przerażona, bo prawie pewna, że wszystko to zostało ukartowane przez królewską parę, a ja jestem tylko pionkiem przestawianym na szachownicy.

- Ależ skąd! - Filipa zaśmiała się. - Jego Królewska Mość, jak prawdziwy Plantagenet, zawsze sam podejmuje decyzje. I tak musi być. Nie mam najmniejszego zamiaru wyprowadzać go z błędu!

Odetchnęłam. Bo przynajmniej to...

- Ale przecież na królewskim dworze jest tyle pięknych dam...

- To prawda, a mój mąż doskonale widzi, ile urody wszędzie wokół. Gdyby zapragnął którejś z tych ślicznotek, już by ją miał. Ale ty, Alice, masz w sobie osobliwy urok. Modliłam się, by król to dostrzegł.

A ja teraz bardzo cicho, prawie szeptem, jakbym bała się, że menażeria na gobelinach może nas usłyszeć:

- Milady, a czy królowi nie przynosi ujmy, że rozmawiamy o nim w taki właśnie sposób? Czy nie uwłaczamy jego męskości?

- Och, nie obawiaj się, w niczym mu nie uwłaczamy. Z naszej strony to tylko przejaw troski, bo celibat jest dla niego zbyt wielkim ciężarem. Od wielu miesięcy jest na niego skazany, a przecież Edward to krewki mężczyzna. Skazany został na celibat z mego powodu, więc ja...

- Uśmiechnęła się i wcale nie był to smętny uśmiech, lecz pogodny uśmiech człowieka pogodzonego z losem. - ...chcę mu coś podarować. Dzięki temu, że ty mi coś dasz, pojmujesz? Kiedyś dałam ci możliwość wspiąć się wyżej, więc pora się odwdzińczyć...

- Ależ tak, milady. Dać ci coś z siebie.

- Tak, Alice. Wspomniałaś o uwłaczaniu. Pomyśl więc też i o uwłaczaniu mojej godności. Mężczyzna ogarnięty żądzą gotów jest na wszystko. Pomyśl, co by się działo, gdyby król, by zaspokoić swe zmysły, wziął sobie zwyczajną dziewczynę sprzedajną albo, nie daj Boże, którąś z dam szlachetnie urodzonych, i to z mego dworu! O nie! Wolę nawet o tym nie myśleć, bo na pewno nie byłabym w stanie stawić temu czoła...

I wtedy usłyszałam narastający odgłos kroków. Ktoś szedł korytarem, zbliżał się do drzwi, więc była to ostatnia chwila, ta najważniejsza, na podjęcie ostatecznej decyzji. Potem klamka zapadnie i nie będzie już odwrotu dla nikogo z nas.

- Milady... Czy milady jest całkowicie pewna, że tego chce?

- Całkowicie pewna. - Z uśmiechem ucałowała mnie w czoło.

- Muszę już iść. Nie chcę, by mnie tu zobaczono, bo Edward gotów po-

myśleć, że to jakiś spisek. A tak przecież nie jest. Alice, daj mi wszystko, czego będzie chciał. Masz moje przyzwolenie.

Odwróciła się ku drzwiom, gotowa do wyjścia, aleja miałam jeszcze jedno pytanie:

- Kiedyś powiedziałaś, pani, że będziesz chciała, bym coś dla ciebie zrobiła. Czy chodziło właśnie o to?

- Tak, właśnie o to - odparła, spoglądając przez ramię. - Alice, przekonasz się, że Edward jest wspaniałym kochankiem.

Teraz, niestety, w jej głosie słychać było rozpacz. Przez krótką chwilę, która zdawała się nieskończenie długa, patrzyłyśmy sobie prosto w oczy. Filipa z całkowitą pewnością zrodzoną z największej desperacji. Ja z największym podziwem dla jej odwagi i zrozumienia. Jest przecież w pełni świadoma, że to, co ma się stać, nie będzie łatwe i dla mnie, i dla niej. Ona, kochająca żona, będzie musiała pogodzić się z moją codzienną obecnością, z obecnością faworyty męża. Wreszcie pojęłam, co miała na myśli, gdy mówiła o brzemieniu, które sama włożyła na swe barki. Ja bym takiego ciężaru nie podźwignęła.

Cicho zamknęła za sobą drzwi wiodące do jej komnat, a zaraz potem otworzyły się drugie drzwi, te z korytarza. A ja odruchowo uniosłam głowę wyżej, przygotowując się w duchu na to, co niebawem nastąpi, jeśli pójdę za pażem. Za łaskawym przyzwoleniem Jej Królewskiej Mości zostanę faworytą Jego Królewskiej Mości. A to, trzeba przyznać, wymagało niemało odwagi. Chyba największej. Tamtej nocy zdobyłam się na nią, na tę największą. Pierwszy raz w życiu i ostatni.

Byłam pewna, że w otwartych drzwiach pojawi się paż, lecz był to ktoś całkiem inny. Wykeham, który spojrzał na mnie jak na ćmę, która niebawem spłonie w zdradliwym płomyku świecy. Odsunął się na bok, robiąc przejście, i skinął na mnie z wyczuwalną pogardą, już nie patrząc na mnie, tylko gdzieś w dal ponad moim ramieniem.

- Pani Perrers, pójdiesz, pani, ze mną.

A więc to Wykehama Edward wysłał z tak delikatną misją. Tego Wykehama, który jeszcze wczoraj zwróciłby się do mnie po imieniu, powitał z uśmiechem i spytał, jak się miewam. Dziś byłam dla niego „panią Perrers”, czyli najbardziej odrażającą kreaturą na całym świecie.

Kiedy mijałam go w progu, wysyczał:

- To grzech!
- Taka jest wola króla - odparłam tylko tyle, bo uznałam, że im mniej powiem, tym lepiej.
- Nikt ciebie do niczego nie zmusza!
- To prawda, nie zmusza, ale król wzywa mnie do siebie.
- Do czego niewątpliwie skłoniłaś go sama! Każdy, kto ma w sobie choć odrobinę przyzwoitości, powiedziałby, że jesteś odrażająca! Królowa dała ci wszystko, a ty tak jej się odwdzięczasz!
- Myślę, że powinniśmy już iść.

Oczywiście o rozmowie z królową nie pisałam ani słowa. W żadnym razie! To, cośmy sobie powiedziały w największym zaufaniu i dyskrecji, powinno pozostać naszą i tylko naszą tajemnicą. A ja musiałam pogodzić się z faktem, że w człowieku, którego uważałam za przyjaciela, budzę teraz największą odrazę.

Korytarz pusty. Ani jednej żywej duszy. Czyżby wydano rozkaz, że teraz, właśnie teraz nie wolno nikomu tu wchodzić, dzięki czemu nikt się nie dowie, że wstępuję na nową i jakże niebezpieczną drogę?

Potknęłam się. Na szczęście nie upadłam, ale przystanęłam. Taka chwila niepewności. Nie zgodzić się? Bo i niby dlaczego mam stracić dziewictwo tylko dlatego, że wpadłam w sidła zastawione i przez króla, i przez królową? I któż ma je tracić, zostać faworytą Edwarda, króla Anglii? Alice Perrers, bękart i podrzutek. Czyli za wysokie progi na moje nogi. Jestem damą dworu królowej Anglii i tym powinnam się zadowolić, a nie wskakiwać do łóżka króla, który przez całe życie był wierny umiłowanej żonie...

To wszystko razem w głowie się nie mieści. Ale co z tego? Przecież nie odmówię, bo sprawy zaszły już za daleko.

Nagle uśmiechnęłam się, bo pomyślałam, że gdzieś tam, w głębi duszy, na pewno chcę być czymś więcej niż tylko zwykłą damą dworu. A teraz jest ku temu sposobność. Dlaczego więc jej nie wykorzystać? Chce król, bym była jego faworytą? Więc będę. Wybranką Jego Królewskiej Mości. Która kobieta o zdrowych zmysłach odrzuciłaby taki zaszczyt? Nie znajdziesz takiej. Ja też tego zaszczytu nie odrzucę.

Wykeham wysunął się spory kawałek do przodu, a kiedy go dogoniłam, zatrzymał się gwałtownie, a ja niechcący nadepnęłam mu



na obcas. Wtedy odwrócił się. Odruchowo zrobiłam krok w tył, a on chwycił mnie za nadgarstki, omal ich nie miażdżąc. Twarz Wykehama wykrzywiona była ze złości.

- Nie powinno cię tu być! Więc ja prawie szyderczo:

- A co, zamierzasz nie dopuścić mnie do króla? Niestety, nawet ty nie możesz tego zrobić. Możesz budować te swoje ściany i łuki, ale woli króla nie wolno ci się sprzeciwiać!

Puścił mnie natychmiast. Nie tylko puścił, ale także pchnął, i to tak mocno, że plecami uderzyłam o ścianę i krzyknęłam. Było oczywiste, że w Wykehamie mam zaprzysiężonego wroga, i tak już niestety będzie, skoro nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. A nie mam, bo inaczej musiałabym mu powiedzieć o misternej intrydze Jej Królewskiej Mości.

Wykeham lekko pchnął drzwi, a gdy otwarły się, usunął się na bok i dał ręką znak, że mam wejść.

Przekroczyłam próg, a drzwi natychmiast za mną się zamknęły.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Komnata Jego Królewskiej Mości.

Kamienne ściany pokryte ciemną boazerią i obwieszane pysznymi gobelinami. W kominku płonie ogień, przed kominkiem drzemie zwinięty w kłębek pies, niewątpliwie ulubieniec króla. Klęcznik i krucyfiks. Rzeźbiona skrzynia, stół nie na kozłach, lecz na czterech nogach, i lśniące krzesło z rzeźbionymi podłokietnikami i oparciem.

Tylko to, co najlepsze. Przepych, do którego zdażyłam już przywyknąć, tak przecież było w całym pałacu. Edwardowi większość życia upływała na zmaganiach z Francuzami, a podczas wypraw wojennych trudno o wygodę, jednak tu, w Havering, otoczony był największym zbytkiem należnym królowi.

Wszystko wskazywało też na to, że pan tej komnaty jest u siebie. Sokół na żerdzi, rzucona niedbale na skrzynię luźna szata z adamaszku obszyta futrem. Taka, jaką mężczyźni wkładają w domowym zaciszu. Na stole dzban z winem, kubki i pusty już talerz. A także książki, jedna z nich otwarta. I różaniec na łożu. Misa i dzban otoczone ramionami ogromnego świecznika. Wszystkie świece zapalone.

Łoże ogromne.

Na jedwabną pościel i czerwono-złociste zasłony tylko zerknęłam, nic więcej, przecież po mocnych przeżyciach, w jakie obfitowało ostat-

nie pół godziny, byłam strzępkim człowieka. Czułam się jak zwierzę, które tylko czeka, kiedy drapieżnik rzuci się na nie i rozszarpie.

Sokół poruszył się, pióra zaszeleściły, po czym ptak znów znieruchomiał, pogrążając się w tym stanie półsnu. Pies zadrżał, zaskomlał. Niewątpliwie śnił o polowaniu.

Edward siedział za stołem, przewracając kartki książki, ale na mój widok odłożył ją, wstał i z ręką uniesioną na powitanie zaczął zbliżać się do mnie.

Piękny człowiek. I jak swobodnie nosi tę swoją urodę! Jakby nie zdawał sobie sprawy, że twarz ma urzekającą, rysy rzeźbione, a całą postać...

- Alice! Wyglądasz, jakbyś bała się, że zaraz rozedrę cię na strzępy.

- Pewnie... tak - bąknęłam.

- Na pewno tego nie zrobię - obiecał z uśmiechem i wziął mnie za rękę. - Cała drżysz... Zimno ci? Albo drżysz ze strachu... Usiądź tu, blisko kominka. - Usadził mnie w lśniącym, rzeźbionym krześle, wciąż przemawiając do mnie, jakbym była płochliwą klaczką, a potem nalał do kubków wina o barwie rubinów. - Wino z Gaskonii. Najlepsze, jakie tu mamy. - Włożył mi do ręki jeden z kubków. Po czym usiadł. Gdzie? U moich stóp, po prostu na posadzce. I podniósł swój kubek do ust. - Wypij, Alice!

Kiedy trącił mnie żartobliwie w ramię, uprzytomniłam sobie, że siedzę sztywna jak kołek. Nie mówię nic, wina nie piję, tylko patrzę na króla niewątpliwie tępym wzrokiem. Ale to dlatego, że byłam cała odretwiata od tej okropnej niepewności, od tego lęku. Przecież król nie zaprosił mnie tutaj, bym dokonywała wpisów do ksiąg królestwa!

Popijał wino, nie odrywając ode mnie oczu. Spojrzenie miał wyjątkowo przenikliwe, dlatego wytrzymałam je tylko przez króciutką chwilę i umknęłam wzrokiem w dół, na swój kubek, bezwiednie wodząc palcem wokół maleńkiego jelenia wytłoczonego w srebrze.

- Czy będziesz zadowolona, jeśli zostaniesz moją faworytą? Takiego tonu głosu mógłby użyć, gdyby pytał konwencjonalnie, jak się miewam.

- Nie wiem, Wasza Królewska Mość.

- Na Boga! Jak szczerze!

- Tak, panie. Bo naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Wreszcie się napiłam, i to od razu kilka łyków, łapczywie. Nic więc dziwnego, że zakaszlałam. Jedno z polan w kominku, przeżarte już płomieniami, wydało ciche westchnienie i rozpadło się na pół. Sokół zaszurał pokrytymi łuskami nogami.

I cisza, którą przerwał król:

- Jesteś wdową.

- Tak.

- A więc nie powinnaś się tego bać. - Wskazał ręką na łożo. A ja przełknęłam, po czym wyznałam cichym głosem:

- Jestem dziewicą, panie. Moje małżeństwo nie zostało skonsumowane. - Zaczęłam się trząść jak osika, bo przecież niebawem nastąpi to, co nieuniknione, czyli skonsumowanie. A Edward sposepniał, czyli nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Zapewne chciał faworyty doświadczonej, biegłej w sztuce miłosnej. Czyli to, co obmyśliła Filipa, spali na panewce. - Jeśli nie chcesz mnie tu, panie, to pozwól, że się oddalę.

- Oddalisz się, kiedy ci rozkażę! - Błysk w oku, głos podniesiony. Jak prawdziwy władca! Na szczęście następne zdanie wypowiedział już bardzo łagodnym tonem: - Wybacz, Alice. I przystąpmy do rzeczy. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to, co będzie między nami, to sprawa bardzo dyskretna...

- Panie! Sądzisz, że mogłabym wyjawiać innym? Nie ufasz mi?

- Nie o to chodzi, czy ci ufam. Chodzi o dyskrecję. Wobec wszystkich, a przede wszystkim... Domyślasz się, kogo mam na myśli, prawda?

- Naturalnie! Nie chcesz, panie, zranić Jej Królewskiej Mości.

- W samej rzeczy... - Zerwał się na równe nogi i odszedł aż pod przeciwległą ścianę. Słyszałam, jak mruknął: - Grzechy ciała... Powrócą, by nas prześladować...

- Nie jestem plotkarą, panie.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście, może już osiemnaście.

- A więc dzieli nas tyle lat. Ty nie masz żadnego doświadczenia, a ja mam za sobą blisko trzydzieści lat małżeństwa. Czy wiesz, że zawsze byłam jej wierna? Głupi ludzie gadają, że miałem wiele miłostek, a ja ani razu jej nie zdradziłem. Nigdy nie złamałem złożonej jej przysięgi. Ale teraz...

Teraz ona powiedziała, byś wziął sobie nałożnicę! - pomyślałam.

I jak to wszystko utrzymać w tajemnicy? Wszystkie sekrety stopić ze sobą jak tkacz, który z barw najprzeróżniejszych tworzy jedną całość?

Nagle w pamięci ożyły słowa hrabiny Joanny: „Kobieta powinna być dwulicowa. Tak, właśnie dwulicowa, bo dzięki temu może wykorzystać to, czym obdarzył ją Stwórca. Osiągnie bardzo wiele, jeśli nauczy się przebiegłości, podstępnych działań, intryg. Ot, cała prawda!“. Ożył także ten jej okrutny uśmiech. Czyżby to był sposób? Ta dwulicowość? Och nie. W tym, co dzieje się między królem a mną, nie ma miejsca dla cynizmu Nadobnej Joanny.

Cóż takiego król powie? Przerwał na zwrocie „a teraz...“, a ja czekałam z bijącym sercem.

A król odwrócił się do mnie plecami, ręce oparł o wielką skrzynię i wyznał:

- Teraz, gdy jej dotknę, zagryza wargi prawie do krwi, tłumiąc jęk z wielkiego bólu. Tak bardzo ją kocham! A jednocześnie ciebie pragnę, Alice. Czy to złe? Bardzo złe?

- Wykeham na pewno by powiedział, że tak. - Był osobą duchowną i już zdążył mnie zganić...

- Ale co ty o tym sądzisz, Alice? Ty! Ja? Cóż, mogłam powiedzieć tylko to:

- Jesteś, panie, mym królem, więc winna ci jestem posłuszeństwo. Król na moment zacisnął wargi, po czym skomentował:

- Gładka odpowiedź, która czyni wszystko tak prostym. - Nastąpiła chwila przytłaczającej ciszy, po czym król coś zaproponował: - Jeśli masz dzielić ze mną łóżę, powinnaś zwracać się do mnie po imieniu.

- Tak, panie... Edwardzie...

Uśmiechnęłam się, bo przecież nie wiedział, że „Edwarda“ ćwiczyłam już na głos, robiąc te swoje zapiski. Ten uśmiech, naturalnie, nie umknął uwadze Edwarda, bo w jego oczach pojawiło się pytanie, więc wyjaśniłam:

- Brzmi trochę dziwnie. Muszę przywyknąć, pa... Edwardzie!

- Och, przywykniesz. A wiesz, że zadziwiająco mało osób zwraca się do mnie po imieniu. Mogę zliczyć ich na palcach jednej ręki. Wszyscy przyjaciele z lat młodości już nie żyją, odeszli w ciągu ostatnich dwóch lat. Northampton, najmężniejszy spośród moich generałów. Sir John Beauchamp, który pod Crecy niósł moją królewską chorągiew.

Lancaster... Nikomu tak nie ufałem jak jemu. Czas mija nieubłaganie. Ty, Alice, jesteś jeszcze zbyt młoda, by to odczuć. A upływający czas zabiera nam zdrowie, bliskich i przyjaciół, zabiera nadzieje, nie dając nic w zamian. - Westchnął cicho, melancholijnie, i zamyślił się, ale nie na długo, bo w kominku znów zrobiło się głośno, kiedy następne polano zmieniło się w popiół. Wtedy powrócił do rzeczywistości. Podniósł głowę, wyprostował się, rysy twarzy stwardniały. - Jestem królem. Królowi nie wolno się zestarzeć.

I raptem wszystkie moje lęki i niepewności znikły jak ręką odjął. Byłam przepełniona wielkim współczuciem dla starzejącego się króla, czego naturalnie nie śmiałabym okazać temu dumnemu i zaprawionemu w bojach rycerzowi. Takiego człowieka nie pociesza się, taki człowiek nigdy o to nie poprosi. Z dumnie uniesioną głową będzie dźwigał ciężar władzy aż do śmierci.

Sam. Bo królów nigdy nie ma dwóch.

Wstałam z krzesła i powoli podeszłam do niego, podając mu kubek.

- Nigdy się nie zestarzejesz, Edwardzie. Będiesz żył wiecznie. Kiedy odbierał ode mnie kubek, dotknęłam jego ręki. I bardzo się

zdzumiałam, że nie zawahałam się przed tą drobną poufałością wobec króla, któremu powinnam oddawać tylko cześć. Ale dotknęłam, widomy dowód, że nie bałam się już niczego. I wtedy to niespodzianie usłyszałam kilka słów, słów czarodziejskich, które wypowiedział sam król: - Czy wiesz, Alice, że słodycz twoich ust śni mi się po nocach? A twój uśmiech... Wtedy twoja twarz jaśnieje, a w oczach tyle blasku, jakby gdzieś tam, w tobie, w środku, zapalono czarodziejską świecę.

- Pochlebiasz mi.

- Pochlebiajmy sobie nawzajem... - Położył ręce na mych ramionach, a twarde, gorące wargi dotknęły mych ust. Tak, to był pocałunek, pocałunek w usta, ale całkowicie pozbawiony namiętności. Czyżby król zamierzał darzyć mnie tylko miłością dworską? Tylko uwielbieniem, z pominięciem potrzeb cielesnych? - Bóg przeklnie mnie za to, ale... - Opuścił ręce, spojrział w bok, jakby znów do głosu doszło sumienie.

Cóż... gdyby był młody, niewątpliwie byłoby inaczej. Bo młodość bez wahania bierze to, co chce. A ten król, który młodość już dawno ma za sobą, choć jest władcą niepodzielnym wszędzie, także w swej sy-

pialni, z racji wieku nosi niepokój w sercu. Ma wyrzuty sumienia, czuje ciężar minionych lat, zaczyna prześladować go widmo śmierci.

I jakaż w tym moja rola? Dać mu jak najwięcej zadowolenia, a nawet postarać się o chwile radości. Odpędzić smutne, przygnębiające myśli, sprawić, by znów się uśmiechnął. Ale jak to zrobić? Sztuka miłosna, sztuka uwodzenia były mi całkowicie obce. Nie na darmo chowałam się w klasztorze...

Może więc po prostu porozmawiać? O tak! Ciekawa rozmowa, kiedy każdy wyraża swoją myśl i obstaje przy swoim, pozwala choć na jakiś czas zapomnieć o tym, co człowieka smuci. Tak, na pewno rozmowa. Tylko o czym?

Zerknęłam na wielki rzeźbiony stół zasłany płachtami i zwojami pergaminu. Dokumenty. Ciekawe, czy dotyczą spraw handlowych, czy politycznych...

- Edwardzie, możesz mi zdradzić, jakimi sprawami się teraz zajmujesz?

- O! Czyżbyś interesowała się polityką królestwa?

- Oczywiście! - odparłam bez wahania, spoglądając na niego przez ramię, doskonale świadoma, że król może to odczuć jako wyzwanie, którego wcale nie musi podjąć. - Potrafię pomyśleć nie tylko o tym, jakiego koloru ma być moja szata, jak tego dnia upiąć włosy...

- Czyżby? - wpadł mi w słowo, podejmując rękawicę. Wskazał rzeźbiony stołek, a gdy usiadłam, podał mi jeden z dokumentów i wyjaśnił krótko: - Sprawy rodzinne.

- Rodzinne... Jakie to szczęście mieć rodzinę! Ja nie mam nikogo.

- A ja mam synów. Wspaniałych synów. Dają mi siłę... Spójrz tutaj. Potrafisz to przeczytać?

Spojrzałam na gęsto zapisaną płachtę pergaminu. Po łacinie, litery były małe, ale trudności z odczytaniem nie miałam.

- Tu jest napisane Irlandia.

- Tak, bo mój syn Lionel jest w Irlandii, gdzie sytuacja jest bardzo trudna. Powinienem kiedyś sam tam pojechać, a jak na razie reprezentuje mnie tam Lionel, jest moim namiestnikiem. W tym przeklętym grzęzawisku różnorodnych żądań i złej krwi stara się znaleźć jedną drogę, wspólną dla wszystkich.

Wyjął mi dokument z rąk, odłożył na bok i podał następny. W rezultacie znów poczułam się jak nowicjuszka, której każdy krok był pod dyktando, albo jak początkujący skryba, który mierzy się z cyframi pod baczynym okiem Janyna.

- A tutaj? - spytał król.

Tym razem nie było łatwo, ale oczywiście odczytałam:

- Akwitania.

- Tak! Rządzi tam Edward, książę Walii. Będzie tam rządził tak długo, aż zwalczy w sobie skłonność do naruszania interesów tych, którymi rządzi. A Gaskończycy to naród bardzo oporny. Edward, ucząc się tam, jak być władcą, jednocześnie wykształci w sobie cnotę cierpliwości. Jest znakomitym wodzem, to moja bratnia dusza... Dobrze... A teraz to...

W moim ręku pojawił się kolejny dokument.

- Jan z Gandawy. Księstwo Lancaster należy teraz do niego...

I jeszcze jeden dokument, z wielką czerwoną pieczęcią, która pękła w czasie długiej podróży.

- Edmundowi zamierzałem dać Flandrię, ale ma na nią zakusy Francja, której nowy papież jest bardzo przychylny. Będę musiał dla Edmunda znaleźć coś innego. A teraz Tomasz...

- Który ma dopiero siedem lat i tak jak jego ojciec jest zapalonym myśliwym - wtrąciłam z uśmiechem.

I warto było, bo król też się uśmiechnął, a to znak, że rozmowa ze mną sprawia mu przyjemność.

- A tak. Dzielnny chłopak. - Popił wina z mego kubka. - Natomiast jeśli chodzi o Izabelę... Z nią mam kłopot innego rodzaju. Wiadomo, małżeństwo. Izabela wyjdzie za mąż, ale dopiero wtedy, kiedy sama tego zechce. Nie wolno na nic nalegać, bo skutek będzie odwrotny!

Było oczywiste, że kochana córeczka potrafi zaleźć ojcu za skórę.

- Mówisz o awersji do człowieka, którego jej wybierzesz? - spytałam ostrożnie.

- To też. Kiedyś już coś takiego się zdarzyło. Czują do niego odrazę.

- Tak było kiedyś, a czas płynie. Może teraz przystanie na twój wybór, jeśli podsuniesz człowieka młodego, urodziwego, potężnego?

- Obyś miała rację, ale to raczej nierealne. Mam przecucie, że sama dokona wyboru, i będzie to ktoś nadzwyczaj nieodpowiedni. A Izabela



jest księżniczką, nie może wyjść za byle kogo, jej małżeństwo powinno przynieść królestwu jakieś korzyści. Nie chcę, by do ołtarza zaciągnął ją jakiś rycerz gładki na twarzy i szeroki w barach, ale bez ziemi... - Nagle zamilkł, a ja, zaintrygowana, oderwałam oczy od pergaminu, by zerknąć na króla. A on, jak się okazało, wpatrywał się we mnie. - I cóż ty uczyniłaś? - spytał surowym tonem.

- Ja? Nic, milordzie.

- Jesteś bardzo przebiegła, Alice Perrers! - Rzucił dokumenty na stół, a jego głośny, serdeczny śmiech odbił się szerokim echem od kamiennych ścian. Obudził też psa drzemiącego przy kominku. Zwierzak podniósł łeb, popatrzył na nas z powagą i z powrotem oddał się swemu zajęciu, czyli zasnął. Król natomiast podszedł do mnie i wzięwszy mnie pod łokcie, zmusił, bym wstała z rzeźbionego stołka. A niebieskie oczy króla wprost się skrzyły. - Czyżbym wezwał cię tu, by rozważać sprawy królestwa? Chyba nie! Jesteś bardzo sprytna, Alice. Nie, jesteś mądra! Kiedy zauważyłaś, w jak kiepskim byłem nastroju, sprowokowałaś mnie do rozmowy, bym zapomniał o tym, co mnie gnębi.

- A tak, milordzie! - przyznałam bez wahania, a moje oczy też zapewne skrzyły.

- I udało ci się. Pozostaje mi tylko prosić cię o wybaczenie, że powitałam cię z tak smętną miną.

- Ależ nie trzeba przeproszać - powiedziałam miękko, delikatnie dotykając królewskich warg koniuszkami palców. - Jestem szczęśliwa, że się rozchmurzyłeś. Moim największym pragnieniem jest sprawić ci jak najwięcej przyjemności... - Było to ewidentne zaproszenie, ale przecież tym właśnie miało być, a Edwarda nie trzeba było dwa razy zapraszać. Ochocho zabrał się do dzieła i pomógł mi zdjąć suknie. Ale tylko suknie, bo szanując moją skromność, na zdjęcie koszuli nie należał. W ogóle wszystko robił delikatnie i z niczym się nie śpieszył, postępował więc bardzo mądrze, bo w takiej chwili każda dziewczyna drży ze strachu.

Z tym że ja wcale nie drżałam, kiedy Edward odsunął na bok kołdrę, pomógł mi usiąść na łożu i podeprzeć się na poduszkach. Nie drżałam nawet wtedy, gdy pogasił świece, zostawiając zapaloną tylko jedną.

A potem, wykazując się całkowitym brakiem skromności, zdjął z siebie wszystko, tunikę, nogawice, i podszedł do łoża.

- Postaram się zrobić wszystko jak najlepiej, Alice.

- Ależ niczego się boję! - Przecież byłam pewna, że Edward z rodu Plantagenetów nie uczyni mi żadnej krzywdy.

Naturalnie umierałam z ciekawości, dlatego wcale nie odwracałam oczu. O nie! Moje spojrzenie przemykało po nagim ciele króla, starając się dojrzeć jak najwięcej. Edward żył już pół wieku, a nadal był sprężysty i mocny, pierś miał szeroką i gładką, tak samo był gładki po bokach. A blizny, pamiątki z pól bitewnych i turniejów, wcale nie pomniejszały urody tego nadal młodego i jędrnego ciała. Tylko jasne włosy przetkane były siwizną.

A dowód, że mnie pożąda, zamiast przerazić, zachwyił mnie.

- Czy podoba ci się to, co widzisz, Alice?

Po tym pytaniu oblałam się rumieńcem, bo wreszcie dotarło do mnie, co robię. A mianowicie wlepiam oczy w nagiego króla!

- Bardzo mi się podoba - odparłam, starając się powiedzieć to głosem jak najbardziej spokojnym. - Bardzo też bym chciała sobą ucieszyć twoje oczy i zmysły.

- Już się cieszę, Alice, że jesteś tu ze mną.

W takich oto okolicznościach straciłam dziewictwo z Edwardem Plantagenetem, królem Anglii. I nie było to przeżycie niemiłe. Owszem, czasami drżałam, ale nie ze strachu czy z bólu. Robiłam wszystko, co należało zrobić, starczyło mi też odwagi, by odwzajemniać pieśczoć, a nawet dawać do zrozumienia, że na którejś mi specjalnie zależy, kiedy raptem na przykład zachciało mi się pocałunku. A czasami widziałam, jak Edward wstrzymuje oddech. Tak! I to ja go do tego doprowadzałam!

Co czułam? Edward sprawił, że poznałam, czym jest pożądanie, a także to, że raz pierwszy w moim siedemnastoletnim życiu poczułam się kimś, kto jednak jest coś wart. I jest piękny... choć wiedziałam, że jest całkiem inaczej.

Tuliłam się do niego, tonęłam w jego objęciach...

- Jak to się stało, że nasze drogi się zeszyły? - spytał król, kiedy minęły już miłosne uniesienia.

Twoja kochająca żona maczała w tym palce, pomyślałam, ale oczywiście tylko bezradnie potrząsnęłam głową, jakbym dumiała o niezbadanych ścieżkach losu.

Natomiast Edward dumiał tak naprawdę, bo mruknął:

- Los tak chciał... - Przerwał na moment. - Alice, pamiętaj o dochowaniu tajemnicy. Tylko Wykeham wie o nas, ale jemu można zaufać.

Wykeham już mnie przeklął! - skomentowałam w duchu, ale oczywiście zachowałam to dla siebie.

I tak to wszystko się zaczęło, ten dziwny *ménage à trois*. To trio z królową jako milczącą towarzyszką, która nie chciała wiedzieć nic więcej oprócz tego, co już wiedziała, choć wcześniej przyłożyła rękę do powstania tego układu, o czym Edward nie wiedział. W rezultacie znałam tajemnice ich obojga.

Kiedy oczy i ręce Edwarda poznały już moje wdzięki, kiedy mnie już posiadał, odbyliśmy krótką, szczerą rozmowę i uzgodniliśmy, że w tej komnacie, w tym łóżu królowa nie istnieje. Żadnych rozmów o niej, żadnych napomnień czy aluzji. Tak będzie najlepiej. Uznałam też przy tym, w duchu oczywiście, że na wyrzuty sumienia będzie wystarczająco dużo czasu następnego dnia. Teraz głowę miałam zajętą tylko i wyłącznie Edwardem. Nowymi, cudownymi doznaniem, kiedy czułam przy osobie jego rosłe, sprężyste ciało, rozpalone tak jak moje...

Potem Edward zasnął, trzymając mnie za rękę. Ja nie spałam, zastanawiając się, dlaczego moje ciało okazało się tak chętne. Czy to miłość? Chyba nie, bo według mnie miłość to było to, co Edward czuł do Filipy. Cóż więc znaczy to chętne ciało? Znaczy to, że najpewniej się zakochałam. Gdyby było inaczej, nie czułabym się tak słodko, gdy Edward mnie całował, głaskał po piersiach, po kibici. Naturalnie byłam również zafascynowana całym tym splendorem. Wszak to król, władca Anglii zapragnął mnie tak bardzo, że nie bacząc na nic, uczynił zadość swemu pragnieniu i posiadał mnie.

A może jednak, mimo wszystko, to miłość... Uśmiechnęłam się do siebie w tych ciemnościach. Cóż, jeśli chodzi o miłość, to nie miałam żadnej pewności, ale tej nocy nauczyłam się bardzo wiele o czymś bardzo ważnym. O sile ambicji.

A potem... Ileż godzin minęło? Och, nie wiem, nie liczyłam ich, bo nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. W każdym razie po jakimś czasie Wykeham odprowadził mnie do tego samego przedpokoju w komnatach królowej. Czyli odbyłam podróż w drugą stronę, podczas której Wykeham nie szczędził mi słów potępienia. A gdy już mnie od-

prowadził, to skłonił się - ten ukłon z całą pewnością nie był wyrazem uprzejmości - i odszedł, nie otwierając przede mną drzwi.

Tyle że już nie liczyłam na jego aprobatę. W jego oczach zostałam jawnogrzesznicą, zaprzedałam swoją duszę, i to bezpowrotnie.

Paź odprowadził mnie do komnaty, którą dzieliłam z dwiema damami. Spały jak zabite, całkiem nieświadome tego, co wydarzyło się tej nocy.

Nastał nowy dzień.

Kiedy pierwsze promienie słońca zajrzały przez okno, wstałam z łoża, chwyciłam dzban, nalałam do miski zimnej wody i dygocząc z zimna, umyłam ręce i twarz.

Czyli dzień jak co dzień, ale tylko z pozoru, bo jednak coś się zmieniło. I to bardzo!

Ubrałam się szybko, zanim moje towarzyszki zdążyły obudzić się na dobre, i jak to sobie umyśliłam, przekazałam im, że śpieszę do królowej, bo jeśli nadal jest cierpiąca, trzeba będzie służyć jej ramieniem podczas porannej mszy w kaplicy.

Co jej powiem? Co ona mi powie? Nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko, że koniecznie muszę się z nią zobaczyć po nocy tak obfitej w wydarzenia, również i trudne, wręcz dramatyczne, jak choćby rozmowa między Filipą a mną. I królowa, i ja pozwoliłyśmy sobie na szczere wyznania, których obie możemy gorzko pożałować. Kto wie, czy królowa już się nie zastanawia, jak mnie ukarać? Może nawet zostanę wygnana z królewskiego dworu, czemu wcale bym się nie dziwiła.

Pośpieszyłam do jej komnaty, a tam służąca oznajmiła, że królowa wstała bardzo wcześnie - to dobry czy zły znak? - i poszła się pomodlić do kaplicy. Poszłam więc tam i ja, ale księdza jeszcze nie było, tylko królowa. Klęczała przed ołtarzem, opierając się ręką o rzeźbioną balustradę. Nie, nie podeszłam do niej. Uklękłam tuż koło drzwi, wpatrzona w jasną twarz figury Najświętszej Panny, która tego dnia wydała mi się bardzo sroga.

- Alice...

Królowa skończyła modlitwę, a ja szybko podeszłam do niej, by pomóc jej wstać z klęczek. Oczy władczyni były jasne, przejrzyste, czyli tego ranka bolało mniej.

- I... jak, Alice?
- Stało się, Wasza Królewska Mość.
- Zadowolona?
- Tak.

Padło tylko kilka słów o czymś, co nie było przecież sprawą błahą.

- Czy król wezwie cię jeszcze do siebie?
- Tak, milady.
- To dobrze. I więcej o tym nie będziemy mówić.

Wtedy poczułam wielką ulgę, a także nadzieję, że ten potrójny splot ludzkich losów będzie jednak możliwy, oczywiście pod warunkiem, że nie wyjawię królowej sekretu króla, a królowi sekretu jego małżonki. Jeśli będę dyskretna, jeśli uda mi się być lojalną zarówno wobec Filipy, jak i Edwarda, starając się nie zranić, nie zdradzić żadnej ze stron.

Tak, ale to jeszcze nie oznaczało, że w mojej duszy zapanował idealny spokój. Wcale nie, bo jednocześnie czułam ostre szpony wyrzutów sumienia. Ugodziły niezwykle mocno, gdy królowa nagle spojrzała w bok, jakoś tak bardzo skwapliwie, jakby dalsze patrzenie na nałożnicę męża było ponad jej siły.

Drzwi otwały się, płomyki świec zadrżały, a my spojrzałyśmy na drzwi. Królowa niewątpliwie była tak samo pewna jak ja, że to ksiądz. Lecz to nie był on, tylko ktoś rozsierzony, kto sprawił, że w cichym, pełnym powagi i chłodnym miejscu nagle zrobiło się gorąco od gniewu, który Izabela miała wypisany na twarzy i który rządził każdym jej gestem.

Szła do nas z łopotem spódnic, wyrzucając z siebie gniewne słowa:

- Na rany Chrystusa! Jak mogłaś to uczynić! Jak mogłaś?! - Byłam pewna, że rzuci się na mnie, ale przeszła bokiem, jakbym była tylko nędznym pyłkiem, i naskoczyła na matkę: - Dlaczego jesteś tu razem z nią? Czyżbyś nie wiedziała, co ona zrobiła? Wykeham jest bardzo lojalny, nikomu nie zdradzi naszych rodzinnych tajemnic, ale niestety wczoraj wieczorem widziano go razem z nią! Wiesz, dokąd ją prowadził?! Do komnat króla! Ta dziewczka, którą wyciągnęłaś z nędzy, spędziła tam całą noc! Na pewno w jego łożu! A teraz, jakby nigdy nic, rozmawiacie sobie! To w głowie się nie mieści!

- Miarkuj się, Izabelo! - upomniała ją matka.

Niestety na próżno, bo księżniczka z twarzą wykrzywioną złością krzyczała dalej:

- Nie wiedziałaś o tym! Czy tak? - Po raz pierwszy spojrzała na mnie.  
- A ty odsuń się od królowej! Ty źmijo niegodziwa! - Uderzyła mnie, wprawdzie nie w twarz, tylko w ramię, ale tak mocno, że rzuciło mnie na balustradę przed ołtarzem. I dalej wrzeszczała do matki: - Odprawisz ją! Słyszysz?! Odprawisz! Jeśli sama tego nie zrobisz, ja się tym zajmę!

- Przecież słyszę cię, Izabelo - z westchnieniem powiedziała królowa. Podczas tej burzliwej wymiany zdań udało mi się znów pewnie stanąć na nogach i odsunęłam się kawałek dalej, bo dłonie Izabeli znów zacisnęły się w pięści.

A usta nadal jej się nie zamykały:

- Przygarnęłaś ją, ubrałaś w szaty, postarałaś się, by nabrała choć trochę ogłady, a jak ci się odwdzięczyła? Ogrzała łóżko twemu mężowi! Boże wielki! Czyżby Jego Królewska Mość całkowicie zapomniał o honorze? Tyle mu dałaś. Dzieci, szacunek, wierność... Gardzę nim! Gardzę! Ale jeszcze bardziej gardzę tobą, ty dziewczko z rynsztoka!

Poprzedniego dnia byłam pełna podziwu dla dostojeństwa Filipy i jej wielkoduszności. Dziś, gdy walczyła z rozsierdzoną córką, podziwiałam ją jeszcze bardziej.

- Izabelo, ucisz się! - powiedziała zdecydowanym tonem. - Wiem dobrze, że...

- Przecież ona oszukała ciebie! - przerwała jej bezceremonialnie Izabela. - Niewdzięcznica! Powinno się ją wychłostać!

- Nikogo nie oszukałam - oświadczyłam równie stanowczo jak królowa. Postanowiłam stawić opór, choć wiedziałam, że to tylko powiększy gniew Izabeli. Ale ustąpić nie mogłam, po prostu ze strachu. To on mnie napędzał, podpowiadał, że taka postawa to moja jedyna broń.

Ręka księżniczki znów uniosła się niebezpiecznie, tym razem jednak matka uprzedziła ją, chwytając mocno za rękaw.

- Izabelo! - zawołała tonem reprimendy.

- Chyba nie masz zamiaru jej usprawiedliwić?

- Nie, bo nie ma takiej potrzeby. Za to mam zamiar usprawiedliwić siebie.

- Siebie? Nie rozumiem!

- W takim razie powściągnij swój gniew i wysłuchaj mnie. Wiem, co wydarzyło się tej nocy. Dlatego uspokój się i zanim zaczniesz ferować wyroki, racz mnie wysłuchać! - Odczekała chwilę, by Izabela choć trochę ochłonęła, po czym mówiła dalej: - Jak sądzisz, Izabelo, czy jestem jeszcze w stanie wypełniać małżeńskie obowiązki wobec twego ojca?

- Obowiązki małżeńskie? - Księżniczka sprawiała wrażenie, jakby akurat na ten temat wołała się nie wypowiadać. - Nie widzę tego...

- Och, widzisz doskonale! Przecież widzisz mnie każdego dnia. Widzisz, w jakim jestem stanie. A mój stan jest taki, że nie mogę już uchylać kołdry i zapraszać twego ojca do łóża. Taka jest prawda.

- Ale...

- Jeśli masz zamiar powiedzieć coś głupiego, na przykład stwierdzić, że tego rodzaju obowiązki to nic ważnego, wtedy powiem, że nie jesteś moją córką. Bo moja córka doskonale rozumie, że takie obowiązki są zawsze bardzo ważne. Do tego nikt nie zaprzeczy, że twój ojciec nadal jest mężczyzną w pełni sił. Czy mam prawo skazywać go na celibat do końca życia? Ponieważ po prostu już nie mogę... - Czego dokładnie? Te słowa jakoś nie przeszły królowej przez gardło. - Rozumiesz, Izabelo, o co mi chodzi? - Jasna twarz księżniczki przybrała kolor purpury, natomiast królowa dodała: - A ponieważ nie mogę dać mu, czego potrzebuje...

- To sama podsunęłaś mu nałożnicę? Swemu mężowi?

Po minie sądząc, tym faktem Izabela była zdumiona równie mocno jak ja dzień przedtem. Nie potrafiła uwierzyć, że łagodna, kochająca Filipa daje swoje błogosławieństwo faworycie męża.

- W takim razie dlaczego nie zadowolili się jakąś dziewczką z pałacu? Mało tu takich, co bardzo chętnie zadzierają spódnicę?!

- Bo nie! Na Boga, Izabelo, nie nadużywaj mojej cierpliwości! Zrozum, że skoro już tak ma być, to wolę, żeby była to kobieta mi znana i godna zaufania.

Och, wcale mi nie było przyjemnie słuchać tej rozmowy, podczas której królowa wyjawiała córce swoje tajemne zamysły i posunięcia. Zresztą z tej rozmowy dla mnie nic nowego nie wynikało, przecież królowa poprzedniego dnia wieczorem obnażyła przede mną swą duszę.

Choć nie, coś jednak wynikało, bo dopiero teraz pojęłam, że zostałam przez nią wykorzystana. Lepiej przecież, żeby król sypiał z *domicellą* niż ze szlachetnie urodzoną damą, która próbowałaby wykorzystać nową sytuację dla wzmocnienia swojej i swojego rodu pozycji, a także zaczęłaby szydzić z porażki królowej, której miejsce jako metresa władcy w pewnym stopniu chciałyby zająć.

Nic dziwnego, że poczułam się upodlona, pełna goryczy jak liście hyzopa. Oczywiście rozumiałam racje królowej, ale moja rola w tym wszystkim prezentowała się nader żałośnie. Byłam tylko bezwolnym pionkiem przestawianym na szachownicy, a królowa była graczem niezwykle zręcznym. Umyśliła to sobie już dawno temu, gotowa zrobić wszystko, by zapobiec tym wszystkim potencjalnym zdarzeniom i skandalom, które mogłyby zaszkodzić Plantagenetom.

- A nie mogłaś znaleźć bardziej odpowiedniej nałożnicy niż ona? - spytała Izabela, wymachując palcem w moją stronę.

Wtedy poczułam, jak narasta we mnie gniew. Miałam już tego dość. Klóć się zajadle, przerzucają argumentami nad moją głową, a wszystkie te argumenty dotyczą mojej osoby - a mnie jakby tu nie było! Traktują mnie jak powietrze.

Ale już nie byłam tamtą uległą wobec całego świata istotą. Bo jakąż to myśl powstała w mojej głowie?

Ano taka: Jesteś faworytą Jego Królewskiej Mości, Alice. Nie jesteś już kimś, kogo wszyscy mają za nic, kogo się nie dostrzega, kto nie ma prawa głosu. Masz, bo dostrzega cię sam król. I słucha cię! Dlatego już nie musisz godzić się z taką sytuacją jak ta, skoro ty, Alice, też dzierżysz w swych rękach władzę!

Te słowa zagnieździły się w mej głowie, były tam i kręciły się jak te wszystkie kółka w drogocennym zegarze Edwarda.

W tym czasie królowa, jak wódz swym rycerzom, wydawała córce rozkazy:

- Będiesz udawać, że o niczym nie wiesz. Będiesz traktować Alice z należnym szacunkiem, na co zasługuje, bo jest mi posłuszna. Rozumiesz?

- Rozumiem, matko, oczywiście, że rozumiem... Ale czy naprawdę jej ufasz? - spytała Izabela, teraz już chłodna, opanowana i spoglądają-



ca na mnie z największą pogardą. - Ciekawe, co jeszcze od niego dostanie. Co wyłudzi od mego zaślepionego ojca?

Jak długo jeszcze miałam to znosić? Cała kipiałam w środku, byłam rozżalona do granic.

- Co masz na myśli, Izabelo? - spytała królowa.

- A to, że na pewno nie robi tego za nic. Jak wszystkie nierządnicę chce klejnotów, pieniędzy. Może marzy jej się nawet jakiś tytuł.

- A dlaczego nie miałyby zostać obdarowana? Jeśli Edward będzie miał takie życzenie...

- Mylisz się, matko! Popełniasz największy błąd w swoim życiu!

- Nie, Izabelo, to ty się mylisz. Bo właśnie podjęłam jedną z moich najmądrzejszych decyzji.

Nie, nie byłam już w stanie dłużej wysłuchiwać tego w milczeniu.

- Przestańcie!

Miało być oczywiście głośno, a wyszło tak cicho, że i do moich uszu właściwie nie dotarło. Do ich uszu na pewno nie, bo Izabela perorowała dalej, nie bawiąc się w żadne subtelnosci:

- A dla mnie jest nie do pojęcia, wprost nieprzyzwoite, że ta dziewczka nadal będzie twoją służką, a wieczorem pójdzie do łóżka twego męża! Nie widzę w tym nic romantycznego, chodzi tylko o żądzę. Powinnaś się wstydzić, że do tego zachęcasz!

Och, dość już! Po nocy spędzonej w ramionach Edwarda bardzo mnie ubodło, że mówiono o nim w ten sposób. Dlatego głos mój stał się jasny i dźwięczny, w ogóle nie dbałam o to, że mówiąc do kobiet z królewskiego rodu, powinnam bardzo starannie dobierać słowa.

- Uciszcie się! - zawołałam.

Natychmiast wlepiły we mnie oczy, tak samo zaskoczone, jakby nagle przemówiła do nich figura Najświętszej Panny.

Lecz to nie Najjaśniejsza Paniemka przemawiała, tylko ja, i nadal bardzo głośno:

- Czyżbym była tylko bezdusznym kawałkiem mięsa na pieńku rzeźnika, że można tak wykrzykiwać nade mną, co ślina na język przyniesie?! - A potem perorowałam już tylko do Izabeli, bo uznałam, że należy jej się solidna reprimenda: - Czy ty, pani, nie masz w sobie żadnego szacunku do króla, swego ojca? Oczerniasz go, kalasz jego imię grubiańskimi uwagami! Jego ukochana córka! Jakby Jego Królewska

Mość za mało miał jeszcze wrogów za morzem! Wola Jego Królewskiej Mości tu, w Anglii, jest prawem, a ty, pani, mówisz o nim, jakby był starym, bezzębnym lwem czy bezradnym starcem, którego można szturchać, popędzać i bez trudu naginać do swej woli! Czyżby był już aż tak zniedołężniały, że to jego żona musi nagonić mu kobietę do łoża? Bo ja twierdzę, że tak nie jest. Krew szybko krąży w jego żyłach, jest silny i ciałem, i duchem! - Urwałam na moment, by nabrać głęboko powietrza, bo jeszcze nigdy dotąd nie pozwoliłam sobie na tak długą przemowę. - I zawsze postępuje wedle swojej woli. Zaprzeczam, jakoby wziął sobie nałożnicę za namową Jej Królewskiej Mości!

- Ale... - Tylko tyle i Izabela zamilkła, zapewne szukając w głowie odpowiednich słów.

Ja natomiast nie miałam zamiaru czekać, aż je znajdzie, i mówiłam dalej:

- Może i uważasz mnie za istotę nikczemną, pani, ale wysłuchasz mnie, bo jestem faworytą Jego Królewskiej Mości... - Jak dziwnie to zabrzmiało, kiedy wypowiedziałam na głos! Dziwnie, ale jednocześnie pod wpływem impulsu uniosłam głowę wyżej i śmiało spojrzałam Izabeli prosto w oczy. - Bo zostałam przez niego wybrana, pani. Gdyby mnie nie chciał, nie wezwałby mnie do siebie, ale wezwał. Czuję się zaszczycona tym wyróżnieniem i swoje powinności wykonywać będę tak długo, jak Jego Wysokość sobie zażyczy. Nie będę prosić go o cokolwiek, przyjmę tylko to, co sam zechce mi dać. Jeśli postanowi mnie wynagrodzić, nie odmówię, bo to jego decyzja. Będę też lojalna. Nie zamierzam rozsiewać żadnych pogłosek, żadnych haniebnych oszczerstw, a Jej Królewskiej Mości nadal będę służyć najlepiej, jak potrafię, oczywiście o ile takie jest życzenie Jej Wysokości.

Kąciki ust Izabeli drgnęły, usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiešku.

- A więc proszę... - niemal zasyczała. - Nałożnica króla doszła do głosu! Czyżbym powinna jeszcze ci się pokłonić?

- Możesz, pani, drwić sobie ze mnie do woli, ale niczego nie zmienisz. Od dzisiaj jestem faworytą Jego Królewskiej Mości, co stało się zgodnie z jego życzeniem i za przyzwoleniem Jej Królewskiej Mości.

Wzrok Izabeli zapłonął.

- A jeśli królowa, wykazując się rozsądkiem, jednak dojdzie do przekonania, że nie był to dobry wybór i twoją obecność na królewskim dworze uzna za zbędną? A ja uznam dokładnie to samo?

Wtedy ja pozwoliłam sobie lekko i wdzięcznie wzruszyć ramionami, po czym odparowałam:

- A ja radzę ci, pani, nie wykazywać się złą wolą i nie zapominać, że ty również służysz Jego Królewskiej Mości, a także Jej Królewskiej Mości. I masz postępować wedle ich woli, a nie ulegać własnym życzeniom!

- Jeszcze zobaczymy! - zawołała Izabela i blada ze złości wymaszerowała z kaplicy.

A ja zostałam zdana na łaskę i niełaskę królowej. Bałam się bardzo, przecież pozwoliłam sobie na największą zuchwałość, ganiąc królewską córkę, dlatego z bijącym sercem czekałam, co ma do powiedzenia jej matka.

A królowa po prostu roześmiała się. Niegłęboko, drżąc, ale roześmiała się.

- Miałam rację, że wybrałam ciebie, Alice. Jesteś bardzo dzielna, skoro nie bałaś się stawić czoła mej córce. I z takim ogniem broniłaś króla!

Słowa były przychylne, czyli nie wzbudziłam w królowej niechęci, a nawet jeśli tak, to ukrywała to bardzo starannie. I nie było jej z tym wszystkim łatwo, bo po pomarszczonych policzkach spłynęły strużki łez.

- Alice, będziesz miała przeciwko sobie nie tylko Izabelę, ale cały dwór. Czy znajdziesz w sobie odwagę, by i temu stawić czoła?

Oczywiście, że tak będzie! Cały dwór przeciwko mnie! A ja, głupia i naiwna, w ogóle o tym nie pomyślałam...

- Będziemy dyskretni, pani - oznajmiłam pewnym głosem, choć wcale tak właśnie się nie czułam. Pewna siebie, pewna swego? Och, w żadnym razie.

- To zrozumiałe, Alice, ale nie sądzę, że uda się dochować tajemnicy. Prędzej czy później dowiedzą się o tym wszyscy, a w Izabeli masz zaprzysięgłego wroga. Postaram się, by szkodziła jak najmniej, ale moja córka, niestety, jest bardzo uparta i samowolna.

- Wykeham też nie jest mi przychylny, pani - wyznałam z westchnieniem. - Straciłam przyjaciela.

O tym wszystkim rozmyślałam, stojąc przed figurą Najświętszej Panny, która niewątpliwie potępiała i króla, i mnie za grzech cudzołóstwa. Jakiż wielki ciężar nosiłam na swych barkach! Pieszczoty króla, przyzwolenie królowej, a z drugiej strony wielkie oburzenie tych wszystkich, którzy zostali wtajemniczeni. Wykeham, kiedyś tak bardzo mi życzliwy, obecnie mną gardził. Czy istotnie znajdę w sobie odwagę, by z tym wszystkim się zmierzyć? Bo niezależnie od tego, czy przyjmę coś z hojnych rąk Edwarda, czy nie, i tak będę przeklęta jako cudzołożnica. Króla nie przeklną za niepohamowaną żądzę ani królowej Filipy za ciche przyzwolenie, tylko ja będę obłożona anatema.

Wpatrywałam się z natężeniem w pełną powagi twarz Matki Boskiej, błagając ją w duchu, by mną pokierowała, dała jakąś wskazówkę.

Ale na próżno! Czyli sama muszę sobą pokierować. Zresztą już pewne decyzje podjęłam, chociażby odnośnie podarków od króla. Obiecałam Izabeli, że przyjmę od niego tylko to, co sam zechce mi podarować. I tak będzie...

Gdy moje spojrzenie przemknęło po pięknych gobelinach pyszniących się na kamiennych ścianach, pomyślałam, że moja przyszłość będzie taka, jaką sama sobie utkam. Jeśli tkacz zręczny, spod jego palców wyjdzie piękny gobelin. Jeśli znajdę w sobie żelazną siłę woli i odwagę graniczącą z zuchwałością, to utkam sobie gobelin życia ze złotych nici błyszczących jak słońce w samo południe czy gwiazdy w koronie Matki Boskiej...

Chyba że już po kilku dniach przestanę wzbudzać w Edwardzie żądzę i weźmie sobie inną nałożnicę...

Cóż... Trzeba po prostu zadbać, żeby tak się nie stało! W końcu jestem młoda i mam coś do zaoferowania...

Młoda, choć tej nocy i tego dnia nagle dorosłam. Już nie byłam naiwnym dziewczęciem, pieszczotką dam dworu. Zabawa się skończyła. Może i trochę żal, ale tylko trochę, bo przede mną przecież wielkie wyzwanie. I stąd ten dreszcz podniecenia. Nie będę już na szarym końcu, zostanę wreszcie kimś, kto też pociąga za sznurki, będzie tak dzięki temu, że król pożąda właśnie mnie. Jestem jego faworytą i takich nocy,

jak ta pierwsza, która upłynęła na rozmowie i pieszczotach, będzie jeszcze bardzo wiele. A gdy się jest królewską faworytą, to można wiele osiągnąć, bo niewiele drzwi nie będzie chciało się otworzyć przed kimś, kto jest tak blisko króla.

Byłam tak podekscytowana, że aż drżałam jak wygłodzona żebraczka przed suto zastawionym stołem, gdzie na złotym talerzu czekały na nią największe specjały. Tylko dla niej...

A cóż ja dostanę na tym złotym talerzu?

Od tej chwili za dnia byłam damą dworu Filipy, a w nocy nałożnicą Edwarda. Czyli coś w rodzaju monety, która ma przecież i awers, i rewers. I nie było dnia, żebym się nie bała, czy coś złego z tego nie wyniknie, mimo że Wykeham, choć potępił mnie, milczał jak grób, a ci, którym zdążyła coś napomknąć Izabela, zostali skutecznie uciszeni. Niemniej wcale nie byłam spokojna, bo czułam się tak, jakbym stąpała po bardzo cienkim lodzie. Najcieńszym. I tylko czekałam, kiedy załamie się pode mną i wpadnę w lodowatą toń.

Byłam wzywana. Byłam posłuszna. Do króla zawsze prowadził mnie Wykeham. Kiedy wychodziłam z mej komnaty, damom mieszkającym ze mną zawsze mówiłam to samo. Królowa niedomaga, wzywa mnie do siebie. A potem szłam zawsze tą samą drogą, i trwało to już blisko cztery tygodnie.

I niestety zaczęto już poszeptywać. Najpierw damy dworu. Te ich spojrzenia, kiedy wchodziłam do wielkiej komnaty... I te komentarze, takie cichusieńkie, usta przecież starannie zasłaniano ręką, a jednak czasami dolatywało coś do mych uszu. Powiew skandalu, na razie ledwie słyszalny, jak muśnięcie kłosów zbóż najłagodniejszym podmuchem wiatru. Jakby już wiedziano, ale ustalono, że mówić się o tym nie będzie. Zmowa milczenia. Wszyscy znają prawdę, nikt jednak nie jest jeszcze gotowy zdradzić tajemnicy, ujawnić wszystkim moich niecznych czynów, rzucić rękawicy w twarz.

Dlaczego?

Niewątpliwie nie przez szacunek do mojej osoby. Robiono to dla królowej, dla Filipy, którą kochano, i nikt nie chciał, by dowiedziała się gorzkiej prawdy, że jej najmłodsza dama dworu nocą leży naga w ramionach jej męża.

I było to bardzo niesprawiedliwe, bo nie mogłam przecież ogłosić wszem wobec, że leżę naga w ramionach króla za przyzwoleniem tej właśnie królowej. Wszyscy byli przekonani, że królowa nic nie wie, a ja wślizguję się do łóżka króla jak podstępny wąż, co kusił Ewę. Ja, jedyny winowajca, bo w ciągu tych pierwszych tygodni nie słyszałam ani jednego słowa potępienia pod adresem Edwarda. Król był nietykalny.

Niewątpliwie wszyscy też zadawali sobie pytanie, dlaczego właśnie ja. O tym świadczyły te jakże wymowne spojrzenia. Dlaczego król nie wybrał damy szlachetnie urodzonej, obdarzonej wieloma przymiotami i talentami? Damy urodziwej? Czyli koniec z pieszczotką. Już nie byłam ulubienicą wszystkich dam, już nie hołubiły mnie na swoich łonach okrytych jedwabnymi szatami.

Edward naturalnie zajmował bardzo twarde stanowisko:

- Jeśli ktokolwiek będzie cię szkalował, zostanie odprawiony -oznajmił.

- Ależ nikt mi źle nie życzy, Edwardzie.

Kłamałam, bo nie było sensu mówić mu o tym, że już zostałam osądzona i codziennie czuję pchnięcie sztyletu w postaci złych słów wymówionych jak najciszej, prawie bezgłośnie. Cóż Edward, wszak mężczyzna, mógł wiedzieć o gierkach w świecie kobiet, tym bezdusznym kurniku, czyli wielkiej komnacie, gdzie damy dworu przesiadywały za dnia? On, który żadnego złego szeptu nie usłyszał, bo w jego obecności nikt nie ważył się otworzyć ust.

Szepty szeptami, a jeśli chodzi o zachowanie się dam wobec mnie, to wzięły przykład z Izabeli. Czyli były lodowato uprzejme. Tak lodowate, że ich spojrzenia mogłyby i w sierpniu skuć lodem Tamizę. I bolało mnie to bardzo.

Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Nie należę do kobiet, które zbyt długo się godzą na obarczanie ich grzechem. Godzić pokornie, nie kłając, nie gryząc, nie szczypiąc. A mnie przecież ukarano na oczach wszystkich, i to w taki sposób, że nigdy im tego nie potrafiłam wybaczyć. Stało się w niecały miesiąc po pierwszej nocy z Edwardem, w listopadzie 1363 roku, kiedy do Londynu zjechali władcy Francji, Cypru i Szkocji, i z tej to okazji miał odbyć się wielki turniej na polach Smithfield. Edward również miał uczestniczyć w rycerskich zmaganiach,

dlatego poprosił, by królowa zjawiła się tam w otoczeniu dam dworu ubranych w barwy królestwa. W związku z powyższym zebrałyśmy się w sali audiencyjnej, skąd miałyśmy udać się do Smithfield. Wszystkie niebiesko-srebrzyste i w sobolach, także królowa, również niebiesko-srebrzysta, ze wspaniałymi szafirami na piersi. Wszystkie damy, rozradowane i zniecierpliwione, nie mogły się doczekać, kiedy ruszymy w drogę. I nagle na kilka chwil turniej poszedł w zapomnienie, bo kiedy kłaniałam się nisko przed królową, ona, patrząc na mnie z przerażeniem, wykrztusiła:

- Alice...

Oczywiście, że mogłam tego uniknąć, znaleźć jakąś wymówkę i w ogóle tu nie przychodzić, tylko gdzieś się skryć cała drżąca ze strachu i upokorzenia. Taki był przecież zamysł. Ale moi wrogowie przeliczyli się. Nigdzie się nie schowałam, tylko stanęłam przed obliczem Jej Królewskiej Mości.

- Ale dlaczego, dlaczego... - pytała królowa, wskazując moje ubranie.

I słusznie, bo moja szata ani nie była niebiesko-srebrzysta, ani nie była obszyta sobolami. Był to przybrudzony, wygnieciony po długim leżeniu w skrzyni, zgrzebny przyodziewek konwerski, w którym przybyłam do Havering. Oczywiście w kolorze rdzawym, bo tak ubierała się londyńska biedota i najniższe sługi.

Ale byłam tu, bo podjęłam wyzwanie, a teraz, stojąc przed królową, zastanawiałam się, jak jej to wszystko wyjaśnić. Owszem, korciło mnie, żeby powiedzieć prawdę, z powodu której wszystko burzyło się we mnie pod zgrzebną rdzawą suknią. A prawdę tę znała każda obecna tu dama, każda oczywiście z twarzą niewinną. Dlaczego więc jej nie ujawnić przed Jej Królewską Mością?

Taka była pierwsza myśl, ale kolejna była już inna. Może jednak nie? Może wymyślić inną prawdę, ze względu na królewską osobę bardziej subtelną? Tak, ale czy człowiek jest w stanie wymyślić na oczekaniu subtelne kłamstwo, kiedy gniew niczym kowalski młot rozłupuje mu głowę? Kiedy przed oczami mam piękną suknię rozłożoną na wymyślonym łożu... Jedwab i adamaszek pocięty, poszarpany, obszycia z futra odebrane, welon rozerwany na pół, a haftowany pasek przecięty. Pasek, który haftowałam tak długo, przez wiele tygodni, zdumiona, że jednak

jest we mnie aż tyle cierpliwości. A ktoś zniweczył to w mgnieniu oka. Wystarczyło wziąć nożyce i zrobić to, co nie wymagało żadnych umiejętności, tylko złości. I przeciął, a ktoś inny dał wyraz swej nienawiści, zabierając mi podarek od Filipy, ciżmy z miękkiej skóry ozdobione kokardkami z adamaszku.

Kiedy to ujrzałam, byłam bliska łez, ale wiedziałam, że damy, z którymi dzieliłam komnatę, będą zachwycone moją rozpaczą. Dlatego stałam, patrzyłam i połykałam łzy, zrozpaczona nie tyle z powodu ewidentnego dowodu, że jestem odepchnięta przez wszystkich, co faktu, że zniszczono tyle pięknych rzeczy. A kiedy usłyszałam stłumiony chichot, podjęłam w duchu ostateczną decyzję, co zrobić. Jeśli nie mogę mieć na sobie najlepszego stroju, to nie zadowolę się żadną namiastką.

Starannie złożyłam zniszczoną suknię i welon, po czym ubrałam się w zgrzebny barchan, czyli strój odpowiedni dla służki. Tak, właśnie to, bo nie zamierzałam ukrywać, kim kiedyś byłam. I jaką podłość mi wyrządzono.

I co teraz? Prawda czy zręczne kłamstwo? Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. A ja słyszałam już w mojej głowie te słowa:

- Któraś z dam Waszej Królewskiej Mości zniszczyła moją suknię. Niestety, nic to nie da. Owszem, mam dowód, że to uczyniono, ale kto? Nikogo za rękę nie złapałam.

- Przecież ona nie może być w takim przyodziewku! - oznajmiła Izabela.

- Nie może - przyznała królowa.

- Jak można być tak nieposłuszną! Przecież wiadomo, w jakich szatach mamy dzisiaj wystąpić! - W głosie Izabeli słychać było śmiech.

Ale nie sądziłam, że to ona dokonała dzieła zniszczenia, ponieważ tego rodzaju zemsta była poniżej jej godności. Powoli podniosłam głowę.

- Nie było moim zamiarem być nieposłuszną, Wasza Królewska Mość.

- Wydarzyło się coś... niefortunnego? - próbowała mi pomóc.

- Tak, milady. Przez moją nieuwagę.

- Tak wielką, że sukni nie można już włożyć?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Z mojej winy.



Patrzyłam tylko na królową, modląc się w duchu, żeby mnie zrozumiała i nie udzieliła reprimendy, tylko po prostu kazała mi się oddalić.

- Wiem dobrze, Alice, że nieuwaga nie jest twoim grzechem.

- Ale tak się zdarzyło. Wybacz, pani - powiedziałam cicho, wbijając wzrok w srebrzyste i niebieskie kokardki przy ciżmach królowej.

A kiedy podniosłam oczy z powrotem na królową, szybko skinęła głową.

- Rozumiem, Alice. Chodź ze mną. Izabelo, ty też. Czas jeszcze nas nie nagli.

Wtedy usłyszałam gremialne westchnienie, oczywistą oznakę wielkiego rozczarowania. Ja natomiast byłam bliska euforii, bo pokazałam tym wszystkim damom, że ich wrogość nic dla mnie nie znaczy. Nie będę uciekać się do żadnych wymówek, nie ustąpię, tylko dalej będę robić to, co uważam za stosowne.

Po prostu ich się nie boję. A tak! Po raz pierwszy w życiu przekonałam się, jak wiele siły ma w sobie człowiek, który jest pewny siebie.

Metamorfoza zajęła zaledwie pół godziny. Z królowej zdjęto niebiesko-srebrzystą suknię obszytą sobolami, ze mnie zgrzebny rdzawy przyodziewek, którego nigdy więcej nie miałam już zobaczyć. I suknia Filipy zmieniła właścicielkę. Była o wiele za duża, ale dzięki chytremu podwiązaniu tasiemkami nie zsuwała się z ramion.

Podczas tych działań nie było żadnej rozmowy, tylko kilka poleceń: Oddychaj. Podnieś. Krok w bok. Jeszcze welon. I pasek.

- Dobrze - orzekła królowa, jak zawsze królewska, choć tylko w ko-szuli. - Izabelo, powiadom króla, że będziemy gotowe za pięć minut. - Kiedy księżniczka odeszła, spytała: - Alice, powiesz mi?

- Nie mam nic do powiedzenia, milady.

Nie nalegała. Odwróciła się i skinęła na służące:

- Przynieście tę suknię karmazynową, ze złotem. I suknię wierzchnią złocistą. I złocisty welon, i naszyjnik z rubinów.

Wróciłyśmy do sali audiencyjnej, gdzie czekano na nas z największą niecierpliwością. I tam królowa, jaśniejąca jak bezcenny rubin na tle srebrzysto-niebieskich sukien, przemówiła surowym głosem:

- Dziś oddajemy pokłon królowi. Taka jest moja wola. Alice będzie z nami. Jest wierną poddaną moją i Jego Królewskiej Mości... - Twarde spojrzenie władczyni przemknęło po twarzach otaczających ją dam.

- A ja jestem bardzo niezadowolona, gdy ktoś zachowuje się nieprzystojnie czy to wobec mnie, czy wobec tych, którzy mi służą. Takich postępów nie będę tolerować. - Królowej odpowiedziała cisza.

- Czy pojęłyście, co mam na myśli?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Wszystkie nogi pośpiesznie zgięły się w niskim ukłonie. Tak zakończyło się krótkie oświadczenie, dające dobitnie do zrozumienia, że królowa wie o wszystkim.

- Pani Perrers podczas turnieju zajmie miejsce obok mnie - oznajmiła królowa głosem wciąż surowym, ale zaraz potem uśmiechnęła się.

- Ruszajmy w drogę! Jesteśmy nieco spóźnione, ale to nie szkodzi. Zawsze warto pojawić się trochę później, gdy czeka gładki kawaler. Pani Perrers, proszę podać mi ramię.

I w taki oto sposób turniej, ten wspaniały pokaz sztuki rycerskiej, stał się również demonstracją mej niezachwianej pozycji na dworze króla Edwarda. Króla, który tego dnia dał prawdziwy popis rycerskich umiejętności. Jeśli obcy monarchowie sądzili, że Edward, już po pięćdziesiątce, stracił wigor, to pomylili się gorzko. Król Edward nadal był mistrzem.

Powinam więc czuć wielką radość chociażby ze zwycięstwa nad złośliwymi damami. Niestety, tak nie było, a to z powodu wielkiego grzechu, który właśnie wtedy popełniłam. Grzechu zazdrości, tej bestii, co bezlitośnie kąsa i drapie twą duszę. Nie opuszczała mnie ani na chwilę podczas tego wspaniałego popołudnia. Bo co z tego, że byłam faworytą Edwarda, skoro ani razu na mnie nie spojrzął, nie uczynił najmniejszego gestu w moją stronę? Damą jego serca była naturalnie Filipa. Od niej odebrał szarfę i przypiął ją do szarfy, którą miał już na swej zbroi. Ucałował palce Filipy i oświadczył wszem wobec, że będzie walczył w jej imieniu. A po turnieju, kiedy jako zwycięzca odebrał nagrodę, zwrócił się od razu do Filipy, która uraczyła go słodkimi słowami i razem cieszyli się ze zwycięstwa.

Jego żona. Czyli tak musiało być. Oczywiście! Ale... Ale czy naprawdę nie mógł się do mnie odezwać, choć jednym słowem, coś napomknąć... Nie mógł, to oczywiste, ale zazdrość i tak kłuła niemiłosierdzie. Było mi okropnie wstyd, ale nie potrafiłam jej stłumić. Naturalnie cały czas uśmiech miałam przylepiony do twarzy, a w zanadrzu miłe

słowo do każdego, kto się do mnie odezwał. Ale w sercu tylko zazdrość i gniew. Król w zaciszu komnaty bierze me ciało w posiadanie, a przy ludziach jestem dla niego nikim.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, jak bardzo jestem niesprawiedliwa i wobec Filipy, i wobec Edwarda, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Wielka faworyta! Tylko głupia dworka, którą się pomiata! Dopóki wieczorem nie znajdę się w łóżu Edwarda. Tego dnia również.

- Wspaniały dzień! - Bardzo zadowolony Edward aż westchnął, przeciągając się i prężąc gładkie, nasycone już ciało.

- A dokładnie kiedy było tak wspaniale? Rano, w południe czy wieczorem? - spytałam niewinnym głosem. Również byłam nasycona pieścotami, dlatego bestia zazdrości i złości chwilowo miała drzemkę. A spytałam właśnie tak skromnie i niewinnie, choć moja wiedza o dostarczaniu przyjemności pełnemu wigoru mężczyźnie znacznie się poszerzyła.

Skromnie. Ale z podtekstem, prawda?

- Och, Alice, ależ ty potrafisz dociąć! A wspaniale było przez cały dzień. Na szczęście w starym rumaku drzemie jeszcze życie! - Uśmiechnął się i ucałował na mej piersi miejsce, gdzie serce jeszcze trzepotało po miłosnych uniesieniach. - Nadal czuję się rycerzem co najmniej dwa razy młodszym, kiedy dosiadam konia i trzymam kopię w ręku!

- A kobieta jest dla ciebie istotą, która przede wszystkim musi wykazać się uległością i w razie potrzeby ukryć się w cieniu. - To właśnie powiedziałam, przesuwając dłoń po jego ramieniu i dalej, przez pierś, do miejsca, gdzie słychać było miarowe bicie serca. Powiedziałam to, bo niestety mimo słodkich uniesień, złowroga zielonooka bestia zazdrości znów się przebudziła i nie chciała mnie opuścić.

- Ależ Alice! - Edward objął moją twarz, zmuszając, bym spojrzała mu prosto w oczy, czego oczywiście wcale nie chciałam. - Przecież walczyłem także dla ciebie!

- Czyżby? O ile sobie przypominam, mnie nie prosiłeś o szarfę. Nie, wcale nie zabrzmiało to dramatycznie, ale żartobliwie też nie, stąd pełen powagi głos Edwarda:

- Myślałem o tym, Alice. Muszę przyznać, że wcale nie jest mi łatwo z tą dwulicowością.

Słumiłam westchnienie i po prostu pocałowałam Edwarda. Hipokryzja... Cóż, wina leży po obu stronach. Po trzech.

- Przecież żartowałam, Edwardzie. Wybacz. Oczywiście, że Filipa jest damą twego serca i walczyłeś dla niej, wykazując się wielkim męstwem. Dałeś jej wiele radości...

Mówiłam miło, swobodnie, co wcale nie było łatwe, jednak nauka nie poszła w las. Nie od dziś byłam na królewskim dworze, a z każdym dniem pobytu nabierałam biegłości w wypowiedaniu dopasowanych do czasu i konkretnej sytuacji gładkich, a nieraz obłudnych słów. Uczylałam się tego bardzo pilnie, podobnie jak skomplikowanych kroków w tańcu dworskim.

- Królowa włożyła złoto i purpurę specjalnie dla ciebie, żebyś zawsze mógł ją dostrzec. Bardzo pragnęła twego zwycięstwa.

- W mocnych barwach bardzo jej do twarzy... A ty, Alice, wyglądasz pięknie na niebiesko i srebrzyście. Chociaż... - Oczy króla rozbłysły. - Najbardziej podobasz mi się bez niczego.

Czyli król ponownie gotów był do czynu...

A potem, kiedy zbierałam już się do wyjścia, jednocześnie zbierając też siły do stawienia czoła pełnemu wrogości milczeniu Wykehama, nieodmiennie towarzyszącemu mi w tych sekretnych wędrówkach, król szczerą ręką ozdobił mą pierś złotym i wysadzonym drogimi kamieniami łańcuchem. Miał go na sobie podczas uczyty po turnieju. Był przepiękny.

Ostrożnie uniosłam go palcami, by dokładniej przyjrzeć się lśniącom ogniwoom. I milczałam.

- Alice, co się stało?

- Nie domyślasz się?

- Nie. Po prostu chcę, żebyś miała ten łańcuch.

- A ja nie mogę go przyjąć, Edwardzie.

- Dlaczego? - spytał zdumiony.

- Ustaliliśmy przecież, że nie będziemy się obnosić z naszą... zażyłością. - Zdjęłam łańcuch i włożyłam go Edwardowi na szyję, a złote ogniwa dumnie rozbłysły na szerokiej królewskiej piersi. - Ten piękny

łańcuch, Edwardzie, za bardzo rzuca się w oczy. Złote ogniwa są tak wielkie, że można by nimi spętać konia! A szafiry są wielkości gołębic jaj!

Żartowałam, jednak Edward wcale się nie uśmiechnął. Był wyraźnie niezadowolony, ale cóż, trudno. Wiedziałam doskonale, że nie wolno urażać jego męskiej dumy, jednak z drugiej strony musiałam być bardzo ostrożna, by nie zaszkodzić swojej bardzo jeszcze niepewnej pozycji na dworze.

Ale jak wiadomo, mądra kobieta nigdy nie sprawi więcej kłopotu, niż jest to konieczne.

- Edwardzie, może podarujesz mi coś innego? Może to? - Sięgnęłam tam, gdzie leżała szarfa Filipy. Ale nie po szarfę naturalnie sięgnęłam, tylko po broszę, którą Edward podczas turnieju przypiął tę szarfę do swojej.

- To przecież drobiazg, nic cennego - zaprotestował.

- Nic cennego?! - wykrzyknęłam. - Dla mnie tak! Przecież tę broszę miałeś na sobie podczas turnieju, kiedy walczyłeś! Bardzo chciałabym mieć ją na własność. Mogłabym śmiało ją nosić, bo nie rzuca się w oczy. A łańcuch? Zrozum, Edwardzie, gdybym włożyła go na siebie, cały dwór od razu zacząłby wytykać mnie palcami. Cały dwór!

Edward najpierw chrząknął, dopiero potem powiedział:

- A więc dobrze, przekonałaś mnie. Szkoda, bo bardzo bym chciał móc ci podarować to, co chcę, a nie tylko to, co ci podarować mogę. - Przypiął mi broszę do koszuli. Klejnot naprawdę był skromny, niewyszukany, po prostu złote kółko wysadzone szmaragdami, ale na tle białego płótna zalsniło pięknie, nabrało świetności. A gdy Edward już go przypiął, nie po raz pierwszy zadał mi to właśnie pytanie: - Nie jest ci łatwo, Alice, prawda?

Na co zawsze odpowiadałam tak samo:

- Owszem, nie jest, ale przecież łatwo być nie może, prawda?

- Postąpiłem bardzo egoistycznie, żądając, byś została moją faworytą.

- Nie zaprzeczę, tak właśnie było, ale jesteś królem, Edwardzie. Jeśli takie jest życzenie króla, to tak się stanie. Będzie egoistą i basta.

Wreszcie trochę się rozchmurzył, nawet się roześmiał, ale salwa śmiechu to nie była.

Broszę zatrzymałam. Mogłam zrobić to bez obaw, bo wśród klejnotów, które podarowała mi królowa, była właściwie niezauważalna. Kiedy chowałam ją do szkatułki, pomyślałam ze smutkiem, że owszem, kiedyś nadejdzie dzień, kiedy nie będę musiała kryć się z podarkami od króla. Niestety, stanie się to wtedy, kiedy królowa odejdzie na zawsze.

- Czy nigdy już nie odezwiesz się do mnie ani słowem, panie? - spytałam jak zwykle ponurego i milczącego Wykehama, kiedy odprowadzał mnie do komnat królowej. - Od kiedy to jesteś taki świętoszkowaty?

- Odkąd sprzeniewierzyłem się mej duszy, nie zdradzając nikomu haniebnej tajemnicy króla. - Nie, nie powiedział tego normalnie, on wywarczał te słowa, zupełnie jakby nie był osobą duchowną. - Na szczęście opuszczam Havering, jadę do Windsoru. Będę tam budować.

- O! I śmiem twierdzić, że znajdziesz w tym o wiele więcej przyjemności niż w moim towarzystwie.

- Na Boga! Tak!

- Ale wrócisz, a ja, niestety, nadal tu będę. - Nie mogłam sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

A on na to równie złośliwie:

- W takim razie będę modlił się o cud, żeby ciebie jednak tu już nie było!

Wykeham pojechał do Windsoru budować nową wieżę. Tęskniłam za nim. Brakowało mi jego powagi, surowości i bezwzględnej uczciwości. Chociaż nie potrzebowałam już, by służył mi jako eskorta, ponieważ przydzielono mi komnatę, w której zamieszkałam sama i skąd sama pokonywałam drogę wiodącą do komnat króla. W ten sposób moja szczególna pozycja na dworze królewskim stała się dla wszystkich oczywista, jednak zmowa milczenia nadal obowiązywała, naturalnie ze względu na królową.

Lecz to milczenie czasami ktoś przerywał, jak choćby pewna nieroztropna dama, która, kiedy święte oburzenie wzięło górą nad rozsądkiem, syknęła na mój widok:

- Dziwka...

W konsekwencji została wezwana przed oblicze Jej Królewskiej Mości, na rozmowę krótką, lecz brzemienną w skutkach. Dobytek owej

damy spakowano do skrzyń i jeszcze tego samego dnia opuściła królewski dwór. Miałam wrogów, to oczywiste, ale miałam też przyjaciół

O wiele potężniejszych od wrogów, dlatego mogłam konsekwentnie podążać wytyczoną mi drogą, a z każdym krokiem byłam coraz bardziej pewna siebie. A dlaczego miałoby być inaczej? Skoro - że dam przykład jeden z wielu - miałam właśnie tę suknię. Suknię królowej, tę niebiesko-srebrzystą, obszytą sobolami, przycięto, zszyto na nowo

i leżała teraz na mnie jak ulał. Była moja! Kiedy miałam ją na sobie, zawsze kroczyłam wdzięcznie i zuchwale. Głowa sama unosiła się o wiele wyżej. Już nie byłam tamtą dziewczyną, która nagle pojawiła się na królewskim dworze, istotą, z którą nikt się nie liczył. Odpychaną, a przyzywaną tylko wtedy, gdy komuś raptem była do czegoś potrzebna. Obecnie nie obarczano mnie niczym, nawet nie musiałam usługiwać Jej Królewskiej Mości. Teraz byłam kimś, z kim trzeba się było liczyć.

Kiedyś Izabela zauważyła bardzo chłodno:

- Ty chyba nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce?

Istotnie nie wiedziałam i nie sądziłam, że kiedykolwiek tego się dowiem. Jak zresztą wszyscy! Tak sobie wtedy pomyślałam nie bez satysfakcji, a odpowiedzieć na pytanie Izabeli nie raczyłam. Przez dłuższą chwilę stałyśmy tylko naprzeciwko siebie i mierzyłyśmy się wzrokiem, póki księżniczka, osoba bardzo bystra, nie uznała, że i tak nie odpowiem, więc po prostu sobie poszła. Co dało mi jeszcze większą satysfakcję.

Upajająca była dla mnie świadomość, że jako faworyta króla, którą ponadto królowa też traktuje przychylnie, nie jestem już bezbronna. W tej bitwie odniosłam zwycięstwo. Żadna z dam nie śmiała być wobec mnie nieuprzejma. Mogły myśleć, co chcą, gardzić, życzyć mi z całego serca, by okrytą hańbą wygnano mnie z pałacu. Ale nie wolno im było mnie tknąć ani słowem, ani czynem, i właśnie to było dla mnie powodem do wielkiej radości. Największej, takiej, jaką sprawiła mi suknia Jej Królewskiej Mości.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Filipa bardzo niedomagała, uskarżając się na dolegliwości, które tak naprawdę nigdy całkowicie nie ustąpiły, a teraz jeszcze się wzmogły. Filipa cierpiała i była bardzo smutna. Widziałam to, kiedy jak najostrożniej wcierałam maść w opuchnięte dłonie. Nawet słodkie dźwięki lutni nie niosły królowej ukojenia.

- Milady bardzo dziś smutna.

- Och tak. Dziś każdy rok mego długiego życia wyjątkowo daje mi się we znaki.

Tęskniła za Edwardem, który musiał wyjechać. Brakowało jej towarzystwa męża, brakowało bezwarunkowej miłości zawsze wypisanej na jego twarzy, gdy spoglądał na nią. Przy nim rozkwitała, znów była młodą dziewczyną, a bez niego stawała się posepna, a czas włókł się w nieskończoność.

Królowa, jakby czytając w moich myślach, skrzywiła się i nagle odsunęła moją rękę.

- Proszę o wybaczenie, milady.

- Nie, nie, Alice. - Potrząsnęła głową. - To ty wybacz. Zrobiłam to odruchowo, bo nagle dotarło do mnie, że pilnie muszę się zastanowić nad pewnymi ustaleniami.

- Ustaleniami, milady? - spytałam, zabierając się ponownie do smarowania opuchniętych dłoni maścią sporządzoną z roztartych list-



ków i kwiatów fiołka wymieszanych z baranym sadłem. Nie pachniało to pięknie, ale na pewno pomagało na opuchliznę.

- Ustaleniami, które koniecznie trzeba poczynić na wypadek mojej śmierci, Alice.

Nic dziwnego, że moje palce na moment znieruchomiały. A więc to trapi królową...

- Ależ milady, przecież nie ma takiej potrzeby!

- Jest. Trzeba zrobić rzeźbę na mój nagrobek, to pilna potrzeba.

- Przecież milady ma przed sobą jeszcze wiele lat!

- Nie mam, Alice, o czym dobrze wiesz. - Królowa wlepiła we mnie oczy, w których była niema prośba, bym powiedziała prawdę.

Więc powiedziałam to, co każdy od razu sobie uzmysławiał, gdy tylko zobaczył jej twarz.

- Wiem, milady - szepnęłam. - Nie będę kłamać. Po twarzy królowej przemknął nikły uśmiech.

- Chcę, żeby moja rzeźba nagrobna wyglądała tak jak ja teraz, a nie żadna tam wiotka dworska piękność, którą nie jestem od wielu lat.

- Trzeba więc to zarządzić. Proszę, niech milady powie, w czym mogłabym być pomocna.

Nagle Filipa spojrzała na mnie jakoś tak inaczej, dziwnie inaczej, i wsunawszy palce pod brodę, obróciła moją twarz ku oknu, by przyjrzeć jej się dokładnie. Delikatnie powiodła palcem po policzku, a ja zamarłam, i to tak bardzo, że jedwab na mej piersi, zawsze unoszący się podczas oddychania, prawie znieruchomiał.

Ręce królowej gwałtownie opadły, jakby oparzyła się, a ja spojrzałam na nią, starając się, by w moich oczach nie było ani odrobiny strachu czy niepewności.

- Alice, twoja twarz zmieniła się. Jest delikatniejsza, taka półprzezroczysta, a zarazem wypełniły ci się policzki, rysy... - Milczałam, umykając wzrokiem, a wyraźnie poruszona królowa westchnęła. Poszłam jej śladem. - Alice, nosiłam pod sercem trzynaścioro dzieci i doskonale wiem, jakie są pierwsze oznaki. Chyba nie myślę się?

- Nie, milady - odparłam, nie umykając już wzrokiem, nieważne, jak wielki był mój strach. Postanowiłam przecież, że nigdy już nie będę się płożyć, kurczyć, maleć w pokorze.

- Mam nadzieję, że on wie?

- Nie, milady, nie wie. - Bo zupełnie nie wiedziałam, jak mu o tym powiedzieć.

Oczywiście myślałam o tym nieustannie od tamtego poranka, blisko dwa miesiące temu, kiedy to mój odmienny stan rzucił mnie na kolana. Dosłownie, bo w tej właśnie pozycji wymiotowałam w ciemną, okropną czeluść pałacowej *garderobę*, czyli miejsca ustronnego. Potem ledwie żywa, trzymając się ściany, na drżących nogach wróciłam do komnaty. Tak, bo Jego Królewska Mość, który pod każdym względem był człowiekiem wyjątkowym, sprawił, że już po trzech miesiącach byłam brzemienna. I moja pewność siebie została poddana ciężkiej próbie. Edward bardzo sobie cenił swój królewski wizerunek, wizerunek monarchy, który stoi na straży wszystkiego, co dobre dla Anglii, co moralne. Dla poddanych był wzorem wszelkich cnót. Czy będzie więc chciał bękarta z łona nieszczęsnej dziewczyny, którą zaszczycił swoją uwagą?

A Filipa? Gdybym była prawowitą małżonką króla, wiedziałabym doskonale, czego może spodziewać się po mnie jego faworyta, jakaś parweniuszka, której wzdęty brzuch zaczyna zwracać uwagę dworu. Gdybym była Filipą, kazałabym dziewczkę wychłostać i wygnać na cztery wiatry.

Niestety, to ja właśnie byłam tą parweniuszką, całkowicie bezbronną i bezradną. Bo to nie ja decydowałam o swojej przyszłości.

Przysiadłam na piętach i z bijącym sercem czekałam na cios, który mnie powali.

Filipa przez długą chwilę tylko patrzyła na mnie, lecz kiedy przemówiła, jej głos był twardy jak tłuczek, którym rozcierałam kwiatki fiołka.

- Idź i spakuj do skrzyń swoje rzeczy. Pora, byś opuściła dwór.

- Tak, Wasza Królewska Mość - odparłam, próbując w tonie głosu zachować resztki dumy i godności.

Mam opuścić dwór... Na zawsze? Czy to miała na myśli? A jeśli tak, jeśli wygnanie jest ostateczne, to czy mogłam ją za to winić? Jakże miałyby dalej żyć, mając stale przed oczami ewidentny dowód niewierności Jego Królewskiej Mości? Dowód coraz większy, coraz bardziej wydatny?

Na faworytę przyzwoliła. Ale bękart? Na królewskim dworze? Nie, na to zgody nie ma.

Przełknęłam grudę, która ze strachu mi rozpychała gardło.

- Ja dokonam wszelkich ustaleń - oznajmiła.

- Jak milady sobie życzy.

Królowa, nie bacząc na ból, który na pewno odczuwała, podniosła się z krzesła, a twarz miała jak z kamienia.

- Zastanawiam się, czy będziesz się opierać.

Spuściłam głowę i przełknęłam tę grudę strachu, rozpychając teraz gardło.

- Jakżebyś śmiała, milady! - odparłam coraz bardziej załamana i wystraszona. - Jestem damą dworu. Jeśli milady życzy sobie mnie odprawić, to po prostu muszę odejść.

- Tak... - Filipa na moment zacisnęła wargi. - Odejdiesz już teraz, bo kto wie, czy nie przyjdzie ci do głowy prosić króla o pozwolenie na pozostanie na królewskim dworze, żebyś mogła powić dziecko tutaj, na oczach wstrząśniętego dworu! Kiedy miałaś zamiar mi o tym powiedzieć?

- Kiedy bym musiała, milady.

- Sądziłaś, że nie pochwalę tego?

- Tak, milady... - Te słowa wymówiłam cicho, prawie jak westchnienie.

Nagle królowa nachyliła się, czy raczej przygarbiła, i chwyciła mnie za rękę tak mocno, że paznokcie wryły się w me ciało.

- Oczywiście, że nie pochwalam! A co, łudziłaś się, że pochwalę, że takie było moje życzenie?! O Matko Przenajświętsza! Nie dość, że dzielisz łożę z moim mężem, to jeszcze to! Czasami gardzę tobą, Alice. I gorzko żałuję, że dane mi było kiedyś ciebie spotkać! - Jej łono unosiło się i opadało, kiedy nabierała głęboko powietrza, by przywołać na swej twarzy nikły uśmiech. - A jeszcze bardziej pogardzam tym, że nie mogę obarczyć cię winą. Nie mogę, bo sama cię do tego namawiałam... O Boże! Wyjdź już stąd, wyjdź! Nie mogę dłużej na ciebie patrzeć!

W taki oto sposób zostałam odprawiona przez królową.

- Czy milady powie królowi, że odeszłam? - spytałam już w drzwiach.

- Powiem mu to, co powinien wiedzieć.

Wyszłam z komnaty, a moja ręka, ta ręka, którą paznokcie królowej poznały do krwi, dygotała.

Następnego dnia skoro świt wyjechałam z Havering. Na dziedzińcu nie było nikogo, kto by chciał pożegnać się ze mną albo chociaż pomóc mi wsiąść do lektyki. Odjeżdżałam więc stąd tak samo, jak przybyłam, czyli niezauważona, z tym że jadąc tu, miałam towarzysza podróży, Wykehama. Jednak on przebywał w Windsorze, a Edward w Eltham, więc żaden z nich nie wiedział o decyzji królowej, która w tamtej chwili najpewniej była w kaplicy. Izabela, gdyby wiedziała, że wyjeżdżam, może by i przyszła na dziedziniec, by pożegnać mnie w swoisty sposób, a mianowicie splunąć mi pod nogi.

A więc stało się. Zostałam odprawiona wraz z nienarodzonym królewskim bękartem i przyodziewkiem w sakwach. Co dalej? Nie wiadomo. Im bardziej oddalałam się o pałacu, tym smutniejsza jawiła mi się moja przyszłość. A już najgorsze, że była tak niepewna... Zachodziłam też w głowę, co powie Edward, kiedy dowie się o moim wyjeździe... i o jego przyczynie.

W głowie kłębiły się różne myśli, a wszystkie były niespokojne. Dokąd mnie wiozą? Nic mi przecież nie powiedziano, a byłam tak zrozpaczona z powodu biegu wypadków i szybkim ich rozwojem, że nie pytałam. Może z powrotem do opactwa?

Och nie! Tylko nie tam! - modliłam się w duchu.

A jeśli nie tam... to dokąd? Zawsze potrafiłam pogodzić się z tym, że w którymś momencie los odwraca się ode mnie, jednak podczas tej podróży zmuszona byłam pogodzić się również z tym, że odwrócił się ode mnie w sposób wyjątkowo niedogodny. Z wyżyn pozycji faworyty króla i zaufanej służki królowej gdzieś w dół, niemal w niebyt... A doszło do tego z tej przyczyny, że w ciągu tych trzech miesięcy stałam się przerażająco zależna od Plantagenetów. Padłam ofiarą ich dumy, bezwzględności i wyrafinowanych intryg. Igrali moim losem wedle własnej woli, a teraz, z dzieckiem w łonie, stałam się dla nich tylko i wyłącznie ogromnym kłopotem i utrapieniem. I naturalnie to oni zadecydują o mej przyszłości, z czym również muszę się pogodzić, bo innego wyboru nie mam.

Z każdą godziną strach był coraz większy, a także gniew, choć wiedziałam, że ze względu na siebie i dziecko powinnam tłumić złe emocje. Tak, przede wszystkim ze względu na tę kruszynę, która nagle stała się bardzo droga memu sercu.

I równie nagle przypomniałam sobie o Greseleyu. Greseley! Powinnam do niego napisać, do Tabard, tej gospody, o której wspomniał, i w końcu zażądać moich pieniędzy, dzięki czemu będę miała na dach nad głową!

Następnego dnia, kiedy słońce, tak złociste jesienią, chyliło się już ku zachodowi, wpatrzona w poznaczoną cieniami potężnych drzew drogę, uświadomiłam sobie wreszcie to, co było przecież oczywiste. Jesteśmy już bardzo daleko od Havering, niemożliwe więc, by wieźli mnie do opactwa. Spojrzałam w niebo, na słońce, i stało się oczywiste, że jedziemy na zachód, a po krótkim czasie okazało się, że dojeżdżamy do celu, usłyszałam bowiem pokrzykiwania mej świty i konie zwolniły. Mimo chłodu rozsunęłam zasłony jeszcze bardziej i oczom moim ukazało się miejsce, które miało stać się moim domem.

W promieniach niknącego za horyzontem słońca zobaczyłam niewielki kamienny dwór. Brama była otwarta, by nasz mały orszak mógł wjechać na dziedziniec, a na progu czekała moja służba, czyli rządca, gospodyni, dwie służące, które dygały skwapliwie, oraz biegnący ze stajni masztalerz. To miłe powitanie w dworze Ardington - jednej z posiadłości Jego Królewskiej Mości, jak się później dowiedziałam - wlało w mą skołataną duszę spokój, zupełnie jakby otulił ją miękki aksamitny płaszcz.

Niestety, było to tylko pierwsze wrażenie, bo w tym wiejskim zaciszu moja dusza i ciało spokoju jednak nie znalazły. Owszem, niby nie było mi źle, jednak w miarę jak rósł mi brzuch, mój nastrój coraz bardziej się pogarszał. To prawda, miałam dach nad głową, zapewnione wszelkie wygody, a nawet pełną sakiewkę, jednak nieustannie dręczyły mnie bardzo niepokojące pytania stanowiące swoistą jedność: Jak długo to będzie trwać? Co będzie potem? Co ze mną się stanie, kiedy dziecko już się urodzi?

No i jeszcze coś. Jakkolwiek by na to patrzeć, było to w pewnym sensie więzienie, bo nawet jeśli byłam wolna, to co mogłam z tą wolnością zrobić? Nic, tylko trwać w Ardington.

Dni mijały, jeden podobny do drugiego, niczym niezmacone. Nie ruszałam się z Ardington, nie odwiedzałam sąsiednich dworów. Szczęśliwie było tu wiele książek, miałam więc co poczytać, poza tym z nudów zabrałam się za szycie. Tak! Ja! Czyli musiałam być naprawdę

bardzo przygnębiona. Włączałam się także do prac domowych, zadowolona, że pani Lacey, gospodyni bardzo żwawa, nie sprawia wrażenia osoby niemile zaskoczonej, kiedy czasami pojawiałam się w kuchni czy spiżarni. Och! Świat królewskiego dworu wydawał mi się równie odległy, jak bajkowa kraina Kataj. Już po tygodniu musiałam pogodzić się z myślą, że nie jestem stworzona do życia w takim ustroniu, gdzie nic się nie dzieje, a cisza zdaje się wszechobecna.

Oczywiście napisałam do Greseleya, a ponieważ sprawa była pilna, napisałam krótko, i nie w formie grzecznej prośby, lecz było to żądanie:

*Panie Greseley, jestem w wielkiej potrzebie. Ile pieniędzy mógłbyś mi przysłać?*

Odpowiedź była nieco dłuższa, choć równie oschła: *Pani Perrers, wyślę na świętego Michała, po żniwach, ale kwotę raczej niewielką, bo handel nie idzie dobrze, a Twój dwór nie przynosi jeszcze znacznych dochodów. Dlatego radzę Ci, Pani, byś w swoich żądaniach była rozważna.*

Ależ on był ostrożny! Irytująco ostrożny!

I tak dni mijały jeden za drugim pod tą wielką ciężką chmurą, która nieodmiennie wisiała nade mną. Mówię o ciemnej chmurze niepewności. Bo cóż ja pocznę, kiedy skończy się dobrodziejstwo królowej? I cóż ja pocznę, kiedy wygaśnie żądza króla lub poczuje ją do innej kobiety? Wieść o potomku niewątpliwie dotarła już do niego, jednak czy to dziecko coś dla niego znaczy? Dziecko i matka...

Przez cały ten czas król ani razu się do mnie nie odezwał, nie przysłał ani jednego listu, ani jednego podarku. Nie przysłał nawet Wykehama, osoby duchownej, by pomodlił się nad mą grzeszną głową. Nic. Cisza. I tę ciszę trudno mi będzie królowi wybaczyć.

Bez wielkiego trudu urodziłam syna. Moje młode, krzepkie ciało dobrze zniosło ból. Tamtego dnia, ponieważ nie miałam nic ciekawszego do zrobienia, siedziałam w kuchni z panią Lacey i pomagałam obrywać owoce z ciernistych gałązek tarniny. I wtedy właśnie odeszły wody. Pani Lacey pomogła mi przejść do mojej komnaty, po czym zjawiała się u mnie akuszerka, która uznała, że czas wcale nie nagli. Jednak jeszcze tego samego dnia trzymałam w ramionach maleńkiego synka.

Ależ krzepkie było to dziecko, o płucach jak kowalskie miechy. Uciszał się dopiero wtedy, gdy przystawiłam go do piersi, bo w ciągu tych pierwszych dni karmiłam go sama, a kiedy ssał, patrzyłam na niego z największym zachwytem. Włoski miał jasne, ale to nie były włosy Edwarda. Policzki puciołowate, okrągłe jak jabłuszka, nosek perkaty, w niczym nie przypominał orlego nosa Edwarda. Może jak malec podrośnie, upodobni się do ojca. Pięknego ojca. Modliłam się przecież, żeby moje dziecko, niczemu przecież niewinne, nie było podobne do mnie.

- Będiesz wielkim rycerzem - szepnęłam do maleństwa, kiedy najeżone zasnęło słodko z główką opartą na moim ramieniu. Kochałam mego synka. Był mój... ale nie tylko. Był także synem króla i wiedziałam, że muszę coś zrobić, podjąć jakieś decyzje, nie bacząc na to, jakie mogą być ewentualne następstwa.

A najlepiej zrobić to od razu. Odszukałam pióro, po które od dawna nie sięgałam, i zasiadłam do pisania listu. Tylko ten list mam wysłać do kogo? Do Edwarda czy Filipy? Po namyśle uznałam, że jednak do Filipy. Matka pisze do matki. Tak, to dobra decyzja. Tyle że jedna z tych matek jest poddaną, a druga królową.

*Najjaśniejsza Pani,  
jestem w dobrym zdrowiu. Dziecko już powiłam, to syn. Nazwałam go Janem.*

*Pokorna służka Alice*

To wszystko, co miałam do powiedzenia. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać. Więc czekałam, a kiedy nadchodziły te godziny najtrudniejsze, godziny największego przygnębienia, oczyma wyobraźni widziałam, jak królowa wrzuca mój list do ognia.

Uratował mnie Edward, a stało się to wtedy, kiedy był już ku temu najwyższy czas. Zjawił się na dobrze mi znanym gniadym koniu, a ja ujrzałam go pod łukowatym dachem nad dziedzińcem przy stajni. Słońce złociło mu twarz, za nim lśniący grzbiet rumaka, a dalej zbrojni. Słyszę łopot królewskiej chorągwi, pochwytyuję błysk rycerskiego żelaza. Ileż to miesięcy minęło, kiedy widziałam go po raz ostatni? A przez ten czas... Cóż, prawda jest taka, że król się postarzał. Moje bystre oko zauważyło

pajęczynę zmarszczek i koło oczu, i przy ustach. Policzki zapadnięte, orli nos wydawał się jeszcze bardziej wydatny, co czyniło królewską twarz bardzo surową. Kiedy zauważył mnie, jak stałam z dzieckiem na ręku w ogrodzie pielęgnowanym przez panią Lacey, uśmiechnął się. Naprawdę takie było nasz powitanie. Uśmiech rozjaśnił marsowe oblicze, a ja pomyślałam, że nie, pomyliłam się. Wcale się nie postarzał, a z konia zeskoczył nadzwyczaj zręcznie, jak młodzik, i ruszył do mnie długimi krokami po zielonej trawie. Wspaniały, pełen życia, jak zawsze. Nie dygnęłam, nawet się nie uśmiechnęłam.

- Alice, moja dziewczyno! Wyglądasz... - Nie dokończył, tylko zaśmiał się tak głośno, że wystraszony kos z furkotem skrzydeł poderwał się z gałęzi tuż nade mną.

I zaraz potem, mimo że stałam sztywna jak kołek, królewskie dłonie spoczęły na mych ramionach, a królewskie wargi na mych policzkach i ustach.

Czyli mego gniewu nie wyczuł.

- A jakże to ja wyglądam? - spytałam, kiedy skończyły się pocałunki, choć doskonale wiedziałam, jaki obraz sobą przedstawiam. Tu, na zapadłej wsi, nie dbałam o to, by wyglądać wytwornie. Miałam na sobie najstarszą z moich sukien, spódnica podwinięta i zatknięta za pasek, rękawy też podwinięte, a głowa odkryta.

- Wyglądasz haniebnie, Alice. Jak wiejska dziewczka!

- Bo nią jestem. Wiejską dziewczką!

- A to jest twój syn... - Król wyjął mi dziecko z rąk. A ja na to:

- Twój też! Nazwałam go Jan.

- Bardzo dobre imię. Lepszego bym nie wymyślił. Wspaniałe imię dla kogoś, kto jest taki mały i bezbronny, nie większy od szczeniaka jednej z moich suk. - Podniósł malca wysoko. Jan, który troszkę marudził, teraz mile zaskoczony, zaczął wydawać radosne piski, a Edward stwierdził: - Widzę, że ma nos Plantagenetów.

- Ja tego nie widzę!

- Więc musisz się dobrze przyjrzeć. - Ostrożnie położył synka w koszu u moich stóp i znów spojrzał na mnie. - Co cię ugryzło, Alice? Jesteś zła jak wiewiórka w potrzasku.



- Nic mnie nie ugryzło! - Ale nie miałam zamiaru być słodka i wzruszać się, że tak się cieszy na widok synka.

Ponownie spojrzał mi prosto w oczy, niewątpliwie zastanawiając się, co powinien zrobić. I zdecydował. Najpierw szesał mi kosmyk włosów z czoła, potem strzepnął kilka grudek ziemi z mego rękawa, a na koniec znów się uśmiechnął.

Boże, zmiłuj się nade mną! - wznosiłam litanie ku niebu.

- Nie uśmiechaj się do mnie!

- A to dlaczego? - spytał już pełen powagi. - Wiem, pani, dlaczego jesteś zła jak osa. Uważasz, że powinienem był wcześniej tu przyjechać... - Naturalnie już otwierałam usta, by zaprzeczyć temu żarliwie, ale Edward nie dał mi dojść do głosu: - I tak powinno się stać!

A temu to nie miałam najmniejszego zamiaru zaprzeczać.

- Oczywiście! Bo ileż to miesięcy minęło, Edwardzie?

- Zbyt wiele. Ale wysłuchaj mnie, Alice. I spójrz wreszcie na mnie! - Pociągnął mnie za rękaw, więc łaskawie zwróciłam się twarzą ku niemu. - Musisz pogodzić się z tym, że nie zawsze jesteś dla mnie najważniejsza. Tak było i teraz, choć oczywiście upewniłem się, że jesteś w bezpiecznym miejscu i masz wokół siebie ludzi, którzy o ciebie dbają. Wiedziałem, że ty i twój syn jesteście zdrowi i niczego wam nie brakuje.

- Ale dlaczego nie przyjechałeś?

Nie odpowiedział od razu, bo najpierw podprowadził mnie kawałek dalej, do niewielkiego wzniesienia porośniętego trawą. Gdy usiedliśmy, Edward, oparłszy się łokciami o kolana, wpatrzony w bujną zieleń rozciągającą się przed nim, wreszcie przemówił:

- Nie przyjechałem, Alice, przede wszystkim dlatego, że umarł król Francji.

O tym królu coś niecoś wiedziałam, wystarczająco przecież długo przebywałam na królewskim dworze. Król Jan podczas wielkiej bitwy poniósł klęskę i był więziony w Anglii do czasu, aż wreszcie jego skąpy kraj zdecyduje się zapłacić za niego okup, do czego jednak nie doszło. Był to człowiek honoru, mówiono też o nim, że zazwyczaj był w świetnym nastroju, a przecież znalazł się w nie najweselszej sytuacji. Wprawdzie nie przebywał w lochu, miał dwór i żył dostatnio, był jednak w niewoli, a Francja chyliła się ku upadkowi.

- Zaczął niedomagać w marcu - wyjaśnił Edward - a po miesiącu wyzionął ducha. Królewskie szczątki kazałem przewieźć do Francji. Jego syn, teraz król Karol V, nie jest zbyt chętny dotrzymać postanowień traktatu z Bretigny, który zawarliśmy z jego ojcem. A ponieważ może to doprowadzić do wojny, teraz układam się z Piotrem, królem Kastylii. Moim zdaniem jego pomoc będzie nam potrzebna. Wojna jeszcze nie wybuchła, ale ciemne chmury zbierają się już nad nami... - Jego głos zamierał, twarz miał bardzo posępną. Nigdy dotąd nie widziałam Edwarda tak strapionego, tak niepewnego swoich racji, przyszłości. - Jestem królem, Alice, a dla króla najważniejsze jest dobro królestwa. To mój obowiązek, święty obowiązek moich poprzedników i następców. Król ma zapewnić Anglii bezpieczeństwo. Rozumiesz więc, że nie wolno mi stawiać ciebie na pierwszym miejscu. Nic tego nie zmienia, ale bardzo chciałem cię zobaczyć, dlatego przyjechałem tutaj. Nie mogłem już dłużej z tym zwlekać.

Mój gniew nieco zelżał. Król nie prosił o wybaczenie, ale wytłumaczył się w taki sposób, bym mogła to pojąć. I oczywiście pojęłam, bo jakżeby inaczej! Usłyszałam wyjaśnienie od człowieka, który niczego nie musiał mi wyjaśniać, bo jest królem. A jednak to zrobił.

- Edwardzie, zostaniesz? - spytałam już znacznie łagodniej, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Ponieważ zwołałem parlament. Księżę Akwitanii musi dostać wystarczająco dużo pieniędzy, by mógł nadal realizować swoją politykę zagraniczną. Tak, to teraz sprawa najwyższej wagi. Ale postanowiłem tu jednak przyjechać...

- I ja, ponieważ nie jestem dla ciebie aż tak ważna jak Anglia, powinnam ci wybaczyć, że dopiero teraz!

Byłam pewna, że się uśmiechnął, wyczułam to. Potem pocałował mnie w czubek głowy, a ja, oddając się bez reszty króciutkiej i jakże egoistycznej przyjemności, natychmiast wszystko mu wybaczyłam. Przecież byłam zachwycona jego widokiem!

- Starczy ci czasu na wypicie kubka piwa? - spytałam już bardzo łagodnie, a nawet musnęłam palcem królewski policzek.

- Naturalnie! Starczy mi też czasu na pocałunek kobiety, która nie patrzy już na mnie tak, jakbym był trędowaty. I ta kobieta pozwoli mi napatrzeć się na mojego syna.

Spędziliśmy ze sobą około godziny w ogrodzie, wśród ziół i pszczoł. Potem król dosiadł konia, a jego świta ustawiła się w szyku.

Wszyscy byli gotowi do wyjazdu, dla mnie jednak jedna sprawa nadal była niewyjaśniona.

- Czy wrócę na twój dwór, panie? Czy królowa zechce, bym wróciła jako jej *domicella*?

- Wątpisz w to? - spytał wyraźnie zaskoczony, jakbym naprawdę niepotrzebnie się obawiała.

- Tak - wyznałam *szczerze*.

- Nie musisz, Alice. Królowa chce, byś wróciła. Bardzo jej ciebie brakuje.

A może Edward wywarł nacisk na oporną małżonkę, by stało się wedle jego woli?

- Kiedy, Edwardzie? Kiedy przyślecie po mnie?

W jego oczach błysnęło. Krewki temperament wyraźnie dochodził do głosu.

- Kiedy?! Kiedy nie będę miał na karku pospółstwa ujadającego z powodu wzrostu cen. A próbujemy teraz ustanowić nowe prawo. Ustalić, co wolno będzie nosić i szlachetnie urodzonym, i pospółstwu. Futro, hafty. Czy pospółstwo powinno...

Mówił bardzo szybko. Poszczególne słowa dosłownie wyrzucał z siebie, czyli musiał być już bardzo zniecierpliwiony.

Ja natomiast postarałam się przemówić głosem jak najbardziej słodkim i niewinnym:

- A co z Janem? Co według twego nowego prawa będzie mógł - albo i nie mógł - nosić królewski bękart?

Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że otwarcie daję wyraz swemu niezadowoleniu. Któraż jednak kobieta lubi być pominięta nawet podczas dyskusji o prawach kodyfikujących? Niemniej bardzo bym chciała, aby Edward zrozumiał, że to żart. I na szczęście tak się stało.

Bo zaśmiał się.

- Na Boga, Alice, jak mi ciebie brak! Kiedy nie ma cię przy mnie, zapominam, co to śmiech.

A ja delikatnie dotknęłam zmarszczek koło jego oczu, bardzo niezadowolona, że tam się pojawiły.

- Bardzo tęsknię za tym, by móc sprawić, żebyś się uśmiechnęła!

- Alice, pamiętaj, naprawdę chcę, żebyś wróciła na mój dwór. Nie wolno ci w to zwątpić!

I odjechał, a ja tak wiele miałam do przemyślenia, i nie były to jakieś tam codzienne błahostki, ale sprawy naprawdę trudne. Nie chodziło tylko o mnie, choć moja przyszłość nadal wyglądała niepewnie. Myślałam też o tym wszystkim, o czym król wspomniał, czym był pochłonięty. Myślałam o wydarzeniach, które niewątpliwie będą brzemiennie w skutkach...

Wróciłam na królewski dwór, ale nie stało się to przy dźwięku fanfar, O nie! Lub, mówiąc realnie, w przyjaznej atmosferze, kiedy ktoś wraca po długiej nieobecności. Wróciłam ukradkiem, czyli tak samo, jak stąd wyjechałam. I ktoś pierwszy pojawił się na mej drodze, by przypomnieć mi, gdzie jest moje miejsce? Naturalnie Izabela, która niewątpliwie była w kaplicy, a po mszy szła przez dziedziniec. Izabela, jak zawsze piękna

I obwieszona klejnotami. Gdyby król Jan miał ich tyle, co ona na sobie, na pewno starczyłoby na okup i mógłby wrócić do Francji, oczywiście gdyby jeszcze żył.

Izabela nadal niezamężna. Podczas mej nieobecności nikt nie prowadził jej do ołtarza, nikt nie poniósł do łóżka, by doznała małżeńskich rozkoszy. Było mi jej po prostu szkoda.

Na mój widok natychmiast, niczym któryś z okrętów Edwarda pod pełnymi żaglami, zboczyła z kursu i podeszła do mnie. A ja stałam już przed schodami wiodącymi do drzwi pałacu.

- A więc wróciłaś do nas - powiedziała, po czym bardzo mocno zacisnęła usta.

Ja natomiast pokonałam kilka stopni i dopiero wtedy, kiedy znalazłam się wyżej od księżniczki, złożyłam ukłon. I milczałam.

- Nikt za tobą nie tęsknił - dodała Izabela, obrzucając mnie bardzo nieprzychylnym spojrzeniem. - Wcale nie wyglądasz lepiej, chociaż już trochę się zaokrągliłaś.

Na twarzy miała nie uśmiech, ale uśmieszek, była bardzo, nawet jak na królewską córkę, wyniosła. Towarzyszyło jej kilka dam dworu królo-

wej, i owe damy wcale nie kryły uśmiechów, niewątpliwie zachwycone uszczypliwością Izabeli, a przy tym z całą pewnością bardzo niezadowolone z mojego powrotu. Tyle że podczas nieobecności na dworze bardzo wydorostałam, a wizyta króla sprawiła, że czułam w sobie siłę i nie miałam najmniejszego zamiaru dać się sprowokować. Ani ustąpić pola. O nie! Stałam, gdzie stałam, i uparcie milczałam. Bo czasami właśnie w milczeniu jest siła.

- Nie masz nic do powiedzenia, pani Perrers? - zagruchała słodko Izabela. - To do ciebie niepodobne! A gdzie jest ten bękart? Czy podobny do mojego ojca? A może do któregoś z kuchcików?

A więc zostałam sprowokowana. I dałam się sprowokować, bo wreszcie coś powiedziałam:

- Brat milady... - to, oczywiście, z naciskiem - ...przebywa pod dobrą opieką w Ardington, we dworze Jego Królewskiej Mości. - Taka była prawda. Zostawiłam tam synka, co było dla mnie niezmiernie trudne, ale zarazem absolutnie konieczne. Edward zarządził wszystkim, wyznaczył dla niego piastunkę, służbę i guwernantkę. Mojemu synkowi niczego nie zabraknie. Kiedy ze łzami w oczach całowałam synka na pożegnanie, powiedziałam mu, że wyjeżdżam, ale nigdy go nie porzucę. Nigdy! A teraz uniosłam głowę jeszcze wyżej, choć i tak stałam już kilka stopni nad księżniczką, i oznajmiłam: - Mój syn jest prawdziwym Plantagenetem. Jego Królewska Mość jest nim zachwycony.

Nozdrza Izabeli rozděły się. Damy gremialnie wstrzymały oddech.

- Pycha przemawia przez ciebie, pani Perrers! Ileż w tobie ambicji! I czegoż to się spodziewasz? Tytułu, a może małżeństwa z kimś bogatym, do czego skłoni go hojność króla?

Na co ja odpowiedziałam od razu, bez chwili namysłu, bo już było we mnie o wiele więcej wiary w siebie:

- Nie spodziewam się niczego poza szacunkiem i uznaniem za moją służbę.

Oczy rozsierdzonej Izabeli rozbłysły, klejnoty zdobiące pierś roziskrzyły się, kiedy odetchnęła głęboko. Usta otwarły się, niewątpliwie miał wypłynąć z nich potok inwektyw. Ale nie wypłynął, bo ktoś temu przeszkodził, a mianowicie kilku młodych dworzan, którzy pojawili się na dziedzińcu od strony stajni, czyli niewątpliwie wrócili z polowania. Łowy musiały się udać, bo byli radzi z siebie, a więc i bardzo głośni.

Kiedy skłonili się księżniczce, usłyszałam, jak Izabela ponownie oddycha głęboko, a przy tym zamarła w bezruchu, jakby coś nagle przykuło jej uwagę. I to coś miłego, bo wyraźnie złagodniała. A nawet uśmiechnęła się, ale bez zwykłej u niej ironii, pogardy czy wyniosłości, tylko inaczej, słodko i czule.

Nic dziwnego, że też zaczęłam przyglądać się młodym ludziom, ogromnie zaciekawiona, który z nich zachwycił księżniczkę. Musi być to ktoś o niezwykle silnym charakterze, skoro udało mu się ujarzmić Izabelę, która odmówiła swej ręki całej rzeszy zalotników z najlepszych europejskich rodów. Niestety żaden z młodych dworzan nie przejawiał zainteresowania księżniczką, tylko rozprawiając o polowaniu, ruszyli do drzwi. I wtedy Izabela, niewątpliwie zapominając, kim jestem, aż jęknęła:

- Jezu! Patrzeć na niego to prawdziwa uczta dla oczu!

- Ale na którego, milady? Na którego?

- Na niego!

Jeden z rycerzy, już w drzwiach, spojrział przez ramię i skinął głową, nic więcej, i podążył za swymi towarzyszami. Na moje oko był to rycerz bardzo młody.

- Nie znam go, milady.

- Bo i skąd? - burknęła, czyli znów była świadoma, z kim rozmawia. - Idź lepiej do królowej i przypomnij o swoim istnieniu. Po twoim odejściu wzięła inną dworkę. Jak więc widzisz, wcale nie jesteś niezastąpiona. Lepiej więc uważaj, pani Perrers.

- Zawsze jestem ostrożna, milady.

Ale cios był celny, bo znów poczułam strach, i to ogromny, bo przecież to od królewskiej pary zależy, jakie życie czeka mnie i mego syna. Kto wie, czy nie będzie to bardzo nędzny żywot. Często o tym myślałam, przesiadując w paradnej komnacie w dworze Ardington. Zastanawiałam się, gdzie będę jutro, gdzie za tydzień, za miesiąc, za rok, i były to bardzo niepokojące pytania. Byłam przecież niczym, zdana na łaskę i niełaskę mego kochanka i jego żony.

Izabela machnęła tylko ręką, jakby odpędzała natrętą muchę, odeszłam więc czym prędzej, a kiedy dogoniłam damy, podążające do komnat królowej, dowiedziałam się od nich, kim jest ów rycerz, któremu księżniczka jest tak przychylna. To Enguerrand de Coucy, jeden

z rycerzy, którzy przybyli do Anglii jako świta pojmanego króla Jana. Został w Anglii, bo nie był pewien, jakie zgotują mu powitanie w kraju ojczystym. Czy był odpowiednim zalotnikiem dla córki Edwarda? Co do tego miałam wątpliwości, ale wiadomo było, że jeśli Izabela się uprze, weźmie go sobie za męża. A jeśli de Coucy zdecyduje się wracać do Francji, zabierze tam przecież swoją żonę...

Od tej chwili modliłam się żarliwie, by pragnienie serca Izabeli spełniło się jak najszybciej.

Królowa siedziała w wielkiej komnacie z nieskończonym haftem na kolanach. Kiedy padłam przed nią na kolana, niezdolna spojrzeć w królewskie oblicze, zapadła cisza, złowroga cisza, bo zapowiadała to wszystko, co najgorsze.

Dopiero po nieskończeniu długiej chwili usłyszałam:

- Alice?

- Tak, milady.

Trzy słowa, z których nie wynikało nic, i dalej czekałam, tak bardzo przejęta, że moje dłonie zaciskały się w pięści.

Kawałek materiału, w połowie pokryty haftem, zsunął się z królewskich kolan.

- Wróciłaś, Alice.

- Tak, milady.

Kolana drżały od klęczenia, ale desperacko napinałam wszystkie mięśnie, by nie okazać słabości.

- Gdzie jest dziecko?

Zabrzmiało to bardzo szorstko, wypowiedziane zostało takim samym tonem jak wtedy, gdy królowa kazała mi zejść z oczu.

- W Ardington, milady.

I nagle ręce Filipy wyciągnęły się do mnie, dłoń objęła mój policzek.

- Alice, spójrz na mnie. Jakże pragnęłam cię zobaczyć! Ostrożnie uniosłam wzrok i ujrzałam, że po policzkach królowej spływają srebrzyste strużki łez.

- Mi... milady - wykrztusiłam, wstrząśnięta tak otwartym ujawnieniem uczuć.

- Wybacz - szepnęła. - Byłam okrutna, wiem, jak bardzo, a przecież to nie twoja wina. Ale nie mogłam inaczej. Chyba potrafisz mnie

zrozumieć. Jest mi niezmiernie trudno przyjąć cię z powrotem, a jednocześnie tak bardzo mi ciebie brakowało. Och... Jak to wszystko boli... - Już nie strużki, a strumienie łez spływały po wymizerowanej twarzy. - Tak, milady.

Naturalnie, że ją rozumiałam, dlatego mogłam pozwolić sobie na wielkoduszność. Nie sposób przecież było nie dostrzec, że my wszyscy, którzy należymy do tego nieszczęsnego trio, borykamy się z gmatwaniną uczuć, a każdy czyni to na własny rachunek w swej samotności. I czego tam nie było? Lojalność, wierność, zazdrość. Miłość i rozpacz. Po wizycie Edwarda w Ardington zastanawiałam się nad tym wszystkim intensywnie, w efekcie czego wiele spraw i problemów lepiej pojęłam, dotarłam do głębi. A w ciągu minionej godziny coś jeszcze stało się dla mnie oczywiste. Obecnie jestem osobą nietykalną! Tak! Izabela może kłuć mnie do woli, a i tak niczego nie osiągnie. Nie jest władna osłabić mojej pozycji. Nawet Filipa nie może się mnie pozbyć, ponieważ musi być posłuszna woli królewskiego małżonka. A Edward przecież chce, bym powróciła na jego dwór.

Kiedy sobie o tym pomyślałam, poczułam coś na kształt triumfu. To uczucie przez króciutką chwilę rozsadzało mi pierś, ale tylko przez króciutką, bo zaraz zawstydziłam się tego uniesienia, kiedy zauważyłam, że z oczu królowej nadal płyną łzy. A Filipa niczym sobie nie zasłużyła na taką udrękę.

Mimo że i ona, i ja w pełni świadomie decydowałyśmy się na ten trójstronny układ, czyż nie tak?

Ucałowałam opuchnięte palce, podniosłam z podłogi robótkę i pomogłam królowej otrzeć łzy. Zrobiłam wszystko, co powinna zrobić *domicella*. Zauważyłam też z wielką przykrością, że królowa w ciągu tych kilku miesięcy mej nieobecności bardzo się posunęła, choroba w swym nieustannym marszu systematycznie ją wyniszczała. Jednak Filipa nadal umiała przywołać na poranej zmarszczkami twarzy uśmiech, choć był to uśmiech przez łzy, dlatego znów poczułam wyrzuty sumienia. A królowa, osoba o gołęmbim sercu, ucałowała mnie w policzek i spytała, jak chowa się mój syn, a potem podarowała mi czerwony jedwab na nową suknię.

I w taki oto sposób gładko, bez trudu wróciłam na swoje miejsce na dworze Filipy. Owszem, trudno było nie chełpić się chociażby przed



samą sobą, że odzyskałam wysoką pozycję, ale nie byłam przecież głupia i doskonale znałam drugą stronę medalu. To prawda, byłam nietykalna, ale tylko do czasu, gdy Edward będzie mnie chciał.

Dworzanie i damy dworu witali mnie ostrożnie, niby z szacunkiem, kiedy jednak zdarzyło mi się spojrzeć w oczy... Co w nich było? Nienawiść? Zazdrość? Po prostu to i to. I tak już niestety będzie zawsze, dopóki Edward będzie żył czy też dopóki obdarzać mnie będzie swoimi łaskami i męskim zainteresowaniem. Wiedziałam przecież, jak zresztą i wszyscy inni, że moja mocna pozycja na królewskim dworze nie będzie trwać wiecznie. Jak długo jeszcze? Mierzyć w miesiącach czy latach? A poza tym... Och Boże, jak ciężko było patrzeć na łzy Filipy. Przecież ją kocham, a ona płakała, bo jej mąż cudzołoży. Cudzołoży ze mną, do czego doprowadziła sama Filipa...

Mnóstwo wątpliwości, mnóstwo myśli niewesołych, ale w tym momencie wszystkie wywietrzały mi z głowy. Bo była to chwila, w której Edward wziął mnie w ramiona i pocałował z żarliwością Plantagenetów.

- Ileż to czasu minęło, Alice!

- Niemało. Ale wróciłam, Edwardzie. Wróciłam do ciebie.

- I już stąd nie odejdziesz.

- Nie, chyba że mnie odprawisz.

- Nigdy tego nie zrobię. Nigdy!

Smukłe palce króla rozplotły me włosy, głaskały po twarzy. Oczy króla, wpatrzone we mnie, roześmiane. Taka właśnie była ta chwila.

- Za długo nie było cię przy mnie, Alice. Za długo!

O tak, za długo. Trudno mi było uwierzyć, że można za kimś aż tak bardzo tęsknić jak ja za Edwardem. Ale wreszcie byliśmy już razem. Jego pocałunki, pieszczoty, miłość, którą obdarzył mnie w łóżu, były jak balsam na mą skołataną duszę, bo wróciłam tam, gdzie powinnam być.

A Izabela? Opuściła nas! Jak to się stało? A tak, że piękna, uparta Izabela, rogata dusza, zakochała się bez pamięci i nie bacząc na upomnienia ojca, słała zalotne spojrzenia i prawiała słodkie słówka rycerzowi de Coucy, który sprawiał jednak wrażenie, jakby nie do końca był przekonany, czy istotnie spotkało go wielkie szczęście. Bo i też nie wiadomo, jak to będzie. Poślubienie angielskiej księżniczki już samo w sobie było wyzwaniem nie lada, a co dopiero kiedy ową księżniczką

jest Izabela, córka groźnego króla Edwarda. Na pewno nie pójdzie jak po maśle.

I nie poszło. Kiedy po raz pierwszy poprosił o rękę Izabeli, Edward wcale nie miał zamiaru dać przyzwolenia.

- Za młody - oświadczył. - A poza tym kim on właściwie jest?

- Mogłabyś się choć raz na coś przydać... - mamrotała bardzo niezadowolona Izabela, podsuwając się do mnie. - Od lat użyczasz swego ciała memu ojcu, mogłabyś więc tym razem wykorzystać jego ucho. Na litość boską, przekonaj go!

A ja w głębi ducha odczułam radosną satysfakcję, gdy zręcznie, nienapastliwie, żeby broń Boże nie rozjuszyć księżniczki, odmówiłam tej prośbie. Wystarczy, że nastroszy te swoje królewskie piórka i będzie musiała przełknąć gorzką pigułkę.

Zadumałam się na moment, po czym tonem głosu przekazując, jak bardzo mi przykro, odparłam:

- Obawiam się, milady, że nie zdołam tego zrobić.

Poza tym, że niby mi przykro, przekazałam najczystsza prawdę. Oczywiście! Bo niezależnie od tego, czy będę się wtrącać, czy nie, król jak zwykle sam podejmie decyzję. I tak też zrobił. W obliczu tak wielkiej desperacji córki uznał, że poniósł sromotną klęskę, i jedno, co mu pozostało, to powściągnąć prawdziwe uczucia odnośnie do tego małżeństwa. Co też uczynił i obdarował de Coucyego tytułem księcia Bedfordu, a także Orderem Podwiązki, wiążąc go w ten sposób z Anglią, z jej interesami. Ślub odbył się w miesiącu odpowiednim, czyli w czerwcu, na zamku Windsor, z największym przepychem, do którego udało się Izabeli namówić ojca, który płacił za wszystko z królewskiej szkatuły. A w listopadzie młodzi małżonkowie wyjechali do Francji.

Niestety, małżeństwo wcale nie stępiło języka księżniczki, która tak oto zagadała do mnie:

- Mam nadzieję, że kiedy przyjadę w odwiedziny, ciebie już tu nie będzie!

Na co ja:

- Czyżby? Wcale nie byłabym taka prędką założyć się nawet o najwspanialszy prezent ślubny, który dostaliście od Edwarda! - Owszem, śmiało, ale grzecznie, utrzymane w ramach dworskich potyczek słownych. Ale że śmiało, to było dla mnie bardzo ważne. Nauczyłam się

starannie ukrywać swe lęki i wypowiadać otwarcie, oczywiście gładko, w ramach obowiązującej etykiety, jak na damę przystało, ale w razie potrzeby nawet dosadnie.

Po twarzy Izabeli przemknął uśmiech.

- Ja również nie byłabym do tego taka chętna... A wiesz, Alice, wcale nie jestem pewna, czy na obczyźnie nie zatęsknię za twoim ciętym językiem.

A więc proszę... Czyżby coś w rodzaju komplementu? Chyba nie, bo zaraz usłyszałam:

- Modłę się, byście nie hodowali więcej bękartów.

Żart? Jeśli tak, to bardzo niemiły i zbyt dosadny jak na etykietę. Ale cóż, taka właśnie była księżniczka.

No i wreszcie wyjechali, Izabela ze swoim ukochanym pięknym małżonkiem opuścili Anglię. Czas mijał, a kiedy rok miał się ku końcowi, pomyślałam, że jednak brak mi tej rogatej duszy, brak mi pięknej, upartej i nieokiełznanej Izabeli. Bez niej na dworze królewskim zrobiło się inaczej, smutnie, po prostu szaro...

Nastał rok 1366, o którym trudno będzie zapomnieć. Wyjątkowo ostra zima dała się wszystkim we znaki. Ucierpiał i dwór królewski, ucierpiało i pospólstwo. Wtedy też, podczas tej zimy, zmieniło się coś między mną a Edwardem. Bo to nie był już ten sam Edward, zwykle pogodny, przyjazny, otwarty na innych. Siarczasty mróz trzymał od września aż do kwietnia, więc o polowaniu, ulubionej rozrywce Jego Królewskiej Mości, nie było mowy, z tego też powodu Edward prawie zawsze był w kiepskim nastroju, wręcz ponury. Przyczyniał się też do tego stan zdrowia Filipy, która cierpiała tak straszliwie, tak bardzo dręczył ją ból, że już w ogóle nie opuszczała łoża i z każdym dniem coraz więcej nie tylko rozmyślała, ale i mówiła o zbliżającej się śmierci. Tylko Izabela mogłaby wnieść trochę radości do jej smutnej egzystencji, ale przecież księżniczki nie było z nami. Przebywała we Francji, gdzie zaznawała radości macierzyństwa. A Edward, obecnie wciąż posępny, na niewiele mógł się Filipie przydać.

Podczas tych trudnych miesięcy oczywiście ze wszystkich sił starałam się rozweselić Edwarda i czymś zająć, niestety z mizernym skutkiem.

- Może masz ochotę poczytać? Przyniosę ci jakąś książkę.
- Nie.
- Edwardzie, w takim razie może ty mi poczytasz?
- Nie.
- Zagramy w szachy? Albo w tę głupią grę, w młynka?
- Nie.
- Ziemia przemarznięta, ale koniom dobrze zrobi, jak trochę po-  
biegają. Przejedźmy się brzegiem rzeki, weźmiesz sokoły. Co ty na to,  
Edwardzie?
- Nie.
- Edwardzie, cały dwór, żeby nie umrzeć z nudów, śmiga na łyżwach  
po Tamizie! Może też miałbyś ochotę? - Słońce właśnie wyrzało zza  
chmur, ponura zima nabrała uroku, dlatego nalegałam: - Chodź,  
Edwardzie. Przecież możesz na jakiś czas oderwać się od tych doku-  
mentów!
- Idź sama, Alice - burknął. - Mam za dużo na głowie, żeby zawracać  
ją jeszcze czytaniem albo jazdą na łyżwach!

A więc poszłam, tyle że sama. Nauczyłam się jeździć na łyżwach, uwielbiałam śmigać po lodzie i śmiać się w głos. Byłam przecież jeszcze bardzo młoda, upajałam się szybkością i cudownym poczuciem wolności.

W najzimniejsze dni zwabiałam Edwarda do łóża. Owszem, przy-  
chodził, całował mnie... i na tym koniec. Myślami był bardzo daleko, a  
męski wigor gdzieś się zapodział. Czasami prosiłam, by usiadł przy  
mnie i przytulił się, a ja czytałam mu na przykład opowieści o królu Ar-  
turze i jego rycerzach. Czytałam, aż wreszcie Edward zamykał książkę  
i oświadczał, że ma dość już tych głupich bajek o rycerzach i ich czaro-  
dziejskich mieczach.

Często wzywał do siebie Wykehama i kazał opowiadać, jak idzie  
wznoszenie nowej budowli. Wykeham jak zwykle zdawał bardzo wy-  
czerpującą relację, a Edward niby słuchał, miałam jednak wrażenie, że  
tylko jednym uchem.

Wcale nie był spragniony mego towarzystwa. Czy mogłam go za to  
winić, czuć do niego urazę? Oczywiście, że nie, bo już pojęłam, że dla  
człowieka, który dźwiga tak wielki ciężar władzy, nie mogę być  
zawsze najważniejsza. A król miał wystarczająco wiele powodów, by  
w jego

duszy czaił się mrok. I było mi go bardzo żal, kiedy wydarzyło się właśnie to.

A zaczęło się od tego, że Edward, książę Walii, pan Akwitanii, skłonił ojca, by dał pieniądze na nową wyprawę wojenną, której celem było pomóc Piotrowi z Kastylii odzyskać tron. Wykeham ostrzegał wielokrotnie przed wyprawą wojenną w środku srogiej zimy, król jednak puszczał to mimo uszu, jakby teraz, w jesieni żywota, raptem zapragnął znów być zdobywcą. Wymusił na parlamencie odpowiednie fundusze, zwołał rycerzy i zaciężnych, a wodzem tych wojsk mianował innego syna, Jana z Gandawy, który razem z Czarnym Księciem miał ruszyć na Kastylię od strony Akwitanii i pomóc prawowitemu władcy odzyskać tron. I przynieść chlubę Anglii.

- Co o tym sądzisz, Alice? - spytał, kiedy siedzieliśmy przy kominku, Edward rozparty w fotelu, ja na kobiercu, u królewskich stóp.

Zamyślony i smętny popijał piwo, a to pytanie niewątpliwie zadał mimochodem, bo cóż go obchodziło, co ja o tym myślę. Ale spytał, a moim zadaniem, jak wiadomo, było powiedzieć coś miłego, by choć trochę się rozchmurzył.

- Co ja sądzę, Edwardzie? A to, że jesteś najpotężniejszym królem wśród chrześcijan!

- Jesteś pewna zwycięstwa Anglii?

- Całkowicie pewna!

- I nadal będę uważany za człowieka, który dzierży władzę nad całą Europą tą oto ręką? - Uniósł zaciśniętą pięść.

Sznury grubych ścięgien rozpychały skórę. Dumna, silna pięść, ale cóż... Wieku nie da się ukryć. Wystarczy spojrzeć na głowę króla. W półmroku komnaty resztki złocistości znikły, włosy króla wydawały się już tylko srebrzyste.

- Naturalnie, Edwardzie! - zawołałam z pełnym przekonaniem.

- Jesteś dla mnie taka dobra, Alice. - Wreszcie się uśmiechnął.

A ja wzięłam w dłonie tę dużą, silną pięść i każdy zaciśnięty królewski palec pogłaskałam, potem obdarzyłam pocałunkiem. Cóż innego mogłam zrobić? Jak podtrzymać na duchu? Tylko dobrym słowem i pieścizotą, bo moja wiedza o sprawach wojennych i pozycji Anglii w zamorskich krajach była bardzo skąpa.

O tym, co działo się w ciągu kilku następnych tygodni, dowiadaliśmy się od Wykehama.

Nasze nacierające wojska, nękane przez sztormy i brak żywności, zostały zdziesiątkowane, a nawet o wiele gorzej, bo pomniejszone o połowę, przy czym nie zdobyto żadnych łupów ani nikogo nie wzięto do niewoli. A Edward nie miał żadnych możliwości, by zmienić bieg wypadków. Mógł tylko siedzieć w komnacie i rozmyślać albo przemierzać niespokojnym krokiem sale i korytarze pałacu Havering, a cała ta wojna nadal spoczywała w rękach jego synów. Z powodu beczynności i w dzień, i nocą cierpiał prawdziwe męki. Dlaczego więc nie pojechał tam, by poprowadzić dalej to, co sam zaczął? Ponieważ zdawał sobie sprawę z ubytku swych sił. Wiedział, że dni jego potęgi są policzone, a przyszłość należy do jego synów. Bardzo bolał nad swoją starością, nad tym, że nie może już czynnie przysłużyć się sprawie Anglii.

A co działo się w Irlandii? Tam hegemonia Anglików zdawała się tonąć w słynnych irlandzkich grzęzawiskach, a to za sprawą syna Edwarda, Lionela, który rządził bardzo nieudolnie. Edward przeklinał go, a Filipa rozpaczała i płakała, rozpaczała i płakała...

Tak było przez całą tę długą zimę.

A jak wiodło się Alice Perrers? Otóż nadal stąpała po bardzo kruchym lodzie, w każdej chwili mogła stracić wszystko. I niestety lód pękł, bo doszło do całkowitego załamania w moim związku z Edwardem. Stało się to dzięki mnie, a przyczyną byłam ja. Zrobiłam to z rozmysłem.

Pod koniec roku Edward, który miał już dość zimnych komnat rezydencji w Havering, oznajmił, że wyjeżdża do Eltham, w związku z czym Filipa uznała, że ma pojechać tam cały dwór. Owszem, drżała na samą myśl o podróży lektyką, jednak podjęła tę decyzję. Wprawdzie lektyka była wyścielona najmiększymi poduszkami, jednak dla Filipy była to nie podróż, lecz męczarnia.

- W Eltham jest inaczej. Tu Edwardowi brakuje przestrzeni, a tam zamek wielki i pusto wokół. Jestem przekonana, że poczuje się lepiej, tym bardziej że niebawem na pewno nadejdą lepsze wieści z Gaskonii.

Niestety, mimo tej dali i przestrzeni, a także mimo wyzwania, jakim było zakładanie nowych ogrodów i winnic, prawdziwej dumy

króla, Edward wcale nie poczuł się jak nowo narodzony. Podobnie jak w Havering, spędzał czas głównie na błakaniu się po wielkich salach i długich korytarzach zamku Eltham, a cierpliwości starczało mu tylko dla Filipy. Bo poza tym nieodmiennie był ponury i rozdrażniony, jak choćby teraz, gdy szykował się do wyjazdu na polowanie. Bo psy muszą pobiegać po dworze. A że mróz i ziemia zmarznięta? Niedobrze, kiedy konie idą po grudzie!

Nic im nie będzie! Poganiał i łajał bezlitośnie chłopców stajennych, jego zdaniem bardzo powolnych, a przecież srodze się starali, tylko palce im zgrabiały od mrozu.

Na mnie też pokrzykiwał:

- Jedziesz ze mną! Chcę mieć cię przy sobie!

Więc czekałam przed stajnią, dygocząc z zimna, kiedy Edward słu-chał, co prawił mu posłaniec, który nadjechał przed chwilą. Kilka dni wcześniej Edward w nagłym przypływie dobrego humoru podarował mi futro z soboli, mięciutkie cudo, które miałam oczywiście na sobie, ale nie zdało się na nic. Wiatr był tak lodowaty, że dygotałam, jakbym miała na sobie tylko jedwabną suknię.

- Ruszamy! - krzyknął król tak samo zniecierpliwiony jak sfora psów.

- Na co jeszcze czekasz?

- Wybacz, milordzie, ale Jej Królewska Mość bardzo niedomaga. Powinnam być przy niej.

Nie była to tylko wymówka. Podróż do Eltham jeszcze bardziej nad-szarpnęła wątłe siły królowej. Cierpiała tak bardzo, że nie pamiętałam już, kiedy po raz ostatni udało jej się zasnąć bez wywaru z maku.

- W południe będziemy z powrotem!

- O Jezus... - wymamrotałam. - Jaki ziąb...

- A więc zostań. Nie będę ciebie do niczego zmuszał - burknął król i wskoczył na konia. Musiał być bardzo zły, czyli posłaniec nie przy-niósł dobrych wieści.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy istotnie nie zostać. Niech sobie sam jedzie z tymi swoimi humorami. Ale potem pomyślałam, że nie, bo może właśnie dlatego, że jest taki zły, powinnam być przy nim. I po-jechałam na to polowanie, czego oczywiście gorzko żałowałam. Wcale nie jest miło wracać w zabłoconej sukni i mokrej koszuli z lodowatymi stopami. A już palców to w ogóle nie czułam. Do tego polowanie oka-

zało się porażką. Nic dziwnego, przecież w taki mróz wszystko, co ma przynajmniej odrobinę oleju w głowie, zapada się pod ziemię. Niczego nie upolowaliśmy, i wielka szkoda, bo przydałoby się mięso chociażby dla psów. Wróciliśmy więc z pustymi rękami i przemarznięci do szpiku kości, a Edward był w nastroju równie kiepskim, jak przed polowaniem.

Ja też byłam ponura jak chmura gradowa, ponieważ podczas nie-szczęsnego polowania król nie odezwał się do mnie ani słowem. Raz tylko krzyknął, bo odstawałam w galopie, a pędziliśmy, skoro psy ponoć wreszcie coś wyczuły, co należało oczywiście między bajki włożyć. Po powrocie do zamku, kiedy zganiane i złane potem konie zabrano do stajni, poszłam oczywiście za Jego Królewską Mością, który po wejściu do sieni ściągnął rękawice i rzucił mi je, potem cisnął we mnie kapturem i grubym, ciężkim płaszczem, a potem, nie oglądając się za siebie, podniósł władczo rękę, w bardzo królewski sposób dając do zrozumienia, że mam iść za nim.

I wtedy poczułam, jak wzbiera się we mnie bunt. Naturalnie także rozpacz, bo takie zachowanie świadczyło, że dla Edwarda nie znaczę już nic. Stałam obładowana kapturem i płaszczem i patrzyłam, jak Jego Królewska Mość oddala się coraz bardziej, sadząc przed siebie długimi, zdecydowanymi krokami. Czułam coraz większy ucisk, było już mi niedobrze z tego zdenerwowania. Bo jakże to tak?! Czyżbym była już dla niego tylko służką, co ma przynieść i wynieść, na którą wystarczy skinąć, bo szkoda trudu się słowem? Jeśli tak, to znaczy, że koniec z faworytą. Jeśli król już mnie nie pragnie, będę znowu tylko damą dworu, i to taką całkiem byle jaką, ostatnią w szeregu dam. Jak ja to zniosę?

O Panno Przenajświętsza! Już widziałam te roześmiane twarze, kiedy cały dwór radować się będzie z powodu mojego upadku. Och nie! Tak nie może być! Już na samą myśl, że Edward mnie odtrąci, a moje miejsce w jego łożu zajmie inna kobieta, czułam, jak wszystko we mnie zamiera. Bo cóż się ze mną stanie? Będę musiała opuścić królewski dwór i nigdy już tu nie wrócę. Będę dożywać swoich dni z dala od Ich Królewskich Mości, zapomniana przez wszystkich, po prostu takie nic, bo przecież stracę wszystko, co zdobyłam od tamtej pamiętnej chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg Havering-atte-Bower.



Nie, nie wolno mi do tego dopuścić! Za nic w świecie! Zebrałam się w sobie, ucisk w dołku poszedł w zapomnienie. Byłam już pełna determinacji, gotowa do walki. Walki o swoje.

Edward przeszedł przez wielką sień. Kiedy znalazł się przy schodach wiodących do królewskich komnat, musiał sobie uzmysłwić, że nie słyszy za sobą moich kroków. Przystanął, odwrócił się do mnie, a ja nawet z takiej odległości widziałam, że szczęki miał mocno zaciśnięte.

Póki nie zawołał:

- Alice! - A ja ani drgnęłam. - Alice! Co z tobą, dziewczyno?

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, co odpowiedzieć, naturalnie coś rozsądnego i zręcznego, ale kiedy ta chwila minęła, doszłam do wniosku, że rozsądek i zręczność niech diabli wezmą. I milczałam, dalej nie ruszając się z miejsca, gdy król wstępował już na schody.

- Alice! Nie stój tak. Chodź! Bo zimno tu! Wtedy otworzyłam usta.

- Zimno? Tylko tyle masz do powiedzenia?

Znów przystanął i zwrócił się ku mnie twarzą. Szczęki, owszem, nie były zaciśnięte, za to w oczach migotały gniewne błyski.

- Chodź! Chcę, żebyś była przy mnie.

W wielkiej sieni z łukowatym sklepieniem oprócz nas nie było nikogo. Nikt nie mógł nas usłyszeć, dlatego mogłam podnieść głos, i to niemal do krzyku. Zrobiłam to, bo kipiałam ze złości i szczerze mówiąc, nawet gdyby był tu teraz tłum ludzi, też nie odezwałabym się szeptem.

- Nie!

- Chcę napić się wina.

- Czyżby Jego Królewska Mość nie potrafił sam napęłnić sobie kubka? Jeśli nie albo nie ma na to ochoty, czy nie może wezwać pazia, by mu usłużył? Bo ja na pewno nie.należę!

Edward patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby nie dowierzał własnym uszom. Ja również swoim nie dowierzałam. Byłam królewską faworytą bez mała od trzech lat i nigdy nie ośmieliłam się przemówić do władcy Anglii tak zuchwale. Ale też i nigdy dotąd nie było ku temu powodu, dopiero teraz się zdarzył. Dlatego pozwoliłam sobie wybuchnąć. Król niewątpliwie też już był na granicy wybuchu, bo twarz jego spurpurowiała.

Wtedy zadrżałam, ale oczywiście nie dlatego, że nogi miałam oblepione obrzydliwie mokrą i paskudnie zimną spódnicą.

Król nie wybuchł, było jeszcze gorzej, bo głos miał lodowaty:

- Pani Perrers, chcę, żebyś była teraz ze mną.

- Nie, panie, nie będę. I jestem ogromnie zdziwiona, że raptem zapraszasz mnie do siebie, kiedy przez cały dzień mnie lekceważysz. Najpierw każesz czekać mi w nieskończoność na tym mrozie. Cud, że moje stopy nie przymarzły do dzięzińca! Każesz jechać na polowanie, kiedy było oczywiste, że jest ci wszystko jedno, czy poluję razem z tobą, czy nie, ale nie pozwoliłeś mi wrócić do cierpiącej królowej! Mogłam się opierać, ale nie zrobiłam tego. Zdecydowałam, że skoro tak nalegasz, pojedę na to polowanie. I pojechałam. A teraz ponownie sama podejmuję decyzję. Nie będę teraz z tobą, tylko pójdę usłużyć Jej Królewskiej Mości! - Uf, skończyłam i z bijącym sercem czekałam na odpowiedź.

Odpowiedź jakże istotną, skoro z mojej strony nie był to jakiś kaprys czy dziecięcy upór. Nie, bo zrobiłam to z rozmysłem. Zdecydowałam się na bardzo niebezpieczną rozgrywkę, wszak obudziłam drzemiącego lwa Plantagenetów.

Oczy króla ciskały błyskawice, gdy gniewnym krokiem pokonywał dzielącą nas odległość. A gdy już ją pokonał, to stanął tuż przede mną taki wielki i groźny. O Matko Przenajświętsza! To już nie Edward, o nie! To król, i to król rozsierzdony, który złapał mnie za rękę, jedną z tych, co tuliły do mej piersi wielki, brudny płaszcz. Złapał bardzo mocno, jakby nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły.

- Na rany Chrystusa! Alice!

- Na rany Chrystusa! Edwardzie! - A tak, też powołałam się na Najwyższego.

I zamilkłam. Zapanowała cisza przytłaczająca i złowroga, jak lśniące ostrze miecza.

- Masz być mi posłuszna.

- Bo jesteś królem?

- A jest jakiś inny powód?

Oczywiście, że cała się trzęsłam jak bezradny liść na najbardziej porwistym wietrze, ale tylko w środku, bo na zewnątrz byłam inna i ze spokojną miną wytrzymałam wzrok króla i spytałam:

- Czy ktokolwiek ci się już kiedyś sprzeciwił, panie?

- Nie. I ty też tego nie będziesz robić. Śmiesz podważać mój królewski autorytet?

Jego palce zacisnęły się na moich jeszcze mocniej, a ja nawet nie jęknęłam. Mało tego, udało mi się unieść głowę jeszcze wyżej.

- Nie, Wasza Królewska Mość, nie podważam twojego autorytetu, tylko przeciwstawiam się bucie, panie!

O Boże, ależ zabolalo! Niemal zmiażdżył mi palce. Ale ja, nadal nieugięta, nawet nie syknęłam.

- Chcesz wymusić na mnie posłuszeństwo, panie, zadając mi ból?

- Ból?

- Tak! Twoje królewskie palce omal nie pogruchotały mi palców. Wtedy naturalnie zwolnił uścisk, ale ręki nie puścił.

Gdybym była tamtym siedemnastoletnim dziewczęciem, które stawia pierwsze kroki na królewskim dworze, do głowy by mi nie przyszło sprzeciwiać się woli Jego Królewskiej Mości. Ale już tym dziewczęciem nie byłam i woli Edwarda nie miałam najmniejszego zamiaru ulegać, i to za żadne skarby świata, choć oczywiście zdawałam sobie sprawę, że igraszkuję z ogniem, i czy zapłacę za to srogą cenę, zależy tylko od tejże królewskiej woli. Edward może mnie odprawiać, może kazać Filipie zrobić to samo. Może, ale nie sądziłam, że do tego się posunie, bo nie byłam już siedemnastoletnim dziewczęciem, lecz kobietą dojrzałą i matką jego syna. I właśnie to dawało mi siłę. Matkę swego dziecka nawet król powinien uszanować.

Niestety nie, bo huknął na mnie:

- Śmiesz mi się sprzeciwiać, kobieto?!

- Tak, panie, a to w sytuacji, gdy wobec mnie zachowujesz się jak prostak, a ponadto wykazujesz się brakiem rozsądku. Nie było mnie przy królowej przez cały dzień, a jestem przecież jej damą dworu. Bo ja nie jestem... - tu pozwoliłam sobie na króciutką chwilę zawiesić głos -...tylko twoją nałożnicą, panie.

Skończyłam i szeroko rozpostarłam ramiona, by wielki, brudny królewski płaszcz mógł swobodnie opaść na posadzkę, u moich stóp. I stóp króla. A potem zsunęłam z ramion futro. Sobole opadły na płaszcz, a ja wyminęłam króla i wstąpiłam na schody, udając się na górę, władcę Anglii pozostawiając w dole nad skłębionym drogim aksamitem i jeszcze droższym futrem spoczywającymi na zabłoconej posadzce.

Kątem oka zauważyłam, że w drzwiach pojawił się paź, a ja dalej spokojnie szłam po schodach. Dopiero na ich szczycie zdecydowałam się spojrzeć w dół. Król nie ruszył się z miejsca, tylko stał tam dalej wielki i nieruchomy jak dąb. Ręce oparł na biodrach, a oczy naturalnie wlepił we mnie.

Na co skłoniłam się bardzo wdzięcznie i przemówiłam, a mój głos był donośny, bo zadbałam o to, by na pewno dotarł do królewskich uszu:

- Na dworze nie brakuje kobiet, które z ochotą dotrzymają ci towarzysztwa, panie, i to bez względu na to, w jakim jesteś nastroju. To futro możesz podarować którejś z nich, bo ja na pewno już go nie włożę.

I nie czekając na odpowiedź, umknęłam, bo wcale nie byłam ciekawa, czy sam podejmie z posadzki płaszcz i futro, czy robi to paź.

Och, nie ukrywam, że kiedy zamykałam za sobą drzwi do mojej komnaty, to po prostu umierałam ze strachu. Jakżeby inaczej! Przecież było bardzo prawdopodobne, że właśnie sama zniszczyłam wszystko, i to bezpowrotnie. Edward nigdy nie uwolni się od strasznej melancholii, a ja z dnia na dzień przestanę być królewską faworytą.

Zrobiłam więc, co zrobiłam, i mogłam już tylko czekać. Oczywiście daleko mi było do stoickiego spokoju i czystego sumienia, a król od razu dał mi odczuć, jak bardzo jest ze mnie niezadowolony. Na polowanie pojechał sam, wcale nie pragnąc mego towarzysztwa, a kiedy pojawiał się w komnacie królowej i byłam tam również ja, machał niecierpliwie ręką, każąc mi się oddalić, i to natychmiast. Ma się rozumieć, że o dzieleniu łóża nie było mowy. A poza tym... Cóż... Nie ma co się oszukiwać. Bardzo tęskniłam za tym sobolowym futrem.

Damy dworu plotkowały zawzięcie, zachwycone, że król tej Perrers do swego łóża już nie zaprasza. Królowa na pewno była zaniepokojona, lecz o nic nie pytała, przecież w tym naszym trio obowiązywała dyskrecja. Ale nie pytała tylko do czasu, bo kiedy atmosfera stała się już całkiem nieznośnie napięta i wiało jeszcze większym chłodem niż na omiatanych zimowymi wichrami polach, po prostu nie wytrzymała:

- Alice, powiedz, posprzeczaście się z królem?

- Nie, milady. - Przecież nie była to kłótnia, prawda?

- Uraziłaś go czymś?

- Chyba tak. - Och, niewątpliwie.
- Jest bardzo niespokojny.
- Tak, milady.
- Może powinnaś go przeprosić?
- Nie, milady.

Po tej krótkiej rozmowie królowa poniechała dalszych prób pojednania mnie z królem, a ja czekałam na dalszy bieg wypadków. Łatwo się domyślić, że byłam coraz bardziej zaniepokojona, choć jako doświadczona już dworka nie chodziłam naburmuszona czy smutna. O nie, no co by to dało? Edward na pewno by się nie ugiął, widząc, jak jestem rozżalona, a damy skakałyby z radości, że poniosłam klęskę. Dlatego zawsze byłam bardzo opanowana i pogodna, choć tam, w środku, był strach i nieustannie wyrzucałam sobie moją głupotę. Edward był królem. Nic mi nie zawdzięcza, bo królowi wszystko się należy. A ja wykazałam się straszliwym brakiem rozsądku i mogę tylko modlić się gorąco, by okazało się, że jednak nie przegrałam mojej przyszłości.

Tak było przez niemal cały tydzień.

A siódmego dnia wieczorem, kiedy szykując się do snu, rozczesywałam włosy, usłyszałam ciche stukanie do drzwi. Pomyślałam, że to Wykeham z wieścią od króla, który raptem zapragnął, bym dzisiejszej nocy sprawiła mu uciechę. Niestety, uciechy akurat nie były mi w głowie, więc kiedy tylko drzwi się uchyliły, zaczęłam protestować:

- Ale ja nie... - Lecz dalsze słowa uwięzły mi w gardle.

Ale cóż się dziwić, skoro za progiem ukazał się nie Wykeham, lecz Edward z moim wspaniałym sobolowym futrem przerzuconym przez ramię.

Naturalnie od razu przykucnęłam w głębokim dworskim ukłonie. Głowa spuszczone, by ukryć twarz. Jego Królewska Mość osobiście pofatygował się do mej komnaty! Czyżby miało się stać to, czego obawiałam się najbardziej? Odprawi mnie? A te sobole to podarek na otarcie łez?

Nie śmiałam unieść głowy, bojąc się tego, co zobaczę, tego, co wypisane jest na królewskiej twarzy. Po chwil jednak uniosłam wzrok, uznając, że zamiast cierpieć męki, lepiej wiedzieć od razu, co człowieka czeka. Niestety twarz Edwarda, mistrza w pertraktacjach, była całkowi-

cie pozbawiona wyrazu. Chociaż jednak można było z niej coś wyczytać. Zostanę odprawiona spokojnie, na chłodno, a nie w gniewie, tym gniewie, który spadłby na mnie, gdybym znów okazała brak szacunku dla koronowanej głowy. Okazywałam go więc całą swoją postawą.

- Wpuścisz mnie? - spytał surowym tonem. - Bo uważam, że trudno wymagać od króla, by po raz drugi w całym swym życiu musiał roztrząsać swoje osobiste sprawy w miejscu, gdzie jego poddani mogą go zobaczyć i usłyszeć.

Podeszłam więc do drzwi i otworzyłam je na oścież, ale król, mimo że z natury bardzo niecierpliwy, progu nie przekroczył, tylko podał mi futro ze słowami:

- Jest twoje, pani. - Owszem, wspaniałe futro odebrałam i rzuciłam na skrzynię, jakby znaczyło dla mnie tyle co nic. I milczałam, ale król nie:

- Postąpiłem źle, pani. Byłem wobec ciebie bardzo nieuprzejmy.

- Nadal nie otwierałam ust. - Przyszedłem prosić cię o wybaczenie.

Może i tak, ale zabrzmiało to nie jak prośba, lecz rozkaz. Rozkaz! Dlatego wreszcie otworzyłam usta:

- Królowi wolno wszystko. Także być nieuprzejmym i żądać, by mu wybaczone. - Niczego nie żądam.

- Czyżby? - Skrzyżowałam ramiona na piersiach.

- Pani Perrers... - Przekroczył próg i niecierpliwie trącił łokciem drzwi, które zamknęły się z dość głośnym trzaskiem. - Bez wątpienia zarzucisz mi, pani, że jestem zbyt dumny, a wolałbym, żeby inni tego nie słyszeli. - Tak powiedział, a potem... Potem przyklęknął na jedno kolano! - Proszę, wybac, że zachowałem się po prostacku, a nie jak na rycerza przystało.

Wyglądał przepięknie, jak rycerz na rycinie, rycerz klęczący przed damą swego serca. Tak klęczał król Anglii przede mną, ubrany wytwornie, po królewsku, by zrobić na mnie wrażenie. Nie tylko ukląkł, ale także pocałował mnie w rękę.

- I jak, pani Perrers? Długo jeszcze będziesz trzymać mnie w niepewności? - Nie, wcale nie powiedział tego łagodnie, jak kochanek do kochanki, tylko był wyraźnie zirytowany. - Brakowało mi ciebie!

- dodał podniesionym głosem. - Bardzo brakowało, a przecież nie powinno tak być! Jesteś nieduża, taki drobiaźdzek, ot, kawałeczek dziewcz-

czyny, a mimo to strasznie za tobą tęskniłem. A ty, wśród tych przeklętych dam mej żony, słałaś mi złe spojrzenia albo w ogóle na mnie nie patrzyłaś.

- A ty zawsze kazałaś mi wyjść z komnaty!

- Wybacz, nie powinienem był tego robić.

- Poza tym nie jestem żadnym kawałeczkiem dziewczyny czy jakimś drobiażdżkiem, tylko matką twego dziecka!

- Przecież wiem, Alice...

Aha. Czyli już nie „pani Perrers”.

- I nie jestem tylko twoją nałożnicą. Daję ci coś więcej niż tylko uciechy cielesne, czyż nie tak? Miałam nadzieję, że tego właśnie ode mnie oczekujesz, panie.

- Tak! Na Boga, Alice, zlituj się wreszcie się nade mną! Wiem, że postąpiłem źle.

- Oczywiście! Mógłbyś te słowa wyjąć z mych ust.

Król puścił moją rękę, ale nie wstał, tylko rozpostarł szeroko ramiona.

- Nauczyłem się czegoś, dla ciebie, Alice, jak głupi trubadur wielbiący damę swego serca... - Położył tam rękę, jakby naprawdę był usychającym z miłości trubadurem, i ze śmiertelną powagą wygłosił wiersz może nie najwyższych lotów, ale nabrzmiały treścią. Smutną treścią, bo o przemijaniu, o młodości, która nigdy już nie wróci:

*Łaskawy los mi sprzyjał, O nic zabiegać nie musiałem, Gładki na twarzy i w obejściu, Wszystko co chciałem, to miałem.*

*Na czole z wawrzynu wieniec, Dotarłem na szczyt postumentu, Lecz młodość już tylko wspomnieniem, Z kwiatów opadają płatki...* Nagle urwał i zawołał:

- Do diabła z wierszami! Nigdy nie byłem gładki w obejściu! - A po chwili dodał: - Nic mnie nie usprawiedliwia, ale proszę, okaż chociaż zrozumienie.

Ale mnie nie tak łatwo było omamić, więc rzuciłam z sarkazmem:

- Plantagenet? Prosi?

- Och, Alice! Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności.

- Jakżebyś śmiała, panie. - Delikatnie i z wdziękiem, jak dama, której rycerz właśnie wyznał miłość, dotknęłam jego ramienia, dając do zrozumienia, że ma powstać z kolan.

- I jak, Alice?

- Wybaczam ci, panie, bo takiemu rycerzowi nie potrafię się oprzeć.

- Chwała Bogu!

Wstał i objął mnie powoli, ostrożnie, jakby brał w ramiona najcenniejszy skarb z kruchego szkła. Albo też obawiał się, że go jednak odepchnę. Jego wargi na mych ustach, zrazu chłodne, rozgrzewały się w żarliwym pocałunku, a ja już mięknę, już topnieję. A ciało króla zaczyna gorzeć...

Tak bardzo stęskniony... Ja też!

Wycałował mnie, potem oparł się brodą o moją głowę i gdzieś tam w górze wyszeptał:

- Chcę ci coś podarować... Jakiś klejnot. Dałaś mi przecież syna, dar bezcenny. Powinienem okazać ci wdzięczność!

- Nie. Klejnot nie.

- Nie? A więc co?

Ta myśl pojawiła się nagle, lecz nagle tylko w tamtym momencie, bo już od jakiegoś czasu zalegała w mojej głowie. Och, przecież od dawna doskonale wiedziałam, czego tak naprawdę chcę.

- Daj mi ziemię, panie, razem z domostwem.

- Ziemię?

- Tak.

- Więc tego chcesz... - Podumał przez chwilę, po czym powiedział z uśmiechem: - Skoro taka twoja wola, to dostaniesz jeden z moich dworów. - Znów się uśmiechnął. - Ładnie położona i intratna posiadłość z pewnością należy się Alice Perrers, kobiecie, która potrafi rozjaśnić najbardziej mroczne zakamarki w mej duszy!

A więc... już mam! W pierwszej chwili z wrażenia zaparło mi dech. Jeden z dworów króla wraz z przyległymi polami będzie należał do mnie! Czyż mogłam marzyć o czymś więcej?!

- Jestem ci bardzo wdzięczna, panie.



- Jeszcze nie dziękuj. Dostaniesz ten dwór, Alice, ale pod jednym warunkiem.

Ach ci Plantageneci! Nigdy nie wolno ich lekceważyć. Naturalnie od razu stałam się bardzo czujna. Na szczęście okazało się, że w tym przypadku zgodnie z porzekadłem strach ma wielkie oczy, bo usłyszałam:

- A warunek jest taki, że znowu masz nazywać mnie po imieniu. Bardzo mi tego brakowało.

Tylko to?! Och, co za ulga. Czułam, że ten przeklęty kamień, który zagnieździł się w mym sercu tamtego dnia, kiedy cisnęłam królowi do stóp sobolowe futro, ostatecznie to serce opuścił.

- Dziękuję, Edwardzie. - W moim sercu, po pozbyciu się kamienia, była już tylko miłość, którą od razu ofiarowałam Edwardowi w mej komnacie, na mym niewielkim łożu, w którym król z trudem się pomieścił.

Nasza rozłąka obudziła w nim wielką namiętność, we mnie oczywiście też. Kochaliśmy się zapamiętanie, a potem z taką samą rozkoszą otuliłam się w sobolowe futro, upajając się czymś jeszcze, czymś niezmiernie istotnym. Na pewno nie byłam tylko nałożnicą króla. Byłam czymś więcej, a mój zuchwały postępek tylko uświadomił królowi całą prawdę o naszym związku.

- Nigdy cię nie odprawię - szeptał z twarzą wtuloną w moją szyję. - Miłość dla mnie ma na imię Alice i tak będzie, póki śmierć nas nie rozłączy...

- A ja nigdy z własnej woli nie opuszczę ciebie, Edwardzie...

On zaś, jakby chciał w nader konkretny sposób to spuentować, dodał:

- Jesteś faworytą króla. I to się nie zmieni.

Od króla dostałam niewielki dwór w Ardington. Kiedy chowałam dokument do skrzyni, uzmysłowiłam sobie, że jest to dokument wielkiej wagi, o wiele większej niż tamten dokument Janyna Perrersa, który po prostu sobie wzięłam, uznając, że mam do tego prawo. A ten dokument dostałam nie tylko w pełnym świetle prawa, ale i jako dar kochającego królewskiego serca. Dwór w Ardington, prawdziwa perełka wśród dworów, należał więc do mnie, a mnie, jego właścicielkę, po prostu rozsadzała duma.

Napiłam się miodu, wychyliłam cały kubek do dna, i przysiadłam na skrzyni, w której leżał mój skarb, głaszcząc czule lśniące drewno. Ardington... Dwór piękny, choć niewielki, i bez wątpienia przynosi dochód z przynależnej do niego ziemi, o czym wspomniał król. Podarował mi go bez wahania, więc być może nie będzie to ostatnia posiadłość, która wpadnie mi w ręce? A jeśli Edward nie będzie już skłonny do tego rodzaju podarków, jakiś inny dwór mogę przecież sobie kupić...

Zachłanność? Och Boże! Przecież wiadomo, że nie. Ale z nieba samo nie spadnie, a ja muszę zabezpieczyć swoją przyszłość.

I znów byłam brzemienna, i znów urodziłam Edwardowi syna, Nicholasa. A do Jana, mogłam jeździć, kiedy dusza zapragnie, by nacieszyć się pierworodnym, który rósł jak na drożdżach i najchętniej bawił się w rycerza, wydając bardzo groźne okrzyki. Tak, mogłam, bo byłam wolna! Nikt mi nie dyktował, kiedy mam jechać do Ardington i kiedy wrócić. Byłam wolna i byłam jednak kimś, bo moja pozycja na dworze królewskim, choć siłą rzeczy nie do końca jasna, była jednak pozycją dość mocną, a co najważniejsze, trwałą.

- I cóż z ciebie wyrośnie? - spytałam popiskujące słodko maleństwo, które, jak jego braciszek Jan, było bardzo podobne do ojca. - Jakaż będzie twoja droga życia? Czy ku władzy i bogactwu? - Koniecznie to? A może wybierze coś innego, może podąży drogą podobną do tej, którą obrał Wykeham... - Kiedy podrośniesz, zapoznam ciebie z kimś, kogo bardzo szanuję i zaprzyjaźniona jestem od lat.

Edward często zaglądał do synka.

- Alice... - zagadnął kiedyś, tuląc maleństwo do siebie. - Cóż mam ci podarować w zamian za ten nowy i jakże wspaniały dar? Tylko nie mów, że...

Nie, nie. Wcale tego nie powiedziałam. Przecież oddał już w moje ręce zarząd nad rozległymi dobrami po Robercie de Tilliolu, w sumie cztery dwory i zamek daleko na północy, co gwarantowało stały napływ złota do mej szkatuły.

Nie, nie było zwyczaju, by król tak hojnie obdarowywał damę dworu królowej. Oczywiście zwróciło to powszechną uwagę, ale przywykłam już do tych spojrzeń z ukosa, bo cóż mogłam innego zrobić, jak nie przywyknąć, tym bardziej że dla dobra Filipy zmowa milczenia nadal

obowiązywała. A Greseleyowi przekazałam, że prowadzenie moich spraw zajmie mu o wiele więcej czasu.

Na co on odpisał w swoim stylu, jakby nie miał czego do garnka włożyć:

*Ufam, pani Perrers, że za mój czas zapłacisz sowicie, i to jak najrychlej.*

A ja na to:

*Zapłacę, gdy przekonam się, żeś w swej pracy owocny, a będę zdumiona, jeśli nie wzbogacisz się tym, czym teraz będziesz zawiadywać. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko.*

*Przed wszystkim Ty, pani, się wzbogacisz, bo to, coś nabyła, da Ci, jak również i mnie, krocie.*

Po przeczytaniu tej ostatecznej odpowiedzi mimo woli uśmiechnęłam się. Kto jak kto, ale Greseley miał głowę do interesów i w tej materii jego słowa były święte.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Co za przedziwne odczucie. Poczułam na plecach delikatne drapnięcie, jakby lubemu nagle zebrało się na żarty, z tym że w tym drapnięciu nie było nic żartobliwego. Przeciwnie, coś niepokojącego, i to tak bardzo niepokojącego, że zadrżałam, ale tylko raz, i na tym koniec niemiłych wrażeń. Znikły równie szybko, jak się pojawiły, i mogłam ponownie skupić się na tym, co działo się na moich oczach. Byłam świadkiem wybuchu gniewu monarchy. Właśnie odbywała się audyencja u króla, oczywiście z wielkim przepychem i uwypukleniem autorytetu panujących. Król i królowa siedzieli na rzeźbionych krzesłach z wysokim oparciem, ustawionych na podwyższeniu w największej sali audiencyjnej w Westminsterze. A przed nimi młody jeszcze mężczyzna odziany bardzo strojnie, przy tym z miną i o ruchach wręcz zuchwałych. Niemniej przed królewską parą pokłonił się bardzo nisko, a cała jego świta poszła za jego przykładem. Świta była jak ów młody mężczyzna bardzo strojna i lśniąca, podziwiałam bogate szaty, drogie klejnoty i wspaniałe oręż.

Zauważyłam, że Filipa jest rozpromieniona, lecz jej małżonek wyrażał całkiem odmienne uczucia.

- A skąd ty się tu wzięłaś? - spytał opryskliwie.

- Bo już niczego nie dokonam w tej zapomnianej przez Boga i ludzi prowincji, gdzie masz tylko bagna i torfowiska - odparł niezbity z tropu

młody człowiek. Był bardzo urodziwy, a także, czyli pierwsze wrażenie mnie nie zmyliło, nad wyraz zuchwały, gdyż moim zdaniem nie okazywał szacunku należnego królewskiej parze. - Nie chcę mieć już nic wspólnego z tą przeklętą Irlandią!

- Spodziewałeś się, że pójdziesz ci tam jak po maśle, a tu raptem okazało się, że tak nie jest! - Edward poderwał się z krzesła, zszedł z podwyższenia i klepnął młodego człowieka po ramieniu. Och, powiem prawdę, mocno uderzył go pięścią. - Chcesz zepsuć to wszystko, czego tam dokonałem? Uciekasz, kiedy ktoś po raz pierwszy sprzeciwia się twojej woli? Na Boga! Lionel!

A więc to był drugi syn Edwarda, Lionel, książę Clarence. Tym tytułem ojciec obdarował go w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. Lionel od kilku lat był namiestnikiem Irlandii. Piękny, wytworny, ambitny, jednocześnie jednak jakiś taki gładki i śliski jak tłuszcz gęsi, którym smaruje się chore, marudne dziecko. Przybył na królewski dwór niespodziewanie, bez zapowiedzi, a na twarzy królowej, co bardzo ważne, znów pojawił się uśmiech.

- To niesprawiedliwe, panie. Już pierwszego dnia, kiedy tylko moja stopa dotknęła irlandzkiej ziemi, spotkałem tam przeciwników.

- A czego się spodziewałeś? Gdy tak cię słucham, mam ochotę kazać ci natychmiast wracać do Irlandii, gdy tylko osiodłają nowego konia...

- Nie, Edwardzie! - zaprotestowała Filipa. Tego dnia była bardzo słaba, dlatego nie ruszała się z krzesła. - Przecież to nasz syn!

- I cierń w moim oku! Żaden z moich synów nigdy nie poniechał swoich obowiązków. Żaden!

- Ale ja... Ojczy, naprawdę nie wiem, dlaczego ci wieśniacy wciąż stawiają opór. - Zabrzmiało to jak skarga, by nie powiedzieć, że jak smętne pojękiwanie.

Natomiast Edward huknął:

- Zawsze będą się przeciwstawiać! Zawsze! A twoim zadaniem jest zadbać o pokój, a nie wsadzać kij do mrowiska!

I znowu rozległ się słodki głos królowej:

- Och, mój Lionel...

Gdy wyciągnęła rękę, młody książę natychmiast odstąpił od ojca, ukląkł przed matką i skłonił głowę niby wielce skruszony.

Niby, bo moim zdaniem nie było to szczere, a tego wrażenia nie zmieniła dramatycznym głosem wyrażona prośba:

- Matko, wybacz!

- Och, mój najdroższy Lionelu...

- Wszystko wytłumaczę.

- Przecież wiem, że miałeś swoje powody.

- Ale czy ojciec zechce mnie wysłuchać? - Ostrożnie podniósł głowę i zerknął na króla.

Ach! Znów to niemiłe uczucie, ten zimny dreszcz przebiegający po plecach, z tym że domyśliłam się już, jaka tego może być przyczyna. Ktoś w tej sali przygląda mi się bacznie, zaciekawiony moją osobą. Tylko kto? Szybko przemknęłam spojrzeniem po twarzach mężczyzn ze świty Lionela, jednak żadna z nich nie była zwrócona w moją stronę. Nikt nie wlepił we mnie oczu, wszyscy wpatrzeni byli w króla, który zmagął się ze swym marnotrawnym synem. Czyli to tylko złudzenie, bo niby dlaczego ktoś raptem miałby zwrócić na mnie uwagę? Na jedną z dam dworu, istotę w całym tym tłumie tak naprawdę bezimienną, która jest tu tylko po to, by w razie potrzeby usłużyć królowej.

- Twój ojciec na pewno cię wysłucha, ale później, po tym uroczystym powitaniu - powiedziała Filipa bardzo łagodnie, wpatrzone w syna jak w obrazek. - Och, Lionelu! Jakże się cieszę, że jesteś z nami. Przecież nie widziałam cię pięć lat z okładem!

Matka była wzruszona i szczęśliwa, natomiast ojciec po gniewnych słowach zachowywał powściągliwość, skupiony nie tyle na nieudolnym synu, co na sprawach królestwa z tą nieudolnością mających istotny związek. Niemniej ustępując żonie, poniechał dalszej perory.

- Twoja matka jest tak bardzo szczęśliwa, że istotnie, odłożmy wzajemne oskarżenia na później. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Lionelu, a przede wszystkim zrozumieć, że nie wszystko można rozwiązać demonstracją siły i surowym prawem. Ale porozmawiamy o tym po uczcie.

Dał ręką znak, że audiencja zakończona. Kiedy pomagałam królowej wstać z krzesła, znów poczułam na sobie to spojrzenie, obecnie już tak świdrujące, że miałam wrażenie, jakby obdzierało mnie ze skóry, by zajrzeć do mej duszy. Co było po prostu przedziwne, bo moja dusza

ciekawiała tylko Wykehama, a przebywał on w Windsorze bez reszty pochłonięty nową budowlą.

Zaintrygowana zerknęłam tam, skąd, jak przypuszczałam, napastowano mnie tym bardzo nieprzyjemnym spojrzeniem. I udało mi się sprawcę wytropić. Był to dworzanin ze świty Lionela. To on tak bezwstydnie wlepił we mnie oczy. Naturalnie postarałam się, by jego wzroku nie przechwycić, byłoby to przecież upokarzające. Po prostu przemknęłam spojrzeniem gdzieś dalej, nad jego głową, jakbym kogoś szukała właśnie tam.

A on dalej patrzył na mnie.

A więc dobrze. Zmierzymy się.

Spojrzałam mu prosto w oczy tak bardzo wymownie, by pojął, że zrobiłam to z rozmysłem.

Co za zuchwalec! Wcale nie spojrzał szybko w bok albo ze skruchą, z przepaszającym uśmiechem. Nie, nic podobnego! Po prostu dalej spokojnie sobie na mnie patrzył. Był jeszcze młody, choć na pewno starszy od księcia o ładnych parę lat. Jego twarz o bardzo ostrych rysach może i byłaby pociągająca, gdyby nie głębokie bruzdy koło nosa. I tak w ogóle była to twarz bardzo posępna. Gładko się golił, chociaż obecnie mężczyźni lubowali się w zaroście. Ciemne włosy też były zdecydowanie krótsze niż u pozostałych dworzan. Oczy, bez żadnego skrepowania wpatrujące się we mnie, jedną z dam dworu Jej Królewskiej Mości, były nieokreślonego koloru, z tym że chyba jednak ciemne. Bo na pewno nie były jasne.

Twarz ogorzała, jasna blizna na policzku doskonale widoczna. Ubrany był skromnie, ale porządnie. Miecz u boku też nie posiadał żadnych zdobieć. I jako jedyny z dworzan nie miał na sobie żadnych klejnotów, ale raczej nie dlatego, że był biedny.

Usta miał zaciśnięte, twarz nieprzeniknioną. Ten człowiek na pewno nie zdradzał swoich tajemnic, chyba że sam tak postanowił.

Czy istotnie był dworzaninem? Raczej nie. Na moje oko nie pasował do tej roli, a na zbrojnego i owszem. Tak mi się jawił, ale na pewno wiedziałam tylko tyle, że jest to człowiek całkiem mi nieznany.

Uniosłam brwi, wiadomo, pytająco, a on nieznacznie się skłonił. Co może i było miłe, ale i tak odwróciłam głowę, bo to nie była odpowiednia pora na rozwiązanie tej zagadki. Moim obowiązkiem było

służyć królowej, i na tym ponownie się skupiłam. Królowa wręczyła mi swój mszał i ruszyła do swych komnat. Kroczyła bardzo powoli, a Lionel szedł obok matki. Ja podążałam za nimi, niestety wciąż czując na plecach wzrok tajemniczego mężczyzny.

Lionel, delikatnie mówiąc, niezbyt mi się spodobał, a ów nieznajomy, który miał czelność mierzyć mnie wzrokiem, jeszcze mniej. Bo wyczuwałam, że w jego duszy jest zbyt wiele bardzo mrocznych zakamarków.

Król władczo skinął ręką, dając znak, że uczta rozpoczęta. Edward lubił tego rodzaju wydarzenia, kiedy to on był główną postacią, wywyższony ponad wszystkich, w glorii chwały. Pan i władca, chociaż ten sam Edward, przebrany w pozłacany kostium wielkiego ptaka, potrafił podskakiwać i trzepotać sztucznymi skrzydłami ku uciechu swoich dzieci. Jednak podczas tej uczty, okraszonej przecież muzyką i tańcami, Edward ukazywał twarz posępną. Tak bardzo był niezadowolony z poczynań Lionela w Irlandii, że swemu ulubionemu minstrelowi, Andrew Claroncelowi, wręczył pękata sakiewkę, jeszcze zanim zaczął śpiewać. Czyli wcale się nie zapowiadało, że ten wieczór będzie miły i radosny.

Kiedy podeszłam do stołu, by usiąść na swoim miejscu, nie wierzyłam własnym oczom. Bo i któż to taki rozsiadł się na krześle obok mnie? Zuchwalec z sali audiencyjnej we własnej osobie! I gotowa byłam się założyć o moje sobolowe futro, że znalazł się tutaj nie przypadkiem, tylko dzięki złotej monecie wciśniętej do ręki ochmistrza. Siedział więc tu, a jego oczy naturalnie wlepione były we mnie. Oczy ciemnoszare, już to wiedziałam. A spojrzenie tych oczu było takie samo jak przedtem, czyli zuchwałe.

- Pani Perrers! - Wstał, czekając, aż zajmę miejsce.

A ja naturalnie z rozmysłem wydłużałam tę czynność, strzepując spódnice i rozkładając je, by wyglądały wytwornie. On zaś czekał cierpliwie, dlatego musiałam przyznać w duchu, że oglądy mu nie brak. Odczekał, skłonił się i ponownie usiadł na krześle obok mnie. Ruchy miał szybkie i zaskakująco zręczne, czyli nie spędzał całego życia w siodle i nawet w Irlandii nabył dworskiej oglądy.

Ale nadal patrzył przenikliwie, więc ja, oczywiście jak najbardziej obojętnym głosem, zagadnęłam:



- Znasz, panie, moje nazwisko. Jak to może być?

- Tu, na dworze królewskim, nie jesteś kimś nieznanym, pani - odparł głosem o wiele łagodniejszym, niż się spodziewałam. - Mówią też o tobie, pani, nawet w Irlandii.

Niewątpliwie spodziewał się, że zapytam, co o mnie mówią, lecz wcale o to nie spytałam, tylko sięgnęłam po kubek i wypiałam kilka łyków przedniego wina.

A zuchwalec znów się odezwał:

- Nazwisko twoje, pani, znam, nic jednak nie słyszałem o twojej rodzinie...

Rodzina? Moja przeszłość... Cóż o niej wiedziałam? Bękart spłodzony przez zwykłego wyrobnika. Matka? Dziewka sprzedajna. Podrzucano mnie do klasztoru, ponoć z sakiewką wypełnioną złotem. Nie, nie warto o tym myśleć, wspominać, dywagować, jaka jeszcze prawda może się kryć za tymi skąpymi informacjami. A co dopiero komuś o tym opowiadać!

Wzruszyłam lekko ramionami i odparłam:

- Nie mam rodziny, panie. - Po czym bezceremonialnie odwróciłam się do niego plecami, zwracając się do osoby, która siedziała z mojej lewej strony, czyli do leciwego już rycerza.

Zadziwiająco, coś takiego ja, by stworzyć pozór prawdziwej rozmowy, musiałam naopowiadać temu rycerzowi, który spoglądał na mnie z ukosa i coś tam czasami wymamrotał, zainteresowany przede wszystkim jedzeniem. W którymś momencie, kiedy zmęczyły już mnie jego odpowiedzi udzielane półgębkiem, nieopatrznie zerknęłam w prawo, na zuchwalca, który jak zwykle przyglądał mi się bardzo wnikliwie.

- Skończyłaś już, pani? - spytał, szczerząc zęby w uśmiechu. - Nie spodziewałem się, że potrafisz prowadzić rozmowę tak nieskończenie nudną. Sir Ralph omal nie zasnął, czemu się nie dziwię, bo mnie też niełatwo by przyszło ekscytować się rozmową o tym, ile czasu potrzebuje dwór królewski na przejazd z Havering do zamku Tower.

A ja na to:

- Ale przynajmniej wykazałam się oglądą i zachęciłam mego sąsiada przy stole do pogawędki. A tyś o tym nie pomyślał!

A tak! Przecież nie odezwał się jeszcze ani słowem do damy siedzącej po jego prawicy! Skąd to wiedziałam? Przecież to proste. Gawędząc z sir Ralphem, cały czas nadstawiałam ucha, oczywiście prawego.

Wtedy on, tak niby mimochodem:

- Sądzę, że chciałabyś, pani, poznać moje nazwisko.

- Sama nie wiem... Chociaż... No cóż, skoro już dane nam jest spędzić razem przy tym stole niejedną godzinę... Tak, możesz pan mi to zdradzić. - Oczywiście! Skoro tak bardzo mu na tym zależy, niech mówi o tym, o czym zdążyłam się już dowiedzieć, wykorzystując przerwę między audiencją a ucztą. - Moje nazwisko znasz już, panie. Zwykła uprzejmość wymaga, byś również przekazał mi swoje, tym bardziej że postarałeś się, byś mógł usiąść koło mnie.

W ciemnoszarych oczach błysnęło, ale nie odezwał się. Kiedy paż napełnił nasze kubki łagodnym bordo, dalej milczał. Powoli popił wina i równie nieśpiesznie odstawił kubek na stół. Było oczywiste, że teraz to on kazał mi czekać, jak ja jemu, kiedy sadowiłam się na krześle. Może więc i powinnam się uśmiechnąć, ale nie zrobiłam tego, bo uznałam, że z takim człowiekiem należy postępować bardzo ostrożnie. Mój uśmiech niewątpliwie byłby dla niego oznaką słabości i niezależnie od tego, czy uważa mnie za przyjaciela, czy wroga, na pewno starałby się to wykorzystać.

- Jestem William de Windsor, madame.

Wtedy zrobiłam to, co podpatrzyłam u Izabeli, a mianowicie uniosłam lewe ramię, oczywiście tylko trochę, ale z wdziękiem wzbogaconym o szczyptę impertynencji. Niestety, nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. To było oczywiste.

Zaraz też przekazał mi to, czego już się dowiedziałam między audiencją a ucztą:

- Byłem w Irlandii, służyłem księciu Clarence.

I dalej wpatrywał się we mnie, dalej uśmiechnięty, w rezultacie ku memu wielkiemu niezadowoleniu poczułam, że moje policzki oblewają się rumieńcem.

- Dlaczego tak wpatrujesz się we mnie, panie?

- Bo mnie ciekawisz. Myślę, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Czyżby? Nie sądzę. Przede wszystkim na pewno jesteś ode mnie o wiele ładniejszy.

W pierwszej chwili zaniemówił, ale potem wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nie spodziewałem się, że stać cię na taką szczerość, pani. U kobiet to prawdziwa rzadkość. Wiem to z własnego doświadczenia.

Powiedział to takim tonem, jakby jego doświadczenie było tak duże, jak szeroka jest Tamiza koło Tilbury!

- Tak, jestem raczej szczera - przyznałam. - A teraz bardzo ciekawa, cóż takiego możemy mieć ze sobą wspólnego. Czy mógłbyś mi to zdradzić?

- Raczej nie. A na pewno jeszcze nie teraz - odparł, uprzejmie wznosząc kubek. Taki niby-toast.

Nie to nie. W związku z powyższym ponownie zwróciłam się do sąsiada z lewej strony, sir Ralpa, i rozpoczęłam kolejną i równie nudną pogawędkę, jakbym wcale nie była ciekawa odpowiedzi Windsora. Choć oczywiście byłam, czego się naturalnie domyślał.

Odczekał cierpliwie, aż cała uwaga rycerza Ralpa skupi się na półmisku z sarniną, po czym podjął rozmowę ze mną, jakby żadnej przerwy w niej nie było.

- Zmieniłem zdanie, pani Perrers. Dla mnie jesteś człowiekiem, któremu warto zaufać, dlatego powiem ci, co moim zdaniem mamy ze sobą wspólnego. Przede wszystkim oboje jesteśmy ambitni.

Zapadła cisza, tylko wpatrywałam się w Williama de Windsora równie natarczywie, jak on przedtem we mnie.

Cisza trwała i trwała, aż wreszcie Windsor dodał:

- Oboje jesteśmy wyrachowani i interesowni.

Dalej milczałam, wlepiając w niego oczy znad mego kubka.

- I oboje wzięliśmy się z niczego.

Chwileczkę. Co on sugeruje? Dotąd mówił o ludzkich cechach domniemanych czy prawdziwych, to kwestia oceny, ale teraz sięgał w sferę...

- Nie masz, pani, nic do powiedzenia na temat moich spostrzeżeń? - ponaglił mnie niby delikatnym tonem, ale jednak dość stanowczo.

- Mam. Przede wszystkim skąd to stwierdzenie, że oboje wzięliśmy się z niczego?

- Mój ojciec był rycerzem, ale jednym z wielu. Wcale nie był znany czy potężny, przez całe swoje długie życie niczym się nie wyróżnił. Ot,

zwykły Windsor z Grayrigg, zapadłej wioski w Westmoreland, gdzie tylko owce i deszcz. Nic poza tym. Wyjechałem stamtąd, kiedy tylko osiągnąłem wiek odpowiedni, i jak każdy ambitny chłopak zostałem żołnierzem. Sława, powodzenie, bogactwo. Tego pragnąłem. I udało się. Walczyłem pod Poitiers i odznaczyłem się w tej bitwie, a od kilku lat służę Lionelowi, który może i nie jest wodzem idealnym, ale ja i tak uważam go za najlepszego z tego królewskiego pomiotu... - Och, co za dosadne słowo. Owszem, bardzo niestosowne, ale Windsor rozbawił mnie. Zachichotałam, a on zerknął na Lionela, który siedział obok królowej, po czym prawił dalej: - My oboje, pani, ty i ja, znaleźliśmy się w innym świecie, niż z urodzenia nam przynależało. Ty jako dama dworu królowej. - Te słowa powiedział głosem idealnie beznamietnym, czyli wiedział doskonale, co łączy mnie z Jego Królewską Mością. - Ja natomiast jako jeden z doradców Lionela.

- A dlaczegóż to moja osoba cię interesuje, panie?

- Prawdę mówiąc, nie jest to dla mnie tak do końca zrozumiałe, ale mam przeczucie, że jeśli połączymy nasze siły, to będziemy intensywniej błyszczeć, ty, pani, swoją poświatą, a ja swoją, w naszym sojuszu jeszcze jaśniejsi.

Błyszczeć? Jaśnieć? O, to ciekawe. Byłam bardzo zaintrygowana, ale nie dałam tego poznać po sobie, tylko nieznacznie uniosłam brwi. Taki enigmatyczny sygnał, który równie dobrze mógł znaczyć: „Pora kończyć ten temat”, jak i „Mogę jeszcze posłuchać”.

- Jestem dobry w wojaczce i rządach twardej ręki - oznajmił Windsor nieskromnie. - A ty, pani? W czym chciałabyś jeszcze bardziej za-błysnąć?

Zarumieniłam się. Bo jednak była to wyraźna aluzja do mej pozycji na królewskim dworze, a poza tym spojrzenie Windsora stało się tak ostre, jak nóż pana Humphreya do oddzielania kości.

- Sądzę, że zabłysnę i bez twojej pomocy, panie.

- Ale nie tak jasno i szybko jak w sojuszu ze mną, pani. Musisz mieć swoje niezaprzeczalne atuty i zalety, pani, ale pamiętaj też o moich. Mężczyzna obrotny i ambitny, służąc orężem, ma również sposobność napełnić kiesę.

- Dzięki czemu? Nadużyciom, przekupstwu, grabieży czy wymuszaniu okupu?

W końcu w tej przerwie między audiencją a ucztą dowiedziałam się niemało.

- Poplotkowałaś, pani?

- Owszem, sir Williamie.

- I od samego początku wiedziałaś, kim jestem?

- Naturalnie!

- Zataiłaś to przede mną, ale wcale cię za to nie winię. Zawsze dobrze wiedzieć, z kim ma się do czynienia.

- Bez wątpienia... - Pochyliłam się i dokończyłam prawie szeptem: - Ale z tobą, panie, do czynienia mieć nie będę...

Nie odezwał się, tylko zabrał za odkrawanie płatów pieczonej wołowiny. Naturalnie ten pierwszy chciał umieścić na moim talerzu, ja jedriak pokręciłam głową zdecydowanie przecząco.

A on zapytał:

- Więc czegoż tak naprawdę chcesz, pani Perrers?

- Ja? Nie pojmuję...

- Nie chodzi oczywiście o to, czy chcesz sarniny, czy wolisz wołowinę. Choć powinnaś zjeść chociaż kawałek, bo jest smakowita. W każdym razie rzecz nie o mięsie, lecz o życiu. Jeśli jesteś kobietą rozsądną, a za taką cię mam, z pewnością zastanawiasz się, jak to będzie za dziesięć lat. Czy zachowasz swoją pozycję? Bo na moje wyczucie spędzisz na królewskim dworze jeszcze tyle lat, co palców u obu twoich powabnych rąk, ale nie więcej. Każdy z nas przecież kiedyś pożegna się z życiem.

Wiedziałam doskonale, kogo miał na myśli, kiedy wspomniał o tym żegnaniu się z życiem, i odruchowo spojrzałam tam, gdzie siedział monarcha. Rozparty w krześle słuchał, co prawił Lionel, który niewątpliwie usprawiedliwiał się ze swoich niefortunnych poczynań w Irlandii. Edward wyglądał dobrze, tym bardziej że gniew już minął i rozpozgodzony słuchał pilnie, co syn ma mu do powiedzenia.

Ale cóż z tego, że pogodny! Miał tyle lat, ile miał, a czas mija nieubłaganie. A Filipa? Przecież jej życie wisi na włosku. William de Windsor, snując swe spostrzeżenia, miał całkowitą rację. Moje lata, choć oczywiście nie dni, na królewskim dworze są policzone.

- Nie będzie żył wiecznie, pani Perrers, a jak odejdzie, co stanie się z tobą?

Nie, wcale mi się nie podobało, że ten rycerz tak przenikliwie wszystko widzi, co dzieje się dzisiaj, i spekuluje na temat mojej przyszłości, innymi słowy, wsadza nos nie w swoje sprawy.

- A cóż cię to obchodzi, panie? - rzuciłam gniewnie. - Choć muszę przyznać, że tam, w tej Irlandii, wiecie nawet sporo, po prostu za dużo!

- To dobrze, pani, że jesteś właśnie taka - stwierdził wcale niezrażony moją napastliwością. - Łatwiej wtedy przebić się przez życie.

- Jestem, jaka jestem! A o tobie, panie, powiadają, że jak na człowieka, który znaczył niewiele, osiągnęłaś już niemało.

- Nie, pani. Dopiero postawiłem stopę na pierwszym szczeblu tej drabiny. Ale na pewno wejść wyżej.

Cóż za zuchwałość! Czyli pierwsze wrażenie mnie nie zmyliło. Twardy człowiek, zżerany ambicją. O nie! William de Windsor wcale mi się nie podobał. Przypomniałam sobie też, że Edward podczas burzliwej rozmowy z Lionelem bardzo nieprzychylnie popatrywał na jego świtę. Więc miło będzie wsadzić szpilę jednemu z tejsze właśnie świty.

- Nie sądzę, panie. Król nie jest tobie przychylny.

- Nie przeczę. Może i mnie nie lubi, ale na pewno potrzebuje.

I wtedy omal nie zakrzusiałam się winem. Na Boga! Tego człowieka nie sposób pognać! - A do czegoż to król ma cię potrzebować, panie?

- Do zarządzania Irlandią, a nie jest to zadanie dla człowieka słabego i wrażliwego. Dlatego właśnie król obdarza mnie zaufaniem i aprobejuje moje decyzje, nawet jeśli nie wszystkie są po jego myśli. Na pewno wyśle mnie z powrotem do Irlandii, dając mi większą władzę niż ta, którą miałem, gdy służyłem Lionelowi.

- Zdziwiający, ileż w tobie jest pewności siebie, panie!

- Wcale tak nie jest! - zaprzeczył i o dziwo, w jego oczach na moment zapaliły się wesołe iskierki. - Przede wszystkim jestem nadzwyczaj spostrzegawczy. Uważam, że to moja podstawowa zaleta. A wracając do ciebie, pani, to proszę, posłuchaj mojej rady i pomyśl o swojej przyszłości. I na tym koniec, bo po tej rozmowie, rozmowie nadzwyczaj poufalej, wszak po raz pierwszy widzieliśmy się na oczy, do końca uczyty nie odezwał się już do mnie ani słowem. A tak, bo całą swoją uwagę poświęcił damie siedzącej po jego prawicy, okazując mi barczyste plecy

okryte jedwabną szatą. W rezultacie skazana byłam na towarzystwo sir Ralpa, który nadal zajęty był napełnianiem żołądka, a czynił to z takim zapalem, jakby to był ostatni posiłek w jego życiu. On jadł, a ja dyskretnie ziewałam z nudów.

Dopiero po zakończeniu uczyt zrobiło się znów ciekawie, ponieważ William de Windsor nagle raczył przypomnieć sobie o mojej skromnej osobie i spytał, kiedy zamierzałam wstać już z krzesła:

- Może chcesz, pani, usłyszeć jeszcze jedną dobrą radę?

- Raczej nie - oświadczyłam, choć naturalnie byłam bardzo zaintrygowana. Z drugiej jednak strony nie bardzo miałam ochotę na dalsze pogawędki z tym wilkiem, który nie zadbał o przebranie się za owcę.

- Pozwól jednak, że o coś spytam. Powiedz, pani, kto jest twoim wrogiem? Bo nie wierzę, żebyś wrogów nie miała.

- Moim wrogiem? Prawdopodobnie ty, panie!

- Nie, pani Perrers. - Spojrzał na mnie z wielką powagą. - Nie jestem twoim wrogiem i dobrze, gdybyś zawsze o tym pamiętała. Natomiast powinnaś mieć baczenie na innych, na tych, którzy dobrze ci nie życzą. Bądź czujna i staraj się być od nich mądrzejsza. Już lepszej rady dać ci nie mogę, pani, a gdybyś potrzebowała pomocy, zawsze jestem do twoich usług. Zapomnij wtedy o animozji, którą niewątpliwie do mnie czujesz. - Skłonił się nisko, ucałował moją dłoń... i ręki mojej nie puszczał. - Powiem szczerze. Jak sama o tym wspomniałaś, to prawda, że pięknoscią nie jesteś, pani. Ale, na Boga, tak frapującej kobiety nigdy dotąd jeszcze nie spotkałem! Ileż ty, pani, masz lat?

Ile mam lat? To też chce wiedzieć? O Matko Przenajświętsza!

- Dwadzieścia dwa. A ty, panie?

- Trzydzieści siedem - odparł skwapliwie.

- I naturalnie nie jesteś stanu wolnego? - spytałam niewinnym głosem, czując, jak silne i ciepłe palce trochę mocniej obejmują mą dłoń.

- A dlaczego miałbym być?

- By mieć syna, dziedzica tych bogactw, które zamierzasz zdobyć.

- Tak, oczywiście... Ale żony nie mam. Na to ja bardzo słodko:

- To dobrze. Bo szkoda by było tej biednej kobiety! Naprawdę szkoda!

Nie, wcale się nie obraził, tylko uśmiechnął. I dziwne, bo nagle wydał mi się bardzo pociągający.

Z poufalej rozmowy z Williamem de Windsorem byłam bardzo niezadowolona, ale nie dlatego, że powiedziałam czy zrobiłam coś nie tak. Przeciwnie, rozmawiając z człowiekiem, który może okazać się niebezpieczny, trzymałam język na wodzy, nie powiedziałam zbyt wiele i udzielałam odpowiedzi wyważonych. Tyle że ów mężczyzna wzbudził we mnie uczucia bardzo mieszane, innymi słowy, niepewne, różnorodne i chaotyczne, czego zdecydowanie wolałabym uniknąć przy ocenie innych ludzi i określeniu mojego stosunku do nich.

Dlatego też absolutnie nie miałam ochoty o nim rozmawiać.

Niestety król taką ochotę miał.

- I cóż ci tam naopowiadał ten łajdak Windsor?

Edward swym sokolim okiem jak zwykle zauważył, kto z kim rozmawiał, i od razu przystąpił do przesłuchania, rozkosze łoża odkładając na później. Dlaczego? Bo w tym jego niezbyt subtelnym pytaniu skierowanym do mnie, która siedziałam na samym środku wielkiego łoża, na pewno była nie tylko jedna szczypta zazdrości, lecz znacznie więcej.

- A... tak właściwie to nic - odparłam, składając skromnie dłonie na podołku. - Nic poza tym, co Windsorowi by nie dodawało splendoru. On mówi tylko o sobie. - Owszem, trochę mijało się to z prawdą, ale zarazem jej nie zaprzeczało, czyż nie tak?

- Hm... - Edward zmarszczył czoło, czyli moja odpowiedź nie zadowolila go, ale już nie pytał, tylko zabrał się do rozplatania moich warkoczy. Rozplatał i rozplatał, ale Windsor musiał nadal chodzić mu po głowie, bo po chwili, pociągając mnie żartobliwie za kosmyk, jednak spytał: - Co o nim sądzisz?

- Nie podoba mi się.

- Tak jak i mnie... - Król zadumał się na moment. - Jak myślisz, czy jeśli pozwolę mu sprawować rządy, będzie uczciwy?

- Wątpię.

- No tak, to oczywiste! - ze śmiechem skomentował Edward. - Ale tak naprawdę pytam, czy będzie wobec mnie lojalny?

- O tak! Będzie bardzo lojalny wobec Waszej Królewski Mości, jeśli dzięki temu zdobędzie władzę i bogactwo.



- Czyli podczas tej krótkiej rozmowy przejrzałaś go na wylot. - Uśmiech znikł, Edward zmierzył mnie posępnym wzrokiem.

Więc teraz to ja się uśmiechnęłam, nim powiedziałam:

- Łatwo mi poszło, Edwardzie, a to z jego wydatną pomocą. Bo wiesz, nie znam bardziej chełpliwego człowieka niż on, a takim zdarza się odstąpić ponad miarę. - Przerwałam na moment, po czym dodałam: - William Windsor spodziewa się, że wyślesz go z powrotem do Irlandii. - Pionowa zmarszczka na czole króla pogłębiła się, więc szybko ucałowałam oplątane mymi włosami palce. - I co ty na to, Edwardzie? Wykorzystasz go?

- Sam jeszcze nie wiem...

Wykeham z okazji powrotu Lionela sam też powrócił na królewski dwór. Zauważyłam go po wyjściu z porannej mszy, kiedy rozglądałam się dyskretnie, czy przypadkiem nie zobaczę gdzieś Windsora. Nigdzie go nie było, ale dostrzegłam Wykehama, który wraz z kilkoma dworzanami stał na pod ścianą. Najwyraźniej czekał na mnie, bo od razu podszedł, zrównał krok i bez żadnych wstępów zaatakował:

- Widzę, że wpadłaś już w oko temu Windsorowi!

Cóż, zachował się bezceremonialnie, ja natomiast dla odmiany uprzejmie:

- Rada jestem widzieć cię, panie. Mam nadzieję, że twoje uczucia na mój widok są podobne.

Wykeham ostatnimi czasy bardzo obrósł w piórka. Został biskupem Winchesteru i lordem kanclerzem. Na drabinie władzy zaszedł na takie szczyty właśnie on, człowiek, który głównie interesował się tym, czy przypora ustawiona jest pod odpowiednim kątem, dzięki czemu mur nie runie na nieszczęsnych zbrojnych.

A skoro już na mnie napadł, to po podszytym delikatną ironią powitaniu postanowiłam odpłacić mu się pięknym za nadobne, czyli równie delikatnym ukłuciem:

- A może teraz, skoroś wspiął się tak wysoko, przestaniesz zauważać kogoś takiego jak ja?

A Wykeham, jak to Wykeham, dalej swoje:

- Czy domyślasz się, pani, dlaczego Windsor zaczął węszyć wokół ciebie?

- Windsor? Węszy? - Westchnęłam. - Może i tak... Ale nie mam pojęcia dlaczego.

- W takim razie cię oświecę. Chce dzięki tobie zdobyć przychylność Jego Królewskiej Mości.

- Czyżby? Jeśli tak, to nie sądzę, by mu się udało, bo ja do Windsora wcale nie jestem nastawiona przychylnie. Czyżbyś, panie, uważał mnie za płochą istotę, którą można omamić miłymi słowami i wykorzystać do swoich celów? - Byłam pewna, że po takiej riposie mnie przeprosi.

Ale myliłam się, bo lord kanclerz nie będzie się przecież tak poniżać, za to będzie dalej pouczać:

- Obawiam się, że masz za mało doświadczenia w obcowaniu z ludźmi tego pokroju - oświadczył bardzo dobitnie, każde słowo wypowiadając oddzielnie, zgodnie z rytmem stanowczych kroków. - A to człowiek dumny i bezwzględny, skąpy i ambitny. Oportunista bez żadnych zasad moralnych.

- Zapomniałeś o tym, że jest również człowiekiem bardzo zdolnym - odparłam, uśmiechając się do niego, gdy obrzucał mnie gniewnym spojrzeniem. - A poza tym... Nie sądzisz, panie, że na królewskim dworze takich właśnie ludzi jest zatrzęsienie? Wybacz, ale pozwolę sobie zauważyć, że ty sam jesteś tego najlepszym przykładem. Dumy i ambicji. Osoba duchowna wyniesiona na lorda kanclerza!

Wykeham milczał, a ja skłoniłam się wytwornie i z szelestem spódnic wkroczyłam do komnat królowej, gdzie już niebawem miałam okazję się przekonać, że Jej Królewska Mość również nie ma najlepszego zdania o Windsorze.

- Alice, widziałam, jak podczas uczyty rozmawiałas z Windsorem. Bardzo temu człowiekowi nie ufam i nie rozumiem, dlaczego Lionel trzyma go przy sobie. A ty co o nim sądzisz? Czy potrafi zabawić damę przy stole?

Przede wszystkim to musiałam głęboko odetchnąć. Matko Przenajświętsza! Wychodzi na to, że ta nieszczęsna rozmowa jest solą w oku dla wszystkich.

- Nie, milady. Tego bym nie powiedziała. - Zabawić?! On?! Przecież był niemal złowieszczy, czym zburzył mój wewnętrzny spokój, ten stan ducha, który wcale niełatwo było mi osiągnąć.

A dokonał tego William de Windsor, człowiek powszechnie nie lubiany i nie obdarzany szacunkiem.

A ja co o nim sądzę? Prawda była taka, że jeszcze tego dokładnie nie wiedziałam. Jedno tylko było oczywiste, choć i zarazem przedziwne, a mianowicie osoba Williama de Windsora nieustannie zaprzętała moje myśli, a wszelkie próby, by z tych myśli go usunąć, spełzały na niczym.

Edward zwołał naradę wojenną, podczas której omawiana była paląca kwestia zarządzania Irlandią. Na naradę przybył naturalnie Lionel wspierany przez Windsora. Obecna była również królowa, a także ja jako dama dworu towarzysząca Jej Królewskiej Mości. Filipa w tym czasie bardzo rzadko dawała wyraz zainteresowaniu sprawami handlowymi czy polityką, tym razem jednak troska o syna i lęk przed wybuchem mężowskiego gniewu przywiodły ją do stołu, przy którym toczyła się narada. I z takiego obrotu spraw wcale nie byłam niezadowolona. Bo gdyby było inaczej, czyż miałabym kiedykolwiek sposobność podpatrzeć Windsora? A bardzo chciałam usłyszeć, jak tłumaczy się ze swego udziału w rozwiązywaniu problemów irlandzkich. O tak! Bardzo chciałam zobaczyć, jak będzie wił się jak piskorz!

Jego Królewska Mość nie przebierał w słowach.

- Na litość boską, Clarence! Spodziewałem się, że mój syn wykaże się większą rozwagą! I silniejszym kręgosłupem!

- A czy wiesz, jak tam jest? - odparł równie gniewnie Lionel. - Irlandczyków nie da się ujarzmić. Tylko urodzeni w Irlandii Anglicy są wierni Koronie. Tylko na nich można się oprzeć, a cała reszta to banda rzezimieszków!

- I to jest właśnie główny powód, dlaczego w pierwszym rządzie trzeba tam zadbać o spokój, o to, by wszyscy jakoś mogli egzystować. A ty, kiedy w prowincji zapanował chaos, po prostu uciekłeś, pozwalając, by na opuszczonej przez królewskiego namiestnika ziemi ludzie kąpali się we własnej krwi!

- Bałem się o swoje życie!

Piękna twarz Lionela w tym momencie wydawała mi się wręcz odpychająca.

- Ja jednak spodziewam się, że będziesz starał się z nimi porozumieć, a nie pozbawiał ich swojej dostojnej osoby! Zdobędziesz ich zaufanie! A ty... - To do Filipy, która położyła dłoń na jego ramieniu, jakby miała nadzieję, że uda jej się przerwać tyradę małżonka. - A ty nawet nie próbuj go usprawiedliwiać! Twój syn jest zwyczajnym tchórzem.

- Zabrzmiało to lodowato. Z Edwardem zawsze tak było. Im większy ogarniał go gniew, tym bardziej był chłodny i opanowany. Oczy jak dwie bryłki lodu, a wokół ust pojawiała się ta szczególna bladość. - Za moich czasów...

Nie słuchałam dalej króla, tylko spojrzałam na Williama de Windsor. Cała jego uwaga z pozoru skupiona była na pięknie rzeźbionej boazerii na ścianie za królem, ale tylko do czasu, bo teraz właśnie oderwał od niej oczy i zwrócił je w moją stronę. I cóż ja takiego w tych oczach dojrzałam? Gniew? Rozdrażnienie? Chłód? Nie, nie potrafiłam tego określić. Ale za to coś nagle sobie uświadomiłam, coś, co sprawiło, że szybko spojrzałam w dół, na moje złożone ręce.

I znów wsłuchałam się w słowa króla:

- A jeśli chodzi o wojsko... - Metalowe kubki, wszystkie jak jeden mąż, podskoczyły, kiedy królewska pięść grzmotnęła o stół. - Słyszałam, że ci, którzy walczą w moim imieniu, dopuszczają się gwałtów i grabieży! Rabują, bo nie dostają zapłaty! Cóż się więc stało z pieniędzmi, które tam wysłałam? Gdzie pieniądze z podatków? Kto napełnił sobie nimi kieszenie? - Król wykonał w krześle gwałtowny półobrót. - Windsor! A o tobie jak dotąd to nic dobrego nie usłyszałam!

Jak zareaguje na te królewskie słowa William de Windsor? Co ma do powiedzenia władcy Anglii? Wstrzymałam oddech, sama nie bardzo wiedząc, co chciałabym usłyszeć. Czy wołałabym, żeby Windsor z tego pojedynku wyszedł zwycięsko, czy też przeciwnie, wołałabym, aby nie zdołał przeciwstawić się zarzutom króla? Znów więc miałam wobec tego rycerza mieszane uczucia.

Windsor natomiast pozostał niewzruszony. Twarz miał kamienną, a głos beznamiętny, i ani odrobiny skruchy, ale także ani odrobiny napaściwości, tak typowej dla Lionela. Jednak akurat taką postawą nie powinnam być zdziwiona.

- Przyznaję, że w tej prowincji kłopotów nie brak - oświadczył. - Wszystkie polecenia wykonałem najlepiej, jak potrafię, panie, za co do-

stałem należną zapłatę. Służę księciu Clarence, namiestnikowi. On jest tam władcą, a ja tylko wiernym sługą Korony.

Innymi słowy, przedstawił doskonale świadectwo niewinności, co też nienawistnym tonem natychmiast skomentował Lionel:

- Zadziwiające, jak szybko potrafisz się rozgrzeszyć!

Król podniósł rękę, nakazując mu milczenie, po czym zadał Windsorowi kolejne pytanie:

- Nie podejmowałeś żadnych samodzielnych kroków?

- Nie, panie - odparł Windsor, nadal mogący uchodzić za uosobienie spokoju. Przynajmniej na zewnątrz był absolutnie nieczuły zarówno na pogardę króla, jak i na złość Lionela, dlatego też, choć wcale nie byłam mu przychylna, po tej pierwszej potyczce z królem zdobył moje uznanie.

- Czy uważasz, że sytuacja w Irlandii jest beznadziejna? Windsor zadumał się głęboko, patrząc w swoje dłonie ułożone na

stole. Świetnie rozumiałam jego dylemat. Odpowiedź twierdząca nie zadowoli króla, natomiast odpowiedź przecząca będzie stała w całkowitej sprzeczności z tym, co mówił Lionel na swoje usprawiedliwienie. Żaden kompromis nie był tu możliwy, musiał wybrać jedno z dwojga, a od wypowiedzianych słów nie będzie już odwrotu. Jaką drogą pójdzie dalej przez życie William de Windsor?

Wreszcie uniósł głowę. Czyli kości zostały rzucone.

- Nie, panie, nie sędzę - odparł, nawet nie spoglądając na Lionela. Byłam prawie pewna, że ów długi namysł to był efektowny zabieg,

a sprawę już dawno przemyślał i odpowiedź na pytanie, którego mógł się spodziewać, w głowie była gotowa. Przecież Windsor miał jasną wizję swojej przyszłości i wcale nie musiał tkwić przy Lionelu. Wprost mi oznajmił, że jest ambitny i potrafi zadbać o swój interes. Owszem, można mu było zarzucić brak skrupułów, wcale jednak nie uważałam, że postąpił niewłaściwie.

- W Irlandii jest groźnie, panie, a z uwagi na panujące napięcie, trudno cokolwiek przewidzieć - mówił dalej. - Sytuacja tak bardzo nabrzmiała, że w każdej chwili może dojść do rewolty, uważam jednak, że można temu zapobiec, trzeba tylko działać bardzo ostrożnie.

- A ty, oczywiście, potrafiłbyś tego dokonać? - spytała król, nawet nie próbując ukryć pogardy.

- Tak, panie.

- Jeśli otrzymasz sowitą zapłatę...

- Tak jak powiedziałeś, panie. Gdybym miał w ręku wystarczającą władzę, a także bogactwo, rzuciłbym Irlandię na kolana.

- Zastanowię się nad tym.

Edward, bezwiednie bębniąc palcami po stole, zaczął się zastanawiać. Trwało to długo, a wszyscy milczeli jak zakłęci. Wokół martwa cisza, tylko stukot niecierpliwych palców, które w końcu znieruchomiały, a potem oczy króla oderwały się od witrażowego okna. Wszyscy poruszyli się, każdy zmienił nieco pozycję na krześle, by wysłuchać decyzji monarchy. Ale gdy król wciąż się nie odzywał, wszyscy zaczęli wymieniać się pełnymi niepokoju spojrzeniami.

Edward, wciąż zagłębiany w swoich myślach, nadal siedział nieruchomo.

Aż wreszcie Filipa, pragnąc wyrwać go z zadumy, położyła rękę na jego ramieniu i zaczęła mówić, jak sądzę, to, co pierwsze przyszło jej do głowy:

- Wiesz, Edwardzie, myślę, że musimy znaleźć Lionelowi nową żonę. Koniecznie!

Król potrząsnął głową i zamrugał, jakby powrócił z najciemniejszych czeluści.

- Żona? A tak, tak... Musimy to zrobić. Przecież pamiętam! - Powiedział to bardzo szorstko, mimo że zwracał się do Filipy, poza tym wcale nie była to sprawa błaha. Pierwsza żona Lionela zmarła przed trzema laty, więc mógł ożenić się powtórnie, a przez małżeństwo królewskiego syna można było zyskać nowych sprzymierzeńców. - Ale najpierw ta sprawa... - wymamrotał i znowu zamilkł.

- Panie, kogo wyślesz do Irlandii? - spytał Wykeham, wstając. Król tylko potrząsnął głową i wszyscy, naturalnie oprócz królowej, też powstali ze swoich miejsc. Wreszcie król oznajmił:

- Tę sprawę muszę jeszcze przemyśleć. Lionel, przyjdź jutro do mnie wraz z matką i zastanowimy się, jakież to zalety powinna posiadać twoja nowa żona...

Narada zakończyła się. Momentami była burzliwa i na pewno bezowocna. Byłam pewna, że Edward w młodszych latach nigdy by do tego nie dopuścił.

Kiedy pomagałam Filipie wstać z krzesła, gdzieś nad jej ramieniem napotkałam wzrok Windsora, i było to spojrzenie zwycięzcy. Niemal w tym samym momencie królowa też uniosła głowę, musiała więc zauważyć tę wymianę spojrzeń, ale nie powiedziała nic, tylko złapała mnie za rękę, pewnie wkładając w to wszystkie siły, które jej jeszcze pozostały.

Następnego dnia po porannej mszy ponownie spotkałam Windsora, lecz tym razem nie w biesiadnej sali czy podczas narady pod przewodnictwem króla, ale na korytarzu w pałacu. W wielce niedbałej pozie stał oparty o ścianę nieopodal drzwi prowadzących do komnat królowej.

- Pani Perrers! Wreszcie!

Ukłon, podobnie jak owa niedbała poza, był starannie wystudiowany i niezmiernie wytworny. Może to jakaś gra? Nie mogłam tego wykluczyć, dlatego z kolei mój ukłon ograniczył się tylko do lekkiego ugięcia jednej nogi w kolanie. Królowa niewątpliwie skarciłaby mnie za tak rażący brak ogłady.

- Sir William! Nie zauważyłam cię, panie, w kaplicy.

- Bo mnie tam nie było. Dokąd idziesz, pani?

Aż sapnęłam gniewnie, bo zabrzmiało to jednak zbyt poufale, musiałam więc osadzić aroganta i odpowiedziałam pytaniem:

- A dlaczego pytasz?

- Pomyślałem, że mógłbym cię odprowadzić.

- A po co?

- Ależ ty, pani, jesteś wytworna! Ot, prawdziwa dama dworu. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Niemniej i tak proszę, byś pozwoliła sobie towarzyszyć, a dowiesz się, jaki mam w tym cel.

Trzeba było przyznać, że w potyczkach słownych był adwersarzem jakich mało.

- Jak sobie życzysz. - Ruszyłam do przodu, śpiesząc spełnić polecenie królowej.

Windsor kroczył z tyłu w pewnym oddaleniu, ale już po chwili zrównał się ze mną, dzięki czemu byliśmy bardzo blisko siebie. Moim

zdaniem zbyt blisko, dlatego zaczęłam coś tam poprawiać przy moim szerokim rękawie, że niby William coś tam przygniótł, i zmusiałam go, by choć trochę się ode mnie odsunął.

A potem rzuciłam drobną, choć kąśliwą uwagę:

- Szkoda, żeś nie był na mszy. Mógłbyś pomodlić się o swoją przyszłość i kto wie, czy nie zostałbyś wysłuchany.

- Tak sądzisz, pani? Bo ja pewności nie mam.

- A spowiedź? Powiadają, że to dobre dla duszy.

- Przesadzają... A jeśli już mowa o mojej przyszłości, to w pierwszym rzędzie ty mogłabyś coś dla niej zrobić.

- Ja?! A cóż takiego? - Byłam tak zaskoczona, że nawet raczyłam na niego spojrzeć.

- Wstawić się za mną u króla, przekonać go, by wysłał mnie do Irlandii.

No tak, ziściło się! Nieoceniony Wykeham miał rację, słusznie przypuszczając, że Windsor będzie próbował mnie wykorzystać, zabiegając o przychylność króla. I oto poprosił mnie o to wprost. Byłam tak zaskoczona, że w pierwszej chwili znieruchomiałam, potem wykonałam półobrót, wbiłam w niego wzrok i oznajmiłam:

- Nie rozumiem, panie, dlaczego chcesz wracać tam, gdzie doznałeś już porażki.

- Porażki? Na pewno nie. Pani Perrers, zaufaj mi i wstaw się za mną u króla. Przekonaj go, że jestem mu wierny, przekonaj, że taki człowiek jak ja, z taką wiedzą i doświadczeniem, jest dla niego niezastąpiony. Zrobisz to?

- Nie, panie.

- Dlaczego?

Powiedzieć mu? A może lepiej, by sam do tego doszedł? Nie, jednak powiem, wleję mu tę kropelkę trucizny do ucha i popatrzę, jak zaczyna chwiać się ta jego niby niezachwiana pewność siebie i opanowanie.

- Nie ma najmniejszego sensu, bym wstawiała się za tobą u króla, sir Williamie, ponieważ nowym namiestnikiem z całą pewnością zostanie hrabia Desmond.

I proszę, koniec z umizgami. William był po prostu wstrząśnięty.

- Kto?! - zawołał.



- Desmond - powtórzyłam nieco głośniej. - To on będzie nowym namiestnikiem.

- Na Boga! On?!

- Oczywiście! - przytaknęłam nie bez satysfakcji. - Ma bardzo dobre urodzenie i mierzy wysoko.

- Tyle że w głowie pusto! I co z tego, że pozbyłem się Lionela, skoro w zamian będę miał na karku Desmonda!

Owszem, był wstrząśnięty, ale jednak panował nad sobą. Żadnych błysków w oku, tylko usta zaciśnięte bardzo mocno.

Odszedł, a ja dalej stałam, upajając się w duchu tym drobnym sukcesem. Trwało to jednak tylko krótką chwilę, bo zaraz zawołałam:

- Sir Williamie! Widzę, żeś wcale nie szukał mego towarzystwa dla przyjemności!

Natychmiast zawrócił, nadal z posępną miną, ale naturalnie bardzo opanowany.

- Wybacz, pani. Zachowałem się jak ostatni gbur.

- A tak. Właśnie tak.

Przeprosił, pocałował w rękę, było jednak oczywiste, że myślami jest gdzie indziej, naturalnie przy Desmondzie.

- Desmond... - wymamrotał. - O ile w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy nie uległ jakiejś cudownej przemianie, będzie we wszystkim wyręczał się mną. Robić jak najmniej, to jego dewiza... czyli będzie jeszcze gorzej niż z Lionelem. Będę miał na karku starego capa, który nawet nie zauważy, kiedy dojdzie do buntu...

I znów, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, odszedł.

Następnego ranka przyszedł na mszę. A jakże! Był śmiertelnie poważny i cały rozmodlony. Ja jednak głowę dałabym sobie uciąć, że i tak nie może przestać myśleć o Desmondzie. Ale modlił się żarliwie, czym mnie ujął.

Dopóki modlitwy nie skończył, bo wtedy zauważyłam na jego twarzy uśmiech. I był to uśmiech szatański.

Co, nie ukrywam, również mnie ujęło. Ten właśnie uśmiech. Dziwne, prawda?

Edward zaskoczył mnie. Okazało się, że nie pytając mnie o radę, już zdecydował. Windsor ma wracać do Irlandii i wspierać nowego namiestnika, hrabiego Desmonda. A ja pomyślałam, że zrobił to bar-

dzo chytrze. Zadowolili obie strony, poza tym postarał się, by przy Desmondzie był ktoś naprawdę odpowiedni. W każdym razie stało się oczywiste, że Windsor wkrótce uda się na buntowniczą wyspę, a ja nie wiedziałam, czy cieszyć się z wyjazdu osoby dla mnie jednak nieco kłopotliwej, czy też czuć rozczarowanie.

- Sądziłam, że nie jesteś mu przychylny - zauważyłam, kiedy Edward powiedział mi, że tego po trzykroć przekłętego i chytrego drania wysyła z powrotem do Irlandii, bo tam być może spotka go wreszcie to, na co zasłużył. Skończy marnie nadziany na miecz irlandzkiego powstańca.

- Owszem. Nie jestem. Ale on czuje Irlandię.

- A nie boisz się, że wykorzystując twoją łaskawość, uwije tam sobie gniazdo i obrośnie w piórka?

- Oczywiście, że tak zrobi. Bo, jak powiedziałem, to chytra sztuka.

- Kiedy ma tam jechać?

- Jak najszybciej, bo w Dublinie jest bardzo niespokojnie. Tylko czekać, aż coś się wydarzy.

Więc naprawdę wyjeżdża. I bardzo dobrze. Krzyżyk na drogę! Ale korciło mnie, by przed tym jego wyruszeniem w drogę jeszcze raz się z nim zobaczyć. Sama nie wiem, skąd się wziął u mnie taki pomysł, a na pewno był to dowód, że zdarza mi się zapominać o rozsądku.

Nie miałam pojęcia, gdzie znaleźć Windsora, więc szukałam go tu i tam, swoją nieobecność w wielkiej komnacie usprawiedliwiając bólem zęba. Zajrzałam wszędzie, nawet tam, gdzie raczej nie powinnam go zastać. Bo w kaplicy naturalnie go nie było. Tak samo w stajniach, salach audiencyjnych czy w przedpokojach, a także tam, gdzie kilku rycerzy raczyło się mocnym trunkiem. Czyżby już wyjechał? Z samego rana? Może, ale co w tym dziwnego? W końcu Windsor wykonywał rozkaz króla, a także gnało go do miejsc, gdzie miał możliwość spełnienia swoich ambicji.

Wyjechał i już. Skąd więc to dziwne ukłucie w sercu? Niepojęte...

- Pojęte. Bo jesteś głupia, Alice! - wyszeptałam.

Prawda była taka, że ten człowiek zawsze byłby solą w moim oku. Bo i co to za człowiek! Nie stać go było nawet na to, by się ze mną pożegnać! Nie spodobałam mu się, o nie.

Tak jak on mnie się nie spodobał!

Chociaż w tych naszych potyczkach słownych znajdowałam wielką przyjemność. O tak...

Tak sobie myślałam pełna sprzeczności, ale wiadomo, że Windsor od początku budził we mnie sprzeczne uczucia.

Poszłam jeszcze raz do stajni tylko po to, by upewnić się, że William wyjechał, i oto gdy rozejrzałam się uważniej niż poprzednio, okazało się, że jego deresz nadal tam stoi, tak samo jak konie świty. A więc gdzie może przebywać William de Windsor? Może w izdebce którejś z dziewczek sprzedajnych, których na królewskim dworze nie brakuje? Nie, to by do niego nie pasowało. Więc gdzie spędza swój ostatni dzień na królewskim dworze?

Już wiem!

Nie minęła chwila, a już stałam z uchem przyciśniętym do pewnych drzwi, za którymi nie było pusto, bo słyszałam głosy. Niestety nie potrafiłam ich zidentyfikować, nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko cierpliwie czekać, dalej zachodząc w głowę, skąd u mnie raptem ta przemożna chęć ujżenia Williama de Windsora. Nie udało mi się jednak tego rozwikłać - oczywiście w taki sposób, by moja duma zbyt nie ucierpiała - ponieważ drzwi otwały się i na korytarz wyszedł właśnie ten ktoś, na kogo polowałam. Tak oto znów ujrzałam Williama de Windsora, który skończył rozmowę ze skarbnikiem Edwarda. Czyli rzecz była o pieniądzach.

- Pani Perrers! - Skłonił się. - Nie wierzę własnym oczom!

- Sir William... - Też się pokłoniłam.

- Wyjeżdżam jutro.

- Wiem.

- Chciałaś, pani, pożegnać się ze mną? Czuję się zaszczycony. A może zechciałabyś poświęcić mi trochę więcej czasu? Wtedy ostatni dzień na królewskim dworze stałby się dla mnie dniem niezapomnianym.

Natychmiast stałam się bardzo czujna, jak zając, który na widok psów gotuje się do szaleńczego biegu o życie. Bo słowa Windsora były nadzwyczaj zuchwałe. Jak śmiał w taki sposób zrozumieć moje intencje? W pierwszym odruchu zamierzałam wziąć przykład z nieszczęsnego zająca, który umyka przed sforą, ale Windsor udaremnił mi ucieczkę, bezceremonialnie biorąc mnie pod łokieć, by poprowadzić do

pustej wnęki okiennej. Dotknął mnie, a ja odczułam to jakoś tak bardzo mocno. Przede wszystkim gorące stały się policzki, oczywisty sygnał, że pojawiły się tam rumieńce. Ale mogły być przecież oznaką gniewu, czyż nie tak? A co najmniej pogardy dla tego człowieka, który nie ma prawa ze mnie drwić, mieć mnie za nic! Nie, nie pozwolę mu narzucać swojej woli, tak jak nigdy nie przystanę na to, o co prosił. Poświęcić mu czas... Na Boga! Przecież wiadomo, co kryje się za tą prośbą!

Szybko odsunęłam się od niego, co sprawiło, że przeżyłam kolejny wstrząs, bo on wcale mnie nie puścił, tylko równie szybko przeniósł swe palce spod łokcia na nadgarstek.

- Sir Williamie! - oznajmiłam naturalnie lodowato. - Sądysz, że wejdziesz do twego łóża? Zdradzę króla?!

- A zrobiłabyś to, pani?

- Ja?! Oczywiście, że nie! Bo tak się składa, że nie wszyscy są pozbawieni skrupułów.

- A ja myślę, że zdecydowana większość w takim czy innym stopniu jest ich pozbawiona. A może powiesz mi, pani, jakim kochankiem jest król? Czy potrafi cię zadowolić?

- Czyja dobrze słyszysz?! Cóż za zuchwałość! Powiem ci tylko jedno, panie. Zawsze będę wierna Jego Królewskiej Mości!

Oczywiście, że nigdy go nie zdradzę, a już na pewno nie z takim człowiekiem jak William de Windsor... który, co tu ukrywać, mimo że straszny zuchwalec, to był jednak pociągający, i to nawet bardzo. A także potrafił zaskakiwać, jak choćby teraz, bo nagle całkiem zmienił front. Jakiś czas potem zorientowałam się, że często korzystał z tego fortelu, by zbić słuchacza z tropu.

- Nie wątpię, pani. I mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

- Co? Wiem już, że nie pragniesz mnie w swoim łóżu. Cóż więc innego mogłabym dla ciebie uczynić?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś przesyłała mi informacje o tym, co myślą o mnie na królewskim dworze, a także o zmianach w polityce króla odnośnie do Irlandii.

O proszę! Czyli w głowie mu przede wszystkim polityka, a nie uciechy łóża. Tak, byłam trochę urażona, że tak łatwo zrezygnował z moich wdzięków, stąd pytanie:

- A cóż z tego będę miała?

- Chcesz zapłaty?

Uśmiechnęłam się, pewna przy tym, że jest to uśmiech głupawy, a zaraz po tym uśmiechu przeżyłam kolejny wstrząs, i to o sile niebywalej. Bo William de Windsor mnie pocałował! Nie był to pocałunek namiętny, nie był też czuły, jego wargi po prostu na moment przylgnęły do kącika moich ust, nic więcej. Po prostu taka zapowiedź, co mogłoby czy też ewentualnie kiedyś może się między nami wydarzyć.

Zareagowałam natychmiast. Ręka sama się poderwała i wymierzyła zuchwalcowi siarczasty policzek.

A on zawołał ze śmiechem:

- Słodka Alice! Jakież brak opanowania!

Byłam wstrząśnięta w równiej mierze jego postępkami, jak i moją reakcją, tak bardzo gwałtowną, że musiałam zrobić wszystko, by odzyskać równowagę. Co nie było łatwe, skoro serce biło jak oszalałe, w żyłach czułam tętniącą krew, atakowały mnie fale gorąca.

- Widzę, żeś wyuczył się, panie, oglądy od irlandzkich dziewczek sprzedajnych!

- Zawsze dostosowuję się, pani, do tego, z kim w danej chwili przebywam.

Nie dość, że słowa były zuchwałe, to jeszcze to spojrzenie, którym mnie zmierzył... Pod tym spojrzeniem poczułam się obnażona, po prostu naga, nagusienka, dlatego moja ręka znów gotowa była do czynu. Jednak Windsor był szybszy. Chwycił moją rękę, tę właśnie, która ponownie miała go trzasnąć w twarz, i podniósł ją do ust.

- Bardzoś porywcza, pani! - stwierdził, po czym moją rękę puścił i jakby nigdy nic przeszedł do interesów. - Proszę, powiadamiał mnie, pani. I zadbaj o siebie. Postaraj się zdobyć jak najwięcej, bo kiedy króla i królowej zabraknie, twoi wrogowie cię zniszczą, dlatego już teraz napełniaj szkatułę, chyba że chcesz skończyć w rynsztoku.

- Ależ wcale nie jestem zachłanna!

- Tu nie chodzi o zachłanność, lecz o zapobiegliwość, innymi słowy, powinnaś, pani, zatroszczyć się o siebie teraz, kiedy jeszcze masz ku temu możliwości. Czy to chciwość? Nie, bo potem może być za późno. Kiedy Edward spocznie w grobie, nikt już ci ręki nie poda. Pojmujesz?

I tak będzie... Byłam przerażona ponurą wizją, którą Windsor roz-  
toczył przede mną. Milczałam w tej galopadzie myśli.

- Alice, odpowiedz mi!

Co zobaczyłam w jego oczach? Współczucie, a to bardzo mi się nie  
podało.

A odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Tak. Pojmuję.

Po śmierci Edwarda i Filipy koronę włoży książę Walii, też Edward,  
zwany Czarnym Księciem, którego małżonką jest Joanna, owa  
Nadobna Joanna. Czyli na dworze królewskim zabraknie dla mnie  
miejsca.

- Myślisz, że będziesz damą dworu rozpustnej Joanny? - spytał  
Windsor.

Naturalnie, że nie. Nie miałam żadnych złudzeń. Dopóki Joanna jest  
w Akwitanii, nie mam się czego lękać, ale kiedy wróci do Anglii...  
Pamiętałam przecież doskonale jej pełną złości pogardę dla ludzi uro-  
dzonych niżej. A mną gardziła wyjątkowo mocno.

- Los twoich synów też będzie bardzo niepewny. Zastanawiałaś się  
nad tym?

Jakbym dostała obuchem w głowę! Moi synkowie!

- Przecież nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Poza tym posiadam  
jakiś dobytek.

- Dobytek! Dwie beczki gaskońskiego wina za służenie królowej?  
Wiadomo przecież, że Edward nie jest zbyt hojny. - Podsumował te  
słowa ponurym uśmiechem.

- Ale ja mam dobra...

- Tak? A czy przynoszą taki dochód, że zawsze będziesz mogła żyć w  
takim zbytku jak tutaj, na królewskim dworze?

- Mam dwa dwory i domy w mieście. - Przecież to niemało i na pewno  
kiedyś uchroni mnie przed nędzą. Tak uważałam i trzymałam się tego  
twardo.

Windsor był jednak innego zdania.

- Sądzisz, że dwa dwory i dom w mieście wystarczą, by odpędzić  
widmo nędzy, kiedy nastaną dla ciebie złe czasy? No, przyznaję, nędzę  
odpędzą, ale przecież zasmakowałaś życia na królewskim chlebie. Czy  
będziesz potrafiła żyć skromnie? Bardzo skromnie, bo zima długa,

a zimą przecież twoje dobra nie napełnią ci sakiewki. I jeśli nie posłuchasz mojej rady...

- Przecież nie powiedziałam, że nie posłucham.

- To prawda, ale... ale naprawdę przemyśl to sobie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w milczeniu w jego twarz o bardzo ostrych rysach. Windsor spojrzenie miał twarde, co dowodziło, że doświadczył wiele w swym życiu i nie zawsze były to miłe zdarzenia.

- Ale dlaczego to robisz, panie? Dlaczego troszczysz się o moją przyszłość? Przecież dla ciebie jestem nikim.

Wtedy wsunął palec pod moją brodę, odwracając twarz ku światłu, a ja tym razem nie opierałam się. W końcu zadałam mu bardzo ważne dla mnie pytanie i koniecznie chciałam poznać odpowiedź.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł cicho. - Jesteś porywcza

i przewrotna, a ja za takimi kobietami nie przepadam, jednak z jakiegoś powodu zależy mi na tym, by ci się wiodło. Bo i niby dlaczego miałyby być inaczej?

Milczałam. Wolałam się teraz nie odzywać, bo nagle pomyślałam, czy przypadkiem oboje w tym momencie nie jesteśmy nieuczciwi, a co najmniej zamiast prawdy serwujemy półprawdy. Może i tak, w każdym razie w głowie miałam chaos i wielką ochotę na ucieczkę. Co próbowałam uczynić, Windsor jednak nie po raz pierwszy ucieczkę udaremnił, łapiąc mnie za rękę.

- Panie!

- Alice, nigdy więcej już się nie spotkamy.

Za co jestem losowi niezmiernie wdzięczna, pomyślałam natychmiast i nawet miałam te słowa już na końcu języka, wyczułam jednak, że Windsor jakby zeszywniał. Czyżby takiej właśnie niemiłej odpowiedzi się spodziewał? Jego palce na moim ręku zacisnęły się bardzo mocno. Ciemnoszare oczy pociemniały, jakby to, co miał zaraz usłyszeć, było dla niego niezmiernie ważne.

W związku z czym - ponieważ, jak usłyszałam, jestem ponoć przewrotna - milczałam. A on wyraźnie się odprężył.

- Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Mam. Do widzenia, sir Williamie. Skrzywił się.

- No tak... Cóż innego można teraz powiedzieć? Napiszesz, pani, do mnie?

- Zastanowię się nad tym. - Gdy jego palce przesunęły się w dół i objęły moją dłoń, zareagowałam żywo: - Panie! Przecież tu w każdej chwili może ktoś się pojawić!

- Nie dbam o to, i ty też, jak przypuszczam. Podziwiam cię, Alice. Podziwiam twój hart ducha, twoją wierność Jego Królewskiej Mości. Podziwiam twoją determinację, a także to, że przyzwalaś, by czyjeś rady wpłynęły na twoją decyzję, jeśli są dobre...

Zdawałam sobie sprawę, że moje zaskoczenie jest doskonale widoczne, bo byłam bardzo zaskoczona. Czyżby Windsor naprawdę widział mnie właśnie taką?

Ucałował moją dłoń, spoglądając na mnie po prostu uwodzicielsko. Tak, bo spojrzenie było powłóczyście! Po czym spytał:

- A czy we mnie jest coś, co ty podziwiasz, pani?

- Nie. Nie ma.

- Trudno - skwitował z uśmiechem. - Ale i tak nie pomniejsza to mego podziwu. Uwierz, pani, podziwiam cię szczerze, nawet jeśli nie zawsze wierzę twoim słowom. - Przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował, jednak tym razem był to pocałunek jak się patrzy, a chłodne wargi Williama bardzo kuszące. - Żegnaj, Alice. - Skłonił się, pomachał kapeluszem ozdobionym piórem i odszedł.

Innymi słowy, wyruszył w drogę do tej swojej Irlandii.

- I chwała Bogu! - wyszeptałam.

Niestety, nie mogłam przestać o nim myśleć.

Co czułam do Williama de Windsora? Podobnie jak on, nie potrafiłam tego sprecyzować. Jeśli chodzi o Edwarda, to podstawowym moim uczuciem było przywiązanie, a także podziw, szacunek, współczucie. A miłość? Chyba tak, miłość zrodzona z wdzięczności. I miała smak zakazanego owocu.

A jak to jest z tym człowiekiem, któremu udało się wdrzeć do mej świadomości? Budził we mnie uczucia o wiele gwałtowniejsze i gorętsze, gdy tylko jego ciepłe wargi dotknęły mych ust, mej ręki. Kiedy całował, drżałam, i wcale nie dlatego, że mi się nie podobało, że czułam niesmak...



Nie, wcale nie chciałam, żeby jechał do Irlandii! „A czy we mnie jest coś, co ty podziwiasz, pani?” Och, niech już lepiej jedzie do tej Irlandii!

„Wtedy ostatni dzień na królewskim dworze stałby się dla mnie dniem niezapomnianym”.

Byłam zachwycona, że wyjechał, jako że nigdy nie zdradziłabym Edwarda. Nigdy! Przecież i dzień dzisiejszy, i moja przyszłość były w szczodrych rękach Edwarda, a także rękach Filipy, która łaknęła pomocy i ulżenia w cierpieniu. A na pewno nie w rękach tego zuchwałego grubianina, niewiele lepszego od zwyczajnego prostaka. Zuchwalca, któremu zależy na poplecznikach, a na moralności nic a nic!

William de Windsor nie był przeznaczony dla mnie. O nie! Odruchowo podrapałam się po dłoni, jakbym chciała zetrzeć ślad jego pocałunku. Bo to pomoże mi wyrzucić Windsora z pamięci. Na pewno pomoże, na pewno...

Niestety, nic nie pomogło. Wspomnienie o jego niezaprzeczalnej atencji głęboko wryło mi się w pamięć, a także wspomnienie o przestroгах dotyczących tych, którzy nie darzą mnie miłością. Myślałam o tym długo w noc, a wczesnym rankiem, już po wyjeździe Windsora, do mych drzwi zapukał chłopiec. Na pewno był to młodziutki masztalierz, bo przyniósł przecież ze sobą zapach koni i słomy. Skłonił się, bez słowa wcisnął mi do ręki koniec długiej skórzanej smyczy i umknął. Na drugim końcu tej smyczy był oczywiście pies. Wilczarz, jeszcze szczeniak. Suka. Siedziała grzecznie i wpatrywała się we mnie, jakbym była smakowitą kością. Ja naturalnie wpatrywałam się w nią, na ten podarek, do którego nie dołączono choćby kilku słów przez posłańca lub na piśmie.

I znowu zwierzę. Król dał mi kiedyś konia, dziś dostałam psa. Kocham zwierzęta, ale co za dużo, to niezdrowo.

- Posłuchaj, mała... - Suczka nadstawiła uszu. - Nie przepadam za psami, chociaż wiem, że jesteście bardzo pożyteczne. - Nie odrywała ode mnie oczu. - Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego Windsor подарował mi właśnie ciebie? I co ja mam z tobą zrobić? - Pies zamerdał ogonem i otworzył pysk, z którego wysunął się różowy język. - Chyba odeślę cię z powrotem do stajni. Nie przystoi, by taki pies biegał po komnacie damy. - Gdy suczka westchnęła głęboko i żałośnie, dodałam

szybko: - Tak to już jest! Ale ponieważ damą nie jestem, mogłabyś tu zostać, Windsor najpewniej uważa, że powinnam mieć psa obronnego. Przed kimże jednak miałabyś mnie bronić?

Jak widać, nie ma żadnych wątpliwości, że ktoś taki się znajdzie. Tylko kto? Kto konkretnie?

Nad tym zastanowię się później.

- I jak tu ciebie nazwać? - spytałam, obchodząc suczkę wkoło. A ona już zdążyła się przesunąć na ciepłą plamę słonecznego blasku, położyła się na brzuchu, złożyła głowę na przednich łapach i zadowolona przymknęła oczy. - Może Windsor?!

A dlaczego nie? Wilczarze, jak wiadomo, to psy pełne determinacji i potrafią być bezlitosne...

Jeszcze raz przemaszerowałam dookoła, a pies podniósł głowę i wodził za mną oczami.

- Tak. Na pewno zostaniesz ze mną. Ale nie mam serca nazwać ciebie Windsorem. O nie. Będiesz nazywać się Braveheart! - Czyli Waleczne Serce. Pięknie!

Pogłaskałam Braveheart i przysiadłam na krześle, a suczka ponownie złożyła niemałą głowę na przednich łapach i przysnęła, a ja pogrążyłam się w rozmyślaniach o przestrojach Windsora. A tak! Bo powinnam przede wszystkim nad tym się zastanowić, a nie wspominać jego pocałunki!

Czyli nadszedł czas, by znowu napisać do gospody Tabard.

Greseley nadal uwijał się tak w moim, jak i oczywiście w swoim interesie, w różny sposób pomnażając zasoby, między innymi udzielając niewielkich pożyczek. Szczegóły tych transakcji mnie nie interesowały, dałam mu przecież wolną rękę w czymś, w czym naturalnie uczestniczyłam. Dowodem na to były na przykład przesłane z sądu dokumenty z rozprawy, na której oczywiście byłam nieobecna. A chodziło o zwrot dwustu marek, które pożyczył Richard Kent z Londynu, handlarz rybami. Pożyczył je ode mnie za pośrednictwem mojego pełnomocnika. Ale najważniejsze było to, że Greseley za intratę z dóbr Gracechurch kupił mi dożywotnie użytkowanie dworu Randstone w Northamptonshire. A poza tym miałam już Ardington...

Trochę się tego uzbierało, ale chciałam więcej. I to bardzo, bo jakże nęcące jest poczucie, że ma się ileś tam akrów pól, łąk i ogrodów, dwo-

rów i innych zabudowań, a także kilka kamienic w Londynie! Albo dzierżawę zamku na północnym krańcu królestwa! I do spełnienia poczucia, że jestem prawdziwą posiadaczką takich dóbr, prawdziwą posesjonatką, dążyłam w miarę mych możliwości. A ileż widziałam tych możliwości w mych nie tylko marzeniach, ale i konkretnych planach, jaśniejących tam jak na firmamencie niebios jaśnieje Gwiazda Północna! A skoro wydaje się to osiągalne, to naprawdę nie warto opierać się pokusie. Kiedy przyszedłam na świat, nie miałam nic, ale tego dnia, gdy podczas porannej mszy klęczałam obok Edwarda, przysięgłam sobie, że z tego świata nie odejdę z pustymi rękami. Najświętsza Paniienka spojrzała na mnie wtedy jakoś tak posepnie... Nie, nie, tylko tak mi się wydawało, bo kiedy składałam ręce do modlitwy, Jej łagodny uśmiech już wygładzał moje wzburzone myśli, już koił...

I utwierdzałam w przekonaniu, że nie będę usatysfakcjonowana, póki nie podwoję liczby moich dworów.

Za przyzwoleniem Edwarda pożyczyłam ze skarbca królewskiego pewną kwotę, wysłałam polecenia Greseleyowi i dwór w Meonstoke zmienił właściciela. A moja przyszłość nagle wydała mi się o wiele pewniejsza, stabilniejsza, bardziej podatna na konkretne plany.

- I cóż masz teraz do powiedzenia, sir Williamie?! - posłałam w przestrzeń wyszeptane pytanie.

Och! William na pewno machnąłby tylko lekceważąco ręką, gdyby poznał moje dokonania, a pytanie by do niego dotarło.

Lub gdyby nasze drogi - nie daj Boże! - znowu się spotkały.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zamek królewski Windsor otoczony jest grubymi murami obronnymi i wieżami. Ściany obwieszane zwierciadłami skrzą się i migoczą, wszędzie też dzięki fantazyjnym wizjom Wykehama widzisz róże, rozpasane róże, bo wielkie od sufitu do podłogi. Przeważają błękit, zieleń, cynober, i tak ogólnie to jak na mój gust trochę tu zbyt jaskrawo, ale i tak godne podziwu. I tyle wszędzie złotych listków. Aż tak wiele, że pewnie można by nimi zasypać od dziobu po rufę Christophera, okręt wojenny Edwarda.

Pełnia lata. Słońce dodatkowo złoci przepych tego miejsca, będący jakże widowym i wspaniałym dowodem wielkości monarchii. A monarchini niestety niedomaga.

W tamtym bowiem czasie Filipa, królowa Anglii, w ogóle już nie opuszczała łoża, tylko leżała nieruchomo, ponieważ każdy najmniejszy ruch ręką lub nogą sprawiał jej niewysłowiony ból. I niczego nie mogłam już dla niej zrobić. Wywar z kory brzozy, błogosławiony lek w wielu dolegliwościach, niewiele mógł pomóc skrajnie wyniszczonemu okrutną chorobą ciału. Od wielu miesięcy nie potrafiłam już uśmierzyć straszego bólu, choćby w niewielkim stopniu. To, co pomagało lżej chorym, tu okazywało się bez żadnej leczniczej mocy. Poza tym czy te wszystkie wywary, napary i nalewki można podawać bez końca? Tego nie wiedziałam, i był to dla mnie powód do ogromnego niepoko-

ju. Znow wracały porównania z lżej chorymi. Leczy się ich jakiś czas, a po wyleczeniu lek odstawia. Jednak z królową było inaczej, po prostu przez długie lata dostawała coraz mocniejsze i coraz większe dawki różnych leków... czy tak wolno? Czy to jeszcze pomaga? A może tylko już szkodzi? Nic na ten temat nie wiedziałam. Ot, choćby taki przykład. Filipa, kiedy dręczyła ją bezsenność, co zdarzało się często, prosiła o kubek wina doprawionego czymś, co pomoże jej zasnąć. Więc podawałam jej to wino z dodatkiem, a Filipa niby zasypiała, ale złym snem, na pograniczu delirium, przerywanym chwilami całkowitej przytomności. Czy taka reakcja była wynikiem nadużywania owego dodatku przez lata, czy też skrajnie wycieńczona królowa reagowała tak jakby sama z siebie? Niestety nie wiedziałam tego, mogłam tylko bezpłodnie dywagować, ale dociec prawdy nie miałam możliwości.

Tak czy inaczej, głównie ja zajmowałam się Filipą. Spędzałam przy niej wiele godzin, a inne damy dworu wcale nie ociągały się z ustąpieniem mi miejsca przy łożu chorej królowej.

Czy narzekałam z tego powodu? Naturalnie, że nie! Do głowy by mi nie przyszło, by tak postąpić. Przecież zawdzięczałam jej wszystko, tej istocie nadzwyczajnej, która w sercu miała tyle miłości, i niewyczerpane, zdawać by się mogło, zapasy hartu ducha. A zarazem było w niej tyle łagodności, delikatności i miękkości co w piórkach na piersi gołębicy. Była człowiekiem, który jako jedyny dojrzał we mnie wystarczająco dużo pozytywów, by wydobyć mnie z mrocznej niedoli. Przecież zostałam wezwana przez Filipę na królewski dwór, gdzie wiodłam to swoje życie, tak odmienne niż życie innych ludzi. Zawdzięczałam jej wszystko, jakżeż więc mogłabym wzdragać się przed czuwaniem przy jej łożu?

- Czy Izabela jest tutaj? - spytała królowa słabym głosem.

- Nie, milady. Jest we Francji, ze swoim mężem.

- Oczywiście... - Filipa na próżno starała się rozciągnąć blade wargi w uśmiechu. - Zdziwiałam, że jeszcze trwa przy nim! - I zdobyła się na kolejny wysiłek, na śmiech cichy jak westchnienie. A potem spytała: - Gdzie Lionel?... Och, nie... Już sobie przypominałam...

Oczy królowej zalśniły od łez. Przecież Lionela, jej ukochanego syna, nie było już wśród żywych. Udał się do Italii i podczas suto zakrapianego winem wesela, jako ledwie co poślubiony małżonek pięknej

włoskiej księżniczki Violante z rodu Viscontich, nagle zapadł na dziwną gorączkę i pożegnał się z życiem. Filipa westchnęła i wyznała szeptem:

- Jestem taka znużona, Alice... - Przetarłam mokrym płótnem czoło królowej i usta, a w moim sercu narastał coraz większy strach. - Weź mszał, Alice, i przeczytaj mi modlitwę do Najświętszej Maryi Panny...

- Przeczytałam więc modlitwę, co dało królowej trochę ukojenia, a zaraz potem paniczny już strach ścisnął mnie za gardło, bo usłyszałam ciche: - Alice, czy ja już umieram? Czy długo to jeszcze będzie trwać?

- Nie, Wasza Królewska Mość. Już niedługo.

- Niech ci Bóg pobłogosławi za twoją szczerłość, Alice. Czy król nadal jest w Anglii?

- Tak, milady. Jest w Londynie, w Tower.

- Tak bardzo go potrzebuję. Alice, poślij po niego. Powiedz mu... powiedz, że ma nie zwlekać...

- Tak, Wasza Królewska Mość. Już po niego posyłam!

- Ale czy nie będzie zły, że odciągam go od pilnych spraw związanych z Francją?

- Nie, milady, na pewno nie - zapewniłam, ostrożnie ocierając jej łzy. Przecież królowa nawet tego nie była w stanie zrobić. - Król nigdy nie ma do milady żadnych pretensji. Kocha milady nad życie i nigdy by milady nie wybaczył, gdyby milady nie powiedziała mu szczerze, jak cierpi i czego potrzebuje.

Bo Edward miał wielkie poczucie obowiązku, co dla mnie było godne największego podziwu. Kiedy Francuzi, idąc na Ponthieu, stworzyli zagrożenie dla Gaskonii, Edward natychmiast odstąpił od polityki pokojowej i zaczął szykować się do nowej wojny, żądając zwrotu korony francuskiej. Owszem, szeptano po kątach, że król jest już zbyt posunięty w latach, by brać udział w wyprawie wojennej, ale rycerz tak dumny jak Edward nie mógł postąpić inaczej. Jego syn, książę Walii, po poważnych niedomaganiach był jeszcze zbyt słaby, by poprowadzić wojska na wroga, dlatego podjął się tego Edward. Był przecież królem i nie mógł dopuścić, by dorobek jego długiego życia został zaprzepaszczony. Już po niecałym miesiącu wysłał do Calais Jana z Gandawy, natomiast Edward wraz z wojskiem miał dotrzeć tam później. Teraz Edward był w Tower,

zajęty przygotowaniem do ruszenia w pochód, wiadomo jednak było, że w razie potrzeby rzuci wszystko i przybędzie do Filipy. Bo królowa jest ważniejsza niż rzucenie Francuzów na kolana. Król na pewno tu przybędzie. Oby tylko nie za późno... O to modliłam się żarliwie, bo tu, w tej komnacie, śmierć czyhała już, kryjąc się po ciemnych kątach. Ta pani nieproszona i nienawistna, i z każdym dniem coraz silniejsza...

Edward przyplął Tamizą królewską barką walczącą z przyplływem. Cały dwór wyległ na pomost, by powitać Jego Królewską Mość. Ja oczywiście też tam byłam, ale nie tylko by powitać, ale może i ostrzec.

Nie widziałam go przez sześć tygodni, więc trudno, żebym nie dostrzegła niepokojących zmian w wyglądzie króla, które zaszły w tym czasie, choć dla poddanych niewątpliwie te zmiany były niezauważalne, bo zawsze widzieli w nim króla w aureoli sławy. Nadal przecież był wysoki, dumnie wyprostowany, piękny i ze wszech miar królewski. A także łaskawy, gdy dziękował dobrym słowem i uśmiechem tym, co przywieźli go tu z Tower. Plecy króla nadal były barczyste, na Szerokiej piersi złociste lwy haftowane na czerwonym jedwabiu. Lecz kiedy król podniósł się ze swego siedziska na rufie, od razu dostrzegłam niepokojące zmiany. Przede wszystkim to, że zwykle podczas podróży barką stał wyprostowany, z głową uniesioną. Dumny władca stał, by widzieć wszystko i sam być widziany. A podczas tej podróży siedział. Mało tego, gdy schodził na ląd, opierał się ręką na ramieniu pazia. Nie, nie opierał się o niego całym ciężarem, niemniej korzystał z jego pomocy. I bez wątpienia nogi były zeszywniałe, bo pierwsze kroki stawiał bardzo niepewnie. A zmarszczki wokół oczu i ust na pewno były głębsze niż kilka tygodni temu, kiedy całowałam je na pożegnanie.

Och, Edwardzie! Jak bardzo głębokie ślady mogą zostawić na człowieku zmartwienia i upływ lat! A ciężar obowiązków odbiera ciało odporność. W pierwszej chwili chciałam podbiec do niego, scałować z pociemniałych oczu wszystkie smutki, ale oczywiście nie zrobiłam tego, bo to nie pora, by miłośnica rzuciła się królowi na szyję. Doskonale wiedziałam, że podczas tego powitania nie będę mogła odpędzić trosk z jego czoła, ponieważ powinnam usunąć się w cień. Byłam tym bardzo przybita, a przez chwilę nawet żałowałam, że wyszłam go powitać. Lepiej było zostać przy królowej. Tam przynajmniej moja sytuacja

była jasna, wiedziałam dokładnie, co trzeba zrobić przy ciężko chorej królowej, która niebawem odejdzie na zawsze.

A kiedy jej nie będzie, nie będzie już miejsca dla Alice na królewskim dworze. Chyba że król...

Odpędziłam te smutne myśli i złe przeczucia, bo teraz nie była na nie pora. Najważniejsze było spotkanie Edwarda z chorą żoną.

Lord Latimer, marszałek dworu, pokłonił się, ja również złożyłam głęboki ukłon. Edward skinął głową, witając zebranych dworzan. Wtedy odruchowo chciałam zrobić krok w tył, ale usłyszałam:

- Pani Perrers...

- Słucham, Wasza Królewska Mość.

- Powiedz mi, pani, co z moją żoną. Czy ona... umiera? - Głos króla był jakby obcy, zachrypnięty od nieprzelanych łez.

- Tak, panie.

- Czy zdaje sobie z tego sprawę?

- Tak, panie. I żałuje, że prosiła, byś przyjechał.

- Jakże mogłem nie przyjechać! Właśnie teraz! Przecież jest dla mnie wszystkim.

- Tak, panie.

Przełknęłam, bo w gardle ścisnęło z żalu, smutku i z wielkiego lęku, przecież wzruszająca deklaracja króla wcale nie była pomocna w wyjaśnieniu mojej obecnej sytuacji.

Cofnęłam się nieco, a król ruszył ku wejściu do pałacu. Szedł bardzo szybko, prawie biegł, bał się przecież, że może być za późno...

Na szczycie schodów jednak przystanął.

- Alice, chodź ze mną. Królowa na pewno cię potrzebuje.

Nie, wcale nie paliłam się, żeby tam iść, byłam bowiem przekonana, że małżonkowie powinni być teraz sami, tylko we dwoje. Ale skoro taka jest wola króla...

Więc poszłam za nim, dzięki czemu byłam świadkiem ich spotkania, spotkania dwojga ludzi, którzy darzą się tak wielką miłością. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak bardzo mnie to poruszy, i że będzie to dla mnie tak ciężkie. Także dlatego, że uprzytomniłam sobie, czego w moim życiu brak. Tej miłości, zapewne zawsze tak wielkiej, a teraz, w obliczu śmierci, wcale niesłabnącej. Przeciwnie - jaśniejącej.



Na krótką chwilę, na mgnienie oka w mej pamięci ożył William de Windsor. Ożył nieproszony, po prostu tak chciał, jak to on. Owszem, nie mogłam przeczyć, że między mną a nim coś się narodziło, ale na pewno nie była to taka miłość, jaką właśnie miałam przed oczami. Miłość Filipy i Edwarda, tak wielką, wprost nie do uwierzenia, że taka miłość istnieje. Sprawy cielesne, upływ czasu nie miały żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, co w sercu.

Filipa uniosła rękę spoczywającą na śnieżnej bieli pościeli i wsunęła dłoń w dłoń króla, jej męża, jej miłości. A Edward padł przed nią na kolana.

- Drogi Edwardzie... przybyłeś. - Głos miała bardzo słaby, mówiła bardzo niewyraźnie, ale i tak wyczuwało się wielką radość.

- Nie byłaś pewna, że przyjadę?

- Nie, nie. Alice mówiła przecież, że przyjedziesz... Przemknęła spojrzeniem po nieruchomej postaci przy drzwiach, czyli po mnie, osoby teraz dla niej nieistniejącej. Oczywiście! Widziała tylko mężczyznę, który klęczał przy jej łożu. Ukochanego mężczyznę.

- Och, Edwardzie... Już tyle lat jesteśmy razem...

- Tak, moja miła. Nigdy bym nie wybrał innej. Tylko ciebie, moja miłości - wyszeptał Edward, delikatnie odgarniając włosy z jej czoła. Biedne, cienkie włosy, które wcale już nie lśniły.

- A ty jak zawsze jesteś czarujący...

Cichy dźwięk, który mógł być takim cichutkim, drżącym śmiechem.

- Jesteś dla mnie wszystkim, miłości moja. Tylko ciebie pragnąłem, tylko ciebie pragnę...

Och nie! W takiej chwili nie powinno mnie tu być! Szybko zrobiłam krok w tył, wciskając się w gobelin, jakbym chciała się w nim schować. Czułam na plecach twarde sploty i jeszcze twardsze kamienie. I czułam cały czas te wyrzuty. Nie, nie powinno mnie tu być...

I znów cichutki szept królowej:

- Kiedy mnie już nie będzie, Edwardzie...

- Nigdy!

- Kiedy mnie już tu nie będzie, czy spełnisz, Edwardzie, moje trzy prośby?

Słyszałam, jak Edward bardzo głęboko nabrał powietrza.

- Wszystko, co chcesz, pani. Wszystko!

- Proszę, spłacić moje długi. Mam wielkie wyrzuty sumienia, że tego nie zrobiłam.

- Bo moja miła nie potrafi zadowolić się byle czym! - Niby taki żarcik... Głos króla był cichy, nieskończenie łagodny, nabrzmiały od łez.

A moje policzki już były całe mokre, też od łez.

- Zrobisz to, Edwardzie, prawda? A poza tym proszę, pamiętaj o darach i ofiarach, które zamierzałam przekazać.

- Będę pamiętał.

- I ostatnia prośba. Mój miły... czy kiedy twój ziemski czas też dobiegnie końca, położysz się koło mnie, w opactwie westminsterskim?

- Tak, najdroższa. Będziemy tam razem.

Edward pochylił głowę, tuląc czoło do dłoni żony. I tak trwali w ciszy komnaty, a ja już nie wahałam się. Owszem, kazano mi tu przyjść, ale dłużej tu być nie mogę. Nikt nie będzie mnie potrzebował, nikt nie zauważy mej nieobecności. Cichusieńko uchylłam drzwi i wysunęłam się do przedpokoju. Drzwi zamknęłam równie cicho i przeszłam przez puste przedpokoje, ale nie wróciłam do swej komnaty, tylko weszłam po schodkach na zamkowe mury i ruszyłam przed siebie chodnikiem dla straży. Chciałam pobyc sama, po prostu żeby się wypłakać. Tak bardzo było mi żal tych dwojga ludzi, darzących się największą miłością. Bardzo. Ale nie tylko ich, żal mi było także mnie samej. Gdzie będę leżeć po śmierci? Kto położy się obok mnie? I kiedy go o to poproszę? Albo ten ktoś mnie? Przecież nadal byłam sama jak palec. Nie miałam przy sobie nikogo bliskiego, nikogo naprawdę mi życzliwego. Jedyne osoby, do których się zbliżyłam, to gasnąca Filipa i Edward. Och Boże... Na całym świecie nie ma nikogo, kto by o mnie myślał i troszczył się. Może tylko Windsor chciałby to zrobić... Ale nie, to nie jego sposób bycia i nie jego uczucia, był przecież wielkim egoistą.

Takim samym jak ja.

A Wykeham już bardzo dawno temu mnie przeklął.

Płakałam gorzkimi łzami z tej wielkiej rozpacz, bo tak bardzo żal mi było i Filipy, i Edwarda, i siebie. Płakałam przerażona swoją przyszłością, której w tamtej chwili zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić.

Koniec nastąpił piętnastego dnia sierpnia.

Wykeham udzielił królowej ostatniego namaszczenia. Wszyscy byliśmy wtedy razem z nią. Edward z małym Tomaszem, wszystkie damy dworu, i wszystkie zapłakane, jak i cały dwór. Wszyscy, od sokolnika począwszy, na najbardziej gamoniowatym kuchciku skończywszy. Przecież Filipa opromieniała życie każdego z nas. Modląc się żarliwie za spokój jej duszy, po raz ostatni dotknęłam jej stopy pod wspaniałą haftowaną w lwy Plantagenetów kapą.

Kiedy koniec się już zbliżał, uniosła rękę, wzywając mnie do siebie, i szepnęła cichutko, lewie słyszalnie, bo oddech miała już tak słaby, że na pewno nie wzruszyła nim powietrza:

- Alice... Obiecuj mi...

- Obiecuję.

Czy zdawała sobie sprawę, o co mnie prosi? Jak wielkim będzie to dla mnie ciężarem? Nie, chyba nie, ale na pewno to zrobię. Spłacę zaściągnięty wobec niej dług wdzięczności.

Król trzymał królową za rękę i pocałował ją w czoło, kiedy tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia szepnęła jeszcze:

- Edwardzie, moja miłości... Jak dobrze nam było razem... Odeszła. Edward z pochyloną głową, nie bacząc na nic, szlochał.

Bo może i pragnął mego ciała, darzył mnie szacunkiem i życzliwością, ale jego serce należało do Filipy. Na zawsze, także gdy Filipa spocznie w grobie. Wraz z jej odejściem tracił swą gwiazdę przewodnią, swoją opokę, swoje jasne, wyraźne miejsce na firmamencie życia.

Królowa umarła i w całym wielkim zamku nagle zrobiło się pusto. Zmienił się w miejsce spowite w ciszę i mrok. Edward snuł się po komnatach i korytarzach jak duch. Po niepowetowanej stracie znikła cała jego żywotność, gdzieś zapodział się niezłomny duch Plantagenetów. Owszem, robił, co do niego należało, ale był tylko cieniem człowieka. Nie potrzebował mnie, chciał być sam, kiedy czynił przygotowania do ostatniej drogi królowej. Zabalsamowane zwłoki jego ukochanej Filipy będą przewiezione królewską barką do zamku Tower, a stamtąd wyruszy kondukt pogrzebowy. Przemierzy ulice Londynu, by każdy mógł po raz ostatni spojrzeć na królową i ją oplakiwać. Zgodnie ze swoim życzeniem królowa miała spocząć w opactwie westminsterskim w kaplicy Świętego Edwarda Wyznawcy, gdzie już od dłuższego czasu stał jej grobowiec z figurą nagrobną, która wspaniale oddawała i postać

królowej, i jej wnętrze. Kobiety o bardzo zwyczajnej powierzchowności i z niezwykłą obfitością miłości w sercu.

Edward bezbarwnym głosem obwieścił, czym królowa przed śmiercią obdarowała damy dworu. Dwa razy do roku, na Wielkanoc i na Świętego Michała, każdej damie wypłacana będzie kwota dziesięciu marek za służbę Jej Królewskiej Mości. Ponadto każda z nas dostała czarny materiał na szatę żałobną. Wszystkie damy, ja też. Nie wyróżniono mnie w żaden sposób.

Czyli to koniec.

I co teraz?

„Jesteś faworytą króla. I to się nie zmieni”.

Zmieni, przecież Edward nie chce mnie w swoim łożu. Nigdy już nie posłał po mnie, ani razu podczas tych długich dni, kiedy opłakiwał żonę. Serce mi pękało, kiedy widziałam, jak cierpi. Wyrывało się do niego, ale Edward był spowity w gęstą, nieprzeniknioną mgłę, z której nie chciał, albo i nie mógł się wydostać. Nie pragnął mnie, nie potrzebował, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko czekać, co przyniesie los.

Damy wykonywały ostatnie polecenie, a ja krzątałam się razem z nimi. Na rozkaz króla spakowałyśmy wszystkie rzeczy królowej. Zasłony i kapy z jej wspaniałego łoża zostały pocięte, a z tych kawałków szyłyśmy ornaty dla księży z katedry York Minster, w której Edward i Filipa zostali sobie poślubieni. Dzięki temu zadaniu ręce miałyśmy zajęte, ale głowy nie. I trudno mi było wytrzymać paplaninę dziewcząt, które po śmierci królowej spokojnie sobie wrócą do rodzinnych domów, o ile już nie otwarły się dla nich drzwi na jakiś inny królewski czy książęcy dwór.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, których z powodu żałoby naturalnie nie obchodzono. W komnatach, gdzie zwykle tańczono do upadłego, panowała cisza, piękną posadzkę pokrywał kurz. Jan z Gandawy, zaniepokojony o króla, przyjechał z Calais, żeby spędzić ten smutny czas razem z ojcem, który przebywał w zamczku myśliwskim w Kings Langley. Ale nie polował. Kanclerz Wykeham, który często tam jeździł w sprawach królestwa, zawsze wracał posepny. Ja natomiast

nadal byłam w Windsorze, gdzie wciąż jeszcze przebywały doczesne szczątki Jej Królewskiej Mości.

Pogrzeb odbył się tuż po Nowym Roku. Towarzyszyłam zabalsamowanym szczątkom Filipy w drodze do Tower, a Edwarda zobaczyłam dopiero w katedrze westminsterskiej. Cicha, nieruchoma postać, w której chyba było niewiele więcej życia niż w zmarłej królowej, którą składano w grobowcu na wieczny odpoczynek. Twarz Edwarda stężała, poszarzała, głowa spuszczone, palce zaciśnięte konwulsyjnie na rękojeści miecza.

Człowiek stary. W tym nieszczęściu wiek z niebywałą precyzją dał znać o sobie.

Kiedy ucichły pełne powagi i smutku słowa duchownego, zauważyłam, jak stojący obok króla Wykeham robi znak krzyża, potem jego spojrzenie powoli przesuwają się po spopieliałej twarzy monarchy i przesuwają dalej. Kiedy napotkał mój wzrok, natychmiast spojrzał w bok.

Uroczystości żałobne na rozkaz króla miały trwać sześć dni. Edward rozkazał, a sam zaraz po pogrzebie zamknął się w swoich komnatach w Tower, odgradzając się od całego świata.

Czym byłam dla Edwarda podczas tych mrocznych, pełnych rozpaczny dni? Niczym. Dla niego nie istniałam. Widziałam go tylko raz, kiedy przechodził przez przedpokój razem z Wykehamem. Szedł jak zwykle szybkim sprężystym krokiem, ale tylko to, ten sprężysty krok, było jak zwykle. Bo jednocześnie król bardzo zamknął się w sobie. Nie zwracał uwagi na nikogo, kto kłaniał się Jego Królewskiej Mości, kto prosił, by raczył go wysłuchać. Wyglądało to tak, jakby nikogo nie rozpoznawał. On, zawsze taki bystry i sokolooki, co to wszystko dostrzeże i oceni... Lecz cóż, aż tak bardzo pograżył się w sobie.

Ukloniłam się.

Edward nawet na mnie nie spojrzał, tylko z posępną twarzą podążał dalej.

I wtedy Wykeham mnie zadziwił.

- Pani Perrers jest tutaj, panie - powiedział cicho, a nawet dotknął ramienia króla, by zwrócić jego uwagę.

Edward zatrzymał się.

- Pani Perrers...

Owszem, spojrział na mnie, ale tylko przelotnie, i nieznacznie skinął głową, jakbym była najpośledniejszą z jego służek, która właśnie ma mu usłużyć.

Uśmiechnęłam się, starając się nie dać poznać po sobie, jak bardzo jestem zaniepokojona.

- Panie, mam nadzieję, że miewasz się dobrze.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Czy to ten sam człowiek, którego tubalny śmiech rozsadzał ściany wielkiej sali w Havering? Ten posępny mężczyzna w tunice, zwykle złocistej i purpurowej, lecz teraz zmieniła barwy na pełną powagi czerń. Nie, nie odpowiedział, tylko znów ruszył ku drzwiom, demonstrując mi swe barczyste plecy w całej okazałości.

Odszedł.

Jakże był inny niż tamten czuły mężczyzna, który zdejmował ze mnie szaty, otulał w futra, pieścił i kochał! Ten Edward odszedł bez słowa, więc nie pozostawało mi nic innego, jak odprowadzać go wzrokiem pełnym zdumienia i rozpacz.

Wykeham bezradnie wzruszył ramionami i ruszył za królem.

Tak było, zupełnie jakby nie tylko Filipa została złożona do grobu w kaplicy Edwarda Wyznawcy. Spoczęło tam również serce króla. Ucichło jak wciąż jeszcze drżące struny lutni, kiedy ktoś przykryje je ręką.

- Gdzie jest król? Muszę koniecznie go zobaczyć.

- Król jest w swojej komnacie. Nie chce cię widzieć, pani.

Nie tylko mnie odprawiono. Słyszałam wielokrotnie, jak marszałek dworu William Latimer mówił równie beznamyślnie i dokładnie to samo zarówno osobom znamienitym, jak i prostakom:

- Jego Królewska Mość nikogo nie chce widzieć.

Czyli w sercu Edwarda nadal było mroczno. Wyjechał z Londynu do ukochanego przez Filipę pałacu w Havering i zamknął się w swoich komnatach, nie dbając o sprawy królestwa. Było mu całkowicie obojętne, co dzieje się we Francji, a działo się przecież nie najlepiej, skoro mnożyły się napaści na księcia Walii, który na domiar złego wciąż jeszcze niedomagał.

Tej zimy, jakże ostrej, kiedy całe królestwo skute było lodem i zasypane śniegiem, po całym pałacu niesły się ciche szepty o tym, że królestwo już nie ma króla, nie ma swego władcy i przywódcy

A co będzie ze mną, skoro moje dni jako damy dworu są już policzone? Owszem, razem z królem do Havering przejechał oczywiście cały królewski dwór. Ja również, jako jedyna dama dworu zmarłej królowej. Wszystkie pozostałe damy już się rozjechały, wróciły do domów rodzinnych albo znalazło się dla nich miejsce w którymś z pałaców szlacheckich urodzonych, gdzie dama potrzebuje drugiej damy jako po-wierniczki i damy do towarzystwa.

Zostałam więc tylko ja, a dalsze moje losy zależały od decyzji króla, który jednak odgrodził się od wszystkich i do decydowania o czymkolwiek nie był skłonny. Czułam się tak bardzo samotna, jak nigdy dotąd, nawet bardziej niż wtedy, gdy jako młodziutka wdowa stałam na ulicy przed domem Perrersów. Poza tym wtedy pojawił się Greseley, a tu, w Havering, nikt się nie pojawi, nikt nie spyta, dokąd chcę pójść i co zamierzam ze sobą zrobić.

Moje noce stały się bezsenne. Leżałam i myślałam o swej przyszłości, która nagle stała się bardzo niepewna, chociaż wiedziałam, że zawsze będę miała dach nad głową, ponieważ udało mi się zebrać to i owo, co na dach nad głową wystarczy. Ale jak wyglądać będzie ta moja przyszłość? Czy potrafię zakopać się w wiejskim dworku, tylko ja i garstka służących, kiedy tak dobrze poznałam miejski gwar, a przede wszystkim zakosztowałam życia na królewskim dworze? I to jak zakosztowałam...

Dworek... Aż zadrzałam przerażona myślą, że tak właśnie moja przyszłość może wyglądać. Bez Edwarda będę bardzo samotna, jak łódź dryfująca po morzu.

Zgodnie z obietnicą napisałam do Williama de Windsora, przekazując mu, że w sprawach Irlandii nic się nie dzieje, żadnych decyzji się nie podejmuje. I dlaczego tak jest.

*Król nie wydaje dyspozycji rządowi, jakby z powodu żałoby zastygł, dlatego na linii król-ministrowie obecnie nic się nie dzieje. Wątpię, czy król w ogóle myśli o Irlandii, w każdym razie moim zdaniem masz teraz wolną rękę i możesz prowadzić sprawę wedle własnej woli. I nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak długo ten stan zawieszenia trwać będzie. Obawiam się też, że więcej wieści ode mnie nie dostaniesz, bo moje dni na królewskim dworze są policzone.*

A potem, pod wpływem może i nieprzemyślanego kaprysu, dopisałam:

*Brakuje mi tych naszych szczerych rozmów, sir Williamie. Czasami nawet bym chciała, żebyś powrócił do Londynu, by wytłumaczyć się ze swoich przewinień. Może i bym Cię wysłuchała. A dlaczego? Powiem, choć może wydam Ci się człowiekiem słabym i nie będziesz już mnie podziwiał... a ponoć podziwiałeś, czyż nie tak? Otóż prawda jest taka, sir Williamie, że nie ma tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.*

Może słowa i były zbyt śmiałe, ale czułam się coraz bardziej przytłoczona tą jakże dokuczliwą samotnością i boleśnie dręczącą niepewnością. Wypatrywałam zmian, konkretów, końca tymczasowości.

Jednak na razie nie miałam nic lepszego do roboty, jak snuć się z kąta w kąt i bacznie zerkać wokół.

Cały dwór niecierpliwie czekał, kiedy król wreszcie podniesie się z żałoby i znów chwyci za miecz, jak król Artur, gdy królestwo znalazło się w potrzebie.

Ale Edward miecza nie dobywał.

Nie, nie tylko snułam się z kąta w kąt, ale rzecz oczywista, próbowałam dostać się do króla, niestety przed jego drzwiami stała straż i nawet mnie nie zaanonsowano. Napisałam więc do Edwarda i udało mi się ubłagać Latimera, by dopilnował, aby mój list - to moje błaganie - do Edwarda dotarł.

List ów taką oto miał treść:

*Proszę, nie zamykaj się przede mną, Edwardzie. Pozwól mi porozmawiać ze sobą. Pozwól, bym Cię pocieszyła. Ja też cierpię z powodu odejścia Twojej drogiej żony. Pozwól, że będziemy opłakiwać ją razem.*

*Przypomnij sobie, czym byliśmy dla siebie...*

*Pozwól mi wrócić do siebie...*

Ręka z piórem zawisała nad pergaminem, kiedy zastanawiałam się, czy może napisać mu też o dziecku, które rosło w moim łonie. Nie, nie napisałam.

Latimer wziął ode mnie list, ale odpowiedzi nie było.

- Czy przeczytał? - spytałam niecierpliwie, w napięciu.

- Nie sądzę - posępnym głosem odparł Latimer. - A nie możesz, pani, do niego wejść, bo nadal nie chce nikogo widzieć.



I co teraz? Gdybym wyrwała miecz strażnikowi, cięła go i wdarła się do królewskiej komnaty, i tak nic bym nie osiągnęła. A serce mi pękało, bo nie mogłam nic zrobić, by wydobyć Edwarda z okropnego smutku i przygnębienia. Mogłabym z nim porozmawiać, zagrać w szachy. Któż jak nie ja pomógłby mu wydostać się z czarnej otchłani rozpacz?

Byłam w największej desperacji, dlatego już nie prosiłam, tylko sformułowałam rozkaz i takimż tonem go wygłosiłam:

- Masz zrobić tak, by mnie przyjął! - Oczywiście nie miałam żadnego prawa komukolwiek rozkazywać, o czym Latimer wiedział doskonale, dlatego na widok jego miny omal nie wybuchnęłam śmiechem. Na pewno też zastanawiał się, czy w oczach Boga i bogobojnych ludzi jestem zhańbionym grzechem cudzołóstwa plugastwem, czy też może sam Bóg zesłał mnie tu z niebios i obarczył misją, bym uwolniła króla od jego udręki. Nie obchodziły mnie jednak jego dylematy. Jak powiedziałam, byłam w największej desperacji, więc moje palce boleśnie zacisnęły się na jego ramieniu i wykrzyczałam marszałkowi dworu prosto w twarz: - Masz powiedzieć królowi, że noszę pod sercem jego dziecko! Jeśli nie możesz tego zrobić, to niech powie mu o tym Wykeham! Masz zrobić wszystko, bym stanęła przed obliczem Jego Królewskiej Mości!

Zapadła cisza, oniemiały Latimer tylko patrzył na mnie, bo niewątpliwie było to jak uderzenie obuchem w głowę. A ja znów się rozdarłam:

- Masz to zrobić, Latimer! - I dodałam w duchu: Zrób to! Na litość boską, zrób!

Moja gwałtowność przyniosła jednak pewien skutek, bo oto Wykeham i ja, a za mną moja wierna Braveheart, szliśmy przez przedpokoje do najstarszej części pałacu, gdzie zagładano rzadko. Tak, szliśmy tam, bo lord kanclerz w końcu zjawił się w mej komnacie i kazał mi iść razem z nim. Oczywiście byłam pewna, że król wreszcie wzywa mnie do siebie. I byłby to oczekiwany skutek mojej gwałtowności.

Lecz wcale nie podążaliśmy do komnat Edwarda, czyli skutek był inny, choć jeszcze mi nieznanym.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

Nie odpowiedział, tylko z ponurą miną parł do przodu wielkimi krokami. Długa szata lorda kanclerza powiewała, a ja z ledwością nadążałam za nim.

Więc ponowiłam pytanie.

- Czy idziemy do Edwarda? Pytał o mnie?

- Nie.

I nadzieja zgasła.

- W takim razie... dokąd idziemy?

- Zamilcz, kobieto, po prostu idź!

Maszerował dalej zły i nadęty, ja kroczyłam obok niego w nastroju prawie tak samo paskudnym. Ale co się dziwić, skoro nadal byłam pewna, że już niebawem nie będę miała możliwości podążać korytarzami tego pałacu. Jednocześnie jednak czułam się bardzo zaintrygowana. Bo dokąd to mnie wiedzie Wykeham? Co czeka mnie na końcu drogi? Nie wiadomo, a prowadzi przez korytarze i przedpokoje opustoszałe, o nagich ścianach pozbawionych gobelinów, o posadzce, której od dawna nikt nie zamiatał, pokrytej grubą warstwą kurzu, dzięki czemu ślady były doskonale widoczne i świadczyły o tym, że ktoś tu już przed nami szedł.

Ślady prowadziły do drzwi, które Wykeham pchnął i skinął głową na znak, że mam wejść. Więc weszłam, a lord kanclerz tak szybko zamknął drzwi, że biedna Braveheart musiała zostać w przedpokoju. Oczywiście była bardzo niezadowolona z takiego rozwoju zdarzeń, dlatego skomlała i drapała w drzwi, ale na korytarzu zostać musiała.

Natomiast ja znalazłam się w niewielkiej komnacie. W pałacu było sporo takich małych komnat z zaokrągloną jedną ze ścian. Przez szpary w okiennicach wpadało trochę słonecznego światła, był tu też kominek, ale ogień w nim nie płonął. I było tu bardzo zimno, jak w każdej komnacie, z której nikt od dawna nie korzystał. Stał tu duży stół, wokół niego stolki, ale na żadnym z nich nikt nie siedział, chociaż zgromadziło się tu już kilku mężczyzn. Wszyscy stali przy jednym z okien.

Czyżby narada wojenna? W takim razie co ja tutaj robię? Zdumiona i zaniepokojona zerknęłam na Wykehama, ale nic mi nie wyjaśnił, tylko zwrócił się do owych mężczyzn:

- Pozwólcie, panowie, że dokonam... prezentacji. - Słowo „prezentacji” wypowiedział z trudem. - Oto pani Perrers! - A moje nazwisko po prostu z obrzydzeniem.

Czy to ja go brzydziłam, czy ci mężczyźni, czy cała ta sytuacja zaczynająca się od dziwacznej „prezentacji”? Nic z tego nie rozumiałam, bo po pierwsze wcale nie musiał mnie przedstawiać. Przecież z tymi oto ludźmi od lat mieszkam pod jednym dachem, w różnych zamkach i pałacach, od dnia, kiedy królowa wezwała mnie do siebie. Wiedzieli doskonale, kim jestem, jak i ja wiedziałam, kim oni są.

Skłoniłam się, a Wykeham przedstawił mi po kolei wszystkich zebranych, mężczyzn. William Latimer, marszałek dworu. John Neville, lord Raby. I niespodzianka. Richard Lyons, który nie był dworzaniem, lecz kupcem zawiadującym również królewską mennicą. Poza tym Nicholas Carew, Richard le Scrope, Robert Thorp. Byłam prawie pewna, że przywiodła ich tu ambicja. Wszystkim oczy błyszczały. Młodzi ludzie, którzy służąc Koronie, pragną wspiąć się wysoko. Nie wiedziałam, czy mają jakieś przymioty i umiejętności, czy wyróżniali się czymś szczególnym i pozytywnym. Choć optymistycznie zakładałam, że jednak tak, skoro są tu obecni i mają służyć Koronie na wysokich stanowiskach...

Wszyscy byli też strasznie zdeterminowani, przypominali mi wygłodniałe wilki. A dlaczego? Bo gotowi byli rzucić się na każdą sposobność, która pomoże sięgnąć po wysoki urząd. I gotowi byli unicestwić każdego, kto stanie im na drodze.

Więc po co ja tu zostałam sprowadzona?

Aha, był jeszcze ktoś.

Królewski syn, Jan z Gandawy.

Po dokonanej prezentacji wszyscy jeszcze raz się skłonili, a Wykeham powiedział:

- Usiądźmy.

Więc usiadłam, usiedli także spiskowcy. Bo niewątpliwie byli to spiskowcy.

Tylko Jan z Gandawy skrzyżował ramiona i dalej stał pod ścianą. Gdy już usiadłam, od razu zadałam pytanie:

- Dlaczego tu jestem? - Prosto z mostu, bez ogródek. Nie zamierzałam udawać uległego kobieciątka czy bawić się w puste uprzejmości.

Przecież było oczywiste, że to potajemne spotkanie, a ja na tę okazję zostałam w szczególnie sposób wyróżniona ową prezentacją. Jakbym została potajemnie zaprzysiężona. Bo tym mężczyznom w normalnych okolicznościach do głowy by nie przyszło choćby zdawkowo mnie pozdrowić, oczywiście wyjąwszy Wykehama i Latimera, z którymi miałam często do czynienia na królewskim dworze, więc grzeczność tego od nich wymagała.

Gdy spojrzeli po sobie, od razu pomyślałam zaciekawiona, który z nich pierwszy przemówi.

Okazało się, że Latimer.

- Czy możemy ci zaufać, pani?

Czyli równie szczerze jak ja i tak samo prosto z mostu. Bo odpowiedź na takie pytanie jest ważną deklaracją, zobowiązaniem, opowiedzeniem się po jakiejś stronie. Tyle że nie wiedziałam, po jakiej stronie mogłabym się opowiedzieć, bo wszystko jeszcze było zakryte mgłą tajemnicy. Dlatego sama określiłam, co i jak, i wyraziłam to dość uprzejmym tonem:

- Owszem, możecie mi zaufać, o ile nie szykujecie rebelii albo zamachu na życie Jego Królewskiej Mości... - Przemknęłam spojrzeniem po ich twarzach. Co na nich było wypisane? Przede wszystkim czujność. I dokończyłam: - A może tak jest w istocie? To spisek?

- Nie do końca - powiedziała Latimer. - Chodzi o to, że król jest... bardzo zamknięty w sobie.

- Zamknięty w sobie? Tylko tyle? - zareagowałam gwałtownie. - Na Boga, przecież król odgrodził się od całego świata! Sam uwięził się w swoich komnatach i nie chce stamtąd wyjść.

Latimer chrząknął, po czym stwierdził:

- Tak jest w istocie. I trzeba dołożyć wszelkich starań, by ten stan uległ zmianie.

Moje spojrzenie znów przemknęło po twarzach zebranych.

- Nie potraficie tego zrobić? - spytałam, choć wiedziałam doskonale, że nie mogą.

Zerknęłam na Jana z Gandawy. Przed kilkoma dniami odwiedził ojca, a odjeżdżał rozjuszony, katując konia ostrogami. Pomyślałam, że mógłby coś powiedzieć, bo dla niego to również sprawa rodzinna, więc

i wiedza inna, ale milczał jakby z rozmysłem, wciąż pełen złości, i demonstracyjnie patrzył za okno.

Z tego też powodu to Latimer poczuł się zmuszony wszystko wyjaśnić:

- Król coraz bardziej pogrąża się w melancholii. Królewscy medycy stracili już nadzieję. Dlatego... - Spojrzał na Wykehama, który skinął głową, więc Latimer dokończył: - Dlatego chcemy, pani, żebyś ty pomówiła z Jego Królewską Mością.

- Ja? Przecież król nie chce mnie widzieć. Próbowałam się do niego dostać, ale na próżno. Przecież musicie wiedzieć o moich nieudanych próbach, a już pan, milordzie - spojrzałam na Latimera - wie to doskonale.

- Postaramy się, żebyś do niego weszła - odparł, umykając wzrokiem.

- A co mam mu powiedzieć? - Specjalnie udawałam niewiniątko, bo spodobało mi się, że Latimer jest tak bardzo zmieszany. Nawet się zaczerwienił.

- Chcemy, żebyś ty... żebyś pocieszyła go... dodała mu odwagi...

- Powiedzże w końcu, Latimer! - huknął Wykeham.

Latimer głośno wypuścił powietrze, po czym spełnił żądanie lorda kanclerza:

- Chcemy, żebyś zadowolila go cieleśnie.

- Czyli mam być nałożnicą?

- Tak! - nagle przerwał milczenie Jan z Gandawy, podchodząc do stołu. Był bardzo urodziwym mężczyzną, wysokim jak ojciec, o pięknych rysach twarzy, ale dworskiej ogłady po Edwardzie nie odziedziczył. Machnął ręką, każąc Latimerowi odejść na bok, i sam wyłuszczył sprawę do końca, a zrobił to po swojemu: - Król wcale nie jest jeszcze taki niezdarny. Może jeszcze poobracać kobietą i oby dzięki temu wrócił mu rozum.

Nie przebierał w słowach, to był dosadny opis sytuacji, a ja nie miałam zamiaru przystać na to, o co prosili. Przenigdy! Bo potem i tak każdy z nich będzie mną gardził.

- W takim razie dlaczego nie sypniecie złotem i nie podsuniecie mu jakiejś rozpustnicy z pałacu?

- Nie, nie! To nie będzie właściwe posunięcie - oświadczył Jan z Gandawy. - To musi być rozwiązanie bardziej subtelne.

- Aha. Więc myślisz, panie, że jestem subtelna?

- Myślę, pani, że masz wiele przymiotów. Jednym z nich jest dyskrekcja, a poza tym królowa bardzo cię lubiła. Dzięki tobie nasze modlitwy mogą zostać wysłuchane.

Po tej kwestii księcia Jana bardzo ich zaskoczyłam, bo się roześmiałam. A trudno się nie śmiać, kiedy ktoś traktuje cię jak żabę, która ma pograć się w mule grzechu. A oni, jak byłam przekonana, spodziewali się, że będę również naśladować zmarłą królową, będę tak samo czuła jak ona, wręcz macierzyńska.

- On potrzebuje i powierniczki, i nałożnicy - stwierdził Jan z Gandawy.

- A... czyli takiej żony i nie żony? - spytałam z niewinnym uśmiechem.

- Tak.

- Która będzie uznana przez cały dwór? Bo tajemnicy z tego robić się nie będzie?

- Skoro tak musi być...

Rozejrzałam się dookoła. Nikt nie pokiwał głową, czyli nikt tego nie chciał. W porządku, w takim razie zmuszę ich do tego. Zmuszę, żeby zostało powiedziane na głos to, co nigdy jeszcze nie zostało powiedziane od tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy zagościłam w łóżu Edwarda.

- Ale dlaczego właśnie do mnie się z tym zwracasz, milordzie? Wtedy rzucił ze złością, wręcz agresywnie:

- Bo wystarczająco często dawałaś mu już uciechę, pani!

Oczywiście, że wiedzieli o tym. Cały królewski dwór o tym wiedział, choć naturalnie nie mówiono o tym głośno, tylko półgębkiem nad kubkiem wina albo szeptem w zaciszu komnaty. Wszystkim było żal Filipy, a przecież to ona była główną sprawczynią! Znów ogarnął mnie pusty śmiech. I śmiałam się głośno, czym byli bardzo zaskoczeni.

Gdy już naśmiałam się do woli, stwierdziłam lekko i pogodnie:

- Rozumiem. Mam wrócić do Edwarda jako jego miłośnica. A czemuż to, oczywiście poza ogólną poprawą samopoczucia, mają służyć te moje... zabiegi? Jest jakiś konkretny cel?

- Oczywiście! Masz skłonić króla, by zabrał się wreszcie do sprawowania rządów w tym królestwie! - wyrzucił z siebie gwałtownie Jan z Gandawy, uderzając pięścią w stół. - Nic nie możemy zrobić, skoro król odsunął się od wszystkiego, a przebywający w Gaskonii książę Walii nie wstaje z łoża!

Czyli wszystko zostało wyłożone jak należy i jako wierna służka Korony powinnam... Ale zaraz, zaraz! Absolutnie nie zamierzałam dopuścić, by ta dworska kamaryla, na czele której stał książę Jan, odniosła zwycięstwo tanim kosztem.

- Tak powiadasz, panie? Nie wiem, czy sobie z tym poradzę.

- Na pewno poradzisz sobie, Alice - z ciężkim westchnieniem powiedział Wykeham. - Jesteś kobietą bardzo pojętną.

- O proszę! Nadęty lord kanclerz i równie nadęty biskup w jednej osobie jest aż tak bardzo zdesperowany, że zwraca się do mnie po imieniu!

- Jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Te słowa wypowiedział czerwony z przejęcia Latimer.

A ja wstałam, jakbym zamierzała odmówić i wyjść, nawet uczyniłam jeden krok. Och, co za cudowne uczucie, gdy masz władzę nad wszystkimi!

Wyczułam, jak w całym tym tłumku aktualnych i przyszłych dostojników Korony narasta lęk, że wszystko to skończy się fiaskiem, a Jan z Gandawy znów wybuchnął:

- Dość tego gadania na okrągło! Pani Perrers, to potrzeba chwili. Niech pani zrozumie z całą dosłownością, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo! Dni wielkości Anglii wydają się już należeć do przeszłości. Znosi się na bunt, na katastrofalną zawieruchę w królestwie. Potrzebujemy mego ojca w hełmie, pani Perrers! Nie jest już młody, ale nadal może nosić koronę i sprawować rządy, o ile nam się uda wyrwać go z otępienia, z pławienia się w smutku, i przywrócić do życia!

My, czyli ja też niby byłam z nimi w zmowie. A jednocześnie... Jeszcze raz przemknęłam spojrzeniem po otaczających mnie twarzach. Wszystkie stężałe, czekali przecież na moją decyzję w największym napięciu. Wszyscy poruszeni, wszyscy pełni niepokoju o przyszłość i swoją, i Anglii. Ale jednocześnie ich odraza do tego rodzaju układów z kobietą była aż nadto widoczna. Ogarnął mnie wielki gniew. Znów

spojrzałam na Jana z Gandawy. Na Boga! Poznasz, co to kobieta! Będziesz błagał mnie na kolanach!

Ale książę odwrócił się ku oknu, niespokojną pięść opierając o kamienną półkę, natomiast przemówił Wykeham, ten niby, przy całym moralnym potępieniu, życzliwy mi Wykeham.

- Zrobisz to, pani? Ocalisz króla? Ocalisz królestwo? Naturalnie przez chwilę jeszcze się wahałam. I była to chwila dla

mnie piękna, bo przecież to ja rozdawałam karty. Może nie całkiem, ale jednak.

- Tak. Zrobię to - powiedziałam wreszcie.

Widziałam tę gremialną ulgę. Wszyscy się odprężyli, na każdej twarzy pojawił się uśmiech. Bogu dzięki, udało się ubić interes. Tak zapewne pomyśleli wszyscy. Ale nie ja. O nie! Dla mnie sprawa nie była jeszcze zakończona. Pora wyłożyć karty na stół, i to takie, bym zgarnęła niezłą pulę. Ot, taki interes przy okazji.

- Chciałam tylko jeszcze o coś spytać, szlachetni milordowie. Co was skłoniło, że odstąpiliście od waszych zasad moralnych i zdecydowaliście się prosić o pomoc właśnie mnie, nałożnicę króla?

Muszę przyznać, że w tym momencie Jan z Gandawy stanął na wysokości zadania, bo to on odpowiedział:

- Trzeba zrobić wszystko, by król powrócił do sił i znów stał się potężnym władcą. I trzeba to zrobić za wszelką cenę. - Obszedł stół, podniósł moją rękę do ust i chłodnymi wargami dotknął palców. - Jesteśmy ci, pani, ogromnie wdzięczni.

- Jakże mogłabym odmówić milordom... - odparłam odruchowo i banalnie. A kiedy zaraz potem usłyszałam jeszcze jedno gremialne westchnienie, takie podzwonne tej przeogromnej ulgi, uprzytomniłam sobie, co naprawdę tu się wydarzyło. I co może radykalnie wzmocnić moje karty przetargowe. Wszyscy ci dworzanie - Jana z Gandawy naturalnie pomijam - swoje bogactwo i miejsce w radzie królestwa zawdzięczają woli Edwarda. A teraz dzięki mnie, Alice Perrers, być może będą mieli możliwość zaspokojenia swoich ambicji. Innymi słowy, byli uzależnieni ode mnie. Choć, szczerze mówiąc, ja też miałam wiele do stracenia, czyż nie tak? Bo jeśli król nie podźwignie się ze swojej dolegliwości...



Czyli istotnie byłam z nimi w znowie. Ale nie zamierzałam im jeszcze odpuścić. Wciąż myślałam o tych moich wybranych z talii kartach.

- A co ja z tego będę miała? - spytałam bez żadnego owijania w bawełnę.

- A czego byś chciała, milady? - spytał Latimer.

Milady! Tak zwrócił się do mnie. Jakże wiele się zmieniło w ciągu tej godziny!

Teraz, naturalnie, nastąpiła kolejna chwila namysłu, jakbym nie miała jeszcze żadnej koncepcji.

- Och, bardzo niewiele... - I znowu ta ich wielka ulga, której trudno było nie wyczuć i nie powstrzymać się od uśmiechu. - Chciałabym mieć oczywiście swoją służącą, a także sypialnię i komnatę paradną z widokiem na ogrody. Szaty i klejnoty odpowiednie do mojej pozycji. I oczywiście jakąś zapłatę, nie mogę przecież chodzić z pustą sakiewką. Czyż nie należą mi się takie udogodnienia? A poza tym... - O tak, jeszcze to, bo tego zawsze pragnęłam najbardziej, a oto zaświtała szansa, że będę mogła wymazać z pamięci lata upokorzeń. - Chcę, by uznano moją pozycję na dworze. By jawnie uznano, że jestem faworytą króla i z niczym nie muszę się kryć. Nie chcę już dłużej żyć wśród gorzkiej ciszy i złośliwych plotek. Nie chcę, by ktoś mnie ranił, gadając, co ślina na język przyniesie, o tym, co dzieje się między królem a mną.

A tak! Z pewnością już uznali, że sprawa załatwiona. Po prostu osły, jak większość mężczyzn. A teraz ja wystawiłam im rachunek. Grałam ostro, choć przecież, na Boga, o niczym innym nie marzyłam, jak tylko o ponownym połączeniu się z Edwardem! Prawda bowiem była taka, że mojej zgody nie trzeba było kupować, ale kobieta powinna wykorzystać sposobność, skoro właśnie się nadarzyła. Szlachetna sztuka negocjacji! William de Windsor niewątpliwie przyznałby mi rację, tym bardziej że w pertraktacjach z tymi osłami szło mi jak po maśle.

I uzupełniłam:

- Poza tym, skoro siłą rzeczy włączona będę do zawiadywania służbą i sprawami doczesnymi, powinnam uzyskać dostęp do królewskiego skarbcza...

Zauważyłam, jak wymieniają się spojrzeniami i wzruszają ramionami. Ale cóż, nie mieli wyboru.

- Tak będzie, pani - zapewnił Jan z Gandawy, odprowadzając mnie do drzwi.

O nim, o królewskim synu, wiedziałam niewiele, w sumie tylko to, że Edward bardzo go cenił. Nic jednak nie wiedziałam o jego zamiarach i ambicjach. Nie był następcą tronu, jakie więc nadzieje mógł wiązać z tym całym układem ze mną? Bo chyba wiązał, skoro nie wyglądał na człowieka zadowolonego z życia. Cóż więc go popchnęło do pertraktacji z nałożnicą jego ojca? Daj Boże, żeby nie było to coś, co zwróci się przeciwko mnie...

Kiedy byłam już w drzwiach, odwróciłam się, złożyłam przesadnie niski ukłon i oświadczyłam:

- Zrobię to, milordowie. Będę faworytą Edwarda, i stanie się to faktem jawnym, nieokrytym niedomówieniami czy tajemnicą. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przywrócić króla do życia.

Tak wiele więc zostało postanowione w tej niewielkiej, zakurzonej komnacie starego pałacu! Zanim odwróciłam się, jeszcze raz powiodłam spojrzeniem po tych znajomych mi przecież twarzach, rozradowana uczuciami wypisanymi na nich. Przede wszystkim niepokój, bo może się okazać, że podali mi na tacy władzę nieograniczoną. Zapewne zdawali sobie sprawę z takiego zagrożenia, a w każdym razie ja byłam tego w pełni świadoma. Zostanę oficjalną faworytą króla, której wolno będzie ukazywać się u jego boku i dzielić z nim łóżce. Królewską faworytą uznaną przez wszystkich, której wszyscy winni są posłuszeństwo. Och! Już czułam ten ciężar władzy na mych ramionach, już radość mnie rozpierała...

Ale był jeden szkopuł. Bo nawet jeśli tak się ma stać, to i tak nic z tego nie będzie, jeśli najpierw nie poznam tej przeszkody, którą można pokonać tylko dzięki bystrości umysłu i sile perswazji. I nie ma co się łudzić. Będzie to zadanie naprawdę niełatwe.

- Braveheart, jak myślisz, uda się? Czy król otworzy się przede mną?  
- spytałam suzkę, kiedy mogłam już uwolnić ją z przymusowego warowania pod drzwiami spiskowców. Wstała, przeciągnęła się i... kichnęła. Czyli jej wiedza równa była mojej. Obie nie miałyśmy pojęcia, jak to będzie.

Nie marnując czasu, od razu krótko i treściwie napisałam do Greseleya:

*Oczekuję, panie, że przyślesz mi fundusze do mej dyspozycji. Kup lub wdzierzaw, wedle własnego uznania, bo fundusze muszę mieć. Chodzi o moją przyszłość.*

Greseley natychmiast przystąpił do działania. Nie minął miesiąc, a byłam już dzierżawcą dóbr ziemskich Orby, a także sprawowałam kuratelę nad małoletnim spadkobiercą i jego późniejszym ożenkiem. Dziesięć dworów! Aż klasnęłam w ręce i przycisnęłam bezcenny dokument do ust. Bo i o czym on świadczył? O tym, że staję się kobietą bogatą!

Byłam nałożnicą Edwarda od sześciu lat, ale w ciągu tak długiego czasu ani razu nie przejawiałam inicjatywy. To Edward zawsze posyłał po mnie. Owszem, może trochę inicjatywy okazałam podczas pamiętnego polowania, ale nigdy więcej. Zdawałam sobie sprawę, jak trudnym może być człowiek tak dumny, i że należy pozwolić tej dumie dominować. Edward żądał, ja byłam mu posłuszna, wiedząc przy tym, że Plantagenet nigdy nie prosi o przychylność. Nigdy nie zdjęłam szat, póki mnie do tego nie skłonił. Był królem, ja jego służką. Do głowy by mi nie przyszło, że można postąpić inaczej. Owszem, jestem silną kobietą, ale król był ode mnie o wiele silniejszy. I dobrze, bo jeśli silnej kobiecie trafi się słabeusz, to nie ma mowy o szacunku.

A teraz stałam przed komnatami króla i kolana mi się trzęsły. I wcale nie dygotałam z zimna, lecz oczywiście z przejęcia, bo miałam zrobić właśnie to. A skoro mam to zrobić, należy obmyślić skuteczną strategię, jak przed bitwą. Wiedzieć, kiedy zaatakować, a kiedy się wycofać. Cóż by w takiej chwili poradził mi William de Windsor? Pewnie tak:

- Należy zaatakować najsłabszy punkt w fortyfikacji i walczyć, nie ustępować, póki z tej bitwy nie wyjdzie się zwycięsko. Nie ustępuj ani o piędź, bo jeśli to zrobisz, twój przeciwnik natychmiast to wykorzysta i posunie się do przodu.

Ach, głupie gadanie! Wiedziałałam przecież, że po prostu powinnam zaufać kobiecej intuicji i modlić się, by Edward otworzył się przede mną.

- Panno Święta, nie pozwól, by odwrócił się ode mnie! - wyszeptałam modlitewne błaganie.

Kiedy przekroczyłam próg, poczułam wielką ulgę. Wreszcie mogłam to zrobić! Przekroczyć ten właśnie próg i cicho zamknąć za sobą drzwi.

Najpierw przedpokój. Był opustoszały i dziwnie cichy. Potem sala audiencyjna, tak samo cicha i pusta. A na koniec komnata Halidon Hill, gdzie wypoczywa się nad książką lub przy muzyce. Bardzo dobrze znałam tę komnatę ozdobioną wspaniałym gobelinem przedstawiającym bitwę pod Halidon Hill. Było to pierwsze wielkie zwycięstwo Edwarda, kiedy jako jeszcze bardzo młody wódz pokazał Szkotom, kto jest panem. Na niskim stołku zauważyłam rozłożoną szachownicę. Figury rozstawione, nikt jednak już nie grał. Ogień w kominku dogasał, rozsiewając jeszcze blask ozłacający szeroką ławę z rzeźbionym oparciem i szafę. Koło kominka wielkie rzeźbione krzesło, obok skrzynia, na niej dzban, kubek i talerz ze słodkościami, których nikt nie tknął. Ktoś też nierozważnie zostawił zapaloną świecę w świeczniku.

Ten ktoś tu jednak był. Edward. Król w każdym calu, ubrany w drogie szaty i ozdobiony klejnotami. Potężny Plantagenet, trzeci z kolei król o tym imieniu, któremu Anglia zawdzięcza swą potęgę od lat czterdziestu. Stał nieruchomo jak kamienny posąg. Nawet nie odwrócił głowy.

Ja też stałam nieruchomo. I nie odzywałam się.

Aż usłyszałam rozkaz:

- Zostaw jedzenie na stole i idź.

Patrzył przez okno w dal, na łąki i las za ogrodami i murami pałacu. A może patrzył, ale niczego nie widział. Stał wyprostowany na lekko rozstawionych nogach, więc fizycznie z pewnością nic mu nie dolegało, dlatego na sercu zrobiło mi się trochę lżej. Ale co z duchem? Edward był w tym pokoju, ale jednocześnie jakby go tu nie było. Jedyne ślad jego obecności to rozłożona szachownica, bo nie dostrzegłam na stole żadnych książek ani dokumentów. Na żerdzi nie siedział sokół, tylko ta wspaniała scena bitewna na ścianach, tak kolorowa, tak rzeczywista, kiedy w blasku miecze i zbroje, wyhaftowane srebrną nicią, jaśniały podwójnym blaskiem. Zdawało się, że to wyhaftowane pole bitwy nawet przyćmiewa władcę. Stąd naszała mnie gorzka myśl. Zaprawdę, nie mógł sobie wybrać bardziej trafnej otoczenia, kiedy pogrążał się w tej otchłani niebytu...

Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy spełniono jego polecenie. Pewnie było mu to obojętne.

Czyli będę musiała zrobić pierwszy krok. - Raczysz, panie, napić się wina? Najpierw cisza i bezruch.

Potem król jakby wyprężył się i powoli, bardzo powoli odwrócił. Jedna z rąk nadal pozostała oparta na kamiennej półce pod oknem. Być może więc pomyliłam się. Król wcale nie jest już taki mocarny.

Kiedy odwrócił się, ujrzałam jego twarz w pełnym świetle, dzięki czemu zobaczyłam to, czego przedtem nie mogłam dostrzec.

Och, Edwardzie! - pomyślałam zrozpaczona. Cóżżeś ty uczynił ze sobą? Tak bardzo ją kochałeś...

Nie, nie jestem w stanie oddać za pomocą pióra tego, co wtedy zobaczyłam. A ujrzałam boleśnie oczywisty dowód, jak niewyobrażalnie wielką poniósł stratę. Twarz Edwarda wychudła, koło nosa były głębokie bruzdy, policzki zapadły się, szyja prawie pozbawiona mięśni. A oczy? Już nie niebieskie, lecz szare taką złą, mroczną szarością.

Twarz blada tą ostateczną bladością, kiedy skóra wydaje się przezroczysta. Usta, które nie uśmiechały się od wielu tygodni, zaciśnięte. Ręka oparta na kamiennej półce też wychudła, skóra na niej też cienka, przezroczysta. Czy ta ręka potrafi jeszcze udźwignąć miecz?

Naturalnie, że byłam pełna współczucia i bliska łez. Ale zaraz potem poczułam gniew. Rozgorzał we mnie, płonął złotem królewskiego hełmu wyhaftowanego na gobelinie. Cóż on ze sobą uczynił? Jak może zwycięzca spod Crecy pogrążyć się bez reszty w uzalaniu nad sobą? Jak może?!

Nie pozwoliłam jednak, by ten gniew mną rządził. Przecież nie mogłam ulec gwałtownym uczuciom, bo to do niczego nie doprowadzi. Z innego źródła powinnam czerpać siłę wiodącą do sukcesu. Muszę polegać na kobiecej intuicji i przebiegłości. Może wtedy uratuję tego człowieka przed samym sobą i zwrócę go królestwu, które jest w potrzebie. Bo może jednak wywody Nadobnej Joanny o tym, że kobieta powinna uciekać się do podstępów i kierować dwulicowością, wcale nie były pozbawione sensu.

Będzie, co ma być.

Zebrałam się w sobie, ruszyłam z miejsca i zatrzymałam się tam, gdzie król musiał mnie zobaczyć.

- Milordzie...

- Alice.

A więc zobaczył... ale nie patrzył, bo oczy miał dziwnie rozbiegane. Mówił z trudem głosem zachrypniętym, jakby tego głosu od dawna nie używał.

Podeszłam bardzo powoli i zatrzymałam się blisko króla, tak na wyciągnięcie ręki. A co zrobił Edward? Nic. Sprawiał wrażenie, jakby po prostu nie był pewien, czy ja to jestem naprawdę ja. Tamtego dnia ubrałam się wyjątkowo skromnie, niemal jak zakonnica. Albo jak żona! Śmiałam się, kiedy wkładałam tę ciemną suknię i równie ciemną cote-hardie, bo ten strój bardziej pasował żonie stojącej przy garnkach niż faworycie króla. Ale tak właśnie się ubrałam i konsekwentnie odgrywałam swoją rolę. Żadnego niskiego ukłonu ani pokornie spuszczonej głowy. Nie ucałowałam go na powitanie, jak to zwykle przedtem robiłam, tylko złożyłam skromnie ręce i stwierdziłam chłodno:

- Tak, panie. To ja, Alice. Edward sposepniał.

- Kto ciebie tu wpuścił?

- Wykeham.

- Nie chcę rozmawiać z tobą.

- Jestem tego świadoma, panie. I nie musisz. Ja będę do ciebie mówiła

- oznajmiłam zdecydowanym tonem.

Tym oświadczeniem bez wątpienia go zaskoczyłam, a nawet zirytowałam.

- Nie posyłałem po ciebie! - rzucił ostro.

- Owszem, nie posyłałeś po mnie, panie, ale uznałam, że dłużej już czekać nie mogę.

Zaskoczony był na pewno, ale przede wszystkim rozdrażniony. Och, mało powiedziane, bo we władanie brał go gniew. A o to przecież chodziło! By nim potrząsnąć, obudzić żywe emocje, wyrwać z czeluści. Czy każe mi wyjść?

- Wolałbym, żeby ciebie tu nie było. Chcę być sam.

Nie, nie był to wyraźny rozkaz, ale intencja właśnie taka, bo Edward raczej nie dostrzegał subtelnej różnicy między tym, jak zostało sformu-

łowane zdanie, a tym, co miało wyrazić. Królewski przekaz zawsze jest rozkazem, nieważne, w jakie słowa był ubrany.

Moja odpowiedź natomiast była zdecydowana i twarda jak nowy bruk, który Wykeham kazał położyć na dziedzińcu w Kings Langley, że posłużę się takim obrazowym porównaniem.

- To dobra pora na pewne przemyślenia, milordzie. A ja przemyślałam sobie wiele rzeczy. Miałam na to dużo czasu, całe dwa miesiące, podczas których ani razu nie raczyłeś do mnie przemówić.

- Dwa miesiące?

- Tak, a nawet trochę dłużej. Tyle czasu minęło od chwili, gdy po pochowaniu Filipy zamknąłeś się tutaj.

Między brwiami Edwarda pojawiła się głęboka pionowa kreska, wreszcie po chwili milczenia powiedział cicho:

- Nie zdawałem sobie sprawy...

- I źle się stało, bo król nie powinien na tak długo odseparowywać się od swoich poddanych.

Tylko czekałam, kiedy krewka natura Plantagenetów dojdzie do głosu. Potrzebna mi była potężna awantura! Ale jednak nie doszła, czyli nie wiadomo, czy moje wysiłki zostaną uwieńczone powodzeniem. Mimo że bardzo długo obmyślałam strategię, wyjmując ze skrzyń moje szaty w nowych komnatach, które natychmiast mi przydzielono - przynajmniej pod tym względem Latimer się wykazał. Ale czy długo w nich będę mieszkać? Jeśli Edward w tej minucie mnie odtrąci, to jak dalej prowadzić tę grę? Jak go zmusić, by jednak skupił się na mnie? Kusić go, czarować? O nie. Był zbyt samotny i zbyt wyczerpany. Może później zdecyduję się na ten krok, ale na pewno nie w tejże minucie, bo na teraz to żaden krok do przodu. A więc co? Na pewno daruję sobie surowe pouczenia i przestrogi. Czegoś takiego Plantagenet nie zniesie od swojej poddanej, choćby nawet nałożnicy. Współczucie? Nie, bo odbierze to jako nieznośną litość.

Przyszłam tu, by powstrzymać Edwarda, który stał na skraju stworzonej przez siebie przekłętą przepaści. Czy kierowała mną głównie troska o swoją pozycję na dworze królewskim, o możliwość napełnienia sakiewki? Na pewno też. Ale jedno nie wyklucza drugiego. Z całego serca pragnęłam pomóc Edwardowi!

Wlałam do kubków grzanego wina przyprawionego korzeniami - wino już ostygło, ale i tak było bardzo dobre - i jeden z kubków podałam Edwardowi. Wziął go ode mnie, ale chyba odruchowo.

- Mam zamiar jutro opuścić Havering, Edwardzie. Napij się ze mną za moją szczęśliwą podróż.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Nic mnie już tu nie trzyma.

- A dokąd?

- Do Ardington. Zamierzam osiąść tam na stałe.

Edward milczał, czyli trzeba dalej nim potrząsać. Usiadłam... a przecież król stał. Ale co tam, do diabła z dworską etykietą! Usiadłam więc, popiłam wina i wytropiłam na talerzu kawałek placka z wiśniami. I bez zaproszenia poczęstowałam się.

- Och, jaki dobry placek! - Ugryzłam drugi kawałek. - Edwardzie, radzę ci, skosztuj. Tylko się pośpiesz, bo za chwilę będzie już tylko pusty talerz.

Owszem, usiadł, ale bardzo ostrożnie, spoglądając na mnie jak na polującą kotkę, która już wysuwa pazurki.

- Dlaczego wyjeżdżasz?

- Bo przestałam być damą dworu i nie jestem już tu potrzebna. Nastąpiła cisza, której nie miałam zamiaru przerywać, dopóki nie zjem pysznego placka z wiśniami.

A kiedy wreszcie go zjadłam, to spytałam:

- Czy w ciągu ostatnich tygodni choć raz pomyślałeś o mnie, Edwardzie? Nie sądzę. A cóż takiego porabiałeś?

- Nie, nie myślałem... - Jego głos zamierał.

- Sądzę, że myślałeś o tym wszystkim, czego dokonałeś, Edwardzie, poczynając od tamtego dnia, kiedy wyzwoliłeś się spod supremacji matki i sam zacząłeś sprawować rządy. Wyobrażam sobie, jakie to było trudne dla młodego człowieka, który ledwie co wszedł w wiek męski.

- Masz rację... Myślałem o tym.

- Filipa pomagała ci, prawda?

Po raz pierwszy na twarzy Edwarda pojawił się uśmiech, choć co prawda wymuszony, i usłyszałam odpowiedź:

- Dawała mi siłę...

- Opowiedz mi o tym, Edwardzie.



- Nie sędę, żebym bez mojej Filipy cokolwiek osiągnął... Moja matka nie znała litości, a ja byłem jeszcze bardzo młody. Brak mi było wiedzy, doświadczenia, autorytetu... Anglię powinien rządzić regent...

Mówił! Zupełnie jakby przebito magiczną ścianę i woda, która tam się nazbierała, wreszcie znalazła ujście. Najpierw kapały pojedyncze krople, a potem już ruszył strumień. I wartką strugą rozlała się stara opowieść o tym, jak królowa Izabela rządziła Anglią wspólnie ze swoim lubym, Rogerem Mortimerem, a młody Edward był odsunięty na bok, czy też, z uwagi na bezwzględną kuratelę matki i jej kochanka, na poły uwięziony, ubezwłasnowolniony. Zdołał jednak obalić wszechwładnego Mortimera, a matkę pozbawił urzędu regenta, odebrał jej wszelką władzę. Miał wtedy zaledwie osiemnaście lat, ale wspomnienie o tamtych wydarzeniach było bardzo żywe, jakby to wszystko działo się wczoraj. Owa noc w Nottingham, kiedy przejął władzę.

Słuchałam bardzo pilnie, a w pewnym momencie spytałam:

- Filipa cały czas była u twego boku, prawda? Kiedy odbierałeś to, co należało ci się z racji urodzenia?

- Tak! - Edward cały się rozpromienił. - Moja Filipa niezłomnie stała u mego boku i wspierała mnie ze wszystkich sił. Była wspaniała!

- Na pewno byłeś z niej bardzo dumny. - Tak, był... Światło rozjaśniające twarz Edwarda zgasło. Zamilkł, wpatrując się posępnym wzrokiem w kubek z winem. A ja powiedziałam: - Filipa też cię podziwiała, wszyscy o tym wiemy. Ale teraz nie byłaby z ciebie dumna.

- Wiem...

- Byłaby przerażona. I na pewno by nie milczała, w żadnym razie! Tylko coś by ci doradziła. Przede wszystkim kazałaby patrzeć ci w przyszłość, a nie za siebie, Edwardzie!

Oderwał wzrok od kubka, odpędził obrazy, które widział tam oczami wyobraźni, i spojrzał na mnie. Ku wielkiej uldze zauważyłam, że w wyblakłych niebieskich oczach króla coś błysnęło. Wreszcie... I chwala Bogu! - A ty przyszłaś tu, żeby też mi coś doradzić? - spytał. - Sądziś, że masz ku temu prawo?

- Znam swoje miejsce, panie. Jestem najniższą z twoich poddanych. Nie przyszłam tu ci doradzać czy domagać się od ciebie czegokolwiek. Przyszłam cię pożegnać, panie.

- A tak... Już mówiłaś, że wyjeżdżasz. Chcesz być ze swymi synami?

- Tak. - I dodałam z naciskiem: - Z naszymi synami... Są dla mnie bardzo ważni. Oprócz nich nie mam nikogo bliskiego. Czy napijesz się ze mną, panie, za moją szczęśliwą podróż?

Król popił wina, wyraźnie błędząc gdzieś myślami, a po chwili powiedział:

- Mój syn... Księżę Walii... - Mówił wolno, jakby przychodziło mu to z trudem. - Bardzo niedomaga... A ja, kiedy byłem w tym wieku, co teraz on, prowadziłem wojska do boju. Cóż to był za widok! A Edward nawet nie utrzyma się w siodle i na pole bitwy podjeżdża lektyką! I wszystko, co zdobyłem, zostało zniszczone...

Wystraszyłam się, bo Edward znów odgradzał się ode mnie, znów powracał do świetlanej przeszłości, bo dzień dzisiejszy był dla niego nie do zniesienia. Cóż było robić? Nie pozostawało mi nic innego, jak rzucić wszystko na jedną szalę.

Wstałam, postawiłam kubek na skrzyni i ruszyłam ku drzwiom. Jeden krok, drugi, trzeci... I nic, cisza także wtedy, gdy kładłam już rękę na klamce. A więc będę musiała przyznać się do porażki i powiedzieć o tym Wykehamowi, Janowi z Gandawy, całej reszcie spiskowców. I niedługo opuszczę króla, choć przecież moje serce do niego się wrywa...

I nagle te dwa ciche słowa:

- Nie odchodź. - Wstrzymałam oddech. I kolejne słowa: - Jesteś mi potrzebna, Alice.

Stałam nieruchomo z zaciśniętymi powiekami i słyszałam cichy szelest tuniki, czyli król wstał. Potem coś brzęknęło cichutko, czyli postawił swój kubek obok mojego. Potem ciche kroki. Nadal zaciskałam powieki, ale wyczuwałam przecież, że Edward, choć mnie nie dotyka, jest tuż-tuż.

- Zostań, Alice.

Oczywiście, że bardzo mu współczułam, serce mi pękało, ale nadal stałam odwrócona do niego plecami.

- Alice, na Boga, spójrz na mnie! Nie mam ochoty mówić do tego okropnego kaptura, który nie wiem dlaczego dzisiaj włożyłaś!

O, jak dobrze! Rozkazywał mi! Ale nie wolno mi ulec zbyt szybko. Nie jestem twierdzą, którą pogrózkami i nawoływaniem do pertraktacji

zmusi się do poddania. To musi rozegrać się inaczej. A poza tym, niestety, odżyła dawna zazdrość. Teraz to już nieistotne, ale...

- Dwa miesiące, Edwardzie - powiedziałam, nadal wpatrzona w drzwi. - Dwa długie miesiące, a ty ani razu nie chciałeś mnie widzieć. Oczywiście, że rozumiem twój ból po stracie Filipy, ale ty musisz zrozumieć, co ja czuję. A czuję się niechciana. I jeśli nie jestem ci potrzebna, to nic tu po mnie.

Położył mi ręce na ramionach i odwrócił mnie ku sobie, żebym spojrzała mu w twarz. I on też patrzył na mnie! Tak! Wreszcie nie tylko spojrzał, ale i zobaczył!

I uniósł głowę wyżej.

- To dlaczego przyodziłaś się jak prostytutka? Jak uboga wdowa, która chce zamknąć się w klasztorze i bez reszty wypełnić swoje życie modlitwą i pracą? - Omiótł mnie wzrokiem, przesadnie zaznaczając krytycyzm. - Może powinienem wystarać się dla ciebie o nowe szaty, bo w tym, co masz na sobie, żaden mężczyzna nawet na ciebie nie spojrzy!

Bogu dzięki, zartował. Jakże mi tego brakowało! Lecz teraz zażartował, a jego twarz stała się inna, jakby musnęło złociste słońce.

- Pragnę tylko twoich spojrzeń, panie - odparłam, również unosząc głowę, ale jeszcze się nie uśmiechnęłam.

Ja uniosłam, a Edward głowę pochylił i pocałował mnie w czoło, potem w usta. Co nie przyszło mu łatwo, owo zbliżenie się do kobiety, którą musiał odszukać w swej pamięci. Tak, na pewno wspomnienie o mnie już się tam zatarło. Teraz szukał i ożywał pełen niepewności, co w tej pamięci się zachowało.

Przeżyłam chwilę zwątpienia i wielkiego niepokoju, ale były to płonne obawy, bo usta Edwarda mocniej przyłgnęły do moich warg, a ręce zsunęły się z ramion i objęły mnie bardzo mocno.

I spytał.

- Jak to jest, że przy tobie czuję się niczym nowo narodzony?

Było dla mnie oczywiste, że wyteża umysł i szuka w pamięci dowodu, że ja to ja, jego Alice. A kiedy już go znalazł, podniósł moje ręce do ust i na każdej z nich - na każdym palcu! - wycisnął pocałunek, jakby witał się ze mną po bardzo długim rozstaniu.

Ale na tym nie koniec. A może inaczej: to załedwie początek, a przed nami jeszcze bardzo długa droga.

- Tak bardzo za tobą tęskniłem, Alice. Dlaczego dopiero teraz to sobie uprzytomniłem?

- Bo pograżyłeś się w rozpacz, Edwardzie, i zamknąłeś się przede mną.

- Alice, zmienisz zdanie? Zostaniesz tutaj?

- Przecież ty też możesz zmienić zdanie, Edwardzie, i już jutro stąd mnie wygonić.

Widziałam, jak budzi się w nim gniew. I usłyszałam gromko wypowiedziane słowa:

- Rozkazuję ci zostać! Twój król ci rozkazuje! Masz tu zostać, bo jesteś mi potrzebna!

Innymi słowy, gniew i władczość powróciły, i to od razu z siłą nie-małą!

Z trudem powstrzymując się od uśmiechu, wspięłam się na palce i cmoknęłam Edwarda w policzek, a on już ściągał mi z głowy ten obrzydliwy kaptur, w efekcie czego niesplecione pukle opadły swobodnie na ramiona.

- Jakie masz piękne włosy - powiedział, wsuwając w nie dłoń, która nagle zacisnęła się w pięść. - O nie! Dlaczego tak się czuję, jakbym został przechytrzony? Nigdy nie wkładałaś czegoś aż tak szkaradnego. - Z obrzydzeniem cisnął kaptur na podłogę.

- Owszem - przyznałam. - Taka niewinna sztuczka. W ten sposób chciałam zwrócić na siebie twoją uwagę, Edwardzie.

Zaśmiał się cicho. Wreszcie się śmiał! I takiego właśnie roześmianego króla podprowadziłam do szerokiej ławy pod ścianą. Usiadłam i pociągnęłam go za sobą, zmuszając, by usiadł koło mnie, bo nie miałam zamiaru wypuszczać go z rąk. Wcale nie byłam pewna, jak to będzie za chwilę, więc zagrożenia chciałam odpędzać bliskością.

Sięgnęłam po półmisek ze słodkościami postawiony na srebrnej tacy.

- Zjedz coś, Edwardzie. Na pewno jesteś głodny.

- Tak, chętnie, tym bardziej że jak ty zjesz to wszystko, to staniesz się zbyt okrągła!

Zbyt okrągła... Czyli już pora na ten ostatni atak, na zwycięski cios, wobec którego będzie bezbronny. O to przecież się modliłam.

- I tak wkrótce będę o wiele pełniejsza, milordzie. - Utkwione w mojej twarzy spojrzenie króla natychmiast przemknęło ku kibici. - Noszę pod sercem twoje dziecko, panie. Czy jesteś zadowolony?

Król odłożył kawałek słodkiego placka na półmisek, westchnął i wtulił twarz w moje włosy.

- Sam nie wiem... Ale musisz zostać ze mną, Alice. Nie chcę, by moje dziecko rosło, a ja nic nie będę o nim wiedział. Zostań, Alice. Na litość boską, zostań!

Mogłam więc otrąbić pierwsze zwycięstwo, ale jeszcze nie podskakiwałam z radości, zajęta snuciem kolejnej intrygi. Edward przecież miał nie tylko wrócić do mnie, ale także do wszystkich poddanych.

- Zostanę, Edwardzie, jeśli jutro zabierzesz mnie na polowanie. Błagam, zrób to... - poprosiłam słodko, opierając głowę na jego ramieniu. - Z kim mam jechać, skoro wszyscy przeklinają mnie jak córę szatana! Wykeham modli się już za moją duszę, poza tym moja klacz musi się wybiegać. Stoi w stajni i nic, tylko je i je.

- Czyli jesteś sama... - O tak! Od razu to wyczytał między wierszami. - A ja cię zaniedbywałem.

Był już mój, znowu mój. Rumieniec wrócił na policzki, od razu odjęło mu lat. Jakże się cieszyłam, że wreszcie u boku mam prawdziwego Plantageneta.

- Tak, zaniedbywałeś - przyznałam z wielką już powagą. - I należy mi się zadośćuczynienie.

Wstał, chwyciwszy mnie za rękę, i zmusił, bym też wstała.

- Tak, należy ci się. Czegóż więc sobie życzysz, pani?

- Już mówiłam, Edwardzie. Życzę sobie polowania, Edwardzie. Niech cały dwór wreszcie cię ujrzy. Niech wiedzą, że ich król do nich powrócił. Obiecuj, że to zrobisz... - Niestety, jeszcze się wahał, dlatego wysunęłam kolejny argument. - Zrobisz jak najprędzej! Przecież już niebawem nie zdołam dosiąść konia, bo będę gruba jak beczka!

- Obiecuję, Alice, pojedziemy na polowanie. A ty zostajesz ze mną. Tak bardzo mi było ciebie brak.

Więc zostałam. Oczywiście! A pocałunki króla były długie i żarliwe z tej wielkiej ulgi i budzącego się pożądania.

- Chodźmy do łoża, Alice. Od tak dawna nie byliśmy razem.

I w taki oto sposób w łożu króla znów zagościł żar namiętności, kiedy to mogliśmy udawać, że jest jak przedtem i nic się nie wydarzyło, co zmieniałoby ten stan. Edward wziął mnie ku wielkiemu obopólnemu zadowoleniu, potwierdzając dosadną uwagę Jana z Gandawy na temat jego męskości, także o tym, że przy mnie król zapomina o upływie lat.

- Jesteś prawdziwą perłą, moja ukochana Alice.

- A ty jesteś królem Anglii. A Anglia potrzebuje ciebie.

- Będę nią dalej rządził - oświadczył, a ja odetchnęłam z ogromną ulgą, bo oto na moich oczach odżyły również królewska duma i ambicja. A kiedy dodał: - Z tobą u mego boku, Alice - to w głębi duszy przeżyłam chwile ogromnego triumfu.

Gdy po raz wtóry oddawałam Edwardowi me ciało, składałam w duchu przysięgę: „Zadbam o niego, Filipo, na pewno zadbam. Będę się o niego troszczyć, pielęgnować i kochać go”. Całowałam jego usta, czując wielką rozkosz, choć wiedziałam już, że Edward stał się innym człowiekiem. To już nie był ten sam Edward, który kiedyś kazał mi przyjść do siebie wieczorem. Ale teraz nie chciałam o tym myśleć.

Kto żyw, jechał na polowanie. Cały dwór odziany w aksamit i futra wyległ na dziedziniec. Konie, gotując się do biegu, parskały i niecierpliwie grzebały kopytami, a myśliwi klęli, kiedy psy plątały im się pod nogami. Wraz z innymi przeżywałam to cudowne podniecenie, to trudne do zniesienia oczekiwanie na coś wspaniałego, czego wszystkim od tak dawna brakowało.

Czekaliśmy. Czy król pojawi się?

Mróz był siarczasty, każdy przytupywał nogami, każdy miał pod nosem mgiełkę swego oddechu. Giermkowie przynieśli kubki z piwem przyprawionym korzeniami. A ja z tego zniecierpliwienia zaczynałam już drżeć.

Wśród tego tłumu wyróżniał się Jan z Gandawy, ciemny i posępny, na lśniącym gniadoszu, który zdawał się niecierpliwie najbardziej. Obok księcia kilku chłopców stajennych trzymało smukłego siwka, ukochanego konia Edwarda. Zauważyłam, że Jan z Gandawy szuka mnie wzrokiem, i spojrzał. Takie milczące potępienie. Bo był już przekonany, że poniosłam porażkę i król nie przyjdzie. Jednak spokojnie

wytrzymałam jego wzrok, a twarz miałam kamienną, żadne tam kaganie się i przeproszenie. Przecież zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy.

Czas mijał.

Jan z Gandawy, jeszcze bardziej posępny, dał ręką znak, by chłopcy stajenni odprowadzili siwka do stajni, po czym włożył rękawice i krzyknął:

- Ruszamy!

Podniósł rękę, jeden z myśliwych zadał w róg. Westchnęłam i uznając swoją porażkę, skierowałam klacz do stajni. Bo skoro tak, to ochota na polowanie minęła.

- Janie! Zaczekajcie na mnie!

Król zawsze był mistrzem w zaskakiwaniu. I umiał się pokazać. Wyprostowany dumnie zszedł po schodach i przemierzył dziedziniec. Odebrał od chłopca wodze i wskoczył na konia z niebywałą zwinnością, jak zawsze to robił. I wtedy - przypadkiem? A może na rozkaz króla? - promień słońca wśród skór i futer okrywających Edwarda odszukał królewski złoty łańcuch zdobiący monarszą pierś i wspaniały rubin broszy, którą przypięte było do kapelusza pawie pióro. Oba klejnoty zalśniły, roziskrzyły się.

A król łaskawie uśmiechnął się do poddanych i powiedział:

- Wspaniały poranek! Proszę o wybaczenie, że musieliście czekać na waszego króla. Dziękuję wam za cierpliwość!

Taki był Edward. Dumny, władczy, a jednocześnie skromny i czarujący, dzięki czemu w ciągu długiego panowania miał więcej przyjaciół niż wrogów.

Ze wszystkich stron słyhać było pełne szacunku słowa powitania, a po krótkiej chwili myśliwi zaczęli wyjeżdżać z dziedzińca. Edward skinął na sokolnika, by podjechał, a gdy tak się stało, odebrał od niego sokoła. Dumny ptak usiadł na królewskim ręku, a siwy koń ruszył do przodu. Patrzyłam na króla z największą przyjemnością. Spojrzenie jasne, ani cieni melancholii! Bardzo zadowolona ustawiłam się z koniem tam gdzie zwykle, czyli na samym końcu, za wszystkimi damami. Rozradowana czułam, jak z tego szczęścia rozlewa się po mnie miłe ciepło, także tam, w łonie, gdzie rosło maleństwo.

Szczęśliwa byłam tym bardziej, że stało się również to, o co modliłam się tak gorąco. O te słowa, które usłyszałam, kiedy król zwrócił się do swego syna:

- Przyjdź po polowaniu do mnie. Zastanowimy się, co zrobimy z naszymi wojskami we Francji. Najwyższy czas podjąć decyzję.

- Tak, panie.

Jan z Gandawy, o twarzy drapieżnika i jak drapieżnik zuchwały, choćby najdrobniejszym gestem czy zerknięciem nie dał do zrozumienia, jak bardzo jest mi wdzięczny. Ale co tam gesty, co tam zerknięcia. Najważniejsze, że był mi wdzięczny. Bo jakżeby inaczej, skoro jego twarz, gdy ściskali sobie z ojcem prawice, promieniała szczęściem.

Poutykałam fałdy spódnic pod nogami, trąciłam klacz piętą w bok i ruszyliśmy w ślad za orszakiem. O tak, też będę się cieszyć z tego polowania.

Kiedy wyjechaliśmy już z dziedzińca, wszyscy zebrali wodze, bo była to chwila, kiedy znów powinniśmy usłyszeć sygnał. Ale łowczy nie dał w róg, bo król go powstrzymał, kładąc mu rękę na ramieniu. Wszyscy wpatrywali się w króla, ciekawi, dlaczego wstrzymał pochód.

A Edward obrócił koniem, wyraźnie szukając kogoś wzrokiem, i zawołał:

- Pani Perrers!

Z wrażenia ściągnęłam wodze tak mocno, że klacz przysiadła na zadzie, i wyszemrałam:

- Panie...

Oczywiście nie mógł mnie usłyszeć, ale już wypatrzył.

- Jedź koło mnie.

Zawahałam się, naturalnie tylko na mgnienie oka, przecież był to rozkaz króla, i przejechałam klaczą przez barwny tłum dworzan, by zatrzymać się koło Jego Królewskiej Mości.

- Panie...

- Powiedziałaś, że chcesz zapolować. A więc zapolujesz... - Złapał za uzdeczkę i zmusił moją klacz, by przysunęła się bliżej jego konia. A potem wziął mnie za rękę. Mało tego, ucałował mnie w skroń. - Miałaś rację. Dobrze wybrać się na polowanie. A ja zaniedbałem się...



- Mówił coraz ciszej, zniżając głos do poufalego szeptu. - Dziś wieczorem nie będziesz sama...

Słyszałam, jak wszyscy, na pewno bez wyjątku, głęboko odetchnęli z wielkiego poruszenia. Ale co się dziwić, skoro król wyróżnił mnie w sposób wręcz demonstracyjny! Cały dwór był zdumiony, a moje policzki zapłonęły. Król przecież pocałował mnie na oczach wszystkich! Ale przecież sama tego chciałam, prawda? Tak bardzo pragnęłam jawnego uznania mojej osoby, oficjalnego przypiętowania mojej pozycji na oczach wszystkich, i lordów, i ludzi niskiego stanu.

- Pojedziesz ze mną? - spytał i było oczywiste, że moja odpowiedź będzie potwierdzeniem tego, co nas łączy, żeby nikt już nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Pojadę, panie.

Nasze konie poszły łeb w łeb. Król nadal trzymał mnie za rękę, a za nami podążał cały dwór. Jechaliśmy po wielkiej, podmokłej łące, a łowczy wreszcie zadał w róg. Wreszcie, bo tak jak i wszyscy inni osłupiał, i dopiero teraz przystąpił do pełnienia spóźnionych obowiązków.

Trudno, żebym się nie uśmiechnęła, i to promiennie, być może nawet dorównując słońcu, które wyjrzało zza chmur. Przecież Edward swoim zachowaniem właśnie publicznie obwieścił, że jestem jego faworytą.

I tak oto zostałam oficjalną faworytą króla Anglii.

Oczywiście tym samym narobiłam sobie mnóstwo wrogów, ale nie dbałam o to, bo chciałam się tylko cieszyć. Bo to był dla mnie wielki dzień. Wielki dla moich ambicji.

Psy nagoniły wyjątkowo dorodnego kozła, a Edward był pogodny i bardzo rad, że znowu usiadł w siodle. Śmiał się głośno i serdecznie, a ja miałam wrażenie, że cały dwór wzdycha z zadowolenia, że król wrócił do świata i do ludzi. Nawet Jan z Gandawy nie miał zbolalej miny, choć zajęłam jego miejsce u boku Jego Królewskiej Mości.

A jechałam obok króla przez całe polowanie. Kiedy psy wpadły na trop zwierzyny i konie ruszyły galopem, król wstrzymywał konia, żeby szedł łeb w łeb z moją klaczą. Bo ja przecież, ze względu na mój błogosławiony stan, nie pędziłam. Król nie mógł bardziej dobitnie przekazać

innym, co nas łączy Równie dobitnie, jak herold Chester trąbą przekazywał nam sygnały.

Alice Perrers jest faworytą króla.

Oczywiście ta zasadnicza życiowa zmiana skłoniła mnie do głębszych rozmyślań. Stało się to zaraz po powrocie z polowania, kiedy ściągałam z siebie strój myśliwski, poleciwszy przedtem służącej, by naniósła gorącej wody do miedzianej balii. Gdy balia była już pełna, z pełnym rozkoszy westchnieniem zanurzyłam się w ciepłutkiej wodzie. Bardzo tego potrzebowałam, bo nie siedziałam na koniu od ładnych kilku tygodni, więc po polowaniu bolało mnie wszystko. Z tym że umiarkowanie, żadna tam tragedia. Siedziałam więc sobie w pachnącej ziołami wodzie i oglądałam porządnie zaokrąglony brzuch. Nie mogłam już ukryć swego stanu. I wcale nie miałam takiego zamiaru. W żadnym razie! Bo wreszcie będę mogła śmiało pokazywać światu moje coraz bardziej imponujące kształty.

Zdawałam sobie sprawę, że znalazłam się na ustach wszystkich. Przecież to, co dotąd skrywane, zostało otrąbione. Koniec z tajemnicą, koniec z ukrywaniem się, a ja wreszcie mogłam chodzić z podniesionym czołem. Co za wspaniały dar od króla, to uznanie mej osoby na oczach całego dworu. Nie spodziewałam się, że Edward potrafi być aż tak wspaniałomyślny.

I co bardzo istotne, teraz, kiedy moja pozycja została ugruntowana, mogłam wreszcie poczuć się bezpieczna. Pod skrzydłami królewskiego autorytetu nic mi nie groziło, choć nadal dźwięczały w moich uszach wyszeptane lub rzucane półgębkiem słowa, które pochwyliłam podczas polowania. „Alice, dziewczka sprzedaj na”, „ta Perrers...” - a potem znaczące chrząknięcie. Te i wiele innych, choć usłyszałam też: „faworyta króla”, czyli stwierdzenie faktu. I bardzo mi się to spodobało. Oficjalnie uznana faworyta króla, tak, to właśnie było to. I niech wszyscy zapamiętają, kim jestem, bo oto stałam się osobą potężną i nietykalną. To, że dzielę z królem komnatę i łóżce, stało się faktem oczywistym, dworską codziennością, która mnie wywyższała. Oczywiście oficjalnie praw żadnych nie miałam z racji tego wyróżnienia, ale nie szkodzi, bo to król, pan i władca, wyznaczył mi takie miejsce i chroni królewskim autorytetem.

Obecnie nikt już nie ośmieli się mnie tknąć ani palcem, ani słowem. Nawet Jan z Gandawy po powrocie z polowania podkreślił moją pozycję, składając mi głęboki ukłon.

O czymś takim nie śmiałam nawet marzyć. O królewskim darze, dzięki któremu zostałam wyniesiona tak wysoko.

- Dziękuję, Edwardzie... - szepnęłam z ręką przytuloną do pęczniającego brzucha.

A potem ułożyłam się w balii wygodniej, opierając głowę o miedziany brzeg, i zamknawszy oczy, upajałam się swoim sukcesem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaraz po polowaniu Edward razem z Janem z Gandawy odbyli naradę. Nie wiedziałam, jak dokładnie przebiegła ta rozmowa, ale wiedziałam, co z niej wynikło. Król znowu był królem, dzierżył władzę w silnej pięści. Jan z Gandawy został wysłany wraz z armią do Gaskonii, by wesprzeć księcia Walii, który był atakowany przez Francuzów. Jednocześnie Edward nakazał do Calais wysłać drugą armię, która miała stamtąd uderzyć na Francuzów. Dowództwo powierzył zaprawionemu w bojach sir Robertowi Knollesowi. Czyli jeśli potrzebowałam kolejnego niezbitego dowodu, że Edward odzyskał w pełni siłę ciała i ducha, to go miałam. Bo było nim obmyślenie tej napaści z obu stron, z północy i z południa, do czego uciekał się już niejeden raz i zawsze z dobrym skutkiem. Wysłano też posłów do Niderlandów, Niemiec i Genui, szukając sprzymierzeńców do walki z królem Francji.

Wszystkie noce Edward spędzał ze mną, wiedziałam więc, że nadal dręczy go niepokój.

- Powinienem być sam tam pojechać i poprowadzić wojska do walki. A może jestem już na to za słaby?

- Wcale nie, Edwardzie. Na pewno starczy ci sił.

Niestety śmierć ukochanej Filipy dokonała w nim wielkiego spustoszenia. To prawda, w dużym stopniu odzyskał siły i ciała, i ducha, ale umysł już nie był tak nieskończenie bystry. Cokolwiek robił, czy grał

ze mną w szachy, czy karmił duszę ulubionymi wierszami albo słodkimi dźwiękami lutni i równie słodkim śpiewem, bardzo często uciekał gdzieś myślami. Świadomość, gdzie jest, znikła jak chmura, która musi ulec promieniom słońca. Niestety, znikła też jego pewność siebie i do głosu dochodziły lęki, niepewności. Nigdy już by nie poprowadził swych wojsk do walki z tą samą zuchwałością i przenikliwą oceną sytuacji, co kiedyś. Ale i tak miałam za co dziękować Bogu. Król wyrwał się z duchowego odosobnienia i powrócił do rzeczywistości. A jeśli Jan z Gandawy odniesie we Francji zwycięstwo, Edward niewątpliwie odzyska wiarę w siebie, w swoją umiejętność podejmowania dobrych, skutecznych i wyważonych decyzji.

Nalałam do kubków przedniego bordo, wina z Akwitanii, swoistego symbolu posiadłości Plantagenetów we Francji, po czym wzniosłam toast:

- Wypijmy za zwycięstwo Anglii! - Wychyliłam do dna.

- Za Anglię! - zawtórował Edward. - I za ciebie, moja miła. Pocałował mnie żarliwie z namiętnością godną króla.

Niestety, radość była przedwczesna, bo wieści, które docierały w ciągu kolejnych miesięcy, wcale nie były dobre. Na północy nie wiodło się. Król Karol, władca Francji, który nauczył się czegoś na swoich błędach, nie chciał zmierzyć się w bitwie z głównymi siłami Anglików, natomiast Knolles, coraz mocniej krytykowany za swoje działania, stracił impet i autorytet. Jego wojska się rozpiezchły, stając się łatwym kąskiem dla francuskich sępów. Na południu natomiast wiodło się Anglikom lepiej. Limoges został wzięty i spalony, dzięki czemu w tych rejonach zapanował względny spokój, choć niestety często docierała wieść, że książę Walii zmuszony był wracać do Bordeaux, ale nie z powodu napaści Francuzów, tylko z powodu wyniszczającej go choroby. Cała pewność króla znowu znikła.

- Ależ Edwardzie! Przecież jest tam Jan z Gandawy - pocieszałam go.

- Zapanuje nad wszystkim, zobaczysz. Nie ma powodu do zmartwienia. Ale i tak coraz bardziej zamykał się w sobie, niechętny do rozmowy ze mną. Uprzytomniłam to sobie, kiedy zobaczyłam, jak stał na blankach i czekał na posłańca z wieściami. Stał razem z Tomaszem, trzymając go ciężką ręką za ramię i przyciskając do swego boku. Młody książę

niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, widomy znak, że wolałby teraz być w stajni albo ćwiczyć się we władaniu mieczem, no, gdziekolwiek, byle nie z ojcem.

- To idź sobie! - warknął w końcu Edward, puszczając syna.

Tomasz natychmiast uciekł w te pędy, a kiedy zajęłam jego miejsce u boku Edwarda, biorąc go pod ramię, uśmiechnął się, i owszem, ale nie spojrzał na mnie z radością. Czułam, że z mojej obecności wcale nie jest zadowolony. Nie było to miłe, ale wiedziałam, jaki na to jest lek. Wprawdzie co do jego działania nie miałam całkowitej pewności, ale byłam kobietą wystarczająco pewną siebie, by coś takiego uczynić, i to bez względu na konsekwencje. Bo najważniejsze było zdrowie króla.

Napisałam oficjalne zaproszenie, na welinie, tym najlepszym pergaminie, opatrzyłam pismo królewską pieczęcią i wysłałam przez posłańca w barwach króla. Nie, nie było to zgodne z prawem. Żaden paragraf nie zezwalał faworycie używać królewskiej pieczęci! Ale... czemu nie? Cel czasami musi jednak uświęcić środki.

Nie, nie podpisałam się, bo pomyślałam, że jeśli to zrobię, mogę tego żałować do końca życia.

W rezultacie stałam przed kominkiem w mojej komnacie, trzymając list w palcach, i zastanawiałam się, czy nie wrzucić go po prostu do ognia...

Czyż nie dałam już Edwardowi wszystkiego, całego uczucia, jakiego potrzebował?

Nadeszły nowe wieści, a były tak straszliwe, że rzuciły Edwarda na kolana. Dosłownie, bo zrozpaczony klęczał w kaplicy. Syn księcia Walii, następcy tronu, Edward of Angouleme, chłopiec zaledwie kilkuletni, zmarł, a księżę był zbyt chory i zrozpaczony, by poprowadzić wojska. Zamierza wrócić do Anglii, a losy kampanii złożyć w coraz mniej skuteczne ręce Jana z Gandawy.

Edward płakał.

A ja w ciągu tej samej godziny wysłałam kolejny list, ale o całkiem innej treści i do innego adresata. Cóż, gra była warta świeczki. Nie wolno mi było zmienić zdania. Napisałam ponownie do Williama de Windsora. Bardzo sztywno, oficjalnie:

*Wróciłam do łask. Taka była wola króla. Odzyskałam też jego zaufanie. Irlandia go już nie interesuje. Całą uwagę poświęca Gaskonii,*

*jest błędem. Ale tak jest. A Ty masz nadal wolną rękę w Irlandii. Moim zdaniem w obecnej sytuacji Londyn nie będzie się do tego wtrącać.*

Odpowiedź przyszła szybko, przywiózł ją ten sam posłaniec. Odpowiedź była w stylu Windsora, czyli krótka, zdecydowana i bez owijania w bawełnę:

*Oba listy od Ciebie otrzymałem w odstępie kilkudniowym, bo nie jest teraz łatwo z przesyłaniem wieści. Czuję ulgę, że wróciłaś do łask...*

Oczywiście! Bo i ty możesz na tym skorzystać! - skomentowałam w duchu.

*Postaraj się, by Edward o mnie nie zapomniał. Nie jest tu łatwo i przyda mi się każda pomoc.*

To, co napisał dalej, naprawdę mnie zdziwiło:

*Chciałbym Ci dać jeszcze jedną radę. Miałaś już okazję poczuć na własnej skórze, jak Ci się wiedzie, kiedy jesteś pozbawiona patronatu króla. Ostrzegałem Cię przed tym, kiedy widzieliśmy się ostatnio. Ale nie przejęłaś tym się zbyt. Teraz widzisz, jak to jest. Twoja pozycja jako królewskiej faworyty może być podważona w mgnieniu oka. Dlatego zadbaj o siebie, wykorzystaj wszystkie możliwości. Kiedy król umrze, nie będzie Ci łatwo. Wątpię, czy księżę Walii i jego ambitna żona zrobią Ci miejsce na królewskim dworze.*

A potem coś jeszcze bardziej zaskakującego:

*Myślę o naszych spotkaniach nawet częściej, niż tego bym sobie życzył. Nie, nasze rozmowy nie szły gładko, ale sam nie wiem, dlaczego wryłaś mi się w pamięć. I nie mogę Cię z niej wymazać. Może dlatego, że masz ostre pazurki, ostre i niezniszczalne. A kiedy człowiek się z tym pogodzi, dojrzy również, że umysł masz bystry i jesteś pełna wdzięku. Kiedy o tym myślę, łatwiej mi znieść to moje irlandzkie odosobnienie. Nie sądzę, bym mógł wrócić do Londynu w najbliższej przyszłości. Nie ukrywam, że żałuję tego. Gdyby stało się inaczej, gdybym nie wyjechał, myślę, że z pewnością byśmy się dogadali.*

*Życzę Ci wszelkiej pomyślności, Alice. Uważaj na siebie. Twoja wysoka pozycja przysporzy Ci więcej wrogów, niż się spodziewasz. Bądź ostrożna, zawsze pamiętaj, by nie dawać im żadnej broni do rąk.*

*Posłuchaj rady człowieka doświadczonego.*

Zaśmiałam się cicho, a potem rozwinęłam małe skórzane zawiniątko, które oprócz dobrych rad przekazał mi Windsor. Zawiniątko było

podłużne i zanim jeszcze rozwinęłam miękką skórę, wiedziałam już, co w niej się kryje. Nóż o cienkim ostrzu, który można schować w rękawie albo za stanikiem sukni. Nóż, czyli oręż, którym można bronić się przed kimś, kto będzie nastawał na twoje życie. Dziwne, że Windsor o tym pomyślał. Bo ja raczej nie sądziłam, by ktoś taki mógł się znaleźć.

Uzmysłowiłam sobie, że tak jak Windsorowi brakuje mnie, tak i mi brak Windsora. Szkoda, że nie ma go na królewskim dworze. Chociaż nie sądziłam, żeby ten nasz pożegnalny pocałunek miał dla niego jakieś znaczenie. Broń cię, Panie Boże. To tylko niewinny, nic nieznaczący całus. Dla mnie, królewskiej faworyty, na pewno.

A jak dba o mnie... O moje bezpieczeństwo... Najpierw głupi psiak, teraz ten nóż.

Czy rzeczywiście powinnam się bać? Bo nie bałam się. I może to był mój błąd.

Na odpowiedź na moje zaproszenie w imieniu króla musiałam czekać dłużej niż na list od Windsora, ale odpowiedź na pewno wywarła na mnie większe wrażenie. Bo ta osoba nie odpisała, tylko pojawiła się osobiście, a wraz z nią sznur lektyk, a także zbrojna asysta na dorodnych rumakach i z dumnymi porożcami. Wspaniały, przykuwający wzrok orszak mógł należeć tylko do jednej osoby, i to osoby takiej, że byłam pełna obaw. Bo kto wie, czy jednak nie pożałuję swego kroku. Ale trudno, po prostu innego sposobu na rozwiązanie tego problemu nie widziałam.

Rodzina!

Edward potrzebował wokół siebie osób bliskich, a przede wszystkim swoich dzieci, przy których ożywały wspomnienia. Bo Edward, heros na polu bitwy, znakomity władca i mężczyzna w pełni sił, w domowych pieleszach potrzebował rodziny. Gwaru, żartów, czułości od osób bliskich. Ich brak bardzo źle wpływał na jego nastrój. Filipa i dzieci, które mu urodziła, były to dla niego osoby bardzo ważne, tym bardziej że jego dzieciństwo było smutne i samotne, czego sprawcą była jego skrajnie egoistyczna matka. Dlatego stworzenie własnej, kochającej się rodziny było dla niego takie ważne. Dzięki rodzinie miał poukładane życie i spełniał się w niej jako pełen miłości mąż i ojciec. Innymi słowy zyskał to, czego kiedyś w ogóle nie doświadczał.



Ale co teraz, kiedy Filipa odeszła na zawsze, a dzieci bądź poumieraly, bądź się rozpiechły? Dwóch synów we Francji pochłoniętych sprawami wojny. Lionel zmarł we Włoszech. Z córek przy życiu została się tylko jedna. Tomasz był jeszcze chłopcem, który jak każdy młokos przede wszystkim był zajęty sobą i na prawdziwego towarzysza ojca się nie nadawał. A Edward bezwzględnie potrzebował koło siebie kogoś z rodziny.

A dlaczego ty nie możesz mu dać tego, czego potrzebuje?

Naturalnie postawiłam sobie to pytanie wiedziona troską o Edwarda, ale i z gniewem, bo takiej odpowiedzi, jakiej udzielić bym sobie chciała, udzielić nie mogłam, jeśli ma to być odpowiedź szczerą. Owszem, mogę Edwardowi dać wiele, ale nie to, czego potrzebuje najbardziej. Poczucia przynależności. A kto temu może zaradzić? Tylko ukochana córka Izabela. To prawda, jest uparta jak osioł, kapryśna, zadzierająca nosa i bardzo mi nieżyczliwa, ale trudno, bo to ona była najlepszym lekiem.

Widziałam już ją, wprawdzie z pewnej oddali, ale musiała to być ona. Właśnie wysiadła z pięknej, wyścielonej kobiercem i poduszkami lektyki. Sama, bez swego kiedyś tak upragnionego męża, lecz z dwiema córeczkami, tak samo jak matka jasnowłosymi i tak samo obdarzonymi świetlistą urodą. Oglądałam ich przyjazd z małej komnaty nad głównym wejściem.

Izabela jak to Izabela, ledwie dotknęła stopą ziemi, a już zaczęła wydawać rozkazy, natomiast ja zaczęłam nerwowo postukiwać palcami w kamienną półkę pod oknem. Wyjść jej naprzeciw? Czy poczekać z powitaniem, aż wprowadzi się do komnat i przywita z Edwardem? Jeśli teraz zejdem na dół, na pewno padną ostre i bardzo nieprzyjemne dla mnie słowa, bo niewątpliwie nic nie pomniejszyło odrazy, którą zawsze do mnie czuła, więc na mój widok od razu się w niej zagotuje. Z drugiej jednak strony jeśli pozwolę, by najpierw zobaczyła Edwarda, to ani się obejrzę, a już wprowadzi swoje rządy i w rezultacie, kiedy zasiądziemy do wieczerzy, nie będę już wiedziała, gdzie jest moje miejsce. I przy stole, i tak w ogóle.

Stanowczo więc lepiej powitać ją teraz. Przestałam bębnić palcami, skupiając się na tym, czy ubrana jestem stosownie, jako że nigdy nie obywało się bez uszczypliwych uwag na ten temat. A przecież w tym

pałacu obecnie to ja nosiłam klucze przy pasku. Kto zawiadywał pieniędzmi i całym gospodarstwem? Boże, pomóż mi powściągnąć gniew, zapanować nad słowami. Przecież chcę mieć w Izabeli sprzymierzeńca!

I dlatego też, mając za nic etykietę dworską, bardzo wytwornie ubrana pojawiłam się na podwyższeniu w wielkiej sali. Obok mnie Latimer i służący. Staliśmy tam, kiedy Izabela wreszcie wkroczyła do sali. - Czy moje komnaty są przygotowane? - spytała, tego pytania nie kierując do konkretnej osoby.

Jak zwykle była władcza i wyglądała zachwycająco. Ubrana nienaganie, choć miała za sobą długą podróż. Suknia wierzchnia prześliczna, łagodna zieleń połączona ze srebrem. Natychmiast zapragnęłam mieć taką samą, nieważne, że miałam na sobie jedną z moich nowych sukien, zgodną z upodobaniami Edwarda, w którą błyskawicznie się przebrałam, gdy zobaczyłam przez okno, w jak wspaniałej kreacji paradytuje Izabela. Pozbyłam się tego, co miałam na sobie, czyli sukni mdłej, w kolorze zgniłozielonym. Gdybym teraz miała ją na sobie, Izabela zgodnie ze swoim zwyczajem na pewno jakąś kąśliwą uwagą odebrałaby mi całą pewność siebie. Dlatego więc przebrałam się, by dać wyraz mojej zamożności i nowej pozycji. A miałam na sobie bardzo obcisłą suknię z fioletowego jedwabiu we wzory cynobrowe i niebieskie. W takiej sukni trudno pozostać niezauważoną, tym bardziej że włożona na tę suknię cotehardie była ze złocistego adamaszku. Oczywiście, przecież to ja byłam tu panią i to ja dawałam znak ręką służącemu, by poprowadził Izabelę wraz ze świtą do jej komnat, które przygotowano pod moim czujnym okiem.

Jednak Izabela została w sali. Zauważyłam, że celowo nie spogląda na mnie, ale wiadomo, że mój widok nie sprawiał jej przyjemności. Dlatego odszukała spojrzeniem marszałka dworu.

- Latimer! Witaj! Miło tu wrócić. Podajcie mi wina.

- Już każę podać, milady. - Skłonił się nisko przed księżniczką.

A potem przede mną. Tak, zrobił to, zanim wyszedł spełnić polecenie, co Izabela naturalnie zauważyła, dlatego jej cienkie brwi wygięły się w dwa idealne łuki, a jej spojrzenie wreszcie spoczęło na mnie. Ale dopiero teraz, kiedy jej było wygodnie! Bo przecież zauważyła mnie od razu, kiedy tylko przekroczyła próg sali. Jakże mogła nie dostrzec mego fioletu i cynobru?

- Pani Perrers!

- Milady... - Skłoniłam się.

- Nie spodziewałam się, że zastanę tu jeszcze ciebie. Bardzo ciekawa, co cię tu zatrzymało, skoro przestałaś być damą. Czymże więc jesteś? Może pałacową rozpustnicą?

Jej pogarda na pewno dotknęłaby mnie do żywego, gdybym nie trwała w mocnym postanowieniu, że absolutnie nic nie wytrąci mnie z równowagi.

- Wiele się zmieniło, milady.

- Oczywiście, skoro wydajesz rozkazy Latimerowi. Mam nadzieję, że mój ojciec o tym wie!

- Naturalnie, milady.

- Czyli zastąpiłaś moją matkę!

- Można i tak to określić.

Było oczywiste, że poczuła się nieswojo, z czego byłam rada. Ciekawe, czy zdecyduje się jednak zapytać wprost.

A zadowolona byłam jeszcze bardziej, kiedy podszedł służący z tacą, na której stały kubki z winem. Przykląkł przede mną, ale ja dałam ręką znak, żeby najpierw podał wino księżniczce.

Och, jak wielką miałam w tym przyjemność, natomiast piękna twarz Izabeli była jak z kamienia.

- Czyli ty teraz zawiadujesz tu wszystkim!

- Tak, milady - odparłam, uprzejmie skłaniając głowę. - Ktoś musi to robić. A najważniejsze, że Jego Królewska Mość jest zadowolony, że się tym zajęłam.

Izabela demonstracyjnie nie sięgnęła po wino, tylko oświadczyła:

- Ale to się wkrótce zmieni!

- Oczywiście, milady, jeśli zdecydujesz się wziąć ten ciężar na swoje barki...

Naturalnie doskonale wiedziałam, że księżniczka nie ma najmniejszego zamiaru tego uczynić.

- A gdzie król?- spytała.

- Sądzę, że w stajni.

Bez słowa odwróciła się na pięcie, ale zawołałam za nią:

- Poczekaj, pani! Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Zatrzymała się i spytała dość opryskliwie:

- A co?
- Jego Królewska Mość ostatnio stał się bardzo wrażliwy.
- A więc?
- Dobrze by było, pani, gdybyś starannie dobierała słowa.
- Nie musisz mi tego mówić!

Wtedy podeszłam do niej, spojrzałam jej prosto w oczy i odparłam stanowczym tonem:

- Muszę, pani, bo nie widziałas się z Jego Królewską Mością od długiego już czasu, od śmierci Jej Królewskiej Mości.

Przez moment zastanawiała się, po czym, wyraźnie podjąwszy decyzję, bez słowa odwróciła się i podeszła do marszałka dworu, który właśnie pojawił się w sali.

- Latimer, czy król nie domaga?
- Tak, milady, ale czuje się już znacznie lepiej.

Nie wierzyła mi, dlatego spytała Latimera, żeby się upewnić. Czyli muszę jeszcze coś niecoś zrobić, by móc wykorzystać tę księżniczkę z rodu Plantagenetów. Zrobić coś, żeby zdobyć jej zaufanie...

Stała sztywna i wyprostowana, cała emanowała wrogością. Ta wrogość oczywiście skierowana była do mnie, dlatego pomyślałam, że z tym przeklętym zaproszeniem to jednak chyba nie był dobry pomysł.

- A ty z jego życzliwości robisz użytek, prawda? - spytała głosem nabrzmiałym zazdrością. - O, i widzę, że nie tracisz czasu! - Głos stał się jeszcze wyższy, no i to znaczące spojrzenie na moją znacznie grubszą już talię. - Następny bękart? Kto by pomyślał, że uda ci się wspiąć tak wysoko. Ale uważaj, pani Perrers, bo wyżej wspiąć już ci się nie uda!

Oszczędziłam sobie ostrej odpowiedzi. Po co? Izabela była kobietą inteligentną, lepiej więc było na tym bazować, a nie rozjątrzać kłótnie. Dlatego po prostu poszłam razem z nią, a mówiąc dokładniej, kroczyłam obok niej. Kiedy przyśpieszała, jakby chciała mnie z siebie strząsnąć, też przyśpieszałam. Cóż, Izabela nie miała pojęcia, jak wiele determinacji może być w dawnej damie dworu.

- On nie może być chory - odezwała się po chwili. - Zaprosił mnie przecież, bym wzięła udział w uroczystości.

- Wiem.
- Napisał, że odbędzie się turniej.
- Tak.

- Czy człowiek, który niedomaga, zajmowałby sobie głowę jakimś turniejem?

- Nie.

- Więc kiedy ma się odbyć ten turniej?

- Nie będzie żadnego turnieju.

Kiedy to usłyszała, zatrzymała się, ja oczywiście też, i ponownie stanęłyśmy twarzą w twarz, zupełnie jak dwa koty, które szykują się do bitki.

- W takim razie kto napisał ten list? - Ja.

Odetchnęła głęboko, nozdrza zadrżały. Byłam pewna, że teraz nastąpi wybuch. Ale tak się nie stało. Żadnego wybuchu, tylko spojrzenie bardzo wnikliwe.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego mnie tu zaprosiłaś? I to akurat ty?!

- Jesteś bardzo zaskoczona, pani.

- Owszem, bo gdybyś zamierzała rządzić, nie zapraszałabyś mnie do Anglii. Obie wiemy, że ja też lubię rządzić.

- Wiem.

- A więc dlaczego?

- Król wpadł w melancholię. Księżę Walii bardzo niedomaga, jego synek umarł. Król nie jest w nastroju do turniejów. Chyba że ty, pani, go przekonasz.

- Tak. - Było oczywiste, że pojęła od razu. - Porozmawiam z nim - dodała, przyglądając mi się bacznie.

A ja uśmiechnęłam się leciutko, po czym powiedziałam:

- Wcale ci źle nie życzę, pani. - Było to szczere wyznanie, przecież Edward bardzo jej potrzebował. - I powinnaś wiedzieć jeszcze jedno. Król nie wie, że posłałam ci to zaproszenie.

Odprowadzałam ją wzrokiem. Szła szybko, ale ta żwawość była jakby udawana. Musiała przeczuwać, że to, co zaraz zobaczy i czego się dowie, bardzo jej się nie spodoba. Westchnęłam. I spojrzałam na przyklejoną do mojej nogi Braveheart. Panie Boże, dopomóż! Czyżbym zaprosiła lisicę na podwórko, po którym chadzają kury i kurczaki?

Kiedy szłam przez ogród, by dołączyć do królewskiego ojca i królewskiej córki, Izabelę usłyszałam już z daleka. Niestety była bardzo ożywiona i nie kryła, jak bardzo jest rozgniewana.

- Zostałam wyrzucona z moich komnat!

- Wyrzucona? - Edward śmiechem skwitował ten zarzut wypowiedziany dramatycznym tonem. - Chciałem, żebyś zamieszkała w większych i wygodniejszych komnatach, skoro przyjechałaś z dwójką dzieci.

- Ale tamte komnaty są moje! Kazałeś zbudować je dla mnie!

- To prawda, ale stały puste, więc dlaczego z nich nie korzystać? Przyjeżdżasz tu bardzo rzadko, a Alice jest z nich bardzo zadowolona.

Edward kazał mi zamieszkać w wielkich, iście królewskich komnatach. Kiedy powiedziałam, czego mi potrzeba, nie miałam pojęcia, że dostanę właśnie te wielkie komnaty Izabeli w dobudowanej części pałacu. I w tych komnatach było mi rozkosznie.

Kiedy zbliżałam się do króla i księżniczki, zapadła złowroga, zimna cisza, przerywana tylko jazgotem sroki z pobliskiego drzewa. Izabela, kiedy mnie zobaczyła, odetchnęła głęboko. Byłam bardzo ciekawa, co powie, czy potrafi odezwać się dyplomatycznie. A ona zatrzymała się na ścieżce tak gwałtownie, że już nie z szelestem, ale ze świstem ozdobionych haftem spódnic, po czym odwróciła się do Edwarda i wykrzyczała mu prosto w twarz:

- Oddałeś moje komnaty swojej miłośnicy!

- Ostrożnie, Izabelo... - szepnęłam do siebie. - Tylko ostrożnie! To prawda, król starzeje się, ale to wcale nie znaczy, że nie jest już taki silny jak kiedyś.

I jakby na potwierdzenie moich słów dłoń Edwarda zacisnęła się w pięść.

- Myślę, że powinnaś za to przeprosić - powiedział wciąż jeszcze łagodnie.

- A dlaczego? Dlaczego mamy udawać, że ona tym właśnie nie jest? Tym, czym już była, kiedy żyła jeszcze moja matka!

Widziałam, jak szerokie plecy króla prostują się, widziałam, ale już oczyma wyobraźni, jak okrywa je płaszcz z gronostajów. Królewski płaszcz, płaszcz naszego pana i władcy.

- Jestem wyrozumiała, Izabelo, i wiele potrafię znieść. Ale tego nie. Nie masz prawa osądzać ani mnie, ani swojej matki. A Alice przekazałem zawiadywanie dworem.

- Nie podoba mi się to.

- I nie musi. Jesteś tu gościem, Izabelo. Jeśli nie masz ochoty tu być, nie będę cię zatrzymywał... - Widziałam, jak księżniczka otworzyła usta... i zaraz je zacisnęła. A król dodał z uśmiechem, choć spojrzenie nadal miał surowe: - Wiem, że rozumu ci nie brakuje, Izabelo. I dajmy już temu spokój. Powiedz, jak długo zamierzasz tu zostać? Trzeba coś obmyślić, byś przyjemnie spędzała czas.

Izabela zerknęła na mnie, a wtedy odeszłam, tak po prostu. Uznałam bowiem, że tych dwoje coś tam sobie obmyśli i dogadają się, w końcu król i księżniczka zostali ulepieni z tej samej gliny. Izabela zatrzyma się tu najpewniej na kilka tygodni, ale dzięki interwencji króla mogę czuć się bezpieczna. Poza tym mądra córka i mądra faworyta w razie potrzeby powinny zjednoczyć siły dla obopólnego dobra, a teraz dodatkowo łączyła nas wspólna sprawa, więc sojusz służący walce z melancholią króla był jak najbardziej wskazany.

Niestety Izabela patrzyła na to inaczej. Kiedy wchodziłyśmy do wielkiej sali na wieczerzę, szepnęła mi wprost do ucha:

- Tylko nie myśl, że zacznę cię szanować. To ci się nie uda. Dla mnie zawsze będziesz parweniuszką, pani Perrers!

Cóż, byłam i zawsze będę, ale starałam się bardzo, by zdobyć moją obecną pozycję, dlatego wysunęłam jednak pazurki, choć przynajmniej na razie tylko odrobinę.

- Nie potrzebuję twojego szacunku, pani - powiedziałam z powagą i bardzo spokojnie, choć Izabela zmarszczyła czoło, robiąc groźną minę.

- Jego Królewska Mość potrzebuje mnie teraz bardziej niż ciebie.

- Ale mnie posłucha.

- Nie, wcale nie posłucha - w naszą rozmowę wdarły się słowa wypowiedziane przez Edwarda, który podszedł do nas, by poprowadzić mnie do stołu, do mojego miejsca po prawicy króla.

A ja wtedy gładko:

- Edwardzie, może to twoja córka powinna zająć poczesne miejsce przy stole, przynajmniej dziś wieczorem. Jest przecież droгим gościem... - Okrasiałam moją wypowiedź uśmiechem.

Ten uśmiech wcale nie był tak do końca wymuszony. Bo nie musiał, skoro triumfowałam w tym naszym sporze. Izabela, z pewnością wyuczując, że ma godnego siebie przeciwnika, odpowiedziała już tylko gniewnym błyskiem w oku i usiadła.

Był to bardzo miły wieczór, z obfitością jadła, wina, muzyki i zabawy. Król rozpogodził się w towarzystwie córki, która była chętna do rozmowy i żartów. A ja czułam, jak duma mnie rozpiera, a także poczucie zwycięstwa. Nie zniszczył tego nawet pewien drobny incydent. Otóż gdy po wieczerzy wychodziliśmy z sali, Izabela poczęstowała mnie gorzkim uśmiechem i przestrogą:

- Uważaj na siebie, królowo Alice.

Zaśmiałam się cicho, bo naprawdę było to coś wręcz rozkosznego patrzeć, jak Izabela zasiada na poczesnym miejscu obok Edwarda tylko dlatego, że ja jej tego miejsca ustąpiłam.

- Naturalnie, milady. Uważam na siebie, jak zawsze. I jak zawsze dbam o króla.

Była wściekła. Zawsze będzie moim wrogiem, wiedziałam jednak, że coś dostrzegła, coś zrozumiała. A mianowicie że to, co powiedziałam, jest prawdą. Rządziłam królewskim gniazdem i nie wyrzeknę się tej władzy nawet na rzecz królewskiej córki. Edward będzie miał przy sobie Izabelę przez krótki czas, czemu jest bardzo rad, ale tak naprawdę potrzebuje mnie. Stałam się centrum jego kurczącego się świata. Krew krążyła szybko w moich żyłach, kiedy wracałam do swoich komnat, a potem gdy służąca zdejmowała ze mnie suknię i kiedy wyciągnęłam rękę, by zdjąć z mych palców pierścienie. Królowa Alice? Bardzo mi się to podobało. Tego tytułu nigdy nie będę miała, ale - moje ręce bezwiednie zacisnęły się w pięści - ale osiągnę taką władzę, jakbym naprawdę była królową, żoną Edwarda.

Ustąpiłam pola Izabeli, bo musiałam. Przecież brzuch miałam już tak wielki, że nie widziałam palców u nóg. Kiedy dziecko zaczęło bez ustanku kopać, a życie na królewskim dworze stało się dla mnie męczące, o swoich zamiarach powiedziałam Edwardowi. Ucałował moje usta i ręce, po czym wsadził do królewskiej barki tak ostrożnie, jakbym była najcenniejszym naczyniem z najbardziej kruchego szkła.



Jakiś czas temu dzięki zręcznym pertraktacjom Greseleya i złotym monetom pożyczonym z królewskiego skarbcza nabyłam dobra w Pallenswick, prawdziwą perłę wśród posiadłości położonych nad Tamizą. Do tego bardzo mi odpowiadała lokalizacja, bo droga na królewski dwór była krótka i wygodna.

- Przyjadę, kiedy tylko będę mógł - zapewnił mnie Edward.

- Dam sobie radę bez ciebie - zapewniłam z kolei ja, przecież wiedziałam, że jest bardzo zajęty sprawami wojny, i dlatego - król nie król - należało zabronić mu wstępu do komnaty rodzącej. Niech zajmie się swoimi sprawami, a Izabela zadba o jego dobry nastrój.

- Dałam na mszę w intencji szczęśliwego rozwiązania. Przyślij wieści.

- Naturalnie.

- Będę zadowolony, jeśli urodzisz mi córkę.

- Owszem, urodzę ci córkę, o ile nie będzie tak wojownicza jak Izabela!

- O, to nie będzie łatwe. - Wybuchnął śmiechem tak głośnym, że spłoszył kaczki pluskające się przy brzegu, a kiedy sadowił mnie na miękkich poduszkach, powiedział: - Nie odjeżdżaj!

Objął mnie bardzo mocno jak na mój obecny stan, ale i tak wiedziałam, że muszę odjechać, bo w pewnych sprawach bardzo ceniłam sobie niezależność. A dziecko chciałam urodzić pod swoim dachem, dlatego opuściłam królewski dwór.

Obecnie mój związek z królem nie był już wstydliwą dworską tajemnicą, tylko był związkiem jawnym, więc żegnano mnie uroczyście, z łopotem proporców, a mój orszak był iście królewski. Cały świat wiedział, że faworyta króla urodzi mu kolejne dziecko. Z tym że Izabela, ponoć zajęta różnymi sprawami, zdawała się tego nie zauważać.

Moja Braveheart płynęła barką razem ze mną. I kto by się spodziewał, że przedstawicielka mocarnej i groźnej rasy wilczarzy tak bardzo się boi wody. Waleczne serce! Nigdy dotąd nie spotkałam psa, którego imię tak bardzo by kolidowało z jego naturą.

Nóż od Windsora miałam ukryty w rękawie.

Koszyk świeżych jaj stał na stole w kuchni w Pallenswick, a ja wraz z gospodynią wyjmowałam ze skrzynek pomarszczone owoce zebrane

jesienią. I nagle zauważyłam, że między jajka ktoś wetknął kawałek pergaminu. Czyli list. A także niespotykany sposób jego doręczenia!

Zaintrygowana zerknęłam jeszcze tylko na Joannę, moją nowo narodzoną córeczkę. Spała słodko w kołysce ustawionej w ciepłym miejscu, nieopodal paleniska. Sięgnęłam więc po list, który dotarł do mnie w tak niespotykany sposób. Dziwny list, bo nie był opatrzony pieczęcią, bez nagłówka i nikt się pod nim nie podpisał. Tylko kilka suchych zdań:

*Powinnaś, pani, wrócić do Westminsteru. Nie pozwól, by sprawy osobiste temu przeszkodziły. Powinnaś wrócić dla własnego dobra i dla dobra króla.*

Na pewno pisał to skryba, ale kto podyktował te zdania? Zamyśliłam się, bezwiednie popukując listem w wielkie brązowe jajo leżące na samym wierzchu. A więc kto? Na pewno nie Edward. Inaczej formułuje zdania, no i oczywiście by się podpisał. Lord kanclerz, czyli Wykeham? On też nie zniżyłby się do anonimu. Może medyk Edwarda? Nie, bo gdyby król był chory, na pewno przysłałiby posłańca z wieścią.

Nie doszłam więc, kto mógł to zrobić, i uśmiechając się smętnie, wrzuciłam list do ognia. Ale komu tak bardzo zależy, żebym wróciła na dwór? Owszem, byłam oficjalnie uznaną królewską faworytą, ale nie miałam żadnych złudzeń. Znakomita większość najchętniej wtrąciłaby mnie do lochu, i to w zamku jak najodleglejszym od króla i jego dworu.

Kiedy ze śpiącym dzieckiem w ramionach przechodziłam z kuchni do paradnej komnaty, byłam jeszcze zdania, że nie ma co sobie zawracać tym głowy. Ale kiedy przekroczyłam próg, zdanie zmieniłam. Przecież to ostrzeżenie. A skoro ktoś napisał, że mam wrócić dla dobra króla... Nie, nie wolno tego listu lekceważyć... A może jednak? Wszak to anonim, niby prośba, a tak naprawdę rozkaz, do tego prawdziwe intencje autora absolutnie niejasne... Troska o króla? A może wymierzony we mnie podstęp? Postanowiłam, że pomyślę o tym w nocy, jak już się położę. I myślałam, anonimowemu autorowi listu życząc przy tym, by smażył się w najgorętszym ogniu piekielnym.

Naturalnie wstałam bladym świtem i nakazałam pakować moje rzeczy i szykować barkę. Ucałowałam jasnowłosą i niebieskooką jak ojciec córeczkę, której dałam na imię Joanna po siostrze przyrodniej, ukochanej córce Edwarda, którą przed laty zabrała Czarna Śmierć. Nie,

wcale nie byłam tym zachwycona, bo to imię bardziej mi się kojarzyło z pewną kobietą, która gardziła mną z powodu niskiego urodzenia i nic dobrego mnie od niej nie spotkało. Ale naturalnie nie opierałam się, skoro Edward bardzo sobie tego życzył. Pożegnałam córeczkę i moich synków, przekazując piastunce i guwernerowi mnóstwo niepotrzebnych zaleceń, po czym ruszyłam w drogę do Londynu.

Już niebawem miałam się dowiedzieć, kto napisał ten tajemniczy list.

Kiedy przybyłam na dwór, okazało się, że podczas mojej nieobecności Edward zwołał parlament, do czego podeszłam bardzo spokojnie. Przecież szykowano się do nowej wyprawy wojennej i pierwszym krokiem w tym kierunku było zatwierdzenie podatków potrzebnych na opłacenie wojska. W związku ze zwołaniem parlamentu w pałacu westminsterskim panował wielki rozgardiasz, prawie zamęt. Stajnie pękały w szwach, pomieszkanie w pałacu były na wagę złota i tylko dla lordów oraz biskupów. Posłowie z Izby Gmin musieli sobie sami poradzić.

W sumie tylko przyglądałam się temu, nie ekscytując się zbyt politycznymi wydarzeniami, bo przede wszystkim byłam bardzo rada, że znów jestem na królewskim dworze. Z ulgą weszłam do swoich komnat i zamknęłam za sobą drzwi, by odgrodzić się od zamętu. Niestety, ktoś już tam na mnie czekał, a ja na tego kogoś spojrzałam z nieskrywaną złością.

- Dlaczego tak późno? - z jawną pretensją w głosie spytał Jan z Gandawy.

- A co ty, panie, tu robisz? - Wcale nie skłoniłam się wdzięcznie, wcale nie siliłam się na uprzejmości, bo wobec Jana z Gandawy, gdy już przyszło nam się spotkać, rzadko tak się zachowywałam. Pewnie dlatego, że trochę go się bałam, więc chroniłam się za twardą postawą. A teraz dodatkowo mnie rozdrażnił, bo nieproszony wszedł do moich komnat i rozsiadł się na kamiennej półce pod oknem!

- Czekam na ciebie, pani.

Po zawiązaniu naszej intrygi niezbyt wiele mieliśmy ze sobą do czynienia, z tym że owszem, okazywał mi wielki szacunek, ale byłam pewna, że chociaż uznaje moją rolę, którą odgrywam w życiu jego ojca, i wie, jak ważna i pożyteczna jest ta rola, to tak naprawdę mną gardzi.

Co on jednak tutaj robi? A może... Czyżby to on?

- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

- Spodziewałam się ciebie już wczoraj. Czyli miałam rację. On dalej coś knuje.

- To ty wysłałeś ten list, milordzie.

- Nieistotne. Najważniejsze, że wróciłaś, choć powinnaś zrobić to wcześniej.

Mówił obrzydliwym tonem, obraźliwie władczym, a już te zarzuty... Dlatego rzuciłam kąśliwie:

- Być może... Za to ty, panie, nie miałaś odwagi się podpisać.

- To nie ma nic wspólnego z odwagą. Chodziło o dyskrecję.

- Dyskrecję? Czy dobrze słyszę? Czyli nikt nie wie, że wezwałeś tu nałożnicę króla? Och, zostałeś zmuszony poświęcić swój cenny czas komuś takiemu jak ja! Jakież to niefortunne, tym bardziej że wcale nie jestem z tego zadowolona. - Szydziłam z niego, ale tak naprawdę tylko dlatego, że mnie rozjuszył zadzieraniem nosa, a kiedy zsunął się z półki i ruszył ku drzwiom, schowałam dumę do kieszeni: - Poczekaj!

Owszem, przystanął, ale tylko po to, by oświadczyć z kamienną twarzą:

- Nie jesteś mi już potrzebna, pani.

- Och! Na pewno jestem! - Zdjęłam płaszcz i kaptur, zyskując trochę na czasie, i dobrze, bo musiałam poskromić w sobie chęć, by jednak pozwolić księciu odejść i zatrzaskać za nim drzwi. Co byłoby bardzo nierozsądne, bo skoro Jan z Gandawy już zdecydował się na taki krok, to musiał mieć ku temu naprawdę ważny powód. Musiałam więc coś uczynić, by ugłaskać zarozumialca. - Porozmawiajmy, milordzie - powiedziałam, wykonując wymowny gest ręką oznaczający, że tę krótką potyczkę słowną puszczaemy w niepamięć. - Powiedz mi, proszę, w czym rzecz, a także co chcesz wiedzieć, a ja odpowiem ci na wszystkie pytania.

Nie musiałam go długo namawiać, bo od razu zaczął mówić:

- On nie chce tego zrobić, a przecież musi! A ty jesteś jedynym człowiekiem, którego on posłucha! To żalosne, ale tak jest, i dlatego musisz go przekonać.

Prawdziwy mężczyzna! Od razu przechodzi do sedna, nie wyjaśniając, na czym sprawa polega.

- Przypuszczam, że masz na myśli Jego Królewską Mość, czyż tak? Naturalnie, że mogę postarać się go przekonać, o ile wyjaśnisz mi, do czego mam go przekonywać. Usiądźmy, milordzie. Proszę powiedzieć mi dokładnie, w czym rzecz. Czy chodzi o parlament?

Jan z Gandawy usiadł i opowiedział mi wszystko, mówiąc krótkimi zdaniami pełnymi goryczy.

Obrady rozpoczęto od spraw bardzo niewdzięcznych, bowiem parlament przedstawił tyle skarg, że można by było nimi wyścielić drogę z Westminsteru do Tower. Gdzie są pieniądze zatwierdzone podczas poprzednich obrad? Ani śladu po nich, więc co się z nimi stało? Nie wiadomo, na co zostały spożytkowane! I co się dzieje w Europie? Angielska дума starta na pył! Gaskonia prawie już stracona! Co z angielską flotą? Czyż nie krążą już pogłoski, że Francja szykuje się do napaści? A król śmie prosić o złote monety! A oni nie mają zamiaru ich dać, bo to wyrzucanie pieniędzy w błoto!

Oślupiałam, słuchając tego wywodu, a na koniec wykrztusiłam:

- Ja... ja nie wiem, jak mogłabym w tej sprawie pomóc.

- Przecież wiadomo, o co chodzi - warknął Jan rozjuszony moją tępota. - Szukają kozła ofiarnego. Nie chcą stawiać zarzutów Jego Królewskiej Mości, ale zamierzają utoczyć krwi jego ministrom, oskarżając ich o złe decyzje. A niestety parlament wie, jak uderzyć. Bo i cóż mają wspólnego ministrowie Edwarda?

Natychmiast pojęłam, w czym rzecz, i wyrzuciłam z siebie:

- Wszyscy są ludźmi Kościoła!

- No właśnie, to osoby duchowne. Cóż wiedzą o wojennym rzemiośle? Nic! Parlament chce, by pozbawiono ich urzędów jeszcze przed podejmowaniem decyzji o zagospodarowaniu wpływów z podatków.

A więc tak! Oczywiście już wiedziałam, na czym ma polegać moje zadanie.

- Edward tego nie zrobi, panie.

- Wiem. Jest wobec nich lojalny, a ja go do takich decyzji nie skłonię. A jeśli tego nie zrobi...

Wiedziałam, w czym rzecz. Wtedy sytuacja w królestwie stanie się równie rozpaczliwa, jak sprawy Anglii na kontynencie.

- A jeśli przekonam Edwarda, by pozbawił tych duchownych urzędów, to kto zajmie ich miejsce? - spytałam.

Jan wprawdzie się uśmiechnął, ale był to uśmiech bardzo chłodny. Milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Mam pewien pomysł... - I wyłożył ze szczegółami, na czym ów pomysł polega.

- Rozumiem... - Nie tylko zrozumiałam, ale byłam pełna podziwu, bo plan został skonstruowany w sposób mistrzowski. Nie widziałam w nim ani jednego, choćby najmniejszego potknięcia.

A na koniec książkę spytał:

- Zrobisz to, pani?

By odpowiedzieć, potrzebowałam krótkiej chwili namysłu, i odparłam pytaniem:

- Czy nowi ministrowie spotkają się z uznaniem?

- Dlaczego nie? Przecież nie będą to osoby duchowne.

- Ale wszyscy będą ich uważać za twoich popleczników.

- Wszak nimi są... Ale najważniejsze, że to ludzie mądrzy i obdarzeni wieloma talentami!

I tak było, nadal jednak potrzebowałam chwili namysłu, a Jan czekał. Nie szkodzi. Bo naprawdę musiałam solidnie przemyśleć sprawę, a gdy już to uczyniłam, doszłam do tego samego wniosku: zamysł jest misterny i oparty na mądrości. Po prostu nic nie można mu zarzucić, dlatego zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pojednać króla z parlamentem.

- Zrobię, panie, o co prosisz.

- Jestem wielce zobowiązany, pani.

Oboje kiwnęliśmy głową, przypieczętowując w ten sposób naszą umowę, i Jan z Gandawy wyszedł z moich komnat, zostawiając mnie w całkiem innym nastroju niż w chwili, gdy tu weszłam. Bo byłam bardzo zadowolona, a teraz czułam już tylko złość, a to dlatego, że ja i Jan staliśmy się sprzymierzeńcami. A takie przymierze na pewno nie będzie, delikatnie mówiąc, łatwe. Skojarzyło mi się z takim przypadkiem, gdy do twego łoża zakradła się żmija...

Przystąpiliśmy do działania, to znaczy udaliśmy się do króla. Kiedy weszliśmy do komnat, król zajęty był rozmową z Latimerem. Powitał mnie serdecznie, całując w policzki, zarazem jednak nie krył zniecierpliwienia.

- Powinnaś była dać znać, Alice, że zamierzasz tu powrócić. Mogę ci poświęcić zaledwie kilka minut, ponieważ... - Twarz miał ściągniętą. Musiał być zmęczony i bardzo zajęty.

- Przyszliśmy porozmawiać o twoich ministrach, panie - odezwał się Jan.

- O ministrach? Wiesz przecież, co o tym sędzę...

Co zabrzmiało bardzo tak jakoś niezdecydowanie. Czyli niedobrze. Dotknęłam delikatnie ramienia Edwarda, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Rozmawiałam już z twoim synem, panie, o tej sprawie. I radzę ci zrobić to, co on umyślił.

- Moi ministrowie służą mi należycie.

- Ale parlament nie da im wiary i na pewno nie rozstrzygnie wątpliwości na ich korzyść. A ty potrzebujesz pieniędzy od parlamentu, Edwardzie. Nie wywalczysz ich bez wsparcia ministrów, dlatego musisz mieć takich ministrów, którzy w oczach parlamentu będą wiarygodni. Dlatego powinieneś zwolnić ze służby kleryków, i tę decyzję podjąć jak najprędzej, bo czas nagli.

Najpewniej to samo powiedział już ojcu Jan z Gandawy, ale król nie wysłuchał go z należytą uwagą, zbył niczym. Lecz ze mną będzie inaczej.

- Uważasz, że powinienem ugiąć się przed wolą parlamentu? - spytał.

- Tak, Edwardzie. I zrobił to.

Któż więc miał zająć miejsce kleryków? Odpowiedź w sumie łatwa do przewidzenia: ci, z którymi spotkałam się w okrągłej komnacie, czyli sprzymierzeńcy Jana z Gandawy. Młodzi, o otwartych głowach, bardzo ambitni. Ludzie, którzy na pewno będą dobrze służyć Edwardowi, a jednocześnie zawsze pozostaną lojalni wobec Jana z Gandawy.

Nie minął tydzień, a sprawa była już ukończona. Carew został lordem tajnej pieczęci, Scrope lordem skarbu, a Thorp nowym lordem kanclerzem. William Latimer został nowym lordem szambelanem, a w jego miejsce nominację na marszałka dworu otrzymał Neville of Raby. Krótko mówiąc, dostojnych biskupów na stanowiskach ministerialnych zastąpiła dworska klika skupiona wokół Edwarda. Ta klika

stała się czymś w rodzaju pancerza, który miał osłaniać króla przed światem coraz bardziej dla niego niezrozumiałym.

Patrzyłam, jak każdy z nich zgina się w głębokim ukłonie przed Jego Królewską Mością. Jan z Gandawy miał rację, wszyscy nowi dostojnicy byli z nim związani, wchodzili w skład jego klikki i zawsze będą wobec niego lojalni. Ale ponieważ na te najważniejsze w państwie urzędy wspięli się dzięki mnie, to niejako automatycznie też zyskałam ich lojalność, a żaden z nich nie ośmielił mi się sprzeciwić. Bo skoro miałam tyle mocy, żeby kogoś wsadzić na wysoki stołek, to wystarczy mi siły, by w razie potrzeby z tego stołka go zrzucić. I tym sposobem wreszcie zdobyłam na królewskim dworze popleczników, którzy będą baczyć na moje dobro, na mój interes.

Zbliżając się do kręgu ludzi władzy, zrobiłam też pierwszy krok - milowy krok - by z królewskiej faworyty, oficjalnie uznanej, ale tylko faworyty, stać się... Nie, nawet w duchu nie miałam śmiałości dokończyć tej zuchwałej myśli.

I zaraz poczułam strach. Bo kto się wywyższa, będzie...

I euforię z powodu jakże korzystnego dla mnie wywyższenia.

Odpędziłam te myśli i emocje, czas zająć się tym, co tu i teraz.

- Nie martw się, panie - powiedziałam półgłosem, podnosząc królewską dłoń do ust. - Będą służyć ci wiernie.

Dłoń Edwarda. Czasy, gdy była zgrubiała od wodzy i miecza, minęły bezpowrotnie. A sam Edward wciąż był niespokojny, w ciągłym napięciu, bo przyszłość jawiła mu się, niestety, mgliście. Był jak starzejący się jelen, nadal przywódca stada, ale już z posiwiałym pyskiem i bez blasku w oczach. Wkrótce psy opiją się jego krwią.

Może już piją...

- Jak dobrze, że wróciłaś - powiedział. - Czy przywiozłaś dziecko?

- Nie, jest z piastunką, ale przywiozę je. Zobaczysz swoją córkę. Poszłam razem z nim na dziedziniec przy stajniach, gdzie właśnie wyniesiono dwa młode sokoły drzemliki, które miały być układane do polowania. Byłam szczęśliwa, gdy zobaczyłam, jak wiele radości daje Edwardowi obcowanie z ptakami. Był taki pogodny, bo i nie miał teraz powodów do zmartwienia.

Ja miałam. Euforyczny nastrój minął. Ale zdecydowana byłam zrobić wszystko, by powstrzymać zagrożenie.



A Jan z Gandawy? Nie mógł być niezadowolony z takiego obrotu spraw. Co prawda nie klękał przede mną wiedziony nieskończoną wdzięcznością, ale było oczywiste, że więzy między nami bardzo się zacieśniły. Zostaliśmy sojusznikami, choć tak do końca nie wiadomo, kto komu zaprzedał duszę. Ja Janowi? A może on mnie? Naturalnie były to tego rodzaju więzy, które w każdej chwili można przeciąć, gdy którejsz ze stron coś przestanie pasować. Było oczywiste, że wobec siebie nawzajem zachowujemy jak największą czujność, dlatego nie wszystko między nami może iść gładko. Ale byliśmy zjednoczeni na dobre i na złe, w politycznych manipulacjach będziemy działać ramię w ramię.

Skutki naszego spisku od razu stały się widoczne, i było to bardzo inspirujące. Edward wygłosił do parlamentu płomienną mowę i zyskał przychylność. Zatwierdzono fundusze i Anglia mogła znów rozpocząć wojnę. A ja mogłam w duchu zganić Williama de Windsora, który nadal przebywał daleko ode mnie. Ostrzegał mnie przed wrogami. I jakże się mylił! Bo zamiast wrogów zdobyłam na dworze królewskim sojuszników. Może powinnam mu o tym napisać? O tym, że jego obawy są płonne, a mój euforyczny nastrój jak najbardziej uzasadniony?

Pomyślałam o sztylcie, który schowałam do skrzyni. I o pewnym stworzeniu, które leżało zwinięte w kłębek na ścielących się po posadze moich spódnicach.

- Ty też nie będziesz mi już potrzebna!

Braveheart nawet nie drgnęła. Wiedziała swoje?

Ach, co tam pies! Byłam u szczytu szczęścia. Moja gwiazda świeciła jasno na firmamencie dworskiej polityki, o czym miałam okazję przekonać się niebawem. Podczas świąt wielkanocnych Plantageneci tradycyjnie dają sobie podarki. Ja również dostałam, od Jana z Gandawy. Cóż takiego mi podarował? Czy bardzo był zniesmaczony, że musi podarować coś właśnie mnie? To coś owinięte było w jedwab. Rozwinęłam i... O Panno Przenajświętsza! Puchar! Srebrny puchar! Tak pięknego nigdy dotąd nie widziałam. Wysadzany beryłami z cudownym ornamentem. Puchar godny króla. Naturalnie wiedziałam, dlaczego tak artystycznie doskonały i cenny przedmiot trafił do mnie. Byłam przecież Janowi niezmiernie potrzebna. Mój głos, ten głos, którego król słuchał tak pilnie, dla Jana był nawet już

nie na wagę srebra i berylu, ale złota i brylantów. A dlaczegóż to księciu z rodu Plantagenetów tak bardzo zależało na przychylności faworyty króla? A dlatego, że każdy człowiek w tym królestwie wiedział, że jeśli chodzi o sukcesję tronu, wiele się może jeszcze wydarzyć. Z Gaskonii docierały wieści, że księżę Walii wciąż niedomaga. A jeśli księżę umrze przed ojcem, korona przejdzie na czteroletniego syna księcia, Ryszarda. A to nie jest dogodna sytuacja dla królestwa. Czy Jan miała nadzieję, że to on jednak włoży koronę Anglii na głowę? Dzieci to istoty kruche. Starszy brat małego Ryszarda już nie żył. Kto wie, jak to będzie z samym Ryszardem...

Jan jednak wcale nie był tak blisko sukcesji, jakby sobie tego życzył. Wyprzedzał go przecież w tym Lionel, który co prawda zmarł we Włoszech, ale pozostawił po sobie córkę z pierwszego małżeństwa, którą Filipa wydała za Edmunda Mortimera, hrabiego Marchii, i która niedawno powiła córkę. Jeśli młode małżeństwo doczeka się syna, będzie miał on pierwszeństwo przed potomkami Jana z Gandawy.

Co z pewnością bardzo by się Janowi nie podobało. I na pewno nie pałał miłością do hrabiego Marchii.

I tak oto, oglądając piękny puchar, błędziłam myślami, spekulowałam na temat przyszłości, w której, niezależnie od tego, co się wydarzy, Jan z Gandawy niewątpliwie odegra znaczną rolę. Bo i któż, jak nie on, byłby najlepszym królem przez najbliższych dziesięć lat? Bo na pewno nie mały Ryszard czy nienarodzony jeszcze syn Mortimera. Tylko Jan z Gandawy, mężczyzna w pełni sił.

Z tym że jeśli mały Ryszard przeżyje i korona przypadnie mu w udziale, Jan i tak odegra bardzo ważną rolę. Młody król będzie potrzebował mentora, a któż młodym królem pokieruje lepiej niż Jan z Gandawy? Poza tym Jan na pewno myśli też o tym, że do tronu będzie mógł pretendować jego syn, Henryk Bolingbroke.

I dlatego też nie warto kręcić nosem na sojuszniczkę w osobie królewskiej faworyty, której schorowany król zawsze wysłucha. Dla Jana byłam bardzo użyteczną strzałą w jego łuku, która miała zapewnić, by sukcesja dostała się w najbardziej powołane ręce. Oczywiście jego. Byłam pewna, że to właśnie sobie umyślił. Jan z Gandawy nie był człowiekiem, który zadowala się miejscem pośledniejszym, źle się czuje, nawet gdy ma stanąć tuż za rodzonym bratem, za księciem Walii, któ-

rego, jak nie tylko ja byłam o tym przekonana, darzył szczerą braterską miłością.

Chociaż to, co teraz knuł, było wobec tego brata zdradą.

Uśmiechnęłam się, bo uroda podarunku nie oszołomiła mnie aż tak bardzo, bym nie potrafiła na chłodno rozważyć motywów postępowania ofiarodawcy. Doprawdy, zręczne posunięcie...

Niemniej jednak podarek umiałam docenić, chociażby dlatego, że bardzo potrzebowałam ostentacyjnego i widomego dla wszystkich podkreślenia mojej bardzo wysokiej pozycji na królewskim dworze. Puchar od zuchwałego księcia, który nie musiał mi dawać żadnych prezentów czy zabiegać o moje względy, znakomicie wypełnił tę rolę. Potężny Jan z Gandawy obdarował tak nisko urodzoną Alice Perrers!

A teraz to już niemal wybuchnęłam głośnym śmiechem.

Ale oczywiście opanowałam się, złożyłam przed księciem ukłon i powiedziałam to, co w takiej sytuacji należało powiedzieć:

- Bardzo jestem wdzięczna, milordzie, za ten dar.

Słowa konwencjonalne, a przy tym miłe, jednak minę miałam bardzo poważną, a kiedy po ukłonie wyprostowałam się, zadbałam o to, żebyśmy spojrzeli sobie w oczy. A gdy już tak się stało, swoim spojrzeniem przekazałam, że owszem, przyjmuję podarek, ale wierna będę zawsze Edwardowi.

- A ja miałem w tym wielką przyjemność, pani - odparł gładko. I uśmiechnął się chytrze jak lis.

Był jednak ktoś, kto po naszej intrydze też musiał ustąpić z urzędu, a ja czułam się z tym bardzo źle. Mówię o Wykehamie, który wobec mnie raz był przyjacielem, raz wrogiem. Tego, że przestał być lordem kanclerzem, Edward żałował szczerze, bo bez wątplenia był to najbardziej uczciwy lord kanclerz, jaki kiedykolwiek istniał. Niestety został odsunięty na bok podczas tej antyklerykalnej hysterii, po prostu nie było sposobu, by go uratować.

Edward pożegnał się z nim bardzo oficjalnie, ale ja nie. Stałam w progu i patrzyłam, jak pakuje swoje rzeczy, w tym ukochane książki i ryciny przedstawiające budowle, które niestety nigdy nie zostaną zbudowane, bo król nie będzie już asygnował Wykehamowi hojnych kwot na te cele. Wszystko składał niezwykle starannie i pakował. William

de Wykeham, już nie kanclerz. Człowiek, który najbliżej ze wszystkich wydawał się tego, bym w duchu mianowała go przyjacielem, choć był bardzo krytyczny i tak łatwo ferował wyroki.

Ale nie, wcale nie uważałam go za przyjaciela, a mówiąc już całkiem szczerze, to właściwie nie wiedziałam, kim dla mnie był.

Ani razu nie odwrócił głowy w moją stronę.

Ale odezwał się:

- Jeśli przyszedłaś tu triumfować, to pofolguj sobie. Bardzo proszę.

- I dalej owijał swoje pióra w kawałek płótna.

- Nie, nie przyszedłam triumfować. Chciałam się z tobą pożegnać.

- Już to zrobiłaś. Możesz odejść.

Był zraniony, do czego miał święte prawo po tym, jak stojąc u boku Edwarda, wysłuchiwał banałów o potrzebie chwili, o naturalnej zmianie warty, o żalu. I oby wiodło mu się jak najlepiej. Kiedy król mówił te słowa, Wykehamowi pękało serce. Przecież zasługiwał zdecydowanie na coś więcej niż puste frazesy.

Przeszłam przez komnatę, by stanąć z nim twarzą w twarz, jednak nie spojrzał na mnie, tylko dalej szperał w sakwach.

- Winchester dojrzy w tobie więcej - powiedziałam cicho, podając mu mszał, którego być może szukał.

Prawie mi go wyrwał z rąk.

- Swoje talenty wykorzystam tam, gdzie je docenią!

- Bardzo mi przykro, panie.

Gdy wreszcie spojrzał na mnie, dostrzegłam w jego smutnych oczach ból. Bo został zdradzony. I usłyszałam:

- Nigdy bym się nie spodziewał, że to ty przyczynisz się do odebrania mi urzędu. Byłem pewien, że cenisz sobie lojalność i przyjaźń...

- Sapnął gniewnie. - Teraz masz wielu przyjaciół, nieprawdaż? Z nimi możesz czuć się swobodnie! - Czułam, jak krew napływa mi do policzków. Na pewno były purpurowe. A on mówił dalej. - Jakżeż gorzko człowiek może się pomylić, kiedy nie chce dojrzeć prawdy!

- Ależ do niczego się nie przyczyniałam! To parlament chciał, żeby ktoś inny objął te urzędy.

- Chciał, żebyśmy odeszli za przewinienia, których żaden z nas nie popełnił! Ponoć też za brak umiejętności, czego nikt nam nie potrafił

udowodnić. A mamy więcej wiedzy i doświadczenia niż ta cała hałastrą, ten cały parlament! - Wzruszył ramionami, wrzucił do sakwy jeszcze dwie książki i dokończył: - Nie słyszałem, abyś próbowała przekonać Edwarda, by wobec starych przyjaciół wykazał się lojalnością.

- To prawda, nie próbowałam.

- Ani ty, ani Jan z Gandawy... - Wykeham spojrzał na mnie spode łba, jakby szukał w mej twarzy dowodu na to, co podejrzewa. I znalazł, bo o tym świadczyły dalsze jego słowa: - Uważaj, Alice, bo Jan z Gandawy to człowiek już potężny, ale pewnie marzy o tym, by być jeszcze potężniejszym. A kiedy to się stanie, przestaniesz mu być potrzebna i natychmiast się od ciebie uwolni.

- Wcale mi nie zagraża - oświadczyłam, mając w pamięci to, co wydarzyło się, kiedy po urodzeniu Joanny powróciłam na królewski dwór. - Moim zdaniem chce przede wszystkim chronić swego ojca, i to wszystkimi możliwymi sposobami. Dlatego jestem mu potrzebna.

- A ja uważam, że on uwije sobie gniazdo!

- A któż tego nie chce zrobić?

- Pewnego dnia przestaniesz być mu niezbędną, a jeśli nie będziesz miała wokół siebie prawdziwych przyjaciół, osób szczerze sobie życzliwych... - W ślad za książkami do sakwy powędrował kałamarnic. - Och, po prostu trzymaj się od niego z daleka. Wszyscy wiedzą, że to człowiek pozbawiony skrupułów.

Kiedy znów zwrócił się do mnie twarzą, minę miał właściwie obojętną, jakby osobie zaprzyjaźnionej udzielał rady nie tak znowu istotnej. Ale co tam mina! Przecież pojęłam, że to bardzo ważne ostrzeżenie. - Nie mogę zniechęcać do siebie Jana z Gandawy. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Na co odparł z szyderczym uśmiechem:

- Nie możesz sobie na to pozwolić? Ty, oczy i uszy króla, jego prawa ręka? - Może i tak, ale jak długo jeszcze? Doskonale znasz moje położenie, sam przed chwilą powiedziałeś, że potrzebuję osób życzliwych! - To ich sobie poszukaj, ale przy okazji nie rób zamętu, nie skłócaj ze sobą całego dworu!

- A jakże ma być inaczej, jeśli to, czym dla króla jestem, wzbudza tylko nienawiść? Mam wrażenie, jakbym była między młotem a kowa-

dłem. Jeśli stracę Edwarda, stracę wszystko. Jeśli zostanę z Edwardem, będę miała mnóstwo wrogów, bo zazdroszczą mi mojej pozycji i wynikających z niej możliwości. Cóż więc mam zrobić, panie przemądry, który zawsze dasz radę najlepszą? - A tak. Ja też potrafię zadzwic. Dumal przez chwile, wreszcie odparl:

- Nie wiem.

- Przynajmniej szczerze... - Westchnęlam ciężko. - Proszę, módl się za mnie, milordzie. - Jak bardzo żalowałam, że tu przyszlam!

- Będę się modlić.

- Nie, może lepiej nie. Nie potrzebuję twojej litości.

- Może jednak potrzebujesz... nie tyle litości, co szczerego współczucia.

O tak. Czując, że jestem bliska łez, na moment podeszlam do okna, by się uspokoić. Wykeham to zrozumiał, bo milczał, dalej pakując książki.

A po chwili dał mi dobrą radę. Cały Wykeham, osoba duchowna, ale i polityk bardzo zręczny.

- Mogłabyś spróbować zbliżyć się do księcia Walii, kiedy wróci do Anglii, co podobno stanie się niebawem.

Owszem, rada była przednia, niestety, nie dla mnie tędy droga. Ndobna Joanna, żona księcia, nigdy nie była i nie będzie mi życzliwa.

- Zobaczymy, jak to będzie - powiedziałam wymijająco i skierowałam rozmowę na inne tory: - A co z tobą będzie, panie? Na tym wygnaniu? Dobrze, że przynajmniej wszelkie wygody masz zapewnione. Zamki, pałace, dwory, domy. Chyba kilkanaście, prawda? Wszystkie na twoje nazwisko!

- Nie. - Uśmiechnął się niewesoło. - Te wszystkie dobra przypisane są do urzędu, który właśnie straciłem. Ja, jako ja, nic nie posiadam.

Naturalnie, że natychmiast pożałowałam swoich słów, dlatego dodałam szybko:

- Dopilnuję, panie, żebyś został za swą służbę należycie wynagrodzony.

- A dlaczego właśnie ty miałabyś to zrobić? - Jakiz pełen spokoju ten jego głos, ale słowa uszczypliwe. - Czy wyglądam na takiego, który potrzebuje twego miłosierdzia?

- Ależ oczywiście, że nie! Sama nie wiem, dlaczego wystąpiłam z taką obietnicą. A ponieważ nie jesteś zbyt uprzejmy, idź sobie do diabła!

- Nie pójdę. Moje miejsce jest wśród aniołów.

- Ach tak? W takim razie powinieneś trzymać się ode mnie jak najdalej!

- Nie pomniejszaj się, Alice. - Uśmiechnął się smutno. - Widziałem cię razem z Edwardem. Jesteś dla niego bardzo dobra.

- Dzięki za te słowa. Ale czym jest dobro? Wszystko, co robię, robię dla dobra króla... - odparłam w niejakej zadumie.

- Cóż... Nie pora, bym wytykał ci twoje grzechy. I jeszcze jedna rada. Staraj się nad sobą nie użalać, bo nic to nie pomoże... - Rozejrzał się po pustej komnacie. - To by było na tyle.

Było mi przykro, że tak go prowokowałam, choć pewnie nie czuł do mnie urazy.

- Kiedy wyjeżdżasz, panie?

- Teraz! - Skłonił się przede mną bardzo oficjalnie. - Niech Bóg ma cię w opiece, pani Perrers.

- Przede wszystkim niech zaopiekuje się tobą, lordzie biskupie! - Zaśmiałam się i pocałowałam go w policzek, a potem, po tej miłej czynności, wyszeptałam: - Wiesz, panie, co czasami sobie myślałam? Że moglibyśmy być czymś więcej niż przyjaciółmi. Gdybyś nie był osobą duchowną, a ja nałożnicą...

Po surowej twarzy Wykehama przemknął uśmiech. I też wyszeptał:

- A wiesz, pani, że ja też to sobie nieraz pomyślałem... Gdybyś kiedyś mnie potrzebowała...

I wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Zostałam sama w pustej komnacie. Schyliłam się, by podnieść z podłogi gęsie pióro, które Wykeham przeoczył, i wsunęłam je do rękawa. Och, takiego biskupa, takiego Wykehama warto mieć za przyjaciela. I miał rację, gdy napominał mnie, bym nie użalała się nad sobą. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, czyż nie tak? Nie, nie będę jęczeć. Muszę być silna i niezłomna dla dobra Edwarda, dla swojego i moich dzieci dobra.

Widziałam przez okno, jak Wykeham odjeżdżał, i byłam zaskoczona, że aż tak bardzo mi smutno. Jakbym straciła kogoś bliskiego... do

czego zresztą sama się przyczyniłam. Pozbawiono go wszystkich dóbr! Moje poczucie winy było jeszcze większe, kiedy Edward podarował mi jedną z dawnych posiadłości Wykehama. Był to prześliczny i wart krocie dwór Wendover w Buckinghamshire. Dwór, kawał żywej ziemi i las, i łatwo można było tam dojechać z Londynu.

Królowi nie wolno odmówić, niemniej czułam się nie w porządku wobec Wykehama, i postanowiłam mu jakoś to wynagrodzić. Greseley zakupił posiadłość w Compton Murdak, a ja ją oddałam Wykehamowi w użytkowanie wraz prawem do dochodu. A tak! Z tym że tylko na czas określony, po upływie którego Compton Murdak wracał do mnie. Oczywiście! Bo moje serce, choć nie z kamienia, nie powinno być też zbyt miękkie. I nigdy nie powinnam zapominać o sobie.

Moje myśli były zajęte pewnym spotkaniem, na które nie miałam najmniejszej ochoty, lecz w żaden sposób nie mogłam go uniknąć.

Spóźniłam się. Kiedy nadchodziłam, ojciec i syn ściskali sobie prawice. Księżę Walii wrócił do Anglii, i byłby to powód do wielkiej radości dla bliskich i wszystkich poddanych, gdyby nie to, co można było ujrzeć.

Wiedziałam, że księżę niedomaga. Stracił dużo sił, dlatego na pole bitwy noszą go w lektyce jak starca. Wiedziałam, że w niczym nie przypomina tamtego księcia, który prowadził wojska do walki pod Poitiers. Wiedziałam, że stracił syna, i wraz z innymi bardzo mu współczułam.

Ale nie spodziewałam się, że zobaczę księcia aż tak bardzo wyniszczonego chorobą, o wychudzonej, trupiobladej twarzy.

Nim jeszcze podeszłam bliżej, dostrzegłam, że Edward jest tak samo zaskoczony i przerażony, choć oczywiście do księcia uśmiechał się i objął go ramieniem.

- Chwała Bogu, żeś wreszcie przyjechał, synu!

- Dobrze jest być znowu w domu.

Zauważyłam, że księżę zeszywniał, jakby nie mógł znieść, kiedy ktoś go dotykał.

Edward podprowadził go do krzesła i kazał mu usiąść. Izabela mówiła coś cicho. Niby się uśmiechała, ale w oczach miała rozpacz. Nagle ktoś podszedł do króla, położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się promiennie.



Była to księżna Joanna, Nadobne Dziewczę z Kentu.

Po raz ostatni widziałam ją, gdy otrzepywałam jej spódnice z kurzu opactwa w Barking. Nadobna Joanna... Czas nie oszczędził się z nią łaskawie. Bardzo popęśniała, twarz stała się okrągłą jak ser. Cała zresztą bardzo się zaokrągliła. Rysy twarzy nie były już delikatne, tylko toporne, od nadmiaru tłuszczu trudno było się doszukać śladów dawnej urody. I te zmarszczki koło oczu i ust, niewątpliwie ze zmartwienia i rozpacz.

Edward zajęty był księciem, natomiast Izabela i Joanna stały tuż przy nich. Dwie kobiety tak silne, tak potężne. Kiedy podchodziłam do nich, Joanna spojrzała tak, jakby rozglądała się za służącą, żeby kazać jej przynieść wina.

- To Alice - powiedziała Izabela bezbarwnym głosem, i tak też wyglądała, jakby cała krew z niej uszła.

- Alice? - Joanna zacisnęła mocno usta.

- Alice Perrers, faworyta króla - wyjaśniła Izabela wciąż tym beznamiętnym głosem.

- A, słyszałam. Czyli to prawda. - Joanna znów spojrzała na mnie, i to w taki sposób, jakby dopiero teraz zobaczyła mnie naprawdę.

Dygnęłam, przywołując na twarz uśmiech.

- Milady! Jakaż to radość ujrzeć milady znów w Anglii. Joanna zmarszczyła czoło...

- Opactwo! - Pamięć jej wróciła.

- Tak, milady. Opactwo.

- To wy się znacie?! - Izabela natychmiast się ożywiła jak kotka na widok myszy.

- Tak - odparłam grzecznie. - A księżna raczyła podarować mi małpę.

- Jaka szkoda, że pogryzła cię tak, by zatruć twoją krew!

- Niestety, jestem wyjątkowo odporna, milady - zapewniłam ją, naturalnie nie okazując wzburzenia. - A milady zapewne ucieszy się, gdy wyjawię, że jej rady okazały się bardzo trafne.

- Jakież miłe spotkanie... - mruknęła Izabela. - Fascynujące... A Joanna odpłaciła się za słowa złośliwe, wypuszczając jad:

- Ona była niczym. Toporną, bezimienną służką, którą dali mi do posług! - Wbiła we mnie płonącego wzrok. - Na Boga, ależ się zmieniłaś!

Jak to mogło się stać? - Patrzyła z niedowierzaniem na moją twarz i na piękne suknie.

- Stało się, milady. Jestem faworytą króla. Jestem wreszcie panią siebie.

- Los często płata nam figle, droga Joanno - wycedziła Izabela.  
-Dobrze o tym wiesz. A Alice jest teraz potężną kobietą!

- Nie potrafię się z tym pogodzić! - wysyczała Joanna. - Trzeba...

- Wątpię, czy uda ci się zmienić zdanie Jego Królewskiej Mości.

- Król musi mnie wysłuchać!

Stałam i czekałam. Byłam spokojna, bo pewna swego. Nie zamierzałam się spierać, bo byłoby to nierozsądne, ale nie zamierzałam również skapitulować przed atakiem kobiety, która chciała już rządzić i wywyższać się nad innych jako przyszła królowa Anglii.

Kiedy to ja, właśnie ja, stałam najwyżej!

- Alice!

Edward podszedł do nas i musnął palcami moją dłoń. Gest bez wątpienia był bardzo poufały. Mój też, bo w odpowiedzi przykryłam palcami królewską dłoń.

- Milordzie, Jej Wysokość właśnie raczyła wyrazić radość, że widzi mnie ponownie. Bo miałyśmy już sposobność się spotkać. Oczywiście też jestem bardzo rada. Dołożymy wszelkich starań, by Joanna czuła się w Anglii jak najlepiej. Poleciałam już przygotować komnaty w Westminsterze.

- Wspaniale! - powiedział Edward.

- Zaiste, bardzo wzruszające to rodzinne spotkanie - syknęła Izabela.

Wzrok Joanny nadal płonął, zapewne dlatego, że pozwoliłam sobie użyć tylko jej imienia, bez żadnego tytułu. Oczywiście ze względu na obecność Jego Królewskiej Mości pohamowała się, a nawet wykrzywiła usta w leciutkim uśmiechu, i odpowiedziała nader układnie, choć dla mnie miało to być ukłucie:

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna. Po prostu brak mi słów.

Czyli pole bitwy już wyznaczone. Wiadomo, gdzie kto się ustawił. Joanna patrzyła na mnie jak na zgniecionego obcasem żuka. Rzecz jasna spodziewała się, czemu nie można się dziwić, że w Anglii wszyst-

ko będzie szło po jej myśli i przy całkowitej aprobachie teścia, który od zawsze był jej życzliwy, już w czasach, gdy jako dziewczynka bywała w komnatach jego królewskich dzieci. Niestety w ciągu niespełna pół-godziny musiała pogodzić się z tym, że ma rywalkę. Ja zawiadamuję królewskim dworem, ja wydaję tu rozkazy.

Naturalnie, że wcale nie czułam się z tym pewnie. Jej słowa i spojrzenia były wystarczającym ostrzeżeniem. Do tego dochodziła świadomość, że ta kobieta istotnie kiedyś będzie w Anglii dzierżyć władzę.

Edward naturalnie od razu wyczuł ten antagonizm. Trudno przecież, żeby było inaczej.

- Trzeba uczcić powrót mego syna - ogłosił.

- Będę wdzięczna, jeśli pozwolisz, panie, żebym tym się zajęła - odezwała się natychmiast Joanna, która naturalnie dostrzegła w tym sposobność, by chwycić za ster.

- Nie, moja droga - odparł Edward. - Nie będziemy ciebie tym obarczać. Powinnaś wypocząć po długiej podróży... Alice? Co o tym sądzisz? Może turniej?

Nie sądzę, żeby zrobił to z rozmysłem, bo w tamtym okresie nie przejawiał skłonności do przewrotności. Na pewno zrobił to odruchowo, niemniej skutek był oszałamiający. Joanna zbladła, odetchnęła głęboko, palce zacisnęły się kurczowo na fałdach adamaszkowych spódnic.

- Sądzę, panie, że powinnam od razu zacząć wykonywać moje obowiązki. To naturalne, bym jako twoja synowa pełniła rolę pani tego dworu! - Jej głos narastał, ostatnie słowo zabrzmiało niemal jak krzyk.

Jednak Edward był nieprzejednany.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł spokojnym tonem. - Alice wie wszystko, ma sporo doświadczenia. Co myślisz o turnieju, Alice?

- Myślę, panie, że lepsza byłaby uczta. Przygotowania do turnieju trwałyby za długo.

- Słusznie. A więc uczta. - Król odwrócił się, zamierzając wrócić do syna.

- Ale turniej też będzie! - oświadczyła Joanna. - Ja się tym zajmę!

- Dobrze, jeśli tak sobie życzysz. Porozmawiaj o tym z Alice - powiedział król i beztrąsko, jak to mężczyźni, rozpoczął dyskusję z księciem na temat wojskowej strategii.

Ja natomiast miałam sama stanąć do walki. Sama, ale to wcale nie oznaczało, że poniosę porażkę, bo inaczej było w opactwie, a inaczej tutaj. I nie tylko miejsce jest inne, ale i czasy. Już potrafiłam lawirować, dokonać napaści, zgnieść albo i ustąpić, a wszystko dla dobrej sprawy. Także zawrzeć sojusz.

Joanna od razu przystąpiła do napaści:

- To moje prawo! - rozpoczęła tyradę. - Jesteś uzurpatorką! Kiedy już wróciłam na królewski dwór...

- Ależ milady - przerwałam tę tyradę, tyle że bez cienia napastliwości, tylko wręcz przeciwnie. - Jeśli milady tak bardzo zależy na zawiadywaniu dworem, porozmawiam o tym z Jego Królewską Mością. A jeśli chodzi o turniej... Cóż, trzeba porozmawiać z marszałkiem dworu, lordem szambelanem i mistrzem ceremonii. No i oczywiście z koniuszym. A jeśli zamierzasz, pani, sprosić rycerzy spoza Anglii, na co król na pewno będzie nalegać, to musisz porozmawiać również heroldem ehesterem. Przyślę go do ciebie. Także Latimera, trzeba przecież porozmawiać, co podamy na stół... Aha, jak co roku w pałacu trwają teraz wielkie porządki, więc trzeba będzie je przerwać, a przynajmniej ograniczyć do pewnych miejsc. Trzeba wskazać, których. A gdzie Wasze Wysokości zamierzają się zatrzymać? Tu, w Westminsterze, niestety, miejsca niewiele...

Twarz Joanny naturalnie stężała.

- Książę jeszcze nie podjął decyzji.

- Rozumiem... A gdzie, pani, chcesz prowadzić rozmowy? W moich komnatach?

- Nie.

- Skoro tak... - Rozłożyłam ręce w pozorowanym geście bezradności.

- Czy masz, pani, jakieś życzenia?

I raptem usłyszałam cichy śmiech Izabeli.

- Daj spokój, Joanno. Wystarczy uczta. O wiele mniej zachodu. A zajmie się tym Alice.

- Sądziłam, że mnie rozumiesz, Izabelo. Właśnie ty!

- Ja, moja droga, przede wszystkim wiem, że Alice znakomicie sobie radzi z przygotowaniem uroczystości.

- Być może, ale nie chcę, żeby to ona tym się zajmowała!

- Czyżby przemawiała przez ciebie zazdrość?

- Zazdrość?! Mówisz o zazdrości? Przecież ona nie ma prawa tego robić!

- Niestety, Joanno, czasami trzeba pogodzić się z czymś, czego nie można zmienić.

- Czyli ta kobieta rządzi królem?

- Tak, a ty wykaż się rozsądkiem i zaakceptuj fakt, że radzi sobie z licznymi obowiązkami, i to dobrze.

- O nie! Nie będę tego słuchać! - Czerwona ze złości Joanna odeszła do męża.

- Bo jesteś głupia... - cicho skomentowała Izabela.

A ja, zdumiona takim obrotem spraw, zdołałam tylko wykrztusić:

- Niepojęte...

Kiedy książęca para udała się do królewskich komnat w Westminsterze, gdzie miała przebywać przez jakiś czas, nadeszła chwila, kiedy mogłam pomyśleć o tym właśnie obrocie spraw.

- Pani... - odezwałam się półgłosem do Izabeli. - Nie pojmuję, dlaczego wstawiałaś się za mną, dlaczego nie nastawiałaś na turniej, który przygotowałaby księżna. Czyż nie poczułabyś satysfakcji, odsuwając mnie od tego wszystkiego?

A Izabela na to:

- Nie! Bo ona jest zwykłą górą sadła!

- Tak?

- Tak, właśnie tak. I bardzo jej nie lubię.

- Ale mnie też nie lubisz, pani.

- Istotnie, ale gdybym miała to nielubienie zmierzyć, to ciebie nie lubię mniej. Znam ją już tyle lat i zawsze jej nie lubiłam, bardzo nie lubiłam.

- Rozumiem, tyle że Joanna pewnego dnia zostanie królową...

- Ale jeszcze nią nie jest, a teraz kto inny dzierży władzę. Na pewno nie ona!

Te słowa były jak balsam na moją rozdygotaną duszę, musiałam jednak podrażnić temat, dlatego odparłam:

- Pani, nadal jednak nie rozumiem, dlaczego stanęłaś po mojej stronie.

Izabela sposepniała i przez moment, wpatrując się we mnie bacznie, milczała, niewątpliwie zastanawiając się, czy może wobec mnie być szczerą, aż nagle oczy jej rozblęły i zaordynowała:

- Każ podać wino i dwa kubki.

I z tym winem rozsiadłyśmy się w wielkiej komnacie dla dam. Innymi słowy, rozsiadły się tam dwie spiskujące damy.

- Mój brat nie wybrał sobie odpowiedniej żony - obwieściła Joanna, po czym opowiedziała mi obszernie o perypetiach małżeńskich Nadobnej Joanny, o tym, co się działo, zanim wyszła za księcia Walii. A działo się to lata temu, kiedy byłam zamknięta za murami klasztoru.

Najpierw Joanna, w wieku zaledwie dwunastu lat, wyszła za Tomasza Hollanda, któremu była przyrzeczona, ale który szybko porzucił młodszą żonę, udając się na wyprawę krzyżową. Wtedy rodzina zmusiła Joannę, by wzięła sobie męża, którym został William Montague, syn hrabiego Salisbury. Tak się jednak złożyło, że Holland, zdrów i cały, powrócił z krucjaty. I przez wiele lat był marszałkiem na dworze Williama i Joanny!

- Wyobrażasz to sobie? - spytała Izabela, spoglądając na mnie roziskrzonym wzrokiem. - Jakież cudowny *ménage à trois*! I jak myślisz, z kim dzieliła łóżko?

Tak było, dopóki Holland nie zwrócił się o pomoc do papieża. Małżeństwo Joanny z Williamem zostało unieważnione, a Holland odzyskał żonę. Byli ze sobą na dobre i złe aż do jego śmierci, która nastąpiła w tym właśnie roku, kiedy to Joanna pojawiła się w opactwie w Barking. Przyjechała tam jako młoda wdowa, by dzięki odosobnieniu i modlitwie uzdrowić swoją duszę. Choć moim zdaniem nie udało jej się tego dokonać. I nie przypominałam sobie, żeby Joanna opłakiwała swego męża. Bardziej niż konfesjonał ciekawiły ją klejnoty i lutnia.

- Ale Montague przecież nie umarł - mówiła dalej Izabela. - Nadal żył i chociaż małżeństwo zostało unieważnione, to twierdzą stanowczo, że Joanna nie była odpowiednią kandydatką na żonę następcy tronu. Zakrawało mi to na bigamię. No i dzieci... Czy Ryszard, syn Joanny i ponoć księcia, nie jest przypadkiem bękartem? Nadobna Joanna prawdziwą Dziewicą z Kentu nigdy nie była! - Izabela zmarszczyła nos. - Więc co z sukcesją tronu? Koronę włoży książę Walii. Niestety, mój

brat przymyka oko na wszystko, bo ona wodzi go za nos. To kobieta bardzo ambitna!

- Ambitna? - Akurat dla mnie nie była to wada. - Jak ja?

- Jak ty... - Izabela spojrzała na mnie w zadumie. - I dlatego cię nienawidzi.

Dźwignęłam się z nizin dzięki szczęściu, bystrości umysłu i nieposkromionej ambicji, która dla wielu była czymś niedopuszczalnym i skandalicznym w przypadku takiej parweniuszki jak ja, natomiast Joanna już z racji wysokiego urodzenia, a teraz jako księżna Walii miała wszelkie prawo do najbardziej nawet wybujałych ambicji. Po śmierci Edwarda wszystkie jej plany się spełnią, a mnie przepędzą z królewskiego dworu na cztery wiatry. To nieuchronne! Moje palce zacisnęły się na cienkim jedwabiu sukni, paznokcie drapały nerwowo cienki materiał, kiedy Izabela wspomniała o sukcesji, a przed moimi oczyma natychmiast stanęła pękająca z dumy Nadobna Joanna w koronie. I pierwsze, co zrobi jako królowa, to każe mi wracać do rynsztoka.

- Przyjrzałaś jej się? - prawiała dalej Izabela, najpewniej świadoma, o czym właśnie pomyślałam, dlatego też nie przebierała w słowach. - Tłusta jak maciora! A pyszni się, śle uśmiechy, jakby była ślicznotką! Pewnie dlatego nie potrafi zrozumieć, jak to możliwe, że choć pozbawiona urody, to masz wielki wpływ na króla. - Spojrzenie na mnie bardzo wnikliwie. - Tak, jesteś po prostu brzydka.

- Dzięki ci, pani, za dobre słowo... - Ten żart nic mnie nie kosztował, bo wszelkie uwagi o mojej brzydocie spływały po mnie jak woda po kacze.

- Ale to prawda, Alice.

- I co z tego? Najważniejsze, że król uważa inaczej.

- Bo król jest zaślepiiony.

I chwała Bogu! Podziękowałam także w duchu Panu Najwyższemu za bezcenną rozmowę z Izabelą. Księżna Joanna jest moim zaprzysięgłym wrogiem, ale Izabela... W naszych wzajemnych relacjach nastąpił zwrot być może umożliwiający kolejne poufne i szczerze rozmowy na ważne dla nas obu tematy, ale czy coś więcej? Byłabym bardzo nierozsądna, gdybym wiązała z tym jakieś wielkie nadzieje. Ale co szkodzi czegoś jeszcze się dowiedzieć?

- Okazałaś mi wielką życzliwość, pani. Czy mogę się spodziewać, że tak już pozostanie?

Odpowiedź, jak się spodziewałam, była w treści ostra:

- Pewności żadnej nie mam! - I ostrym tonem wygłoszona.

- Tu, na dworze królewskim, nigdy nie miałam kogoś naprawdę mi życzliwego. Prawdziwego przyjaciela...

- Nie dziwię się, bo dla ciebie zawsze jedno jest najważniejsze: zaspokojenie własnych ambicji. Nigdy nie zwalniasz, to twoja najważniejsza cecha, i dawkujesz ją w takim nasileniu, że nikt nie zdoła tego znieść. Ale jedno ci powiem. Nie tylko ja z wielkim zaciekawieniem będę się przyglądać bitwie między tobą a Joanną, choć o wynik bałabym się założyć. Z tym że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zapowiadana uczta się nie odbyła!

A ja pomyślałam, jak bardzo mi w życiu brak prawdziwej przyjaciółki i powierniczki, osoby, którą darzy się bezwzględnym zaufaniem i można powiedzieć jej wszystko. Niestety nigdy z nikim nie nawiązałam takich relacji, choć byłam bardzo ciekawa, jak by to było, gdybym wreszcie mogła opowiedzieć komuś szczerze, co leży mi na sercu, mając przy tym pewność, że zostanę z całą powagą wysłuchana, i nawet jeśli powiernica będzie miała w danej kwestii odmienne zdanie, to zrobi wszystko, by zrozumieć mój punkt widzenia.

Po tej znamiennej rozmowie poczułam głęboki smutek. Czyżbym wpadła w melancholię? O nie! Przyśpieszyłam kroku, spódnice zaszeleściły, przywołując mnie do porządku. Skoro moja gwiazda jaśnieje wysoko na firmamencie Edwarda, to nie należy poddawać się takim nastrojom!

To wystarczyło, by ujarzmić niespokojne myśli i skupić się na tej jednej. Nie, nie potrzebuję żadnej powierniczki. Lepiej swoje myśli, ambicje i lęki kryć głęboko w sercu, a nie szeptać o tym komuś na ucho. Otwierając się przed Izabelą, wykazałam się całkowitym brakiem rozsądku! Nigdy więcej to się nie powtórzy, bo może okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

Uczta odbyła się. A tak! I była to wielka uczta, wielkie święto z okazji powrotu książęcej pary do Anglii. Stoły uginały się, wino lało strumieniami, a ja byłam promienna i wesoła chyba najbardziej ze wszystkich.



Księżnej, oczywiście, prawie nic się nie podobało, ale jej pojękiwań wśród radosnego gwaru w ogóle nie było słychać.

I czując wielką satysfakcję, pozwoliłam sobie zadać Izabeli jedno pytanie:

- Nie byłaś, pani, pewna, że ucza się odbędzie?
- Oczywiście, że nie! Byłam przekonana, że zwycięży upór Joanny.
- I pomyliłaś się, pani! - Roześmiałam się, nie kryjąc zadowolenia.
- Owszem, pomyliłam się.

Ale Joanna jeszcze nie skończyła ze mną, a tak naprawdę nawet jeszcze nie zaczęła, na razie ograniczając się tylko do zapowiedzi. Otóż gdy biesiadowanie dobiegło końca, a minstrele raczej nieudolnymi dźwiękami muzyki zachęcali do piasów, przysiadła obok mnie. Spojrzenie miała tak twarde, jakby to nie były oczy, lecz nefryty. I nachyliwszy się do mnie, wysyczała:

- Kiedy zostanę królową Anglii, zniszczę cię za to, co zrobiłaś. Spokojnie wytrzymałam jej wzrok. Mało tego, udało mi się spojrzeć na nią z lekką pogardą.

- A cóż to ja takiego zrobiłam?

- Omotałaś go, odebrałaś mu rozum! I uzurpujesz sobie prawo do odgrywania roli, która wcale ci się nie należy. Ale to tylko uzurpacja...

- Przerwała na moment. - Głaskałaś go, mamałaś, a on teraz spełnia każde twoje życzenie. Robisz z nim, co chcesz!

Byłam zaskoczona aż tak ostrymi zarzutami, ale nie poczułam się zbита z tropu. I postanowiłam pobić Joannę jej własną bronią:

- A czyż to nie ty, pani, kiedy dawałaś mi dobre rady, powiedziałaś, że mądra kobieta powinna umieć udawać? Usłyszałam dłuższy wywód na ten temat, a ty, pani, śmiałaś się ze mnie, kiedy nie bardzo rozumiałam, o co w tym wywodzie chodzi... - Oczywiście uśmiechnęłam się, bo tłusta Nadobna Joanna nagle pobladła. A ja dalej swoje: - Tyle że akurat ja nie muszę uciekać się do żadnych sztuczek czy podstępów, tylko po prostu okazuję Jego Królewskiej Mości należny mu szacunek. Czy ty, pani, sądzisz, że król jest już tak słaby na umyśle, że nie potrafi sprzeciwić się knowaniom podstępnej kobiety?

- Jak śmiesz! - zawołała, ale była już trupioblada.

Owszem, odważyłam się na to. Dlaczego nie? Po prostu odpłaciłam pięknym za nadobne. I powiedziałam jeszcze:

- Ja tylko, pani, daję radość i zadowolenie starzejącemu się mężczyźnie.

- Tylko? Bo ja uważam, że robisz o wiele więcej, a mianowicie sięgasz do królewskiego skarbcza. Bo kto płaci za te szaty? I nosisz się jak królowa! Wystarczy spojrzeć na ciebie, jak idziesz korytarzem. Przejrzałam cię, Alice Perrers! Będziesz przymilać się, wdzięczyć i intrygować, póki nie wyciśniesz z króla tego wszystkiego, co tylko się da. Ziemi, dworów, pieniędzy, klejnotów... Wiedz jednak, że gdy tylko zostanę królową, odbiorę ci wszystko i odeślę cię w jednej koszuli z powrotem do tego brudnego klasztoru! Bo na pewno nie w tym! - Spojrzenie tłustej Nadobnej Joanny przemknęło po moim nowym surkocie z purpurowego aksamitu, a także po wysadzonym drogimi kamieniami diademie. - Tak będzie! I wszyscy w mig zapomną, kim była Alice Perrers. A jeśli dowiem się, że naruszyłaś prawa tego królestwa, to do końca swoich ziemskich dni z lochu nie wyjdiesz. Bo pręgieryz to dla ciebie za mała kara!

Gadała jak najęta, a ja, popatrując tam, gdzie u boku ojca siedział książę Walii, starałam się przynajmniej co drugą inwektywę puścić mimo uszu. Takie oskarżenia nie były dla mnie czymś nowym. Słysząc je było w każdym kącie pałacu i były wypowiedane z pełnym przekonaniem, niezależnie od tego, czy ktoś miał dowód w ręku, czy nie. Po prostu musiałam nauczyć się z tym żyć.

- Spójrz! - Ruchem głowy wskazałam, gdzie powinna popatrzeć, a gdy to zrobiła, od razu umilkła. A ja dalej: - Patrzysz? Naprawdę patrzysz? Bo jak spojrzysz naprawdę, to może zobaczysz, kiedy to zostaniesz królową Anglii.

Dwóch mężczyzn. Jeden w wieku podeszłym, drugi, który według przeżytych lat, powinien być w kwiecie wieku. Jeden gasnący z powodu upływu czasu, drugi umierający z powodu choroby. W całym królestwie nie było nikogo, kto by się założył o sakiewkę pełną złota, że książę przeżyje swego ojca. Chyba że zdarzy się cud. Edward miał pięćdziesiąt dziewięć lat, książę czterdzieści jeden. Ale ja wiedziałam, który z nich umrze pierwszy.

Joanna też wiedziała.

Jej twarz zmieniła się tak bardzo, że resztki dawnej urody znikły i z pięknej stała się brzydka. Ale teraz ta brzydota nabrała dodatkowej cechy, stała się wyrazem głębokiego smutku. Byłam tego pewna, bo przecież Joanna kochała swego księcia. I dlatego, wbrew wszystkiemu, zrobiło mi się jej żal.

- To dla ciebie ciężki czas, pani... - powiedziałam cicho.

Ale ona, choć w jej oczach widać było rozpacz, absolutnie nie chciała mego współczucia.

- Księżę odzyska siły! - oświadczyła podniesionym głosem, a dłonie, oparte na stole, zacisnęły się w pięści. - Musi tylko wypocząć, a dbamy o niego bardzo. A twoje dni w pałacu są policzone! Księżę będzie żył! Przekonasz się! I księżę, i nasz syn. Będę królową Anglii!

- Przecież wcale nie życzę źle ani tobie, pani, ani księciu Walii, ani waszemu synowi.

Joanna w odpowiedzi już tylko przeszła mnie wzrokiem, ale z taką siłą, że przeszłaby tarczę ustawioną w odległości pięćdziesięciu jardów. A dla mnie wszystko stało się absolutnie jasne. Plany Joanny związane z osobą księcia nie spełnią się, ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości, dlatego wzniosła wokół siebie mur obronny, który miał chronić ją przed gorzką prawdą.

Wstałam i podeszłam do Edwarda. Stałam obok niego, ciesząc się, że twarz ma pogodną, kiedy rozmawia ze swoim synem.

Powrót księcia bardzo ożywił ojca, co miało swoje konsekwencje, bo gdy król promienieje energią, wszystko wokół toczy się inaczej.

Natomiast jeśli chodzi o mnie, to podczas Wielkanocy powiłam córeczkę. Małeńka Jane dołączyła do niewielkiego dworu w Pallenswick. Nie była ładnym dzieckiem, ponieważ odziedziczyła po mnie grube brwi i śniadą skórę, ale pewnie dlatego kochałam ją jeszcze bardziej. Edward obdarował nowo narodzoną córkę srebrną misą, którą ustawiłam obok trzech podobnych misek. Król, mimo gromady dzieci, nie miał zbyt wielkiego wyobrażenia, jaki powinien być stosowny podarek dla noworodka. Ale to nieistotne. Najważniejsze, że małeństwo z grubymi brwiami bardzo mu przypadło do serca.

Okazało się, że przyływ sił u Edwarda wcale nie był chwilowy. Wciąż był ożywiony i spragniony wieści o tym, co dzieje się poza mu--

rami Westminsteru, w którym nadal przebywaliśmy, jakby szykował się do powrotu do pełnej monarszej aktywności. Więc mu poradziłam:

- Edwardzie, a może rozważyłbyś skargi parlamentu? Posłuchał i tak jak za dawnych dobrych lat zwołał radę królewską,

lokując to wydarzenie w Winchesterze. A tam, w gronostajach, władca łaskawy i sprawiedliwy wysłuchał niezliczonych próśb, obiecując zadośćuczynienie. Wrócił nie ten sam Edward, rozradowany, pełen życia, a także pełen pomysłów.

- Trzeba znów zapełnić skarbiec i ruszamy na wojnę. Utrzymamy Gaskonię. Jan z Gandawy mi pomoże...

- Oczywiście! Wszystko będzie po twojej myśli! - zapewniłam go. A on uśmiechał się. I znów ujrzałam ten piękny, promienny, młodzieńczy uśmiech.

- Wiesz, czuję, jakby nagle ubyło mi całe mnóstwo lat.

A kiedy zarządził wyjazd na polowanie, był to najlepszy dowód, że istotnie odzyskał pogodę ducha i żywotność.

Jan z Gandawy, kiedy dowiedział się o tym, co zamierza król, skłonił się przede mną bardzo nisko i powiedział z przejęciem:

- Jestem ci bardzo wdzięczny, pani.

A ja byłam taka szczęśliwa. Bo Edward wreszcie był sobą.

Szczęśliwe zrządenie losu... Szczęśliwe, ale z radością lepiej pocze-kać. Bo ten los, owszem, podsunie ci szczęście, a zaraz potem może zatopić zęby w twojej łydce. Tak było! Byłam przecież ogromnie szczęśliwa z powodu cudownej odmiany Edwarda, a moja dusza z tej radości szybowiała gdzieś w przestworzach, na pewno wyżej niż szczyty wież wznoszonych przez Wykehama.

I nagle runęła na ziemię, kiedy to król siedział nieruchomo w pełnym rozpaczy milczeniu. Poruszały się tylko palce u rąk, które tak mocno ścisnęły podłokietniki krzesła, że skóra na kostkach była tak biała jak śnieg.

Też nieruchoma stałam u jego boku. Też nieruchoma, a po długiej chwili poważylam się dotknąć jego ramienia, by przypomnieć, że tu jestem. U jego boku. Ale on nawet nie drgnął. Siedział dalej, nieruchomy

jak skała. Zapatrzony gdzieś w dal. Co widział? Morze. Sine morze, a za tym morzem sromotną klęskę.

Cały mój optymizm znikł, wszystkie nadzieje zostały pogrzebane w chwili, gdy królewski posłaniec przekazał hiobową wieść. I królowi na moich oczach przybyło tyle lat.

- Tego dnia nigdy nie zapomnę, nigdy... - wyszeptał załamującym się głosem.

Czy mogłam uchronić króla przed straszliwą wieścią? Nie. Był władcą i to on ponosił ostateczną odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Za krwawą masakrę, którą miał teraz przed oczami i cierpiał męki. Jego ręka bezwiednie chwyciła moją i nieświadoma swej siły gniotła me palce bezlitośnie, jakby chciała wydusić z nich całą krew. I żadne moje słowo czy gest nie były w stanie pomniejszyć jego udręki.

Koło portu La Rochelle na angielską flotę natarły galery Kastylii sprzymierzonej z Francją. Angielskie okręty stanęły w ogniu, przewożone na okrętach konie z przerażenia szalały, tratując wszystko i wszystkich dookoła.

Ogień. Rzeź. Śmierć.

Wszyscy angielscy dowódcy zostali wzięci do niewoli. Wszystkie angielskie statki zostały zatopione.

Wzrok Edwarda nadal utkwiony był w ścianę, której naturalnie nie widział, tylko krwawe dzieło zniszczenia tego, do czego dążył przez całe życie. To, co osiągnął, w dużej mierze właśnie zostało unicestwione. Była to pierwsza wielka klęska podczas jego długiego panowania.

Milczał przez całą noc wpatrzony w ogień w kominku, który kazał rozpalić, choć przecież było upalne lato.

Cały czas siedziałam razem z nim, bo bałam się zostawić go samego, jedynie w towarzystwie trawiącej duszę rozpacz.

O świcie, w pierwszych promieniach rodzącego się dnia, król wstał.

- Edwardzie... - powiedziałam cicho. - Nie spałeś całą noc. Pozwól, że...

Wtedy przemówił, a jego słowa były zdumiewające:

- Zemszczę się. Poprowadzę na Francję tyle wojska, ile Anglia jeszcze nigdy nie widziała. Będę walczył, dopóki nie odzyskam tego, co straciłem. Dopóki tak się nie stanie, do Anglii nie wrócę.

Czy dokona tego człowiek o twarzy tak bladej, że skóra na kościach policzkowych wydaje się przezroczysta? A ręce drżą... A jednak ani ja, ani Jan z Gandawy nie poważyliśmy się odwozić króla od jego zamiarów. Wiedzieliśmy, że jesteśmy z góry skazani na porażkę, bo w starzejącym się królu nadal drzemał lew, który znów był gotów do napaści. Bowiem król zamierzał udowodnić i sobie, i Anglii, że jest godny korony i zasłużył na wierność swych poddanych.

I nie wolno było mu w tym przeszkodzić.

Wojska tyle, że nie można zmierzyć go wzrokiem. Na lewym skrzydle Jan z Gandawy, po prawej książę Walii, który pod wpływem chwili zapomniał o niedomaganiach. Tamizy nie widać, bo tyle na niej barek. Błysk oręża, łopot chorągwi. Stałam na brzegu, pękając z dumy, która na krótki czas wygnała z mego serca wszystkie wątpliwości i smutki. Nie mogło być inaczej, gdy miałam przed sobą widok zapierający dech. Edward w pozłacanej zbroi i hełmie, a nad nim złociste lwy Plantagenetów na łopoczących proporcach.

Pożegnałam się już i mogłam tylko modlić się, by Bóg miał króla w swej opiece. I modlić się o zwycięstwo.

Kiedy Edward wszedł na pokład Grace de Dieu, flagowego okrętu Jego Królewskiej Mości, złożył uroczystą przysięgę:

- Prędzej umrę na francuskiej ziemi, niż oddam im moje dziedzictwo! Zadrżałam. Bo czyż można tak otwarcie kusić los?

O Panno Przenajświętsza! Ten strach, ten mój strach. A miałam powody, by bardzo się bać...

Trzy tygodnie później okręty nie mogły wyjść z portu, bo wiał wiatr z przeciwnej strony. Chłoszczący Sandwich wichur rozwiął misterny zamysł Edwarda na cztery strony świata. A w Gaskonii miasto La Rochelle nie wytrzymało oblężenia i poddało się Francuzom. Zrozpaczony Edward musiał odwołać kampanię. Do Londynu, do mych stęsknionych ramion, powrócił pogrążony w smutku stary człowiek, którego nikt i nic nie było już w stanie pocieszyć.

To upokorzenie złamało Edwarda. Cały otaczający go świat legł w gruzach. Śmierć Filipy była to rana nadzwyczaj głęboka i bolesna, ale z tej klęski nie mógł już się podnieść. Co działo się dalej, przez kilka

kolejnych miesięcy, kiedy bezsilny Edward przebywał w Londynie? Wszystkie zajęte przez Anglików twierdze padły, opór Anglików został złamany. Ziemie Edwarda w Gaskonii skurczyły się niemożebnie, miał ich teraz mniej, niż odziedziczył po ojcu. Dzieło jego życia legło w gruzach.

Anglia została upokorzona, a jej król zdeptany. Bolesna prawda była taka, że Edward stracił wszystko.

Nie potrafił się z tym pogodzić, jego umysł pojmował to z trudem, a oznaki tego stanu ducha były bardzo niepokojące. Obecnie Edward bardzo szybko się męczył, a podczas rozmowy nagle, w połowie zdania, tracił wątek. Czasami milczał przez wiele godzin i żadnym sposobem nie można go było skłonić, by powiedział choć słowo.

A czasami mnie nie poznawał.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sir William de Windsor wrócił do Anglii! Znów będzie w zasięgu. Kiedy zaraz po przybyciu do Westminsteru zobaczył, jak przechodzę przez wielką salę, na pewno był przekonany, że natknął się na mnie przypadkiem, ale oczywiście nie był to zbieg okoliczności. Przecież wiedziałam, kiedy zeskoczy z siodła po długiej drodze, kiedy konie i jego ludzie znikną w stajni, i kiedy wreszcie on, William de Windsor, wejdzie na pierwszy stopień schodów wiodących ku głównemu wejściu.

Schowałam się za filarem, żeby najpierw trochę na niego popatrzeć, co zdarzyło się po raz pierwszy od niemal czterech lat. A spodziewałam się, że przyjedzie, ponieważ tuż przed klęską angielskiej floty koło La Rochelle, kiedy to Edward zastanawiał się nad tym, jak bardzo są zagrożone angielskie posiadłości w Gaskonii, doszły do niego również wieści z Irlandii.

I nie były to dobre wieści, bo z Irlandii nigdy takie nie nadchodziły. Zawsze były to oskarżenia o nieskuteczność, przekupstwo, sprzedajność i kumoterstwo w wyższych sferach. A napadano przede wszystkim na Windsora, ponieważ nikt nie wątpił, że to on o wszystkim decyduje, nie zaś nieszczęsny Desmond. Nie ostrzegłam go, choć przecież obiecałam, że będę przekazywać wieści o tym, co myśli król o sytuacji w Irlandii i jakie decyzje ma zamiar podjąć. W ostatnim liście napisałam,



że w tych sprawach nic się nie dzieje, a kiedy po jakimś czasie Edward znów zainteresował się Irlandią, nie w głowie mi było sięganie po pióro, ponieważ zostałam wciągnięta w wir bieżących wydarzeń. Lecz oto rozsierdzony i jak dawniej żądny czynu król rozkazał sir Williamowi wsiąść na pierwszy statek płynący do Anglii, przybyć do Londynu i wytłumaczyć się osobiście.

Kiedy przyjedzie i czy w ogóle przyjedzie, tego można się było tylko domyślać, chociaż byłam przekonana, że William stawi się przed królewskim obliczem. Oczywiście mógł udawać, że wieść nie dotarła, bo list zaginął w drodze, jednak nie sądziłam, by miał zamiar posłużyć się takim fortelem.

Nie myliłam się, bo przyjechał. Gdy zobaczyłam go, sama dla niego niewidzialna, byłam nieco zbита z tropu tym, co poczułam na jego widok. A co poczułam? Niepokój, nawet lęk, a także nieufność. I radość, i to niemałą.

Oto on, William de Windsor we własnej osobie. Przekroczył już próg. Pierwsze wrażenie? Nie jest w dobrym nastroju, co oczywiste, zważywszy na to, jak sformułowany został królewski rozkaz. Poza tym William wyglądał tak, jakby przywiał go tu najbardziej porywisty wiatr ze strugami najbardziej ulewnego deszczu. Mokre i rozwichrzone włosy, cały ochlapany błotem i przemoknięty do suchej nitki. Szybkim krokiem parł do przodu, pochłonięty swoimi myślami. Czy zauważył mnie, gdy wychyliłam się zza filara? Na pewno nie. Odczekałam więc chwilę, by podszedł bliżej, jednocześnie zmagając się z tym, co działo się ze mną. Serce biło zdecydowanie szybciej, wargi zrobiły się cieplejsze. O tak! Bo nasz ostatni pocałunek był bardzo kuszący...

Alice, wyjdź zza słupa, bo ci Windsor umknie! - ponaglałam się w duchu.

Więc wyszłam i zawołałam:

- Sir Williamie!

Zatrzymał się w pół kroku i obrócił na pięcie. Spojrzenie miał czujne i przenikliwe, jakby spodziewał się napastnika, który zasadził się na niego za filarem. A to byłam tylko ja, dlatego odetchnął z wyraźną ulgą.

- Pani Perrers! - I skłonił się szybko, niedbale.

Co za irytujący człowiek! W odwecie też ledwie się skłoniłam tak samo szybko i niedbale. Braveheart, której z wiekiem rozumu wcale nie przybywało, ze strachu przed nieznanym wtuliła się w moje nogi.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia, panie? - spytałam miłym, melodyjnym głosem.

- A co miałbym jeszcze powiedzieć? Wróciłem. - Zmrużył oczy. - I wcale mnie to nie cieszy.

Po raz pierwszy widziałam go w takim stanie, czyli w stanie ledwie okiełznywanej furii. Twarz, pokryta już pierwszymi zmarszczkami, stężała, usta zaciśnięte, nozdrza rozdęte.

Ale ja i tak patrzyłam na niego z przyjemnością, na tę szczupłą sprężystą postać i na twarz - co z tego, że w złości, ale twarz mądrą, twarz człowieka bardzo bystrego. Po prostu serce rwało się do niego. Tak! A było to uczucie dotąd mi nieznane.

A on nie dość że zły, to i nad wyraz zniecierpliwiony, zerwał z głowy kapelusz, odsłaniając gęstwinę mokrych włosów. Oczy pociemniałe, spojrzenie srogie. William czekał, kiedy się wreszcie odezwę. Cóż więc powiedzieć? Tylko o tym, co najpilniejsze, czyli co dzieje się teraz. Przecież on nie jest w stanie skupić się na czymś innym.

- Mam nadzieję, panie, że przygotowałaś się starannie do wyjaśnienia swego postępowania w Irlandii.

- A ja miałem nadzieję, że mnie ostrzeżesz, pani!

Karcił mnie! Dlatego też, co oczywiste, uniosłam głowę nieco wyżej.

- Zrobiłabym to, ale było za późno. Gdy dowiedziałam się o sprawie, posłaniec z królewskim rozkazem już jechał do ciebie, więc słać listu nie było sensu. A nawet gdyby mój posłaniec jakimś cudem dotarł do ciebie pierwszy, to czy moje ostrzeżenie coś by tu zmieniło?

- No tak... - Wzruszył ramionami. - Czy król bardzo zagniewany?

- Na pewno nie jest zadowolony.

- Byłem pewien, że król już gaśnie, i będę rozmawiał z księciem.

- To książę gaśnie, panie.

- Słyszałem o tym, ale myślałem, że to przesadne wieści. Z tego, co mówisz, wynika jednak, że się myliłem. - Windsor westchnął. - Bóg jeden wie, jak bardzo nad tym boleję. Walczyłem u jego boku. Od tamtych czasów minęło już ponad dwadzieścia lat. Byliśmy młodzi,

kochaliśmy wojaczkę... Był wspaniałym dowódcą, lepszego nie znam. A teraz...

- Teraz jego dni są już policzone. Umiera.

- A to rodzi pytanie o sukcesję.

- Nie ciebie jednego to pytanie interesuje. Doprawdy, jest ich naprawdę wielu.

- Syn... Ileż on ma lat? Jest jeszcze bardzo mały, prawda? Westchnęłam w duchu. Polityka, dworskie intrygi... Nie miałam

ochoty rozmawiać o tym, gdy moje serce było podejrzenie szybko, i równie szybko w żyłach krążyła krew. Dziwne, skoro działo się tak z powodu człowieka, który kryształowego charakteru ponoć nie ma i kieruje się wyłącznie ambicją oraz egoistycznie pojmowanym interesem. I do czego to może doprowadzić? Och, lepiej nawet nie wnikać...

Nagle uprzytomniłam sobie, że milczę, tak samo jak Windsor, który wreszcie, mimo rozsadzającej go złości, skupił się na mnie, czego dowodem były jego słowa:

- Wyglądasz dobrze, pani.

- Bo tak też się czuję.

- Widzę, że pies robi, co do niego należy.

- Absolutnie nie! - wyznałam rozbawiona, głaszcząc czule zachwyconą Braveheart. - Moja dzielna obrończyni trzyma się mnie ze strachu. Boi się nawet myszy!

- A sztylet?

- Nie miałam sposobności go użyć. Może raz czy dwa do krajania mięsa.

- Co za wstyd dla niego. Nie do takich pospolitych zadań jest przeznaczony! - zażartował wreszcie, oczy mu zaiskrzyły. - Schowałaś go za stanikiem sukni?

- Ależ panie! O tym nie przystoi rozmawiać z damą. - To również miał być żart.

Jednak wcale go nie podjął, tylko przeciwnie, powiedział coś, w czym nie było już ani odrobiny wesołości:

- Słyszałem, że niezbyt dobrze o tobie mówią. Podobno strasznie się panoszysz, a twoja żądza władzy jest coraz większa.

Owszem, zabolalo, dlatego odpłacałam pięknym za nadobne:

- A ja słyszałam, że wzbudzasz niechęć, a nawet nienawiść w tych, którymi rządysz.

- A mnie doszły słuchy, że nabyłaś ziemię za sprzeniewierzone pieniądze.

Owszem, nabyłam, i żadna to tajemnica, ale cóż on takiego jeszcze powiedział? Za sprzeniewierzone pieniądze?!

- Czy dobrze usłyszałam?! - Teraz to głowę uniosłam już bardzo wysoko. - Chodzi ci, panie, o kradzież? A gdzie dowody?! Niepojęte! Bo Greseley, który prowadzi moje sprawy, jest człowiekiem z zasadami! - Naturalnie, że mówiłam bardzo ostro, ale byłam gotowa bronić się do ostatniej kropli krwi. - Masz na myśli może dwór Compton Mur-dak? Owszem, były pewne trudności, ale udało się je pokonać. A co do kradzieży... To może się przesłyszałaś. Nie ja ukradłam, ale mnie okradziono. John Straunge ukradł moje furto z królików. Oczywiście, że to zrobił, więc go oskarżyłam. A dowód miałam, bo jego głupia żona nagle zaczęła paradować w kapturze ze skórek króliczych! Powiedziałam o tym sędziom. Nie byli zadowoleni, że się wtrącam, ale wzięli to pod uwagę. A skoro mowa o tego rodzaju nikczemnych czynach... Słyszałam, że tobie, panie, zarzucają przekupstwo i wyzysk!

- Oczywiście! - odparł z błyskiem w oczach. - Przecież każdy namiestnik Irlandii do tego się ucieka, o czym król doskonale wie. Powiedz mi, pani, kiedy będę mógł stawić się przed Jego Wysokością?

- Nie wiem.

- W takim razie idę poszukać kogoś, kto będzie wiedział.

- Nie znajdziesz takiego, bo o tym wie tylko król.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał długo czekać. W Irlandii jest bardzo niespokojnie, w każdej chwili może dojść do przelewu krwi. A mnie tam teraz nie ma i wszystko, czego dokonałem, może pójść na marne, podczas gdy Edward będzie się zastanawiał i zastanawiał, by w końcu oczywiście uznać, że lepszego namiestnika niż ja nie znajdzie!

I bez słowa, bez żadnego uprzejmego gestu odwrócił się na pięcie i odmaszerował, powiewając mokrym płaszczem usianym listkami i gałązeczkami. Patrzyłam za nim i było mi go szczerze żal, chociaż miły dla mnie nie był i wcale nie ufałam mu bezgranicznie. Podobnie jak Janowi z Gandawy. Ale między mną a Williamem de Windsorem była

jakaś przedziwna więź. Na pewno, przecież wyczuwałam ją, choć wcale mnie to nie cieszyło.

Odczekałam, aż dojdzie do schodów, i zawołałam:

- Windsor! - Owszem, odwrócił się, ale się nie odezwał, bo wciąż był rozjuszony. Więc tylko stał tam w półmroku. Ciemna postać, jedynie oręż u boku i brzeg płaszcza oświetlony blaskiem pochodni. - Mogę się dowiedzieć, kiedy król cię przyjmie.

- To się dowiedz.

Dawno, dawno temu, czyli przed czterema laty, William de Windsor po równie burzliwej rozmowie podszedł jednak do mnie i przeprosił za swoją gwałtowność. Teraz nie, tylko stał dalej, nie ruszał się z miejsca, jakbym to ja miała do niego podejść i prosić o wybaczenie!

Niedoczekanie! Bo tylko krzyknęłam:

- Dowiedz się? Rozkaz? Skoro tak, to jednak się nie dowiem! Bo służką twoją nie jestem!

Wtedy skłonił się, naturalnie po błazeńsku, bo nie można już było skłonić się niżej i zamieść podłogi piórami od kapelusza bardziej zamasyście.

- Słodka Alice! Z czasem coraz słodsza! Czy będziesz tam, kiedy Edward zacznie zadawać mi katusze, przeklinając to wszystko, czego udało mi się dokonać?

- Naturalnie! Nigdy bym sobie tego nie darowała.

- A może wstawisz się za mną?

- Nie, nie wstawię, wiedz jednak, że akurat ja póki nie mam niezbitych dowodów, to nikogo nie potępiam.

- Czyli nie traktujesz mnie jak wroga?

- A dlaczegóż miałabym to robić?

W odpowiedzi usłyszałam już tylko śmiech. I dobrze, prawda? Bo jeśli dzięki temu zmalął w Williamie gniew, to będzie łatwiej mu stawić czoło przeciwnościom. Wbiegł po schodach, a kiedy był już na szczycie, przystanął i spojrzał w dół.

- Czekaaś tu na mnie?

- Ależ broń cię Panie Boże! Znalazłam się tu przypadkiem. Kolejny ukłon, też błazeński, czyli nie uwierzył mi.

Odszedł, a ja stałam, słuchając oddalających się kroków. I bardzo byłam nierada z takiego obrotu rzeczy, bowiem nigdy dotąd tak bardzo

nie pragnęłam zbliżyć się do kogoś z królewskiego dworu. Oczywiście nie chodziło o to, że ktoś raptem mnie uszanuje i stanie się mi życzliwy, bo chce, bym wstawiła się za nim u króla. Nie. Chodziło o prawdziwą bliskość, wzajemne zrozumienie i prawdziwą życzliwość. O prawdziwą przyjaźń. Wiedziałam, że przyjaźń z takim człowiekiem jak Windsor może być trudna i może nie przynieść nic dobrego. Ale pragnęłam jej, chciałam mieć w nim przyjaciela, chociaż tak do końca mu nie ufałam. Podobnie jak Janowi z Gandawy.

Ale cóż było robić? Nic, tylko czekać. Czas pokaże, jak dalej się potoczy między mną a Windsorem. A na audiencji naprawdę chciałam być i posłuchać, jak Edward rozprawia się z jego morale i charakterem. Z tym że, jak już wspomniałam, nie byłam z góry nastawiona do niego negatywnie. Najpierw muszę usłyszeć, co ma na swoje usprawiedliwienie.

Oj, chyba za bardzo się przejęłam obecnością Williama de Windsora na królewskim dworze! Ale nic na to nie poradzę. Ta jego gniewna osoba łaskocze mój umysł, zmuszając, bym znowu o nim pomyślała...

Łaskocze? A gdzież tam! Rzuca się na niego jak głodny kocur na wypasionego szczura, który jeszcze jest nieświadomy swego losu!

Windsor ma stawić się już następnego dnia, równo godzinę przed południem. Tak zarządził Edward. I wcale go do tego nie skłaniałam. A Edward był bardzo wzburzony, spodziewałam się więc, że ta audiencja podobna będzie do rozmowy, której kiedyś byłam świadkiem. Rozmowy króla z Lionelem po jego powrocie z Irlandii. Rozmowa ojca z synem, a nie było w niej żadnej życzliwości, tylko z obu stron padały jedno oskarżenie za drugim. Chociaż Edward potem wszystko Lionelowi wybaczył.

Tak, byłam przekonana, że ta audiencja będzie równie burzliwa, ponieważ Edward tego dnia był bardzo wzburzony i nie miał żadnych kłopotów ani z pamięcią, ani z wysławianiem się. Och, był wyjątkowo elokwentny.

Windsor natomiast okazał się równie gwałtowny, choć oczywiście mitygował go respekt należny Jego Królewskiej Mości.

Tak jak zamierzałam, rozsiadłam się obok Edwarda, bardzo ciekawa tego pojedynku. Byłam przejęta, a także bardzo rada, że Edward znów

umysł ma jasny i trzyma rękę na pulsie. Przy tym zaniepokojona, czy Windsor nie przekroczy pewnej granicy.

Skąd te obawy? Przecież powinnam być idealnie obojętna.

Ale nie byłam.

Edward przedstawił całą litanię poważnych zarzutów wobec namiestnika Irlandii.

- Winien czynów niegodnych... haniebna prywatna... nieudolne zarządzanie... nieuczciwość...

Windsor wysłuchał króla z miną posępną. Stopy wparte w posadzkę, ręce opuszczone po bokach. Twarz nadal stężała, taka sama jak wtedy, gdy wchodził do pałacu poprzedniego dnia. Byłam pewna, że w tym czasie ani na chwilę wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Czy był winien? Tego nie wiedziałam, bo i skąd? Teraz wszystkie zarzuty odpierał bardzo zręcznie i bez wahania:

- Tak, nałożyłem wysokie podatki.

- Tak, podpierałem się prawem, by umocnić potęgę Anglii.

- Tak, polepszyłem sytuację Anglików mieszkających w Irlandii kosztem rdzennych Irlandczyków, bo gdybym tego nie zrobił, oznaczałoby to polityczne samobójstwo.

- I najważniejsza sprawa, czyli poskromienie irlandzkich buntowników. By to osiągnąć, musiałem zdobyć fundusze na wojska zaciężne. Zdobyc nawet kosztem, jak Wasza Królewska Mość raczył zauważyć, wyzysku i nadmiernie wysokich podatków. My mówimy o poskromieniu buntowników, Irlandczycy nazywają to zaprowadzeniem spokoju. A uzyskanie spokoju w tak zapadłej i nękaną ciągłymi wojnami prowincji nie może się obejść bez przekupstwa i gróźb.

Widziałam, że na Edwardzie te argumenty nie wywarły większego wrażenia, spytał natomiast:

- A co z funduszami z królewskiego skarbcza, które zostały przekazane na ten cel?

- Bardzo jestem wdzięczny, panie, za te fundusze, ale zostały spożytkowane już dawno temu. Teraz jestem zdany tylko na siebie i muszę podejmować odpowiednie kroki.

- Ale twoje metody nie podobają mi się. Tak samo jak nie podobają mi się liczne głosy niezadowolenia.

- A kiedyż to wszyscy są zadowoleni, panie?

- Trzeba przyznać, że jesteś bardzo elokwentny, kiedy chcesz udowodnić swoją niewinność.

Co teraz powie? Co? Z bijącym sercem czekałam na odpowiedź Windsora.

I odpowiedział, śmiało spoglądając królowi prosto w twarz:

- Wcale nie uważam, panie, że jestem bez zmazy i skazy, ale dobry polityk nie może być naiwny. Nie może sobie na to pozwolić, o czym sam bardzo dobrze wiesz. Dobry polityk powinien trzeźwo oceniać sytuację i robić to, co jest użyteczne.

- Ale oni nie chcą, żebyś tam powrócił!

- Oczywiście, że nie chcą - spokojnie odparł Windsor, którego ten zarzut wcale nie zbił z tropu. - Chcą kogoś, kto nie ma żadnego doświadczenia i będzie tańczył, jak mu zagrają. Mnie nie wszyscy tam przyklaskują, ale śmiem twierdzić, że stosuję się do zasad polityki Anglii za pomocą tych wszystkich środków, które są mi dostępne. A człowiek słabszy zadowoliliby się tym, że lordowie irlandzcy głoszą peany na jego cześć i liżą mu buty, jednocześnie napychając swoje sakiewki irlandzkim złotem.

- Chcą, żebym wysłał tam młodego hrabiego Marchii. O nim przynajmniej wiem, że to człowiek uczciwy.

- I tu miałbym jedną uwagę, panie. Hrabia Marchii to człowiek niewątpliwie bystry, ale brak doświadczenia i młody wiek przemawiają na jego niekorzyść.

- Ale jest mężem mojej wnuczki... - To zdanie Edward wypowiedział już głosem znużonym i zamilkł.

Niewątpliwie chciał mocniej podkreślić zalety młodego Edmunda Mortimera, hrabiego Marchii, męża jego wnuczki Filipy, ale wyraźnie tracił siły. Widziałam przecież, jak naprężył się, a zaraz potem zwiotczał. Znak, że słabnie i jego ciało, i umysł. Uznałam więc, że pora zakończyć audiencję, zanim Edward znajdzie się w takim stanie, w jakim Windsor nie powinien go widzieć, bo byłoby to dla króla upokarzające. Położyłam rękę na szerokim rękawie Edwarda, nachyliłam się i spytałam półgłosem:

- A ileż to lat ma młody hrabia, milordzie?

- Myślę, że... - I nic, a oczy zachodziły już mgłą. Powiedział jednak: - Dwadzieścia na pewno już skończył... Więc może dwadzieścia



jeden, nie, nawet więcej. - Oczywiście, że nie, wiedziałam to doskonale. - Jest mężem mojej wnuczki - powtórzył Edward, czepiając się jedyne go faktu, którego jeszcze był pewien, zanim podstępna mgła spowije jego umysł. A głos już nie ten sam, zachrypnięty, płaczący, prawie jak u dziecka.

- Nadejdzie dzień, kiedy będzie ci służył wiernie, milordzie - powiedziała spokojnie, niemal kojąco. - Ale moim zdaniem nie nastąpi jeszcze na to pora. Jest bardzo młody, a rządzić Irlandią przecież niełatwo.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że w tym, co mówił sir William, jest wiele prawdy.

- Nie...

Niby król zaprotestował, ale brak w tym było stanowczego tonu, czyli udało mi się zasiać ziarno niepewności. Zerknęłam na Windsora, życząc sobie z całego serca, żeby istotnie okazał się zręcznym dyplomata. Na szczęście on też na mnie spojrzał, po raz pierwszy zresztą podczas tej audiencji, i od razu pojął, o co chodzi.

Po czym skłonił się nisko przed królem.

- Czy mam wracać do Irlandii, panie? Dalej wcielać w życie to, co ty, panie, zaczęłaś? Póki tego zadania nie przejmie hrabia Marchii?

- Najpierw muszę rozważyć twoje przewinienia. Dopóki tego nie zrobię, masz zostać w Westminsterze, bo chcę mieć na ciebie baczenie.

Nie była to zdecydowana odmowa, ale też nie po myśli Windsora. Skłonił się po raz drugi i wyszedł, a ja pomogłam królowi wstać z krzesła.

- Musisz odpocząć, Edwardzie, a potem porozmawiamy i zrobisz to, robisz zawsze, czyli podejmiesz mądrą decyzję.

- Tak... - Oparł się ciężko na moim ramieniu, a z jego ust wydobył się już prawie bełkot: - Tak... Porozmawiamy o tym...

I w taki oto sposób Windsor wbrew swej woli powrócił do życia na królewskim dworze, gdzie wszyscy wszystko widzieli i z zapalem plotkowali, i gdzie niestety coraz trudniej było ukryć żalostny ubytek sił fizycznych i umysłowych Edwarda.

Przez cały następny tydzień Windsora nie widziałam ani razu, a Edward zwlekał z decyzją. Co Windsor porabiał w tym czasie? Kiedy

poprzednim razem był na królewskim dworze, sam mnie odszukał, bo chciał porozmawiać, lecz teraz było inaczej, po prostu wszelki ślad po nim zaginął. Nie było go też w wielkiej sali podczas obiadu, kiedy przyszedłam tam razem z Edwardem, który tego dnia poczuł się lepiej i mógł spożyć posiłek wraz z całym dworem.

W końcu straciłam cierpliwość. Popytałam tu i tam i rozwiązałam zagadkę. Okazało się, że Windsor pojechał do Kennington, by zobaczyć się z księciem Walii. Z całego serca życzyłam mu, by to spotkanie okazało się dla niego pomocne, choć nie byłam dobrej myśli.

Potem wrócił i wreszcie go zobaczyłam, gdy przechadzał się po jednym z przedpokoi w komnatach króla. Minę miał bardzo ponurą, pod pachą dzierżył zwoje pergaminów, jednak na mój widok trochę się rozchmurzył.

A ja właśnie wychodziłam ze swoich komnat. Zamknęłam za sobą drzwi, odwróciłam się i wtedy go zobaczyłam. Uśmiechnął się do mnie, choć nadal był ponury i przygaszony, dlatego natychmiast zapragnęłam powiedzieć coś, co może poprawić mu humor. Ale co? Nie miałam żadnego pomysłu, bo myśleć mi było trudno, jako że wprost padałam z nóg. Tego dnia Edward był w wyjątkowo złym stanie. Czuł się bardzo przygnębiony, a jednocześnie był bardzo wymagający. A ja ledwie żywa, prawie półprzytomna, i gdyby w przedpokoju było więcej osób, na pewno bym Windsora nie zauważyła.

A on bez żadnych wstępów od razu spytał:

- Czy król podjął decyzję?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek ją podejmie?

Westchnęłam. Byłam śmiertelnie zmęczona... i nieskończenie bezradna.

- Podejmie w swoim czasie. Kiedy poczuje się lepiej. Musisz być cierpliwy, sir Williamie. Czy czekałeś tu na mnie?

- Ależ skąd! - Uśmiechnął się łobuzersko.

Była to oczywista aluzja do mego czatowania za filarem w dniu jego przyjazdu z Irlandii. Naturalnie roześmiałam się i od razu poczułam się odrobinę silniejsza.

- Długo nie widzieliśmy się, sir Williamie. Cóż porabiałeś w tym czasie? - spytałam, a ponieważ staliśmy już bardzo blisko siebie, postukałam znacząco w jeden ze zwojów pergaminu.

- Kupiłem posiadłość.

- Posiadłość? - spytałam zaskoczona. - Gdzie, sir Williamie? W Irlandii?

- Nie, w Anglii, w Essex.

Tym zaskoczył mnie jeszcze bardziej, wiedziałam przecież, że włości Windsorów są o wiele dalej, bliżej północnego krańca królestwa.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Żeby uniknąć nędzy, kiedy nadejdą ciężkie czasy. Robię to samo co ty. Nie można być całkowicie uzależnionym od woli króla. - Zamilkł na dłuższą chwilę, a ja byłem pewna, że zastanawia się nad czymś, co właśnie przyszło mu do głowy. Chociaż kto wie, może było w tej głowie już od jakiegoś czasu? W każdym razie powiedział wreszcie: - Chciałbym ci coś zaproponować, pani.

Zaproponować? Właśnie mnie? Natychmiast poczułam miły dreszczyk podniecenia, który ożywił mnie, tak bardzo zmęczoną i odrętwiałą po bezsennej nocy. Naturalnie starałam się nie zdradzić, jak bardzo jestem zaintrygowana.

- Zaproponować... - powtórzyłam powoli. - A cóż takiego chcesz mi zaproponować, panie? I to tak nagle, bo przecież przez cały tydzień nie miałeś mi nic do powiedzenia.

- Byłem bardzo zajęty.

- Aha. A teraz już nie jesteś?

Znów pomilczał chwilę, wlepiając we mnie oczy, po czym pokiwał głową, jakby podjął ostateczną decyzję.

- Przejdźmy, pani, tam, gdzie tłumy dworzan nie będą nadstawiały uszu. Przecież tu jest jak w ulu, bez przerwy brzęczą, wciąż te plotki i skandale. Tylko to im w głowie!

Oczywiście, że się nie opierałam, tylko posłuszna jak baranek przeszłam razem z Windsorem do małej komnaty dla skrybów i prawników, a tam, klucząc między stołami i stołkami, doszliśmy do zacisznego kąta i usiedliśmy na stołkach. Nie było tu żadnych dworzan, tylko kilku młodych skrybów, a wszyscy pochłonięci tym samym, czyli maczali pióra w inkauscie i skrobali coś na pergaminie. Na nas nie zwracali

żadnej uwagi. A ja, nadal udając, że wcale nie umieram z ciekawości, wyjęłam ze stojącej nieopodal skrzynki jakiś dokument i zaczęłam czytać. Rachunek za dwa tuziny skórek króliczych. Cóż... Prawdopodobnie to, co chadzało kiedyś w tym futrze, zostało zjedzone przez nas, kiedy podano potrawkę z królika.

Windsor natomiast, kiedy tylko przebiegłam oczami po wspomnianym rachunku, przystąpił do rzeczy:

- Myślę, że moglibyśmy razem popełnić morderstwo.

Dziwne, ale o wiele bardziej zastanowiło mnie to „my” niż „morderstwo”. Ale o nic nie spytałam, tylko zaczęłam się wachlować owym rachunkiem.

Windsor uśmiechnął się szeroko.

- Chodzi naturalnie o morderstwo natury finansowej. Zaczęłam postukiwać stopą w skrzynkę, z której wyjęłam ów rachunek.

- Co powiesz, pani, gdybyśmy razem dokonali zakupu kilku niewielkich, ale ładnych dworów?

Czyli naprawdę ciekawa propozycja. Czułam, że już wpadłam w sidła, jak te nieszczęsne króliki, co skończyły w potrawce. Ale trudno nie dać się usidlić, skoro Windsor chce ze mną współpracować. Tak! Współpracować! Ze mną!

Naturalnie by zyskać na czasie najpierw wygładziłam rachunek tak bardzo starannie, jakby te królicze skórki były sprawą najwyższej wagi.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- Wiadomo dlaczego. Żeby mieć coś, kiedy nadejdą ciężkie czasy, a tobie na pewno będzie ciężej niż mnie.

Nagle nachylił się, zgarnął z sąsiedniego stołu dwa kawałki czerwonego wosku na pieczęcie i zaczął nimi żonglować z nieprawdopodobną zręcznością. Najpierw dwoma, potem trzema. A potem czterema!

- Może... - powiedziałam, nie odrywając oczu od latających kawałków czerwonego wosku, a jednocześnie przetrawiałam to, co powiedział przed chwilą. Czy rzeczywiście będzie mi tak ciężko? Ciężej niż jemu? Chyba tak. Kobiecie zawsze trudniej.

Oderwałam oczy od wirującego wosku i spojrzałam na Windsora.

- Ale dlaczego mielibyśmy robić to razem?

- Bo wiem, że jesteś zainteresowana kupnem ziemi... - Niestety, jedna grudka wosku spadła na podłogę. - I niewątpliwie wiesz już o tym sporo. Gdzie szukać, do kogo się zwrócić. Poza tym masz dostęp do pieniędzy. A co dwie głowy, to nie jedna.

- A ty, panie, co masz do zaoferowania?

- Właśnie głowę. Głowę do interesów.

- Ja też to mam!

- Tak. Coś niebywałego u...

- U kobiety! Czy nie to masz na myśli?

- Tak... - Kąciki ust Windsora drgnęły. - Jak więc się zapatrujesz, pani, na moją propozycję?

Najpierw chwila namysłu. Siedziałam, myślałam, bawiąc się rachunkiem za królicze skórki. No i myślałam chyba trochę za długo, bo Windsor wreszcie spytał:

- Nie ufasz mi? . -Nie.

- Nie? - Roześmiał się. - A więc właśnie taka jest twoja odpowiedź, pani? Nie?

- Moja odpowiedź brzmi... - Jeszcze nie wiedziałam, co zdecydować.

- A do czego ty mi się możesz przydać, panie? Przecież sama już zakupiłam sporo ziemi.

- Czasami przyda się mężczyzna, który pomoże w pertraktacjach.

- Mam już takich mężczyzn, którzy chętnie ze mną współpracują, oczywiście za obopólną korzyścią.

- Naprawdę?

Był wyraźnie zaskoczony, dlatego pozwoliłam sobie dodać jeszcze nieskromnie:

- W ciągu kilku minionych lat kupiłam kilka dworów dzięki współpracy z godnymi zaufania mężczyznami, którzy są biegli w tej materii. Należy do nich pan Greseley, który pertraktuje w moim imieniu. Dla samotnej kobiety jest to rozwiązanie bardzo rozsądne.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- Dawno temu, można powiedzieć, że w całkiem innym życiu. Janyn Perrers... Stoję i ściskam w rękę jego poranny podarek... Odległe czasy, całkiem inna rzeczywistość. Jak daleko od tego odeszłam...

Chwilka wzruszenia i znów podniosłam oczy na Windsora, który Już podniósł z podłogi niepokorny kawałek wosku i dalej żonglował zawzięcie, co zaczynało mnie trochę irytować.

Dlatego mruknęłam:

- Sami musimy o siebie zadbać, nikt za nas tego nie zrobi.

- Mądra uwaga. Wiem, że osiągnęłaś niemało. Możesz mi powiedzieć, ile tak naprawdę masz tego dobytku? Nie ukrywam, że bardzo mnie to ciekawi.

Ale ja pokręciłam przecząco głową. Nie, nie powiem, bo moim zdaniem wiedział już wystarczająco dużo, może nawet za dużo.

- Nie powiesz? - spytał z uśmiechem. - Nie szkodzi, pewnego dnia i tak się dowiem. A teraz powtarzam, że bardzo by ci się przydał człowiek nie tylko bystry, ale i przebiegły, któremu leży na sercu twoja przyszłość. - I dodał po chwili: - Choć sam nie wie, dlaczego tak jest.

- A tym człowiekiem jesteś właśnie ty, panie?

- Tak.

Wstał, skłonił się wytwornie i z powrotem usiadł. A ja dalej:

- W takim razie dowiedz się, panie, że ci wspomniani przeze mnie bogaci mężczyźni odnoszą się do moich zamierzeń z wielką życzliwością. Gdyby postawiono mi jakieś zarzuty, na pewno bronić mnie będą do upadłego. To ludzie dużej miary i bardzo mi lojalni, a ja bardzo sobie ich cenię. I dlatego moja odpowiedź, sir Williamie, jest odmowna. Ty, być może, potrzebujesz mnie, ale ja ciebie na pewno nie.

- Czyli nasza rozmowa dobiegła końca, pani Perrers.

Rzucił kawałki wosku na mój podolek i odszedł bez słowa pożegnania, zostawiając mnie w towarzystwie skrybów pochłoniętych pisaniami. Było oczywiste, że jest moją odmową zaskoczony i bardzo niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

Przez cały następny tydzień trzymał się ode mnie z daleka, ja natomiast zastanawiałam się nad jego propozycją. Miałam na to czas, bo król był bardzo apatyczny, a umysł jego wyjątkowo ociężały. Rankiem Edward zawsze czuł wielką potrzebę wyznania swoich grzechów. Spowiadał się, potem wiele długich godzin spędzał na klęczkach w kaplicy. Czasami wchodził na mury i stał tam przez kolejne godziny, zawsze patrząc w jedną stronę. Tam, gdzie Francja.

Miałam więc o wiele więcej czasu dla siebie, czasu na przemyślenia. Przede wszystkim na zastanowienie się nad propozycją Windsora, którą tak niefrasobliwie odrzuciłam. Bo może zrobiłam źle. Przecież mężczyźni zawsze łatwiej pertraktować i zawierać umowy. Owszem, miałam Greseleya, ale na pewno dobrze by było mieć współnika o podobnym statusie, który też, podobnie jak ja, jest zafascynowany tymi pertraktacjami i umowami. Mężczyznę. Ze mną, owszem, liczone się, trudno jednak, żeby było inaczej, skoro stałam tak blisko króla. Ale kobietę zawsze łatwiej ugodzić, oszukać. Poza tym nie każdemu były w smak moje metody. Sprawę kradzieży mego futra z królików wygrałam, ale w Finningley poniosłam porażkę. Nieduża posiadłość w Nottinghamshire, kosztowała niemało, ale kupiłam ją, a kogoś zakłuło to w oczy. Bardzo starał się, bym jej się pozbyła. I w końcu tak się stało, bo ileż to człowiek jest w stanie wytrzymać? Te ciągłe napaści i szykany. A to ukradziono bydło, a to zniszczono plony. Całą moją służbę, wszystkich ludzi z wioski pojmano i wypuszczono dopiero wtedy, kiedy każdy z nich przysiągł, że uważa się za zwolnionego ze złożonej mi przysięgi o wiernej służbie. Oczywiście zrobili to, okazując posłuszeństwo mściwym łotrom o plugawych językach i twardych pięściach. A gdyby moim współnikiem był Windsor... Czy istotnie zyskałabym na tym? Bez wątplenia w pertraktacjach jest bardzo zręczny, ale ja wciąż nie byłam pewna, czy chcę współpracować właśnie z Williamem de Windsorem. „Nie ufasz mi?” Tak spytał, a ja odparłam: „Nie!” A może jednak ufam, skoro jestem pewna, że współpraca z nim właśnie zaowocuje obficie. Oczywiście! Bo gdybym miała Windsora u boku, sprawy w Finningley wyglądałyby inaczej. Wystarczyło kilku zbrojnych, a miejscowi uszanowaliby złożoną mi przysięgę, i posiadłość nadal należałaby do mnie. Jednak z drugiej strony... Kto wie, czy nie będzie mnie zmuszał do jakichś przedsięwzięć, w których będę musiała nadstawić głowę, a jeśli się nie zgodzę, znajdzie sobie innego współnika.

Znajdzie na pewno, jeśli będę zastanawiać się w nieskończoność, i być może coś naprawdę dobrego umknie mi sprzed nosa!

Może więc się zgodzić? Powążyć się na wspólne działanie, na komitwę z Williamem de Windsorem? Tak, ale... Uśmiechnęłam się. Zrobię to, ale przedtem go zaskoczę. Bo zrobię to w sposób... no właśnie, za-

skakujący. Ciekawe, jaką będzie miał minę. Na pewno, ku mej wielkiej ucieście, bardzo niewyraźną.

Napisałam dwa listy, jeden do pana Greseleya, a drugi do Windsora. Obaj odpowiedzieli natychmiast. A ja, dokonawszy kilku ostrożnych ustaleń, przygotowywałam się już na wielką uciechę z powodu widowiska, które dane mi było sprokurować.

Porę wybrałam odpowiednią. Późne popołudnie, w sali audiencyjnej panował półmrok, ale pochodnie nie były jeszcze zapalone. Odziana w ciemne szaty i osłonięta welonem zasiadłam na tronie Edwarda. Greseley stanął tuż obok, a ja skinęłam na służącego, by poprosił czekającego w przedpokoju Windsora.

Słyszałam, jak służący mówił:

- Wejdźcie, milordzie, na posłuchanie.

I odtworzyłam sobie w pamięci to, co napisałam w owym liście: *Jego Królewska Mość podjął decyzję w sprawie namiestnictwa w Irlandii. O decyzji tej zostaniesz, panie, powiadomiony w sali audiencyjnej o godzinie czwartej po południu.*

Wszedł, zatrzymał się i pokłonił, czyli wszystko zrobił tak, jak nakazuje etykieta dworska.

- Podejdz, milordzie, bliżej - powiedział służący i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Byliśmy sami. Troje ludzi, ja, Greseley i Windsor, który zbliżał się do nas. Ubrany bardzo odpowiednio i bardzo schludnie w ciemne nogawkę i obcisły cotechardie z czarnego i zielonego adamaszku. Biodra ozdobione pasem wysadzonym drogimi kamieniami, czyli według najnowszych kanonów obowiązujących na królewskim dworze. Tak samo jak luźny kaptur zsunięty z głowy na ramiona, a także obszyta złotem szarfa. Trzewików z wydłużonymi noskami jednak poniechał. Miał trzewiki zwyczajne, z dobrej, mocnej skóry. Może dlatego, że chciał zrobić wrażenie człowieka solidnego, nie kłuć w oczy frywolnymi szczegółami stroju. Czyli po raz kolejny miałam okazję się przekonać, że Windsor znakomicie potrafi dostosować się do każdej roli, którą przyjdzie mu odegrać.

Kiedy zorientował się, że na tronie nie zasiada Jego Królewska Mość?



Gdzieś tak w połowie drogi, bo właśnie wtedy zauważyłam ten znamieny błysk w oku. Ale nie zwolnił kroku, tylko szedł dalej przed siebie. Zatrzymał się tuż przed podwyższeniem, na którym stał tron, i pokłonił się jak przed królem, czyli nisko i zamiatając podłogę piórami zdobiacymi kapelusz. Potem wyprostował się na całą swą wysokość i spojrzał na mnie. Spowity w półmroku był pełen powagi, ale już kiwałam na Greseleya, by zapalił pochodnię na ścianie za tronem.

I tak oto w złocistym kręgu światła z pochodni rozegrała się ta wspaniała scena, krótka, ale jakże dramatyczna.

- Sir William! Jakżem rada, że raczyłeś przybyć, panie.

- Nie mogło być inaczej, pani, skoro wezwano mnie przed królewskie oblicze.

- A ty przybyłeś tu jak najprędzej.

- Nie śmiałbym się ociągać. Ale ośmielam się zapytać. Czyżby... królowa Alice?

O nie! Tylko się nie roześmiać! Tylko nie to!

- Nie mogę tego zdradzić, milordzie .

- Ale jestem pewien, że tak właśnie jest. Wcieliłaś się, pani, w postać królowej.

- Nie! Przecież nie mam korony.

- Istotnie! Wybacz... Ale to, na czym siedzisz, to tron.

- A gdzie miałam usiąść, milordzie? Na podłodze?

- Wielu by tak zrobiło.

- Ja nie. Ale nie uzurpuję sobie żadnych praw do korony, do władzy monarszej.

- Bardzo chwalebne, pani.

Ta cała nasza maskarada była wprost zachwycająca! Gładkie słowa same pchały się do ust, a sir William znakomicie wszedł w swoją rolę. Tak, bo mimo częstych docinków i sporów rozumiemy się bardzo dobrze.

Teraz też tak było, kiedy zamilkłam, domyślił się, że pora zadać właśnie to pytanie:

- Masz, pani, jakąś wieść dla mnie?

- Mam.

- Jaką?

- A taką, że moja odpowiedź brzmi „tak”.

- Tak? A w jakiej konkretnie kwestii?

- Zakupu ziemi. Będziemy działać razem. To jest pan Greseley, który zawiaduje moimi finansami i w moim imieniu dokonał wielu korzystnych transakcji.

Greseley pokłonił się, sir William dość niedbale skinął głową i znów spojrzał na mnie.

- A co sprawiło, pani, że zmieniłaś zdanie?

- A to, że wszystko porządnie sobie przemyślałam. - Gdy milczał, spoglądając na mnie bardzo przenikliwie, dodałam, jak mniemam, zręcznie: - A poza tym rzeczą kobiety jest zmieniać zdanie, czyż nie tak? - I wstałam, przez króciutką chwilę zastanawiając się, czy nie zostać tu, gdzie stoję, czyli na podwyższeniu, nadal górując nad sir Williamem. Zdecydowałam jednak inaczej. Gdy zesłam, znalazłam się więc na tym samym poziomie, co on, czyli na posadzce. - Sir Williamie, nie wiem jednak, czy wciąż obstajesz przy swojej propozycji. Jeśli nie, to nadal będę działać tak samo jak dotąd. Razem z panem Greseleyem będziemy nabywać ziemię, i to z wielkim powodzeniem...

- Moja propozycja wciąż jest aktualna, pani. Znakomicie. Teraz spojrzałam na mojego pełnomocnika.

- Cóż o tym sądzisz, panie Greseley?

- Widzę w tym wiele korzyści, pani Perrers - odparł jak to on, czyli głosem beznamietnym, właściwym człowiekowi, którego nic już nie jest w stanie zadziwić.

- A więc umowa stoi? - spytał Windsor.

- Tak - potwierdziłam i wszyscy troje uścisnęliśmy sobie prawice, a potem spytałam: - Czyli od tej chwili razem prowadzimy interesy, nieprawdaż, sir Williamie?

- Tak, pani. Zdarzyło mi się, że ktoś mnie przechytrzył, w tym i kobieta, ale tym razem mam pewność, że nasze wspólne działanie wyda owoce.

Moją dłoń nie tylko uścisnął, ale także ucałował, lecz uśmiech był znaczący, jakby jednak wcale nie zakładał, że tym razem ktoś go nie przechytrzy.

Na pewno zaskoczony był też tą moją w sumie niewinną maskaradą, ale moje zaskoczenie było o wiele większe. Sir William zadziwił mnie bowiem zręcznością, z jaką w tej maskaradzie się odnalazł. Dowód, że

jest to człowiek o wielkich zaletach, wielkiej bystrości i wprost oburzająco pewny siebie. I bez wątpienia odpłaci mi też jakąś maskaradą. Byłam pewna, że już coś mu w głowie świta, kiedy przystąpiliśmy do uczczenia naszej umowy, wznosząc toast przednim bordo za naszą współpracę i za pierwsze wspólne przedsięwzięcie. Chodziło o zakup pięknej posiadłości Northbokes w Middlesex. Greseley jak zwykle nie tryskał humorem, ale był chyba usatysfakcjonowany, a ja byłam zachwycona, że wszystko idzie tak gładko. Windsor natomiast nie był rozpromieniony. Wiadomo, co go gryzło, a kiedy tylko Greseley się oddalił, zapytał:

- Czy nie mogłabyś, pani, wpłynąć na króla, by podjął decyzję odnośnie do Irlandii?

- Nie, panie, bo Edward nie jest w stanie nawet zadecydować o tym, co będzie jadł na śniadanie. Musisz być cierpliwy.

- Niestety, to nie jest zgodne z moją naturą.

Och, wiedziałam to już doskonale. I wiedziałam coś jeszcze. Kiedy William wyjedzie, bardzo mi będzie go brakowało.

Popełniłam błąd. Chociaż może nie był to błąd, bo ze skutkiem dla mnie pomyślnym, jednak okazało się, że kryje się za tym wielkie niebezpieczeństwo. Gdzie podziała się trzeźwość mego umysłu? Gdzie mój rozsądek? Opuściły mnie może dlatego, że tak bardzo byłam zadowolona z umowy z Williamem de Windsorem. Ale to jeszcze nie wszystko, a właściwie nic w porównaniu z przeogromną radością, którą poczułam, kiedy zdarzył się cud i Edward odzyskał zdrowie. Przebywaliśmy wtedy w Woodstock, gdzie Wykeham stary dwór przebudował w okazały pałac. Zmiana otoczenia, nie po raz pierwszy zresztą, bardzo dobrze wpłynęła na Edwarda. Czuł się jak nowo narodzony i na ciele, i na duszy.

A ja, upojona tym radosnym wydarzeniem, całkiem zapomniałam o rozsądku.

Chociaż... może do głosu doszła ambicja, akurat w tej sytuacji coś naprawdę godnego pożalowania. A może zaważyły cienie przeszłości, bo w pamięci nie zatarło się wspomnienie o pewnym znamienym wydarzeniu, kiedy to służyłam Joannie z Kentu. Może i tak, i to na pewno pomniejszało moją winę.

Podczas pobytu Joanny w opactwie w Barking pewnego dnia przybył posłaniec. Przywiózł coś małego zawiniętego w skórę, i Joanna kazała mi to rozpakować. Gdy więc ostrożnie rozwinęłam tę skórę, coś rozbłysło, bo w środku były złote guziki, a w każdym z nich drogi kamień, szafir.

- Nie dotykaj! - warknęła Joanna, zgarniając mi je sprzed nosa. -Wiesz, ile mnie kosztowały? Ponad dwieście funtów. Czegoś takiego w życiu nie będziesz miała!

Teraz miałam. Miałam swoje klejnoty, które kiedyś należały do Filipy. Były o wiele cenniejsze i piękniejsze niż to, co miała Nadobna Joanna. A ja będę te klejnoty nosić, wzbudzając jej zazdrość.

Och Boże! Dlaczego, prosząc Edwarda właśnie o to, nie zastanowiłam się nad konsekwencjami? Przez całe moje życie byłam niezwykle ostrożna, a teraz z własnej woli wskoczyłam w bagno, które, jak wiadomo, wcześniej czy później człowieka wciągnie. I utonę z powodu klejnotów Filipy. Część z nich odziedziczyła, niektóre jej podarowano, niektóre przywiozła ze sobą, przybywając do Anglii. A wszystkie przepiękne.

- Są twoje - powiedział Edward, kładąc je na łożu, wielkim i bardzo wygodnym, zrobionym specjalnie dla chorej Filipy. Teraz spałam w nim ja.

Do klejnotów dołączony był list napisany własnoręcznie przez króla: *...naszej drogiej Alice Perrers, ostatniej damie dworu naszej umiłowanej zmarłej małżonki Filipy, dajemy wszystkie klejnoty i wszelkie dobra, jakie królowa Filipa pozostawiła w rękach Eufemii, żony sir Waltera de Haselwortha. Dajemy z prawem przekazania ich swoim spadkobiercom lub egzekutorom. Wspomniana Eufemia ma je przekazać wspomnianej Alice...*

Klejnoty Filipy. Któraż kobieta by ich nie pragnęła? Z wrażenia wstrzymując oddech, brałam do ręki każdy z tych skarbów. Sznur rubinów. Naszyjnik z szafirami. Wielki pierścień ze szmaragdem. Każdy z nich opadał z powrotem na dno szkatułki z żelaznymi okuciami, tam, gdzie skrzyły się rubiny oprawne w złoto w klejnocie zwanym Trzej Bracia.

To wszystko dał mi Edward. Któż go do tego skłonił? Ja sama! Przyznaję się do tego grzechu. Po śmierci Filipy te klejnoty nigdy już nie

ujrzały światła dziennego. Przechowywała je u siebie jedna ze starszych dam dworu Filipy. Poprosiłam Edwarda, by mi je podarował, a on, jak zwykle wspaniałomyślny, spełnił moją prośbę.

I w taki oto sposób własnymi rękami wykopałam sobie grób. Sprawiała to moja bezmyślność. A może chciwość? Nie, raczej nie. Po prostu te klejnoty ktoś powinien nosić. A więc kto, jeśli nie faworyta króla?

Kiedy cały dwór spotkał się podczas wieczerzy, szyję miałam ozdobioną naszyjnikiem z szafirów. Naturalnie wszyscy od razu rozpoznali ten klejnot i od razu zaczęły się poszeptywania, przemykające nad pulpecikami w galarecie i ulubionym daniem Edwarda, czyli łososiem polewanym gęstą śmietaną. Wszyscy oczywiście potępiali moją zuchwałość. Widziałam przecież te pełne niedowierzania i zdumione spojrzenia, które prześlizgiwały się po klejnocie na mej szyi. A następnego dnia rano jeszcze więcej szeptów, kiedy przypięłam do płaszcza broszę z rubinami. Szeptano, że to haniebna chciwość, bo nie mam żadnego prawa do tych klejnotów. Król mi je dał, bo jest zaślepiony. Tak, bo ja na pewno rzuciłam na niego urok. Klejnoty zmarłej żony podarował tej nierządnicy! Jeśli mają już kogoś ozdabiać, to tylko Izabelę albo księżną Joannę, ale na pewno nie Alice Perrers. Czy król już całkowicie stracił rozum?

Mogłam się zmierzyć z tymi zarzutami i próbować odparować ciosy, ale wiedziałam, że nic nie zdoła ich przekonać. Więc milczałam wciąż przekonana, że tak piękne klejnoty nie powinny spoczywać w żelaznej szkatułce w zapuszczonej piwnicy lady Eufemii. Dobrze, że ktoś je nosi i czerpie z tego wielką przyjemność. O tak! Byłam zachwycona, kiedy czułam na sobie ich ciężar i ciepło. Zachwycona skrzeniem się szlachetnych kamieni, połyskiem złota. Zachwycona, kiedy ozdobiona tym bogactwem paradowałam przed tymi żmijami, a żmije o najostrzejszych językach patrzyły na mnie z największą zazdrością. Kroczyłam dumnie. Bo czyż nie było to tak, jakbym miała na sobie królewskie insygnia?

A poza tym gdyby Filipa chciała, żeby zdobyły Izabelę lub Joannę, wspomniałaby o tym w swej ostatniej woli, ale nie zrobiła tego. Czy chciała podarować je mnie? Na pewno nie, ale nie sądzę, że gdyby zobaczyła mnie w tym naszyjniku czy z broszą, miałaby jakieś obiekcje. Filipa? Ona by nawet potrafiła obrócić to w żart.

Czy myślałam o tym, co przyniesie najbliższa przyszłość? Naturalnie, że tak, tym bardziej że Edward znów zaczął podupadać na zdrowiu, więc z jeszcze większą energią starałam się zrobić coś dla tej przyszłości. Greseley drogie kamienie lekceważył. Dla niego liczyła się tylko ziemia, która nigdy nie straci na wartości. Dla mnie równie cenne były i ziemia, i klejnoty. A poza tym żadna kobieta się nie oprze naszyjnikowi z szafirów i pereł, o tym, że muszę zadbać o siebie, o swoją przyszłość, już nawet nie wspominając. Edward doskonale to rozumiał, choć nie rozmawialiśmy o tym. Kiedyś tylko mruknął:

- Przynajmniej dadzą ci coś na grzbiet i kawałek chleba, kiedy opuszczę ten padół i nie będę już musiał karmić tych darmożjadów...

Och! Mogłam tłumaczyć się, usprawiedliwiać, ale nie robiłam tego. Dla mnie najważniejsze było, że Edward bardzo lubił, gdy wkładałam te klejnoty. Lubił wtedy na mnie patrzeć, i to się liczyło, a nie złośliwe uwagi głupich dworaków.

- Wyglądasz w nich pięknie. Tak jak Filipa...

Edward tego dnia mówił z wielkim trudem. Był tak słaby, że uśmiechu prawie nie dało się zauważyć. Ale tyle w nim było ciepła.

- Nie jestem Filipą, milordzie - odparłam też łagodnie, też z czułym uśmiechem. A powiedziałam to, bo bywały dni, kiedy miałam nieodparte wrażenie, że Edward myli mnie ze swą zmarłą żoną.

- Przecież wiem... Jesteś Alice, moja ukochana Alice...

Kiedy włożyłam na palec ukochany pierścień Filipy, ten ze szmaragdem, a także pasek obszyty złotem i wysadzany kamieniami, w Woodstock natychmiast pojawiła się księżna Joanna. Była zła jak osa, czyli ktoś zadbał, by pogłoski dotarły również do niej.

- To klejnoty Filipy! - wykrzyczała, zanim jeszcze zamknęły się za nią drzwi. - Nie masz prawa nawet ich dotknąć, a co dopiero nosić!

Tego dnia miałam na sobie rubiny. Nie mogła ich nie zauważyć, tych rubinów wielkich jak małże, które ozdabiały kaptur. Dlatego to wykrzyczała. Na szczęście w paradnej komnacie oprócz nas nie było nikogo. A ona nie dość, że krzyknęła, to jeszcze złapała mnie za rękę i wykręciła ją, a wtedy na palcu błysnął szafir.

- Ukradłaś... - wysyczała, a ja tylko uniosłam brwi, bo nie miałam najmniejszego zamiaru nic mówić. - Ukradłaś? - powtórzyła.

Wielka księżna, niby taka piękna i mądra, a tak naprawdę tłusta i nierozgarnięta. Oskarża mnie przecież o coś, co jest niemożliwe! Dlatego nadal milczałam, a ona nadal syczała:

- Wiem, że to zrobiłaś. Ukradłaś! Nie wierzę, żebyś zdobyła je w inny sposób. A to klejnoty Filipy, nie twoje! Nie masz prawa ich nosić!

- Niestety, teraz należą do mnie - powiedziałam twardym głosem, spoglądając jej prosto w oczy wprost przeszywająco, dzięki czemu zamilkła.

Ale tylko na króciutką chwilę, bo spytała:

- Dał ci je?

- Oczywiście. Podarował mi te klejnoty.

- Jak go do tego zmusiłaś? Och nie! Lepiej nie mów, bo już mi się robi słabo!

Na to ja:

- Uważasz, że nie jestem ich warta?

- Na Boga! Oczywiście, że nie jesteś!

- Na Boga! Oczywiście, że jestem!

Wtedy wreszcie łaskawie puściła moją rękę i odsunęła się ode mnie, a właściwie odskoczyła ze wstrętem. Wargi ściągnięte, ładne równe zęby odsłonięte, jakby pokazywała kły. Ona w tył, a ja do niej, bo skoro nie było tu nikogo ze służby, to mogłam sobie pofolgować. A poza tym miałam już serdecznie dość tego jej gadania.

- Jeśli już wspomniałaś, pani, o wartości, to pomyśl łaskawie o tym, ileż to nocy przesiedziałam przy królu, kiedy cierpiał na bezsenność - powiedziałam spokojnym głosem. - Ileż nocy czytałam mu, rozmawiałam z nim, by zapomniał o dręczącym go koszmarze. Ileż to dni spędziłam przy nim od świtu do nocy, starając się ulżyć jego melancholii, w której pogrąża się coraz bardziej! - Chciałam, żeby zanim zacznie obrzucać mnie nowymi kalumniami, zastanowiła się nad tym, co ja tutaj tak naprawdę robię. - Dobrze wiesz, pani, jak to jest, kiedy choroba zmoże silnego mężczyznę. Nie może się pogodzić ze swoją słabością. Męczy się bardzo i naprawdę niełatwo jest być przy nim, starać się jakoś mu ulżyć, odpędzić te strachy, te koszmary. Wiesz o tym bardzo dobrze, bo sama też tego doświadczasz.

Zawahała się, i owszem, ale przekonać się nie dała.

- Książę jest moim mężem! Mam prawo być przy nim, więcej, to mój obowiązek. A ty żadnych praw nie masz!

Znów krzyk, znów złość. I wtedy straciłam resztki cierpliwości:

- A król jest moim lubym! Dlatego podarował mi klejnoty Filipy, za co jestem mu bardzo wdzięczna. I będę je nosić, kiedy przyjdzie mi na to ochota.

- Tak?! Obwieszasz się nimi jak dziewczka sprzedajna. Dajesz siebie, a potem każesz płacić sobie złotem!

Wcale tak nie uważałam. Te klejnoty nie były zapłatą za dawanie uciechy, ale dowodem miłości. Niestety, nie było chyba człowieka na tej ziemi, który by tak na to spojrział. Ludzie wiedzieli swoje i musiałam z tym żyć, choć czasami bardzo trudno było z tym się pogodzić. Napaść Joanny odczułam wyjątkowo boleśnie, dlatego powiedziałam coś, czego potem nie mogłam sobie wybaczyć:

- Nie muszę o nic prosić, milady, skoro moje umiejętności w łożu są zdaniem Jego Królewskiej Mości warte złota i drogich kamieni!

- Dziewka! Rozpustnica!

Wybiegła z komnaty jak furia, a mnie przyszło zapłacić bardzo wysoką cenę za nieostrożne słowa. Cenę niewyobrażalnie wysoką. A wszystko dlatego, że ze względu na Edwarda starałam się jakoś to załagodzić. Przecież nie byłam człowiekiem złym do szpiku kości! Miałam jak najlepsze intencje, niestety wszystko obróciło się przeciwko mnie.

Edward postanowił odwiedzić księcia Walii w Kennington. Ja też tam pojechałam, by załagodzić sytuację, ponieważ uznałam, że scho-rowanemu królowi nie należy przysparzać dodatkowych kłopotów, takich jak wojna między jego faworytą a synową. Po naszym przybyciu król i książę od razu rozpoczęli poważną rozmowę o rozejmie z Francją, ja natomiast ruszyłam za służącym, który, jak sądziłam, prowadził mnie do komnaty, w której Joanna przesiadywała za dnia.

I istotnie była tam zajęta haftowaniem. U jej nóg siedział synek, przewracając kartki książki. Ryszard. Uroczy, jasnowłosy puciołowaty chłopczyk, który na mój widok natychmiast zerwał się z podłogi i złożył wdzięczny ukłon.

Ja też.

- Milady... Milordzie...



Joanna nie ruszyła się z krzesła, a jej spojrzenie było tak samo obojętne jak głos.

- Pani Perrers.

- Jego Królewska Mość przybył tutaj, ponieważ chciał porozmawiać z księciem Walii... - I dalej, bo coś przecież trzeba było powiedzieć: - A jak miewa się książę Walii?

Jakbym przed chwilą nie widziała na własne oczy. Wychudł straszliwie. Oczy nienaturalnie błyszczące od gorączki, twarz ziemista, włosy matowe, a naczynie nocne ustawione koło łóżka. Wszystko to mówiło samo za siebie. Jest źle, bardzo źle.

Ale spytałam, bo przecież należało spytać, a poza tym była to jedyna droga, by przebić się przez pancierz nienawiści. I istotnie, bo oczy Joanny zalśniły od łez. Nie potrafiła ukryć swej rozpacz. Pewnie zapomniała, z kim rozmawia, bo pozwoliła sobie na okrzyk:

- Och Boże! Już sama nie wiem, co mam robić!

- Mogę mu pomóc.

- Ty? - Joanna, nagle znowu przytomna, z furią otarła oczy. - A cóż ty możesz zrobić?!

I wtedy powinnam się wycofać, ale nie zrobiłam tego, bo niby skąd mogłam wiedzieć, dokąd doprowadzą mnie moje dobre chęci. A zostałam, bo doskonale zdawałam sobie sprawę z rozpacz i bezradności Joanny. Przecież to samo czułam, kiedy Edward patrzył na mnie jak na powietrze.

Miałam ze sobą niewielką skrzynkę, śliczną, z sandałowego drewna, w rogach wyłożoną kością słoniową, z żelaznymi zawiasami, zamczkiem i kluczykiem o wymyślnym kształcie. Już sama ta skrzyneczka była czymś cennym, najbardziej jednak cenne było to, co w środku. Cenne dla księcia, który raczej nie przyjąłby ode mnie żadnego podarunku. Ale to powinien przyjąć dla własnego dobra.

Ostrożnie postawiłam skrzynkę na stojącej nieopodal wielkiej skrzyni.

- Co to jest? - spytała Joanna.

- Podarek.

- Podarek?! Mam mnóstwo skrzyń różnej wielkości i na pewno cenniejszych niż ta!

Na skrzyneczkę tylko zerknęła i dalej haftowała, choć szło jej to niezbyt zręcznie. Innymi słowy, zachowała się okropnie. Przecież nie wspomniałam, że to podarek ode mnie, w związku z czym mógł być to tylko podarek od Jego Królewskiej Mości, a jednak okazała tak wielkie lekceważenie.

Ale trudno.

- Nie chodzi o skrzynkę - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to bardzo łagodnie. Zakonnice byłyby zachwycone, że wykazuję się taką pokorą! - Lecz o jej zawartość. Są tu gotowe napoje i zioła, które niewątpliwie przyniosą księciu ulgę.

Ręka Joanny natychmiast znieruchomiała.

- A cóż to za napoje i zioła?

- Takie, które przynosiły ulgę królowi po śmierci królowej, a przedtem uśmierzały ból królowej.

Joanna odrzuciła na bok materiał, zdradzając, że ma wielką ochotę unieść wieko skrzynki. Przecież takiemu podarkowi trudno się oprzeć. I nie oparła się. Uniosła wieko, odsłaniając małe paczuszki z ziołami i szklane fiolki z napojami o bardzo intensywnych barwach.

- To napoje ze zwyczajnych roślin - wyjaśniłam. - Przedestylowane. Nauczyłam się tego od zakonnice. Liście rzezuchy łąkowej przywracają apetyt i dobre są na trawienie. Nalewka z pierwiosnka bardzo uspokaja. A wywar z kory białej wierzby uśmierza nawet najgorszy ból. Tutaj - wskazałam na kawałek pergaminu wetknięty pod wieko - napisałam dokładnie, ile czego należy podawać. Najlepiej mieszać z białym winem. Jestem pewna, że te zioła pomogą księciu na jego dolegliwości.

Joanna nie odzywała się, tylko zagryzając dolną wargę, wpatrywała się w schludne paczuszki i fiolki. I nie ruszała się z miejsca. Więc starałam się ją zachęcić:

- Naprawdę są skuteczne, pani. Są tu także roztarte owoce dzikiej róży, które wstrzymują krwawienie i inne wydzieliny z ciała.

Wszyscy słyszeli, jak okropnie męczy się książę. Mówiono o nieustających krwawieniach, o tym, że z przyrodzenia ciągle wypływa nasienie i nie można tego powstrzymać.

Wreszcie Joanna poruszyła się. Ale nie wstała, tylko nagle poderwała rękę, jakby dotknęła wyjątkowo parzącej pokrzywy, i jednym gwałtownym ruchem zmiotła skrzynkę z owej dużej skrzyni. Skrzynka

upadła, wyrzucając z siebie całą zawartość, która zmieniła się w barwną kałużę usianą kawałkami szkła ze stłuczonych fiolek. Mały Ryszard krzyknął wystraszony, a zaraz potem, powodowany dziecięcą ciekawością, przykucnął i zaczął grzebać palcem w niebezpiecznej mieszance.

- Nie dotykaj! - wrzasnęła matka, łapiąc go za tunikę i odciągając na bok. - To sprawka diabła!

- Ależ nie - zaprotestowałam. - Na pewno nie.

- Na pewno tak! To napoje szatana! Tak! A ty mu służysz!

Zamarłam, bo to straszliwe oskarżenie zmroziło mnie. Stałam nieruchoma po jednej stronie tej żalostnej kałuży, a po drugiej stronie kałuży Joanna, nadal wyprostowana w rzeźbionym krześle. Joanna, która nie odrywając ode mnie oczu, skinęła na służącą.

- Posprzątaj to. Wrzuć wszystko do ognia. Skrzynkę też. I żeby mi tu na podłodze nie został nawet najmniejszy ślad! - A kiedy służka zaczęła zerkać, co to tam leży na podłodze, syknęła: - Ruszaj się! Ale żwawo!

Służka zakrzętnęła się, a księżna wstała i chwyciwszy mnie mocno za nadgarstek, nachyliła się do mego ucha i wysyczała:

- Nie jestem taka głupia, jak myślisz!

Zadrżałam wstrząśnięta straszliwym oskarżeniem i reakcją Joanny na podarek, który mógł zrobić tak wiele dobrego... i tylko dobrego.

- Moje intencje są czyste, pani. Chciałam jedynie, żebyś przyjęła coś, co ulży twemu mężowi w cierpieniu - powiedziałam, wpatrując się w wykrzywioną ze złości twarz. A może i ze strachu?

- Ulżyć jakimś nalewkami z chwastów! - wyrzuciła z siebie gwałtownie, a potem znów usłyszałam jadowity szept: - Ludzie nie na darmo gadają, pani Perrers, żeś czarownica i tylko dzięki siłom nieczystym osiągasz swój cel! Wcale nie chcesz pomóc, tylko chcesz zaszkodzić! *Maleficium!* Tylko to masz w głowie! - Aż się zaplula, wyrzucając z siebie tyle złych słów. A wśród nich to jedno najbardziej znamienne. *Maleficium*, czyli ktoś, kto czyni zło. Czyli:

- Czarownica? - powtórzyłam, *zniżając* głos, bo tym straszonym wyrazem człowiek nie szastał, nie wykrzykiwał na prawo i na lewo. Wielki Boże! Wiedziałam przecież, że wygadują o mnie niestworzone rzeczy, niejedno zresztą sama słyszałam, ale o czarach nigdy! A jednak gadają

i o tym, i stąd ten lęk, tam, ale tylko w środku, bo udało mi się prychnąć pogardliwie, a nawet zaśmiać.

- A co mówią? Że zjadam dzieci? Że mam swojego familiariusza, na przykład czarnego kota, który ssie moją krew?!

- Mówią, że masz konszachty z diabłem i dlatego tyle wiesz i tyle umiesz, jak żadna bogobojna kobieta. - Zauważyłam, jak Joanna palcami kreśli na lewej dłoni znak chroniący przed urokiem. - Bo i czymże, na Boga, wytłumaczyć, że król tak bardzo jest za tobą? Za kobietą nisko urodzoną i tak brzydką, jaką może być tylko Alice Perrers? - Moje imię wykrzyczała, a potem szybko zamknęła usta, jakby bała się, że wypowiedziała je na głos, albo też brzydziła się.

A to, co powiedziała teraz, było jak pchnięcie między żebra najostrzejszym nożem. Byłam jednak zdecydowana, że nie dam poznać po sobie, jak bardzo mnie zraniła. Ze swym lękiem też się nie zdradzę, z tym strachem, co bezlitośnie ściska za gardło. Nigdy!

- Owszem, może i trudno to wytłumaczyć, ale Jego Królewska Mość darzy mnie miłością na pewno nie za sprawą jakichś czarów. Tak samo mój podarek z czarami nie ma nic wspólnego... - Bezwiednie przesunęłam stopą po płatkach kwiatka Świętej Trójcy, które zostały się jeszcze na posadzce. - Ale gdyby mój mąż cierpiał tak jak twój, pani, nie wahałabym się użyć nawet sił nieczystych, by mu ulżyć. Poruszyłabym niebo i ziemię, poszłabym do samego piekła, by zdobyć coś, co pomogłoby uśmierzyć ból, zesłałoby spokojny sen...

- Wynoś się!

- Milady... - Pokłoniłam się.

- Wynoś się! Natychmiast! Bo jak nie, to oskarżę cię, żeś przyniosła mi nalewki czarownicy!

Krzyczała, jednak ja nie. Ze względu na Edwarda nie mogłam poddawać się wzburzeniu.

- Cóż im pokażesz, pani? Kawalki szkła?

- Zejdź mi wreszcie z oczu!

Oczywiście wyszłam, bo pełnej nienawiści Joanny i tak nie zdołałabym przekonać, a o tej burzliwej rozmowie nie pisałam Edwardowi ani słowa. Nie powinien o niej wiedzieć.

*Maleficium... Czynienie zła... Czary... Wiedźma...*

Straszliwe oskarżenia nadal dźwięczały w moich uszach jak natrętne brzęczenie pszczoły gdzieś wśród kwiatków naparstnicy. Joanna nie miała żadnych dowodów, których mogłaby użyć przeciwko mnie. Naturalnie, że nie. Niczego, co mogłoby być stworzone przy użyciu sił nieczystych. Ale takich oskarżeń nie wolno lekceważyć.

Bo dowody można bez trudu zdobyć, wystarczy komuś kazać, by je sprokurował. Czyż nie tak?

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jeśli Windsor po usłyszeniu tego, co usłyszał, stracił zimną krew - co zdarzało mu się niezwykle rzadko - to ukrył swój stan ducha po mistrzowsku i jak gdyby nigdy nic pokłonił mi się, zmiatając piórami pyłki sprzed mych stóp, wyrażając przy tym swoją opinię.

Razem z królem opuściliśmy Woodstock. Edward zapragnął przejażdżki do Sheen, ale okazało się, że zjechali tam ważni posłowie z Francji, by pertraktować o wprowadzeniu stałego rozejmu. Musiałam interweniować, dlatego w sali audiencyjnej pojawił się nie król, ale ja wraz z Latimerem, który zgodnie z moim poleceniem przekazał posłom, że mają opuścić Sheen. Posłowie - kilku Francuzów niewątpliwie ze znamienitych rodów - nie kryli złości, wszak potraktowano ich jak osoby bez znaczenia.

Kiedy zaczęli opuszczać salę, usłyszałam właśnie to, gdzieś z tyłu, na wysokości mego łokcia:

- To może okazać się niebezpieczne, pani Perrers.

Oczywiście był to Windsor w owym błazeńsko przesadnym pokłonie i z dobrą radą na ustach.

- A dlaczego? - spytałam, spoglądając na niego ze złością.

- Bo na pewno to się ludziom nie spodoba.

- Co się nie spodoba?

- Dyktowanie, kto zostanie dopuszczony przed oblicze króla.

- Sądzisz, panie, że o tym nie wiem?

Jakże mogłam o tym nie wiedzieć! Nie po raz pierwszy Latimer i ja musieliśmy interweniować, nie dopuszczając kogoś przed oblicze króla. I Windsor wcale nie musiał mnie pouczać, że z tego powodu ktoś może być zły.

Równie mocno, jak ja byłam zła, kiedy spoglądałam na Windsora. Jego obecność w tym miejscu była dla mnie odrażająca, jego słowa też, akurat w tym momencie to wszystko, co łączyło się z Williamem de Windsorem, było dla mnie nie do przyjęcia.

- Igrasz z ogniem, pani.

- To też wiem.

- Dajesz oręż do ręki tym, którzy chcą się ciebie pozbyć.

- Tak? To może powiesz mi o tym, o czym zapewne nie wiem?

- A dlaczego miałbym to zrobić?

Było mi wszystko jedno, co o mnie myśli. Chce myśleć źle, to Bóg z nim. A patrzył na mnie wprost podejrzliwie, co tylko pogłębiało mój kiepski nastrój, a akurat teraz było to szczególnie niepożądane. I jeśli Windsor koniecznie chce mnie potępić bez wysłuchania moich racji, to niech potępia, bo już naprawdę nie chciało mi się z nim gadać.

- Z tobą, panie, nie mam najmniejszego zamiaru o tym rozmawiać, bo nie muszę ci się tłumaczyć z moich postępów! - Tak, wykrzyczałam mu to prosto w twarz.

A zaraz potem zapragnęłam najgoręcej, by mnie objął, pozwolił wtulić się w szeroką pierś. Boże wielki! Oddałabym wszystko za odrobinę otuchy, za przekazanie mi cudownej wieści, że wcale nie jestem sama, tak przeraźliwie samotna, tak okrutnie zdana tylko na siebie! Wręcz boleśnie pragnęłam, by pogłaskał mnie po rękę, jakbym była kotką o miękkim futerku, żeby splótł swe palce z moimi i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Choć dobrze nie będzie. Och, wiedziałam to doskonale, dlatego szybko zrobiłam krok w tył, odsuwając się od Windsora. Byłam zła na siebie z powodu tej chwili słabości, i postanowiłam twardo, że kto jak kto, ale Windsor nie może się domyślić, jak wielki chaos panuje w mojej głowie. I nie miałam najmniejszego zamiaru za coś przeproszać, tłumaczyć się z czegokolwiek, cokolwiek wyjaśniać. A ponieważ wciąż czułam na sobie ten jego nadzwyczaj przenikliwy wzrok, posta-

nowiłam ustąpić pola i podążyłam w ślad za Latimerem oraz rozjuszonymi posłami z Francji.

Musiałam się oddalić, bo czułam, że dłużej już nie dam rady panować nad sobą. Naprawdę nie dam rady, bo pod powiekami zaczynało piec niepokojąco. Jeszcze chwila, a rozpłaczę się rozpaczliwie i bezradnie...

Niestety Windsor nie dał mi umknąć, a dokonał tego najprostszym sposobem, to znaczy pojawił się tuż przede mną. I wyrzucił z siebie krótki rozkaz:

- Chodź ze mną.

Tak, rozkaz, bo na pewno nie była to propozycja. Niestety! Bowiem bezceremonialnie chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą, wyprowadzając z opustoszałej sali audiencyjnej.

- Puść mnie! Chcesz, panie, żeby cały pałac zatrzęsł się od plotek? Puścił, a ja posłusznie dalej szłam obok niego, widziałam przecież, jak bardzo jest zdesperowany. Tak bardzo, że gdybym znów próbowała umknąć, to znów by mnie złapał za tę rękę.

- Dokąd mnie prowadzisz, panie?

Odpowiedzi nie uzyskałam, nie pozostawało mi więc nic innego, jak dalej iść, przetrawiając w duchu to, co przed chwilą się stało w sali audiencyjnej. Przed oczami miałam nadal pełne niedowierzania spojrzenia Francuzów, kiedy Latimer zaproponował, że to on może zacząć z nimi pertraktować. A w uszach nadal dźwięczały ostre słowa WindSORA na temat mego postępowania.

Kiedy znaleźliśmy się w korytarzu prowadzącym do głównych drzwi, zatrzymałam się i oznajmiłam stanowczo:

- Nie, dalej nie idę.

- Dlaczego kobieta zawsze stwarza trudności, kiedy mężczyzna ma jak najlepsze intencje? - spytał, odwracając się ku mnie.

Byliśmy w wąskim korytarzu, stał więc bardzo blisko mnie, przytłaczając swoją wysoką i mocną sylwetką.

- Och! Ty, panie, masz najlepsze intencje tylko względem własnej osoby - wypaliłam. - Nigdy jeszcze nie znałam takiego egoisty!

- Na Boga! Kobieto!

Krzyknął i o zgrozo przycisnął mnie do ściany, nie bacząc na to, że w każdej chwili ktoś mógł się tu pojawić. Na szczęście tak się nie



stało. Na szczęście, bo William de Windsor mnie pocałował! I nie był to pocałunek czuły i delikatny, bo kiedy wreszcie poderwał głowę, to ja z wielkim trudem łapałam oddech. A on powiedział:

- Może teraz wreszcie będziesz cicho.

- Czyś ty oszalał? Puść mnie!

Wielki Boże! Jakżeż on mnie pocałował! Krew galopowała w żyłach, a serce tłukło się w piersi jak łasica w potrzasku. A on zaś... Och, znów zaczął mnie całować z tą samą rozkoszną żarliwością, w związku z czym na stawianie oporu nie miałam najmniejszej ochoty. A kiedy oderwał się od moich ust, po prostu stałam nieruchoma jak ogłuszona.

Natomiast Windsor bardzo był zadowolony, co wyraził bez żadnych ogródek:

- Znakomicie! Może wreszcie raz w życiu będziesz uległym dziewczątkiem.

I tak też się stało, bo bez żadnych kwestii poszłam za nim. Poszłam, bo jakoś sama nagle tego chciałam. Iść obok niego, czuć jego bliskość, czuć, jak jego tunika ociera się o moją rękę, kiedy wchodziliśmy po kręconych schodkach na mury, na chodnik dla straży. Byliśmy już pod gołym niebem, co prawda nie tak gołym, bo wisiały na nim ciężkie chmury, szare i ponure, czyli adekwatne do mego stanu ducha.

Weszliśmy na samą górę i przystanęliśmy, popatrując w tę samą stronę, czyli na wschód. Ja, jeszcze drżąca, zastanawiałam się w duchu, czy William znowu mnie pocałuje. Czekałam przecież na to, choć jednocześnie byłam pełna pogardy dla tego nieoczekiwanego porywu namiętności. Nie miałam przecież najmniejszego zamiaru przyprawić Edwardowi rogów, a całowanie się tu, na murach, było największą lekkomyślnością. Pałacowa straż była bardzo czujna, dlatego też, choć serce cwałowało jak spłoszony koń, przemówiłam sobie do rozsądku: Żadnych pocałunków więcej. Nie ma mowy.

- Powiedz, co cię dręczy - odezwał się Windsor, przerywając ciszę, która trwała już za długo.

- Tobie, panie? Który masz o mnie jak najgorszą opinię?

- A jednak powiedz. Chodzi o króla, prawda?

- Dlaczego właśnie o niego miałoby chodzić?

- Alice, nie możesz się już dłużej oszukiwać! - ofuknął mnie ostro, stanowczo. - Król traci rozum, a ty nie możesz być z tym sama. Musisz mieć kogoś, kto cię wesprze, a mnie masz pod ręką. Więc powiedz, co się dzieje.

Owszem, nakazałam sobie, by chronić Edwarda, i to w dwojaki sposób. Po pierwsze, opiekować się nim, ale i po drugie, zachować pełną dyskrecję na temat stanu jego zdrowia. Jednak coraz bardziej pragnęłam odstąpić od tego nakazu, bo rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, kto pomoże mi dźwigać coraz większy ciężar. Wykeham był w Winchesterze, Jan z Gandawy nie wchodził w grę. Czyli tylko Windsor. Tak, ale czy rzeczywiście jest mi życzliwy? Ten wysoki, posępny mężczyzna, tak bardzo dbały o własne dobro?

Może i tak... Może jest życzliwy, bo tak właśnie na mnie patrzy, ciepło, z życzliwością...

- Masz rację, chodzi o Edwarda - wyznałam.

- Strzeżesz go, dlatego jest tutaj.

- Oczywiście. A co innego miałabym robić? Muszę go chronić, by nie stał się pośmiewiskiem w oczach poddanych - powiedziałam z gorącością.

- Rozumiem, Alice, ale to nie może pozostać w tajemnicy, bo oskarżą cię, że robisz ze starym człowiekiem, co ci się żywnie podoba.

- Czyli nie chcesz mi pomóc...

- Chcę, i to bardzo, ale patrzę na to trzeźwo.

Więc opowiedziałam mu wszystko. Na początku szło topornie, miałam wiele obiekcji, ale potem poszło już gładko. Wyjawiłam, że Edward znów wpadł w marazm i nigdy nie można przewidzieć, co powie czy co zrobi. Że za nic nie można go przekonać, by odstąpił od pomysłu wykonywanej w tym samym czasie naprawy lub przebudowy wszystkich mostów w całym Oxfordshire, a to dlatego, że Edward chce wyjeżdżać z Woodstock na polowanie z sokołem. Ja w każdym razie nie dałam rady go przekonać. A najważniejsze, że król jest absolutnie niezdolny do obmyślenia przyszłej polityki Anglii. Jak długo jeszcze my, to znaczy Latimer, ja i garstka wciąż jeszcze lojalnych wobec króla ministrów, będziemy mogli udawać, że Edward nadal może być królem? Przecież ma trudności z zapamiętaniem, jaki jest dziś dzień tygodnia! Do tego często w ogóle traci świadomość, czemu medycy nie potrafią zaradzić.

A na koniec powiedziałam:

- Dlatego najlepiej, jak potrafię, próbuję go chronić, mając nadzieję, że może już jutro czy za tydzień polepszy mu się i znowu będzie miał jasny umysł.

- Jesteś godna podziwu, Alice.

- Wcale nie. Po prostu król znaczy dla mnie bardzo wiele i nie pozwolę, żeby musiał ulec atakom tych, którzy zdobywszy te informacje, brutalnie zakwestionują jego prawo do sprawowania rządów.

- Ktoś może powiedzieć, że robisz to dla własnych korzyści. Windsor oparł się plecami o ścianę i spojrzał w bok, na mnie, bez wątpienia bardzo ciekaw, jak zareaguję na ten zarzut.

- Ależ oczywiście, że tak! Przecież nikt nie uwierzy, że powoduje mną przede wszystkim troska o króla! - wykrzyknęłam pełna goryczy i bardzo zła, że powtórzył tę coraz powszechniejszą potwarz.

- Ja uwierzę - powiedział z naciskiem. - I wiem, jak bardzo jest ci ciężko, dlatego należy ci się choć odrobina przyjemności.

- Aha, stąd te pocałunki? Mam nadzieję, że więcej nie będziesz zabawiał mnie w ten sposób.

Oczywiście, że nie, bo nagle ogarnął mnie strach, że przy tym człowieku czuję się dziwnie słaba i bezradna. A teraz znów byłam bliska łez.

- Nie. Teraz na pewno nie...

Na pewno, bo Windsor wyraźnie błędził myślami już gdzie indziej. To dobrze, bo jest bardzo niewskazane, by nadal pozwalał sobie na takie poufałości. Tym bardziej że niepotrzebnie tak skwapliwie obnażyłam przed nim swoją duszę, co uczyniło wyłom w moim pancerzu ochronnym, za co byłam zła na siebie, a zarazem zadowolona, bo moja osoba przestała go interesować.

I istotnie, bo kiedy się odezwał, poruszył już całkiem inny i na pewno bezpieczniejszy temat:

- Mam w Essex kilka posiadłości.

- Wiem.

- Zamierzam mieć ich więcej.

- To też wiem. Czy przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby o tym powiedzieć?

- Oczywiście, że nie. Chciałbym cię o coś spytać, a po tym, co przed chwilą wydarzyło się między nami, czuję, że już nawet nie tyle chcę, co muszę cię o to spytać...

Ale jeszcze nie spytał, tylko odwrócił się, oparł o kamienną półkę i spojrzał w dół na jednego z kotów, mieszkańców pałacu, w trakcie porannej przechadzki, która polegała na przemykaniu między norami królików na brzegu rzeki.

Patrzył i patrzył, a ja czekałam w milczeniu, aż wreszcie spojrzał na mnie i zaczął:

- Alice...

- Tak, Williamie? - ponagliłam go.

- Alice... Czy zostaniesz moją żoną?

Tak, o to właśnie zapytał, a ja, rzecz całkiem oczywista, w pierwszej chwili nie byłam w stanie tego pojąć. A kiedy już pojęłam, to z kolei nie byłam w stanie obmyśleć jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi. Przecież po przeżyciach tego ranka z czymś takim, jak to właśnie pytanie, nie byłam w stanie się zmierzyć, skoro nawet z oddychaniem miałam pewien kłopot.

- Williamie, czy ty przypadkiem nie drwisz ze mnie?

- O, jakaż inteligentna uwaga! A ja bardzo często składam tego rodzaju propozycje kobietom, które znajdują się na drwinach i kpinach. Po prostu tymi moimi propozycjami zasypałem całe królestwo! Alice, zostaniesz moją żoną?

Chwileczkę! Czy on kpi? Czy kpi, jeśli mówi, że kpi, bo tak naprawdę mówi to z pełną powagą? Niestety, twarz Williama de Windsora była jak wykuta w kamieniu, więc nic nie można było z niej wyczytać.

- Małżeństwo? Ale dlaczego, Williamie?

Natychmiast wyprostował się, odrywając się od kamiennej półki. A potem, co było dla mnie wstrząsem nie lada, ukląkł przede mną na jedno kolano i na moment ożyło w mej pamięci wspomnienie o Edwardzie, wówczas jeszcze w pełni sił, jak również przykląkł przede mną i uwodził poezją. Ale to było jednak całkiem coś innego. Edward robił to z potrzeby serca. A Windsor? Windsor to zagadka. Bystry, skuteczny i wzbudzający respekt, a zarazem będący swoistą parodią honoru i rycerskości.

- Kocham cię - oznajmił. - Przecież tylko z takiego powodu mężczyzna prosi kobietę o rękę.

- Jesteś kłamcą, Windsor.

- Hm... A skąd ty o tym wiesz? - Zuchwałe oczy rozbłysły.

- Rozsądek mi to podpowiedział... Na litość boską, Williamie, wstań! Jeśli zobaczy nas ktoś ze straży, cały świat zaraz się dowie, co ty tu wyprawiasz!

Wstał i wyprostował się, jego surowa twarz wyraźnie złagodniała.

- To wcale nie jest taki zły pomysł - powiedział, unosząc swoją dłoń do ust. - Żona, a jednocześnie faworyta. Niełatwo pogodzić te dwie role, ale tobie, osobie tak utalentowanej, na pewno się uda. Weźmiesz mnie za męża?

- Nie. - Odparłam tylko tyle, bo na więcej słów brakowało oddechu, brakowało fantazji.

Cóż za okropny poranek! Czyżby Windsor rzeczywiście ze mnie drwił? Jeśli tak, to była w tym całkiem spora doza okrucieństwa, a czegoś takiego nigdy bym się po nim nie spodziewała.

- Wysłuchaj mnie, Alice, ale teraz już tak całkiem serio... - Znowu oparł się o kamienną półkę i spojrzał na świat. Tym razem na dwie wrony fikające koziółki w powietrzu. A mówił szybko, prawie napastliwie, nadal trzymając mnie za rękę. I był śmiertelnie poważny. - Widzę w tym korzyść dla...

- Dla siebie, oczywiście!

- Dla ciebie, kobieto! Dla ciebie! Wysłuchaj mnie! Kiedy Edward umrze, co się stanie z tobą? Będziesz sama jak palec, kompletnie bezbronna i wystawiona na ataki, staniesz się od dawna wymarzoną, a teraz wreszcie realną ofiarą dla tych wszystkich, którzy przeklęli cię już pierwszego dnia, kiedy weszłaś do łóża króla. - Tak powiedział. A zabrzmiało to... plugawie. - Alice, przecież wiesz, jak wielu cię przeklęło, gdy tylko stanęłaś u boku króla, zagradzając im drogę do władzy. Oni nie wiedzą, jak ciężko chory jest król. Tak ciężko, że nie może sprawować rządów! Ale oni tego nie wiedzą, dlatego dla nich to ty jesteś winna temu, jak obecnie wygląda w Anglii sprawowanie władzy przez króla. I dlatego najchętniej rzuciliby cię psom na pożarcie... - Oderwał wzrok od baraszkujących wron i spojrzał na mnie. - A ty dobrze o tym wiesz, o czym jestem absolutnie przekonany. Wiedziałaś, że od

samego początku nad twoją głową zbierają się czarne chmury, czarne jak te wrony. A czarny ptak to nieszczęście...

I kto by pomyślał, że ten trzeźwy i cyniczny Windsor jest przesądny!

- Ależ ze spokojem każdego ranka patrzę i na czarne chmury, i na czarne wrony, bo... bo mam jakieś zapasy.

- Nie wątpię, że schowałaś coś tam na stare lata.

- Tak, coś tam mam. - Owszem, może i był przesądny, ale przede wszystkim trzeźwo nastawiony do życia. Ale chyba nie myśli, że szperałam w królewskich skrzyniach?!

- Jednak co będzie, Alice, jeśli wrogowie położą rękę na twoich źródłach dochodu?

- Podjęłam pewne kroki. Nie będą mogli tego zrobić.

- Rozumiem, masz przecież głowę na karku... - Niby pozytywnie, ale wcale nie zabrzmiało to jak komplement. - Tyle że jest jeszcze jeden bardzo ważny powód, dlaczego powinnaś być bardzo czujna. Mężczyźni nie lubią, kiedy kobieta przekracza granice wytyczone dla jej płci. Tam, gdzie wolno zająć mężczyznom, tam kobietom nie wolno postawić choćby kroku. Bo inaczej zostanie przeklęta. Zarzuci jej się zuchwałość, a co najmniej zadufanie w sobie. W najgorszym przypadku nawet niemoralność. Kobieta, która walczy o swoje, wykazując się odwagą i elokwencją, kobieta, której się wie, jest zawsze szkalowana. A mężczyznę za to samo chwałą, bo taki bystry i zaradny. A ty, niestety, już cieszysz się złą sławą.

- Tak samo jak ty...

- Ale jestem mężczyzną! A ty kobietą i nieważne, czy jesteś winna, czy nie, i tak dobiorą ci się do skóry, zanim jeszcze król spocznie w grobowcu. A jeśli weźmiesz mnie za męża, wtedy zawsze stanę w twojej obronie, twojej i twojego dobytku, w razie potrzeby i w sądzie.

- Ach tak? W takim razie powiedz mi, jakie ty zyskałbyś profity z tego małżeństwa.

- Miałbym kogoś, kto zadba o moje interesy w Anglii, kiedy będę w Irlandii.

- Cóż... - Gwałtownie sposepniałam. - Niestety, to nie jest odpowiedź, którą chciałaby usłyszeć kobieta. Bo to powinno być małżeństwo, a nie umowa handlowa! - Wyrwałam rękę i odwróciłam się do niego plecami. - Nadal jesteś pewien, że wrócisz do Irlandii?

- Tak, bo i kogóż innego mieliby tam posłać?

- To czemu nie najmiesz rządcy, który będzie doglądał twoich posiadłości? Zawsze to taniej niż żenić się, i na pewno mniej z tym kłopotu. Poproszę Greseleya, żeby ci kogoś polecił.

- Alice, nie chcę, żeby to był człowiek najęty, tylko ktoś, kto zajmie się tym z sercem. Chcę ciebie!

„Chcę ciebie!” Ten dramatyczny okrzyk oszołomił mnie, ale tylko na moment. Potrząsnęłam głową i od razu w niej przejaśniało.

- Nie!

- Dlaczego nie? Podaj mi chociaż jeden rozsądny powód.

- Nie mogę tego zrobić. Przecież Edward...

- On nie musi o niczym wiedzieć.

- Co? Miałabym zataić to przed królem?! - Już sam pomysł był dla mnie potężnym wstrząsem, brutalnie atakował moją wrażliwość, to wszystko, co było dla mnie najcenniejsze i głęboko wryte w duszę. Lojalność wobec Edwarda...

- A dlaczego nie? Czy byłoby to dla ciebie aż tak trudne? Gdybyśmy się zdecydowali na ten zasadniczy krok, bez wątpienia lepiej by było, gdyby dwór nic o tym nie wiedział.

Spojrzałam tam, gdzie on, na upojone godowymi płasami wrony, obracające się w powietrzu, opadające i wznoszące się unisono... i właśnie wtedy przyszło mi do głowy najważniejsze pytanie:

- Dlaczego oświadczyłeś się właśnie mnie? Jak w ogóle można prosić o rękę faworytę króla? - Przełknęłam i dopiero potem wyraziłam się całkiem jasno: - Dlaczego chcesz dzielić łożę z nałożnicą króla?

- Oczywiście zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że to nie ma żadnego znaczenia. - Pochwycił moje zdumione spojrzenie, sam natomiast wzrok miał spokojny, niemal chłodny. - Bo powiedz mi, Alice, ale tak zupełnie szczerze, kim ty dla niego jesteś? - Przerwał na moment, po czym sprecyzował: - Teraz kim dla niego jesteś?

Naturalnie, że znów mnie zaskoczył. Gorączkowo starałam się obmyślić jakąś odpowiedź, która nie byłaby zdradą wobec Edwarda. Nigdy z nikim nie rozmawiałam o tym, jak to jest między nami, i była to właściwa i jedyna dla mnie możliwa postawa, innej po prostu sobie nie wyobrażałam.

- Więc kim jesteś dla niego? - spytał ponownie, a ja byłam pewna, że muszę wyglądać na całkowicie zagubioną. - Przyjaciółką?

- Tak.

- Prosi cię o radę?

- Czasami, ale bywa też, że doradzam nieproszona. Coś powiem, coś zasugeruję, a on to akceptuje. Albo snuje monolog na jakiś temat, a ja wtrącę jakąś uwagę albo dodam krótki komentarz, i robi się z tego całkiem skuteczna rada. - Uśmiechnęłam się smutno. - Edward jest, to znaczy był bardzo rozmowny.

- Jesteś jego powierniczką?

- Tak - odparłam, zaciskając zęby, bo wiedziałam, jakie pytanie teraz usłyszę.

- I dzielisz z nim łóżko? - Windsor czekał na odpowiedź, ale utkwiała mi w gardle, więc po chwili milczenia dodał zdecydowanym tonem: - Alice, bądź ze mną szczerą. Na litość boską, przecież nie rozpowiem tego po całym pałacu!

Powiedzieć mu to, co chce usłyszeć? Czyli prawdę? O Jezusie kochany!

Nagle uprzytomniłam sobie, że moje paznokcie aż wryły się w dłoń. Windsor to zauważył, ujął tę feralną rękę, odgiął palce i spytał bardzo łagodnie:

- Nadal dzielicie łóżko?

- Nie... - Zabrzmiało to jak przepelnione smutkiem westchnienie, wszak prawda była bardzo gorzka. Stanowiła dowód, że wielki człowiek gaśnie.

- Czyli jest tak, jak myślałem.

Naturalnie, że czułam wielką potrzebę powiedzieć choć parę słów w obronie króla, który sam nie mógł się bronić. Wstrętną i bolesną była mi myśl, że ktoś zacznie szydzić z Edwarda. Niegdyś wielki król i zwycięski wódz upadł tak nisko, że nie jest już w stanie wychędożyć kobiety, stracił cały męski wigor...

Ale nie musiałam niczego wyjaśniać, bo Windsor wcale nie drwił, tylko stwierdził krótko:

- Wiek robi swoje. Każdego to czeka. Alice... od jak dawna?

- Od dwóch lat... Nawet trochę dłużej.

- I mimo to jesteś przy nim?



- Tak.

- Bo to daje ci władzę? - Spojrzał na mnie bardzo przenikliwie, jakby zaglądał w najdalsze zakamarki mej duszy.

- Nie zaprzeczam. Bo czyż mogę zaprzeczyć? - spytałam, co zabrzmiało bardzo gorzko.

- Myślę, Alice, że zasługujesz na coś więcej.

Windsor przypominał mi Wykehama, który kiedyś powiedział coś podobnego. Powinnam więc ucieszyć się, że już drugi człowiek mówi o mnie coś dobrego, ale jakoś wcale nie podniosło mnie to na duchu. Bo i cóż z tego, że słyszę po raz drugi, skoro cały świat sprzysiął się przeciwko mnie i czasami sama już zaczynam wierzyć w te oszczerstwa, które spadają na moją głowę. Zaczynałam też wierzyć, że nie zasługuję nawet na odrobinę szczęścia, bo moje grzechy są tak wielkie.

Ach! Dość już tego uzalania się nad sobą!

- Edward potrzebuje mnie, więc nie mogę od niego odejść. Choć nie dzielimy już łoża, nadal darzy mnie miłością, a ja uważam, że powinnam dalej wiernie mu służyć, do samego końca.

Windsor po raz kolejny odwrócił się, oparł ręce o kamienną półkę i patrząc w dal, powiedział:

- W takim razie, skoro nie dzielicie już łoża, nasze zaślubiny wcale nie będą oznaczać, że zdradziłaś króla, czyż nie tak?

- Król na pewno uzna to za zdradę i moim zdaniem będzie miał rację.

- Nie zgadzam się z tym - odparł stanowczo. - Sama mówiłaś, że często cię nie poznaje, wyznałaś też, że nie dzielicie już łoża. Wszystko się zmieniło, jest całkiem inaczej niż przedtem. Zastanów się nad tym i proszę, Alice, bądź ze mną całkowicie szczerą. Wiesz dobrze, że niczego nie rozpowiadam.

- Tak, wiem. Ty nie, ale inni... - Westchnęłam ciężko.

- I dlatego, Alice, nie powinnaś być sama, gdy zostaniesz rzucona na pastwę oszczerców. A stanie się tak, gdy Jego Królewska Mość zakończy życie. Powinnaś coś zmienić w swoim życiu, żebyś nie była wtedy sama.

- A jeśli wezmę sobie ciebie za męża, to sama nie będę.

- Oczywiście, Alice. A ja zawsze będę cię bronił.

- A ja w zamian za to będę zawiadywać twoimi dobrami.

- Tak.

- Czyli jednak jest to umowa handlowa.

- Cóż... Możesz sobie to nazywać, jak chcesz.

- Dla mnie wygląda właśnie tak. Nic na to nie poradzę... - Nie tylko miałam tego typu wątpliwości. Kiedy już wszystko usłyszałam i wszystko wiedziałam, wystraszyłam się, i to tak bardzo, że zadrżałam, jakby w upalny dzień w plecy powiał zimny wiatr.

A spojrzenie Windsora było twarde i pełne determinacji, takie też były słowa:

- Weź mnie za męża, Alice. Zdobądź się na odwagę.

- Tu nie chodzi o odwagę.

- W takim razie czemu nie chcesz się zgodzić?

Bo jeszcze się zastanawiałam. Różne myśli przychodziły mi do głowy, przemykały przez nią jak te śmigające w powietrzu czarne wrony. Wolne jak ptaki! Bo taki już ptasi los, wolność i powietrzne przestrzenie. A ja? Czyja kiedykolwiek miałam choć odrobinę wolności?

Windsor westchnął.

- Alice...

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

Nie nalegał więcej, tylko po prostu odszedł, zostawiając mnie samą, bym popatrzyła sobie jeszcze na radosne wrony uwodzące się w powietrzu. Bym udawała, że nie czuję na wargach śladu pocałunków Windsora. Bym udawała, że bardziej zależy mi na tym, co uznałam za swój obowiązek, a nie na tym, czego naprawdę pragnę.

Noc oczywiście była bezsenna.

Małżeństwo... Przecież umowa handlowa to coś całkiem innego niż połączenie świętym węzłem! A tu chodziło o połączenie z mężczyzną, który bardzo, wręcz w nadzwyczajny sposób mnie pociągał. Ale jakże mogłam tak nagle zapomnieć o zwyczajnej, ludzkiej uczciwości? O lojalności wobec Edwarda? To jemu powinnam być wierna, to przy nim powinnam trwać.

Edward. Tego dnia, kiedy wieczorem cmoknęłam go w policzek na dobranoc, uśmiechnął się, ale myślami był nieobecny. Gdyby nie to cmoknięcie, można by pomyśleć, że jestem służącą, która przyniosła wina, by łatwiej mu było zasnąć. Po powrocie Edwarda z tej nieszczęsnej wyprawy wojennej do Francji, która nie doszła do skutku, ani razu

nie dzieliłam z nim łoża. Wiek zrobił swoje, poza tym Edward bardzo przeżył porażkę. Coś się w nim wypaliło, nie miał już żadnych męskich potrzeb. Kiedyś bardzo pragnął mego ciała, teraz namiętność przerodziła się w czułość, co zresztą dawał mi odczuć na każdym kroku. Oczywiście wtedy, gdy mnie poznawał...

Cały dwór doskonale wiedział, że Edward nigdy już nie poprowadzi wojsk na podbój Francji. Ja wiedziałam doskonale, że żadnych już dzieci mu nie urodzę. Bo nawet jeśli prosi, bym położyła się przy nim, nie chce niczego więcej. Po prostu żebym poleżała, przytuliła się, i będzie nam przyjemnie. A małżeństwo z Windsorem...

Kiedy stracę bezpowrotnie moją pozycję na królewskim dworze, wcale nie będę naga i bosa. W żadnym razie! Tego, co nazbieram, starczy do końca życia, a także dla moich dzieci. Czegóż więc chcesz więcej?

Wciąż powracała odpowiedź na to pytanie: „Potrzebujesz mężczyzny. Potrzebujesz obrońcy”.

Ale czy była to właściwa odpowiedź? Nie. Kiedyś już miałam męża i nie dało mi to żadnej radości. Nigdy więcej z nikim się nie połączę, a tym bardziej z Williamem de Windsorem. Przecież nawet nie wiem, czy on mi się podoba, czy nie! Bo to, że rozpała we mnie żądzę, o niczym jeszcze nie świadczy. Ot, zwykła żądza, nic więcej. A gdybym jednak kiedyś zdecydowała się wziąć sobie męża, to na pewno nie kogoś takiego jak Windsor, tylko człowieka łagodnego i uległego, który da sobą rządzić silnej kobiecie. Bo ja nie mam zamiaru zostać czyjąkolwiek niewolnicą! A już małżeństwo z Windsorem to całkiem nie dla mnie. Tylko nie on. Ta, która go weźmie, musi wykazywać się odwagą nadzwyczajną, prawdziwym męstwem!

- A tobie odwagi brakuje, tak? - mimowiednie wyszeptałam pytanie do samej siebie.

Wtuliłam twarz w miękką poduszkę. Windsor... Powiedział przecież, że mnie kocha, ale nie dałam temu wiary, bo jego oświadczyzny bardziej przypominały zawieranie umowy podczas nabywania dóbr ziemskich. I właśnie tego można się było spodziewać...

Nie powiedział ani jednego czułego słowa. Przecież nawet to „kocham cię” zabrzmiało po prostu... tak surowo.

Ponieważ wciąż nie mogłam zasnąć, chwyciłam za pióro, by dokonać nowego wpisu do mej książki. Nabycie dworu Gunnersby nad Tami-

zą. O, przynajmniej jest to coś bardzo rzeczywistego i godnego zaufania. O wiele bardziej niż William de Windsor.

- Witam, sir Williamie!

Stałam przy Edwardzie obok kilku drżących z zimna dworzan, bo tego ranka król zapragnął wyjść z sokołami, żeby sobie polatały. Szliśmy więc brzegiem rzeki, podążając oczywiście z tą samą szybkością co król, który zdawał się w ogóle nie odczuwać chłodu.

A wśród dworzan, o dziwo, znalazł się również sir William.

- Nie spodziewałam się, panie, ujrzeć cię o tak wczesnej porze. Czyżbyś chciał się przypodobać Jego Królewskiej Mości?

Mój żarcik puścił mimo uszu, przystępując od razu do rzeczy:

- Myślałaś o tym?

- Tak.

- I co wymyśliłaś?

Na takie zapytanie skłoniłam głowę, a uczyniłam to dostojnie, iście po królewsku, bo wiedziałam, że to mu się spodoba. Ale odpowiedź z pewnością nie.

- Jeszcze nic, sir Williamie.

- W takim razie czekam na wieści.

- Przekażę.

- Niewątpliwie - skwitował z uśmiechem.

Po powrocie do pałacu, kiedy sokolnik odebrał już ptaki, by zanieść je do królewskiej woliery, Windsor znów pojawił się koło mnie, a dokładniej z tyłu, gdzieś w okolicy mego ramienia.

- Pomyśl o korzyściach, pani.

- Moim zdaniem nie ma żadnych. - Są!

Wychylił głowę i spojrzał na mnie tak bardzo wymownie, że zrobiło mi się zdecydowanie cieplej. Policzki zapłonęły, dlatego szybko umknęłam wzrokiem.

- Jesteś, panie, zuchwały!

- Jestem, bo wiem, że moich oświadczeń nie wrzucisz do ognia ot tak, bez zastanowienia, tylko będziesz je rozważać i rozważać, jakby chodziło o nabycie feudalnych praw do kolejnego kawałka ziemi.

Oczywiście, że tak! - odparłam w duchu, powiedziałam natomiast:

- Kobieta lubi, sir Williamie, gdy powie jej się kilka gładkich i wdzięcznych słów. - Naturalnie w tym momencie głowę miałam skromnie pochyloną, a wzrok utkwiałam w złotym hafcie na nowych rękawiczkach.

- Wiem, ale ja nie prawię pięknych słówek, pani Perrers. Żadnych przeprosin, tylko suche stwierdzenie faktu. Dlatego

poniechałam przyglądania się złotym haftom i podniosłam głowę, by spojrzeć Windsorowi w twarz. Która wyrażała głęboką powagę i skupienie. Ten mężczyzna niczego przede mną nie udawał, nie uciekał się do żadnych sztuczek. Mówił prawdę prosto w oczy, i tę dobrą, i tę złą.

- A może byś jednak popróbował, panie? Jeśli istotnie tak bardzo pragniesz mojej ręki...

- W mojej duszy, pani, nie ma ani odrobiny poezji.

W mojej też nie, ale bardzo chciałam, by zadźwięczała w moich uszach. Windsor zauważył oczywiście, że jestem bardzo rozczarowana. Więc coś jednak zrobił, tyle że nie popisał się żadnym poematem. Po prostu wyciągnął rękę i delikatnie powiódł palcem po moim policzku.

Wystarczyło, by z tej wielkiej przyjemności serce zabiło mi szybciej...

Naturalnie, że dalej się zastanawiałam. Myślałam też o Janynie Per-rersie. O Edwardzie. O tym, jak to mogłoby być z Williamem de Windsorem. Katowałam się tymi myślami aż do świtu. Bo i jak to by się działo, gdybym była z mężczyzną, który wcale nie potrzebuje, bym zadbała o niego, opiekowała się nim. Z mężczyzną, którego wedle mojej woli mogę przyjąć lub odtrącić. Po raz pierwszy w życiu mam zdecydować o tym sama.

A jak by to było, gdybym pokochała mężczyznę, którego sama bym sobie wybrała? Jak? Tego nie wiedziałam, bo i skąd.

Nie! - skontrolowałam w duchu. Dla ciebie byłoby najlepiej, gdybyś nie kochała nikogo!

A jeśli o to chodzi...

Bardzo dyskretnie przypatrywałam się, jak Windsor zadomawia się na królewskim dworze, jak znakomicie dopasowuje się do nowej rzeczywistości. Jak równie znakomicie dosiada konia i włada orężem.

Widziałam zacieklą walkę wręcz, która skończyła się tym, że miecz Windsora znalazł się tuż przy gardle przeciwnika. Miecz opadł, obaj mężczyźni uścisnęli sobie prawice, podkreślając wielkie umiejętności przeciwnika. Wiedziałam już, że Windsor na ogół chadza z głową dumnie uniesioną, jak książę.

Owszem, urodziwy nie był. Ale moje spojrzenie przyciągał.

I bardzo często bezwiednie dotykałam tego miejsca na policzku, którego dotykały jego palce...

A jednocześnie Edward coraz bardziej odsuwał się ode mnie, aż wreszcie nadszedł ten właśnie poranek, kiedy to weszłam do królewskiej komnaty króla, złożyłam ukłon i usłyszałam gderliwe:

- Filipo, gdzie się podziewasz? Rozmawiałaś już z Izabelą? Mówiłaś jej, że ma nie brać sobie tego de Coucy? Powiedz jej, że ja nigdy...

Wtedy decyzja zapadła.

Kiedy zobaczył, że nadchodzę, wyszedł z kąta, gdzie było jeszcze kilku dworzan próżniaków, co to tylko wysiadują po przedpokojach. Teraz zabijali czas grą w kości. Windsor też, bo bezczynność mu nie służyła.

Oczywiście nadchodziłam z obliczem spowitym w powagę.

- Zmieniłaś zdanie, droga Alice?

- Tak.

Brwi Windsora natychmiast uniosły się tak wysoko, że wyżej pewnie już nie mogły. Na szczęście zachował spokój, żadnych okrzyków radości, tylko krótkie pytanie:

- Masz całkowitą pewność, że tego chcesz?

- Tak.

- Świetnie. Lubię kobiety, które mówią jasno i wyraźnie.

Przygotowaniami zajął się Windsor. Tylko on, ponieważ nie był pod obstrzałem wszystkich oczu. Ja byłam, więc on miał to wszystko na głowie, co w sumie okazało się proste. Oznajmiłam, że jadę do córeczek, do Pallenswick. Do moich dzieci zawsze jeździłam, kiedy chciałam, pod tym względem miałam pełną swobodę. Pojechałam, nacieszyłam się nimi, a potem udałam się dalej, do Gaines koło Upminsteru, dworu nabytego już wspólnie z Windsorem i na jego nazwisko.

Kiedy przed wyjazdem żegnałam się z królem, Edward patrzył tępych wzrokiem na ścianę za moimi plecami. Nie poznawał mnie, może nawet w ogóle mnie nie widział. Pogłaskałam go po rękę, a on ani drgnął, tylko dalej patrzył przed siebie. Darowałam więc sobie wyjaśnienia i wyszłam. O króla byłam spokojna, zostawiałam go przecież pod opieką zaufanego służącego, Johna Beverleya, poza tym moja nieobecność nie miała trwać długo.

Windsor naturalnie pojechał do Gaines osobno. Kiedy siedziałam sama w mojej barce, która sunęła po wodzie dzięki sile mięśni służących pracujących przy wiosłach, z każdą milą moje rozedrgane nerwy drżały coraz bardziej. Właściwie już nie drżały, tylko podskakiwały jak świerszcze w upalny dzień. Zaślubiny miały miejsce w wiejskim kościółku w Upminsterze. Krótka msza, żadnego tłumu gości, obyło się bez pierścienia dla panny młodej i podarków. Tylko to, co najważniejsze, czyli przysięga małżeńska złożona z wielką powagą w obecności dwóch świadków, zaufanego służącego Windsora i Williama Greseleya, który niewątpliwie miał w pamięci mój pierwszy mariaż, stąd ten uśmiech, który przemknął po jego zwykle nieruchomej twarzy, i te słowa: - Zawsze wiedziałem, pani, że będziesz miała życie ciekawe i pełne przygód.

- Bardzo wiele zawdzięczam tobie, panie. - Nie były to puste słowa. Doskonale wiedziałam, że mam wobec niego wielki dług wdzięczności.

- A mam na oku pewien dwór, niedaleko stąd... - zaczął w swoim stylu.

- Nie teraz, Greseley - uciszyłam go, kładąc mu rękę na ramieniu. - Porozmawiamy jutro. Dziś jestem bardzo zajęta.

Po raz pierwszy od wielu lat kupno posiadłości nie było dla mnie najwyższym priorytetem. Lecz czyż mogło być inaczej? Dziś najważniejsze było to, że stojący u mego boku mężczyzna właśnie został moim mężem i dlatego znaleźliśmy się na ganku tego właśnie małego dworku. Drewniany dworek był uroczy, ale to również nie było dla mnie istotne, podobnie jak fakt, że jestem współwłaścicielką tej posiadłości.

Liczyło się tylko jedno. Zrobiłam to. Wzięłam sobie Windsora za męża, a on, wreszcie uśmiechnięty szeroko, otworzył przede mną drzwi i obszernym gestem zaprosił do środka.

A ja stoję jak słup soli. Bo chociaż przeżyłam już niemało, to po raz pierwszy w życiu miałam razem z małżonkiem przekroczyć próg naszego wspólnego domu. Stąd ta chwila niepewności. Bo poczułam się tak, jakbym miała opuścić dobrze mi znany kawałek ziemi i przenieść się na ziemię obcą, owszem, kusząco piękną, ale najpewniej pełną pułapek dla tych, co nie mają się na baczności.

Oczywiście weszłam do środka, postukując obcasami o podłogę z surowych dębowych desek z jasnymi i ciemnymi sękami, tworzącymi ten jedyny w swoim rodzaju niepowtarzalny wzór.

I dalej się bałam.

- Lady de Windsor...

Zadrżałam, a zaraz potem wybuchnęłam niepohamowanym śmiechem. Jakże to wszystko poszło gładko! Ani się człowiek obejrzał, a już po wszystkim. Klamka zapadła. I jak będzie dalej? Na pewno niełatwo, bo cóż ja wiem o moim ledwie co poślubionym mężu? Prawie nic, a poza tym, co też bardzo istotne, sama tak do końca nie wiem, co do niego czuję. Po prostu płatanina uczuć wszelakich, których rozsupleńnię wymagać będzie nie lada wysiłku.

- Wygląda mi na to... że właśnie zostałam panią tego dworu!

- Oczywiście! - Ująwszy moją dłoń, poprowadził mnie do najbliższych drzwi. - Masz zimne ręce, powinnaś się ogrzać. Ogień w kominku pewnie już rozpalony.

Wprowadził mnie do paradnej izby wyłożonej boazerią i zastawionej lśniąącymi sprzętami. I co najważniejsze, było tu cudownie ciepło. Z tym że moja świadomość zarejestrowała to wszystko bardzo pobieżnie, wszak byłam skupiona na mężczyźnie, którym już czułam się oczarowana. Gdyby było inaczej, czy pozwoliłabym mu zdjąć ze mnie płaszcz i kaptur? Na pewno nie. A jemu pozwoliłam.

Gdy już odłożył na ławę me wierzchnie odzienie, spytał:

- Mam nadzieję, że sfinalizujemy naszą umowę w sposób właściwy?

- Naturalnie.

- Kubek wina i podpisy na dokumencie?

- Tak, właśnie tak.

Na tacy czekał już dzban z winem, a także dwa kubki, które Windsor napełnił w wielkim skupieniu, a gdy napiłam się zacnego trunku, dokończył swoją myśl:



- Chodziło mi o coś bardziej odurzającego niż podpisy, a nawet niż wino.

I znów wybuchnęłam śmiechem. Cudownie było z nim rozmawiać, żartować, a już sfinalizowania naszej umowy nie mogłam się doczekać. Choć jednocześnie miałam pewien dylemat. Tylko czy spytać o to Windsora, czy jednak nie?

Uznałam, że spytam:

- Williamie, czy dzieliliś już łóżę z kobietą?

- Tak - odparł bez wahania i wzniósł kubek, taki toast bez słów, po czym też spytał: - Czy ma to jakieś znaczenie?

- Nie, nie... - Westchnęłam. - A ja, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w łóżę Edwarda, byłam dziewicą. - Skrzywiłam się, bo całkiem niepotrzebnie w takiej chwili wspomniałam o królu. - Wybacz, Williamie.

- Ależ nic się nie stało. Alice... - Nachylił się ku mnie i delikatnie dotknął mojej ręki. - Jesteś bardzo przejęta, prawda?

- Ależ nie!

- Ależ tak! Posłuchaj, jak dalej to wszystko się potoczy, po prostu nie wiadomo, ale ten dzień należy do nas. Będzie pięknie, będziemy sami. Nikt nie śmie nam przeszkodzić...

Nasze małżeństwo zostało skonsumowane, jak Bóg przykazał, w śnieżnobiałej pościeli pachnącej lawendą. Muszę przyznać, że Windsorowi udało się znaleźć bardzo dobrą gospodynię. Zatroszczył się też o wszelkie wygody, a także o bezpieczeństwo. Przecież dworku pilnował zbrojny!

William okazał się nadspodziewanie czuły i delikatny, oczywiście zanim nie porwał go wicher namiętności. Kiedy przystąpił do pozbawiania mnie szat, jeszcze był w miarę delikatny, choć robił to z żelazną konsekwencją, jakby ruszał na podbój Irlandii. Systematycznie usuwał wszystkie przeszkody broniące dostępu do ciała. Nie tylko szaty, bo również - a jednak! - mój opór. Co było dziwne, w końcu oboje mieliśmy odpowiednie doświadczenie w tej materii. A jednak kiedy rozwiązał tasiemki przy sukni, delikatnie muskając palcami mój kark, zeszywniałam.

- Alice, masz przecież czerpać z tego radość!

- Wiem. Ja tylko...

- Za dużo myślę? - dokończył za mnie. - Bo tak jest, prawda? Przestań myśleć, Alice, i pozwól mi uwieść twe ciało i twą duszę.

Czułam na ramionach jego ciepły oddech i wilgotne gorące wargi, znaczące ścieżki pocałunków.

- Przecież nie znasz się na pięknych słowach, na poezji... sam mówiłeś - mamrotałam, bo delikatnie i słodko całował mnie za uchem.

- Nie szkodzi. Za to potrafię wykorzystywać usta w inny sposób, nie do wyrzucania z siebie głupich słów. Na przykład tak...

I udowodnił to w sposób wyjątkowy.

Nie porównywałam go z Edwardem. Oczywiście, że nie, bo nie powinny być tu z nami żadne duchy, ani Edwarda, ani Janyna Perrersa. I nie było, bo nie czułam, by któryś z nich łapał mnie za koszulę, kiedy Windsor prowadził mnie do łóża. A potem to już w głowie miałam tylko Windsora. Tylko on, mój nowy luby, z nowymi, nieznanymi mi dotąd pieścizotami, nadzwyczaj biegły w sztuce miłosnej.

Czy te pieścizoty zaowocują? Nie, bo zaopatrzyłam się w pewien skuteczny środek, dobrze znany doświadczonym małżonkom. Waleczek z wełny nasączony olejkiem cedrowym, ostrożnie umieszczony... w tym właśnie miejscu. Nie mogłam dopuścić, by kolejne dziecko przyszło na świat. Dziecko Windsora, a ja przecież byłam bardzo płodna. Ta kwestia, kwestia dziecka, była jedną z wielu z puszki Pandory, którą otworzyliśmy, zawierając małżeństwo. Dziecko dałoby oręż do ręki tym wszystkim, którzy nie są mi życzliwi. A poza tym - i przede wszystkim - należało chronić Edwarda. Na małżeństwo się zdecydowałam, owszem, ale nie wyobrażałam sobie, że mogłabym nosić pod sercem dziecko nie Edwarda, ale innego mężczyzny.

Co na to Windsor? Zrozumiał moje racje i przystał na wszystko. Oboje przecież byliśmy świadomi, jakie czyhały na nas niebezpieczeństwa i ile wysiłku trzeba będzie włożyć w to małżeństwo.

Po nocy poślubnej nie dostałam porannego podarku, ale nie wpadłam z tego powodu w rozpacz. Dostałam przecież coś o wiele cenniejszego niż diamenty czy złoto. Nie potrafiłam tego nazwać po imieniu, ale przecież wiedziałam, co czuję. Byłam szczęśliwa w trochę dziwny sposób, bo szczęśliwa jak ptak, który wiosną powraca do swego gniazda. No i oczywiście po miłosnych uniesieniach byłam rozkosznie roz-

leniwiona. Do tego dochodziła cudowna świadomość, że z Windsorem znajdujemy wspólny język.

I w taki oto sposób dane nam było przeżyć prawdziwą idyllę w dworku Gaines, z dala od naszych wrogów i dworskich intryg. Kilka cudownych dni, ciepłych i słonecznych, dla świeżo upieczonych kochanków wprost wymarzonych.

Na tych kilka dni odłożyłam na bok dręczące mnie obawy dotyczące przyszłości, a także lęk, czy Edward nie zaniepokoi się moją kilkudniową w końcu nieobecnością. Jak to dobrze, że miał zapewnioną jak najtroskliwszą opiekę! Także moje dzieci, które były w najlepszych rękach i niczego im nie brakowało. I nie będzie, bo wystarczy nam tego bogactwa, które uzbierałam, kupując ziemię.

Dlaczegoż więc nie miałabym spędzić kilku dni beztrosko i przyjemnie? Mogłam i tak właśnie je spędzić, beztrosko i leniwie, dogadzając sobie bezwstydnie, rozmawiając z Windsorem o wszystkim i o niczym, już z tą poufałością, która łączy tych, co nocą dzielą łóżce, a za dnia też bez siebie obejść się nie mogą. Tak! Bardzo mnie cieszyło, że wzajemnie łakniemy swego towarzystwa, że wytwarza się między nami zażyłość.

Byliśmy razem, tylko we dwoje, odgradzeni od reszty świata murami dworku. Tu był nasz świat, do którego nikt inny nie miał wstępu. Siedzieliśmy, gadaliśmy, albo wybieraliśmy się na przechadzkę, albo jeździliśmy konno po łąkach. Jedliśmy, piliśmy. Kochaliśmy się. Jak młodzi kochankowie, a tacy młodzi przecież już nie byliśmy.

Czy żałowałam swej decyzji, która jednak była pochopna? Ani przez chwilę.

A Windsor? Nie sądzę.

Kiedy czasami moje myśli pobiegły jednak tam, dokąd nie powinny, czyli do życia za murami dworku, i znów ogarniał mnie tak dobrze znany lęk, nie było mi już tak ciężko, bo mogłam się już czymś pocieszyć. Kiedy Edward odejdzie - daj, Panie Boże, oby żył jak najdłużej - nie będę sama. Będę z człowiekiem, którego...

I tu moje beztroskie myśli natrafiły na przeszkodę. Wpadły na nią jak taran, uderzający o zamkowe mury. Jakaż to przeszkoda? Po prostu strach przed sformułowaniem tego właśnie słowa, którego domagało

się serce. Domagało się, ale trudno, z różnych względów nie zostanie sformułowane i poprzestaniemy na czymś bardziej bezpiecznym.

Z człowiekiem, do którego czuję sentyment. O, tak jest bardzo dobrze.

Windsor dotknął mnie, przypominając o swej obecności. Dotknął leciutko, a wystarczyło, bym cała gwałtownie się ożywiła. O tak, bo pod wpływem wymyślnych pieszczot stałam się pod względem cielesnych uciech bardzo odważna. Po prostu szłam na całość bez żadnych zahamowań, nie pozostawałam dłużna Windsorowi! Który pod wpływem moich pieszczot drżał.

- Mówiłem, że nie będziesz żałować tej decyzji - wyszeptał mi do ucha. - Dlaczego nigdy nie chcesz uwierzyć mi od razu?

- Bo jesteś, mój drogi, człowiekiem pokrętnym. Tak, właśnie pokrętnym! A czy ty, Will, niczego nie żałujesz? Może wolałbyś jednak, żeby te oświadczenia nie miały miejsca?

- Nie, Alice. Zapragnąłem ciebie już podczas naszego pierwszego spotkania i wiedziałem, że tak to właśnie się skończy. Była to tylko kwestia czasu.

- Aha. Czyli można powiedzieć, że jest tak, jak sobie umyśliłeś.

- Owszem, bo jestem mistrzem w takim właśnie obmyślaniu i bardzo się cieszę, że i tym razem siebie nie zawiodłem.

Wierzyłam mu. Sama też przecież byłam bardzo zadowolona, a nawet... szczęśliwa! Powiedzieć mu o tym? Szczerze?

Nie, bo niebezpiecznie jest otwierać się do końca, oddać ciało i obnażyć duszę przed człowiekiem, którego nie zna się jeszcze zbyt dobrze i absolutnie nie ma się pewności, czy potrafi przełamać swój egoizm.

Więc powiedziałam tylko:

- Też się cieszę, Will.

I cóż ja najlepszego zrobiłam? Ano sama, z własnej nieprzymuszonej woli położyłam kres temu zadowoleniu. Dlaczego? Bo się wystraszyłam.

Z każdym dniem poznawałam mego męża coraz lepiej. Uczyłam się odgadywać jego myśli, poznawałam upodobania, starałam się pojąć, w jaki sposób rozumuje, coraz bardziej przy tym rozczulona faktem, że Windsor tak się o mnie troszczy, tak zabiega, co z kolei zachwia-

ło moim twardym postanowieniem o zachowaniu pewnego dystansu i czujności. O tym zapomniałam całkowicie, kiedy za zasłonami łoża oddawaliśmy się wymyślnym uciechom. Windsor był kochankiem bardzo namiętnym, ale przecież nie tylko w łożu dawał ujście swej żywotności. Był człowiekiem czynu. Wiedziałam, że mimo idylli w wiejskim ustroniu, nieraz wybiega myślą poza naszą sypialnię, chociaż nigdy ze mną o tym nie rozmawiał, o swoich ambicjach ulokowanych daleko od naszego dworku. Byłam mu za to wdzięczna. I kochałam go jeszcze bardziej.

Kochałam. A więc... miłość?

Stało się. Wyimaginowany taran rozbił tę przeszkodę i mój umysł sformułował ważne słowa. Tak ważne, że na moment zabrakło mi tchu. Bo i po co to? Zbyt szybko i jakże nierozważnie. Na co mi ta miłość, ten wewnętrzny żar i uniesienie w sercu, skoro oznacza to pożegnanie z wolnością? Bałam się tej miłości jak morowego powietrza. Gdybym mogła, na pewno bym od niej uciekła, ale niestety już objęła rządy w moim sercu. I czego się domaga? A tego, że skoro sformułowane, to teraz należy wypowiedzieć je na głos. Co było absolutnie niemożliwe, jako że przez tak wiele lat starannie ukrywałam swe uczucia i nie potrafiłabym obnażyć przed kimś swej duszy. Nigdy tego nie zrobiłam przed Janynem, który do samego końca traktował mnie jak użyteczne w jego pracy narzędzie. Nie zrobiłam tego przed Edwardem, który moją duszą nie był specjalnie zainteresowany. I nie zrobię tego przed Williamem de Windsorem. O nie! Nie będę eksponować swojej bezradności przed kimś, kto wbrew wszelkim prawom natury trzyma w rękach moje serce! Gdybym to zrobiła, czyż nie podwoiłoby to, potroiło, a nawet czterokrotnie zwiększyło mojej słabości? Lepiej więc tego nie wyjawiać, tym bardziej że Windsor mnie nie kocha. Więc po co mówić? Tylko po to, by potem czuć się zranioną?

Niczego nie wyznałam i kiedy po kilku dniach nastąpił koniec wiejskiej idylli, pomyślałam, że czas był na to najwyższy, bo gdyby trwała dłużej, udławiłabym się tą słodyczą. Bo ani Windsor, ani ja nie jesteśmy stworzeni do takich sielanek. Nasz świat to taka przestrzeń, w której możemy urzeczywistniać swoje ambicje, a ponadto ja w tamtej przestrzeni mam mnóstwo obowiązków.

Chociaż, owszem, zakładałam, że może kiedyś, w przyszłości będzie inaczej. Ale teraz jest, jak jest, dlatego podjęłam pewną decyzję, która pomoże mi zapanować nad sytuacją. Po prostu zwyciężył rozsądek.

Na królewski dwór oczywiście wróciliśmy osobno, a ja od razu po przybyciu popędziłam do Edwarda.

- Alice! Dobrze, że jesteś! Zagramy w szachy.

Rozpoznał mnie, powitał, a potem, już nad szachownicą, kiedy obmyślałam chytrą sztuczkę z rycerzem, który miał wyprowadzić w pole biskupa, Edward wykonał kilka ruchów jeszcze bardziej przebiegłych i poniosłam sromotną klęskę. Ale i tak odniosłam wrażenie, że nie zdawał sobie sprawy z mojej kilkudniowej nieobecności. Pewnie myślał, że nie było mnie najwyżej parę godzin.

Porozmawiałam z nim, powiedziałam, że chciałabym, by coś zrobił. I zrobił to, uznając, że poradziłam mu dobrze. A co zrobił? Złożył podpis na pewnym dokumencie i opatrzył królewską pieczęcią.

Moja głowa radowała się z tego powodu, ale serce szlochało.

Dokument zaniósłam do komnaty Windsora, która znajdowała się w jednym z odległych skrzydeł pałacu. Może i nie powinnam tam iść, ale zrobiłam to bardzo dyskretnie i o odpowiedniej porze. Przeszłam przez próg, zamknęłam drzwi i rzuciłam mu dokument prosto do rąk.

- Will, to jest to, czego tak bardzo chciałeś!

Gdy przebiegł oczami po dokumencie, oczy mu rozbłyły i twarz pojaśniała, a ja już wiedziałam, że dobrze postąpiłam.

- Irlandia! - zawołał triumfalnie.

- Tak, jedziesz do Irlandii.

- Będę namiestnikiem!

- Tak, Will, będziesz piastował naprawdę wysoki urząd.

- Czyli pozbędziesz się mnie o wiele szybciej, niż myśleliśmy!

- Tak.

Starannie złożył dokument i przez moment milczał zadumany, a ja oczywiście wiedziałam, nad czym tak duma.

- Alice, ty go do tego namówiłaś, prawda?

Trudno, ale czasami trzeba zdobyć się również na krzywoprzysięstwo.

- Nie! - zaprzeczyłam oczywiście bardzo stanowczo.

Ale Windsor i tak świdrował mnie wzrokiem. Mimo tak żarliwego zaprzeczenia nadal podejrzewał, że maczałam w tym palce. Przecież mieliśmy okazję poznać się bliżej i przestałam być dla niego tajemnicą.

Panie Boże, wybacz, że kłamię jak z nut...

- Nie. Edward sam podjął taką decyzję, bo potrzebny jest mu ktoś doświadczony, a nie młodzik, który dopiero wszedł w dorosłość. Sam przecież wiele razy to powtarzałeś.

- Byłaś pewna, że w końcu podejmie taką właśnie decyzję?

- Oczywiście! - zapewniłam solennie, gotowa już do wyjścia, bo nie chciałam dłużej być świadkiem jego radości i triumfu, bo im większy ten triumf, tym ciężej mi na duszy, tym boleśniesz poczucie straty.

Jednak Windsor nie pozwolił mi już odejść. Błyskawicznie pokonał dzielącą nas odległość i pocałował mnie z tą jakże dobrze mi już znaną namiętnością.

Która tak bardzo była mi potrzebna do szczęścia...

- Pragnąłem tego urzędu, Alice - wyznał cicho.

Przecież wiedziałam! I poczułam wielki smutek, bo pomyślałam, że bardziej pragnie tego urzędu poza granicami królestwa niż mnie.

Smutek wielki, ale tylko przez króciutką chwilę, bo to, co potem usłyszałam, sprawiło, że na duszy zrobiło mi się lżej.

- Będę bardzo za tobą tęsknił, Alice. Tak bardzo, jak za nikim jeszcze nie tęskniłem. - Wzruszona oparłam się czołem o jego ramię i tak staliśmy przez chwilę, aż wreszcie Will, wsunawszy mi palec pod brodę, obrócił moją twarz ku sobie. - Kiedyś pytałem, czy ty będziesz za mną tęsknić. Nigdy nie powiedziałaś, że tak...

- Nie. Bo jakże to miałoby być? - I znów posmutniałam bezradna wobec dylematu, do powstania którego przyczyniłam się sama.

- Masz wyrzuty sumienia? - spytał cicho, delikatnie muskając palcami pionową zmarszczkę na moim czole. Bo była tam na pewno.

- Mam pewne obiekcje. Czy faworyta króla może tęsknić za kimś innym, nie za królem? Moim zdaniem powinna powściągnąć swoje uczucia.

- Wobec mnie, prawda? A wobec króla nie. Co do niego czujesz?

- Przede wszystkim wielki szacunek, a także współczucie i przywiązanie. Nie odejdę od niego, Will. Będę z nim aż do jego śmierci.

- Cóż... Nie pozostaje mi nic innego, Alice, jak przyznać, że bez wątpienia jesteś najwierniejszą z jego poddanych, niemniej jednak nadal twierdę, że możesz tęsknić za mną. Nie musisz tego w sobie zwalczać, zdręczać się wyrzutami sumienia.

Może i tak...

- Będę za tobą tęsknić, Will. Miękkie wargi dotknęły mego czoła.

- Pisz do mnie.

- A jak ktoś mój list przechwyci?

- Nie musisz pisać o miłości aż po grób! Co oczywiście nie znaczy, że czegoś takiego do mnie nie czujesz!

Zaśmiałam się cicho. Jak cudownie, że tak dobrze już się rozumiemy, jak cudownie...

- Będę pisać. Oczywiście!

Naturalnie wykorzystaliśmy tę sposobność na słodkie chwile największej bliskości. W tej maleńkiej izdebce, dumnie zwanej komnatą, z konieczności sprzętów było bardzo niewiele, a łóżko niemożebnie wąskie, dołożyliśmy jednak wszelkich starań, by i w takich warunkach zaspokoić nasze rozpalone ciała. Pozbyliśmy się tylko części szat, tych z wierzchu, i nie, nie były to szczyty namiętności, raczej takie potwierdzenie naszego związku. Ale wystarczyło mi to w zupełności. Nie wyobrażałam sobie, że Windsor wyjedzie, nie obdarzywszy mnie choć tak pośpieszną pieśzczotą.

Potem zamieniliśmy już niewiele słów.

- Uważaj na siebie - szeptał Will.

- Ty też...

- Będiesz zawsze w moich myślach i sercu, Alice.

- Ty też.

I już po kilku dniach nie było go. Co czułam? Świadomość straty i głębokie osamotnienie były tak wielkie, że nie potrafię nawet tego opisać. Will obiecał, że będzie o mnie myślał. Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie, bo po raz pierwszy w życiu czułam, jak to jest, kiedy ma się złamane serce.

Oczywiście karciałam siebie za tę głupotę.



Twoje serce nie może być złamane, skoro go nie kochasz! - przekonywałam samą siebie. Bo przecież nie kochasz go, prawda? Tak tylko ci się wydawało.

A William de Windsor? Nie minął miesiąc, a już napisał. Najpierw krótko o tym, co dzieje się w Dublinie, a potem...

*Powiedziałem, że będę za Tobą tęsknił, Alice. I tęsknię. Bo jesteś moja i mam nadzieję, że tak samo ja cały jestem Twój. Dbaj o siebie i pisz. Chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczna, kiedy mnie tam nie ma. A Bóg jeden wie, kiedy znów przyjadę do Anglii.*

Najbardziej poetyckie słowa, jakie kiedykolwiek Windsor napisał czy powiedział do mnie. Dla mnie słowa bezcenne. Płakałam więc i płakałam...

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jak można być tak beznadziejnie krótkowzroczną? Tak zatrwając i niewybaczalnie zadowoloną z siebie, z klapkami na oczach, przekonaną, że skoro wszystko jest jak zawsze, to zawsze już tak będzie? Potulnie pewną, że nie ma żadnych powodów do obaw. Była pełnia lata 1375 roku. Długie ciepłe dni niefrasobliwie mijały jeden za drugim bez żadnych oznak, że wiatr niestety powieje z innej strony. Edward czuł się tak dobrze, że zarządził wielki turniej na polach Smithfield, rozległych łąkach tuż za murami miasta. Turniej połączony był ze wspaniałymi uroczystościami, w których ja, jako Pani Słońca, odgrywałam szczególną rolę, co mile polectało moją kobiecą próżność, podobnie jak wyznanie Windsora, że tęskni za mną. Nie, nie było żadnego powodu do niepokoju. Dlaczego tak jest, że nigdy nie dostrzegamy nadciągającego niebezpieczeństwa? Dlaczego widzimy je dopiero wtedy, gdy już nas dosięgnie i unicestwi? Tak jęknie dostrzegamy nadciągającej wichury, widzimy ją dopiero wtedy, gdy już chłoszcze cały świat wokół nas.

Tego niebezpieczeństwa też nie wyczuwałam, ale kiedy spoglądam wstecz, jest dla mnie oczywiste, że nie mogłam go przewidzieć. Inne zagrożenia były ewidentne, chociażby takie, że z powodu zbliżającego się końca rozejmu z Francją można się spodziewać nowych starć. Z tym że ponieważ do końca rozejmu zostało jeszcze trochę czasu, możliwe było

zawarcie nowego rozejmu, bo w obecnej sytuacji żadna ze stron raczej się nie paliła do krwawej konfrontacji. Znamy więc sytuację i mamy wybór jednej z dwóch możliwości, natomiast ja mówię o nawałnicy, której przewidzieć w żaden sposób nie można.

Zdrowie Edwarda było kruche. Bywały dni, kiedy wpadał w melancholię i nie można było temu nic zaradzić. Ale miewał też dobre dni, stąd nadzieja, że koniec wcale nie jest aż tak bliski. Natomiast księciu Walii nie można już było w niczym pomóc. Według mnie wszystko wskazywało na to, że nie minie rok, a spowije go całun. Joanna stała się już całkiem nieznośna, a chwilami nawet niebezpieczna. Nie tylko rozpaczała z powodu męża, ale również bardzo się niepokoiła o przyszłość syna, choć było wiadomo, że kiedy książę Edward zgaśnie, następcą tronu będzie młody Ryszard.

Windsor był w Irlandii, wieści od niego przychodziły nieregularnie, ale wiedziałam, że pewnego dnia powróci do mnie. Po prostu wiedziałam, nic więcej, bo robiłam wszystko, by jednak za nim nie tęsknić. Tak żyło się łatwiej.

Na początku nowego roku zwołano parlament, była bowiem konieczna debata nad dwoma palącymi sprawami. Chodziło o utrzymanie wojsk najemnych i o wpływy z podatków, ponieważ skarbiec królewski łaknął złota. Wszystko przebiegało bez zakłóceń, a na uroczyste otwarcie obrad przybył nawet książę Walii. Było więc trzech wspaniałych Plantagenetów: król, Jan z Gandawy i książę Walii, wszyscy w purpurze i gronostajach, które ukrywały kruchość obu Edwardów. Joanna trzymała się z dala od królewskiego dworu i nikt nigdy już nie wspominał o czarach.

I tak nieubłaganie mijały dni, aż nadeszło lato 1376 roku. Któż mógł przewidzieć, co przyniesie ten zwołany przez Edwarda i po trzykroć przeklęty parlament? Nic przecież nie wskazywało, że zdarzy się właśnie to, kiedy lordowie, kler i przedstawiciele gminu zebrali się jak zwykle w ogromnej komnacie z pięknymi malowidłami, wszyscy z pokłonami i uśmiechami przylepionymi do twarzy. Nie wyczuwało się ogólnego poruszenia. Bo i niby dlaczego mieli utrudniać spełnienie życzeń Jego Królewskiej Mości? Można się było spodziewać, że parlament postąpi jak zawsze i zezwoli na subsydia. Członkowie Izby Gmin jak zwykle udadzą się do sali kapitulnej, wybiorą spikera i wspólnie rozważą, czy

sypanąć złotem do królewskiej szkatuły. Debata na pewno będzie krótka i owocna.

Niestety wcale taka nie była, o czym przekonałam się już niebawem, kiedy drzwi do królewskiej komnaty gwałtownie się rozwarły, a w progu ukazał się rozjuszony Jan z Gandawy, zdzierający z siebie kapelusz i rękawice. Odepchnął Latimera na bok, długimi gniewnymi krokami przemierzył komnatę i stanął tuż przede mną.

- Gdzie on jest?

Jan z Gandawy bardzo rzadko tracił panowanie nad sobą, lecz teraz tak, dlatego poczułam lęk. Szybko zebrałam dokumenty, które przeglądałam, wsunęłam do skrzynki z inkaustem i piórami, po czym wstałam pełna jak najgorszych przeczuć.

- Król wypoczywa... - powiedziałam, stając przed drzwiami do sypialni, gdzie skrajnie wyczerpany Edward zleżał na łożu.

Jan, nerwowo krążąc po komnacie, wyrzucił z siebie:

- Ten przeklęty gmin! Wiesz, kogo wybrali na spikera? Petera de la Mare'a!

- O Boże!

- Widzę, że to nazwisko coś ci mówi! - Zmełł w ustach plugawe słowo.

Jakżeby inaczej! Wszyscy na królewskim dworze wiedzieli o mojej potyczce z rodziną de la Mareow. Potyczce żalosalnej, bo rozum nakazywał nie wdawać się w żadne spory, ale czyż słucha się go, kiedy niewinny człowiek spotyka się z wielką niesprawiedliwością? Dlatego włączyłam się do tego sporu i wcale nie ukrywam, że to, co z tego wynikło, bardzo mnie usatysfakcjonowało.

- Cóż, prawda jest taka, że spiker nie jest do nas przyjaźnie nastawiony - powiedział Jan, bawiąc się kotarą na oknie. Najpierw skręcił ją w słupek, potem puścił i kotara wróciła do poprzedniego kształtu. - Nie wiadomo, kim bardziej pogardza, tobą czy mną.

- Chyba wiem dlaczego.

Uznając, że nie będzie się starał za wszelką cenę zakłócić spokoju Edwardowi, odeszłam od drzwi sypialni i z powrotem usiadłam za stołem, nie spuszczać oczu z Jana, który dalej przemierzał komnatę. Oczywiście cały czas zastanawiałam się nad tym, co się dzieje. Moim przeciwnikiem podczas wspomnianej potyczki był kuzyn owego Pete-

ra, nowego spikera Izby Gmin, czyli Thomas de la Mare, opat klasztoru w St Albans, znany z wielkiej erudycji, braku dobrego serca, a także tego, że jest człowiekiem nieprzejednanym.

A we wspomnianym sporze, w którym wzięłam udział, chodziło o własność małego dworku Oxhay. Mieszkał w nim rycerz Fitzjohn, ale do posiadłości rościł sobie prawa opat de la Mare i kazał Fitzjohnowi stamtąd się wynosić. Cóż wtedy zrobił ów rycerz? Najszybciej, jak było to możliwe, dał mi dworek w dzierżawę. Postąpił bardzo chytrze, bo opat, gotów już skrzyknąć miejscowy motłoch i zając dworek siłą, z Alice Perrers nie chciał jednak zadzierać.

A jakież finał tej sprawy? Fitzjohn pozostał właścicielem dworku, który ja mam w dzierżawie do końca mych dni, a opat przeklina moją duszę.

Niestety finał wcale nie okazał się finałem, bo kuzyn opata został spikerem Izby Gmin.

- Jakie mogą być tego następstwa? - spytałam, skubiąc brzeg sukni, ale bez wielkiej emocji, delikatnie tylko skubałam, nie zaciskając mocno palców, bo mimo wszystko nie widziałam powodu do niepokoju. Przecież potężny Jan z Gandawy w razie potrzeby poskromi nawet spikera Izby Gmin.

- Będzie niebezpiecznie - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Ach tak... - Sposepniałam. - Cóż takiego mogą nam zrobić Peter de la Mare i opat, nawet jeśli połączą siły?

- Tylko pomyśl... - Jan podszedł do rzeźbionego krzesła Edwarda, na którym teraz siedziałam ja, oparł ręce na podłokietnikach i nachylił się, w związku z czym jego twarz była oddalona od mojej zaledwie o szerokość dłoni. Była tak blisko, że w jego oczach widziałam swoje odbicie, w rezultacie bałam się choćby leciutko zamrugać. - Komu służy Peter de la Mare?

- Hrabiemu Marchii.

- Czy muszę mówić dalej? - Wyprostował się i podszedł do okna niby po to, by spojrzeć na świat.

Byłam jednak pewna, że nie widzi chmur płynących po niebie, w ogóle nic nie widzi z tego, co ma przed oczami. No i oczywiście nic nie musiał mi już mówić. Peter de la Mare był marszałkiem dworu Edmunda Mortimera, hrabiego Marchii, męża Filipy, wnuczki Edwarda.

A Edmund Mortimer to człowiek bardzo wpływowy. Cóż, skoro się jest lordem marszałkiem Anglii, to nie może być inaczej. No i ów bardzo wpływowy lord wymarzył sobie, że jego małoletni syn zostanie następnym władcą Anglii, o czym zresztą wszyscy wiedzieli.

- Chodzi o sukcesję!

- Naturalnie! To jest spisek! Spisek przeciwko mnie!

- Boże w niebiesiech... - Spisek przeciwko Janowi z Gandawy? Teraz to moje palce zacisnęły się bardzo mocno. Jan z Gandawy, trzeci syn króla... A ponoć chodzi o sukcesję!

Jan spojrzał na mnie przez ramię, wzrok mu płonął.

- To spisek przeciwko mnie i wszystkim moim sprzymierzeńcom, a został obmyślony przez opata z St Albans i księcia Walii. Czy wiesz, że ksiązę, kiedy w tym roku jechał z Berkhamstead do Canterbury, po drodze spotkał się z opatem i odbył z nim długą rozmowę?

- Nic o tym nie słyszałam...

- Ksiązę znalazł w sobie wystarczająco dużo siły, by sączyć do ucha opata pokrętne słowa. No i mamy ich wszystkich. Hrabia Marchii, dwóch kuzynów de la Mare i ksiązę Walii spiskują, by pozbawić mnie i moich następców prawa do tronu.

A więc jednak... Nigdy dotąd Jan z Gandawy nie wypowiedział się tak otwarcie o swoich ambicjach, a już na pewno nie przede mną. Och, byłam niemal pewna, że z nikim o tym nie rozmawiał, bo takie rozmowy są bardzo niebezpieczne, a mówiąc wprost, zakrawają na zdradę, jako że sugerują naruszenie prawa do sukcesji. Gdyby Ryszard, syn księcia Walii, umarł bezpotomnie, zgodnie z prawem sukcesji Anglią rządzić będzie wnuk Lionela, syn hrabiego Marchii i Filipy, chłopiec teraz trzyletni. A nie Jan z Gandawy ani jego syn, Henryk Bolingbroke. Czyżby w Janie było tyle zawiści i ambicji, że zamierza wejść w drogę swemu bratankowi Ryszardowi? Albo synkowi hrabiego Marchii?

Kiedy zauważyłam, że jego dłoń zwinięta jest w pięść, pomyślałam, że tak. Ale tylko pomyślałam, bo przecież samo wzburzenie niczego jeszcze nie dowodziło.

Niezależnie od tego, jaka była prawda, słyszałam pogłoski o obawach, które dręczą księcia Walii. Obawia się on mianowicie, że jego syn nie wstąpi na tron, jeśli Jan z Gandawy będzie w stanie temu przeszkodzić. Dlatego ksiązę, choć schorowany i przykuty do łoża, szuka

sprzymierzeńców. Teraz już wiedziałam jakich. Petera i Thomasa de la Mare oraz hrabiego Marchii, który jest świadomy, że występując przeciwko Janowi z Gandawy, może wiele zyskać.

Owszem, zmusiłam się do myślenia i jakoś to wszystko poskładałam, choć jednocześnie nie bardzo wiedziałam, do czego to może doprowadzić. Chyba że Peter de la Mare, który właśnie został spikierem Izby Gmin, użyje tego jedyne go dostępnego mu oręża, by osiągnąć to, do czego dążą i on, i pozostali spiskowcy. W mojej głowie zaczęło się zdecydowanie przejaśniać. Przecież ten oręż może mu dać wielką władzę!

- Jak sądzisz, czy Izba Gmin da pieniądze na prowadzenie wojny? - spytałam.

- Będzie to miało swoją cenę. Ale przede wszystkim, jak powiedziałem, chodzi o mnie. De la Mare na pewno wszystko już dokładnie obmyślił.

- A dokładnie co?

- Na pewno napadną na mnie i na moich sprzymierzeńców w rządzie. Latimer, Neville, Lyons... Wszyscy ministrowie są moimi sprzymierzeńcami, przecież pomogłem im zdobyć urzędy. A de la Mare i hrabia Marchii będą spiskować i intrygować, by odsunąć od Edwarda każdego, kto jest związany ze mną. Chodzi im o to, żeby Jan z Gandawy był sam, całkiem sam. Taki jest ich zamysł, zapewniam cię. Brat prowadzi wojnę z bratem... Tobie też wypowiedzą wojnę, pani Perrers. Tak będzie, jeśli się nie mylę co do podstępnych knowań de la Marea. A raczej się nie mylę... - Skrzyżował ramiona i oparł się o kamienną ścianę. - Naprawdę nie sądziłem, że hrabia Marchii ma takie ambicje. A jednak ma. Bardzo mu się spodobała myśl, że być może spłodził następcę tronu.

Owszem, ale tylko wtedy, jeśli mały Ryszard umrze. Chociaż... Może i mały Ryszard nie musi umierać... Może...

W mojej głowie pojawiło się bardzo wiele tych „może”, tworząc w niej coś w rodzaju misternej pajęczyny wysnutej przez wyjątkowo żwawego pajaka. Hrabia Marchii - a nawet Jan z Gandawy - może podważyć prawo Ryszarda do tronu, argumentując to skandalicznymi perypetiami małżeńskimi jego matki, Joanny. Nie oni pierwsi użyją tego argumentu...

- Czy nie można w jakiś sposób przeszkodzić de la Marebwi? - spytałam.

- A cóż ja mogę zrobić? Izba Gmin go wybrała, izba, która trzyma w garści finanse i dopóki nie ogłosi decyzji w tym względzie, nas wszystkich trzyma w garści. Gdybym próbował coś zrobić, interweniować, to w razie bardzo prawdopodobnej w obecnej sytuacji porażki stałbym się pośmiewiskiem, straciłbym prestiż... Najlepiej, jeśli powiesz o tym wszystkim królowi!

- Nie! - odparłam natychmiast i bardzo stanowczo.

- Król powinien o tym wiedzieć.

- A w jakim celu? Jeśli ty nic nie możesz zrobić, to czego się spodziewasz po starym człowieku, który nie jest już w stanie wybiegać w przyszłość, nie potrafi obmyślać strategii działania i planów pertraktacji, nie wyznacza już politycznych celów dla Anglii? Który nie może już udźwignąć ciężaru władzy? Jedyne, co mógłby zrobić w tej sprawie, to zaprosić de la Mare a na piwo i porozmawiać z nim o polowaniu w okolicznych lasach.

- Jest królem. Powinien stawić im czoło.

- Ale on tego nie może zrobić! Dobrze wiesz, że nie może! A nawet gdybyśmy króla zmusili, by wziął w tym udział, jedyny pewny skutek byłby taki, że jeszcze bardziej podupadłby na zdrowiu.

Jan cisnął rękawice na podłogę i przez chwilę wpatrywał się w nie, jakby mogły mu podpowiedzieć, co powinien zdecydować. Potem skinął głową.

- Masz rację. Oczywiście.

- I co teraz zrobisz? - spytałam, kiedy podniósł rękawice i ruszył do drzwi.

- Przed chwilą powiedziałem, że robiąc cokolwiek, mogę ponieść sromotną porażkę. To prawda, ale i tak zrobię wszystko, co w mojej mocy, by usunąć truciznę z tej rany. Jedyne dobre wieść jest taka, że książę Walii z powodu kolejnego ataku choroby nie może przybyć do parlamentu. Może dzięki temu łatwiej mi będzie rozprawić się z de la Mareem... Cud, jeśli wyjdziemy z tego bez rozkwaszonych nosów. A ty miej baczenie na siebie, pani Perrers.

- Będę miała. Na Edwarda również.



- Wiem, wiem... - I dodał znacznie już łagodniejszym głosem: -Jakoś nie chciało mi to nigdy przejść przez gardło, ale wiem przecież, jak bardzo się o niego troszczysz. - I znów surowo: - Miejmy nadzieję, że uda mi się przekonać księcia, by zlitował się nad ojcem i pozwolił mu przeżyć ostatnie dni w spokoju.

Wsadził kapelusz na głowę, wciągnął rękawice, a ja pomyślałam, że może jednak spytam go o to wprost. Bo niby czemu nie? Przecież dobrze wiedzieć, na czym człowiek stoi.

- Milordzie... - Przystanął z ręką już na klamce. - Czy ty, milordzie, nie pragniesz korony dla siebie?

- Mnie o to pytasz? Mnie?!

- Tak, ciebie. Dlaczego miałabym nie spytać? Tutaj ściany nie mają uszu. A gdybym nawet komuś o tym powiedziała, i tak nie uwierzy. Nikt nie uwierzy.

- Istotnie... - Po twarzy Jana przemknął ironiczny uśmiezek. -Więc odpowiem. Czyż nie przysięgałem, że będę chronić Ryszarda, który jest moim bratankiem i ma miejsce w moim sercu? Nie, nie chcę zdobyć korony dla siebie.

Mówił, ale nie patrzył na mnie. Nie uwierzyłam mu, ale naturalnie nie zdradziłam się z tym, bo w razie potrzeby kto stanie w mojej obronie? Tylko on, bo my też podobno jesteśmy sprzymierzeńcami. Podobno...

Jan z Gandawy odszedł, a ja zagłębiłam się w rozmyślaniach, nadal starając się to wszystko jakoś w głowie uładzić. A więc to książę Walii podjudza Izbę Gmin do ataku, żeby zablokować bratu drogę na tron. Celem tych agresywnych działań będzie każdy przyjaciel czy sojusznik Jana z Gandawy, więc i ja nie mogłam czuć się bezpiecznie. Jaka szkoda, że nie zadbałam o przychylność księcia Walii... Tylko jak miałabym tego dokonać, skoro jego żona przeklęła mnie. Tłusta jędra Joanna! Zniszczyła taką śliczną skrzyneczkę! Nienawidzi mnie, a książę niewątpliwie myśli to samo co jego żona, to znaczy że jestem zimną i wyrachowaną nierządnicą.

Czy mogłabym w jakiś sposób przyczynić się do usunięcia trucizny z tej rany, jak to trafnie ujął Jan? Niestety, nic mi do głowy nie przychodziło. Edward był zbyt słaby, by stawić czoło parlamentowi, nie potrafił, jak działo się to kiedyś, zmusić go, by był mu posłuszny. A Francja znów

zagraża, więc Edward rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy na wojnę. Jaką cenę trzeba będzie za to zapłacić?

Nagle poczułam strach. Tak, dusza siadła mi na ramieniu i skrzeczy do ucha jak ta przeklęta małpa Joanny, której od dawna nie ma na tym bożym świecie.

Napisać do Windsora? Zastanawiałam się nad tym, ale nie chwyciłam za pióro. Bo i o czym tu pisać? Najpierw musi się coś wydarzyć...

Po tym, jak zostałam ostrzeżona przez Jana, nie ruszałam się z Westminsteru choćby na krok i bardzo rzadko zostawiałam Edwarda samego, a Peter de la Mare prześladował mnie w snach, zmieniając noce w koszmar. Jednocześnie pilnie nadstawiałam ucha, starając się zdobyć jak najwięcej informacji. Wiedziałam, że księżę Walii istotnie nie przybył do parlamentu, Edward, wiadomo, też nie, więc cały ciężar spoczywał na barkach Jana z Gandawy, który w pierwszym rządzie próbował osłabić możliwości de la Marea. Dlatego Jan nalegał, by kilkunastu członków Izby Gmin odbyło z nim rozmowę w cztery oczy. Jednak de la Mare to udaremnił, przyprowadzając na sesję Izby Lordów ponad stu członków Izby Gmin. Stali za nim, za swoim spikerem, kiedy przedstawiał lordom i biskupom swoje zamiary i cele.

Janowi nie pozostawało więc nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wypadków, a ja zaczęłam się bać jeszcze bardziej. De la Mare być może poważy się na grę bardzo niebezpieczną, skoro zamierza wystąpić przeciwko władzy króla. A ja wcale nie byłabym gotowa założyć się o to, kto zwycięży!

- Och, Windsorze! - wyszeptalam. - Jakżebym chciała, żebyś był tutaj, w Westminsterze, i dodał mi otuchy...

Niestety, musiałam zmierzyć się z tym sama.

Jan z Gandawy zrelacjonował mi przebieg wydarzeń w parlamencie w sposób dramatyczny. I łup! Spiker de la Mare wali pięścią w lśniące drewno. I łup! I jeszcze raz, i jeszcze raz, po każdym swoim żądaniu. Gdzie podziały się pieniądze z ostatniej darowizny? Nieudane wyprawy wojenne w roku ubiegłym kosztowały krocie. Nowych pieniędzy nie będzie, póki spornych kwestii się nie wyjaśni. I teraz uśmiech, taki gładziutki jak świeżo ubite masło. Ale jeśli Jego Królewska Mość jest skłonny pójść na ustępstwa, będzie to można jeszcze rozważyć.

De la Mare znakomicie się przygotował, czuł, że ma szczere poparcie, więc grzmiał, grzmiał i grzmiał!

Ma powstać Rada Dwunastu. Dwunastu zatwierdzonych ludzi. Tak, zatwierdzonych!

A któż to taki ma ich zatwierdzać?!

Mają być to ludzie znamienici, cieszący się ogólnym poważaniem, którzy będą omawiać z królem wszystkie sprawy handlowe i finansowe. I żadnego więcej sabatu! Ciekawe, dlaczego użył właśnie tego słowa!

Żadnego więcej sabatu samolubnych chciwców skłaniających króla do złej polityki, która nie przynosi Anglii nic dobrego. Bo ci wszyscy, którzy obecnie piastują wysokie urzędy przy Jego Królewskiej Mości, są przekupni. Wszyscy, co do jednego, a żaden z nich nie jest lojalny wobec królestwa, nie przynosi mu żadnego pożytku! Wszystkich należy usunąć z urzędów, odebrać im władzę i bogactwo, i wymierzyć surową karę.

A kiedy zostaną usunięci i parlament... Czyli de la Mare...

Więc kiedy zostaną usunięci i parlament poczuje się usatysfakcjonowany, wówczas Izba Gmin rozważy kwestię pieniędzy na wojnę z Francją. Wtedy... i tylko wtedy!

- Co oni sobie wyobrażają!? - gwałtownie wyrzucił z siebie Jan, a ja obok wzburzenia wyczułam w nim bezradność. - Że to oni są królami i książętami tego królestwa? Skąd u nich tyle pychy, tyle zuchwałości? Czyż nie wiedzą, jak jestem potężny?

Na co odparłam:

- Nie masz żadnej władzy, skoro parlament trzyma w garści sakiewkę tego królestwa...

I to zdanie, choć rozmawialiśmy jeszcze czas jakiś, podsumowało dyskusję.

A potem było już tylko czekanie, jak to się wszystko skończy. I z każdym dniem strach we mnie coraz większy. A skończyło się tak:

Latimer, Lyons i Neville, przyjaciele Jana z Gandawy, zostali postawieni w stan oskarżenia. O co ich oskarżono? Muszę przyznać, że de la Mare i jego sługusy zadziwili znajomością prawa, bo wyszykowali nie

jedno czy kilka, ale aż ponad sześćdziesiąt zarzutów korupcji, nadużyć, lichwiarstwa i wyłudzenia. Oskarżyli o napychanie kieszeni zyskami z handlu i królewskich funduszy, o fałszowanie rejestrów, o sprzeniewierzenie pieniędzy. I tak dalej, i tak dalej. Dostarczono mi kopię tych oskarżeń, którą przeczytałam z rosnącym przerażeniem. De la Mare był żądny krwi, żądny całkowitego zniszczenia.

Kiedy litery zaczęły rozmazywać mi się przed oczami, przedarłam pergamin. Panie Boże Wszechmogący, na czymże tak naprawdę polegała ich wina? Byli poplecznikami Jana, to oczywiste, poza tym starannie pilnowali, czego pilnować należało, a przede wszystkim króla. Ot, choćby Latimer... Z moim cichym udziałem decydował, kto ma dostęp do Edwarda, a kto nie, mając na uwadze ochronę króla, który popadał w coraz większą demencję. Jednak dla de la Mare a była to interesowna, przestępcza samowola, po prostu plaga, którą należało zniszczyć ogniem i krwią. To, że Latimer był bohaterem, że odznaczył się w bitwie pod Crecy, nie miało żadnego znaczenia. Tak samo to, że zawiadywał dworem Edwarda znakomicie. De la Marea odurzyła ledwie co zdobytą władza i było oczywiste, że swój cel osiągnie. A Jan był bezradny.

Król nic nie wiedział o nikczemnej napaści na jego ministrów. Zrobiłam wszystko, by żadne wieści do niego nie dotarły, bo stan jego umysłu pogarszał się z dnia na dzień, coraz bardziej odrywał się od rzeczywistości. I udałooby mi się go uchronić, zaklinając wszystkich dookoła, by ukrywali przed nim prawdę, gdyby nie jeden z rycerzy służących przy królu, przyjaciel Latimera i Lyonsa. Otóż ów rycerz poprosił króla o wstawienie się za jego przyjaciółmi. I koniec z tajemnicą.

Naturalnie, starałam się Edwarda uspokoić.

- Oni tego nie zrobią, Edwardzie. Na pewno nie zrobią.

Pozbawienie urzędu. Wtrącenie do więzienia. Przecież nawet debатовano o egzekucji Latimera i Neville'a!

Edward drżącymi rękoma niezdarnie włożył szatę, szarpiąc za futro. Gdyby był w stanie przechadzać się po komnacie, na pewno by to zrobił. Gdyby był w stanie pojechać do Westminsteru, na pewno by już tam był i stawiał czoło de la Marebwi. Gdyby... Niestety, było inaczej. Stąd łzy w oczach króla z powodu własnej bezradności i nieudolności.

I znów starałam się go pocieszyć, i znów mi się nie udało.

- To nie jest napaść na ciebie, Edwardzie! Oni ciebie nie skrzywdzą - argumentowałam. - Jesteś królem, są wobec ciebie lojalni.

- To dlaczego nie chcą dać mi tych pieniędzy? Próbują rzucić mnie na kolana!

- Jan z Gandawy czuwa nad wszystkim. Proszę, Edwardzie, napij się!  
- Podałam mu kubek z piwem.

- Nie! - Odepchnął kubek. - Tak nie może być, żeby parlament napaść na moich ministrów!

Jego biedny umysł, który atakowały najokrutniejsze demony, nie był w stanie ogarnąć całości, nie pojmował tego wszystkiego, ku czemu zmierzał de la Mare. Podeszłam do niego, objęłam ciepłymi dłońmi lodowatą dłoń.

A on znowu mnie odepchnął.

- Chcę widzieć się z księciem!

- Książę Walii jest zbyt słaby, by tutaj przyjechać.

- Ale muszę z nim porozmawiać, wysłuchać. Może coś mi poradzi? Pojadę do Kennington jeszcze dziś.

- Skoro taka twoja wola...

Nie mogłam go powstrzymać, więc przynajmniej starałam się zadbać, by podczas podróży było mu jak najwygodniej. Ale nie pojechałam z nim. Nie byłam tam mile widzianym gościem, we mnie też były złe emocje, więc w każdej chwili mogło dojść do kolejnego wybuchu wrogości między mną a Joanną, a nie chciałam przysparzać Edwardowi nowych zmartwień. Modliłam się tylko, by książę zdołał jakoś pocieszyć ojca, dodać mu otuchy, bo ja tego nie potrafiłam.

Poczytałam też inne przygotowania, bo przestałam już się łudzić, że Latimer, Lyons i Neville unikną kary. A jeśli oni...

Wprawdzie moje nazwisko nie padło jeszcze z ust de la Marea, byłam jednak pewna, że to tylko kwestia czasu, kiedy po mnie sięgną. Dlatego wsiadłam na barkę i popłynęłam Tamizą do Pallenswick. Po prostu rozsądek nakazywał usunąć się w cień, zniknąć z Westminsteru. Nie ma mnie ani tam, ani w żadnym innym królewskim pałacu. Dyskrecja to dobra polityka. Ale też i martwiłam się bardzo, jak zniesie rozłąkę Edward, jak wpłynie to na jego niedomagający umysł i katastrofalnie słabnące ciało, jeśli nie będzie miał przy sobie mnie, swojej ostoi. Kiedy o tym pomyślałam, radość, że będę razem z córeczkami

w moim ulubionym dworku, nieco przygasła. A szczerze mówiąc, to trudno mi było cieszyć się z czegokolwiek, kiedy czułam, jak nad moją głową gromadzą się czarne chmury naganiane przez de la Marea.

Dni mijały, a ja drżałam ze strachu pełna najgorszych przeczuc. Owszem, trzymałam się z dala od królewskiego dworu, ale trudno, żebym raptem przestała wyczuwać niebezpieczeństwo obnażające kły jak rozjuszony pies. A tak bardzo bym chciała, by było jak w przypadku innego psa, mojej kochanej Braveheart, zawsze pogodnej, bo wiodła życie beztroskie. Ot, choćby teraz zwinęła się w kłębek i zasnęła u moich stóp, śniąc pewnie o samych psich przyjemnościach, jak choćby o uganianiu się za królikami czy myszami.

A ja miałam nerwy napięte jak postronki, nieustannie byłam przepełniona strachem, z tym że sztylet od Windsora nadal leżał w którejś ze skrzyń wyniesionych na strych. Przecież nie obawiałam się niespodziewanej napaści, ataku podstępnego mordercy. Drżałam przed ciężką pięścią prawa.

Trzech królewskich ministrów zostało osądzonych w trybie doraźnym. Zostali uwięzieni, pozbawieni urzędów oraz całego majątku. Na szczęście tylko to, bo słyhać było głosy, by oddać ich katu, ale nawet chytremu de la Mare'owi nie udało się udowodnić im zdrady. Ironizując, można by z tych wydarzeń wysnuć wniosek, że skoro nabijanie kabzy zagraża Jego Królewskiej Mości i królestwu, to w takim razie winni są wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób sprawują rządy. Skazano ich na więzienie! Tak właśnie nagrodzono za wierną służbę królowi i taką cenę przyszło im zapłacić za komitywę z Janem z Gandawy i Alice Perrers!

Czyli teraz kolej na mnie, bo Jana z Gandawy, królewskiego syna, nie będą tykać. Natomiast faworyta króla to łatwy cel, więc ja też mogę skończyć w lochach.

W tych ciężkich dniach bardzo często moje myśli biegły ku Irlandii.

Czy Windsor wie o moim trudnym położeniu? Gdy byłam już całkiem przybita i bezgranicznie smutna, wyobrażałam sobie, jak gna tu na spienionym koniu, by mnie ocalić. Oczywiście to się nie zdarzy, bo jest zbyt daleko, by wyciągnąć pomocną dłoń. Dlatego starałam się odpędzić spod powiek wizje o Windsorze, moim zbawcy. Byłam sama jak

palec, choć Edwardowi dałam wszystko. Moją młodość, moje ciało, urodziłam mu dzieci, służę mu wiernie od lat. A jestem sama.

Przeczenie mnie nie myliło, a kiedy przybyli ci, na których czekałam, i podali zwój pergaminu z czerwonymi pieczęciami, nogi pode mną się ugięły. Usiadłam i zaczęłam czytać. W skroniach pulsowało, głowę rozsadzało. Cóż takiego wymyślili, bym nie była w stanie obronić mej wolności?

Po przeczytaniu pierwszego zarzutu rozszalałe serce nieco się uspokoiło. Bo nie, nie było to coś nieskończenie przerażającego, przed czym nie mogłabym się wybronić.

*Co roku ograbia królewską szkatułę z tysiąca funtów.*

Skąd oni wzięli tę kwotę? Poza tym... ograbiałam?! Każdy funt z tej szkatuły był to podarek od Edwarda. Niczego nie ukradłam, a król ma prawo dawać mi podarki wedle własnej woli. A jeśli nawet pożyczyłam pewne kwoty na zakup dworu czy praw feudalnych, zawsze działa się to za przyzwoleniem Edwarda. Zawsze, z wyjątkiem dworu Hitchin i dworu Plumpton End, które nabywałam w tym czasie, gdy Edward całkowicie oderwał się od rzeczywistości. A to, co pożyczyłam, zawsze oddawałam, chyba że zdarzyło mi się coś przeoczyć. Cóż... Będę musiała się bronić przed zarzutem oszustwa i sprzeniewierzenia.

*Zagabiła klejnoty królowej Filipy. Wkłada je, bo wstydu nie ma, i obnosi się ze swoim nikczemnym związkiem z Jego Królewską Mością.*

Tak. Wkładałam te klejnoty. Tak, wstydu nie mam. Czyż Edward mi ich nie podarował? Przecież taka była jego wola, a ja miałam prawo je przyjąć.

*Odgrodziła króla od poddanych. Omotała go, by wycisnąć z niego złoto i władzę.*

Prawda, odgradzam go, ale dlatego, że go chronię. Jeśli to przestępstwo, to odpowiem za nie. Ale to na pewno nie jest zdrada.

*Kiedy kupuje ziemię, wykorzystuje to, że jest na królewskim dworze. Jest tak zuchwała, że potrafi usiąść obok sędziów i zręcznymi słowami wpływać na ich werdykt i zawsze z korzyścią dla siebie.*

Owszem, tak zrobiłam. Gdybym była mężczyzną, uznano by, że mam prawo bronić przed sędziami swoich interesów, i nikt by mnie nie oskarżał. Jednak chcą mnie ukarać, bo przekroczyłam granicę określoną dla mej płci. Ale to też nie jest zdrada.

Moje serce było już normalnie. Poradzę sobie. Nie dam się zgnieść, a oni wkrótce znajdą nową ofiarę i gdzie indziej zwrócą oczy. Edwarda martwić tym nie będę, bo to tylko czcze pogrożki. Tak zadecydowałam i wróciłam do Westminsteru. A w czerwcu, kiedy upały wszystkim dawały się we znaki, napisałam do Windsora:

*Latimer, Lyons i Neville zostali uwięzieni. Bardzo nad tym boleję, ale nie mogłam im w niczym pomóc, fan z Gandawy jest bardzo zły, a Edward niepokieszony. Natomiast de la Mare jest rozgoryczony, bo nie może mi udowodnić zdrady. Myślę, że będą zadowoleni, jak się mnie pozbędą.*

*Nie ma potrzeby, byś niepokoił się o mnie. Nic mi nie zagraża. Ale ostatnio bardzo żałowałam, że Ciebie tu ze mną nie ma. „Edward jest niepokieszony”.*

Ale nie z mojego powodu, bo nie powiedziałam mu o tych oskarżeniach. Jakżebym mogła to zrobić, kiedy oplakuje najstarszego syna! Księżę Walii umarł.

W ostatnich dniach jego życia byłam tam, razem z królem, jak i tych wielu, którzy przybyli i z Londynu, i z bardzo daleka, by być w tej chwili ostatecznej przy wielkim rycerzu. I wszyscy byli bardzo przybici, że czas księcia już nadszedł. Kiedy patrzyli na niego, już na w pół przytomnego, i kobiety, i mężczyźni nie wstydzieli się łez. Joanna cały czas siedziała przy nim, lecz oczy miała suche, bo była odrętwiała z rozpaczy.

Ja płakałam przede wszystkim dlatego, że tak bardzo mi było żal Edwarda, który musiał patrzeć, jak umiera jego najstarszy i najukochańszy syn, jego wielka nadzieja. Bo to on miał rządzić Anglią, miał jej bronić. A jakie nadzieje można pokładać w Ryszardzie, wylęknionym dziewięcioletnim chłopcu, którego przyprowadzono do komnaty, by pożegnał się z ojcem i został uznany za przyszłego króla Anglii?

Księżę coraz częściej tracił przytomność, a kiedy co jakiś czas ją odzyskiwał, piękna szlachetna twarz krzywiła się ze straszliwego bólu.

Edward był przy synu do samego końca. Rozpacz ukrył głęboko, tylko twarz była szara jak popiół. Po powrocie do swej komnaty podszedł do łoża, położył się i leżał nieruchomo, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, jakby śmierć księcia odebrała mu wszystkie siły. Więcej, jakby odebrała mu życie. Siedziałam przy nim długo w noc, myślałam o tym, jak dobrze się stało, że nie powiedziałam mu - i nie



powiem - o napaści na mnie. Także dlatego, że nic mi nie będzie, bo Izba Gmin już nasyciła się krwią Latimera i Lyonsa. Dowody przeciwko mnie są marne, więc szkoda zachodu na tę sprawę.

Powtarzałam to sobie wielokrotnie, bo bardzo chciałam w to uwierzyć. I po co, skoro tak gorzko się pomyliłam? Nie powinnam się była łudzić, lecz szykować się na najgorsze, wiedzieć, że de la Mare poruszy niebo i ziemię, byle tylko zebrać dowody przeciwko mnie. Bo już niebawem miałam się przekonać, do czego gotów posunąć się dyszący żądzą zemsty spiker Izby Gmin.

Byliśmy w Sheen, w pałacu wśród lasów pełnych zwierzyny. Miałam wielką nadzieję, że pobyt tutaj wpłynie korzystnie na Edwarda, że obudzi się w nim choć odrobina optymizmu. Do Sheen zjechał też Wykeham, znów wyniesiony na urzędy, teraz jeden z owych dwunastu, którzy mieli doradzać królowi, zamiast tamtych nikczemnych ministrów. Przyjechało też kilku kupców, przedstawiciele Londynu. Przywieźli petycję do Jego Królewskiej Mości, w której skarżyli się na opłakany stan praw miejskich i porządku w stolicy królestwa. Bardzo chcieli, by król ich wysłuchał. Byli zdeterminowani, ale ja też. Nie wpuszczałam ich do króla, a oni nie ustępowali. Chcą widzieć się z królem i prosić o interwencję. Naturalnie, że mieli do tego prawo, i słusznie, że przybyli z tym do króla. W końcu ugięłam się i wpuściłam ich, również dlatego, że w tym wszystkim musiał maczać palce de la Mare, a ja nie chciałam dolewać oliwy do ognia.

Audiencja odbyła się nie w wielkiej sali audiencyjnej, lecz w jednej z komnat. Tam zasiadł król i tam weszli kupcy. Pokłonili się nisko przed majestatem, lecz Edward nie uczynił najmniejszego gestu, był nieruchomy jak posąg.

Wybacz, Edwardzie! Wybacz mi! - błagałam go w duchu, gotowa nad nim zapłakać po raz drugi tego dnia. Ja, która płakałam tak rzadko, prawie wcale. Czyżby de la Mare naprawdę nie rozumiał, dlaczego staram się trzymać Edwarda z dala od poddanych?

Ubraliśmy go w złociste szaty i sprytnie przywiązaliśmy do krzesła, by wyglądało to normalnie. Niestety wyglądało to tak, jakby na tronie siedziała figura, a nie żywy człowiek. Nieruchomy patrzył pustym wzrokiem na kupców, kiedy uskarżali się, że pokój w królestwie jest

zagrożony. A gdy przeszli do szczegółów, opisując karygodne zachowanie gawiedzi i żołdaków Jana z Gandawy, a także napaść na biskupa Londynu, Edward, nieświadomy przecież, co się dzieje, wymamrotał coś, czego nikt nie mógł usłyszeć, a już zrozumieć na pewno.

- Przecież to parodia - mruknął Wykeham, który razem ze mną ustawił się z boku, w pewnej odległości od tronu.

- Tak. Ale to konieczne.

- Dlaczego?

- Bo de la Mare oskarża mnie, że stanęłam między królem a jego poddanymi. Co jest prawdą, ale, na Boga, sam widzisz dlaczego!

- Widzę... - odparł Wykeham wpatrzony w Edwarda, który wyglądał jak posąg. - Plebejusze nie powinni go widzieć w takim stanie.

- A król nie powinien doznawać takiego upokorzenia! Zmuszać go, by ukazywał się innym w takim stanie, to podłość!

- Tak. To okrutne. - Wykeham westchnął, a kiedy jeden z rycerzy stojących po obu stronach tronu złapał króla za ramię, by siedział prosto, znów odezwał się półgłosem: - Alice, nalegam, zakończ to. Tak nie może być.

Kupcy zamilkli. Na ich twarzach widać było niepewność, przerażenie i wielkie współczucie.

Wysunęłam się do przodu i oznajmiłam:

- Panowie, audiencja skończona.

Kupcy pokłonili się królowi, a kiedy wyszli z komnaty, dotknęłam ręki Edwarda, ale nawet nie drgnął.

- Odprowadźcie Jego Królewską Mość do komnat - poleciłam rycerzom. - Zaraz tam przyjdę.

- Nie miałem pojęcia, że jest aż tak bardzo źle - odezwał się cicho Wykeham.

- Śmierć księcia bardzo go dotknęła.

- Jakie to żalosne.

- Bardziej niż żalosne... - Serce się krajało, kiedy rycerze po prostu podnieśli króla z tronu i niby prowadząc, tak naprawdę go nieśli. Nie miałam już siły na to patrzeć. - Co cię sprowadza tu, panie? Mam nadzieję, że przywiozłeś jakieś dobre wieści.

- Nie.

- Ale powiedz. Nic nie może być gorszego niż to, co właśnie widzieliśmy.

- Niestety może być, pani. Proszę, przejdźmy do jakiegoś odosobnionego miejsca, bo to rozmowa delikatna.

Delikatna... Już czułam, jak paniczny strach zaczyna ścisnąć mnie za gardło.

Kiedy tylko wyszliśmy z komnaty, Wykeham zaczął wyjawiać przyczynę swego przybycia:

- Sądzę, pani, że powinnaś wiedzieć, co wygaduje de la Mare, by podburzyć przeciwko tobie Izbę Gmin.

- A cóż on znowu wymyślił? Może ukryłam wszystkie klejnoty z królewskiego skarbcza, z koroną Edwarda włącznie, bo chcę mieć na chleb, kiedy będę znowu biedna?

- Nie. Coś gorszego... - Wykeham rozejrzał się dookoła, upewniając się, czy nikt nas nie słyszy, i szepnął mi wprost do ucha: - De la Mare pomawia cię o nekromancję...

Wielki Boże! Stałam jak wryta, a moje palce jak szpony wbiły się w nadgarstek Wykehama.

Nekromancja? Przyzywanie duchów zmarłych? Czyli czary!

W pierwszej chwili ogarnął mnie pusty śmiech. Przecież to absurd! Ale ochota do śmiechu od razu przeszła, a w głowie zapanowała gorączka. Nekromancja! Oskarżenie straszliwe, ale przecież dowodów żadnych nie mają... Chyba że... O Matko Przenajświętsza! Chyba że usłużna Joanna wspomniała de la Mare'owi o skrzyneczce z lekami, a on zrobił z tego użytek! Nie, to niemożliwe. Przecież w tej skrzyneczce były medykamenty, o których wie każda dobra żona!

- Nie! Nie może mnie o to oskarżyć!

- Pani, najpierw mnie wysłuchaj. Powiem ci wszystko, czego się dowiedziałem.

Poszliśmy do ogrodu, gdzie mogliśmy i chodzić, i przysiąść, i rozmawiać swobodnie, bo nikt nas nie mógł podsłuchać. Zobaczyć - tak, i być może zdziwić się, bo o czymże może rozmawiać biskup Winchesteru z faworytą króla? Chyba że faworyta tyle nagrzeszyła, że koniecznie chce się wypowiedzieć.

- Nie jestem czarownicą! - wykrzyknęłam, kiedy zaleźliśmy miejsce, gdzie nie było żadnych ludzi.

- Twój medyk ma zdanie odmienne.

- Mój medyk?!

Chodziło o ojca Oswalda, miłego i przyjaznego benedyktyna, który pojawił się na królewskim dworze przed wieloma laty. Zawsze uważałam go za człowieka bardzo lojalnego.

- A cóż on takiego mówi? - spytałam, gorączkowo szukając w pamięci czegoś, co zrobiłam lub powiedziałam, i co mogłoby posłużyć do wysunięcia oskarżeń o kunszchty z diabłem. Owszem, kiedyś przyrządzałam te głupie napoje miłosne dla dam. Ale to było tak dawno. Robiłam maści i nalewki dla Filipy, by uśmierzyć ból. Czy robiąc taki napój, trzeba posłużyć się nieczystymi siłami? Czy to czary? Na Boga! Jeśli ojciec Oswald tak twierdzi, to chyba postradał rozum.

- Na twego medyka, pani, wywarto pewien... nacisk. Tak wielki, że wylał się z niego prawdziwy potok słów.

- O Boże! Tortury?

- Moim zdaniem tak.

Teraz naprawdę powiało grozą, bo ileż to kobiet oskarżono o kunszchty z diabłem i skazano na straszną śmierć albo przez utopienie, albo w płomieniach.

- Nie jestem czarownicą!

Wykeham bez słowa pociągnął mnie jeszcze dalej, w głąb ogrodu, gdzie był zegar słoneczny. I tam przystanęliśmy naprzeciwko siebie, po obu stronach zegara. Biskup i nałożnica w zielonym ogrodzie w środku lata, w pełnym słońcu, ale nie czułam ciepła jego promieni. Czułam zimny powiew śmierci.

- Powinnaś, pani, mieć całkowitą jasność, co to wszystko oznacza - powiedział Wykeham. Mówił oschle, ale byłam pewna, że w jego pełnym powagi spojrzeniu kryło się współczucie. - Jeśli tylko będą mogli, zaszczują cię na śmierć. - Mocne słowa. Cóż... Wykeham, osoba duchowna, prawi kazania, z mocnymi słowami jest za pan brat...

- A kto dostarczył dowód? - spytałam.

- John de la Mare, dziwnym trafem brat spikera Izby Gmin! Przyjechał do Pallenswick i przywiózł ze sobą nocnik pełen moczu. Powiedział, że bardzo niedomaga i prosił ojca Oswalda, by doszedł, cóż to za dolegliwość. A twój medyk, człowiek pobożny i uczynny, oczywiście się zgodził.

- Bo ojciec Oswald zawsze był głupi i naiwny, jeśli chodzi o innych ludzi. Nie miał żadnych podejrzeń?

- Chyba nie, skoro dał się zawieźć do Londynu, a tam przystąpiono do przesłuchania. Jak powiedziałem, jestem pewien, że użyto siły... - rzekł Wykeham, odprowadzając wzrokiem szczygła, który wyleciał z pobliskich krzewów. - Aha... rozpowiadają też, że byłeś w Pallenswick, kiedy przyjechali po ojca Oswalda. I byłeś blada ze strachu!

- Na Boga! Przecież mnie tam nie było!

- Niestety, Pan Bóg chyba nie ma na to żadnego wpływu. Raczej diabeł, bo ten twój mnich wykonał robotę iście diabelską.

I Wykeham wyliczył wszystkie oskarżenia, wobec których sprzeniewierzenie czy oszustwo były co najwyżej małym grzeszkiem. Wszystkie zarzuty zmierzały naturalnie ku oskarżeniu mnie o nekromancję. Wszystkie naturalnie niesłuszne, ale też i wszystkie takie, że nie sposób udowodnić, że są fałszywe.

- Twój medyk twierdzi, że kazałaś mu narysować dwa obrazki. Na jednym byłaś ty, na drugim Jego Królewska Mość. Te dwa obrazki kazałaś mu związać ze sobą mocno węzłem nierozzerwalnym, i to sprawiło, że Edward cię kocha... To ich słowa, nie moje, Alice. Twój medyk ponadto zrobił dwa pierścienie o czarodziejskich właściwościach, a ty wsunęłaś je na palce króla. Pierwszy odświeżył jego pamięć, utrwalił w jego głowie myśl przewodnią. O tobie, naturalnie. Ty stałaś się tam najważniejsza. A kiedy wsunęłaś mu na palec drugi pierścień, pamięć umarła. Zapomniał o wszystkim i wszystkich oprócz ciebie. Przyrządzał też napoje miłosne. Zbierał zioła o północy, tak jak mu kazałaś, i dzięki tym pierścieniom, napojom i ziołom udało ci się omotać króla... Cóż, trzeba przyznać, że natrudziłaś się niemało.

- I ty w to wszystko wierzysz, panie? Wykeham wzruszył ramionami, po czym dodał:

- Twój medyk powiedział jeszcze, że rzuciłaś urok na Jana z Gandawy i księcia Walii, dzięki czemu mogłaś ich wykorzystać.

- Obu? - pisnęłam, bo innego głosu nie byłam w stanie z siebie wydobyć. - Tak, obu. Myślę, że tego drugiego dorzucił o tak, żeby było ich więcej.

O Panno Przenajświętsza! Co mam zrobić? Śmiać się czy płakać?

- Czyli mojemu medykowi brak przenikliwości, bo choć na księcia Walii też miałam chrapkę, lecz w jego przypadku poniosłam porażkę. Ale z Janem z Gandawy poszło jak się patrzy, bo w naszym sojuszu widzimy obopólne korzyści!

Niby żart, a naturalnie żadne z nas się nie uśmiechnęło. Na chwilę zapadła cisza, a potem znowu odezwał się Wykeham:

- Spiker Izby Gmin będzie umiał to wykorzystać.

- Oczywiście! - Zaczęłam zastanawiać się gorączkowo, jaki będzie ich kolejny krok. - Powiedz, panie, co zrobili z moim nieszczęsnym medykiem?

- W stanie godnym pożałowania odesłali go z powrotem do St Albans. Z nim już skończyli, teraz chcą ciebie. - Spojrzenie Wykehama było bardzo chłodne.

Czegóż mogłam się spodziewać, jak nie słów potępienia? Które jednak nie padły.

- Jestem ci wdzięczna, panie, że przyjechałeś, żeby powiedzieć mi o tym. - Och Boże! Cięń na zegarze słonecznym przesunął się odrobinę, a ja miałam wrażenie, że całe godziny minęły od złowrogiej chwili, gdy z ust Wykehama po raz pierwszy uleciało to straszne słowo. Czary. Od chwili, gdy całym moim światem zawładnął strach. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy wierzysz w te oskarżenia, czy nie.

- Może grzech chciwości. A na pewno pychy...

- Och, Wykehamie! - Czyżby miał zamiar przedstawić całą listę moich przewinień?

- Ale czary? Nie - dokończył stanowczym głosem. - Wierzę, że darzysz króla wielkim uczuciem i nigdy nie uczyniłabyś mu żadnej krzywdy.

- Dziękuję. Jesteś jednym z niewielu. - Co dawało pociechę, choć niewielką.

Powiał wiatr. Wygnał z ogrodu pszczoły, a przygnał deszcz, dlatego ruszyliśmy w stronę pałacu. Szłam i myślałam o tym, jak bardzo człowiek jest bezbronny. Ktoś rozpowiada na prawo i lewo okropne kłamstwa o mnie, żeby mnie oczernić, a głupi ludzie wierzą...

Kiedy pierwsze krople deszczu upadły na ziemię, spytałam:

- Czy mogą uznać mnie za winną? - Gdy Wykeham milczał, dodałam zdecydowanym tonem: - Proszę, panie, nie oszczędzaj mnie. Powiedz szczerze.

- Nie mam zamiaru ukrywać przed tobą prawdy. Uznają cię winną. De la Mare jest jak pies, któremu ślina leci z pyska na widok zdobyczy. Udało mu się dopaść Latimera i Lyonsa, a jego pewność siebie nie zna już granic. Grzech pychy ma wypisany na czole.

- A jeśli udowodnią mi winę, jaka będzie kara? Śmierć? Wykeham zastanowił się przez dłuższą chwilę, nim odparł:

- Nie, to niemożliwe. Przecież nikogo nie zabiłaś. Najpewniej pokuta i post, w najgorszym przypadku więzienie.

- W takim razie zakładam, że spotka mnie to, co najgorsze - stwierdziłam, czując stalową obręcz na sercu. - Nie sądzę, żeby de la Mare zadowolili się kilkoma posiłkami bez mięsa i Modlitwą Pańską. - Uwięzienie... Staralam się tej myśli nie dopuszczać o głowy, lecz sama tam się wdzierała. - Co ja mam teraz zrobić, Wykehamie?

- Radzę schronić się w Pallenswick.

- Nie - odparłam bez wahania. - Król bardzo mnie teraz potrzebuje. Widziałeś przecież, w jakim jest stanie.

- Cóż... W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak być tu i czekać. Może de la Mare poniecha tej sprawy...

Znów zawiesił głos, wahał się, więc sama dokończyłam:

- Albo wynajdzie coś jeszcze gorszego!

- Co?! - Wykeham wpił we mnie wzrok. - Cóż jeszcze mogłaś zrobić?

Potrząsnęłam głową i spojrzałam w dal ponad koronami drzew drżącymi na wietrze. Cóż takiego mogłam jeszcze zrobić? Owszem, miałam pewną tajemnicę i modliłam się gorąco, by przynajmniej jeszcze przez jakiś czas tajemnicą pozostała, ponieważ prawda dla Edwarda byłaby zbyt bolesna.

A jeśli się nie uda? Jeśli prawda wyjdzie na jaw?

Kiedy byłam już w swojej komnacie, by zdjąć ochlapane błotem suknie, nagle chwyciłam śliczny dzbanek i cisnęłam nim o ścianę. Czego zaraz pożałowałam, bo wcale nie poczułam się lepiej. Tyle z tego było, że służąca miała trochę więcej roboty.

Wykeham odjechał, a ja wróciłam do Edwarda, do jego wielkiej komnaty. Złocistej szaty król nie miał już na sobie, wychudzone ciało spowite było w luźną szkarłatną szatę obszytą futrem. Siedział na krześle, naturalnie koło kominka, bo teraz Edwardowi zawsze było zimno, nawet w upalny dzień. Głowa spuszczone, drzemał, a na stoliku kubek z piwem. John Beverley, służący, stał nieopodal, król mógł przecież w każdej chwili się obudzić i czegoś potrzebować. Dałam Johnowi znak ręką, że może odejść, i przysiadłam na stołeczku u stóp Edwarda. Moje stałe miejsce, kiedyś siadywałam tak jako młoda dziewczyna u stóp króla, wówczas mężczyzny w kwiecie wieku... Ale nie była to pora na wspomnianie dawnych czasów. Oparłam się głową o krzesło, a w głowie tej nadal odbijały się echem ostrzeżenia Wykehama. Czy rzeczywiście był przekonany, że nie spotka mnie surowa kara? Może i tak, ja w każdym razie dopuszczałam taką możliwość. Więcej, po prostu byłam pewna, że więzienne mury mnie nie ominą.

Kiedy Edward poruszył się, spojrzałam w górę, zadowolona, że coś oderwało mnie od okropnych myśli. Powieki Edwarda uniosły się powoli, spojrzenie jasne, przytomne. Co za radość!

- Edwardzie!

- Alice! - Głos też był jasny, mocny. - Moja kochana dziewczyna. Stęskniłem się za tobą.

- Spałeś, Edwardzie, a ja siedziałam przy tobie. A przedtem miałeś audiencję, przyjechali kupcy z Londynu.

- Nic nie pamiętam. - Westchnął. - Podaj mi piwo. - O tak, Edward czasami i wobec mnie był władcą. Podałam mu kubek. Wypił parę łyków i zarządził: - Pośpiewaj mi, Alice.

Ja?! Śpiewać? Biedny Edward rzeczywiście niewiele już pamięta.

- Mogę ci pośpiewać, ale na pewno nie znajdziesz w tym przyjemności. Wiele razy mówiono mi, że wydaję z siebie dźwięki podobne do żalostnego skrzywienia starych, zardzewiałych zawiasów w drzwiach.

Kto to powiedział? Oczywiście Izabela. Złośliwie, ale również zabawnie, dlatego uśmiechnęłam się. Król też, i na duszy zrobiło się troszkę lżej.

- Edwardzie, może przeczytam ci wiersz. Wpadł mi do rąk niedawno. To wiersz o kochankach nie pierwszej już młodości, czyli o nas. - Oparłam się o jego krzesło, wyjęłam spod sukni torebkę,



a z niej książeczkę. - W tym wierszu mowa o tym, jak zimna jest zima, a miłość gorąca. Bardzo lubię ten wiersz. Tobie też na pewno się spodoba.

I zaczęłam czytać powoli i wyraźnie, by każde słowo dotarło do Edwarda.

*- Liście opadają, lato poszło sobie,  
To, co było zielone, w zwiędły brąz spowite, Całe ciepło przyrody  
uleciało gdzieś w dal, Promień słońca oświetlił ostatni dom w tym  
roku...*

- Tak, to prawda, Alice. Zima trzyma mnie w swych szponach nawet w upalne lato - powiedział Edward z trudem. Oddech miał świszczący, jakby mówienie sprawiało mu ból. - I jakimż mężczyzną się stałem! Nie masz ze mnie żadnego pożytku...

- Och, Edwardzie, nie mów tak. A ten wiersz wcale nie jest smutny. Posłuchaj:

*Na całym świecie, w każdym zakątku ziemi, Tylko ja jestem ciepła,  
coraz cieplejsza. W moim sercu zachwyty, bo czuję ten żar, Który  
rozniecił pan mego serca. To miłość.*

- Masz piękny głos, Alice. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, właśnie w pierwszym rzędzie to zwróciło moją uwagę.

- O, raczej nie! Pierwszy raz zobaczyłeś mnie w kaplicy w Havering, pamiętasz? Oskarżono mnie o kradzież. Jestem pewna, że piszczałam i skrzeczałam jak stara handlarka na rybnym targu. A ty wtedy byłeś bardzo przejęty nowym zegarem.

- Popatrz... W ogóle tego nie pamiętam... - Odszukał moją rękę i zacisnął palce wokół moich palców.

Czułam jego spojrzenie na mojej twarzy, na ustach, kiedy czytałam ostatnie i pełne czułości linijki.

*- Ogień w mym sercu podsycą mój pan Pocałunkami, delikatnym  
dotykami*

*I światłem błyszczących oczu.*

*Światłem, jakiego ci nie da niebo ni ziemia.*

- Koniec - oznajmiłam, zamykając książeczkę. - I teraz już wiesz, mój kochany, że miłość trwa, oprze się najsurowszej zimie, oprze się upływowi czasu.

Cisza. Edward znowu zasnął. Był taki słaby. Bardzo ubolewał nad tym, nad tym ciągłym ubytkiem sił, a mi serce się krajało. Nie dzieliliśmy już łoża, ale po wspólnych trzynastu latach byliśmy do siebie bardzo przywiązani. Nawet teraz, kiedy drzemie, jego palce zaciskają się na moich.

Tak mi dobrze było przy nim. Tak dobrze, że strach stał się o wiele mniejszy. Czary nie czary, nie pozwolę, by cokolwiek nas rozdzieliło. By ktokolwiek nas rozdzielił... Będziemy zawsze razem, król Edward i ja, aż wreszcie dobry Bóg powoła go do siebie, uwalniając od wszystkich ziemskich dolegliwości.

- Czy to prawda?! - zagrzemiał Wykeham już od progu. Znowu przyjechał do Sheen i znów był rozsierdzony.

- A co ma być prawdą? Jakies nowe pomówienia nikczemnego de la Marea, które zamierzasz mi wyliczyć? Jeśli tak, to dziękuję. Nie będę tego słuchać.

Och, nie byłam uprzejma, bo po prostu padałam z nóg. Tym razem nie była to audiencja u króla, lecz wypominki, które zarządził Edward, by uczcić pamięć zmarłej matki i zmarłej żony. A przedtem przez cały tydzień nie odezwał się ani słowem do nikogo ze służby ani do Pana Boga, do mnie naturalnie też nie. Wypominki odbyły się w blasku zapalonych pochodni i blasku złotych szat. Ja w tym czasie usunęłam się w cień.

Teraz stałam na środku wielkiej sali, Wykeham ryczał, a ja już wiedziałam, że mój los jest przesadzony. Kiedy był tu poprzednim razem, by ostrzec, że oskarżają mnie o nekromancję, był zatroskanym, pełnym powagi duchownym. Teraz przybył straszliwy posłaniec zagłady. Kat. I wiedziałam już, o co chodzi.

- Wzięłaś go sobie za męża?! O Matko Przenajświętsza!

Oczywiście natychmiast podjęłam rozpaczliwą próbę udawania, że nie wiem, o co chodzi.

- Ja? Kogo?

- Ty! I dobrze wiesz kogo! - Wbił we mnie płonący wzrok i czekał. Spodziewał się, że dalej będę zaprzeczać? Przecież dobrze wiedział, że akurat temu zaprzeczyć nie mogę.

- Tak! - powiedziałam, unosząc wysoko głowę. - Zrobiłam to.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego! Coś... tak nierozważnego!

- Nierozważnego... - Uśmiechnęłam się, choć naturalnie nie było w tym ani krzty wesołości. - Lepiej powiedz od razu, panie, kto podsunął de la Mare'owi tę bezcenną wieść? Bo byłam pewna, że nikt o tym nie wie.

- Czy to ważne?! - huknął, a potem wysyczał: - Kiedy?

- Tuż przed jego powrotem do Irlandii.

- Co?! Przed dwoma laty?! Jesteś jego żoną od dwóch lat?! - Znów krzyczał bardzo głośno, coraz głośniej, a słowa odbijały się szerokim echem po wielkiej sali. - Na Boga, Alice! Czy Edward o tym wie?!

- Nie.

Wykehamowi na szczęście starczyło rozsądku, by wreszcie zniżyć głos prawie do szeptu, gdy perorował dalej:

- Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Przecież przez ciebie Edward został cudzołożnikiem!

A ja wyprostowałam się i odparłam hardo:

- Oboje cudzołożyliśmy, kiedy żyła Filipa, prawda? A więc co za różnica?

Wykeham podszedł do kominka, z furią kopnął popiół w otwartym palenisku i na posadzkę sypnęło deszczem złocistych iskierek.

- Dlaczego, Alice? Dlaczego to zrobiłaś?! Jeśli chodziło tylko o rozkosze łoża, to nie mogliście się obejść bez błogosławieństwa Kościoła? I kogóż ty sobie wybrałaś? Na litość boską! Tego drania bez żadnych zasad, egoistę...

Złociste iskierki pogasły, zmieniły się w szary pył zaścielający posadzkę. Patrzyłam na ten pył i myślałam, że pod tym płaszczem ambicji i porywczosci istnieje inny Windsor, człowiek niezwykle uczciwy, który jak nikt inny potrafi zadbać o mnie... Ale o tym Wykehamowi opowiadać nie będę.

- Wzięłam go sobie za męża, bo... poprosił mnie o rękę.

- Alice!

- Posłuchaj, panie. Naprawdę posłuchaj, bo bardzo mi zależy, żebyś ty, właśnie ty miał jasny obraz. Muszę myśleć o swojej przyszłości. Nie mam żadnej rodziny. Urodziłam się z niczym, i prawdopodobnie będę musiała do tego stanu powrócić, jeśli o siebie nie zadbam. Nie chcę też, by moje dzieci żyły w nędzy albo na łasce obcych ludzi, jak to było ze mną.

- Przecież masz już tyle ziemi, że na łyżkę stawy wystarczy, prawda? I nie tylko!

- Owszem, ale oprócz ziemi potrzebuję u swego boku mężczyzny.

- Dobrze, rozumiem... Tylko po co ślub?!

- Bo ten mężczyzna dał mi to, czego nikt inny nie dał. A poza tym, panie, to nie jest cudzołóstwo. Król i ja nie dzielimy już łoża... - Wykeham, choć polityk i dygnitarz, to również i duchowny, stał się nagle czerwony jak burak. - Och, panie, nie bądź pruderyjny. Dobrze wiesz, że mężczyzna w pewnym wieku nie jest już zdolny do wszystkiego.

- Ale po co ten ślub? Król przecież uznał twoje dzieci. Na pewno nigdy nie będą cierpieć biedy.

- Tak, już o to zadbał, ale kiedy mały Ryszard zasiądzie na tronie, jego matka Joanna niewątpliwie zadba, by królewska szkatuła dla mych dzieci była szczelnie zamknięta. Jestem tego pewna, tak po prostu się stanie. A dzięki temu małżeństwu moje córki mają zapewnione wiano. I dlatego, między innymi, nie żałuję swego kroku.

- Ale co na to Edward? Jeśli się dowie?

Oczywiście wiedział, że to pytanie jest dla mnie niezmiernie trudne. Ale zadał je, więc udzieliłam odpowiedzi:

- Będzie zraniony. Nie może być inaczej.

- Musisz mu o tym powiedzieć. Chyba że już wie...

- Nie wie, a ja wznoszę modły, by nigdy się nie dowiedział. Kiedy Wykeham wreszcie sobie poszedł i zostałam w wielkiej sali

sama, pomyślałam, że czegoś jednak nie powiedziałam Wykehamowi. Czegoś bardzo istotnego. Mianowicie nie powiedziałam, że poślubiłam Windsora - podczas naszej rozmowy to nazwisko nie padło ani razu! -bo go kocham. Ależ tak! Nie ma już co siebie oszukiwać. Kocham, a jak człowiek kocha, to jest taki słaby i bezbronny...

Edward wiedział. Niepojęte, jak szybko roznoszą się plotki, a na dworze królewskim zawsze plotkowano zawzięcie. I jedna z tych plotek uczyniła całe to zło. Dobiegła do uszu Edwarda, a jego umysł od razu odzyskał jasność.

- Zdradziłaś mnie, Alice. Zdradziłaś moją miłość do ciebie. - Bez przerwy pocierał ręce, składał dłonie, raz jedna była na wierzchu, potem druga, i znów pocierał i drapał do krwi.

A ja, udręczona poczuciem winy, padłam przed nim na kolana i wyciągnęłam rękę, pragnąc pomóc rozedrganym dłoniom się uspokoić. A Edward, czego nigdy dotąd nie robił, zwrócił twarz w inną stronę.

- Nie chcę cię tu widzieć. Wyjdz.

Na moment zamarłam, ale byłam w pełni świadoma, że mam to, na co sobie zasłużyłam.

Czy Izba Gmin miała litość nade mną? Oczywiście, że nie. Dyszeli przecież żądzą zemsty. Wezwali mnie, bym stawiała się w Westminsterze, w komnacie z malowidłami. Naturalnie stawiałam się, przecież nie miałam wyboru.

Stawiałam się przede wszystkim przed posępną twarzą de la Mare'a, posępną i nikczemną. Stawiałam się, by usłyszeć zarzut, że za moją sprawą król Anglii cudzołożył, dlatego poniosę zasłużoną karę.

Bałam się bardzo. Bałam się najgorszego.

Przynajmniej pozwolili mi usiąść. Przyniesiono niski stołek. Usiadłam sztywna, wyprostowana, zdecydowana z godnością wysłuchać, jaki czeka mnie los. Głowę uniosłam wysoko, bo nigdy jej nie pochyle przed tym łajdakiem, tym de la Mareem. A co do ukarania, to niech wymyślają, co chcą. Najgorsza kara już mnie spotkała. Edward odtrącił mnie, więc nic gorszego nie może mnie spotkać.

Nic?

Oczywiście, tak. Coś o wiele gorszego.

Przekonałam się o tym, gdy drzwi wspaniałej komnaty otworzyły się i do sali wkroczył... Edward! Król Edward wezwany przed oblicze swego własnego parlamentu, by odpowiadać za moje i swoje grzechy. W jego spojrzeniu, kiedy przemknęło po wyjątkowo licznej widowni, dostrzegłam strach.

Co było wprost przerażające! Zerwałam się ze stołka zrozpaczona i dławiąca się poczuciem winy, gotowa biec do króla i paść przed nim na kolana.

Ale on na mnie nawet nie spojrział, całkowicie skupiony na tym, by godnie dojść do tronu. Powoli, krok za krokiem, aż wreszcie usiadł wyprostowany po królewsku i spojrział na tych, co go oskarżają.

A ja modliłam się gorąco, by mścili się tylko na mnie. Edwarda nie tykali, bo niczym sobie na to nie zasłużył. I tak bardzo chciałam, by na mnie spojrział. I wiedziałam, że cokolwiek ode mnie zażądata, to nie zdradzę Edwarda bardziej, niż już go zdradziłam. Nie powiem ani nie zrobię niczego, co mogłoby sprawić, że poczuje się jeszcze bardziej upokorzony. O Boże wielki! Sam fakt, że musi być tutaj, jest już wystarczająco przerażający!

De la Mare pokłonił się.

- Wielki to zaszczyt dla nas, że Jego Królewska Mość raczył przybyć.

Opadłam na stołek i zmartwiała czekałam na ciosy, które zaraz zada de la Mare.

Stanął przed władcą.

- Wasza Królewska Mość, jesteśmy bardzo zaniepokojeni postępami pani Perrers, postępkami tak haniebnymi, że trudno w nie uwierzyć. Postępkami wymierzonymi przeciwko Waszej Królewskiej Mości.

Gładko, przerażająco gładko i z okazaniem należnego władcy szacunku, zanim wbije sztylet w serce Edwarda, który wciąż nic nie podejrzewa.

Król zamrugął, splótł palce u rąk.

- Mamy podstawy sądzić, panie, że Alice Perrers naraża duszę Waszej Królewskiej Mości na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Czy ośmieli się oskarżyć Edwarda o to, że jest współwinny cudzołóstwa? Moje paznokcie wryły się głęboko w dłonie.

- Czy byłeś, panie, świadomy, że pani Perrers przed dwoma laty zawarła święty związek małżeński z rycerzem Williamem de Windsorem?

Oślupiały Edward tylko pokręcił głową.

Czyli już nie pamiętał! Bo przecież wiedział, słyszał te plotki...

- Czy wiedziałeś o tym, panie?

- Nie!

Znów zerwałam się ze stołka. Jak oni śmiały wypytywać króla?! To moja wina, moja, niej ego!

- Proszę usiąść, pani Perrers.

- Ale nie macie...

- Mamy. - De la Mare znów spojrział na króla. - Czy wiedziałeś o tym, panie?

Usiadłam, zmuszając się do patrzenia na Edwarda, który został postawiony w tak upokarzającej, haniebnej sytuacji, a wszystko to przeze mnie.

- Czy wiedziałeś, panie, że ta kobieta, uznana za twoją faworytę, jest kobietą zamężną?

- Nie, nie wiedziałem - odparł Edward jasnym, dźwięcznym głosem.

- Czy gotów jesteś przysiąc, panie?

Matko Boska! Spiker śmie domagać się od króla Anglii, by złożył przysięgę!

Edward ją złożył:

- Przysięgam na Najświętszą Pannę, że nie wiedziałem o tym.

- Oszukała ciebie, panie.

- Nie wiem. Jakże mam to wiedzieć...

Och, Edwardzie, jak mogłam dopuścić, żeś znalazł się w takiej sytuacji? - bezsilnie oskarżałam się w duchu.

I to było wszystko, czego de la Mare potrzebował od króla.

Po czym zwrócił się do mnie i wykonując ręką szeroki, dramatyczny gest, oświadczył:

- Jesteś winna. Omamiłaś króla, dzięki haniebnemu oszustwu doprowadziłaś do tego, że król nieświadomie wszedł w stan cudzołóstwa.

Tylko czekałam, kiedy w tej sali powieje czymś najgroźniejszym, o wiele groźniejszym.

- Jaką karę wymierzyć za to przewinienie? Jest wielu takich, którzy żądają twojej głowy. Mamy dowody, że uciekasz się do sił nieczystych...

Zamarłam pewna już, że zaraz to usłyszę. *Maleficium!*

- Panowie!

Na głos króla de la Mare zawahał się, milczał. A król mówił dalej:

- Proszę was... - Każdy wyraz wymawiał powoli, bardzo starannie.

I w końcu spojrział na mnie.

W jego oczach dostrzegłam wielki smutek i zagubienie, a jednocześnie wielką determinację.

A ja myślałam, że mi serce pęknie.

- Proszę, zlitujcie się nad nią. Nie zasłużyła na katowski miecz. Jeśli jesteście wierni swemu królowi, osądzicie ją sprawiedliwie, okazując jednak wyrozumiałość. Postąpiła źle, ale na śmierć nie zasłużyła.

Wytrzymałam jego wzrok. W tym ostatnim zdaniu Edward jednocześnie i zdradzał mnie, i bronił. Która szala przeważy?

- Pani Perrers zasłużyła na łagodniejszą karę - powtórzył Edward. - Proszę was.

Teraz czułam już tylko rozpacz, tylko rozpacz.

- Przychylamy się do prośby Waszej Królewskiej Mości - oznajmił de la Mare tak bardzo zadowolony z siebie, że nie udawało mu się tego ukryć.

I był w tym wszystkim tak bardzo obrzydliwy, że poczułam mdłości.

- Wstań, pani Perrers!

Wstałam, napinając wszystkie mięśnie w nogach, by pode mną się nie ugięły.

- Podjęliśmy decyzję.

De la Mare bardzo szczegółowo opisał, na czym polegać będzie moja kara. Wyrecytował, czyli musieli zdecydować o tym już wcześniej, i nie było potrzeby włączać w to Edwarda. Ale de la Mare nie odmówił sobie tej chwili podłej radości i haniebnej satysfakcji.

Drań! Po rozpaczach nie było już we mnie ani śladu, całkowicie zawładnął mną gniew, kiedy przekonałam się naocznie, do czego zdolny jest de la Mare, tak mściwy i przebiegły, że nawet Nadobna Joanna nie byłaby w stanie go przechytrzyć.

Wygnanie!

Tak, wygnanie. Było to pierwsze słowo, które usłyszałam. Słowo jakże nabrzmiące treścią.

- Będiesz, pani, żyła w oddaleniu od królewskiego dworu. Nie wolno ci tu wracać. Jeśli nie posłuchasz, jeśli będziesz próbowała dostać się przed oblicze króla, stracisz cały swój dobytek i zostaniesz wygnana z Anglii, za morze, gdzie pozostaniesz do końca swoich dni... - Wargi spikera rozciągnęły się w czymś na kształt uśmiechu, odsłaniając brzyd-



kie żółte zęby. - Jeśli będziesz próbowała stanąć przed obliczem króla, odebrane zostaną ci wszystkie dobra ziemskie, wszystkie domy i dwory.

Mówił, a w środku aż skakał z radości. Oczywiście! A ja stałam nieruchomo z twarzą kamienną, zdecydowana nie okazać po sobie, jak bardzo mnie to wszystko dotknęło. O nie! Tej satysfakcji mu nie dam.

Spojrzałam na Edwarda. Oczy miał zamknięte, wargi lekko rozchyłone. Był nieświadomy, o czym właśnie zdecydowano. Edward... Dla mnie już nieosiągalny. Gdybym weszła do jego komnaty, natychmiast by mnie ograbiono ze wszystkiego i wypędzono z Anglii.

Ręce miałam lodowate, twarz niewątpliwie białą jak pergamin, kiedy robiłam to, co mi kazano. Ucałowałam podsunięty mi pod nos krucyfiks i przysięgam, że nigdy nie wrócę do króla i już zawsze będę żyć z dala od dworu.

Nigdy więcej nie zobaczę Edwarda.

Dokąd pojechałam? Do Wendover, dworu, który kiedyś należał do Wykehama, potem Edward podarował go mnie. Moje serce rwało się do Pallenswick, ale wiedziałam, że parlament uzna, że to za blisko Sheen, za blisko Tower i za blisko Westminsteru, tych wszystkich miejsc nad Tamizą, gdzie bywał Edward. Dlatego pojechałam lizać rany do Wendover.

Przedtem jednak zaryzykowałam i zobaczyłam się z Edwardem po raz ostatni. W końcu wolno się chyba pożegnać.

Nie poznał mnie.

- Edwardzie!

W pustym spojrzeniu błysnęła jakaś iskierka. I zgasła.

- Przyszłam się pożegnać.

I nic. Nie wybaczone mi. Kapryśny, błędzący umysł Edwarda nie był w stanie ogarnąć tego wszystkiego. Kim jestem, co uczyniłam. Pocałowałam go w czoło, pokłoniłam się.

- Wybacz, Edwardzie. Nigdy nie chciałam, by tak to się skończyło. Nigdy nie chciałam od ciebie odejść.

Przynajmniej nie odczuł smutku rozstania, natomiast ja, przekraczając próg, połykałam łzy. Alice Perrers, już nie faworyta króla. Upokorzona, odrzucona, zniszczona w niegodziwy sposób.

I któż to taki obecny był w wielkiej komnacie i był świadkiem mojego upadku?

Jan z Gandawy.

Kto wcale nie starał się zobaczyć ze mną, wesprzeć mnie? Jan z Gandawy.

On też mnie odtrącił. Nie łączyła nas jakaś szczególna więź, ale byliśmy sprzymierzeńcami. Teraz odwrócił się do mnie plecami, czemu się jednak nie dziwiłam. Jan chciał być regentem małoletniego Ryszarda, natomiast możnowładcy, obawiając się potęgi Jana, sprzeciwili się temu. Ja nie mogłam już mu pomóc w tych rozgrywkach, byłam więc niepotrzebna. A poza tym lepiej nie łączyć swego nazwiska z nazwiskiem tej Perrers...

A co z moim biednym, osamotnionym Edwardem? Wieści o nim przywoził mi Wykeham. Opowiadał, jak Edward się miewa. Bywały dni, kiedy wpadał w gniew i przeklinał Windsora bardziej niż mnie. Zdarzało się też, że odżywały w nim stare sentymenty, wtedy szukał mnie, pytał, gdzie jestem, i mówiono mu, że nie mogę do niego przyjść. Bywały dni, kiedy całkowicie tracił rozum. Doskonale wiedziałam, jak to wygląda, kiedy to Edward godzinami siedział nieruchomo, a po policzkach spływały łzy.

Król Edward. Teraz stary, zapomniany przez wszystkich człowiek, który nie ma przy sobie nikogo, kto obudziłby go do życia. Powspominałby dawne czasy, dni chwały, jak to robiłam ja. A teraz nikt. Jan z Gandawy był zbyt zajęty obmyśleniem zemsty na de la Marze i hrabim Marchii, który obecnie trzymał z Wykehamem i był członkiem rady królewskiej, natomiast Izabela i jej mąż wrócili do Francji. I tym sposobem przy królu nie było nikogo.

Wiedziałam też, że coraz częściej zdarzają się dni, kiedy król całkowicie zamyka się w sobie.

Pamiętałam, jak kiedyś powiedział:

- Pochowam mego syna, mego wspaniałego księcia, i sam umrę.

Już nie połykałam łez, tylko płakałam nad Edwardem. Do Windsora nie pisałam, bo po prostu nie wiedziałam, co napisać, jakich użyć słów. A poza tym nie zniosłabym jego litości.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przez pierwsze dni w Wendover rozpaczałam. A potem nagle mną zatrzęsło, jakby dmuchnął porywisty wiatr, ten, co zapowiada sierpniową burzę. Tak, strasznie zatrzęsło, a ja dałam wyraz swej nienawiści do tego obrzydliwego, zadowolonego z siebie, sączącego jad spikera.

- Panie Boże Wszechmogący, skaż go na najgorsze męki piekielne! Niech się smaży w jak największym ogniu. Przedtem niech kruki go rozdziobią, a ścierwo zeżrą robaki...

Nie przebierałam w słowach, niestety, żadnej ulgi to nie przyniosło. Nigdy dotąd moje życie nie wydawało mi się tak puste i beznadziejne, a moje ręce tak leniwe, nieumiejętne i bezużyteczne. W ciągu tych okropnych kilku tygodni moja wiedza o świecie ograniczała się do plotek powtarzanych przez służącą lub domokrażcę. Podobno zabalsamowane ciało księcia nadal leży w opactwie westminsterskim i w najbliższym czasie chyba nie zostanie pochowane. Edward nie jest w stanie wydać decyzji, księżna Joanna i młody następca są w Kennington, Jan z Gandawy czeka na rozwój wypadków, a Dobry Parlament - bo tak Jana nazywano! - zakończył obrady pełen zachwytu nad swoimi osiągnięciami.

A mnie wygonili! Jak śmieli to zrobić!

Nie robiłam nic, a ponieważ koniecznie musiałam czymś się zająć, biegałam po domu, poganiając służbę do prania, szorowania, wysprzątania każdego kąta, do czego wcale ich nie trzeba było zaganiać. Ci biedacy na pewno zapamiętali mnie na całe życie.

Moja wierna Braveheart zawsze przy mojej nodze, nieważne czy w Wendover, czy w Sheen.

Chodziłam z izby do izby, a moje zadowolenie z przebywania w tym właśnie miejscu, w tym pięknym dworze i w pięknej okolicy - a wszystko to należy do mnie! - jakoś przygasało. Nawet wspaniałe łóżko - prezent od Edwarda - z pięknie rzeźbionym lśniącem wezglowiem i słupami z dębowego drewna, z ciężkimi zasłonami z ciemnoniebieskiego adamaszku, nie wydawało mi się już wspaniałe. Choć przecież takie było. Może dlatego straciłam do niego serce, że leżąc w tym łóżku, wybiegałam myślami daleko poza niebieskie zasłony. A myśli były niespokojne, noce więc podobne i często bezsenne. Gdybym miała tu zwierciadło, pewnie bym je wyrzuciła, bo i po co patrzeć na twarz, na której widać ślady nieprzespanych nocy i braku apetytu. Wszystkie żebra miałam na wierzchu, pasek trzeba było porządnie skrócić... Ach! Szkoda gadać.

A jesień była piękna. Ciepłutko, wyszłam więc do sadu. Gałęzie jabłoni uginały się od dorodnych jabłek, gołębie w gołębniku czyściły piórka. Miły obrazek, nic tylko patrzeć i patrzeć... Niestety, przed oczami pojawił się inny i wielce niepożądany. Scena z przeszłości. Taka, że osunęłam się na trawę całkowicie bezradna, bo owładnięta ową przeszłością.

*- Dziś jesteś moją Panią Słońca - mówi Edward, pomagając mi wsiąść do rydwanu.*

*Już siedzę zwieńczona kwiatami, spowita w złotogłów. Płaszcz z tkaniny przetykanej skrzącą się złotą nitką, w weneckim stylu, rozłożony tak, by widać było podszewkę ze szkarłatnej tafty. Suknia czerwona, podszyta jedwabiem białym i wykończona gronostajami. Barwy Edwarda, futro jak dla królowej. Iskrząca się obfitość drogich kamieni. Rubiny czerwone jak krew, ciemne szafiry pełne tajemnic i beryle niezwykle, zdolne pokonać moc trucizny. Wszyscy wiedzą, że mam na sobie klejnoty królowej i i lipy.*

*Palce obsypane pierścieniami.*

*- Dziś jesteś Królową Ceremonii - mówi Edward.*

*Edward, wysoki, mocny, piękny. Wielka radość dla moich oczu. Jestem Panią Słońca.*

Nagle tuż przede mną przelatuje pikujący gołąb. Gołąb okrutnik, bo przemykając, zabiera ze sobą porywający obraz mej chwały i zmusza do powrotu do ponurej rzeczywistości. Jakże nisko upadłam, uwięziona we własnej, bezsilnej samotności. Jak nieszczęsny lew Edwarda, nieżyjący już od dawna. Sama jak palec, z dala od reszty świata, odarta ze wszystkiego, co udało mi się zdobyć dla siebie. Nie, nie potrafiłam pogodzić się, że mnie tam nie ma. Jak długo tam byłam? Ponad dziesięć lat, a wydaje się, jakbym całe życie spędziła w królewskim pałacu. Pyszne barwy królewskiego zbytku, przywileje, jakimi cieszą się tylko wybrani, zatarły w mej pamięci smutne wspomnienia z mojej mało przecież barwnej przeszłości. Ale królewski dwór był inny, był prawdziwą barwą mojego życia. Tak bardzo chciałam tam wrócić, nawet jeśli tylko na krótki czas, dopóki żyje Edward. Bo co z tego, że w Wendover żyje mi się całkiem dobrze, że cenię sobie ten dwór o solidnych murach, podarek od Edwarda? Ale dwór królewski to cały mój świat. Królewski splendor, plotki i intrygi za każdym barwnym gobelinem... a także władza. Jej posmak był wszędzie i był tak mocny, że dosłownie czuło się go na języku. Prawie widoczny, jak złocisty pyłek na pszczołach uwijających się w żywopłotach z lawendy. Tam, tylko tam chciałam być... I stąd te bezsenne noce. Ta też, i nie dość, że sen nie przychodził, to jeszcze bolało. Ten świdrujący ból głowy, nad nosem, między brwiami. Kiedy wstałam, bolało trochę mniej, ale byłam jakaś taka otępiała, ślamazarna. Kompres z lawendy nie pomógł, podobnie jak kompres z mięty. Próbowалам więc po prostu czymś się zająć, ale to też na nic się nie zdało. Czymże jednak są moje dolegliwości w porównaniu z tym, co trapi Edwarda? Niczym! Powinnam tam być, czuwać nad nim, odpędzać smutki, nie dopuszczać, by odrywał się od rzeczywistości, w której nadal był królem. Byłam taka nieszczęśliwa, taka zła, że zaczęłam z pasją rwać trawę i ciskać nią w powietrze.

Tam, na królewskim dworze, byłam kimś. Kimś! A tu jestem wieśniaczką, która ma pełno trawy w fałdach sukni! Mój Boże...

Zła na siebie, że tak się użalam, wstałam, zamierzając wejść z powrotem do domu i znowu, jak ta jędza, pogonić kogoś do roboty. Ale nie

weszłam, nie pogoniłam, bo do sadu wbiegły dwie roześmiane dziewczynki. Moje córeczki! Joanna, już pięcioletnia, jasnowłosa jak ojciec, i trzyletnia Jane, która wzięła po mnie ciemne włosy i urodę bardzo zwyczajną. Charakter jednak inny. Była dzieckiem bardzo nieśmiałym, choć teraz rozfiglowanym, bo razem z siostrą uciekły guwernantce. Ich radosne piski i okrzyki były dla mnie najpiękniejszą muzyką. Byłam szczęśliwa, że moje dzieci mają takie roześmiane dzieciństwo. Nie takie jak ich matka, bo ja nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek jako dziecko biegała, śmiała się, podskakiwała.

Kiedy mnie zobaczyły, naturalnie od razu podbiegły, przekrzykując się, bo każda miała mnóstwo do przekazania. Wysłuchałam, ucałowałam i kazałam natychmiast wracać na lekcję. Tak, bo moje córki będą umiały czytać, pisać i rachować. Synowie już się tego wyuczyli. Oczywiście! W ich żyłach płynie błękitna krew, więc w głowie nie może być pusto. Jan był teraz paziem na dworze Percy'ego, a jedenastoletni Nicholas dalej ćwiczył się w pisaniu pod okiem mnichów z opactwa westminsterskiego. Byłam z nich bardzo dumna. Z moich dziewczuszek oczywiście też i bardzo mi zależało, by, oczywiście tak samo jak moi synowie, miały dobrą przyszłość. Wyrosną z nich panny ułożone, wyedukowane, które wyjdą dobrze za mąż. Zadbam też o to, że gdyby z małżeństwem się nie powiodło, dadzą sobie radę same.

Uśmiechnęłam się i podniosłam z ziemi porzuconą, podniszczoną już laleczkę Joanny. Kiedy przeczesywałam palcami potargane włoski, nagle gdzieś tam w górze nade mną zafurkotało. Poderwałam głowę. To rudzik fruwał sobie między gałęziami jabłoni.

- Czy to ty?

Zmartwiałam. O Boże! A ja niczego nie słyszałam. Ani stukotu końskich kopyt, ani cichych kroków. Ktoś tu szedł, a we mnie ciągle był strach, że parlament jeszcze ze mną nie skończył. Wystraszona, tuląc do siebie szmacianą laleczkę, cofnęłam się o krok...

Ale zaraz... przecież głos znajomy, tak samo jak ta rosła męska postać złocona promieniami słońca przemykającymi między gałęziami jabłoni.

Już raz widziałam mężczyznę w złotych aureolach. Tamtego dnia, w Havering, w wielkiej sali. Edward z sokołem na ręku i chmarą psów. Edward w koronie ze słonecznego blasku...

Kiedyś. W innym życiu.

Windsor wyszedł ze słonecznego miejsca, wstąpił w cień i czarodziejska chwila minęła. Chociaż nie, bo ze mną działały się też takie różne rzeczy, też... czarodziejskie. Serce biło z prędkością tak oszalamiającą, że zrobiło mi się słabo. Tak! Omal nie zemdlałam na widok człowieka, za którym tak bardzo się stęskniłam. Najchętniej rzuciłabym mu się w ramiona, przycisnęła usta do jego ust, czuła pod dłonią miarowe bicie serca. Nie widziałam go przez trzy lata! Trzy lata! A teraz wystarczy podbiec, by w mgnieniu oka znaleźć się w jego objęciach.

Nie, nie wolno aż tak bardzo ulegać uczuciom. Życie wyuczyło mnie, że zawsze lepiej być powściągliwym, opanowanym. Dlaczego? Ponieważ nierozsądnie jest dawać innym oręż do ręki, nawet człowiekowi, do którego rwie się nie tylko serce, lecz także rozplómięte ciało. Nierozsądnie, bo dajesz mu wielką władzę nad sobą, a sama stajesz się całkowicie bezbronna. Jakże łatwo wtedy zranić cię, zniszczyć...

Ależ on nie będzie cię ani ranił, ani niszczył! - przekonywałam samą siebie w duchu. Znasz go wystarczająco dobrze.

Dobrze?! Przecież wcale go nie znam!

Może i nie, ale od uśmiechu nie mogłam się powstrzymać. I od okrzyku:

- Czy mnie oczy nie mylą? William de Windsor!

- Ja swoim też nie wierzę! Ale to chyba Alice Perrers! Tak! Zbierasz jabłuszka?

- Nie. Zbieram lalki - odparłam ze śmiechem, podsuwając mu pod nos laleczkę Joanny. - Szukasz pani Perrers? Bo ja jestem Alice de Windsor, twoja żona. Tak przynajmniej mi się wydawało.

- I nie mylisz się... - Zdjął kapelusz i złożył przede mną wymyślny dworski ukłon. - Wybacz, ale nie poznałem cię w tym przebraniu wieśniaczki.

- Domyślam się! Byłeś pewien, że to służąca.

- O nie! Co to, to nie! - Od razu podjął żart, ale oczy wcale nie były roześmiane.

I nie podchodził do mnie, co było irytujące i niepokojące zarazem. Dlatego odruchowo zrobiłam krok w tył.

- Słyszałem, że wielcy tego świata wygnali cię z królewskiego dworu.

- Tak, jak sam się mogłeś przekonać na własne oczy. Dobry Parlament, działając nadzwyczaj roztropnie, postanowił zrobić wielkie porządki w królewskich pałacach. Latimer, Neville, Lyons... Wszyscy wymieceni.

- Ty także.

- Ja też. Zostawili mnie na sam koniec, bo pewnie radość w tym mieli największą... - Koniec z powściągliwością. Za bardzo byłam rozżalona, by przedstawić mu to w krótkich, oszczędnych słowach. - Jeśli zbliżę się do Edwarda choć na krok, oni ochoczo pozbawią mnie każdej piędzi mej ziemi i wygnają jeszcze dalej. Kto wie, czy twoja żona nie znajdzie pomieszkania we Francji, albo tak daleko, że nigdy więcej jej już nie zobaczysz.

- Rozumiem. Z tegoż to powodu nie pukasz do drzwi w Sheen, lecz jesteś tutaj, w zgrzebnym przyodziewku, bez klejnotów i wstążek z jedwabiu.

- Tak - przyznałam, odruchowo wygładzając rdzawą spódnicę parweniuszki, na którą włożyłam cotehardie o szyku niemodnym, sprzed bardzo wielu lat, i bez żadnych ozdób, chociaż sama wełniana tkanina była utkana bardzo biegle. - Obecnie przebywam w wiejskim zaciszu.

- Może ma to i dobre strony?

- Raczej takich nie dostrzegam.

- Szczerze mówiąc, też ich nie widzę, ale skoro już nie proszą do królewskiego stołu, trzeba zadowolić się resztkami!

Powiedział to z gwałtowną złością, co dawało do myślenia. O Boże, jak mogłam to przeoczyć? Powinnam była od razu o to spytać, gdy tylko pojawił się w sady. - Dlaczego jesteś w Anglii?

- Dlaczego? Bo wezwali mnie! Bo znowu jestem w niełasce! Pozbawili mnie urzędu! - wyrzucił z siebie straszliwie rozsierdzony.

- Edward odprawił ciebie!

- Tak. Nie potrzebuje już moich usług. Decyzja ostateczna. Ale nie powinienem być zaskoczony, prawda?

- Och, Will! - Wyciągnęłam do niego ręce, zapominając o powściągliwości, cała przepełniona współczuciem. Co się dziwić, że jest tak wzburzony! On, polityk i dworzanin, raptem odarty ze wszystkiego, co było treścią jego życia. Nie mogłam dłużej stać z dala od niego, więc



szybko zrobiłam tych kilka kroków po trawie usianej jabłkami. - Will, bardzo boleję nad tym, że ci się nie powiodło. A zarazem tak bardzo się cieszę, że cię widzę!

Już samo wypowiedanie jego imienia było wielką przyjemnością. A kiedy mnie objął, doznałam przyjemności największej, tym bardziej że powiedział:

- Może i ma to jakieś dobre strony...

Prze chwilę staliśmy objęci w ciszy przerywanej tylko trelami rudzika. Głowę oparłam na ramieniu Windsora, on policzek na mojej głowie. Nadal trzymałam szmacianą lalczkę. I czułam, jak Will powoli zaczyna się odprężać. A kiedy rudzik odleciał już sobie, spytał:

- Co porabia Jego Królewska Mość?

- Nic. Jest stary i samotny. Bardzo niewiele jest w stanie pojąć... - Szybko położyłam palec na ustach Windsora, bo było oczywiste, że ma na końcu języka ostrą uwagę o tym, że król tak łatwo pogodził się z moim wygnaniem i wcale nie próbuje mi tego wynagrodzić. - Nie, Will. Przecież on wstawił się za mną! Ale jest strasznie samotny i bezradny. Czy potrafią się o niego zatroszczyć jak należy?

Tak bardzo się rozżaliłam, że nie mogłam powstrzymać łez zraszających adamaszkową tunikę Windsora.

- Alice... - Nie wypuszczając mnie z objęć, podprowadził do żywopłotu na brzegu sadu, usadził na niewielkim wzniesieniu porośniętym bujną trawą i otarł łzy rąbkiem cotehardie. Wyjął mi lalkę z rąk i też ją usadził między nami, jakby miała pilnować, czy nie zachowujemy się nieprzystojnie. I wziął mnie, pociągając nosem, za ręce. - Alice, przecież widzę, co się z tobą dzieje. Bardzo schudłaś, oczy podkrążone. Na pewno nie sypiasz dobrze. O ile w ogóle...

Kiedy delikatnie powiódł palcem po tym podkrążeniu pod okiem, wstrzymałam oddech, a zaraz potem miękkie, ciepłe wargi ucałowały moją skroń.

- Will... - wyszeptałam, jakbym chciała tym wyszeptanym imieniem potwierdzić, że on, że Will jest już przy mnie.

On zaś spojrzał na mnie z czułością i spytał:

- Powiedz, z czym jeszcze przyszło się zmierzyć mojej dzielnej dziewczynie.

- Och, Will! Wcale nie jestem dzielna. Jestem tak wystraszona, że odchodzę od zmysłów.

- Dlaczego mnie nie wezwałeś?

- A cóż mógłbyś zrobić?

- Chyba nic... Chociaż nie. Dopilnowałbym ciebie. Jadłabyś i spała. I nie udawała chorej. Alice, przecież zawsze stąpałaś twardo po ziemi!

- Ale jestem tak strasznie sama...

- Już nie... Choć z wrogami musiałaś zmierzyć się sama. Podziwiam cię. A teraz powiedz, czego się tak boisz. Powiedz, chyba że chcesz to zachować dla siebie.

- Och nie! - wykrzyknęłam, a głos dziwnie mi się załamał. - Will, wszystko ci powiem.

I powiedziałam literalnie wszystko, od a do zet, choć przecież zaklinałam się, że będę powściągliwa. Ale niepotrzebnie, bo kiedy mówiłam, czułam wielką ulgę. Zdałam Windsorowi szczegółową relację, opowiedziałam o zemście parlamentu, o oskarżeniu o nekromancję, w czym prawdopodobnie maczała palce Joanna. O tym, jak bronił mnie Edward, choć serce miał złamane...

Westchnęłam.

- Wszystko to działo się miesiąc temu - zakończyłam z ciężkim westchnieniem.

- Czyli Edward wie o naszym małżeństwie... I obarcza cię winą... Kiwnęłam głową i po raz nie wiadomo który pociągnęłam nosem, po czym wyznałam, uznając, że Windsor powinien wiedzieć naprawdę o wszystkim:

- Tak, wie, ale bardziej wini ciebie... Och, on uważa, że to ty ponosisz całą winę. Ja go zraniłam, ale to ty to wszystko wymyśliłeś i namówiłeś mnie, może nawet przekupiłeś. Czy wiesz, że schował do skrzynki wszystkie oskarżenia przeciwko tobie? Siedzi, patrzy na tę skrzynkę i jestem pewna, że obmyśla, jak ci się odpłacić. Chociaż... nie sądzę, żeby tak się stało. Brak mu już silnej woli, żeby zamiary wprowadzić w czyn.

- Ale odebrał mi urząd! Za oszustwo! Jakie oszustwo?! Owszem, nałożyłem wysokie podatki, owszem, dorobiłem się, ale pracowałem uczciwie. Udało mi się zachować pokój i tamtejszy rząd działa skutecz-

nie, a to niemałe osiągnięcie, zapewniam cię. Wiedz też, że zuchwałych lordów trzymałem krótko! A on mnie odprawił...

Wzruszył ramionami, błyski w oczach pogasły, mruknął coś z rezygnacją.

- Trudno, Will, nic nie poradzisz. Kiedy dają ci do ręki władzę, musisz liczyć się z tym, że w każdej chwili mogą ci ją z tej ręki wytrącić.

- A kobieta, jeśli ma władzę zdobytą inaczej niż z racji urodzenia, zawsze będzie miała wrogów.

- Tak. Oboje jesteśmy niegodni stąpać po tej ziemi!

Ponownie otarł mi łzy, tym razem swoim przybrudzonym rękawem, ale było mi wszystko jedno, czy twarz mam czystą, czy nie. Bo Windsor naszą szmacianą przyzwoitkę usadził kawałek dalej i pocałował mnie, a jego gorące wargi były wręcz napastliwe, jakby istotnie stęsknił się za mną.

A potem, spoglądając mi głęboko w oczy, powiedział:

- Nie płacz, moja zaradna żono. Poradzimy sobie. A teraz wyznaj mi, ale tak szczerze, czy w tym pięknym dworze znajdzie się łyżka strawy dla strudzonego wędrowca?

Potrząsnęłam głową, by jak najszybciej ochłonać po cudownym pocałunku i powrócić do rzeczywistości, która wyglądała następująco: jestem w sadzie, w Wendover, razem z mężem, który wrócił do mnie po bardzo długiej nieobecności.

- Naturalnie. Wybacz, że sama o tym nie pomyślałam.

- A znajdzie się też gorąca woda, by wędrowiec zmył z siebie brud po długiej podróży?

- Zadbam o to.

- Kto wie, czy nie przywiozłem ze sobą jakiejś zabłąkanej wszy. Nocowałem w niejednym zajeździe.

- O to też zadbam.

- O łoże też?

- Też.

Weszliśmy do domu już w nieco lepszych humorach, a wkraczając do sypialni, wszystkie troski zostawiliśmy za drzwiami i jeszcze raz powitaliśmy się po długiej rozłące, i było to upojne powitanie. Zapomniałam już, jak szczodry w miłości potrafi być Windsor. Jego ręce i usta bardzo szybko obudziły we mnie żądzę wręcz żarłoczną. Nawet najbar-

dziej natrętny lęk znikł, bo na zaden smutek nie było tu miejsca, kiedy Windsor i ja pospołu oddawaliśmy się największej rozkoszy

Następnego dnia William obudził się już o świcie, ja natomiast znacznie później i bardzo powoli wracałam do rzeczywistości. Powoli, ale z wielkim zadowoleniem. Cieszyłam się bardzo, że ten dzień spędzimy razem i będzie możliwość zacieśnienia tych jakże jeszcze ostrożnych więzów między nami. Czy aby na pewno będzie ta możliwość? Bo na podłodze nieopodal drzwi nie leży miecz Windsora, a przecież tam rzucił go wczoraj. No i słychać było, że coś się dzieje gdzieś między kuchnią a paradną izbą.

Co łatwo mogłam sobie wytłumaczyć. Natychmiast wyskoczyłam z łóżka, ubrałam się migiem i pobiegłam do kuchni. Windsor, ubrany jak do podróży, jadł śniadanie. Na skrzyni leżała skórzana sakwa, na niej rękawice, miecz i kaptur.

Wszystkie moje nadzieje rozwiały się jak dym. A powinnam była wiedzieć to od początku! Uciechy w łóżu nie zatrzymają mego męża, który jest człowiekiem czynu. Musi stawiać czoło wyzwaniom, musi je podejmować, nie potrafi żyć inaczej!

Nie weszłam od razu. Przez dłuższą chwilę stałam w progu, wpatrując się w surową twarz Windsora, szybkie ruchy jego silnych, zręcznych palców. On krajał i jadł, a ja odtwarzałam w pamięci to, co działo się tej nocy. Co sam rozniecił tymi właśnie rękoma.

Weszłam.

- Już mnie porzucasz, Will? - spytałam naturalnie uśmiechnięta od ucha do ucha, choć przecież już wpadłam w ciemną otchłań rozpacz.

- Tak, ale nie na długo. Chcę objechać moje dobra, sprawdzić, co tam się dzieje. Mam znakomitego zarządcę, ale wiadomo, myszy tańczą, kiedy kota nie czują. Bo kot jest w Irlandii. Wrócę pod koniec tygodnia.

Byłam pewna, że wróci później, ale to nie było istotne. Najważniejsze, że wróci. Zadowolona rozsiadłam się obok niego, opierając się łokciami o stół, i popiłam piwa z jego kubka.

- Will, a może dowiesz się też, co słychać na królewskim dworze?

- Oczywiście, dowiem się jak najwięcej. A nie wiesz, jak to tam z Janem z Gandawy? - Wstał, bezceremonialnie wyjął mi kubek z rąk, dopił piwo i otrzepał tunikę z okruszków.

- Nie wiem. Bo i skąd? Ale na pewno nie jest zadowolony, przecież parlament go upokorzył.

- Hm... A więc już wiadomo, co porabia. Zastanawia się nad zemstą...  
- Uśmiechnął się i zaczął wkładać do sakwy jakieś dokumenty. - Tak... Życie może znowu zrobi się ciekawe. Może znowu zaczniesz mi się podobać!

Bardzo enigmatycznie się wyraził, ale nie spytałam, co dokładnie ma na myśli, dziwnie pewna, że i tak mi nie odpowie. Wyszłam z nim na dwór, a kiedy stał już przy osiodłanym koniu, wystąpiłam z prośbą:

- Czy mógłbyś przy okazji dowiedzieć się czegoś o Edwardzie? Co prawda Wykeham pisuje do mnie czasami, ale...

- Dobrze, popytam. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Alice.

On przytracał sakwę do siodła, ja stałam obok jak dobra żona, również życząc mu opieki Najwyższego. Zawiązał ostatni rzemyk, odwrócił się i ujął moją twarz.

- Zrobię, co będę mógł. Głowa do góry. Nie pozwolę, by twój bystry umysł i cięty język marnowały się na zapadłej wsi.

- O! A może wolałbyś mieć żonę uległą?

- Uchowaj Boże!

Wskoczył na siodło, koń ruszył z kopyta. William de Windsor odjeżdżał już po dwudziestu czterech godzinach, nie mówiąc mi na pożegnanie ani jednego czułego słowa.

Podniosłam rękę na pożegnanie i żwawym krokiem ruszyłam do drzwi, jakbym nie była jakoś szczególnie poruszona jego odjazdem. A przecież byłam! Czulałam, że jeśli nie wróci za kilka dni, to oszaleję z rozpacz, może nawet pożegnania się z życiem.

Windsor, pamiętając, że spragniona jestem wieści, już niebawem przysłał posłańca z listem. Kilka napisanych pośpiesznie zdań, które czytałam wciąż na nowo, chłonąc każde słowo.

Jan z Gandawy kipiał żądzą zemsty, z czym wcale się nie krył i otwarcie wypowiedział wojnę parlamentowi.

*Na pewno jesteś ciekawa, czego dokonał podczas Twojej nieobecności na królewskim dworze.*

Naturalnie, że umierałam z ciekawości, i moja ciekawość na szczęście została zaspokojona. Jan z Gandawy wykazał się bezlitosną skutecznością. Obwieścił, że wszystko, czego dokonał Dobry Parlament, jest niezgodne z rozkazami Jego Królewskiej Mości, w związku z czym nie ma mocy prawnej. Dwunastoosobowa rada utworzona przez parlament, która miała za zadanie wyganiać spod królewskich drzwi tak nikczemne kreatury jak ja, została rozwiązana, czyli biedny Wykeham ponownie został pozbawiony urzędu. A także hrabia Marchii, do którego nie czułam ani odrobiny sympatii. Został zdymisjonowany za to, że razem z de la Mareem uknuł intrygę, by osłabić potęgę Jana z Gandawy.

*Latimer został zwolniony z więzienia. Wiem, że to Ciebie ucieszy.*

*A potem Jan z Gandawy ruszył na polowanie. I pojmał de la Marea.*

*Siedzi w lochu w zamku Jana w Nottingham, z tym że podobno sędzić go nie będą. Ale jest w lochu, a ty powstrzymaj się od skakania z radości, bo to nie przystoi lady de Windsor.*

Nie skakałam, ale śmiałam się bardzo głośno z największej radości, bo nie miałam ani odrobiny litości nad tym obrzydliwym człowiekiem, który zmusił Jego Królewską Mość do wstawienia się za mną, proszenia na oczach całego parlamentu!

Jednak kolejna wieść wcale mnie nie ucieszyła. Windsor spodziewał się tego, dlatego powstrzymał się od uwag i przekazał same suche fakty, dla mnie nadzwyczaj przygnębiające.

*Jan z Gandawy oskarżył Wykehama o nadużycia, których dopuścił się jako lord kanclerz. Słyszałam, że dowody są bardzo słabe, ale Wykehamowi i tak odebrano wszystkie świeckie funkcje i nie wolno mu zbliżyć się do Jego Królewskiej Mości. Ma przebywać w oddaleniu co najmniej dwudziestu mil. Wykeham wyjechał do klasztoru w Merton...*

Bardzo mi było żal Wykehama. Po raz drugi zapłacił słono za to, że zawsze był wierny królowi.

Jedno nazwisko w tej krótkiej relacji zostało pominięte.

Alice Perrers.

Co ze mną?

Wrócił po trzech tygodniach pod koniec upalnego męczącego dnia. Byłam na podwórzu, słyszałam więc, jak nadjeżdżał. Dopadłam do niego, kiedy zsiadał z konia, i szarpiąc za rękaw, pytałam gorączkowo:

-I jak? I jak?

- Witam cię, moja żono!

- Ale co ze mną? Mów!

- Niestety, żadnych wieści, Alice. Nikt nie wymienił twego nazwiska.

- To dobrze czy źle?

- Trudno powiedzieć.

- A co z Edwardem?

- Niestety, bardzo niedomaga. Wszyscy są pewni, że to tylko kwestia czasu.

Wyglądał na bardzo zmęczonego i wcale nie był rozpromieniony, czyli miał za sobą długą i ciężką jazdę.

I chyba nie wszystko poszło po jego myśli.

- Wybacz, Will. Straszna ze mnie egoistka. Powiedz, jak wyglądają twoje sprawy?

- Powiedzmy, że... nadal jestem pełen determinacji.

Rzucił wodze chłopcu stajennemu, wsunął moją rękę pod ramię i wolnym krokiem ruszyliśmy ku drzwiom, a kiedy tylko przekroczyliśmy próg, rzuciłam gwałtownie:

- Nie napisałeś ani słowa o sobie!

- A co miałem pisać?

Wieczór, w izbach już mroczno, ale i tak widziałam gniewne błyski w jego oczach. Wtedy pomyślałam, że istotnie jestem egoistką. Raz większą, raz mniejszą, ale w którymś momencie pojęłam, że czasami trzeba okazać innym współczucie. Teraz też. Zamiast wykrzykiwać, muszę okazać mu serce, tym bardziej że nigdy o to nie poprosi. A potrzebuje pociechy.

Więc zakrzętnęłam się. Zdjęłam z niego i rękawice, i kaptur, i płaszcz, kazałam służącej przynieść piwa, a Windsorowi poleciłam usiąść na wygodnej ławie pod starym dębem, gdzie panował miły chłód. Usiadłam obok niego i zaczęłam odgarniać mu z czoła wilgotne od potu włosy.

- Jak prawdziwa żona... - skomentował z uśmiechem. Widziałam jednak, jak bardzo jest zmęczony i przybity, i wcale mu nie do śmiechu.

- A tak! Pozwól, że dalej się będę w tym doskonalić.

Służąca przyniosła piwo, a ja podałam mężowi kubek i poczekałam, aż się napije.

- Byłeś na dworze królewskim.

- Tak. W Sheen.

- I co?

- Nie wracam do Irlandii. Decyzja jest nieodwołalna. Wręczono mi zapłatę za lata służby. Marne sto funtów za rok, ale powinienem być wdzięczny i za to. Król nie chciał mnie widzieć, tylko przysłał zasuszonego prawnika!

- Może nie mógł się z tobą spotkać?

- Być może, ale i tak nic by to nie zmieniło. Decyzja, jak powiedziałem, jest nieodwołalna. - Zamilkł, wpatrując się w czubki swoich sfatygowanych trzewików. - Dziwne... - dodał po dłuższej chwili. - W całym pałacu chłód, cisza, jakby życie z niego uleciało. Cóż... Wszyscy czekają, kiedy król wyda ostatnie tchnienie.

Cisza. Bo i cóż teraz powiedzieć? Smętnie dumałam przez jakiś czas, aż wreszcie spytałam:

- Will, co zamierzasz teraz robić?

- Przede wszystkim muszę się zastanowić, gdzie osiadę. Chyba w Gaines i będę zarządzał swoimi włościami. - Tu uśmiech w moją stronę. - Tak jak sobie tego życzysz.

Tak, a on doskonale wiedział o tym. Ale nie tylko tego chciałam. Chciałam jeszcze czegoś i powiedziałam mu o tym, choć chyba lepiej było tego nie mówić:

- Zostań ze mną, Will. Nie wracaj do Gaines.

- Tak po bożemu? - Uniósł brwi. - Siedzieć w domu, przy żonie?

- Dlaczego nie? Chyba że nie chcesz...

Nigdy nie mieszkaliśmy pod jednym dachem, wyjąwszy tych kilka dni po naszym ślubie. Wzięliśmy ślub w tajemnicy, no i Windsor przebywał w Irlandii. Poza tym nasze małżeństwo był to swego rodzaju układ i najpewniej Windsor wyobrażał sobie, że zawsze będziemy osobno.

I istotnie.

- Przyznam się, że nigdy o tym nie myślałem, ale skoro jesteśmy już tu razem, oboje odtrąceni...



- ...może byłoby to najlepszym rozwiązaniem? - dokończyłam za niego.

- Kto wie... - Z uśmiechem musnął wargami me usta.

Zrobił to bardzo delikatnie, jakby nie był pewien mojej reakcji. A także swojej. Jednak nie zareagowałam delikatnie, moje wargi nie muskały, lecz były zachłanne.

- Zabierz mnie do łóża, Will. - Spojrzeliśmy sobie w oczy, oboje uśmiechnięci. - Will, czy ty...

- Mów, mów!

- Czy ty czujesz coś do mnie?

- Jeszcze w to wątpisz?!

- Och, nic nie jest pewnego na tym świecie...

- Owszem... ale może i coś tam do ciebie czuję.

- Och, droczysz się ze mną jak z dzieckiem! Jego surowa twarz złagodniała.

- Ależ trudne pytania mi zadajesz, pani! Jakbym słyszał samego Jana z Gandawy.

- Ach tak? A więc tym bardziej powinieneś na to pytanie odpowiedzieć. Nie obawiaj się, nie będę szlochać.

- Jeśli przyjdzie ci ochota, bardzo proszę. Mam bardzo poręczne i wygodne ramię. Wtulisz się tam, na pewno będzie ci bardzo przyjemnie.

- Will!!!

- Już dobrze, dobrze... Czy coś do ciebie czuję... Niech pomyślę... Tak. Najpierw muszę znaleźć odpowiedź na dwa pytania. Kogo szukałem zaraz po przyjeździe do Anglii?

- Hm... chyba mnie.

- Zgadza się, bez tego „chyba”. A do kogo pisałem?

- To już wiem na pewno, że do mnie.

- Czyli już wiemy, że odpowiedź brzmi: tak. Bo nawet za tobą tęskniłem!

Oczywiście, że się śmiał, ale ja też, bo na duszy było o wiele lżej. Rozradowana grzmotnęłam go pięścią po ramieniu. Naturalnie, nie za mocno.

- To wszystko, Will?

- Tak. I jestem bardzo zmęczony. Chodźmy do izby. Będziesz dalej doskonalić się jako żona.

Ani słowa o miłości, ale czuje coś do mnie. Dobrze i to. A potem, już po wszystkim, kiedy nadzy i spleceni ze sobą wypoczywaliśmy po miłosnych igraszkach, spytał:

- Alice, a czy ty czujesz coś do mnie? Na to ja odparłam bez wahania:

- Tak, na pewno coś do ciebie czuję, Williamie. - Oczywiście, że tylko to. Chyba nie ma człowieka, który by choć raz w życiu nie skłamał, prawda?

A jakiś czas potem usiadłam sobie przy otwartym oknie i zaczęłam rozczesywać włosy. Mój mąż nadal przebywał w łóżu. Chyba już nie spał, słyszałam, jak przewracał się z boku na bok, ale pochłonięta swoimi myślami nawet na niego nie zerknęłam.

A po chwili usłyszałam ciche pytanie:

- I cóż tam się dzieje w twojej bystrej głowie? O czym myślisz? Albo... o kim?

- O Edwardzie.

- Mogłam się domyślić.

Nie, w jego głosie nie słychać było gniewu ani potępienia, że właśnie teraz, kiedy jesteśmy razem, raptem zachciało mi się rozmyślać o królu.

- Will, jak myślisz, czy uda mi się go jeszcze zobaczyć? Nie chcę, żeby umierał w samotności, nie chcę, żeby te smutne słowa nadal stały między nami. On mi nie wybaczył, Will. Tak bardzo bym chciała z nim się zobaczyć.

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, Alice. Nie wiadomo, czy pozwolą ci tam wrócić. Wszystko w rękach Boga.

- Raczej Jana z Gandawy.

Windsor milczał, a było to milczenie bardzo wymowne i na pewno nie dodawało otuchy.

Bardzo trudno było mi żyć ze świadomością, że być może nigdy już Edwarda nie zobaczę. Przez tyle lat dzieliłam z nim łóżo, byłam jego powierniczką i wierną towarzyszką, a na koniec opiekunką i pocieszycielką. Bardzo trudno mi było znieść rozłąkę. Przecież to dzięki

niemu byłam tym, kim byłam i kim mogę jeszcze zostać. A teraz, kiedy Edward zbiera się do tej ostatniej drogi, mnie przy nim nie ma.

Oczywiście Windsor wiedział, co się ze mną dzieje. Czy żałował, że zamieszkał razem ze mną? Jeśli tak, to ukrywał to bardzo starannie. Był po prostu nadzwyczajny. Inny mężczyzna dawno by machnął na mnie ręką. A on nie. Uszanował moje smutki, opłakiwanie króla, który jeszcze żył, ale ja go już nigdy nie zobaczę. W nocy trzymał mnie w ramionach, choć wiedział, że nie śpię i dlaczego nie śpię. Nie karmił mnie, kiedy byłam napastliwa, kiedy zdarzyło mi się krzyknąć na niego.

Ale i jego cierpliwość miała swoje granice.

- Co ty tam robisz, Alice?

- Ja? Nic.

W chwili obecnej wyglądałam sobie przez okno.

- Alice, musisz się czymś zająć. Pojedź do którejś ze swoich posiadłości, sprawdź, co się tam dzieje i w razie potrzeby zrób porządek. Ile ich masz?

- Pięćdziesiąt sześć.

- Co?!

- Tak, pięćdziesiąt sześć. I uprzedzając twoje pytanie, od razu wyjaśniam, że tylko piętnaście z nich to podarki od Edwarda. Pozostałe kupiłam sama. Bo czasami potrafię kupić sobie coś nowego.

- Na Boga! - Nie mógł uwierzyć, że takie są rezultaty mej współpracy z Greseleyem. - Nie miałem pojęcia, że wziąłem tak bogatą żonę! Nic dziwnego, że mieli na ciebie oko. Alice, gdybyś była mężczyzną, mogłabyś się ubiegać o hrabiowski tytuł! - Wybuchnął głośnym śmiechem. - Czy ty wiesz, moja droga, że to ja teraz jestem właścicielem tych twoich pięćdziesięciu sześciu posiadłości?

Naturalnie od razu zrobiłam się bardzo czujna i burknęłam:

- Och, tylko z nazwy! - Co nie było prawdą, ale nie miałam zamiaru wnikać w te wszystkie prawnicze zawiłości. Choć miałam o nich pojęcie.

- Niemniej jednak mam dziwne przeczucie, że gdybym rościł sobie do nich prawo, to w moim piwie znalazłyby się dziwne domieszki!

- Oczywiście. Już się zastanawiałam nad cykutą.

Dobrze, że zażartował, ja też, i gniew znikł. Nawet uśmiechnęłam się na wspomnienie tego dnia, kiedy przysięgałam sobie, że będę ku-

pować i kupować, i zgromadzę tyle włości i dworów, ile mam lat. Zaraz jednak pomyślałam, że tak naprawdę to nie ma do czego się uśmiechać. Jakżeż byłam naiwna! Bo powód może i rozsądny - uchronić się przed nędzą, kiedy nie będę już pod skrzydłami Edwarda. Ale nie przewidziałam, że samo kupowanie może przerodzić się w pasję i zachłanność. Bo właśnie stąd się wzięło pięćdziesiąt sześć posiadłości, które dostałam lub nabyłam, przez co ukręciłam sobie stryczek na swoją szyję. Tak! I pomyślałam sobie jeszcze, że spiker de la Mare, powodując mój upadek, też sobie taki stryczek ukręcił. I dobrze mu!

- Alice, ale wróćmy do sedna. Bezczytność bardzo źle na ciebie wpływa, dlatego uważam, że powinnaś wziąć dziewczynki i...

- Will! Edward sporządził już testament!

- Jesteś pewna?

- Na rynku mówią tylko o tym. On umiera, Will. Musi być tego świadomy.

Słyszałam, jak odetchnął głęboko. Chciał coś powiedzieć, ale uznał, że szkoda słów, bo i tak nie posłucham. I przystąpił do czynu. Wziął mnie za rękę i poprowadził do paradnej izby, która teraz była jego izbą. Tu trzymał swoje dokumenty, tu zajmował się swoimi interesami.

Usadził mnie za stołem, na którym leżał stos rachunków.

- Sprawdź je, Alice, a jeśli nawet to nie odciągnie ciebie od tych smutnych myśli, to ja już sam nie wiem.

- Rachunki? Czyżbyś był Janynem Perrerssem?

- Nie rozumiem...

Uśmiechnęłam się, po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęłam się tak naprawdę. Nigdy dotąd nie opowiadałam Windsorowi, jak to było, kiedy moim mężem był Janyn Perrers.

- Tak spędzałam noce, kiedy po raz pierwszy wzięłam sobie męża. A raczej mi go dano.

- Wielki Boże! Współczuję ci. - Pocałował mnie w czubek głowy.

-Ale teraz to niezbędne. Bierz się za robotę, kobieto!

O Matko Przenajświętsza! Przecież to takie nudne! Już chciałam za-protestować, ale usłyszałam:

- A jeśli dziś tego nie skończysz...

- Chwileczkę! Czy właśnie zostałam twoim skrybą?

- Nie, byłaś, jesteś i będziesz moją żoną, ale masz smutne myśli i musisz czymś się zająć.

Jeszcze raz pocałował mnie w głowę i wyszedł. Dni mijały, szare, ponure listopadowe dni, które spędzałam nad księgami i rachunkami i Windsora, i moimi. Dobrze, że miałam zajęcie, choć nieraz pomyślałam, że nie daj Boże, by właśnie to zajęcie miało wypełniać mi czas do końca życia.

Pewnego ranka, kiedy mróz pobielił żywopłoty, a ja byłam już tak znudzona, że gotowa podrzeć księgę na strzępy, do izby wszedł Windsor i wyjął mi pióro z rąk.

- Alice, jakiś konny podjeżdża pod dom.

- Może domokrażca? - spytałam znudzonym głosem.

- Nie, to posłaniec, ma królewskie barwy. Natychmiast zerwałam się z krzesła.

- O Boże! Ale dlaczego?! Przecież robię wszystko, jak kazali! Chcą mnie uwięzić?

- Alice, poczekaj!

Ale już zbiegałam po schodach na dół, a w tym czasie posłaniec wszedł na ganek.

- Pani Perrers!

Spraw, Panie Boże, by nie był to kolejny gwóźdź do mojej trumny wbity przez szlachetnych lordów! Wyrwałam z rąk posłańca list, krzyknęłam do służącej, by przyniosła piwo, a sama wlepiłam oczy w pergamin. Ale na moment zdjęta panicznym strachem oczy zamknęłam. I znów je otworzyłam, lecz kiedy mignął mi przed oczami złowieszczy wyraz „wygnanie”, powieki same się zacisnęły. Potem lekko uniosły. I ze ściśniętym gardłem, z bijącym sercem zaczęłam czytać. A w miarę jak czytałam, serce uspokajało się.

List został napisany przez skrybę, w imieniu Jana z Gandawy. Ułaskawiono mnie. Koniec z wygnaniem. Mogę wracać na królewski dwór, do Edwarda.

Tyle treści w kilku zaledwie linijkach, tyle że z wrażenia zakręciło mi się w głowie i musiałam przysiąść na ławie.

- Will!

Natychmiast pojawił się w progu, z natężeniem wpatrując się we mnie.

- Alice... Jesteś wolna?

- Tak! - Aż westchnęłam, przyciskając drogocenny dokument do serca.

Byłam wolna i zawdzięczałam to Janowi z Gandawy. Dlaczego to zrobił? Bo kiedyś jednak byliśmy sprzymierzeńcami? Czy zrobił to dla umierającego ojca? Raczej nie. Najprawdopodobniej chciał zrobić na złość parlamentowi. Ale co tam, najważniejsze, że rada królewska uchyliła wyrok skazujący na wygnanie i mogę wyjeżdżać, dokąd chcę, mogę też wrócić na królewski dwór i zobaczyć się z Edwardem.

- I co postanowiłaś? - spytał Windsor.

Wstałam, wyprostowałam się. Jak bardzo kilka zaledwie chwil może zmienić człowieka, dać mu tyle siły i radości! Wolnym krokiem poszłam do Windsora i powiedziałam coś, co zadziwiło i jego, i mnie:

- Jesteś moim mężem. Potrzebuję twego przyzwolenia.

- Chyba po raz pierwszy w życiu prosisz o coś takiego. Zarumieniłam się, ale powtórzyłam z uporem:

- Potrzebuję twego przyzwolenia.

- A jeśli nie dam ci przyzwolenia, pojedziesz? - Gdy zawahałam się, dodał: - Alice, zawsze jesteśmy wobec siebie uczciwi, prawda?

- Tak. A więc... nie zaprzeczam. Pojadę tam i bez twego przyzwolenia. Muszę go zobaczyć, bo inaczej będzie mi to zawsze leżeć na sercu. Objął mnie, ucałował w czoło i w usta.

- Jechać z tobą?

- Nie.

- Czyli muszę znaleźć sobie nowego skrybę.

- Na pewno nie będzie tak dokładny jak ja!

Roześmieliśmy się. On tam w górze, ja wtulona w miękką wełnę jego tuniki, czując, jak strach, który nękał mnie przez wiele tygodni, wreszcie idzie sobie precz.

- Jedź do Edwarda, Alice. A potem wróć do mnie. Wróć, kiedy to wszystko się skończy.

Delikatnie pogłaskałam go po policzku. Twarz miał niemal marsową, ale w oczach czaił się niepokój. Pocałowałam go w usta.

- Wrócę do ciebie, Will.

Spakowałam swoje *rzeczy*, objuczono nimi dwa konie. Moją świtę stanowili chłopiec stajenny i jeden ze służących Windsora. Ucałowałam córeczki i pognałam jak wicher do Eltham, do Edwarda.

A co z owym dokumentem o moim uwolnieniu? Co się z nim stało? Nie pamiętam. Gdzieś znikł, a ja machnęłam na to ręką, wykazując się przedziwną u mnie beztroską.

Czego potem bardzo żałowałam.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *Eltham*

Do środka weszłam z lekkim sercem, bo gdy tylko przekroczyłam próg, od razu ożyły dobre wspomnienia związane z tym miejscem, z tym pięknym pałacem wzbogaconym przez Wykehama o nowe i wspaniałe komnaty. Już po chwili jednak dobry nastrój znikł, gdy uderzyło mnie to, o czym wspomniał Windsor. Pałac niby ten sam, a jednak inny, jakby życie stąd uleciało, zmieniając piękną budowlę w pokryty kurzem sarkofag. Mijający mnie służący spoglądali na mnie z ukosa. Owszem, wszyscy kłaniali się, nikt jednak się nie zatrzymał, o nic nie spytał. A jeden ze służących - widziałam to! - zagiął palce, żeby uchronić się przed złym spojrzeniem. Czyli dla wszystkich nadal byłam czarownicą.

Wiedziałam przy tym, że niełatwo mi będzie odzyskać dawne znaczenie, a pierwszy bój przyjdzie mi stoczyć już teraz. Wystarczyło spojrzeć na Rogera Beauchampa, nowego marszałka dworu, który zastąpił Latimera. Stał przed drzwiami do komnat króla, gotów odeprzeć całe legiony napastników. Wyprostowany, nogi rozstawione, ramiona skrzyżowane na piersi, a na mój widok wyprostował się jeszcze bardziej, w oczach błysnęło groźnie, czyli nie miałam co się łudzić. Przybyłam tu jak na skrzydłach, a nie wiadomo, czy warto było się tak śpie-



szyć, bo wieść o moim uwolnieniu najpewniej nie dotarła jeszcze do Eltham i ten sługus robi wszystko, by nie dopuścić mnie do Edwarda. Na pewno, bo patrzy na mnie jak na robaka, jednego z tych, których nie udawało się wytępić nawet w wielkich salach pałacu.

- Nie masz prawa tam wejść!

Żadnego szacunku, tylko od razu protest, czyli moje obawy były jak najbardziej uzasadnione. Wieść jeszcze nie dotarła.

- Chcę widzieć się z Jego Królewską Mością.

- Nie, nie możesz się z nim widzieć.

- Nie pozwolisz mi tam wejść?

- Nie.

- Wyrok został uchylony. Wróciłam z wygnania.

- A masz, pani, na to jakiś dowód?

Niestety nie, bo tak bardzo śpieszyłam z wyjazdem, że dokumentu nie wzięłam, nie sądząc, by był mi potrzebny. Chociaż Beauchamp tego dokumentu pewnie i tak by nie zaakceptował, bo nie było to wyrażenie woli Jego Królewskiej Mości, z podpisem Edwarda i pieczęcią.

- Dobrze wiesz, że wszystkie decyzje ostatniego parlamentu zostały cofnięte - oświadczyłam nadal bardzo spokojnie. - Przez samego Jana z Gandawy.

Co jak co, ale to imię chyba coś znaczy!

Jednak na butnym Beauchampie nie zrobiło żadnego wrażenia.

- Nic mi o tym nie wiadomo! - oznajmił ostrym tonem.

Wielka szkoda, że Latimer na dwór nie powrócił, bo wtedy rozmowa byłaby całkiem inna niż z tym zuchwalcem Beauchampem, który, rzecz dziwna, umknął uwadze Jana z Gandawy, gdy zaprowadzał swoje porządki.

- Wpuść mnie! - powiedziałam już nieco głośniejszym głosem. - Król na pewno będzie chciał się ze mną widzieć.

- Nie!

Mało tego, dobył miecza! Ale ja nie ustąpiłam nawet na krok.

- Jeśli chcesz, panie, mnie powstrzymać, będziesz musiał zrobić z oręza użytek! Bo to ja jestem tą, która nosi klejnoty królowej Filipy, to ja urodziłam dzieci Jego Królewskiej Mości! A ty ośmielasz mi się opierać? - Odepchnęłam na bok lśniące ostrze i zabębniłam pięściami w drzwi.

Lecz odpowiedziała mi cisza. Bardzo niepokojąca cisza, byłam przecież przekonana, że zostanę powitana z radością, a tymczasem nie wiadomo, czy to powitanie w ogóle nastąpi. Znowu zabębniłam, a mój strach był coraz większy. Już zaczynało brakować mi tchu, a na moment zabrakło całkowicie, kiedy palce Beauchampa zacisnęły się na moim nadgarstku kategorycznie, nieodwołalnie i niewybaczalnie.

Ale ja i tak drugą ręką załomotałam jeszcze raz i zawołałam:

- Wasza Królewska Mość! To ja, Alice! - jednocześnie próbując się uwolnić z kleszczy Beauchampa. Szarpałam i szarpałam, czując coraz większą rozpacz. Przecież ten łajdak mnie nie wpuści. Nie ma co się łudzić. A obietnice Jana z Gandawy są nic niewarte. Nic. Tylko słowa rzucone na wiatr... - Wasza Królewska Mość! Edwardzie! Wpuść mnie! - Teraz wykrzyczałam to bardzo głośno, przeraźliwie i z największą rozpaczą.

I stał się cud, bo drzwi wreszcie się otworzyły.

- Beauchamp, co to za krzyki? Umarły by się obudził! Marszałek dworu natychmiast puścił moją rękę, ale ja nie ruszałam

się z miejsca. Nie mogłam przecież podejść do Edwarda, skoro podczas naszego rozstania padły tak gorzkie słowa. Mogłam tylko patrzeć na niego i cieszyć się, że choć tak wychudzony i słaby, przemówił bez trudu jasnym, dźwięcznym głosem, i stoi pewnie, choć jedną ręką opiera się o framugę.

Mogłam tylko pokłonić się nisko i powiedzieć:

- Milordzie, to ja, Alice. Przybyłam do ciebie, panie. Pozwól mi wejść, pozwól mi być ze sobą.

Czy odwróci się ode mnie, czy odtrąci? Pełna niepokoju czekałam, kiedy spojrzenie niebieskich wyblakłych oczu przesunie się po mej twarzy. Czy błędzący umysł króla będzie w stanie mnie rozpoznać? Czekałam, zdawać by się mogło, nieskończenie długo, i doczekałam się, bo Edward wreszcie spojrzał na mnie normalnie, przytomnie. Niewątpliwie był moim widokiem zdumiony, ale również uradowany.

- Alice!

Wyciągnął ku mnie ręce, a ja złożyłam dłonie w jego dłoniach.

- Tak, to ja, panie.

- Pytałem o ciebie. Powiedziano mi, że nie możesz ze mną być.

- Mogę. Bo jestem tutaj, panie.

Pewność siebie wróciła. Śmiało przekroczyłam próg i stanęłam tuż przed Edwardem. Jego oczy błyszczały, pamięć niewątpliwie wróciła, czego najlepszym dowodem było to, co zrobił teraz. Skłonił się i podniósł moją rękę do ust. Najpierw jedną, potem drugą.

- Bardzo stęskniłem się za tobą, Alice.

- Ja też, Edwardzie. I nie mogę znieść, że jesteś sam.

- Rozdzielili nas.

- Wcale tego nie chciałam. Na szczęście twój syn przyszedł mi z pomocą. Jestem wolna i mogę być z tobą.

- Chodź, Alice. Porozmawiamy. - Poprowadził mnie przez komnaty.

Byłam zdruzgotana, gdy zobaczyłam, że podczas naszej rozłąki podupadł jeszcze bardziej. Szliśmy powoli, Edward lekko powłóczył prawą nogą, a pod ręką, którą trzymałam na jego przedramieniu, wyczuwałam naprężone mięśnie, co świadczyło, jak ciężko mu iść bez niczyjej pomocy. Ale był pełen determinacji.

Weszliśmy do wielkiej komnaty.

- Alice... - Nie dałam mu dokończyć, padając przed nim na kolana. - Alice... dlaczego?

- Chcę prosić cię, panie, o wybaczenie.

- Przed chwilą mówiłaś mi po imieniu, domagałaś się, żeby cię wpuścić, a teraz raptem klękasz przede mną. To nie jest Alice, którą pamiętam.

Roześmiał się i to, zamiast uradować, przeraziło mnie, bo uśmiechnęło się tylko pół tej kiedyś tak pięknej twarzy. Prawa strona pozostała nieruchoma.

Spuściłam głowę. Nie, nie potrafiłam też się roześmiać.

- Zraniłam cię, milordzie. Zdradziłam.

- Tak się stało. Powinnaś była mi o tym powiedzieć. Jestem pewien, że okazałbym zrozumienie.

- Okazać mi zrozumienie, kiedy w tajemnicy przed tobą wzięłam sobie męża? Nie, to niemożliwe.

- Możliwe. Nie rozumiem tylko, dlaczego wzięłaś sobie właśnie Windsora.

Oczywiście, że wszystkiego nie mogłam powiedzieć. Wyznałam tylko to, co uznałam za bezpieczne:

- On zadba o mnie.  
- Mam nadzieję.  
- Nadal jestem twoją wierną poddaną, panie.  
- Ale jesteś też młodą kobietą, a ja...  
- Milordzie... tak mi przykro...  
- Nie trzeba, Alice. Człowiek musi znaleźć w sobie odwagę, by stawić czoło wszelkim ograniczeniom. Moje ciało ignoruje już potrzeby serca.  
- I znów ten krzywy uśmiech, który rozdzierał mi serce. - Starość nie radość. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Iluż starych ludzi musi sobie to uprzytomnić, gdy młoda kochanka popatruje na innego? Nie ja pierwszy ani ostatni.

Byłam bardzo poruszona jego szczerością, niemniej jakoś nie potrafiłam odpłacić tym samym. Szczere wyznania nie chciały mi przejść przez gardło. O tym, że w moim małżeństwie nie uciechy cielesne liczą się najbardziej, lecz wzajemne zrozumienie, takie pokrewieństwo dusz.

- Nie chciałam odejść od ciebie, panie. To stało się wbrew mojej woli. Czy wybaczysz mi?

- Wiesz, że tak zrobię. Wybaczam ci, Alice, i proszę, wstań. Zmęczyło mnie już to patrzenie w dół. - Wziął mnie za rękę i z resztką dawnej gracji pomógł mi wstać. - Czy zostaniesz tu, Alice?

- Tak, jeśli mnie zechcesz, panie.

- Czy chcę? To tak, jakbyś pytała, czy chcę, by jutro wzeszło słońce. Jesteś mi potrzebna, Alice. Bardzo chcę, byś była ze mną, o ile wytrzymasz słabości starego człowieka.

- Chcę być przy tobie, panie.

- Chcesz... - Wyraźnie sposepniał. - Ci, którzy są ci nieprzychylni, mówią, że nie masz serca. A jeśli masz, to z kamienia. Co ty na to?

Teraz i ja sposepniałam, walcząc ze łzami.

- To, co ja powiem, nie ma żadnego znaczenia. Ważne, co ty myślisz o tym, milordzie. - Wzięłam go za rękę i zimną królewską dłoń położyłam sobie na sercu. - Cóż powiesz, milordzie?

- Oczywiście, że jest to twoje serce, i oczywiście, że nigdy nie było dla mnie z kamienia - powiedział miękko, całując mnie w czoło. - Jesteś taka łagodna, tak wiele w tobie ciepła! Przy tobie można wygrzewać się jak na słońcu.

Windsor poszedł w zapomnienie. Oboje wiedzieliśmy, że żadne z nas o nim już nie wspomni, jakbyśmy zawarli milczącą umowę. Dopóki Edward żyje, mój mąż nie istnieje.

- Jestem zmęczony, Alice - powiedział, podchodząc do łoża z pięknymi zasłonami, na których wyszyty był herb Plantagenetów. - Odkąd ciebie przy mnie nie ma, nie sypiam dobrze. Tak przynajmniej mi się wydaje... Bo z pamięcią u mnie coraz gorzej.

- W takim razie prześpij się, Edwardzie, a ja posiedzę przy tobie. Pomogłam mu ułożyć się we wspaniałym łożu, które kiedyś z nim dzieliłam, i usiadłam przy nim oparta na poduszkach. Kiedy wzięłam go za rękę, od razu przymknął oczy i wymamrotał:

- A wiesz... Kiedy powiedzieli mi, że nie wolno ci do mnie przychodzić i tak będzie już zawsze, byłem załamany. A król nie powinien czegoś takiego odczuwać, prawda?

- Król może i nie, ale mężczyzna, który kocha, mężczyzna z poczuciem honoru i rycerski ma prawo do różnych uczuć...

- Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę, Alice.

- Ale jestem tu!

- I wszystko będzie dobrze.

- Naturalnie. Wszystko będzie dobrze.

Siedziałam przy nim, póki nie zmorzył go sen. Chciałam powiedzieć mu jeszcze, że na pewno odzyska siły i podźwignie ciężar panowania. Chciałam też zapewnić, że jego umysł będzie jasny tak jak dzisiaj i do końca swoich dni będzie miał moją miłość i troskę. Ale jakoś nie przechodziło mi to przez gardło. Bo to były tylko pobożne życzenia. Pamiętałam przecież, jak niesprawny jest już umysł Edwarda, a ta jasność umysłu to tylko stan przejściowy, krótkotrwała poprawa, nic więcej.

Czy płakałam z żalu nad nim? Nie, ponieważ wiedziałam, że by sobie tego nie życzył. Ale postanowiłam, że będę z nim do samego końca, starając się ze wszystkich sił rozjaśnić mu ostatnie miesiące jego wspaniałego życia.

Windsor na pewno okaże zrozumienie, przecież dobry Bóg obdarował mnie mężem najlepszym z najlepszych...

Wbrew moim obawom Edward mocno trzymał się życia. Mało tego, choć bardzo był przecież słaby, zdecydował się na wyprawę do Windsoru, by wziąć tam udział w pewnej uroczystości.

- Nikt mnie od tego nie odwiedzie! To jedno chcę jeszcze zrobić. Czy ty mnie słuchasz, Alice?

Oczywiście, że słuchałam, cała byłam zachwycona, bo kiedy o tym mówił, odżyła w nim władczość Plantagenetów. To spojrzenie, proste plecy... Niestety, tylko przez krótką chwilę, bo dumnie uniesiona głowa opadła na pierś i król zasnął. Była to jednak tylko niedługa drzemka, a kiedy się obudził, natychmiast zaczął mówić o tym samym, o tym, co utrzymało się w jego niespokojnym umyśle.

- Zasiądę za stołem w Okrągłej Wieży Wykehama w Windsorze. Tak! Nawet gdyby mieli mnie wnieść w lektyce!

Ostatni dzień świętego Jerzego w życiu Edwarda, niezależnie od tego, czy pojedzie do Windsoru, czy nie. A tego wyjazdu bałam się bardzo, przecież medycy przestrzegali przed zmianą ustalonego porządku dnia i przed trudami podróży, a ja starałam się odwieść go od tego pomysłu, ale Edward był nieugięty.

Zesztywniałe wargi króla nadal były w stanie wydawać rozkazy.

- Zajmij się przygotowaniem do wyjazdu, Alice. Czy chcesz powstrzymać mnie od zrobienia czegoś, co przyniesie również tobie wielką radość? Bo ty też tam jedziesz, prawda? Chyba mi nie odmówisz!

- Twoje zdrowie jest najważniejsze, Edwardzie.

- Wiem, wiem. Ale koniecznie chcę to jeszcze raz przeżyć. Znów mówił bardzo niewyraźnie, znów głowa opadła na pierś, znów tracił siły, ale mojej ręki nie puszczał.

Czy mogłam odmówić? Oczywiście, że nie, a poza tym czułam, że dzięki żelaznej sile woli Edwardowi uda się przebrnąć przez uroczystości, które trwają kilka dni.

- Przygotuję wszystko i pojedę z tobą. Ale pamiętasz, Edwardzie, o co cię prosiłam?

- Pamiętam, pamiętam... - Westchnął. - Wiedziałem, że o to poprosisz, znam cię przecież bardzo dobrze. Ale to prośba trudna do spełnienia, Alice.

- Dlaczego nie wolno mi tego wszystkiego pooglądać? Stanę gdzieś z boku i popatrzę.

- Ale to nie uchodzi, Alice!

- Masz władzę, Edwardzie, dzięki której to, co nie uchodzi, raptem może uchodzić!

Och, jak bardzo chciałam nie chować się po kątach, tylko obejrzeć wspaniałe uroczystości z okazji dnia świętego Jerzego. Niestety Edward do mej prośby odnosił się bardzo sceptycznie, a księżna Joanna zapalała świętym oburzeniem, czego nie omieszkała przekazać teściowi osobiście.

- To nie jest stosowne, milordzie. W żadnym razie nie powinno jej się na to zezwolić.

- Ale to taka ważna i piękna uroczystość...

Edward może i żałował, że stanął do walki z księżną, niemniej skoro zaczął, zdecydowany był opowiedzieć się po mojej stronie.

Joanna natomiast rzuciła się do walki z taką samą determinacją jak angielska kawaleria na Francuzów pod Poitiers.

- W żadnym razie nie powinno jej tam być! Tego zaszczytu dostępują tylko ci, co mają błękitną krew, i tylko damy Orderu Podwiązki, jak Filipa czy Izabela. Jak możesz kobietę tak nisko urodzoną stawiać na równi ze swoją żoną czy córką? Przecież nawet mnie nie wolno tam wchodzić!

Edward westchnął i znamionującym znużenie gestem podniósł rękę.

- Już dobrze, Joanno, wysłuchałem ciebie. Rzeczywiście, byłoby to naruszeniem tradycji, którą zresztą sam stworzyłem.

Uśmiechnął się do mnie przepraszająco, a ja pomyślałam, że skoro sam coś stworzył, to ma święte prawo dokonać zmiany. Ale nie powiedziałam tego na głos, widziałam przecież, że jest rozdrażniony i bardzo niespokojny. Dlatego zmilczałam, pozwalając Joannie na małe zwycięstwo. Bo czyż sama nie odniosłam większego, kiedy Edward uśmiechnął się do mnie jeszcze raz, bardzo ciepło, i wziął mnie za rękę?

- Ale do Windsoru jedziesz razem ze mną.

- Tak, milordzie.

- Ale nie będziesz uczestniczyć w uroczystościach! - dodała Joanna tak na wszelki wypadek.

A to się jeszcze zobaczy...

Do podróży szykowaliśmy się bardzo starannie. Popłynęliśmy tam barką w dniu poprzedzającym uroczystość, żeby mieszkańcy Windsoru nie widzieli, że król Edward zamiast podjeżdżać na rumaku pod bramy miasta, przybywa tu na noszach. Dzięki temu fortelowi udało mi się oszczędzić Edwardowi upokorzenia. Czy będzie jednak w stanie wkroczyć o własnych siłach do komnat? Czy da radę unieść wielki miecz? I to niejedyn raz?

Wszystko w rękach Boga.

Nowy dzień. Edward zjadł śniadanie, a kubek wina zaróżowił jego policzki i wyostrzył zmysły. Potem służący ubierali go, szykując do uroczystości, która dla niego będzie męką. Jagnięca skóra i futro miały ochronić przed zimnem, obszerne szaty ukryć wychudzone ciało i stworzyć pozory majestatu.

No i wreszcie pojechaliśmy do Windsoru. Po wejściu do pałacu usunęłam się na bok i już tylko patrzyłam, jak Edward, oparłszy rękę na ramieniu jednego ze swoich rycerzy, dumnie unosi głowę i wolnym krokiem wchodzi do wielkiej komnaty, a potem zasiada za ogromnym okrągłym stołem. Bo tu właśnie miała się odbyć pierwsza inauguracyjna uroczystość, na której tak bardzo Edwardowi zależało, pewnie nawet jeszcze bardziej niż trzydzieści lat temu, kiedy był młody, w pełni sił, a w uroczystości brał udział kwiat rycerstwa z całej Europy. Naturalnie uczestniczyła w niej również Filipa, która potem, w kolejnych dniach świętego Jerzego, była główną osobą. Po jej śmierci Edward wziął to na siebie, teraz jednak musiał ograniczyć się tylko to pierwszej ceremonii, przecież sił starczało mu zaledwie na godzinę. I dlatego też obarczono obowiązkiem księżną Joannę. Ja, nałożnica króla, byłam oczywiście odsunięta od świętego ceremoniału. Pełne powagi rytuały nie przewidywały dla mnie żadnej roli, król nie mógł tu nic dla mnie wymyślić, jak to było z rolą Pani Słońca. Zanosilo się więc na to, że niczego nie zobaczę, będę mogła tylko sobie wyobrazić, co dzieje się w wielkiej komnacie. I tak zapewne by się stało, gdybym nie zwróciła uwagi na grupę młodzieńców ubranych w szkarłatne szaty. A jedna z tych młodych i urodziwych twarzy przykuła mój wzrok. Twarz tak mi droga, że natychmiast podjęłam decyzję. Muszę tam wejść, przecież to niemożliwe, żebym nie była świadkiem najwspanialszego potwierdzenia, że moje życie jest coś warte, bo czegoś jednak dokonałam.



Wsunęłam się do środka i stanęłam po lewej stronie w cieniu olbrzymiego gobelinu. Byłam prawie niezauważalna, a jednocześnie widziałam doskonale, jak dwunastu młodzieńców w szkarłatnych szatach zostało pasowanych na rycerzy.

Nowe pokolenie władców Anglii, sama kwintesencja błękitnej krwi, młodzieńcy, na których spocznie przyszłość królestwa. Rozpoznawałam ich wszystkich. Najpierw dwóch wnuków Edwarda. Uklękli jako pierwsi i pierwsi poczuli na ramieniu dotknięcie lśniącego ostrza wielkiego miecza. Potem Ryszard Bordeaux, szczupły i jasnowłosy syn księcia Edwarda. Henryk Bolingbroke, syn Jana z Gandawy, po nim Tomasz Woodstock. A potem kolejno młodzi ludzie o najszlachetniejszych nazwiskach. Oxford, Salisbury, Stafford, Mowbray, Beaumont i Percy.

I miałam niestety rację. Ręka Edwarda była już bardzo słaba. Miecz drżał, ale Edward, tracąc siły, siły woli nie tracił. Wiedziałam, że tak będzie do samego końca. A ten łyk wina, które mu podano, na pewno go wzmocni.

Każdy z młodzieńców wysuwał się do przodu, klękał na jedno kolano i po pasowaniu na rycerza wycofywał się. A ja nie mogłam się doczekać, kiedy przyklęknie ten, na widok którego serce moje omal nie wyskoczyło mi z piersi.

Wreszcie stało się. Ostatni z młodzieńców podchodził do króla Edwarda, by zostać pasowanym na rycerza. Pasowanym przez swego ojca, przecież ten młody człowiek to...

Jan! Nasz syn! Mój syn!

Poblady z przejęcia przyklękł na jedno kolano. Na tle wielkich okien jasne włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze. Trzydzieści lat, ruchy trochę jeszcze niezręczne, ale wyuczono go, jak ma się zachować i co zrobić. Wstrzymałam oddech, kiedy Edward po raz ostatni podniósł wielki miecz, a nasz syn podniósł głowę. I został pasowany na rycerza.

Byłam nieskończenie dumna z publicznego uznania tego, co było i jest tylko szkalowane. Mego miejsca w życiu Edwarda.

Ostrożnie wysunęłam się z sali. Zobaczyłam już wszystko, co chciałam zobaczyć. Mój syn, rycerz, a także kawaler Orderu Podwiązki! Po prostu brakowało mi tchu.

Niestety, na tym koniec radosnych przeżyć, bo Edward, kiedy tylko uroczystość dobiegła końca, kazał zawieźć się do Sheen, i to jak najszybciej.

- Chce umrzeć tam - wyszeptałam.

I czułam, że stanie to się niebawem, właśnie w Sheen.

- Edwardzie, co się stało? - spytałam już na samym początku naszej podróży, ponieważ był smutny, czymś bardzo poruszony.

Potrząsnął głową. I milczał.

- Edwardzie! Nie ustąpię! Musisz mi powiedzieć.

- Dobrze, powiem ci. Jest coś, czego bardzo żałuję...

- Na pewno można to naprawić!

- Nie, nie mogę tego zrobić. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem sprawy królestwa. Dla mnie było ważniejsze niż wszystko inne, także przyjaźń. Niesłusznie. I nie sądzę, żeby mi wybaczone.

Zamknął oczy, ani słowa więcej. Ja naturalnie wyteżęłam umysł, starając się domyślić, o kogo Edwardowi chodzi, bo może jednak uda się temu zaradzić. Myślałam, myślałam, aż w końcu w środku nocy pojęłam. I wiedziałam już, co powinnam jak najszybciej zrobić.

Edward leżał w swoim łóżu. Pierś prawie nieruchoma, wychudzone ciało powleczone białą, cienką skórą prawie przezroczystą i opalizującą jak macica perłowa w muszli ostrygi z Tamizy. Co jakiś czas bardzo cichy, bardzo słaby oddech, ta jedyna oznaka, że tli w nim się jeszcze życie.

A więc ten dzień nadszedł. Długie życie męznego króla, życie całkowicie poświęcone chwale Anglii, dobiegało końca.

Ostatnim razem czuwałam przy umierającej Filipie. Filipa... Uśmiechnęłam się smutno na wspomnienie tej istoty tak zadziwiająco dwulicowej, przy czym ta dwulicowość zrodziła się ze współczucia. Tak! Chyba nikt by w to nie uwierzył!

Filipa, najukochańsza żona Edwarda. Po jej śmierci już się nie podniósł. W ciągu tych ośmiu lat nie było dnia, by za nią nie tęsknił. Ja zawsze byłam na drugim miejscu, z czym naturalnie się pogodziłam. Oczywiście! Przecież nie mogło być inaczej.

Dziś Edward, odchodząc z tego świata, pozbędzie się ciężaru ogromnej tęsknoty za ukochaną żoną...

Ja też uwolnię się od ciężaru.

Przy łożu klęczał spowiednik Edwarda, ojciec Godfrey de Mordon, człowiek złotousty, za to o moralności bardzo ograniczonej, niewielkiej jak on. Nieduży, głowa mała, więc twarz też. Twarz o bardzo ostrych rysach, dlatego przypominał mi fretkę. Bardzo go nie lubiłam, on uczucie to odwzajemniał z nawiązką, ale pozwoliłam, by modlił się teraz za duszę Jego Królewskiej Mości. A sama po prostu siedziałam i patrzyłam, jak z Edwarda ulatuje życie.

Ojciec Godfrey, zajęty modlitwą, co jakiś czas spoglądał na mnie spode łba, a w końcu wysyczał:

- Jego Królewska Mość musi okazać skruchę, teraz, już.

- Później.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Nie powinno cię tu być, pani...

Wtedy pozwoliłam sobie okazać wielki brak szacunku do osoby duchownej, a zrobiłam to za pomocą krótkiego stwierdzenia:

- Ale tu będę.

- Nie wolno ci tu być, gdy król będzie po raz ostatni wyznawał swoje grzechy.

Jego spojrzenie było bardzo wymowne. Przecież najcięższym z tych grzechów byłam ja! Ojciec Godfrey czcił Filipę niemal jak świętą, ja natomiast byłam dla niego najbardziej nikczemną córą Ewy.

Przeżegnał się i zaczął mamrotać następną litanie do Matki Boskiej, a ja złożyłam ręce i umieściłam je na podołku. Ciekawe, co ten klecha by powiedział, gdybym mu zdradziła, że jestem niewinna. Oczywiście! Bo któż to taki wymyślił, żeby król Anglii wziął osobie za nałożnicę dziewczynę z ludu, żadną piękną i bez ogłady? Ta, którą on uważa niemal za świętą!

Edward westchnął, palce zacisnęły się kurczowo na narzucie...

Ach, to wszystko przeszłość! Gdybym chciała ojcu Godfreyowi cokolwiek wyjaśnić, z pewnością nie będzie słuchał, a poza tym i tak jesteśmy już na końcu tej nadzwyczaj trudnej i niebezpiecznej drogi. Mogłam się już tylko modlić za króla Anglii, prosić Boga, by Edward jeszcze nie odchodził, by przy życiu zatrzymała go łącząca nas więź. Ale nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam się modlić za Edwarda, wiedziałam przecież, że on tego nie chce. Chce już odejść, bo ma dość słabości ciała, braku pamięci, braku dostojeństwa. Dlatego modliłam się, by

śmierć nastąpiła szybko i bezboleśnie, by jak najłagodniej przeniósł się tam, gdzie niczego już pamiętać nie będzie... Co będzie potem? Tu, na ziemi?

Koniec z królewską faworytą. Będę nią może jeszcze przez minutę, pięć, na pewno jednak nie można tego liczyć w miesiącach czy latach. Kiedy zmarła Filipa i przestałam być damą dworu, na dworze królewskim zostałam tylko dzięki Edwardowi, lecz kiedy go zabraknie, miejsca dla mnie już tu nie będzie.

Dokąd pójdę?

Oczywiście do Williama de Windsora. Zdawałam sobie sprawę, że wraz ze śmiercią króla wilki znów mogą zacząć wyć pod moimi drzwiami, a Jan z Gandawy nie da rady ich powstrzymać. Ale już sama myśl o Windsorze wlewała w mą duszę spokój. On zawsze doda mi otuchy, zawsze obejmie mocno, jego rosłe, ciepłe ciało tuż przy moim nie pozwoli żadnym koszmarom dręczyć mnie we śnie.

Po drugiej stronie łoża był John Beverley, zaufany służący króla. Krzątał się, prawie bezszelestnie, robiąc to, co zwykle, czyli starając się, by król miał jak największe wygody.

- Możesz już odejść - rzuciłam półgłosem. - Niczego więcej już dla niego nie można zrobić.

John wyszedł z komnaty. Byliśmy teraz sami, ja i duchowny. I czekający na śmierć Edward.

Zamknęłam oczy, czując nagle wielkie znużenie. Kiedy duchowny ponownie się odezwał, odczułam to bardzo boleśnie, jak drapnięcie otwartej rany.

- Pani Perrers! Jego Królewska Mość musi wyznać Bogu swe grzechy! Powoli uniosłam powieki, odsłaniając płonący wzrok. Duchowny,

pożal się Boże! Zaraz porządnie utrę nosa temu nadętemu klesze, tak gardzącemu drogą, którą przyszło mi podążać.

Bo decyzję podjęłam. Edward nie będzie umierał jak parweniusz, w półmroku. Pożegna się z życiem przy pełnym świetle, wśród przepychu świadczącym o jego potędze.

- Pani, nie uchodzi...

- Nie przeszkadzaj sobie. Spowiadaj, ale przedtem pozapalaj wszystkie świece. Jego Królewska Mość nie powinien odchodzić w mroku, skoro całe życie spędził w blasku!

Ojciec Godfrey z ociąganiem zabrał się za zapalenie świec i już po chwili w komnacie był jasno jak w wielkiej sali podczas uczty. Wtedy delikatnie dotknęłam ręki Edwarda, po prostu z czułości, wcale nie mając nadziei, że się obudzi. A jednak powieki drgnęły i Edward powoli przekręcił głowę, zwracając się twarzą ku mnie.

- Pić...

Jedno słowo wypowiedziane z wielkim trudem. Oddychał ciężko. Szybko wlałam wina do kubka i przytknęłam kubek do jego ust. Wypił tylko jeden łyk. Potem poprawiłam poduszki, aby głowę miał nieco wyżej. Wtedy spojrzał na koronę, którą kazałam tu przynieść i położyłam na łożu, koło ręki króla.

- Ty ją tu położyłaś? - spytał. Kąciki ust drgnęły i wargi złożyły się do tego tak ujmującego uśmiechu króla Edwarda. - Dziękuję...

Wychudłe palce musnęły najszlachetniejsze złoto wysadzane najdroższymi kamieniami.

- Mam nadzieję, że udało mi się dobrze spożytkować władzę, którą obdarzył mnie Bóg... - Edward westchnął. - Teraz nosić ją będzie chłopiec dziesięcioletni. Boże, daj mu siłę.

Do łoża podszedł ksiądz.

- Panie, są teraz ważniejsze rzeczy - powiedział, unosząc krucyfiks powieszony na szyi. - Twoja nieśmiertelna dusza...

- Może chwilę poczekać.

- Panie, pora na wyznanie grzechów.

- Powiedziałem. Jeszcze nie. Alice, mów do mnie. Mów. Oczywiście, że będę do niego mówić. Rozmawiać normalnie, bez szlochów i rozpacz, bez okazywania współczucia. Bo tego właśnie Edwardowi potrzeba. Będziemy udawać, że nic się nie dzieje i ja jak zwykle chcę go czymś zabawić.

Edward umrze tak, jak chce. Przysiadłam na brzegu łoża, z rozmysłem odwracając się do księdza plecami, by zapomnieć o jego obecności. Bo teraz mamy być tylko we dwoje, mój król i ja.

- O czym chciałbyś porozmawiać, Edwardzie? I znów ten cień ujmującego uśmiechu.

- O dniach mojej chwały, naturalnie! Kiedy byłem najpotężniejszym królem Europy.

- Tak... Tylko widzisz, ja jeszcze cię nie znałam, kiedy zwyciężałeś pod Crecy.

- Rzeczywiście! Byłaś wtedy jeszcze dzieckiem.

- Jeszcze się nie urodziłam.

- Ach tak... Czyli to Filipa była wtedy ze mną...

- Tak. Zawsze była z tobą, Edwardzie, i kochała cię najgoręcej przez całe wasze długie i szczęśliwe małżeństwo.

I znowu wtrącił się klecha:

- Panie...

- Nie przeszkadzaj... - syknęłam.

- To opowiedz mi o tym ostatnim polowaniu w Eltham - poprosił Edward.

- Było bardzo udane, pamiętasz? Twoje psy dopadły dorodnego kozła, a ty miałeś wspaniałego konia. Pędziłeś na nim jak wicher!

W sercu zakłuło. Och Boże, jakież to były piękne dni...

- Naprawdę, Alice? Nie jestem przecież już taki młody...

- A jechałeś jak młodziak. Bo nikt nie siedzi na koniu jak ty, Edwardzie.

- To był wspaniały dzień.

Zamknął oczy, jakby przywoływał w pamięci obrazy z przeszłości. Chwile swej wielkości.

- To świętokradztwo - wysyczał mi do ucha ojciec Godfrey. -Mówić teraz o polowaniu...

Król otworzył oczy.

- Jeszcze nie umarłem, Godfrey!

- Panie! Powinieneś pojednać się z Panem Bogiem! Spojrzenie króla stało się jasne i przenikliwe.

- Sądzisz, że mi wybaczy? Te trupy na polach bitewnych Francji? Wybaczy, że wysłałem tylu na śmierć?

- Wybaczy, jeśli okażesz skruchę - odparł ksiądz, unosząc krucyfiks. I wtedy ja:

- Jak Jego Królewska Mość ma okazać skruchę za coś, dzięki czemu został potężnym władcą?

- Alice, daj spokój - powiedział Edward, jak zwykle bardziej ugodowy niż ja. - A pamiętasz, jak weszliśmy z sokołami na blanki w Windsorze? Pamiętasz, jak latały? Cóż to był za widok...

Cisza. Słyszeć tylko świszczący oddech Edwarda. A po chwili:

- Alice...

- Jestem tu, jestem.

- Szkoda... szkoda, że to już koniec...

Ksiądz podskoczył, jakby był jakimś dziwnie dużym robalem.

- Odchodzi! Daj mu, pani, okazać skruchę. Nie wolno umierać bez rozgrzeszenia!

- Będzie tak, jak sobie tego życzy Jego Królewska Mość - powiedziałam, delikatnie głaszcząc wychudzoną rękę. - Zawsze tak jest. A Pan Bóg Wszechmogący doskonale wie, jak zasłużył się Jego Królewska Mość, i przyjmie go do siebie nawet bez rozgrzeszenia.

- Przemów do niego, pani. Niech się wypowiedzi. A tego to już było za wiele.

Wstałam bardzo gwałtownie, a ksiądz cofnął się o krok.

- Wyjdź!

Ojciec Godfrey nie ruszył się z miejsca, ale mojego spojrzenia już nie wytrzymał i spojrzał w bok.

- Nie wyjdę.

Wtedy podeszłam do drzwi, otworzyłam je i skinęłam na giermka, mówiąc głośno i wyraźnie:

- Kiedy tylko nadjedzie sir Wykeham, natychmiast go tu przyprowadź.

Twarz Edwarda pojaśniała, a ja omal się nie rozplakałam. Och Boże, jak to dobrze, że domyśliłam się, z kim Edward chciałby się pojednać, dlatego wezwałam Wykehama. Edward zawsze bardzo ubolewał, że nie ma go przy sobie.

A poza tym jeśli ktoś ma rozgrzeszyć króla, to tylko Wykeham.

Ojciec Godfrey musiał odejść jak niepyszny, chociaż na odchodnym pofolgował sobie, pomrukując pod nosem:

- Kiedy król umrze, nikt już cię nie obroni, nikt!

Wreszcie wyszedł, a po krótkiej chwili do komnaty wszedł Wykeham i Edward od razu się ożywił.

- Wykeham! To ty? Dobrze, że zdążyłeś. Chciałem prosić cię o wybaczenie, że odebrałem ci urząd. Taki był wymóg chwili, ale ty niczym

sobie na to nie zasłużyłeś. Wybacz, że tak się stało. I jeszcze jedno. Bardzo żałuję wszystkich moich grzechów. Czy to Panu Bogu wystarczy?

Oczy Wykehama błyszczały podejrzenie. Oczywiście, przecież były w nich łzy.

- Dla mnie to wielki zaszczyt, że zwracasz się z tym do mnie, panie. Ale jeśli chodzi o Wszechmogącego, sama skrucha nie wystarczy. Musisz wyznać swoje grzechy.

W oczach Edwarda tak leciutko błysnęło, kiedy wrócił mu dawny animusz.

- A nie mógłbyś wstawić się za mną? Cóż z ciebie za biskup, jeśli nie możesz paść Mu do nóg i przemówić za mną?

Śmiałe słowa, ale głos już coraz słabszy.

- Wątpię, czy Bóg by wysłuchał, gdybym wstawił się za kimś, kto popełnił grzech cudzołóstwa. - Powiedział to tak szorstko, zaskakująco szorstko. Cóż... Wykeham jest przecież osobą duchowną. - Musisz wyznać wszystkie swe grzechy, panie, jeśli chcesz, by Bóg ci wybaczył.

- W takim razie skazany jestem na męki piekielne. Nie wyznam tego grzechu, bo tym samym zdradziłbym Alice. I nie będę debatował o czarach. Nikt nie rzucał na mnie uroku, zawsze o wszystkim sam decydowałem i to ja odpowiem za wszystko, co się wydarzyło. - Powiedział to zdecydowanie, ale oddychał już z coraz większym trudem. Wychudłe palce zamknęły się na mej dłoni. - Im szybciej, tym lepiej... Widzę już ją, tam, w progu. Śmierć...

- Edwardzie...

Spojrzał na mnie, ale było to już półprzytomne spojrzenie.

- Jak myślisz, Alice, czy Filipa czeka tam na mnie?

- Tak. Na pewno, Edwardzie. Czeką na ciebie z utęsknieniem.

- Jak dobrze, że znowu ją zobaczę...

Zakłuło, i to bardzo. A przecież, na litość boską, nie powinno! W takiej chwili! - Obejmij mnie, Alice.

Uklękłam przy łożu i objęłam zatrwajające chude ciało krzepkiego kiedyś mężczyzny. Do tej najsmutniejszej chwili szykowałam się od dawna. Nic to jednak nie pomogło, bo kiedy ta chwila nadeszła, byłam przerażona. Edward odchodzi na zawsze. Tracę go, tracę bezpowrotnie całe to życie, które zbudowałam sobie tutaj tylko dzięki niemu...



Milczałam zmartwiała i przerażona tym, co nieuniknione. I znów cichy głos:

- Nigdy nie byłaś żadną czarownicą, prawda?

- Nigdy, panie. Wiesz najlepiej, że działo się zawsze wedle twojej woli.

- Tak... - Palce króla na mej dłoni poruszyły się. - Weź je, Alice... musisz je wziąć... Nie wiadomo, jak to z tobą będzie, a byłaś przecież światłem moich oczu... Osłoda mojej starości. Nie żałujesz niczego?

- Ależ panie! Nigdy niczego nie żałowałam. Ani przez chwilę

- Ja też nie. Kocham cię... - Głos zamierał, z ust króla wydobył się już tylko cichusieńki szept: - Chryste... Zmiłuj się nade mną...

Cisza. Ostatnie tchnienie i wielki władca Anglii zakończył życie w moich ramionach, z głową wtuloną w mą pierś. A dookoła morze światła, jakby już był w niebie.

Nie, jeszcze nie płakałam.

- Żegnaj, Edwardzie. Kiedy będziesz podchodził do tronu Boga, twoja Filipa będzie już u twego boku.

- Boże, zmiłuj się nad jego duszą.

To powiedział Wykeham. Nadal na kolanach uczynił znak krzyża i oddał się modlitwie.

A ja przystąpiłam do czynności jakże bolesnych. Wyjęłam poduszki spod głowy Edwarda, przeczesałam palcami włosy, poprawiłam pościel. Wygładziłam bardzo starannie, żeby wyglądało to porządnie. Na pewno by sobie tego życzył. A na koniec tak ułożyłam jego ręce, by były wyciągnięte po bokach.

A potem... Tak, pamiętam to doskonale. Nagle zaczęłam zdejmować z jego palców pierścienie. Najpierw pierścień z rubinem kaboszon, potem z szafirami, a wokół każdego szafiru diamenty. Potem perły. Trzy beryle. Ametyst jeden, urody niebywalej. Zsuwałam je z wychudłych palców właściwie bezmyślnie, bo niczego nie czułam oprócz tej nieprzepartej chęci, by to właśnie zrobić.

Dłoń pełna skrzących się klejnotów.

Wykeham, zapominając o modlitwie, cicho zaklął i zerwał się na równe nogi.

- Na litość boską! Co ty robisz?!

W blasku świec widziałam dokładnie, co jest wypisane na jego twarzy. Obrzydzenie. Tyle tego obrzydzenia, że zamarłam. Czyżby Wykeham, duchowny - a lepszego duchownego nie znałam - był pewien, że ograbiam zmarłego? Że zwyczajna chciwość popchnęła mnie do zdjęcia drogocennych pierścieni z zastygłych palców? Czyżby Wykeham, właśnie on, był pewien, że zdolna jestem do czynu tak haniebnego?

Nie żałujesz niczego?

O to spytał Edward. Zaprzeczyłam, choć czasami moja dwuznaczna pozycja na królewskim dworze była dla mnie wielkim ciężarem. A moja przyszłość wcale nie jawiła mi się w jasnych barwach, Edward też nie był dobrej myśli, stąd jego słowa: „Weź je”. Ale o tym nie muszę mówić Wykehamowi. Po co? I tak uważa mnie za człowieka nikczemnego.

A poza tym... dlaczego tak jest, że ludzie ciskają we mnie całą lawiną kamieni gniewu? Wykeham też, i jego gniew wzbudził we mnie to samo. Także gniew. Byłam wzburzona chyba jeszcze bardziej niż on, do tego dochodził ból, który odczuwałam po odejściu Edwarda. A gniew i ból to niebezpieczna mieszanina, bo rodzi wyzwanie. Wykeham myśli o mnie jak najgorzej. Przeklął mnie za moje grzechy, uczynił to skwapliwie, tak jak ojciec Godfrey. A więc dobrze! Niech przeklina!

Byłam w furii, tej najgorszej z najgorszych. Chciałam, by mnie raniło, bo ja też gotowa byłam zranić.

Niepohamowany gniew. Nienawiść do samej siebie i żądza niszczenia. Będzie, jak ma być. Zniszczę tę namiastkę przyjaźni, która łączy mnie z Wykehamem, doprowadzę do tego, że już zawsze będzie myślał o mnie jak najgorzej. Nie szkodzi. Mogę z tym żyć. Bo i komu to może przeszkadzać? Nikomu. Jedyne człowiek, któryby się tym zmartwił, nie żyje. Nie. Jest jeszcze ktoś, i to wśród żywych. Windsor.

Ach! Szybko postarałam się, by o nim nie myśleć. Bo ja tak potrafię, potrafię też znakomicie udawać, czasami jednocześnie szydząc z samej siebie. Jak teraz, kiedy podniosłam wysoko rękę, a na każdym palcu skrzył się królewski pierścień. Wykeham potępił mnie? I słusznie. Oto dowód!

Chyba jeszcze nigdy w życiu mój głos nie był tak lodowaty, tak całkowicie wyprany z uczuć.

- Czyż nie zasłużyłam na trochę błyskotek, skoro oddałam swoją młodość staremu człowiekowi?

- Ograbiłaś zmarłego - odparł Wykeham. Był przerażony, bo zapewne nie wierzył własnym oczom, kiedy ja najspokojniej w świecie zdejmowałam jeszcze z kciuka Edwarda pierścień z opalami. - Jesteś odrażająca!

- Och! Licz się ze słowami!

I wsunęłam sobie na palec ów pierścień z opalami.

- Kiedyś myślałem, że warta jesteś przyjaźni. Nie chciałem wierzyć w to, co ludzie o tobie mówią...

Przyjaźni? A cóż warta twoja przyjaźń, skoro z góry ferujesz wyroki! - zadrwiłam w duchu, a na głos powiedziałam:

- Nie? Wykeham osoba duchowna, a taki głupi! Zawsze trzeba pilnie nadstawiać ucha! Słuchać, co ludzie gadają! - Uniosłam dumnie głowę, modląc się, by te łzy, co piekły już pod powiekami, jednak tam pozostały. - A może zdradzisz mi, co tam gadają o mnie i dworzanie, i pospólstwo?

- Dobrze wiesz, co mówią.

- Może i tak, ale chciałabym to usłyszeć z twoich świątobliwych ust. Tak, chciałam, by biczował mnie słowami, ranił, rzucał we mnie kalumniami. Byłam prawie nieprzytomna z tej rozpacz i gniewu.

Najpierw zacisnął usta. Wiadomo, zrobiła się z nich wąska kreska na znak, że to, co od ludzi usłyszał, w głowie się nie mieści.

- Mówią, że jesteś rozpustną dziewczką bez żadnych skrupułów.

- Naturalnie!

- Bezwstydną.

- Nie może być inaczej! Ale zaraz... Czy to już wszystko? Potrząsnęłam z niedowierzaniem głową, a Wykeham skwapliwie dodał:

- Jesteś chciwą, samolubną rozpustnicą!

- Oczywiście! Bo inaczej nie można tego ująć!

- I to ciebie nie dotyka?! - Jego gniew stał się równy mojemu, bo nie przebierał już w słowach. - Mówią, że obląpiałaś króla, żeby tracił siły. Że rządzi tobą tylko chęć. Zdradziłaś królową Filipę i...

Wystarczy. Ręka druga, ta bez pierścieni, wymierzyła biskupowi Winchesteru siarczysty policzek. Tak. Człowiekowi, który mienił się

moim przyjacielem, który doskonale wiedział, ile prawdy jest w tych dworskich plotkach.

- Lordzie biskupie! Jestem wstrząśnięta, że ty, właśnie ty, posługujesz się tak plugawym językiem! - I zaczęłam się śmiać.

Wykeham poczerwieniał, ale odparował cios:

- Prawda w oczy kole?

- Przede wszystkim nie spodziewałam się, że stać cię będzie na powtórzenie słów tak plugawych! A poza tym teraz już wiem, że zawsze należy wierzyć temu, co gadają, kiedy mieszają w garnkach albo w domach rozpusty. Wierzyć, co gadają o kobiecie, której największą winą jest to, że wykorzystuje dane jej od Boga dary! - Teraz to w moim głosie był cały mój gniew.

Wykeham na chwilę zaniemówił, potem szybko wskazał ręką na pierścienie na moim ręku.

- I to z powodu tych właśnie darów to zrobiłaś? Jesteś z tego... dumna?

- Dlaczego nie? Należy mi się za to, że byłam niegodziwą rozpustnicą. Gdybym nią nie była, żyłabym w londyńskim rynsztoku albo w ogóle bym już nie żyła. Albo jeszcze gorzej. Byłabym zakonnica.

- Boże, zmiłuj się nad nią! - krzyknął, a potem nagle wycelował palcem w nieruchomą rękę Edwarda. - Spójrz! Jeden pierścień jeszcze został, i to taki, co na pewno wart jest więcej niż ta cała reszta. Ten pierścień da ci jedwabie i futra do końca twoich nędznych dni!

Szmaragd. Nie, nie poruszyłam się. A Wykeham dalej krzyczał:

- Dlaczego go nie bierzesz?! Czyżbyś nagle poczuła wyrzuty sumienia?! Zdarłaś z niego wszystko, nie tylko pierścienie! Zabrałaś to, co powinno należeć do Filipy. Jego bliskość, jego wierność, jego oddanie aż do późnej starości!

Drgnęłam, bo słowa były bardzo mocne, ale wiedziałam, skąd się wzięły. Wykeham ciskał we mnie własną rozpaczą.

- Weź go... - syknął, zdzierając pierścień z palca Edwarda.

- Nie mogę.

- O, jestem pewien, że możesz!

- Nie! - I cofnęłam się o krok. - To królewska pieczęć.

- Przejmujesz się takimi drobiazgami?

- Pierścień koronacyjny należy do następcy, do Ryszarda. Nie wezmę go.

I to był błąd. Wielki błąd, wiedziałam o tym już w chwili, gdy otwierałam usta. Kilka nieopatrnych słów i cały mój misterny zamysł został obrócony wniwecz, bo Wykeham mnie przejrzał i z twarzą stężałą po prostu spojrzął tylko na mnie i opuścił rękę, w której trzymał szmaragdowy pierścień.

- Alice...

I cały gniew nagle uleciał z komnaty. Teraz zapanowały chłód i cisza, słychać było tylko ciche potrzaskiwanie ognia w kominku. A we mnie wreszcie już tylko rozpacz. Byłam pewna, że choć bardzo się staram, łzy zaraz popłyną.

- Alice...

- Nie, nie! Nie chcę twojej litości! - Odwróciłam się od niego i spojrzałam na nieruchomą twarz króla. - Żegnaj, Edwardzie. Mam nadzieję, że dałam radę choć trochę cię uszczęśliwić, kiedy straciłeś nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek coś takiego poczujesz. Żegnaj...

Uklękałam i ucałowałam zimną dłoń. Nastąpiła chwila milczenia, otchłannej zadumy. A potem powiedziałam już nie do Edwarda, którego dusza uleciała z ziemskiego padołu, tylko do człowieka żywego:

- Kochałam go, Wykehamie. Dobrze o tym wiesz. Kochałam go wbrew wszystkiemu, bo był zawsze dla mnie bardzo dobry. Myślę, że też mnie trochę kochał. Co prawda nie jestem Filipą... ale myślę, że mnie też kochał.

- Dokąd pojedziesz, Alice?

- Do Pallenswick.

- Do sir Williama?

- Tak.

- Niech zadba o ciebie.

- Ach! Nie potrzebuję go. Nie! Nikt mi nie jest potrzebny.

- Alice...

- Nic już nie mów! Nic! I niech ci do głowy nie przyjdzie pobłogosławić mnie! - Policzki były już mokre i musiałam je szybko obetrzeć rękawem. - Twój Bóg cieszy się z mego cierpienia. Może powinienes odmówić dodatkowe *Ave Maria* albo *Deo Gratias* z prośbą o najwyższy

wymiar kary. Oczywiście dla mnie! - Po policzkach spływały już strumienie łez.

Rozpacz, bolesne poczucie ostatecznej straty, samotność...

- Alice, nie możesz tak stąd po prostu odejść.

- A co jeszcze miałabym zrobić? Coś zmienić? Przekonać wszystkich, że jestem kobietą cnotliwą? Przecież nikt nie uwierzy, a ja do końca życia będę nałożnicą króla. Bo przecież byłam, prawda? I myślę, że rolę tę odegrałam biegle.

Otworzyłam drzwi, ale spojrzałam jeszcze przez ramię na lśniące złoto i kamienie obok nieruchomej ręki Edwarda.

- Jak myślisz, czy Ryszard będzie nosił koronę tak wspaniale jak Edward?

- Mam nadzieję. A ty miej na siebie baczenie, Alice.

Skłonił się, a mnie, z ręką już na klamce, nagle zabrakło siły, by nią poruszyć. Czułam się pusta, pusta jak plewa. Wszędzie pusto, w głowie też.

Tylko jedna myśl w niej się ostała. Tak bardzo chciałabym być już z Windsorem.

Czy na tym koniec strasznych wydarzeń tamtego dnia? Nie. Czy mogło wydarzyć się coś jeszcze straszniejszego? Mogło. I wydarzyło się.

Chciałam uciec stamtąd jak najprędzej, uciec od rozpacz, od mego niepohamowanego gniewu, który wybuchł, kiedy Wykeham mnie potępił. Prawie wybiegłam stamtąd, a gdy schodziłam po schodach do wielkiej sali, zauważyłam, że w drzwiach pojawiły się dwie osoby.

Jedna miała cienki głos, druga wyglądała jak kat.

Dziecko król i jego matka.

W pierwszej chwili po prostu się przeleknęłam, zamierzałam zawrócić, zanim Joanna mnie zauważy, i zniknąć w labiryncie komnat i korytarzy. Przecież Joanna właśnie zyskała wielką władzę i bez trudu mogła utoczyć ze całej antał krwi. Innymi słowy, mogła zrobić ze mną, co jej się żywnie spodoba, a ja czułam, że nie będę jej w stanie stawić czoła. Nie teraz!

Nie! Nie! Nie wycofasz się! - coś krzychało we mnie.

Nigdy nie unikałam konfrontacji, więc i teraz raptem nie zacznę tego robić. O nie! Zebrałam się w sobie, i nie tylko, bo zdobyłam się również na niemałą zuchwałość. Jakby Edward przed chwilą wcale nie umarł w moich ramionach! Co zrobiłam? Szeleszcząc aksamitnymi spódnicami, spokojnie zesłam na dół i pokłoniłam się przed dziesięcioletnim chłopcem, który teraz będzie nosił koronę, od tak wielu lat aż do dzisiaj spoczywającą na dumnych skroniach mego kochanka.

- Wasza Królewska Mość...

Ryszard wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć, co zrobić. Zmarszczył tylko czoło i uśmiechnął się bardzo skrępowany, aż wreszcie powiedział:

- Pani Perrers! - Zerknął na matkę, po czym skłonił mi się z bardzo poważną miną.

- Nie musisz się kłaniać - burknęła matka i zwróciła się ku mnie twarzą, na której wypisany był lodowaty chłód. I wyrachowanie.

- A więc Edward nie żyje?

- Jego Królewska Mość oddał ostatnie tchnienie, milady. Och, jakąż ja byłam uprzejma!

Ryszard pociągnął ją za rękaw i powiedział niecierpliwie:

- Mamo...

- Jesteś teraz królem, Ryszardzie - przekazała mu Joanna, ale na chłopcu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Miał co innego w głowie, jak to dziecko.

- Pani Perrers, czy mogłabyś zaprowadzić mnie do woliery? - spytał, zwracając ku mnie bladą twarz. - Bardzo chciałbym zobaczyć sokoły króla.

Twoje sokoły, Ryszardzie, pomyślałam. W ptaszarni są twoje sokoły...

A kiedy uświadomiłam sobie, że już nie Edwarda, w sercu zakłuło i tym bardziej zapragnęłam znaleźć się jak najdalej od Joanny i jej syna.

- Niestety jest już na to za późno - powiedziałam. - A Wasza Królewska Mość może zjadłby coś? Przyślę służącą.

- Tak. Proszę. Jestem głodny... - Mały król prawie podskakiwał z niecierpliwości. - A potem pójdziemy do sokołów?

Palce Joanny zacisnęły się na ramieniu syna jak kleszcze.

- Pani Perrers... A może lady de Windsor? W każdym razie tej damy, Ryszardzie, nie będzie już na dworze królewskim. Ktoś inny zaprowadzi cię do woliery... - A potem mówiła już tylko do mnie. Mówiła przez zaciśnięte zęby, a oczy błyszczały jak gwiazdy z przeogromnego zadowolenia. - Nic tu już po tobie, królowo Alice. Skończyło się twoje panowanie.

Joanna wreszcie zdobyła przewagę i mogła to wykorzystać, co zrobi skwapliwie i z wielką satysfakcją.

Wiedziała, że tak się stanie, co oczywiste. Lecz na pewno nie będę się korzyć u jej stóp. Nadobna Joanna mówiła zaś dalej:

- Każę niezwłocznie uprzątnąć twoje komnaty. Masz wyjechać... Ach! Mogę sobie przecież pozwolić na wielkoduszność! Najpóźniej jutro o świcie...

Pogłaskała synka po jasnej głowie i uśmiechnęła się, oczywiście tylko do niego, a ja jeszcze usłyszałam:

- Nie wolno ci niczego zabrać. Jeśli się poważysz... - zęby błysnęły jeszcze raz - bądź pewna, że będę żądała zadośćuczynienia.

Chciała pozbawić mnie całego dobytku, jaki miałam w pałacu, czego można się było spodziewać i za co właściwie nie powinnam jej winić. Chce przecież w ten sposób wziąć odwet za swoje życie pełne rozczarowań.

Może i tak, w każdym razie ja nie zamierzam poddać się bez walki.

- Nie wezmę niczego, co nie należy do mnie, co nie zostało mi podarowane - odparłam, zaciskając mocno w rękę królewskie pierścienie, tak mocno, że wryły się w ciało.

- Podarowane przez starego i otumanionego człowieka, który nie widział, jaka jesteś naprawdę! Nic niewarta!

- Przez człowieka, który mnie kochał.

- Którego zaczarowałaś sobie tylko znanymi sposobami.

- Człowieka, którego darzyłam największym szacunkiem. Wszystko, co dostałam od niego, podarował mi z własnej woli. Wezmę, co jest moje, milady. - Złożyłam przed nią ukłon naprawdę głęboki, jakby była królową Anglii.

- Zejdź mi z oczu!

Odwróciłam się i odeszłam, a za mną niósł się jasny głos dziecka:



- Mamo, możemy iść do sokołów? Dlaczego pani Perrers mnie tam nie zaprowadzi?

Trudno będzie temu chłopcu zostać królem, a już na pewno nie podąży śladem Edwarda.

Wyjechałam z Sheen z mocnym postanowieniem, że nigdy tam nie wrócę. Ani do Sheen, ani do żadnego innego królewskiego pałacu, który kiedyś był moim domem. Bo Joanna miała rację, niezależnie od tego, ile w jej słowach było nienawistnej złości. Skończyło się moje panowanie. Skończyło się nieodwołalnie, o żadnym powrocie nie ma mowy.

Owszem, ale czy przeżywałam to, czy rozpaczałam? Nie. Byłam zimna jak głaz, jak te drogie kamienie, które ściszałam w rękę.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Piątego dnia lipca każdy, kto żyw i przebywał w Londynie, śpieszył uczestniczyć w ostatniej podróży Edwarda na miejsce wiecznego odpoczynku w opactwie westminsterskim. Obok Filipy, tak jak jej obiecał. Wszyscy czcigodni obywatele miasta wylegli tłumnie na ulice, by popatrzeć na drewnianą figurę nagrobną wykonaną ręką mistrza. Twarz mistrz oddał doskonale, nawet usta w prawym kąciku były lekko wykrzywione, bo tak właśnie za życia było, po udarze, którego doznał król.

Kondukt postępował dostojnie, poddani Edwarda stali w pełnej skupienia i smutku ciszy, żegnając wielkiego monarchę.

Opowiedziano mi o tym. O tym, że Edward, spowity w jedwabie w barwach królewskich, biel, czerwień i lśniący złotogłów, złożony został w trumnie wyścielonej czerwonym brokatem. Do grobu odprowadzano go przy biciu wszystkich dzwonów, w świetle niezliczonych pochodni. I wszędzie dookoła była czerń udrapowana na człowieku albo łopocząca. Tyle tej czerni, że można by było odziać każdą zakonnicę w chrześcijańskim świecie.

A potem, by uczcić wspaniałe życie monarchy, wspaniała uczta. Na stołach jadło za pięćset, jak powiadano, funtów! A w tym samym czasie ci, co w rynsztokach, jak zawsze cierpieli głód. Ale król Edward był dobrym człowiekiem i mieszkańcy Londynu doskonale rozumieli, że

jest to należny mu splendor. Ostatnie lata, kiedy król odsunął się od poddanych, nie pomniejszyły szacunku i podziwu, jakim darzyli go ci wszyscy, którzy towarzyszyli mu w ostatniej drodze. Gdzie w tym czasie byłam ja?

Na pewno nie tam, gdzie powinnam być i gdzie mogłabym jeszcze raz się z nim pożegnać, pożegnać na zawsze. Naturalnie, że niczego bardziej nie pragnęłam, dano mi jednak jasno do zrozumienia, że moja obecność na pogrzebie Edwarda jest niepożądana. Nie uchodzi, by faworyta była na pogrzebie swego króla. Dała mi to do zrozumienia wyjątkowo jasno matka nowego króla, przez posłańca oczywiście, który jej słowa recytował, jakby przedtem dokładnie wyuczył ich się na pamięć. Na szczęście nie wykrzyczał ich spod arkad dziedzińca, tylko zsiadł z konia i podszedł do mnie.

- Nie wolno ci tam, pani, być. Nie przystoi, by ktoś, kto nie należy do rodziny królewskiej, był przy trumnie. Jego Królewska Mość król Ryszard rozkazuje ci, pani, byś podczas uroczystości pogrzebowych przebywała poza Londynem.

- Jego Królewska Mość?

Ani drgnął, choć doskonale wiedział, czego się domyślałam.

- Tak, pani.

- Rozważę to.

Posłaniec spojrział tylko z ukosa, a w Westminsterze zapewne przekazał odpowiedź bardziej odpowiednią. Gdy tymczasem ja przeklinałam Joannę, grubą i złośliwą, ale niestety to ona teraz rządziła. Rządziła w imieniu syna. I wygnała mnie, dlatego musiałam być w Pallenswick. Tak, byłam tu razem z Windsorem, który przyjechał z Wendover.

Patrzyłam, jak posłaniec na galopującym koniu opuszcza moją ziemię, jak znika w oddali. A kiedy znikł, natychmiast się zakrzętnęłam. Kazałam wyszykować barwę i świtę na następny dzień, potem pognałam na górę przejrzeć szaty i wybrać stosowną do tego rodzaju uroczystości. Kiedy trzecia już z kolei suknia okazała się zbyt skromna, a dwie poprzednie zbyt strojne, w drzwiach niespodziewanie pojawił się Windsor.

- O, nie wiedziałam, że jesteś w domu, Will. Byłam pewna, że pojechałeś do młyna, by mieć baczenie podczas naprawy koła...

A on od razu, bez żadnych wstępów:

- Alice, nie rób tego!

- Czego?

- Alice, nie jestem głupi. Przecież wiem. Nie jedź tam. Zadziwiające, że Windsor zawsze wszystkiego się domyślił, czytając we mnie jak w otwartej książce. Czego nikt inny nie potrafił, ale on tak.

Nie patrzyłam na niego. Wzrok miałam wbity w me bardzo zajęte ręce, a zajęte były szukaniem sukni wierzchniej, obszytej futrem, która by pasowała do sukni z czarnego jedwabiu.

- A dlaczego miałabym tam nie jechać? Czy muszę słuchać rozkazów tej całej Joanny? - Wreszcie zerknęłam na niego.

A on patrzył na mnie bardzo groźnie.

- Dlaczego? A dlatego, że nie mam najmniejszego zamiaru jechać jutro do ciebie w odwiedziny do lochów Tower!

- Nie musisz mnie odwiedzać! Wcale nie będziesz mile widzianym gościem! - wypaliłam okropnie zła na Joannę, a także na siebie za swoją słabość. Gdybym była silna, nie czułabym się tak zraniona, prawda? A potem rozłożyłam suknię na łożu i zaczęłam szperać w skrzyni, w poszukiwaniu odpowiednich trzewików.

- Aha, czyli dopuszczasz tę myśl, że mogą cię tam wtrącić?

- Niczego nie dopuszczam! Po prostu muszę tam jechać i już!

- I jak zwykle nie posłuchasz dobrej rady.

- Jak zwykle?! Raz już posłuchałam i wyszłam za ciebie, nie bacząc na konsekwencje. A one, niestety, są. Wrogów całe zastępy, o wygnaniu nie wspominając.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwa, ale trudno. Nie miałam najmniejszego zamiaru być potulna jak baranek! Ręce oparłam na biodrach, moje spojrzenie było najdalsze od łagodnych, przekazujące jednoznacznie, że spróbuj tylko zaprzeczyć, to...

Co naturalnie zrobił, czyli zaprzeczył.

- Myślę, że i bez mojego udziału narobiłaś sobie mnóstwo wrogów. Najpierw odetchnęłam głęboko. Przecież była to jawna prowokacja!

Tak, ale też i najprawdziwsza prawda.

- Cóż... chyba tak...

I uśmiechnęłam się, wprawdzie dość blado, ale był to uśmiech, bo w moim sercu robiło się trochę cieplej, kiedy patrzyłam na swego

męża. Męża tak pewnego siebie i dużego, przecież wypełniał sobą całe odrzwia.

Spojrzałam tylko raz i szybko odwróciłam się do niego plecami. Dlaczego? Ponieważ nagle zapragnęłam zrobić coś, do czego brakowało mi odwagi. Powiedzieć mu, jak bardzo go kocham...

A on spytał:

- Kochałaś go, prawda?

Zaskoczona tym pytaniem, natychmiast poderwałam głowę znad haftowanego paska - chyba odpowiedniego, bo nie było w nim żadnych jaskrawości - zdecydowana udzielić odpowiedzi, naturalnie oględnie, ale szczerze, by w ten sposób złożyć hołd wielkiemu człowiekowi.

- Tak, kochałam... - Chwila ciszy, potem dalej, niby do Windsora, ale przede wszystkim do samej siebie: - Miał w sobie wszystko, co powinien mieć mężczyzna. Odwagę, rycerskość, szczodrość. Nie skąpił ani swego czasu, ani serca. Traktował mnie jak kobietę, która coś dla niego znaczy... - Mój głos zamierał. - Ale pewnie nie masz ochoty tego słuchać.

- Dlaczego nie? Przecież to coś w rodzaju mowy pożegnalnej.

- Tak to odbierasz? A może jesteś zazdrosny? - spytałam, przechylając na bok głowę. Naturalnie to, co trzymałam w ręku, stało się nieważne. Teraz wlepiałam oczy w Windsora, bo niewątpliwie coś wisiało tu w powietrzu. Zazdrość, bestia o oczach zielonych jak szmaragdy w pierścieniu, którego nie zabrałam ze sobą. - Chociaż nie wyglądasz mi na kogoś, kto do tego jest zdolny. Tak, przecież ty nie masz poczucia lojalności, nie masz żadnych zasad. Masz je tylko wtedy, kiedy uznasz, że warto, bo będzie z tego jakaś korzyść.

Oczywiście, że była to prowokacja, całkiem zresztą świadoma. Bo co on na to?

- Na Boga! Alice!

Było w tym tyle goryczy, że aż zadrżałam.

- Czyli jesteś zazdrosny. Odpowiedział po chwili namysłu:

- Nie, nie jestem. I nigdy zazdrość we mnie się nie zrodzi, o ile będziesz mnie chciała w łóżu jeszcze bardziej niż dotychczas!

Trudno, żebym się nie zaśmiała, prawda?

- Ależ ja ciebie chcę, i to coraz bardziej! Nie czujesz tego?

Windsor był bardzo prostolinijny, czym nieraz już mnie zaskoczył. Z tym że teraz, jak widać, łatwiej mu było mówić o żądzy niż o głębszych uczuciach.

Więc ja też tylko o tym.

- Edwarda kochałam, podziwiałam i darzyłam największym szacunkiem. A ty wzbudzasz we mnie żądzę, Will. Tak jak ja w tobie. Jesteś zadowolony?

- Będę zadowolony, jeśli to udowodnisz!

Naturalnie od razu zmięklam. Co tam szaty, trzewiki czy paski! Po-deszłam do Windsora i natychmiast znalazłam się w jego objęciach.

- Och, Will... Chcę być z tobą, tylko z tobą... - szepnęłam, przyciskając usta do jego ust, z nadzieją, że będzie tym usatysfakcjonowany. Och Boże, jakże ja go kochałam! Tak, kochałam, choć właściwie nie wiedziałam, dlaczego tak się dzieje. Co mnie w nim tak ujęło? Nie jeździłam z Windsorem na polowanie jak z Edwardem. Nie tańczyliśmy. Zresztą przypuszczałam, że był pod tym względem jeszcze większą fajt-łapą niż ja. W Windsorze nie było ani odrobiny romantyczności, tego czegoś, co w najpiękniejszy sposób uwodzi i duszę, i ciało. Nie łączył nas zachwyt nad kunsztownym, wręcz czarodziejskim mechanizmem zegara. Nie, ale na pewno coś jeszcze było oprócz obopólnych korzyści i żądzy. Było, ale niestety nie mogłam tego wymierzyć wzdłuż i wszerz, jak można było wymierzyć kawałek ziemi.

Z tym że kochałam go. Na pewno. Tylko udawałam, że nie kocham.

- Miło to usłyszeć. - Pocałował mnie. Było oczywiste, że już czuje żądzę. - Czy jadę z tobą?

- Nie. Jadę sama.

- A ja powtarzam. Nie powinnaś... A ja przycisnęłam palec do jego ust.

- Will, proszę...

A on ugryzł mnie w ten palec, tak leciusieńko.

- Mam wracać do Wendover czy zostać na noc?

- Zostać. I został.

- Zawsze cię obronię, Alice. Przy mnie możesz czuć się bezpieczna - szeptał z twarzą wtuloną w moją szyję.

Był spocony i zadyszany, bo przed chwilą udowadniałam mu, że nie ma podstaw do zazdrości.

- Wiem - odparłam, starając się nie myśleć o tym, że ci, co mi zagrażają, mogą być o wiele silniejsi niż on.

- Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

- Wiem.

W jego ramionach udawało mi się poskromić mroczne lęki, dawaliśmy sobie przecież tyle radości, tyle zadowolenia. Kiedy weszło słońce, w moim sercu też było już o wiele jaśniej.

- Nie jedź tam, Alice - szeptał Windsor.

Tyle dobrych słów, ale to jedno nie padło, słowo niebezpieczne. Miłość. Nigdy dotąd nie go usłyszałam. Teraz też nie, i chyba będę musiała pogodzić się z tym, że nigdy nie usłyszę.

Nie posłuchałam rady Windsora i pojechałam do Westminsteru. Naturalnie ubrałam się tak, by nikt mnie nie rozpoznał. Na tyle starczyło mi rozsądku. Tylko szarości i czerń, jak zamożna wdowa. Wzięłam ze sobą dwóch zaufanych służących, którzy okazali się bardzo pomocni, kiedy przebijałam się przez tłum, żeby dojść do opactwa. Kiedy zbliżaliśmy się do katedry, usłyszałam pełne powagi i smutku przejmujące dźwięki. Mnisi śpiewali requiem dla Edwarda. Szłam zasłuchana, dziękując Panu Bogu, że w tych ostatnich chwilach oszczędził Edwardowi cierpienia, i jednocześnie niezmiernie parłam do przodu, bo nikt nie był w stanie mnie powstrzymać, ani gruba zła Joanna, ani nawet sam diabeł. Zwarty, nieugięty tłum nie stanowił przeszkody dla łokci aż tak bardzo zdesperowanej kobiety.

Byłam już niedaleko drzwi. Jeszcze kilka kroków i będzie można wślizgnąć się do środka. Zaczęłam przepychać się jeszcze szybciej, jeszcze energiczniej, gdy nagle rozległ się głośny dźwięk trąb i wszyscy znieruchomieli. Z tyłu jednak, jak to bywa, ludzie napierali, w związku z czym straż królewska musiała zrobić porządek, odpychając tłum w tył, a mnie udało się jakimś cudem znaleźć całkiem blisko wejścia, skąd widziałam doskonale, jak do wielkich drzwi katedry podchodzi nowy król, jeszcze niekoronowany. Szczupły blady chłopiec w czerni o jasnych włosach rozwichrzonych przez wiatr. Pomyślałam, że to jed-

nak biedna, krucha istota. I tak już chyba będzie. Nie dorówna krzepkiego ojcu i równie krzepkiemu dziadkowi.

A któż to kroczy obok niego? Mimo woli syknęłam. Bo u boku kruchego syna troskliwa matka, Nadobna Joanna z triumfującą miną.

O Panno Przenajświętsza, ależ ona gruba! I jak staro wygląda! Owinięta w czarny aksamit i sobole przypominała tłustego kruka, jednego z tych, co mieszkają w wieżach Tower.

- Bądź przeklęta, że stanęłaś mi na drodze do Edwarda - wyszeptałam.

Była tak blisko mnie, że mogłam jej dotknąć. A ja niestety byłam pełna najgorszych uczuć do tej kobiety, której wyższości nie chciałam uznać, ani jej władzy, przed którą nie mogłam się obronić. A powinnam jednak powściągnąć te uczucia, bo nagle Joanna zwolniła kroku, jakby wyczuła to jedyne w swoim rodzaju pachnidło, czyli emanującą ze mnie wrogość. I zauważyła mnie, nawet przechwyciła mój wzrok. Widziałam, jak robi wielkie oczy, jak rozchyła wargi, a twarz tężeje. W wielkich oczach wielka groźba, i jakże uzasadniona, przecież mogła, niezależnie od powagi sytuacji, kazać straży pojmać mnie, mogła oddać mnie pod sąd. Moja przyszłość była w jej tłustych rękach z tymi obrzydliwymi dołkami. O Boże, co mnie opętało, że zdecydowałam się na coś tak nierozważnego, co może mieć skutki tragiczne?! Po co tu przyjechałam, po co? Dlaczego nie posłuchałam rady Windsora?!

Usta Joanny zamknęły się jak pułapka. Chwila wahania minęła. Znowu była, jak zazwyczaj, bardzo pewna siebie. Uśmiechnęła się i położyła rękę na ramieniu syna, skłaniając go, by trochę przyśpieszył kroku. Mały gest, a jakże wymowny. I tak szli dalej, matka i syn, już prawie mnie minęli i czułam, że ten włos przestaje mi się jeżyć na głowie. Tak, na pewno nic mi nie robi, na pewno...

A jednak nie. Bo zatrzymała się i zadziwiająco szybko jak na swoją tuszę obróciła się na pięcie. Towarzyszący jej zbrojni, bardzo czujni, natychmiast unieśli halabardy, a ja znów poczułam dławiący strach. Czyżby jednak chciała mnie dopaść?! Nasze spojrzenia znów się spotkały. Jej pełne złości, moje twarde. Przez chwilę stałyśmy nieruchome jak kamienne figury nad naszymi głowami, patrzące na świat ślepych oczami. Czy Joanna wymierzy mi karę za to wszystko, czym byłam dla Edwarda? Za zlekceważenie jej rozkazu?



Chyba nie, bo uśmiech Joanny, zawsze piękny i starannie dozowany, teraz tak niefortunnie poszerzał, że światu ukazały się dwa rzędy spróchniałych zębów. A może właśnie tak, może każe mnie pojmać! Już czułam, jak chwytają mnie silne ręce, jak ciągną za sobą. Bałam się okropnie, a tymczasem Joanna zadziwiła mnie, bo wydała rozkaz. Wypowiedziała go bardzo głośno, było więc oczywiste, że ma dolecieć przede wszystkim do moich uszu.

- Kiedy wejdziemy, zamknijcie drzwi i nikogo więcej już nie wpuszczajcie. Ceremonia zacznie się w chwili, gdy do środka wejdzie król.

I z powrotem odwróciła się, jakby nigdy nic. Ale nie wytrzymała, bo kiedy odwracała się tak na tej pięcie, coś mruknęła niby do siebie, ale jak i ten rozkaz wystarczająco głośno, bym usłyszała:

- Twój czas się skończył, więc dlaczego miałabym się przejmować kimś takim jak ty?

Przez krótką chwilę, chwilę tego rodzaju, kiedy to człowiekowi brak rozwagi, bo rządzi nim pycha i zuchwałość, zastanawiałam się, czy nie podążyć za orszakiem królewskim i nie wślizgnąć się do środka, zanim zamkną wielkie drzwi, i zostanę odgrodzona od miejsca, do którego miałam święte prawo. Od miejsca przy grobowcu mego królewskiego kochanka.

Och nie! Rozsądek na szczęście powrócił. Nie mam do tego żadnego prawa. Nie mam i choćby nie wiedzieć jak ścisnąć moje serce, należy po prostu zawrócić. Przepchnęłam się więc z powrotem przez tłum, wróciłam do barki, a tam, co wcale mnie nie zdziwiło, czekał na mnie Windsor. Byłam bardzo zła, oczywiście na Joannę, ale przede wszystkim na samą siebie za brak roztropności. W czym niestety lubuje się większość kobiet.

I to było powodem, że nie powitałam Windsora miło, lecz zjadliwie:

- O proszę, mój wybawca! Bo niewątpliwie przybyłeś mi na ratunek?

- Ktoś przecież musiał - burknął. - Wsiadaj do barki.

Przez całą drogę powrotną siedziałam nadęta, nie odzywając się ani słowem. Byłam bardzo rozgoryczona, ponieważ słowa Joanny ostatecznie uzmysłowiły mi, kim teraz jestem, gdzie jest moje miejsce. Windsor również się nie odzywał, nie dopytywał, co mnie tak zagniewało. Sie-

dział, zadumany, popatrując na mijane domy, ludzi, drzewa, na wszystko, co widzisz, kiedy płyniesz Tamizą.

„Dlaczego miałabym się przejmować kimś takim jak ty?”

Czyż nie byłam zawsze świadoma, że Edwarda kiedyś zabraknie, a wtedy zabraknie mi również jego królewskich i tak bardzo opiekuńczych skrzydeł? Byłam. I stało się. W Anglii zaprowadzono nowe porządki, w związku z czym tam, gdzie przebywałam poprzednio, nie ma już dla mnie miejsca. Muszę się z tym pogodzić, bo tak będzie już do końca mego życia.

Opłakiwałam Edwarda na swój sposób. To znaczy na jego sposób, ponieważ postanowiłam zrobić to, co tak kochał i co często wspominał, kiedy zaczynało już brakować mu sił. Siedział wtedy oparty na poduszkach i wspominał...

Wybrałam się na polowanie. Wskoczyłam na konia, na rękę sokół i zagwizdałam na Braveheart - znacznie już starszą, ale wcale nie mądrzejszą - i ruszyliśmy na króliki, których na pastwiskach wokół Pallenswick było zatrzęsienie. Polowanie udało się. A kiedy sokół przyniósł gołębia, moje policzki były mokre od łez. Jakże Edward cieszyłby się każdą taką minutą...

Po powrocie, już w swojej izbie, nalałam sobie gaskońskiego wina i wzniosłam toast.

- Za ciebie, drogi Edwardzie. Nigdy o tobie nie zapomnę.

A potem pomyślałam o przyszłości. Co przede mną? Odosobnienie, nuda, ale zawsze lepsze to niż nieustająco padać ofiarą prześladowań zgorzkniałej kobiety, chorej z nienawiści, chociaż powtarza sobie, że jestem dla niej niczym. A wiedziałam, że Joanna jest konsekwentna. Jak już zacznie ścigać, to nie przestanie, dlatego przebywanie w zasięgu jej ręki byłoby nadzwyczaj nierozsądne.

Padło, w domu okropnie zimo, otuliłam się więc ciepłym płaszczem i poszłam ogrzać przy palenisku. A tam siedział już Windsor.

- Nie powinnam była tam jechać, Will, prawda?

- Oczywiście, że nie. Mówiłem ci, żebyś tego nie robiła. Owszem, powiedział to szorstko, ale jednocześnie ukrył moje zziębnięte ręce w swoich zaskakująco ciepłych dłoniach.

- Wiem, wiem - mruknęłam, a byłam w nastroju bardzo kiepskim, nie tylko przygnębiona, ale i rozdrażniona. Na pewno przez ten wiatr, co wyje w kominach.

- Nie martw się, Alice. Najważniejsze, że Jan z Gandawy uchylił wyrok o wygnaniu, więc może Joanna wreszcie da ci spokój.

- Ona? Nie wierzę.

- A powiedz mi, ile król zapisał jej w testamencie?

- Tysiąc marek, czyli nie ma powodu, by skakać z radości. Ryszard dostanie łożo Edwarda, z zasłonami, na których wyhaftowany jest herb Plantagenetów.

- Łoże? - Windsor chrząknął znacząco. - Łoże to chyba ty powinnaś dostać.

- Och, daj spokój... Ale szkoda tak pięknego łoża. Joanna na pewno nie pozwoli Ryszardowi w nim sypiać, może nawet każe je spalić, skoro są tam ślady mojej obecności...

- Czy Edward wymienił cię w testamencie?

- Nie. - Ale wcale nie miałam o to żalu. Przecież dał mi wszystko, co mógł mi dać. Co chciał mi dać.

- Nie wymienił? O, to na pewno ją bardzo ucieszyło.

- Owszem, ale ma też powód do zmartwienia. Kiedy opuszczałam pałac w Sheen, dopilnowałam, by klejnoty Filipy znalazły się w moich sakwach, a pierścienie Edwarda w staniku mej sukni. Nie zdobyła się na to, by przeszukać mnie na oczach wszystkich, w związku z czym nie wpadły w jej ręce.

- Świetnie! Ale zapomnijmy już o Nadobnej Joannie. Nie warto ciągle się martwić. Szkoda życia!

Lepszej rady nie mógł udzielić!

Puścił me ręce, chwycił kubek z piwem i wznosił toast:

- Wypijmy za ulewy, Alice! Niech pada jak najdłużej i niech zaleje drogi. Tamiza między Londynem a Pallenswick niech wystąpi z brzegów. Niech leje, póki Joanna nie zapomni.

Wyjęłam mu kubek z rąk.

- Niech pada! - I wypiłam do dna.

Nadeszła jednak chwila, gdy przestało padać, przestało też wiać niemożebnie. Drogi były znów przejezdne, na Tamizie ożywiony ruch

i zaczęły docierać do nas wieści z Londynu. Zewsząd, ale jakoś żadna z nich nie wpływała już na moje życie. Bardzo dziwne...

Szesnastego dnia lipca Ryszard, odziany w biel i złoto, został ukoronowany na króla Anglii. W czwartek! Niezwykły dzień jak na taką uroczystość, ale tak zostało zdecydowane, ponieważ było to w przeddzień dnia świętego Kenelma, małego króla ze starego królestwa Mercji, króla i męczennika.

- Bez wątpienia Nadobnej Joannie zależało na wszystkich najlepszych wróżbach - rzucił gniewnie Windsor.

I były ku temu powody, bo burze już nadciągały. Brak silnych wojsk angielskich dowodzonych przez króla wykorzystali Francuzi, dokonując wielu napaści na południowym wybrzeżu Anglii, grabiąc i paląc wszystko, co napotkali na swej drodze. Miasto Rye przeżyło prawdziwe piekło. Kilku francuskich maruderów dotarło aż do Lewes, ale tu, w Pallenswick, na szczęście nic nam nie groziło.

Czułam się dziwnie całkowicie odsunięta od tych spraw, od obmyślenia przez króla napaści na Francję. Kto teraz kieruje polityką zagraniczną? Chyba Jan z Gandawy... Ach! Te sprawy nie powinny mnie obchodzić.

Niestety, pewne sprawy obchodziły mnie bardzo. Byłam bardzo poruszona, kiedy dowiedziałam się, że Wykeham, mój drogi Wykeham został ułaskawiony. Napisał zresztą do mnie o tym:

*Wróciłem do łask, ale nie przywrócono mi urzędów. Teraz głowę mam zajęta budową dwóch nowych szkół w Oksfordzie. Wiem, że jest to coś, co Ciebie bardzo pociąga, ale żadna kobieta nigdy nie przekroczy progu żadnej z tych szkół. Może jestem Ci to winien, niestety i Ty, i ja musimy się pogodzić z tym, że jest to niemożliwe.*

Uśmiechnęłam się, bo niełatwo duchownemu przyznać się, że jest coś winien grzesznej córce Ewy. Ale przyznał się do tego, bardzo gładko, a ja życzyłam mu jak najlepiej. I byłam pewna, że nigdy go już nie zobaczę.

Przyszły też tego rodzaju wieści, że po ich usłyszeniu najpierw roześmiałam się, a potem sposepniałam. Parlament poprosił Jana z Gandawy, by dołączył do rady lordów, która ma zmagać się z zagrożeniem z drugiej strony Kanału.

- Czyli gwiazda Jana z Gandawy wreszcie weszła - zauważył Windsor, który zaglądając mi przez ramię, również przeczytał list od Wykehama.

- Można się było tego spodziewać, Will. Dobrze wiesz, Jan ma do tego głowę i spore doświadczenie.

- Niestety jego reputacja bardzo ucierpiała. Nie wiadomo, czy mu się powiedzie.

Jakoś nie przejęłam się tą uwagą Windsora. Czy rosnący w potęgę Jan z Gandawy coś dla mnie znaczy? Tyle co nic, bo nasze ambicje już nie w jednym zaprzęgu. Tak więc ja tę wieść zlekceważyłam, natomiast Windsor nie. Wyraźnie się zamyślił, potem wziął ode mnie list Wykehama, żeby spokojnie jeszcze raz go przeczytać. A zawsze mnie martwiło, kiedy Windsor musiał sobie coś przemyśleć nad kubkiem z piwem.

Ale potem śmiałam się, kiedy czytałam o oburzająco zuchwałej petycji parlamentu do młodego Ryszarda. Chociaż czegoś takiego można się było po nich spodziewać. Otóż parlament domagał się prawa do wyznaczania lorda kanclerza, lorda skarbu i wszystkich innych, którzy piastują wysokie urzędy. Czyli chce nadzorować każdy krok króla. Nikt jednak nigdy nie będzie w stanie zrobić tyle, co ja, kiedy Edward był już chory i nie mógł tego zrobić sam. Nigdy nie będzie drugiej Alice Perrers, która rządziła w tym królewskim gołębniku!

Śmiałam się głośno, choć wcale nie było mi do śmiechu.

Potem też. Wcale nie miałam ochoty śmiać się, kiedy usłyszałam, jak ktoś wali do moich drzwi w Pallenswick, wali tak mocno, jakby uderzała w nie pięść w żelaznej rękawicy rycerza. Siedziałam przy stole zajęta rachunkami i księgami, a kiedy usłyszałam łomot, natychmiast zerwałam się na równe nogi. Windsor? Niemożliwe, bo nasze małżeństwo można by nazwać wędrownym, jakby rzeczywiście była to umowa, zgodnie z którą tylko czasami wymagane są chwile bliskości. Czasami, bo teraz na przykład Windsor był w Gaines, gdzie właśnie osuszano podmokłe łąki.

A poza tym Windsor nigdy by tak nie łomotał do drzwi. I dlatego odżył we mnie ten strach, ten strach, który udało mi się w sobie zwalczyć. Jak się okazało, nie do końca, bo od razu dał znać o sobie, ale po-

myślałam, że nie, uciekać nie będę ani gdzieś się chować, bo to nie ma sensu, więc kiedy znów załomotano, ruszyłam do drzwi. W sieni czatował już wylęknięty służący.

- Pani, ich jest kilku. Mam otworzyć?

Pomyślałam, że to nie pora na rozterki. Każdemu, kto stoi za drzwiami, stawię czoło.

- Tak, otwieraj.

Otworzył. Okazało się, że za progiem nie stoi rycerz, lecz osoba urzędowa. Czyli osoba mająca w ręku oręż o równej sile.

- Witaj, pani.

Mężczyzna w ciemnych szatach swym wyglądem wzbudzał respekt, lecz jego twarz była mi nieznana. Jeden z dworskich urzędników? Nie daj Boże! Wcale nie patrzył groźnie i skłonił się nisko, ale nie spodobał mi się, o nie. Ani on, ani to, że towarzyszyło mu jeszcze z tuzin mężczyzn, a na podwórzu stały dwa wielkie wozy i muły.

- Pani Perrers?

- Tak, to ja. A kim ty jesteś, panie?

Przez kilka ostatnich miesięcy w Londynie panował spokój. Ryszard przyzwyczajał się do ciężaru korony, Joanna królowała na dworze. Natomiast ja po żalonym wyjeździe do Londynu na pogrzeb Edwarda nie ruszałam się już z mego dobrowolnego wygnania.

- I tak jest najlepiej, Alice - powtarzał Windsor. - Siedź tu cicho. Oni tam, w Londynie, mają na głowie ważniejsze sprawy. Obrona królestwa to sprawa pilniejsza niż faworyta zmarłego króla. Za kilka miesięcy w ogóle o tobie zapomną.

Popaść w zapomnienie? Niestety, nie bardzo mi się to podobało.

- Wcale nie jestem pewna, Will, czy chcę, by o mnie zapomniano.

- Jeśli masz jeszcze odrobinę rozsądku, to zapragnij właśnie tego, kobieto!

Uznałam więc, że istotnie tak będzie najlepiej, i nie ruszałam się z Pallenswick ani na krok. Tygodnie mijały, Joanna nie dawała żadnego wyrazu swej nienawiści, w związku z czym z każdym dniem czułam się pewniej. Co niestety okazało się błędem, skoro przybyli do mnie ci niespodziewani goście. A Windsora w domu nie ma. Dlaczego tak jest, że kiedy naprawdę potrzebujesz swego mężczyzny, nigdy nie ma go pod ręką?! Bo nie ma, i będę musiała poradzić sobie sama.

Zerknęłam na osobę urzędową w czarnej tunice i z wielką skórzaną torbą. Człowieka, który w moim odczuciu miał w sobie niebezpiecznie wiele powagi, a kiedy zmierzył mnie spojrzeniem, takim od stóp do głów, w gardle po prostu mi zaschło.

„Ale oni nie mogą cię pojmać, Alice. Nie popełniłaś żadnego przestępstwa, a Jan z Gandawy trzyma z tobą. Przecież to on uchylił wyrok o wygnaniu!”

Oczywiście! Na duszy zrobiło się trochę lżej, a poza tym ten człowiek był uprzejmy. Teraz się znowu uklonił...

- Jestem Thomas Webster, pani. - Wyjął z torby zwój pergaminu. -Przysłała mnie komisja parlamentarna.

Owszem, głos miał uprzejmy, prawie miły, ale spojrzenie było twarde, szacujące. Podał mi dokument, który oczywiście szybko rozwinęłam i przebiegłam oczami. Wystarczyło, by pojąć, o co chodzi,

I znów zabrakło mi tchu, palce, zaciśnięte na jednej z czerwonych pieczęci, zaciśnęły się tak mocno, że ją skruszyły. A ja, zmuszając się do głębokiego oddechu, udałam, że czytam jeszcze raz, cały czas stojąc w progu, jakbym była w stanie ich nie wpuścić...

- O co chodzi, panie? Bo nie bardzo rozumiem...

Oczywiście, że rozumiałam. Wszystko jasne i przejrzyste. Czarno na białym...

- Zgodnie z postanowieniem komisji mam odebrać ci, pani, wszystkie cenne rzeczy.

Moje serce biło tak mocno, że prawie już dławiło.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Na twoim miejscu, pani, bym się nie opierał. Nie jesteś na tyle silna, by mi się oprzeć. Mam ze sobą wykaz owych rzeczy. Pozwolisz, pani?

I weszli wszyscy z głuchym odgłosem ciężkich nóg obutych w ciężkie buty. Weszli i Webster rozwinął drugi pergamin, ów nikczemny wykaz wszystkiego, dosłownie wszystkiego, co posiadałam.

Teraz to już czułam strach paniczny, grożący, że stracę panowanie nad sobą.

- Dom jest mój! - zaprotestowałam. - Nie jest własnością Korony! Nie jest podarkiem od króla. Kupiłam go sama.

Po twarzy Webstera przemknął wstrętny uśmiezek.

- A za czyje pieniądze, pani? Skąd się te pieniądze wzięły? I skąd się wzięło wszystko, co tutaj zgromadzone? Też sama kupiłaś, pani?

Odwrócił się i skinął na służących, żeby zabierali się do roboty. Niestety, nie byłam w stanie udzielić odpowiedzi, która trafiłaby mu do przekonania. Mogłam tylko stać i patrzeć, jak wykonywany jest rozkaz owej komisji parlamentarnej. Wszystko, co miałam, zostało wyniesione i załadowane na wozy albo do juków na mułach. Pościel, sprzęty, nawet łoże. Klejnoty, błyskotki, suknie. Wszystko, co Webster wyczytał z nikczemnej listy.

- Diadem wysadzany perłami... złoty łańcuch z rubinami... jard wstęgi ze szkarłatnego jedwabiu... skórzane rękawiczki... rękawiczki haftowane srebrną nicią...

- Jard wstęgi! - krzyknęłam bliska już hysterii.

- Nic ci nie pomoże, pani - rzucił cierpko Webster. - Mamy wojnę, potrzebne są fundusze. A te klejnoty tak na moje oko warte są z pięćset funtów. Lepiej dać oręż tym, co bronią angielskiej ziemi, niż żeby te błyskotki ozdabiały twoją szyję.

Czyli wszelkie protesty na nic. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko patrzeć, jak cały mój dobytek wynoszony jest z domu. I połykać łzy, kiedy jeden z osiłków wychodził z naręczem ciemnoniebieskiego jedwabiu i aksamitu obszytego futrem. Przecież to suknie, które Edward kazał uszyć dla mnie na drugi wielki turniej na polach Smithfield. Turniej, który nigdy się nie odbył...

Suknie rzucono na wóz.

Stałam w sieni, w moim domu zionącym pustką.

- Skończyliście?

- Tak, pani. I chcę cię jeszcze ostrzec. Parlament przejął twoich wierzycieli. Każdy, kto ma wobec ciebie jakieś roszczenia, może z tym zgłosić się do parlamentu.

- Moi wierzyciele?!

Czyli było coraz gorzej i gorzej.

- Tak, pani. Każdy, kto doznał od ciebie jakiegokolwiek krzywdy, wyłudzenia czy nękania, może stawić się w parlamencie, by uzyskać zadośćuczynienie.

- A któż to taki wydał te rozkazy? - Boże wielki, przecież odpowiedź znałam!



- Parlament, pani.

Parlament? Dobre sobie! Musiałam włożyć wiele wysiłku, by oddychać głęboko i zacisnąć pięści, żeby ten krzyk, krzyk wielkiego gniewu, pozostał we mnie. Przecież wiadomo, że to nie parlament wydał takie rozkazy. Gotowa byłam się założyć o diadem z perłami, który właśnie znikł w jukach na grzbiecie jednego z mułów. Wiedziałam, kto maczał w tym palce. Och Boże! Nie zadowolili się skazaniem mnie na życie na odludziu. O nie! To było za mało, by zaspokoić jej żądzę zemsty. Wymyśliła jeszcze to, a teraz zaciera ręce z radości!

Webster dobył z przepastnej torby jeszcze jeden zwój pergaminu.

- Czyżbyś, panie, nie zabrał jeszcze wszystkiego?!

- To jest wezwanie, pani. Masz stawić się w Londynie. Wyrwałam mu z rąk pergamin. Jeszcze to! Mam stawić się przed

Izbą Lordów dwudziestego drugiego dnia grudnia. Jakie zarzuty? Oszustwa. Zdrada!

Zdrada?!

Nie, to niepojęte!

Wiedziałam jednak, że wszystko jest możliwe, dlatego gniew został zastąpiony przez strach. Bo to już nie będzie takie dawanie po łapach. Nie! To będzie prawdziwy proces, prawdziwe postępowanie karne ze wszystkimi prawnymi konsekwencjami.

Jak daleko posunie się Joanna w swej żądzy zemsty?

Karą za zdradę jest śmierć.

Po spędzeniu kolejnego ranka na zalanych łąkach wokół Upminsteru Windsor wrócił do mnie. Kiedy wszedł do domu, siedziałam na podłodze w pustej izbie paradnej. Po prostu siedziałam, a w głowie pustka, jak w całym zresztą domu. Żadnych sprzętów, żadnych gobelinów. Zabrali nawet kosz na polana do kominka...

Byłam najzwyczajniej ogłuszona, jak przed laty, kiedy Joanna wymierzyła mi policzek. Nie słyszałam, jak Windsor nachodził. A on podszedł, przykląkł przy mnie, wyjął z moich bezwolnych palców dokument i cisnął na podłogę. Zaklął. Cisnął jeszcze na podłogę rękawice oraz miecz i przysiadł koło mnie.

- Widzę, że były tu te szakale.

- Tak, zleciały się na żer.

Jego buty, które dotykały mojej sukni, miał całe w błocie, ale akurat tym najmniej się przejmowałam.

- Czy w każdej izbie tak pusto?

Nie byłam w stanie już nic więcej powiedzieć, więc tylko bezradnie uniosłam ręce, bo czułam się nieskończenie nieszczęśliwa. Po długiej chwili ciszy Windsor znów się odezwał:

- Co zamierzasz zrobić?

- Siedzieć i czekać, aż topór spadnie na moją szyję.

- Czyżby? - Zerwał się z podłogi, pociągając mnie za sobą. - Wstawaj, Alice. Musisz stanąć na nogi i pomyśleć!

- Nie mogę.

- Nie możesz? Czyżby kobieta, którą kocham, dała się aż tak zastraszyć?

Stałam w jego objęciach niezdolna pomyśleć, niezdolna odpowiedzieć. Gdzież moja odwaga, gdzie znikła, w której czarnej otchłani? Nie ma jej, a ja zalałam się łzami. Płakałam, bo odwaga opuściła mnie, stałam się człowiekiem nieskończenie słabym. Płakałam, bo mi wszystko zabrali. Zabrali wszystkie podarki od Edwarda, które dał mi jako dowód swej miłości i wdzięczności. Z zemsty i nienawiści zabrano namacalne dowody, że Edward istniał w moim życiu. Płakałam też z innego powodu. Zwykła uczciwość kazała bowiem mi przyznać, że nie zawsze byłam bez winy, bo upajałam się władzą, którą dawała mi pozycja królewskiej faworyty. Tak, zdarzało się, że dokonując zakupu, korzystałam ze złota królestwa, zawsze jednak wszystko zwracałam. I większość innych długów też pospłacałam.

A teraz nadszedł sądny dzień. Dlatego szlochałam wtulona w ramię Windsora.

- Czy kobiecie, którą kocham, brakuje hartu ducha i woli wyplakiwać się na moim ramieniu, zamiast walczyć o swoje?

Owszem, słowa były surowe, ale jednocześnie objął mnie mocniej i oparł brodę na mojej głowie. Tak trwaliśmy przez chwilę, aż wreszcie zaczęłam się odprężać, stanęłam pewnie na własnych nogach, a kiedy oparłam się czołem o ramię Windsora, znów zaczęłam normalnie oddychać.

Wtedy słowa, które wypowiedział przed chwilą, odżyły w mej pamięci.

Podarwałam głowę.

- Co powiedziałaś?

- A... między innymi, że brak ci hartu ducha.

- Mhm, słyszałam... - Otarłam twarz kawałkiem płótna, który podał mi Windsor, i sposepniałam. - Ale chyba powiedziałaś coś jeszcze. Że jestem kobietą, którą kochasz!

- Bo jesteś. Nie wiedziałaś o tym? Dziwne. I niedobrze, bo mam wrażenie, że nie jesteś z tego zadowolona.

A ja zacisnęłam kurczowo palce na jego rękawie.

- Powiedz to jeszcze raz. Tak, jakbyś rzeczywiście to właśnie miał na myśli.

Daj Boże, żeby to zrobił! - modliłam się w duchu.

- Droga Alice, kocham cię. Moje słońce i mój księżyc trzymasz w swoich rękach!

- Och, jakie to romantyczne!

Owszem, romantyczne, ale jednocześnie uśmiech trochę kpiący... No i mówiąc szczerze, jakoś trudno było mi uwierzyć w to, co powiedział! Ale musiałam, bo Windsor nie był człowiekiem, który rzuca słowa na wiatr. Dlatego przez chwilę byłam kobietą szczęśliwą. Czułam niewysłowioną radość, czułam się tak, jakby Windsor wypełnił mnie całą czarodziejskim światłem, które wypędza mrok z mego serca i duszy...

Tak. Było tam jasno, póki nie pomyślałam o tym, co wydarzyło się tego ranka...

- Will, ale dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz?

- A kiedy miałem ci powiedzieć?

Wyraźnie chciał poprawić mi humor, sprawić, bym oderwała się od smutnych myśli. Czy można więc dać wiarę jego słowom? Odepchnęłam jego rękę, odepchnęłam go w ogóle. W końcu mogłam bez niczyjej pomocy utrzymać się na własnych nogach!

- Nie teraz! Jutro. A może za tydzień. Ale nie teraz, kiedy płaczę, bo mój dom został ogołocony ze wszystkiego, a ja myślę tylko o tym, jak straszliwie perfidna jest Joanna.

- Byłem pewny, że wiesz to od dawna.

- A skąd miałam wiedzieć? Przecież nigdy mi o tym nie mówiłeś! - Jak to możliwe, że człowiek może być taki tępy, taki... beznadziejnie trudny! Choć jednocześnie tak nieskończenie kochany... - Bardzo cie-

szę się, Will, że jest tak, jak powiedziałeś, niestety moją radość przyćmiewa nieco fakt, że grozi mi utrata całego dobytku, a także życia, jeśli udowodnią mi zdradę. Z tym że skoro już mówimy sobie dzisiaj różne rzeczy, to wiedz, że też cię kocham.

- O proszę! - Uśmiechnął się szeroko.

Ja przeciwnie, bo zasłoniłam usta ręką i wymamrotałam:

- Ale wcale nie chciałam ci tego powiedzieć...

- A dlaczego nie? - Dalej uśmiechnięty ujął moje dłonie. - Musimy uczcić naszą wzajemną miłość, a potem razem będziemy się martwić mściwą Joanną.

Gorące wargi dotknęły mych ust.

- Och, Will...

- Alice! Przed chwilą wyznałem ci miłość aż po grób, a ty wcale nie wyglądasz na szczęśliwą!

- Ależ jestem. - Westchnęłam. - Tylko muszę się do tego przyzwyczaić...

- Pomogę ci.

I znów gorące wargi na mych ustach. Owszem, zapamiętałam się w tym pocałunku, ale kiedy się skończył, od razu się opamiętałam, bo po tym, co spotkało mnie tego ranka, za wcześniej jeszcze było na miłosne westchnienia, pragnienia i przyjemności. Windsor wiedział o tym bardzo dobrze i dlatego objąwszy mnie czule, wygłosił krótką mowę. Mówił cicho i spokojnie, choć doskonale wyczuwałam, jak bardzo jest poruszony.

- Posłuchaj mnie, Alice. Musisz być silna! Stawisz się przed Izłą Lordów i odpowiesz im na każde ich pytanie, świadoma, że nie mają żadnego dowodu na oszustwo. A co dopiero na zdradę!

- Jesteś tego pewien? - Cóż, wcale mnie nie przekonał, niestety.

- Alice, na Boga! Oczywiście, że tak do końca nie mam pewności, bo jestem zbyt wielkim realistą. Ale niezależnie od wszystkiego, kiedy staniesz przed nimi, powinnaś wykazać się jak największym spokojem i opanowaniem, a przede wszystkim niezłomnym przekonaniem o swojej niewinności, bo inaczej rozedrą cię na strzępy.

- Sądzisz, że tak może się stać? To rozerwanie na strzępy, unicestwienie, łącznie z oddaniem katu, a wszystko dlatego, że moje dni na

dworze królewskim dobiegły końca i nic już w tamtym świecie nie znaczą? Więc można ze mną zrobić wszystko?

- Tak, Alice, a ty o tym doskonale wiesz. Tyle lat byłaś u źródła władzy, widziałaś, jak to działa. Będą chcieli cię zniszczyć, odpłacić za te dni, kiedy to ty miałaś władzę, a nie oni.

- Nie można ich jakoś powstrzymać?

- Pomyślimy o tym... Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, czy mają dowody, a jeśli tak, to jakie.

- Will, ale pojedziesz tam ze mną, prawda?

- Oczywiście! Nawet sam diabeł nie byłby w stanie temu przeszkodzić. I przestań wreszcie płakać.

Popatrzył na mnie karcąco, a nawet surowo, i osuszył mi łzy kawałkiem płótna, a ja pomyślałam, że robi to z taką samą starannością, z jaką wycierał konia po długiej jeździe w ulewnym deszczu. To durne porównanie tak bardzo mnie rozbawiło, że byłam bliska ataku głupawki, histerycznego śmiechu, który nieraz dopada ludzi w stanie rozedrgania wewnętrznego. Ale się opanowałam.

A Windsor mówił dalej:

- Alice! Jesteś moją żoną! Kocham cię! Razem pojedziemy do Westminsteru i razem stawimy czoło tym przeklętym padlinożercom w ich pieczarze. A teraz... teraz zajmiemy się sobą.

- A co będziemy robić? - spytałam, wciąż błądząc myślami. Właśnie miałam przed oczami cały dwór Edwarda, i wszyscy, od najniższych sług po dostojników, uśmiechają się szyderczo.

A tego Windsor już nie zdzierzył i sapnąwszy gniewnie, złapał mnie za ramiona i mocno potrząsnął.

- Przestań rozmyślać! Idziemy do łóża, a tam pokażę tej twojej pełnej wątpliwości głowie, że naprawdę cię kocham. Zrozumiesz wreszcie, że nie jest to wytwór twojej wyobraźni. Ale zaraz... Przecież łóża już nie mamy!

- Nie mamy... - Dlatego znów byłam bliska łez.

Ale powstrzymałam je, nawet udało mi się zaśmiać, tym bardziej że Windsor oświadczył:

- Żaden kłopot.

I wymyślił łóże. W mojej, to znaczy w naszej sypialni rozłożył na podłodze swój płaszcz, dokładnie tam, gdzie słońce namalowało na

podłódze wielką, złocistą plamę. Tunikę złożył w kostkę i to była poduszka dla mnie. A potem tam właśnie, na tej złocistej plamie słońca, w pełnym świetle dnia dał mi możliwość zapoznania się z samą esencją magii niczym nieskrępowanej miłości, dawanej swobodnie i równie swobodnie przyjmowanej. Prawdziwe igrzyska zachwytu, namiętności i największego pożądania.

Jak zazwyczaj to się dzieje, zaczęło się od pocałunków, oczywiście bardzo żarliwych.

- Przekonałem cię? - spytał Windsor między jednym pocałunkiem a drugim.

- Och, Will... - Nie byłam w stanie nic więcej powiedzieć, zbyt mocno bowiem pochłaniało mnie to, co działo się na bieżąco. Najpierw były pocałunki, potem, kiedy Windsor zdjął nogawice i buty, zajęłam się podziwianiem muskularnego ciała rycerza. - Poitiers? - Przycisnęłam usta do starej blizny, długiej i złowrogiej, biegnącej wzdłuż żebra, potem skręcała w dół i kończyła się tuż nad biodrem

- Tak - powiedział Windsor i pomógł mi wstać z podłogi. - Będiesz całować wszystkie moje blizny?

- Sama nie wiem, bo strasznie długo by to trwało - odparłam, już naga i drżąca, bo Windsor zdążył zdjąć ze mnie koszulę. - A ja już płonę, Will... Kolana mi drżą... Z tego pożądania...

- I z miłości?

- Ależ naturalnie. Z miłości też.

Podłoga była bardzo twarda. Żadnych piernatów, pościeli pachnącej lawendą, ale to naprawdę nie miało żadnego znaczenia. Pozwoliłam, by wziął mnie tak, jak miał na to ochotę. Chociaż nie, nie dawałam mu przecież żadnego przyzwolenia, bo Windsor był człowiekiem, który o coś takiego nie prosi. Po prostu bierze, jak chce, i to w najbardziej rozkoszny sposób. Poza tym mój umysł niczego nie ogarniał, świadomy był tylko istnienia dwojga ludzi, Windsora i Alice, w pustym domu, na podłódze. Dwa nagie ciała skąpane w blasku słońca.

- Will, a dlaczego my się kochamy?

- Tego nigdy nie wiesz. Ale nie martw się, czasami los coś podsunie, ot tak, po prostu, by człowiek miał się czym cieszyć.

Więc cieszyłam się nim, a on mną. Jego radość była jak balsam na moją skołataną duszę, a rosłe ciało najmilszym ciężarem. Kiedy mnie

brał, oddawałam mu się całkowicie. Tuliłam się do niego i każdy skrawek mego ciała drżał z rozkoszy tak wielkiej, że znów chciało mi się płakać. Ale oczywiście nie płakałam, bo były to chwile radosne, a biegle ręce Windsora odpędzały każdą ponurą myśl. Ale przecież nie na zawsze.

Potem zasnął z tymi cudownie rozwichrzonymi włosami, wtulając twarz w poduszkę ze złożonej tuniki. Lecz ja nie spałam, bo ponure myśli wróciły. Proces... Nieznane dowody... Jakże?! Ale wśród tych okropności jedna myśl była piękna, po prostu złota. Jak dobrze, że mam miłość Windsora. Mój odpędzający strach talizman przy sercu...

- Zabrali też klejnoty Filipy? - spytał Windsor, kiedy zaczęliśmy się już ubierać.

Ja, zanim odpowiedziałam, uśmiechnęłam się... triumfująco!

- A jak sądzisz?

- Na Boga! - Głośny śmiech Windsora odbił się zadziwiająco głośnym echem w pustym pokoju. - Opowiadaj

- A co tu opowiadać? Tylko to, że warto o wszystkim pomyśleć zawczasu. Więc pomyślałam, trzeba je będzie tylko oczyścić.

Tak właśnie zrobiłam, na wszelki wypadek, zawsze przecież starałam się być przygotowana na każdą ewentualność. Kiedy Thomas Webster zaczął wydawać rozkazy, mój służący ukrył klejnoty Filipy wraz z pierścieniami Edwarda w worku do połowy zapełnionym ziarnem zboża, w którym zalęgły się wołki zbożowe. Webster, chwala Bogu, do piwnicy nie kazał zaglądać. Zapewne piwnica była poniżej jego godności.

Windsor, który był już w tunice, nagle zaczął czegoś szukać za pazuchą.

- Mam coś dla ciebie... Jakoś mi umknęło... Proszę. Jeszcze nigdy nie dałem ci żadnego podarku.

Podał mi... zwierciadło! Śliczne, połyskujące kusząco, z ramką pięknie rzeźbioną w liście i łodyżki splecione ze sobą jak ramiona czułych kochanków.

Zwierciadło. Natychmiast spochmurniałam.

- Nie! - powiedziałam bardzo stanowczo, a więc i niegrzecznie. Mój mąż spojrzał na zwierciadło, potem na mnie, kompletnie nie pojmując, o co chodzi.

- Alice, przecież tego nie ukradłem, tylko kupiłem. Poza tym nie istnieje na tym świecie kobieta, która nie miałaby zwierciadła.

- Jedna istnieje na pewno. Ta, która siedzi przed tobą.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie chcesz tego zwierciadła?

- Bo nie podoba mi się to, co w nim widzę.

Była to przecież najprawdziwsza prawda, wcale więc nie chciałam, by Windsor zaczął temu żarliwie zaprzeczać. Mojemu życzeniu stało się zadość. Wcale nie próbował mi wmówić, że jestem kobietą precudnej urody, tylko spytał:

- A które fragmenty ci się nie podobają?

Och, wcale nie miałam ochoty do żartów na temat mojego wyglądu, skoro nie dość, że urody mi nie dano, to byłam rozczochrana i w samej koszuli.

- Nic mi się nie podoba, nic! Przecież ja nie jestem... Ach, daj spokój, Will! - zawołałam zła jak osa i złożyłam ręce na podolku. Tym bardziej zła, że zwierciadło było śliczne.

- W jakim wieku kobieta przestaje dbać o swój wygląd? - spytał Windsor i sam sobie odpowiedział: - O ile wiem, to dopiero na łożu śmierci.

Ukląkł przy mnie na stłamszonym płaszczu, uniósł zwierciadło nieco wyżej, a palcem drugiej ręki powiódł po jednej z moich zbyt gęstych brwi.

- Ja nie widzę w tym nic brzydkiego - powiedział miękko. -W moich oczach jesteś piękna. Alice, proszę. Chcę w tym zwierciadle zobaczyć ciebie, chcę zobaczyć twarz mojej żony, kobiety, którą kocham.

W tym momencie wszelkie protesty wywietrzały mi z głowy. Bo cóż ja wyprawiam? Nie wypada nie przyjąć podarku, to bardzo niegrzeczne i obraźliwe dla ofiarodawcy. Dlatego też w końcu zerknęłam w to cudo w rzeźbionej oprawce i poczułam się zaskoczona, bo wcale nie było tak źle, jak myślałam. Twarz, która spojrzała na mnie, owszem, nie była nieskończenie piękna, ale... ten brak symetrii może i dodaje uroku. A brwi wcale nie są takie straszne!

Uniosłam głowę nieco wyżej i uśmiechnęłam się. Moje odbicie zrobiło to samo i rysy twarzy złagodniały. Nie, naprawdę nie jest źle, może dlatego, że przed chwilą przeżywałam słodkie chwile uniesienia. I po-



darek przyjął, choć kiedyś zaklinałam się na wszystkie świętości, że czego jak czego, ale zwierciadła to ja mieć nie będę. Teraz miałam i było mi bardzo miło, gdy Windsor całował każdy kawałek mojej twarzy widocznej w zwierciadle.

Pojechaliśmy do Gaines, gdzie przynajmniej mieliśmy jakieś łożo, a moje myśli zajęte były głównie tym, co mnie czeka. Wiedziałam dokładnie, jakie wrażenie chcę wywrzeć na czcigodnych lordach. Stoicki spokój, pewność siebie, niezłomne przekonanie o swojej niewinności. Hm, stoicki spokój... Może mi się uda, ale tam, w środku, i tak tragedia. To nieuniknione. Będę bardzo zaniepokojona, co z tego wszystkiego wyniknie. Zaniepokojona? Och, przerażona! Serce wali jak opętane, w gardle sucho, sensacje żołądkowe...

Ale przede wszystkim byłam bardzo zła, bo po wizycie Webstera, tak dla niego owocnej, Joanna przy aprobacie całego dworu wykonała kolejny podstępny i obrzydliwy krok. Mój ukochany dwór koło Wenderover, podarek od Edwarda, również został mi odebrany. Moich słujących rozpedzono na cztery wiatry, wszystkie sprzęty skonfiskowano. Moja obecność w ogóle nie była tam potrzebna, po prostu przysłano mi tylko wieść, że byłam właścicielką niezgodnie z prawem, dlatego już nią nie jestem. Posiadłość stała się własnością króla Ryszarda, z tym że nie zdążył się nią nacieszyć, bo idąc za radą matki, podarował dwór i ziemię przyrodniemu bratu, Tomaszowi Hollandowi, synowi Joanny z jednego z jej poprzednich małżeństw, kiedy to najprawdopodobniej popełniła bigamię.

Jestem pewna, że kiedy młody król posłuchał jej rady, zaznała ogromnej radości, wprost nadzwyczajnej!

A we mnie się gotowało od tej strasznej bezsilności, którą niestety wykorzystał również Jan z Gandawy. Moje domy nad Tamizą nagle i bez żadnej kwestii przeszły w jego ręce. Wszystkie moje londyńskie posiadłości przy Ropery pomnożyły londyński dobytek księcia, a dwa z moich najwspanialszych dworów raptem stały się własnością jego zięcia. Czyli w oczach Jana z Gandawy byłam istotnie osobą tylko i wyłącznie zbyteczną, ponieważ nieużyteczną. Czyli życie dało mi kolejną nauczkę. Nigdy nie należy ufać człowiekowi, który przedkłada władzę ponad lojalność.

Próbowałam odszukać Greseleya, jak zwykle w gospodzie Tabard. Niestety bez powodzenia, bo mój prawnik i plenipotent w interesach niczym ścigany lis po prostu zapadł się pod ziemię. Oczywiście nie było to po mojej myśli, choć całkiem zrozumiałe. Bardzo łatwo było moją winą pomazać również mojego pełnomocnika, oczernić go całego, od stóp do głów, a wtedy niechybnie czekałoby go więzienie.

W końcu nadszedł ten właśnie dzień. Na tak zwaną rozprawę ubrałam się bardzo starannie, i był w tym buntowniczy płomyk. Oczywiście! Bo tak się złożyło, że nie wszystkie moje suknie były w Pallenswick, w związku z czym jedna bardzo strojna mi się ostała.

Ta właśnie. Z wielką satysfakcją wygładziłam stanik i wsunęłam na rękę złotą bransoletkę wysadzaną opalami. Szyja była już ozdobiona kolia, też złotą, też z opalami.

Zapięłam bransoletkę i uśmiechnęłam się do Jane, która siedziała na podłodze w mojej sypialni, przyglądając się, jak jej matka z wieśniaczki przeistacza się w damę z królewskiego dworu.

- Pokażę im, że się ich nie boję! - oświadczyłam i poszłam do paradowej izby, gdzie czekał na mnie Windsor.

Siedział na krześle w pozie niedbałej i przez dłuższą chwilę nie odzywał się, tylko mi się przyglądał. Aż wreszcie zawołał:

- Na Boga! Alice!

- Czyli jak, dobrze czy źle? Bo pomyślałam, że kiedy będę klękać przed potężnymi lordami, powinnam przede wszystkim wyglądać ładnie.

Na to Windsor, zacisnąwszy mocno usta, chwycił mnie za rękę i pociągnął z powrotem do sypialni, gdzie najpierw podniósł Jane z podłogi i usadził ją na środku łóża, pogłaskał też po jasnych loczkach, było jednak oczywiste, że robi to bezwiednie, bo głowę miał zajętą na pewno nie dzieckiem.

Moje dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści.

- Will! Bardzo nie lubię, jak traktujesz mnie z góry!

- A ja bardzo nie lubię, jak wykazujesz się całkowitym brakiem przenikliwości! - odparł, stając tuż przede mną. Był władczy, a jednocześnie bardzo zaniepokojony, stąd ten napastliwy ton i dosadne słowa:

- Czy ci rozum odjęło? Alice, ciebie będą sądzić za oszustwa i zdradę, a ty robisz wszystko, by pogorszyć swoją sytuację. Naprawdę chcesz już

na samym początku nastawić do siebie wrogo tych nadętych utytułowanych nierobów? Jeszcze zanim padnie pierwsze słowo?!

- I tak są już do mnie wrogo nastawieni, więc moja suknia nie ma tu nic do rzeczy - broniłam się, choć czułam, że spowił mnie rumieniec.

- Ma, i to bardzo. Bo właśnie tak wyglądasz, jak faworyta!

- Przecież nią byłam! Byłam faworytą.

- Wiedzą o tym wszyscy, ale nie ma potrzeby ciskać tym w szlachetnie urodzone twarze. Na Boga! Przyjrzyj się sobie, kobieto!

Dramatycznie rozpostarł ramiona, jakby obejmował mnie całą, ten cały mój wygląd. Więc postarałam się spojrzeć na siebie jego oczami. Tak, byłam ubrana niemal po królewsku, jakbym uzurpowała sobie królewską władzę. Może i nie byłam wystrojona aż tak krzykliwie jak wtedy, gdy byłam Panią Słońca, ale to były całkiem inne okoliczności, miałam być zachwycająca i przyciągać wzrok. Ale i wtedy, i teraz byłam ubrana w fioletową jedwabną suknię i cotehardie w olśniewająco złotej barwie, co Izabelę doprowadziło niemal do wściekłości.

- Alice, tylko pomyśl! Przecież będziesz walczyć o swoją wolność, a może nawet o...

- O życie? To chciałeś powiedzieć? - Rumieniec znikł, policzki powlekła bladość.

- Och, nie dramatyzuj! - rzucił bez wahania. - Wcale nie twierdzę, że widzę cię już na szafocie, ale dobrze wiesz, że nie brakuje takich, co najchętniej wysłałiby cię właśnie tam! - Nerwowo przeczesał palcami włosy. - Musisz być bardzo ostrożna. Naprawdę tego nie rozumiesz? Bo kto wie, co im przyjdzie do głowy... Mogą znowu oskarżyć cię o czary! Dlatego nie możesz być ubrana tak bogato, krzykliwie... tak śmiało!

Był bardzo zmartwiony i miał absolutną rację.

- Skoro tak mówisz... O Boże! Niełatwo się żyje, kiedy matka króla ostrzy na ciebie pazury. - Westchnęłam ciężko, po czym zaczęłam zdejmować klejnoty i wspaniałe, kłujące w oczy szaty. Kiedy zdjęłam złocistą suknię, nagle poczułam, że jest ze mną bardzo źle i rozpaczliwie potrzebuję jego wsparcia, jego odwagi. - Och, Will... - Z jękiem przycisnęłam do piersi złocistą suknię. - Tak się boję... tak bardzo się boję.

I wreszcie Windsor złagodniał.

- Przecież wiem - powiedział miękko. Wyjął mi cotehardie z rąk, położył na łożu i starannie wygładził fałdy. - Ale my wiemy, jak poradzić sobie z wrogiem, czyż nie tak?

- Wiemy...

Zręczne place Willa szybko rozwiązały tasiemki i suknia spodnia opadła do moich stóp, a ja znów westchnęłam.

- Wybacz, Will, że nie panuję nad emocjami.

- Ależ nie mam ci tego za złe, Alice. Jesteś kobietą, do tego kobietą, którą kocham. Nie pozwolę im cię skrzywdzić.

- Hm... Will, chyba nie masz tu nic do powiedzenia.

- Za mało w tobie wiary we mnie... Za mało! - burknął, rzucając mi bardzo skromne trzewiki. - I już nie zwlekaj, bo jeśli spóźnisz się, będą jeszcze bardziej kręcić tymi swoimi szlachetnymi nosami. I pamiętaj, jestem z tobą. Nie pozwolę ci cierpieć w samotności.

Ubrałam się szybko i teraz już rozsądnie, czyli bardzo skromnie. Żadnych klejnotów! Gdybym włożyła choć jeden klejnot Filipy, od razu roznieciłby ogień w tych przyszykowanych już przecież polanach!

Po raz pierwszy po pogrzebie Edwarda przyjechałam do Londynu. Od tamtego czasu minęło zaledwie kilka tygodni, a miałam wrażenie, jakby nie było mnie tu od bardzo dawna. Jakby upłynęły całe wieki od chwili, gdy uciekałam sprzed drzwi opactwa, a w uszach nadal dźwięczały pełne triumfu słowa Joanny. Kimś takim jak ja nie musi się już przejmować... Ach, co tam! Na smutki przyjdzie pora, a teraz upajałam się tym, że znowu tu jestem, wśród znajomego gwaru i pośpiechu miasta. Popatrywałam na bogatych kupców z żonami, ubranymi jak najbogaciej, na tyle jednak, na ile zezwalały prawa ustanowione przez Edwarda. Za składami kupieckimi widać było Tamizę, teraz, w zimie, szarą i pięknie opalizującą. Cóż... Nie byłam stworzona do życia w wiejskiej głuszy, nigdy nie będę czuła się tam dobrze. Dopiero w mieście... Nagle przypomniałam sobie, z jakiego to powodu do tego miasta przybyłam, i strach ścisnął mnie za gardło. Przecież nie przyjechałam tu dla przyjemności!

Dotknęłam ramienia Windsora, bo bardzo chciałam, by dodał mi otuchy. I dodał, bo przykrył moją dłoń swoją dużą i ciepłą dłonią. Tak, ale przecież nie miał na nic wpływu. Jeśli wszystko pójdzie źle, kto wie,

czy do końca życia nie będę gnić w lochu albo wypędzą mnie z królestwa. Albo jeszcze gorzej...

Jechaliśmy wzdłuż rzeki, klucząc między żebrakami, dziewczkami sprzedajnymi, biedotą i rzezimieszkami z londyńskich rynsztoków. Windsor coś tam mówił, ja tylko przytakiwałam, bo byłam coraz bardziej przerażona. W końcu dojechaliśmy do pałacu westminsterskiego, a gdy zsiadliśmy z koni, Windsor zapytał jednego z urzędników, dokąd należy się udać na spotkanie z lordami. Skierowano mnie do komnaty, w której za czasów Edwarda czasami odbywały się audiencje wielkich osobistości, jak na przykład owych trzech królów, którzy przed laty odwiedzili Londyn. A skoro skierowano mnie tutaj, znaczy to, że będzie bardzo oficjalnie. Jednak nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Windsor pociągnął mnie za płaszcz, bym już szła, więc ruszyłam ku memu przeznaczeniu. Przed drzwiami do komnaty stała straż. Lordowie jeszcze się nie zbrali i musimy poczekać. Czyli jeszcze chwila tego przerażającego strachu! Spanikowana i wściekła odwróciłam się gwałtownie od tych drzwi i zobaczyłam, że na ławce, którą zwykle zajmowali petenci, siedzi ktoś, kogo dobrze znam.

I ten ktoś wyraźnie na nas czekał.

- Wykeham... - Windsor skinął głową.

Wykeham również skinął głową, po czym zmierzli się bardzo nieprzychylnym wzrokiem. Czyli jeśli chodzi o nich, to nic się nie zmieniło i nigdy nie zmieni.

- Byłam pewna, panie, że ciebie tu dzisiaj nie ujrzę - powiedziałam, nie kryjąc zdziwienia na widok biskupa. - To raczej niestosowne, by widziano cię w moim towarzystwie.

- W niczym to nie zaszkodzi - odparł, całując mnie w rękę, jednocześnie na jego twarzy pojawił się grymas, który od biedy można było wziąć za uśmiech. - Jestem wolnym człowiekiem, ułaskawionym i przywróconym do łask, przestałem być złodziejem i oszustem. Innymi słowy, znów zostałem wzorem wszystkich cnót. Parlament w swej wielkiej mądrości zdecydował, że swą uśmiechniętą twarz zwróci ku mnie. Czyli nic nie jest w stanie mnie dotknąć.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by Wykeham mówił aż tak cynicznie.

- Mam nadzieję, panie, że to samo będę mogła powiedzieć o sobie pod koniec tego dnia. Chociaż ta nadzieja jest bardzo nikła.

- A ja spodziewam się, że przegadasz czcigodnych lordów! Zabrzmiało to trochę zgryźliwie, ale i tak dodało nieco otuchy. Dlatego też poprosiłam Wykehama o coś, o co nigdy go dotąd nie prosiłam:

- Pomódl się za mnie.

- Pomodłę, chociaż nie jestem pewien, czy modlitwa naprawdę coś dla ciebie znaczy. Ale pomodłę się, chociażby dlatego, że kiedyś wstawiłaś się za mną... - Zanim puścił moją rękę, lekko uściśnął palce. - Zrobię, co będę mógł zrobić, milady. Może lordowie posłuchają, jeśli przemówię za tobą...

A może i nie, ale kiedy zwrócił się do mnie z tak wielkim szacunkiem, wzruszona byłam prawie do łez.

- Masz dziwnych przyjaciół - powiedział Windsor, kiedy tylko Wykeham się oddalił. - Duchowny, a przecież darzy cię szczerym uczuciem. Boże, dopomóż!

- Nonsens! Tym bardziej że kiedyś przyczyniłam się do tego, że został odprawiony.

- Ale później pomogłaś, by znów służył Edwardowi. Nie oceniaj siebie zbyt surowo. - Przytrzymał moją rękę, pocałował w usta i czoło, a potem szepnął tuż przy mojej skroni: - Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Mego przybycia nie otrąbiono, nikt mnie nie zaanonsował. Po prostu weszłam do sali, gdzie tym razem nie podsunęto mi łaskawie stołka, przez cały więc czas miałam stać, a przede mną i za mną z trzech stron rzędy głów, wszystkie spoglądające na mnie z nieskrywaną wrogością. Jak się spodziewałam, Windsor nie mógł dotrzymać danej mi obietnicy, bo po prostu go nie wpuszczono, a upieranie się przy swoim było bez sensu, kiedy widzisz halabardy wycelowane w twoją stronę. I pozostało mu tylko jedno. Mógł niespokojnym krokiem przemierzać wte i wewte korytarz.

Byłam więc sama, sama jak palec wystawiona na dziesiątki wrogich spojrzeń. Rozejrzałam się dookoła, spojrzałam na tych, których znałam, i na tych, których nie znałam. Czy osądzą mnie sprawiedliwie? Chyba nie.

- Bądź spokojna, opanowana. Bądź rozsądna i czujna. Nie pozwól, by chytrze skłonili cię do jakichś zeznań, które wykorzystają przeciwko tobie. Postaraj się mówić tylko prawdę. Użyj bystrości, którą Bóg cię

obdarzył. I nie mów nic pochopnie, starannie wyważaj słowa. I żadnych zuchwałych wypowiedzi.

Rady Windsora... Niestety, nie było go przy mnie. Stałam tam sama i nawet jego miłość nie była w stanie uspokoić mego szalejącego serca.

- Pani Perrers.

Poderwałam głowę. Spikerem Izby Lordów był Henry Percy, hrabia Northumberlandu, i to on przemówił pierwszy. W rękę trzymał wiele dokumentów. Henry Percy, także lord marszałek Anglii, związany z Janem z Gandawy, co bardzo mi się nie podobało. Ale cóż...

- Milordowie... - Skłoniłam głowę.

- Zostałaś wezwana, by odpowiedzieć na bardzo poważne zarzuty. Czy pojmujesz, pani?

Aha. Czyli tak ma być. Sucho, w świetle prawa, bezosobowo. Niech będzie. Najważniejsze, że nie znam jeszcze tych zarzutów.

- Tak, milordzie. Pojmuję.

- Chcemy, byś odpowiedziała na pytania dotyczące twoich postępów z przeszłości. Zostały wysunięte wobec ciebie wyjątkowo poważne zarzuty. Oskarża się cię o oszustwo i zdradę. Co masz na swoją obronę?

- Jestem niewinna - odparłam bez wahania. - Nie jestem winna ani oszustwu, ani zdradzie. I proszę, byście milordowie przedstawili dowody świadczące przeciwko mnie.

Może i miałam odpowiadać spokojnie i uprzejmie, ale nie zamierzałam dopuścić, by zrobili ze mnie głupią. Przecież wiedziałam, co zamierzają zrobić. Wymyślą jakieś nieprawdziwe sytuacje, podczas których rzekomo miałam popełnić zdradę wobec króla i królestwa. Podobnie rzecz ma się z tymi oszustwami.

- To bardzo poważne oskarżenia, pani.

- A w jaki niby sposób miałam popełniać te oszustwa? - spytałam głosem jasnym i dźwięcznym, wyprostowana jak halabardnicy przed drzwiami tej sali. - Nigdy nie postępowałam nieuczciwie, nie uciekałam się do oszustwa, by osiągnąć korzyści. Nigdy nie posługiwałam się podstawionymi osobami. Jeśli chodzi wam o moje dwory, kilka z nich zostało mi podarowanych przez króla Edwarda, są wyrazem jego szczodrości i uczucia, którym mnie darzył. - A tak! Niech przyjmą to do wiadomości! - Pozostałe zakupiłam sama, otwarcie, zgodnie z prawem,

za pośrednictwem człowieka biegłego. Dlatego stanowczo nie zgadzam się z zarzutem o oszustwo, milordowie.

Mój oddech dzięki nadludzkim wysiłkom był spokojny i miarowy, głos też spokojny i pełen stanowczości. Bo i jakież to mogą mieć przeciwko mnie dowody?

- Oskarżona jesteś także o zdradę, pani...

- Zdradę? A kiedyż to miałam złamać przysięgę wierności złożoną Jego Królewskiej Mości? - O, w tej kwestii stałam bardzo pewnie na nogach. Nawet to dostojne gremium nie znajdzie żadnego dowodu. - Wzywam was, milordowie, byście przedstawili mi dowody, że kiedykolwiek stanowiłam zagrożenie dla bezpieczeństwa lub zdrowia króla czy królestwa! - Może i nierozsądnie, ale to strach sprawił, że wyraziłam się zuchwale, więc przemknęłam spojrzeniem po tych ich twarzach. Niektórzy odwzajemniali spojrzenie, niektórzy patrzyli gdzieś w bok. - A więc, milordowie, gdzież są wasze dowody?

Słyszałam, jak lordowie raptem zaczęli się poruszać w krzesłach, poszeptywać. Hrabia Henry zaszeleścił dokumentami.

- Musimy to rozważyć, pani. Proszę poczekać w przedpokoju. Wyszedłam. Windsor natychmiast dopadł do mnie i pociągnął na ławkę, tę samą, na której siedział Wykeham.

- Co się dzieje?

- Teraz rozważają.

- Ale co? Przecież byłaś tam zaledwie kilka minut.

- Nie wiem! - Gwałtownie zerwałam się z ławki. Nie byłam w stanie na niej wysiedzieć, i zaczęłam przemierzać przedpokój wzdłuż i wszerz.

- Nie idzie dobrze? - spytał Windsor.

- Oczywiście, że nie! Oskarżyli mnie, i owszem, ale dowodów nie chcą mi przedstawić. Will, jeśli nie mają dowodów, to po co mnie wezwali? Boję się, Will. Bardzo się boję, bo na pewno jest coś, o czym nie wiem.

Też zerwał się z ławki i razem ze mną zaczął przemierzać pokój.

- Bardzo bym chciał być tam razem z tobą.

- Wiem... - Przystanąłam i oparłam się o niego. - Ale nie sądzę, żeby na coś to się przydało. Nawet archanioł Gabriel nie byłby w stanie powstrzymać lordów od podejrzenia mi gardła!

Nie minęło pół godziny, kiedy wezwano mnie do środka.



- Pani Perrers... - zaczął wyraźnie usatysfakcjonowany hrabia Henry.  
- Lordowie debatowali nad dowodem przeciwko tobie. Świadomie nie byłaś posłuszną rozkazom Dobrego Parlamentu.

O co chodzi? Dlaczego teraz z całkiem innej beczki? Oszustwo i zdrada nagle straciły na wartości, teraz raptem chodzi o nieposłuszeństwo wobec parlamentu... A, oczywiście! Lordowie od samego początku wiedzieli, że zarzutów o oszustwie i zdradzie nie da się udowodnić, więc wymyślili coś jeszcze. Na Boga! O co im chodzi? Czulałam, jak ziemia usuwa mi się spod stóp. Bo to było coś o wiele groźniejszego! Zadrzałam pełna najgorszych przeczuć. Och, jak mi brakowało Windsora u mego boku! Niestety, musiałam sama walczyć o siebie.

- Ale o jakie rozkazy chodzi? - spytałam całkiem już zagubiona. Przecież zrobiłam wszystko, co mi kazali. Czyżby... czyżby znowu chcieli oskarżyć mnie o czary?!

- Złamałaś, pani, zakaz dostępu do króla. Nie wolno ci było przebywać w pobliżu królewskiego dworu...

Na litość boską! Przecież to właśnie zrobiłam!

- Nie zgadzam się z tym oskarżeniem.

- Czyżby? - Pełen zadowolenia uśmiezek hrabiego świadczył, że ma całkowitą pewność bezpodstawności moich słów. - Byłaś, pani, na wygnaniu, a jednak wróciłaś na królewski dwór, by być przy królu przez ostatnie tygodnie jego życia.

Uspokój się! - nakazałam sobie w duchu. Nie mogą przecież udowodnić w tym żadnej twojej winy...

- Zastosowałam się do rozkazów - powiedziałam, starając się dobrać starannie słowa, podczas gdy moje serce cwałowało jak spłoszony koń. - Żyłam w odosobnieniu. Nie wróciłam na dwór, póki lord Jan z Gandawy tego rozkazu nie uchylił. Ten fakt zapewne znany jest milordom, a jest to dowód mej niewinności.

- Izbie Lordów ten fakt nie jest znany. Jesteś winna naruszenia rozkazu parlamentu, a to postępek nikczemny.

- Ależ ja tego nie zrobiłam! Lord Jan przysłał do mnie umyślnego, by przekazać mi wieść, że mogę powrócić na królewski dwór.

- Masz dowód na to?

- Nie, ale tak było i musi być jakieś potwierdzenie tego faktu...

Boże wielki, gdzie jest ten list? Co się z nim stało? Moje myśli nie-spokojne miotały się w mej głowie jak szczury w pułapce. Musi być przecież jakieś potwierdzenie, musi...

- A poza tym - ciągnął hrabia Henry, jakby tej krótkiej wymiany zdań między nami nie było - jesteś oskarżona o wywieranie presji na decyzje króla Edwarda w ostatnich jego dniach, decyzje dotyczące ułaskawienia Roberta Lyonsa, którego parlament skazał za wielkie przewinienia finansowe. A dzięki naciskowi z twojej strony, podszeptom i namowom Lyons został wypuszczony z Tower.

- Lyons został ułaskawiony na mocy decyzji lorda Jana z Gandawy, ułaskawiony w imieniu króla Edwarda, kiedy decyzje parlamentu zostały odwołane - odparłam, znów czując, że stoję na twardym gruncie. - Uwolniony został i Lyons, i lord Latimer. To żadna tajemnica. Milordowie muszą o tym wiedzieć.

Jednak hrabia Henry temu zaprzeczył:

- Izba Lordów twierdzi, że zawiniłaś, wpływając na ułaskawienie Roberta Lyonsa, który uważany jest za zagrożenie dla królestwa.

- Nie!

- To haniebny postęp! - zagrzemiał. - Haniebny, ponieważ ułaskawienie tego człowieka jest naruszeniem autorytetu parlamentu.

- Przecież muszą być na dworze urzędnicy, którzy znają prawdę. Zna ją przede wszystkim Jan z Gandawy.

Oczy hrabiego zajaśniały prawie jak dwie gwiazdy, bo wreszcie mógł mnie zgnieść.

- My o niczym nie wiemy. I nikt nie stawia się w twojej obronie.

- Ależ ja mogę znaleźć kogoś takiego. - Jak spokojnie to zabrzmiało, a dłonie miałam już tak spocone, jakby zlane wodą. - Prawnicy, którzy zajmują się tą sprawą, niewątpliwie poświadczą, że nie mam nic wspólnego z uwolnieniem Lyonsa. Przecież musi być jakiś tego ślad w dokumentach Jana z Gandawy.

Nastąpiła martwa cisza, nikt się nie poruszył, nie sarknął. Moje ręce bezwiednie zacisnęły się w pięść. Zauważyłam to dopiero wtedy, gdy paznokcie wbiły się w ciało.

A potem hrabia Henry skinął głową i oznajmił:

- Nie chcemy, by ktoś zarzucił, że nasza izba podeptała sprawiedliwość. Zezwalamy ci, pani, na znalezienie świadków, których wysłuchamy.

- Jak długo? Ile czasu mam na znalezienie świadków?

- Jedno popołudnie i jedną noc. - A teraz był czas na uśmiech, nie, uśmieszek.

- Ależ to niemożliwe...

- Wyznamy kilku lordów, przed którymi wraz ze swoimi świadkami stawisz się jutro o godzinie dziesiątej.

- Bardzo proszę, dajcie mi, milordowie, więcej czasu... - Gdy przemknęłam spojrzeniem po ich twarzach, stało się jasne, że są głusi na moją prośbę. Innymi słowy, niby wypełniają literę prawa i dają mi możliwość obrony, ale robią to tak, bym tej obrony była pozbawiona.

- Tylko tyle możemy dla ciebie zrobić, pani - podsumował swój diabelski plan hrabia Henry.

Wyszłam z sali wyprostowana, z uniesioną głową. Tylko tyle mogłam zrobić, bo oni wiedzieli już doskonale, że poniosę porażkę.

- Jedno popołudnie?! Jedna noc?! Na Boga! Ależ są pewni siebie! To nie wymiar sprawiedliwości. Oni tworzą teatr z rolami z góry ustalonymi i z wiadomym już finałem. I bardzo mi się nie podoba, że zamknęli drzwi przed moim nosem! - Rozjuszony Windsor uderzył pięścią w ścianę, a zaraz potem gotów już był do czynu. - Od czego zaczynamy, Alice?

- Jan z Gandawy... Przecież to na jego rozkaz uwolnili Lyonsa. Musi być tego dowód. Trzeba znaleźć kogoś, kto ten dowód może zdobyć i przedłożyć go lordom.

- Tak, to oczywiste... Tylko kto?

Szliśmy szybkim krokiem korytarzem prowadzącym do skrzydła wielkiego pałacu, które oddano we władanie prawnikom i urzędnikom.

- Nie wiem... Może któryś z dworskich urzędników. Jest ich przecież tak wielu.

- Myślisz, że któryś z nich odważy się na coś takiego, Alice? Stawi się przed lordami, poświadczy twoją niewinność, jednocześnie podważając ich orzeczenia?

Zatrzymałam się w pół kroku.

- A dlaczego nie?

- Bo wygląda mi na to, że komuś bardzo zależy, by ten właśnie dokument pozostał w ukryciu. - Chciałam zaprotestować, ale Windsor podniósł rękę, nakazując mi milczenie. - Kara za wystąpienie w twojej obronie może być dotkliwa i wymierzona szybko, dlatego wizja tej kary skutecznie zamknie usta, nawet jeśli dowód nadal istnieje. A co do tego mam pewne wątpliwości. Pergamin łatwo zniszczyć.

Cóż, literalnie wyłożył to wszystko, czego sama też się obawiałam. Och, po tym wszystkim, co mówił hrabia Henry, bałam się okropnie.

- Will, muszę coś zrobić. Mam się tak po prostu z tym wszystkim pogodzić? Ogłosić kapitulację i przyjąć na siebie karę za coś, czego nie uczyniłam?

- Oczywiście, że nie, ale czas nagli. - Na poparcie tych słów gwałtownie przyspieszył kroku. - Zastanówmy się, kogo można by tu capnąć w tej prawniczej norze... Zaraz, zaraz... Któż to taki który przyjechał do Pallenswick, by zabrać cały twój dobytek? Być może po czymś takim poczuje się zobowiązany do pomocy w wyjawieniu prawdy...

Brzmiało nawet nieźle, ale ten zwrot „być może”... I jeszcze pewien szczegół:

- Czuje się zobowiązany? Och, Will, dlaczego wszystko rozpatrujesz w kategoriach coś za coś? W kategoriach spłacenia długów albo odwzięczenia się za podarek podarkiem...

- Dlaczego? Bo całe życie muszę to robić. Coś spłacać albo się odwzięczać! - Wciąż szedł tak szybko, że ledwie mogłam za nim nadążyć.

- Alice, pamiętasz jego nazwisko?

- Tak. Thomas Webster.

- Idź do niego i porozmawiaj. - Przepchnął mnie przez drzwi prowadzące do prawniczej królikarni. - Pogadaj z nim, a ja zobaczę, czy uda mi się uprosić któregoś ze służących Edwarda, by odświeżył pamięć. Jeśli trzeba, poproszę go sztyletem!

Wytropiłam Thomasa Webstera w małej brudnej izdebce wśród pergaminów, wstęg i pieczęci, zapachu inkaustu i starych dokumentów. Te zapachy naturalnie od razu obudziły we mnie wspomnienia o dawnych czasach. Dawnych i choć wcale słodyczą nie napawały, to były o wiele bezpieczniejsze.

Kiedy weszłam, Thomas Webster poderwał głowę, wyraźnie niezadowolony, że ktoś mu przeszkadza. Kiedy mnie jednak zobaczył, kazał wyjść towarzyszącemu mu młodemu urzędnikowi, co moim zdaniem dobrze nie wróżyło.

- Pan Thomas Webster. - Stałam tuż przed jego stołem, ręce opuszczone po bokach.

A Webster powoli podniósł się z krzesła.

- Pani Perrers...

- Czy one istnieją?

Domyślał się, po co tu przyszłam, dlatego umykał spojrzeniem, spoglądając w dół, gdzie jego ręka bezwiednie bawiła się piórem. Wiedział dobrze, że chodzi o dokumenty, które potwierdzają, że to nie ja wpłynęłam na króla, tylko Jan z Gandawy dokonał ułaskawień.

- Jestem pewien, pani, że istnieją.

- Możesz je odnaleźć? I świadczyć za mną?

- Nie, pani. - Wreszcie spojrzał na mnie. - I doskonale wiesz, pani, dlaczego. Bardziej zależy mi na pracy niż na tym, by pomóc tobie.

- Nawet nie pomożesz mi udowodnić, że zostałam ułaskawiona z wygnania przez Jana z Gandawy? - Nie raczył odpowiedzieć, a ja dalej nalegałam: - Więc kto mógłby mi pomóc udowodnić moją niewinność? Kto?

Dalej cisza. Ponura, wróżąca samo zło cisza.

Po chwili Webster z twarzą kamienną cisnął na stół pióro ze zniszczonym już czubkiem. Czyli nawet nie musiał nic mówić.

Potem było podobnie. Przez całe popołudnie nie znalazłam ani jednego prawnika, który chciałby mi pomóc. Na mój widok po prostu znikali jak karaluchy na widok światła. A ci, których udało mi się przyłapać, wykazywali się bardzo złą pamięcią.

- Beznadziejnie - oznajmiłam, kiedy spotkaliśmy się z Windsorem w wielkiej sali.

- Webster nie dał się namówić?

- Oczywiście, że nie! To drań i samolub.

- Służący Edwarda również nie są chętni. Tylko jeden połasił się na kilka marek...

- Ile ich mu dałeś?

- Lepiej nie pytaj. Podaliśmy sobie co prawda ręce, ale i tak nie jestem pewien, czy nie zawiedzie. Ale przynajmniej nie odmówił zdecydowanie, jak ta cała reszta.

Nie robiłam sobie zbyt wielkich nadziei. Skoro prawnikowi nie zależało na prawdzie, prawnikowi, który miał odpowiednie dokumenty, by tę prawdę poświadczyć, to czy można spodziewać się, że paż albo służący zdecyduje się zmierzyć z wolą parlamentu?

- Nie trać nadziei, Alice - powiedział Windsor, choć twarz miał bardzo posepną. - Dopóki wyrok nie zapadnie, zawsze jest nadzieja.

- Jakoś nie jestem o tym przekonana. Bo ten wyrok już zapadł.

- Szczerze mówiąc, też widzę nikły promyk nadziei, ale jednak go widzę. No i nie będziemy rezygnować, zanim jeszcze zaczęliśmy ostateczną rozprawę z lordami!

Ostatnie zdanie zabrzmiało szorstko, ale zaraz potem Windsor wsunął moją rękę sobie pod ramię i poprowadził do drzwi na końcu sali.

- Co teraz robimy, Will?

- Teraz idziemy do kuchni zdobyć piwo i coś na ząb. A potem będę miał baczenie na naszego wahającego się świadka... - Uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech. - Jeśli zmieni zdanie, zrobimy wszystko, by ponownie je zmienić! Na poprzednie!

Ta noc była dla nas prawie bezsenna.

Godzina dziesiąta. Ukochany zegar Edwarda w Havering wybija godzinę. Lordowie wyznaczeni do oceny moich dowodów zebrali się w komnacie o wiele mniejszej, przytulnej. Wystarczająco jednak dużej, by pomieściło się tu dwunastu lordów i oskarżona, czyli ja. I świadek, jeśli starczy mu odwagi i siły moralnej. Albo jest to człowiek wystarczająco głupi, by ważyć się na coś takiego...

Weszłam i pokłoniłam się lordom usadzonym za stołem, który stanowił solidną zaporę między oskarżającymi a oskarżonym. Dwa różne światy, jeden dysponuje wszechmocną i brutalną siłą, a drugi tylko nikłą nadzieją.

Przenosiłam spojrzenie z jednej twarzy na drugą, by dostrzec tę, która zadecyduje o mojej przyszłości.

Chłód. Bardzo zimno, jakby ściany były tu z lodu.

Na samym środku między sędziami siedział Jan z Gandawy. Przewodniczył tym obradom. Kiedyś mój sprzymierzeniec, który zabiegał o moją lojalność, który uwolnił mnie z wygnania i zezwolił na powrót do Edwarda.

Teraz zasiada wśród sędziów?

Oddychałam głęboko, starając się pokonać ten strach, to przerażenie, które odżyło we mnie. Dlaczego on to robi? Czy jego tak znacząca obecność ma wpłynąć na wydanie wyroku korzystnego dla mnie? Czy wręcz odwrotnie? Nawet nie musiałam zadawać sobie tego pytania, bo odpowiedź była tak samo oczywista jak barwy adamaszku jego czarno-czerwonej tuniki. Spojrzałam na niego. On spojrzał na mnie

I jeśli tliła się jeszcze we mnie nadzieja, że mam wśród sędziów osobę mi życzliwą, to iskierka ta zgasła. Gorzko się pomyliłam. Czyż jednak nie powtarzałam wiele razy, że Janowi z Gandawy nie wolno ufać? I miałam rację. Obecność Jana z Gandawy miała na celu właśnie to. Odebrać ostatnią nadzieję, której się uczepiłam, przy której trwałam przez całą nieskończenie długą noc. Nadzieję, że być może ten jakże wpływowy książę pośpieszy mi na ratunek. Lecz zjawił się tu, by mnie ukarać. Był tu, by zniszczyć wszelkie dowody, że w przeszłości coś nas łączyło. By ukarać mnie dla przykładu. Z sojusznika przemienił się w myśliwego, spojrzenie miał zimne, bezlitosne, twarde. On myśliwy, ja jego zwierzyna, której nic już nie zdoła ocalić.

- Pani Perrers...

Znów moim rozmówcą był hrabia Henry, co jednak nie miało żadnego znaczenia. Jan z Gandawy wcale nie musiał osobiście sprawdzać dowodów. Wystarczyło, że był tu i przytłaczał wszystkich swoją potęgą. I to on podyktuje wyrok. Byłam tego pewna.

- Pani Perrers, będziemy rozważać dowód twej niewinności. Czy znalazłaś prawnika, który poświadczy, jak odbyło się ułaskawienie Lyonsa? Czy ma pani dokumenty?

- Nie, milordzie.

- Czyli uznajemy dowody przemawiające przeciwko tobie i uznajemy cię za winną.

Jaki łagodny głos! A ileż w nim jadu! Wzdrygnęłam się, po czym oznajmiłam:

- Ale znalazłam kogoś, kto będzie świadczył za mną.

- Naprawdę? - Zdziwienie w jego głosie było oczywiste. A dla mnie zatrważające.

- Tak. To John Beverley, służący króla Edwarda, teraz wśród czeladzi. Król Edward darzył go największym zaufaniem.

- W takim razie wysłuchamy go.

Słyszałam, jak drzwi za moimi plecami otwierają się, a ja modliłam się jak najżarliwiej, by John Beverley nie uciekł.

- Pilnuj go jak oka w głowie! - powiedziałam Windsorowi tego ranka.

- Nieważne jak, ale pilnuj. Ma tu być! A... I przestań na niego patrzeć tak groźnie.

John Beverley, zaufany służący Edwarda, jedyny człowiek spośród wielu, z którymi rozmawiał i Windsor, i ja, jedyny, który miał w sobie nieco odwagi i szacunku dla prawdy. Nieważne, ile wziął od Windsora. Najważniejsze, że udało się go doprowadzić do drzwi tej komnaty, a ja przypuszczałam, że mój pełen determinacji mąż jednak użył siły. Beverley był bardzo zdenerwowany, co napawało mnie lękiem, że wypadnie niewiarygodnie. Nie miałam jednak wyboru, musiałam moją wolność złożyć w jego ręce. I nie pozostawało mi nic innego, jak modlić się, żeby Beverley pozostał wierny tym, którym służył.

Wszedł, przecesał ręką przeredzające się włosy i powiódł spojrzeniem po twarzach lordów, a kiedy zobaczył Jana z Gandawy, zbladł. Więcej, jego twarz poszarzała, a we mnie wszystko zamarło.

- John Beverley - powiedział hrabia Henry.

- Tak, milordzie. - Na szerokiej twarzy Beverleya malował się tylko i wyłącznie niepokój.

- Byłeś służącym króla Edwarda.

- Tak, milordzie.

- Zebraliśmy się tu po to, by dojść prawdy o ułaskawieniu Richarda Lyonsa. Przypominasz sobie tę sprawę? Czy jest ci wiadomo, że pani Perrers skłoniła świętej pamięci króla Edwarda, by ułaskawił Lyonsa?

- Nic mi na temat nie wiadomo, milordzie.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, milordzie.

Westchnęłam. Beverley był wyjątkowo małomówny, oczy miał wyłknięte jak sarna, której drogę zaszyły psy. Daj Boże, by tych swoich skąpych słów użył w mej obronie.



- A skąd ta pewność?

- Bo ja, milordzie, w tych ostatnich dniach Jego Królewskiej Mości byłem przy nim bez przerwy. - Tak powiedział i kilka kwiatków nadziei w moim sercu zaczęło rozkładać płatki. Ponadto Beverley wyraźnie nabrał pewności siebie i mówił zdecydowanie mocniejszym głosem. - Nigdy nie słyszałem, milordzie, żeby Jego Królewska Mość i pani Perrers rozmawiali o ułaskawieniach.

- Żadne z nich o tym nie wspomniało?

- Nie, milordzie. Ani król Edward, ani jego... ani pani Perrers. Przysięgam, że król nigdy nie wydawał rozkazu o ułaskawieniu tego człowieka.

A to było bardzo niebezpieczne stwierdzenie. Bo jeśli król nie wydał takiego rozkazu, inicjatywa musiała wyjść od Jana z Gandawy bez królewskiej mocy sprawczej. Bo Jan uzurpował sobie władzę iście monarszą, taką, jakiej nie miał książę Walii. Czułam, jak w niewielkiej komnacie rośnie napięcie. Lordowie poruszali się na krzesłach, słysząc było szelesty, kiedy adamaszek ocierał się o jedwab, słysząc było szuranie nóg. A Jan z Gandawy był coraz posępniejszy. Jeśli Beverley tego nie dostrzegł, znaczy to, że jest po prostu głupcem. Och, na pewno dostrzegł. Czy więc będzie obstawał przy swoim? A może stchórzy i wszystko odwoła? Co przeważy? Zastraszanie przez Windsora i wciśnięte do ręki marki wydały mi się niczym w porównaniu z milczącym gniewem Jana z Gandawy.

- A więc przysięgasz, że pani Perrers nie wywierała żadnego nacisku na świętej pamięci króla Edwarda w sprawie ułaskawienia Roberta Lyonsa? - spytał hrabia Henry.

- A... Tak, milordzie.

- Na pewno rozumiesz, jak niebezpiecznie jest składać przysięgę, jeśli ma się choćby cień wątpliwości?

- A... - Zauważyłam, że spojrzenie Beverleya przemknęło ku Janowi z Gandawy.

- Tak więc twierdzisz, że pani Perrers nie miała wpływu na decyzje króla Edwarda. Twierdzisz też, że zawsze byłeś przy królu.

- Tak, milordzie.

- A jednak zdarzało się, że pani Perrers była z królem Edwardem sama? Ciebie wtedy tam nie było?

- Oczywiście, milordzie.

- A w takich chwilach, gdy pani Perrers była z królem sama, mogła wywierać na niego presję.

- Tak... mogła. - Beverley przełknął.

- W takim razie czy możesz z pełnym przekonaniem stwierdzić, że pani Perrers nie interweniowała w sprawie ułaskawienia Roberta Lyonsa?

Znów przełknął, tym razem głośniejszym, niewątpliwie pewnym głosem, że stoi nad przepaścią, nad czarną otchłanią, którą sam sobie wykopał. Bo jednak z tą przysięgą się pośpieszył...

- Nie, milordzie. Nie mogę.

- W takim razie nie możesz też świadczyć za panią Perrers?

- Nie mogę, panie. Nie byłoby to zgodne z moim sumieniem. - Wyraźnie poczuł ulgę, że ktoś za niego podjął decyzję.

- Dziękuję. Doceniamy twoją uczciwość. Możesz odejść.

Wtedy Jan z Gandawy, wyraźnie zadowolony z takiego obrotu spraw, spojrzał na mnie tak z wysoka, z chłodnym dystansem i mocą, i już wiedziałam, że będę osądzona bardzo surowo.

Lordowie zaczęli naradzać się półgłosem. John Beverley wyszedł, nie spojrzawszy nawet na mnie. Niewątpliwie bardzo mu zależało, by nikt nie podejrzewał, że między nim a mną była jakaś nić porozumienia. I nie winiłam go za to. Przecież nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Windsor, który na pewno oddałby za mnie życie!

Niestety Windsora przy mnie nie było, a jeszcze nigdy tak rozpaczliwie nie pragnęłam jego obecności jak teraz, kiedy sama jak palec stałam przed lordowskimi sługusami Jana z Gandawy. Od chwili, gdy Filipa wyciągnęła ku mnie królewską rękę, starałam się jak najlepiej i jak najzręczniejszym sposobem dostosować do życia na dworze królewskim, zapewnić sobie i swoim dzieciom dostatnią przyszłość. I byłam tak dumna z tego, co udało mi się osiągnąć. A teraz wszystko zostało obrócone wniwecz.

Byłam bezradna, bezsilna i przerażająco sama.

Ależ nie! Masz przecież Williama de Windsora!

Pomyślałam o nim w chwili największej rozpaczliwej bezradności, i w sercu zapaliła się iskierka nadziei. Że jakoś to będzie...

- Pani Perrers! - odezwał się hrabia Henry nieco głośniejszym głosem, by zwrócić na siebie moją uwagę.

Zerknęłam na Jana z Gandawy. Twarz wykuta z kamienia. Cóż... Wbiłam wzrok w hrabiego Henry'ego, który wstał z krzesła, wysunął się nieco do przodu i oznajmił:

- Pani Perrers, podjęliśmy już decyzję.

Już? Jak niewiele potrzeba czasu, by zniszczyć komuś to wszystko, co osiągnął w życiu!

- Uznajemy, że jesteś winna interwencji w sprawie ułaskawienia Roberta Lyonsa.

Winna!

- Izba Lordów uznaje cię za winną i tym samym uznaje zasadność wyroku Dobrego Parlamentu, który skazał cię na wygnanie. Wyrok ten zostaje utrzymany w mocy.

Wygnanie! Znowu wygnanie! To słowo omal nie rozsadziło mi czaszki.

Niestety hrabia Henry jeszcze nie skończył.

- Poza tym wszystkie twoje dobra i nieruchomości zostają ci odebrane jako nabyte niezgodnie z prawem, drogą oszustwa.

Pierwszy wyrok mnie poraził. Drugim byłam wstrząśnięta do głębi. Nie mając żadnych dowodów - żadnych! - po prostu uznano, że postępowalam niezgodnie z prawem. Nie zwracano sobie głowy wnikliwym zbadaniem sprawy, przeszukaniem dokumentów, przesłuchaniem królewskich urzędników. Po co? Jestem winna, należy mi wszystko odebrać i sprawa zakończona.

Ileż w nich było nienawiści...

Dziwne? Nie. Zawsze przecież spotykałam się właśnie z tym. Z nienawiścią.

- Czy rozumiałaś nasze decyzje, pani Perrers?

Przez chwilę milczałam. Stałam nieruchomo, czując na sobie spojrzenia czcigodnych lordów. Niewątpliwie potępiające, choć może niektórzy przede wszystkim ciekawi byli mojej reakcji. A Jan z Gandawy patrzył na mnie po prostu wzrokiem roziskrzonym, nie kryjąc triumfu i już niewątpliwie zasadzając się na moje dobra. Kiedyś sprzymierzeniec, teraz największy wróg. Niepojęte!

Ale pojęłam. I czułam do niego największą pogardę.

- Rozumiałam doskonale, milordowie. Czy mogę odejść?

- Tak. Już skończyliśmy.

Złożyłam ukłon, wyszłam z komnaty i tuż za progiem przystanąłam. Bo niby dokąd miałam pójść? Wyrok wydany. Nie pojmano mnie, ale skazano na wygnanie. Więc dokądże mam iść?

Spojrzałam bezradnie na Windsora, który czekał na mnie przy oknie. Musiałam się też zachwiać, bo w kilku susach był przy mnie i złapał za ramię.

I wybuchnął:

- Beverleya tchórz obleciał? Bo uciekał stąd, aż się za nim kurzyło! Dlatego nie zdażyłem przetrącić mu karku!

Milczałam, niezdolna choćby pomyśleć. Nie po tym, co uczyniono mi przed chwilą.

- Alice?

- Ja... - Potrząsnęłam bezradnie głową. Spojrzał mi w twarz i już wiedział.

- Nie mów nic. Idziemy stąd.

Wyprowadził mnie na dwór, na ziąb, z czego byłam rada. Dygotałam z zimna, ale porywisty wiatr chłodził rozpalone policzki i roztrzęsioną duszę. Na dziedzińcu zauważyłam służących Windsora i konie. Czyli liczył się z tym, że czcigodni lordowie nie będą dla mnie łaskawi. I zabierał mnie po prostu do siebie.

Boże, dzięki, że go mam... Był dla mnie taki dobry, taki kochany, tak dobrze było oprzeć się na nim, zawierzyć jego praktycznemu zmysłowi przyprawionemu cynizmem.

Uśmiechnął się i pocałował mnie w rękę, zauważając oczywiście, że palce mam skostniałe. Dlatego szybko zdjął rękawice, włożył mi je i otulił swoim wielkim płaszczem.

- Jesteś taki miły dla mnie, Will.

- Miły? Na Boga! - zwołał. - Przecież kocham cię, głuptasie! Wciąż mi nie wierzysz?! Niestety, to nie miejsce ani pora, żeby wbić ci tę prawdę do głowy. Jednak wbijać nie będę, tylko proszę, pogódź się z tym stanem rzeczy. Kocham cię i nigdy nie opuszczę. Chyba to czujesz?!

- Przycisnął moją dłoń do tego miejsca na piersi, gdzie bije serce.

- Słyszysz, prawda? Twoje serce i moje biją zgodnym rytmem, Alice... O, wreszcie masz szczyptę poezji! Na więcej mnie nie stać. A poza tym ruszamy w drogę. Już teraz, jak najszybciej, zanim te gady coś jeszcze tam wymyślą.

- Ale dokąd, Will? Gdzie teraz będzie nasz dom?

- Twój dom jest zawsze tam, gdzie jestem ja.

Trochę dziwna pora i miejsce na tak płomienne deklaracje, ale właśnie to było mi bardzo potrzebne. Windsor był tego świadomy, bo choć z pozoru szorstki i pochłonięty sprawami doczesnymi, w istocie był człowiekiem bardzo wrażliwym. Wiedział, że takie słowa pomogą mi zwalczyć ten okropny strach, który poczułam po ogłoszeniu wyroku. Obu wyroków! Nie oczekiwał też ode mnie żadnej odpowiedzi, a już tym bardziej relacji z wydarzeń. Widział przecież, że jestem półprzytomna.

Wsadził mnie na konia, wetknął wodze między zgrabiałe palce, po czym też wskoczył na siodło. Lecz byłam nieruchoma jak głaz. Wtedy odchrząknął trochę zniecierpliwiony, przechylił się w siodle, chwycił mego konia za uzdeczkę i pociągnął, żeby mój gniadosz też ruszył się z miejsca.

Wtedy oprzytomniałam. Chwyciłam mocniej wodze, poprawiłam się w siodle i popędziłam konia, by zrównał się z Windsorem.

- Will, jak myślisz, czy i tym razem to wygnanie nie będzie na zawsze?

- Nie wiem... A więc jednak znowu cię wygnali? Dlatego zaniemówiłaś?

Głupi dowcip, ale uśmiechnęłam się.

- Zaniemówiłam, Will, również z wrażenia, kiedy zobaczyłam wśród lordów jego, właśnie jego.

- Czyli kogo?

- Jana z Gandawy. Był tam i to on mnie osądził, rzecz oczywista. - Miał przecież jasny cel. Zmyć z siebie najmniejszy ślad, że kiedyś był moim sprzymierzeńcem.

Windsor sposepniał. Pokiwał głową i popędził konia, żeby przeszedł w krótki galop. Też popędziłam swego gniadosza, tak samo podążająca za nami świta.

- Dokąd jedziemy, Will?

- Do Gaines. Nie masz nic przeciwko temu?

Oczywiście, że możemy jechać do Gaines. Dokądkolwiek, przecież nie ma miejsca na ziemi, gdzie mogłabym czuć się bezpieczna. A poza tym Gaines...

- Do Gaines? Ależ tak. Bardzo dobrze, przecież to nasza wspólna posiadłość, także na twoje nazwisko. - W oczach Willa naturalnie pojawiło się pytanie, więc wyjaśniłam: - Will! Oni zabiorą mi wszystko! Wszystko!

Czym Windsor wcale nie był zaskoczony.

- Można się było tego spodziewać - odparł spokojnie. - W każdym razie ja się spodziewałem. - Umilkł na chwilę. - Alice, w takim razie może pojedziemy do któregoś z moich dworów? Zamieszkaż tam razem z dziewczynkami...

Mówił, a koło mego serca robiło się coraz cieplej. Bo jakież on kochany, ten Windsor. Zawsze się mną opiekuje, choćby nie wiadomo co się działo...

- Wolałabym do Gaines, dobrze? Aha, i jeszcze coś, Will... - Obejrzał się, a ja spojrzałam na jego jasną, otwartą twarz, twarz człowieka męznego, gotowego zmierzyć się z każdym niebezpieczeństwem. - Powiedziałeś, że mnie kochasz, prawda? Chciałabym, żebyś wiedział, że ja też. Ja też cię kocham!

- Wiem, wiem... A teraz trzymaj się mocno, kobieto, bo pojedziemy żwawiej.

- To dobry pomysł, Will. Nasi czcigodni lordowie... - Nie dokończyłam, bo wiadomo, w czym rzecz.

Jednak Will uznał, że trzeba powiedzieć to do końca:

- No właśnie, Alice. Im szybciej wyjedziemy z Londynu, tym lepiej, bo nie wiadomo, czy czcigodni lordowie czegoś tam jeszcze nie wymyślą...

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wymyślili, owszem. Z rym że nie chodziło już o mnie, lecz o Windsora. Okazało się, że pomysłowość czcigodnych lordów nie zna granic, i wymyślili nowe oskarżenie, już po

prostu nadzwyczaj nikczemne, a ponadto takie, żeby Windsor nie miał nic na swoją obronę. Mianowicie oskarżyli go, że udziela schronienia kobiecie skazanej na banicję!

Kipiałam ze złości. I bardzo dobrze, bo im większa złość, tym strach mniejszy.

- Jako oni śmia! To niepojęte! Obwiniają ciebie, bo ja jestem winna! Jak śmia!

- Bo to ludzie pozbawieni skrupułów, a przy tym pionki, nie zaś prawdziwi lordowie, bo postępują wedle rozkazu Jana z Gandawy i księżnej Joanny. A cel jest taki: ograbić cię ze wszystkiego i okryć niesławą, co już zrobili, i jak najbardziej utrudnić ci życie, co czynią nadal.

W przeciwieństwie do mnie przyjął to ze stoickim spokojem, a osobie urzędowej, która przyniosła wezwanie z Izby Lordów, rzucił prosto w twarz, że owszem, jeśli o to chodzi, to jest winien, oczywiście. I żeby nie było żadnych wątpliwości, objął mnie ramieniem, bo stałam wtedy u jego boku.

- Niczemu nie mogę zaprzeczyć - powiedział, wręczając umyślnemu kubek z piwem, by ugasił pragnienie przed drogą powrotną do

Londynu. - Każdy, kogo interesują nasze skromne osoby, wie, że mieszkamy pod jednym dachem i dzielimy łożę. Nasze małżeństwo nie jest tajemnicą, prawda, lady de Windsor? - Złożył przede mną wdzięczny ukłon, po czym uśmiechnął się miło do osoby urzędowej.

Bardzo zaskoczony osoby urzędowej, bo nieczęsto się zdarza, że oskarżony tak skwapliwie przyznaje się do winy, prawda?

Ja natomiast pomstowałam i pomstowałam.

A Windsor posłusznie udał się do Londynu, by stawić czoło oskarżycielom.

- Jeśli w ciągu miesiąca nie wrócę, znaczyć to będzie, że siedzę w Tower i masz mi przysłać jedło i wino - rzucił na pożegnanie, po czym pocałował, ale jakoś tak obojętnie, myślami błędząc już gdzie indziej. - Nie zamartwiaj się, Alice. Będzie dobrze. Pamiętaj tylko, że jak wygnanie, to wygnanie. Nie wolno ci się ruszać z Gaines na krok, bo ani się obejrzysz, a Joanna i Jan z Gandawy rękami czcigodnych lordów przyodzieją cię w białe giezło, włożą krucyfiks do ręki i zatrzaskną za tobą klasztorną furtę. A tego nie chcemy, prawda? A są zdolni do wszystkiego! Poza tym... - Nie byłby sobą, gdyby na koniec nie rzucił jakiego żartu. - Poza tym musisz być cała i zdrowa, bo nie znam się na wychowywaniu dziewczynek. Dlatego powtarzam. Nie ruszasz się stąd na krok i czekasz na mnie.

Nie zamartwiaj się... Dobre sobie! Wiadomo, że się zamartwiałam, kiedy bezradna i bezsilna siedziałam w Gaines. W niczym przecież nie mogłam pomóc, przyszło mi tylko czekać i zabijać czas starym sposobem, to znaczy bezlitośnie ganiając wszystkich do roboty. Ale cóż, wszystkie stare lęki znów odżyły. A im większy lęk, tym większe poczucie samotności. Dni mijały, a każdy kolejny był jeszcze bardziej ponury i przygnębiający. Samotna, odarta ze wszystkiego. Tak, to uczucie było coraz bardziej bolesne. Wszystko, do czego dążyłam i co osiągnęłam, obrócone wniwecz. Tak bardzo chciałam wspiąć się, nie być popychadłem przez całe życie. I wspięłam się ku życiu, które dało mi tyle radości i satysfakcji. Niestety, to już należy do przeszłości. Podobnie niezależność, którą tak bardzo sobie cenię. Też już tylko przeszłość. Obecnie każdy kawałek chleba, który wkładałam do ust, każdy skrawek materiału, którym okrywam ciało, to tylko i wyłącznie wyraz dobrej woli Windsora. Windsora, który, jakby tego wszystkiego było mało, walczy w Lon-



dynie z czcigodnymi lordami, sługusami Jana z Gandawy i tłustej Joanny o spróchniałych zębach. Walczy o swoją wolność.

Panno Przenajświętsza! A jeśli wtrąca go do lochów? Jak wtedy dalej żyć?

A co najważniejsze, jak przekonam serce, że musi pogodzić się z tą stratą? Przecież serce nie posłucha...

Dlaczego tak jest, że w chwilach tak ciężkich zamiast karmić się nadzieją, człowiekowi przychodzą do głowy tylko myśli najczarniejsze? I najbardziej nikczemne... Kiedyś byłam pewna, że Windsor zawsze będzie stał po mojej stronie, dzięki czemu nigdy już nie będę sama. Lecz oto pojawiły się okropne wątpliwości. Bo może się myliłam? Może Windsor ugnie się przed parlamentem i zdradzi mnie, wyda na łaskę i niełaskę Joanny oraz Jana z Gandawy. A jeśli taka będzie cena za wolność, złoży przysięgę, że nigdy więcej już mnie nie zobaczy. Było przecież oczywiste, że Windsor potrafi zadbać o własne dobro.

Dni mijały, dni szare, pełne rozpacz i wątpliwości. A kiedy minął czwarty tydzień, Windsor wrócił. Bogu niech będą dzięki!

Oczywiście wcale nie czekałam, aż przyjdzie do mnie, tylko tak jak stałam, na bosaka, bez welonu wybiegłam z domu i dopadłam do niego, gdy wciąż jeszcze był w siodle. Dopadłam, chwyciłam konia za uzdeczkę i spojrzałam mężowi w twarz, wcale nie kryjąc, jak bardzo jestem zaniepokojona, a ten stan trwał od chwili jego wyjazdu.

Koń po tym moim gwałtownym pojawieniu się zaczął rzucać łbem, a kamyki mocno kłuły w bosc stopy, ale stałam twardo, wlepiając w Windsora oczy.

- I co powiedzieli? Co?

- Witaj, milady! - zawołał z wysokiego siodła. Koń parsknął i przemieścił zad w bok.

- Will, nie igraj ze mną. Mów!

- O niczym innym nie marzę. Pozwól mi tylko wrócić na ziemię. Odstąpiłam, a Windsor zeskoczył z siodła, wzbijając tuman kurzu i chłoscząc mnie brzegiem tuniki oraz fałdami swego płaszcza.

- Zsiadłeś, więc mów! Will, nie każ mi dłużej czekać! - ryknęłam ogarnięta panicznym strachem.

- Już mówię. Wycofali oskarżenie.

- Nie wierzę! - Wycofali? Tak po prostu?!

- A dlaczego mieliby tego nie zrobić? Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła.

- Mówiłeś, oczywiście, że mówiłeś... - Zrobiłam odpowiednią minę, bo zawsze był tak pewny siebie! A ja nigdy... - Bardzo się cieszę, Will, ale naprawdę trudno mi w to uwierzyć.

- To uwierz. Aha, to nie wszystko.

- Tak...? - Westchnęłam ciężko. Coś jeszcze? Na pewno nic dobrego. I znów poczułam, jak w środku z tego strachu ściska mnie i skręca, a cała krew spływa do stóp. - Mów, Will. Czego zażądali w zamian?

- Członkowie parlamentu w swej wielkiej mądrości postanowili nieco inaczej spojrzeć na twoje wygnanie...

- Inaczej?

- Tak. Jesteś wolna, a konkretnie od wczoraj, więc zostałam oczyszczony z zarzutów, bo nie przechowuję pod swoim dachem banitki.

Dziwne, że tak dobre wieści przekazywał z kamienną twarzą i bardzo oszczędnie, poza tym wcale mnie nie dotknął. A z tej wielkiej radości powinien przynajmniej ucałować mnie w policzki, prawda?

- Will, a jednak czuję, że nie wszystko poszło jak po maśle. O co chodzi?

- Jak się tego domyśliłaś?

- Żaden wyczyn. Wystarczy mi twoja mina.

- Czyżby? Podobno twarz mam zawsze kamienną. Oczywiście, jak zwykle trzymały się go głupie żarty. Mnie nie, więc pociągnęłam go mocno za rękaw i znów się rozdarłam:

- Mów! Wiadomo przecież, że nic z nieba nie spadnie i za wszystko trzeba zapłacić jakąś cenę, tym bardziej, że Nadobna Joanna na pewno nie była skora uwolnić mnie z wygnania.

- Powiem ci, moja miła. Powiem wszystko, jeśli nalejesz mi piwa, żebym mógł przepłukać usta i zmyć wspomnienie tych całych pertraktacji na królewskim dworze. - Rzucił wodze chłopcu stajennemu i objął mnie wpół, jak zawsze, kiedy witaliśmy się po kolejnej rozłace. - Napiję się, a potem powiem ci wszystko. Ależ czas mi się dłużył! Jak dobrze być znowu w domu.

Trzeba przyznać, że wystawił moją cierpliwość na ciężką próbę, bo nie chodziło tylko o piwo. Najpierw musiał pochłonąć kilka płatów pieczonej wołowiny i kilka kromek chleba. Pochłaniał, a ja siedziałam

przed nim, śledząc oczami każdy jego ruchu, i czekałam, a gdy Windsor wypił do dna, spytałam:

- Chcesz jeszcze piwa?

- Bardzo proszę.

Chwyciłam dzbanek i znów spytałam:

- A może masz jeszcze ochotę na kawałek sera? Albo na baraninę?

- Och, dam się namówić...

- Ach tak? Oczywiście dostaniesz wszystko, czego chcesz, by napełnić swój brzuch! Ale przedtem rozbiję ci ten dzbanek na głowie!

- Dobrze, dobrze. - Roześmiał się, ale zaraz spoważniał. - Nie będę już taki okrutny i powiem, za jaką cenę uwolnili cię z wygnania.

Chwała Bogu! Wreszcie się dowiem, co wymyśliła ta podła kobieta, ta dysząca żądzą zemsty tłusta i szczerbata Joanna pospołu ze zdrajcą Janem z Gandawy.

Dłonie Windsora, wreszcie wolne od noża i chleba, zamknęły się na moich dłoniach.

- Jak powiedziałem, jesteś wolna, Alice. Koniec z wygnaniem. Ale jeśli chodzi o dwory, to nie licz na cud. Na pewno ci ich nie zwrócą. Poza tym jeśli chodzi o ten koniec z wygnaniem, to jednak jest pewien szkopuł... - W oczach Windsora zaiskrzyło. - Jesteś wolna, ale tylko dopóty, dopóki jesteś moją żoną. Dopóki starczy mi chęci mieć cię przy sobie i pilnować, byś zachowywała się przyzwoicie.

- Co?! Czyli tak naprawdę jestem w niewoli!

- Moja kochana Alice, wiedziałem, po prostu wiedziałem, że tak to odczujesz.

- Mam być zawsze pod twoją kuratelą! Będziesz mną rządził! Podał mi kubek, a ja od razu wypiałam do dna, całkiem nie dbając o wytworność.

- Po prostu będziemy żyć jak mąż z żoną, Alice. I radzę ci się do tego przyłożyć, bo parlament w swojej wielkiej mądrości zdecydował również, że kara wygnania nadal będzie wisieć nad twą głową, dzięki czemu zawsze będziesz postępować przyzwoicie.

- Czyli tak naprawdę wcale mnie nie ułaskawiono?

- Owszem, ułaskawiono, ale nie do końca. Będziesz musiała bardzo się starać, żebym cię nie odtrącił!

- Ale jak? Przecież musimy czasami się pokłócić! Bardzo tego potrzebujemy.

- Poradzimy sobie. Alice... - Przykrył dłońmi moje bardzo niespokojne palce. - Nie ufasz mi? Po tym wszystkim, co wspólnie przeżyliśmy? Byłem pewien, że jest dobrze ci z tym, że jesteśmy razem!

- Ależ naturalnie, Will. Tylko że... - I niestety to, co powinnam zachować tylko dla siebie, mimo woli uleciało z moich ust: - Bo widzisz, kiedy tak długo nie wracałeś, bałam się, że mnie zdradziłeś, przysięgłeś lordom, że nigdy więcej już się ze mną nie spotkasz. I zostanę sama...

- Ależ z ciebie głuptas!

Nie, wcale się nie obraziłam, że wykazałam się takim brakiem zaufania. Wiedział przecież, skąd to się bierze. Znał moje lęki, moją trudną przeszłość.

- Odejdę od ciebie, Alice, tylko wtedy, jeśli okażesz się jędzą i będziesz klóciła się o wszystko! - Jak zwykle starał się wszystko obrócić w żart.

Westchnęłam i poruszyłam rękoma tak, by moje palce objęły jego dłonie, po czym sama wystąpiłam z żartem.

- Marny mój los, bo z woli czcigodnych lordów muszę być przykładną żoną. Jak ja to zniosę? Ale cóż, najlepiej zacząć już teraz. - Sięgnęłam po dzbanek, a kiedy nalewałam piwa do kubka Willa, nagle coś zaświtało mi w głowie. - Will, ale dlaczego oni to zrobili? Wycofali oskarżenie przeciwko tobie, ułaskawili mnie... Z dobrego serca? Z poczucia sprawiedliwości? Nie żartujmy! To dla nich obce pojęcia. Muszą mieć w tym jakiś cel!

- I mają, a zgadnąć go łatwo. Sytuacja we Francji bardzo się pogorszyła, potrzebują więc ludzi sprawnych w działaniu i bardzo doświadczonych, a takich jak na lekarstwo...

- Och nie!

Na szczęście pusty już dzbanek z hukiem wylądował u moich stóp. Przecież od razu pojęłam, co się za tym kryje! Dlatego poczułam na plecach lodowaty dreszcz, dlatego zabrakło mi tchu. Bo stało się! Nie potrzebnie się oszukiwałam, niepotrzebnie łudziłam, że skoro jesteśmy z daleka od królewskiego dworu, to Windsor będzie mój, zawsze przy mnie. Niestety, ta nagła zmiana w postawie czcigodnych lordów mówiła sama za siebie. Sytuacja we Francji stała się bardzo trudna, więc

tacy ludzie jak Windsor, a naprawdę Anglia ma ich niewielu, są bardzo potrzebni. Ludzie o wielu przymiotach, umiejętnościach i doświadczeniu, i aż rwących się do działania, bo bardzo ambitnych. Jak Windsor...

Odejdzie ode mnie. Owszem, kocha mnie, ale odejdzie. Stanie się to, czego zawsze tak bardzo się bałam...

Serce tłukło się w mej piersi jak szalone.

- Will, oni potrzebują... ciebie...

- Tak, i nawet już wiedzą, co bym tam robił. Dlatego starali się być dla mnie... mili. A poza tym, Alice, chcieli uładzić te sprawy z tobą i mną jak najszybciej, bo naprawdę mają mnóstwo innych problemów, tym bardziej że król Anglii jest dzieckiem.

- Czyli rozmawiałeś już o tym, co byś robił we Francji? -Tak.

- Czy Joanna była obecna podczas tych rozmów?

- Niestety tak. - Windsor skrzywił się. - Na szczęście tylko raz i trwało to bardzo krótko. Joanna przyjęła taką politykę, że w obecności doradców małoletniego króla stara się mówić jak najmniej, robi to tylko wtedy, gdy uzna za konieczne. I nie, nie przeklinała ciebie, chociaż jestem pewien, że to łóżko, które dostał Ryszard, kazała spalić. W każdym razie nie sprzeciwiała się zamysłom względem mojej osoby, przedkładając dobro królestwa nad animozje wobec pewnych osób. - Windsor ziewnął. Niepojęte! Ziewa, kiedy mówimy o tak ważnych rzeczach, które budzą we mnie ogromny lęk! Ziewnął jeszcze raz i przesunął ręce po stole, by znów wziąć moje dłonie. - Alice, uwierz, nie ma sensu czymkolwiek się zamartwiać. Lepiej pomyśl o tym, że masz być przykładną żoną, bo inaczej wystawię cię za drzwi! Pomóż mi ściągnąć buty...

Doskonale wiedział, co dzieje się w mojej duszy. Jak zawsze. I jak zawsze dobrze było posłuchać jego rady. Na smutki przyjdzie czas. Teraz najważniejsze są buty! Roześmiałam się już prawie pogodzona z losem i przykucnęłam koło nóg pana męża.

Och, jak dobrze, że wrócił! Jak dobrze, że znów mam go przy sobie!

Minął tydzień, mijał drugi, a z dworu królewskiego nie nadchodziły żadne wieści. Może Windsor zrozumiał coś źle? Może wcale nie wrócił do łask? Nie wiadomo, ale mój mąż zdawał się tym nie przejmować.

Gładko wszedł z powrotem w rolę pana tej ziemi i zajął się sprawami bieżącymi, dzięki czemu zatlila się we mnie skierka nadziei i ten ciągły lęk, który starałam się ukryć przed nim, powoli zaczął mnie opuszczać. Co nie umknęło uwadze Windsora.

- Wyglądasz na bardzo zadowoloną, Alice - powiedział, kiedy po pracowitym dniu wybraliśmy się na konną przejażdżkę. - Jak na ciebie wyjątkowo zadowoloną. Możesz zdradzić, jaka jest tego przyczyna?

- Ach! Właściwie żadna. - Przecież nie miałam zamiaru zdradzać się z moją słabością, prawda?

- Alice, oni na pewno wezwą mnie do siebie. To nieuniknione. Znowu czytał w moich myślach jak w otwartej księdze! Zawsze tak

było, choć zdecydowanie bym wolała, żeby nie znał mnie lepiej niż ja sama. Miałam też nadzieję, że jednak nie miał racji. Nie wezwą go, nigdzie nie pojedzie.

Niestety rację miał, zresztą jak zawsze, bo w sprawach politycznych miał nosa, i kiedy księżycyca znowu zaczęło przybywać, okazało się, że Windsor może zostać namiestnikiem niedawno zdobytego Cherbourga. To właśnie mu zaproponowano, a on był zachwycony. Oczy mu się śmiały do nowej przygody, a ja wiedziałam już, że na pewno lordom nie odmówi. I nie powinien, był przecież politykiem z krwi i kości, do tego bardzo utalentowanym, biegłym na wielu polach i doświadczonym.

Dla mnie, niestety, oznaczało to samotność. Już czaiła się, już się wpychała ta wstrętna samotność, kiedy Windsor będzie tak daleko ode mnie...

Precz! Odejdź, nie strasz! Rozjuszona na niby kopnęłam wyimaginowaną i okraszoną szyderczym uśmiechem twarz tej samotności. Nie, wcale to nie wlało w mą duszę spokoju, byłam jednak w stanie powiedzieć:

- Pojedziesz tam. - Nie pytałam, tylko stwierdziłam fakt, a choć wszystko we mnie krzyczało rozpaczliwie, że nie, ma tam nie jechać, wykrzesalam z siebie uśmiech.

- Chyba pojedę... - odparł Windsor, unosząc głowę znad pergaminu uginającego się pod ciężarem czerwonych pieczęci. - Ale tak tanio mnie nie dostaną. Będą musieli zapłacić za moją lojalność.

- Czym, Will? Czym?

- A co, ciekawa?

- Oczywiście! No mów!

- Nie teraz, dopiero wtedy, kiedy już to zdobędę.

Nie po raz pierwszy byłam poruszona jego niezachwianą pewnością siebie, zakrawającą wręcz na poczucie wyższości.

- Jesteś pewien, Will, że uda ci się znaleźć przynętę, na którą złowisz parlament?

- Jestem pewien. Bo niewielu jest ludzi, którzy mają takie doświadczenie jak ja w zarządzaniu trudną prowincją i wyciskaniu pieniędzy z opornej ludności. Niewielu, a w Anglii może nawet poza mną nikt nie potrafi robić tego tak skutecznie, po prostu perfekcyjnie - zakończył z właściwą sobie skromnością.

Kilka następnych dni spędził w paradnej izbie z prawnikiem i skrybą. Skryli się za szczelnie zamkniętymi drzwiami, zamkniętymi naturalnie przede mną. Wychodzili stamtąd tylko po to, by coś przełknąć albo przespać się parę godzin. A roboty musiało być huk, o czym świadczyła liczba zniszczonych piór.

A potem bez słowa wyjaśnienia zabrał mnie do Londynu.

- Will, naprawdę nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Nie, bo nie będę wywoływał wilka z lasu. Najpierw muszę przekonać lordów. - Był ponury i zamyślony, być może więc wcale nie miał aż tak wielkiej pewności, że wszystko pójdzie po jego myśli, choć usilnie się starał, bym ja tę pewność miała. I nagle się uśmiechnął. - Moje argumenty są nie do zbicia, Alice. Nie ma powodu do niepokoju.

Westminster. Natychmiast ożyły wspomnienia tak bardzo niemiłe, że aż dostałam gęziej skórki, co u mnie nie było takie częste. Ale ten strach zagnieździł się we mnie na dobre. Powodu przecież nie ma, a on i tak się obudził, dręczył, odbierał spokój i radosny śmiech. Ale cóż, właśnie wspominałam, jak to stawiałam się przed lordami, a Windsorowi nie pozwolono wejść. Czy teraz z kolei ja będę czekać w przedpokoju razem z paziemi i służącymi, podczas gdy mój mąż przedstawi lordom propozycję, której nie odrzucą? Oczywiście bardzo bym chciała, by propozycji nie odrzucili, a zarazem ogromnie mi się nie podobało, że w całym tym wydarzeniu nie będę brała czynnego udziału. Ot, taka korytarzowa statystka.

Nie bardzo też rozumiałam, dlaczego Windsor nalegał, żebym mu towarzyszyła.

- Po co ja tu jestem, Will? - spytałam, kiedy staliśmy w tym samym feralnym przedpokoju, który był świadkiem, jak mój umysł na samą myśl o wygnaniu lodowaciał.

Windsor mym pytaniem był wyraźnie zaskoczony.

- Boisz się? Alice, miła moja! Przecież nie zabierałbym cię tutaj, do tego miejsca, gdybym nie miał pewności, że nic ci nie grozi. - A potem nagle spowaźniał i pocałował mnie w rękę tak jakoś bardzo oficjalnie. - Jesteś tutaj jako lady de Windsor, jako moja wspaniała żona, która pozostaje pod moją opieką, więc prawo nie może cię skrzywdzić.

- Ale nie o to chodzi, Will. Powiedz mi wreszcie, do czego ci jestem tu potrzebna.

- Bo jesteś dla mnie czymś najistotniejszym. Czy mogłabyś przez najbliższą godzinę udawać słodką niewinność, przy tym wielce oburzoną słodką niewinność? - Ja, jak się można domyślić, nie powiedziałam ani słowa, tylko wlepiłam w niego oczy. - Czyli nie... Trudno. W takim razie, Alice, masz się nie odzywać, póki się ciebie o to nie poprosi. Głowę masz mieć spuszczoną jak prawdziwa żona. I robić to, co ci powiem. A tutaj... - Poszperał w skórzanej torbie przytroczonej do pasa i wyjął z niej coś niewielkiego i błyszczącego. Był to złoty pierścionek, który wsunął mi na palec. Pierścionek okazał się za mały, a może palec za duży, w każdym razie Windsor musiał się trochę natrudzić. - Postaraj się, żeby wszyscy go zauważyli.

O nic więcej nie zdążyłam zapytać, ponieważ Windsor, nie zwracając uwagi na moje gniewne pomruki, wprowadził mnie do komnaty. Usiadłam i starałam się udawać tę oburzoną niewinność, jednocześnie, niby tak mimo woli, obracając na palcu złoty pierścionek z rubinem. Łatwo się nie obracał, a ja w tym czasie po raz kolejny zadawałam sobie pytanie, po co ja tu jestem? Na litość boską, po co?

Jana z Gandawy na szczęście nie było widać, nie sądziłam jednak, żeby dla Windsora fakt, czy Jan się tu zjawi, czy też nie, był istotny.

Windsor złożył ukłon najpierw mnie, a potem czcigodnemu zgromadzeniu.

- To dla mnie wielki zaszczyt, milordowie, że zamierzacie miniować mnie namiestnikiem Cherbourga.



- Bardzo cenimy sobie twoje doświadczenie, sir Williamie - odparł hrabia Henry, ku mej wielkiej radości trochę speszony, choć starał się to ukryć. Czyżby peszył go mój widok, osoby w skandalicznym pośpiechu skazanej przez hrabiego i innych lordów?

Windsor ponownie złożył ukłon.

- Jestem bardzo wdzięczny za okazane mi zaufanie, jednak zaszczyt ten mogę przyjąć dopiero po usunięciu pewnej drobnej przeszkody, w czym, milordowie, moglibyście być bardzo pomocni.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Chodzi o moją żonę, milordowie.

Byłam pewna, że w tym momencie czcigodni lordowie wstrzymali oddech, podobnie jak ja.

- O żonę? - powtórzył hrabia Henry, który zdradzał objawy coraz większego zdenerwowania.

Nie uśmiechnęłam się, co było oczywiste, tylko skromnie spuściłam głowę.

- Proszę, milordowie, o uchylenie wszystkich wyroków, które zostały wydane w jej sprawie. - Głos Windsora był zdecydowany i donośny, wypełniał całą komnatę. A powietrze w tej komnacie stało się, zdawać by się mogło, gęste jak dym.

Co ty robisz, mój mężu? - pytałam w duchu. Oni nigdy nie spełnią twojej prośby!

- Zgodnie z prawem każdy, i mężczyzna, i kobieta, w tak poważnych sprawach jak oszustwo i zdrada sądzony jest przez Sąd Ławy Królewskiej. A moja żona wezwana została przed wasze czcigodne oblicza i osądzona przez was... - Spojrzenie Windsora powoli przesunęło się po twarzach zgromadzonych lordów, którzy swymi minami wyraźnie zdradzali, jak bardzo są zaskoczeni. - Moja żona nie była sądzona przez Sąd Ławy Królewskiej, do czego miała pełne prawo, dlatego wyrok o wygnaniu z królestwa i odebraniu jej dóbr uważam za niezgodny z prawem.

- Ale... ale to były czasy bardzo niepewne - wyjąkał hrabia Henry. W tym momencie Windsor przystąpił do prawdziwego ataku:

- Niemniej i w takich czasach należy postępować zgodnie z literą prawa, o czym obaj dobrze wiemy, i ty, milordzie, i ja. Ponadto mojej żonie nie pozwolono, by była obecna podczas całej debaty o jej domnie-

manej winie. Nakazano jej na ten czas opuścić komnatę, co również jest niezgodne z prawem. Czy mam kontynuować? Ponieważ, milordowie, jeszcze w dwóch przypadkach doszło do rozbieżności w waszym postępowaniu a literą prawa.

- A... Przyznam się, że nie jestem tego świadomy...

- Mojej żonie, milordowie, nie dano wystarczająco dużo czasu na odszukanie świadków i przygotowanie się do procesu...

- Ależ sir Williamie...

Po prostu ich skręcało, a ja byłam w siódmym niebie.

- Jedno popołudnie i jedna noc! Wiem o tym, ponieważ towarzyszyłem żonie i pomagałem jej znaleźć w tak krótkim czasie kogoś, kto będzie za nią świadczył. Przypominam, w czasie wyjątkowo krótkim, co jest niezgodne z prawem.

Windsor zrobił efektowną pauzę, podczas której hrabia Henry również milczał, przyglądając się bacznie sękom w deskach podłogi. A po tej pauzie mój mąż powiedział:

- A na koniec, milordowie, chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że moja żona sądzona była jako *femme sole*, kobieta samotna, i pod nazwiskiem, którego już nie nosi.

Jakże był stanowczy wobec tego zgromadzenia! Choć nie mówił głośno, to można by sądzić, że jego głos odbija się potężnym echem od kamiennych łuków. Jednak w moich uszach był tłumiony przez inny dźwięk, a mianowicie przez bicie serca. Przecież waliło jak młot!

- A tak nie powinno być, milordowie, czego na pewno byliście świadomi, lecz mimo to zdecydowaliście się na ten krok, wiedząc doskonale, że Alice de Windsor nie jest kobietą samotną, zdaną tylko na siebie. Jest moją żoną, a skoro nią jest, to jej dobra są moją własnością. Nieważne więc, jakie zarzuty jej przedstawiono, parlament nie miał prawa odbierać jej dóbr ziemskich i nieruchomości, ponieważ, powtarzam, nie są jej własnością. Należą do mnie i żądam, by zostały mi zwrócone, i to natychmiast. Domagam się też oczyszczenia lady de Windsor z zarzutów, które nigdy nie powinny być jej postawione.

Mój Boże, przecież to był prawdziwy majstersztyk! Choć wcale to jeszcze nie oznaczało, że lordowie ugną się przed erudycją Windsoru, czego on też nie był pewien, bo widziałam, jak jego palce zaciskają się nieznacznie na trzymanym w ręku kapeluszu.

- Jeśli weźmiecie pod rozwagę moje argumenty i uznacie prawa mojej żony, milordowie, wówczas ja rozważę objęcie proponowanego przez was urzędu. W przeciwnym wypadku... - Nastąpiła cisza, której Windsor, rzecz jasna, nie zamierzał przerywać. Cisza, która stawała się po prostu groźna.

Poproszono nas, żebyśmy poczekali w przedpokoju. Więc czekaliśmy, ja bardzo niespokojna i wystraszona, natomiast Windsor wręcz przeciwnie. Rozsiadł się wygodnie, oparł plecami o ścianę, skrzyżował nogi i zapatrzył się w dal, stanowiąc uosobienie spokoju.

Kiedy wezwano nas do środka, ujął moją rękę, uściśnął krzepiąco i wprowadził mnie do komnaty.

Nie usiedliśmy, ani on, ani ja. Staliśmy, kiedy przekazywano nam decyzję podjętą przez czcigodnych lordów w czasie, jaki złocisty pasek promieni słonecznych na posadzce potrzebował na przesunięcie się o szerokość paznokcia. Szlachetni lordowie, wszyscy podszyci tchórzem, niemniej z wielką godnością uznali, że decyzję w sprawie naruszenia przez nich prawniczych subtelności podejmą po kolejnych obradach parlamentu.

Wtedy ręce mi opadły, a strach ożył.

Przegrałeś, Will! - krzyczało mi w głowie. Niemożliwe, by uznali mnie za niewinną. Podziwiam cię za to, co dla mnie zrobiłeś. Podziwiam i kocham jeszcze bardziej, ale nie powinieneś być tego robić. Och, Will, jestem pewna, że namiestnikiem nie zostaniesz!

Ja wietrzyłam przegraną, natomiast Windsor po prostu był konsekwentny.

- Mam nadzieję, że uznajecie, milordowie, zasadność moich argumentów.

- Uważamy, że nowy parlament rozważy je, uznając ich siłę - zapewnił hrabia Henry.

- Wspaniale. Wówczas ja rozważę waszą propozycję objęcia urzędu namiestnika Cherbourga.

- Mamy nadzieję, że nie tylko ją rozważysz, sir Williamie.

- To zależy od okoliczności, hrabio Henry. Rozumieli się doskonale.

I na tym audiencja się zakończyła.

Windsor absolutnie był zdania, że moje wątpliwości są nieuzasadnione.

- Dopnę swego. Będziesz ułaskawiona.
- Nie wierzę. Zobacysz, że będę banitką do grobowej deski!
- Nie będziesz.
- A moje dwory są bezpowrotnie stracone. I jakby tego było mało, większość z nich przejdzie w ręce tego nikczemnego Jana z Gandawy.
- Nie. Bo nie minie miesiąc, a będę już namiestnikiem Cherbourga. Alice, proszę, czy choć raz możesz przyznać, że nie masz racji?
- Ach, daj spokój... - mruknęłam, na próżno starając się zdjąć z palca pierścionek z rubinem. - Na pewno chcesz go z powrotem... Ale nie mogę go zdjąć... Będziesz musiał machnąć mieczem i odciąć mi palec!
- Windsor z uśmiechem patrzył na moje zmagania, po czym powiedział:
  - Nie męcz się już tak, Alice. - Wziął mnie za rękę i pocałował zmal-tretowany palec. - Nie ma potrzeby. Pierścionek jest twój. Należy ci się, bo rolę przykładowej żony odegrałaś znakomicie. A ten pierścionek powinienem był dać ci już przed laty. Nie jest to klejnot cenny, ale należał do mojej matki. Nie sądzę, by była tobą zachwycona, niemniej jednak...
  - Aha, rozumiem! Bo nie jestem odpowiednią żoną dla ciebie?
- rzuciłam gniewnie, chociażby po to, by nie zorientował się, jak bardzo się cieszę z tego pierścionka. Małego, zwyczajnego, a dla mnie niezwykle cennego.
- Dla niej byłabyś, wybaczone, wyrachowaną ładacznicą... - W moich oczach oczywiście błysnęło, dlatego Windsor szybko dodał: - Po prostu taka była, Alice. Na mnie, swoim synu, nigdy nie zostawiła ani jednej suchej nitki!
- A ja tylko syknęłam. Czy ten cały Windsor w moim towarzystwie kiedykolwiek będzie poważny?
- Ten cały Windsor, widząc, że jestem zła, zaczął mnie całować. Całował i całował, póki nie zażądałam, by przestał, i spytałam:
  - Will, naprawdę gotów jesteś zrezygnować z urzędu, jeśli parlament nie uzna twoich argumentów? Przecież nie wiadomo, co Jan z Gandawy jeszcze wymyśli!
  - Zobaczymy, jak to będzie, Alice. Zobaczymy...

## EPILOG

Windsor wyjechał do Cherbourga. Windsor, potężny namiestnik w każdym calu, okryty lśniąca zbroją, koń również lśniący. Nowa tunika i buty także świadczyły o wysokiej

pozycji Windsora. Port i warowne miasto Cherbourg Anglicy przejęli od króla Nawarry Karola na wspaniałych warunkach i wszystko wskazywało, że będzie to prestiżowe i przysparzające bogactwa miejsce dla urzędników. Kiedy stałam i patrzyłam za odjeżdżającym orszakiem, na te wozy i muły, cieszyłam się, że Windsor po długim oczekiwaniu znów będzie mógł spożytkować swoje talenty, umiejętności i energię. Jako namiestnik ma utrwać na tamtym terenie hegemonię Anglików i pobierać opłaty od kupców. Wyjeżdżał pełen zapału. Po powrocie z Irlandii brakowało mu takich wyzwania, a Windsor, podobnie jak ja, absolutnie nie był stworzony do spokojnego wiejskiego życia.

A do słodkiego życia we dwoje, zawsze razem aż po grób? Nigdy! Owszem, nasza miłość była prawdziwa, przecież uleczyła moje serce, ale oboje byliśmy zbyt niezależni, żeby przez cały czas trzymać się za rękę. Chociaż Windsor, owszem, namawiał mnie do wyjazdu. Prosił nawet w tej ostatniej chwili, o jedenastej godzinie, kiedy konie niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę.

- Jedź ze mną, Alice. Spakuj się szybko i jedź ze mną do Cherbourga.

Była to prośba, głos jednak stanowczy, a palce Windsora mocno ścisnęły me nadgarstki. O Matko Przenajświętsza! Pewnie, że chciałam być z nim, ale...

- A co ja tam będę robić? Siedzieć w paradnej komnacie i haftować ornaty, kiedy ty będziesz odgrywał wielkiego dygnitarza?

- Będiesz miła dla kupców i ich żon, a twój wdzięk sprawi, że bez ociągania będą wrzucać złoto do angielskich skrzyń.

Na to zrobiłam odpowiednią minę, świadczącą, że wcale mi to nie odpowiada, i to wystarczyło za odpowiedź.

- Możesz kupić dom w Cherbourgu, a w pobliżu miasta wiejską posiadłość.

Pokręciłam przecząco głową.

- Możesz wkładać jedwabne suknie i szmaragdy i zabawić się w wielką damę, lady de Windsor.

- W jedwabiach i szmaragdach już chodziłam. W innym życiu...

- Dla większości kobiet jest to najwspanialsze życie!

Owszem, był już zniecierpliwiony, ale nadal się starał. Ot, pocałował mnie w skroń i przytulił tak rozkosznie, że prawie mnie przekonał. Był jednak pewien szkopał.

- Will, wiesz dobrze, że nie należę do tej większości. Jestem inna niż wszystkie znane mi damy.

Uśmiechnął się, choć raczej krzywo.

- Wiem, jaka jesteś, i właśnie za to cię kocham. - Popatrzył na mnie przeciągle. - Cóż, skoro taka twoja wola, to zostań i dogładaj naszego gospodarstwa. - Pocałował mnie jeszcze raz, a potem wziął na ręce małą Jane i podniósł ją bardzo wysoko. - Pilnuj swej pani matki, kiedy mnie tu nie będzie. Nie pozwól jej, by była zbyt waleczną, gdy ktoś, nic daj Boże, podważy jej autorytet jako pani tego dworu!

Jane śmiała się zachwycona, że jest tak wysoko. Nieśmiała Joanna stała obok mnie, trzymając się mojej spódnicy. A obok Joanny stała Braveheart.

- Żegnaj, moja miła Alice!

- Żegnaj, Will! Miej się na baczności! Odjechał.

Płakałam czy to w zaciszu komnaty, czy to w najciemniejszym kącie szopy, po prostu tam, gdzie nikt nie mógł mnie usłyszeć. O Matko Przenajświętsza! Jakże ja za nim tęskniłam... Powinnam była z nim pojechać. Oczywiście! Powtarzałam sobie to za każdym razem, kiedy nic już nie widziałam przez te łzy. Sama jesteś sobie winna, karmiłam się w duchu. Uparta jak osioł, a przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zamieszkała po drugiej stronie kanału. Parlament co prawda jeszcze się nie zebrał, nie było więc żadnych nowych postanowień odnośnie do mojej osoby, ale Windsor był głęboko przekonany, że sprawa została już przesądzona. Przekonany tak głęboko, że pojechał do Cherbourga! A poza tym, mieszkając pod jednym dachem z Windsorem, nieważne, po której stronie kanału, jestem całkowicie bezpieczna. A oprócz prowadzenia domu, szycia i plotkowania z żonami kupców miałabym jeszcze jedno rozkoszne zajęcie. Byłabym z Windsorem!

Odjechał! Zostawił mnie! Jakże mam bez niego żyć? Kto mnie pocieszy? Co będzie, jeśli zapomni o mnie...

Jesteś okropna, Alice. Jesteś tylko nędzną namiastką kobiety obdarzonej rozumem!

A jeśli nie będzie go tak długo, że zapomnę, jak wygląda?

Jakoś przeżyłaś rozstanie, kiedy był w Irlandii. Tym razem też tak będzie, więc przestań w końcu szlochać!

Więc starałam się wziąć w garść. Kocham Windsora na zabój, kocham być z nim, bo on daje mi szczęście. Ale rola żony namiestnika Cherbourga nie dla mnie, poza tym lepiej być tu, na miejscu, skoro sprawa zagrożonych konfiskatą posiadłości wciąż nie jest wyjaśniona. Nie ruszałam się więc z Gaines, mając u boku rosnące jak na drożdżach córeczki i moją Braveheart, już o posiwiiałym pysku, ale nadal chętną do polowania na króliki w sadzie. Do Windsora pisałam długie listy, a on odpisywał, kiedy znalazł na to czas.

I niestety dalej płakałam.

Oczywiście przyjeżdżał w odwiedziny i były to słodkie chwile. Mógł przyjeżdżać, nie sprawiało mu to żadnego kłopotu, lecz dla mnie pewien kłopot z tym był. Windsor przyjeżdżał stanowczo zbyt rzadko.

- Alice! - zawołał jak zwykle bardzo głośno. - Podjedź tu, by powitać swego pana i władcę!

- Już jadę! Z tym że jakoś nie widzę ani żadnego pana, ani żadnego władcy!

Podjechałam i spojrzałam na niego z wysoka, co było możliwe, skoro siedziałam na koniu. Jeszcze na nim siedziałam, bo serce biło tak szybko, że w każdej chwili mogło się to skończyć upadkiem.

- Czy przypadkiem już kiedyś byliśmy sobie przedstawieni, panie? Naturalnie roześmiał się, a ja już czułam w sobie ten żar. Siedziałam na koniu, ponieważ musiałam pojechać rozstrzygnąć

spór między dwoma zaperzonymi dzierżawcami. A kiedy wracałam do dworu, zobaczyłam konie i wozy, a przede wszystkim Windsora.

Który podchodził do mnie z twarzą rozjaśnioną tym swoim posepnym uśmiechem, który dawno temu, na dworze króla Edwarda, zwrócił moją uwagę.

- Słyszałem, że trzymasz krótko moich dzierżawców - powiedział, rozpościerając ramiona, kiedy zsuwałam się z konia. - Moja miłości, moja miła, moja waleczna bez granic!

Nie dbając o to, że widownię mieliśmy sporą, po zsunięciu się z konia natychmiast wsunęłam się w mężowskie objęcia. Wrócił! Jego objęcia były jak zawsze wszechogarniające, a wargi ciepłe i cudownie znajome. W chwili, gdy mnie objął, skończyła się ta okropna pustka w piersi. Kiedy objął mnie tak mocno, jakby nigdy już nie miał mnie z tych objęć wypuścić.

Choć wiadomo, że ta chwila kiedyś nastąpi.

- Na jak długo, Will? - Przecież to chciałam wiedzieć w pierwszym rzędzie, kiedy tuliłam się do niego wprost nieprzytomna ze szczęścia.

- Co najmniej sześć tygodni. Zostawiłem Cherbourg w dobrych rękach. - Windsor puścił mnie i zaczął szperać w sakwach. - Na początek to, co najważniejsze. Mam coś dla ciebie, Alice.

Mój uśmiech na pewno był głupawy, ale to dlatego, że byłam bezgranicznie szczęśliwa, bo znów widzę mojego Windsora. Podarek był sprawą tak naprawdę nieistotną. Zwykle był to jakiś klejnot lub rękawiczki z mięciutkiej skórki, czyli coś, co zajmuje mało miejsca, tym razem jednak nie był to ani klejnot, ani rękawiczki, natomiast w ręku Windsora pojawił się zwój pergaminu. Podał mi go, wykonując wdzięczny dworski ukłon.



- To dla ciebie, lady de Windsor. Znużony podróżą zwyczajny kawałek pergaminu o nadzwyczajnej wartości.

Spoważniał, kiedy odebrałam od niego pergamin, rozwinęłam i wygładziłam. A potem przeczytałam. A gdy już to zrobiłam, spojrzałam na Windsora, na jego pełną powagi twarz, potem znów na pergamin ze znakiem heraldycznym i wielką czerwoną pieczęcią.

- Will! Oni to zrobili! Zrobili!

Tak. Zrobili wszystko, o czym już nawet nie śmiałam marzyć. Koniec z wygnaniem. Uchylono wyrok za niewykonanie rozkazu parlamentu. Uchylono wyrok za przestępstwo, którego nie popełniłam.

- Nie wierzyłaś, że tak się stanie? - spytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Nie, nie wierzyłam - odparłam szczerze, a byłam tak rozradowana, że aż kręciło mi się w głowie.

- A ja wierzyłem - powiedział butnie, jak to on, ale do tej jego zuchowości w sumie już przywykłam, bo innego wyjścia nie miałam. - Wiedziałem, że nie będą chcieli ze mną zadzierać, bo jestem dla nich zbyt cenną osobą. Mogłem przecież nie przyjąć urzędu namiestnika, a uwierz mi, z kompetentnymi kandydatami na takie stanowiska w trudnych regionach naprawdę jest krucho. Alice, ty płaczesz? Oddaj mi to, bo jeszcze poplamisz łzami i litery się rozmażą... - Zabrał mi cenny pergamin i wsunął za pas. - Tak ważnego listu nie wolno zniszczyć. Jeden już gdzieś zgubiłaś, od Jana z Gandawy, ale tego będziemy strzec jak oka w głowie.

Ale ja i tak, kryjąc twarz w dłoniach, lałam łzy. Przecież czułam przeogromną ulgę! Jednak Windsor nie chciał tych łez. Złapał mnie za nadgarstki i zmusił, bym opuściła ręce.

- A więc jak, Alice? Czy ten dokument wlał choć trochę spokoju w twoją niespokojną duszę?

- Tro... trochę... - odparłam z drżącym uśmiechem. - Bardzo ci dziękuję, Will.

- Ale to jeszcze nie wszystko, Alice. Zostaną ci zwrócone twoje dobra.

- Oddadzą mi wszystko?!

- Nie, Alice. Dworów, które podarował ci Edward, nie odzyskasz, ale zwrócą ci to wszystko, co kupiłaś sama i za pośrednictwem Greseleya.

- Przecież nam wystarczy - szepnęłam z trudem, bo aż tak bardzo byłam wzruszona, ale zaraz potem zawołałam radośnie pełną piersią: - Oczywiście! Znow będę miała Pallenswick! Cudownie!

Windsor wziął mnie pod łokieć i poprowadził w stronę domu.

- Alice, jest jednak pewien szkopuł. Owszem, dobra zostaną zwrócone, ale oficjalnie nie tobie, lecz mnie jako twemu mężowi...

- Co?! - Stałam jak wryta.

A on zaczął się śmiać. Tak! Śmiać się ze mnie, że jestem tak wstrząśnięta. Śmiał się tak głośno, że spłoszył gołębie, które przycupnęły na dachu stajni. Zerwały się z furkotem skrzydeł i odleciały jak biała rozedrgana chmura.

Tak więc mój umiłowany mąż ryczał ze śmiechu, a ja ryczałam z otchłannej wściekłości:

- Niech ich piekło pochłonie! Niech ich zdusi morowe powietrze! Nie zgadzam się! Nie zgadzam!

- Alice, też nie uważam tego za słuszne, ale takie jest u nas prawo, nic na to nie poradzisz. Twoja własność jest moją własnością. Jednak nie masz powodu do zmartwienia. Jestem dobrym mężem, dobrym i wspaniałomyślnym... - Znow był pełen powagi i trzymał mnie mocno za rękę. Widział przecież błyski w moich oczach i bał się, że wyrwę mu się i ucieknę. - Do twoich dworów nie będę się wtrącał, Alice. Zyski, które przyniosą te posiadłości, są twoje i twoich dzieci.

- Och! Rzeczywiście jesteś bardzo hojny! - skomentowałam kąśliwie.

- Alice, nie ironizuj, przecież wiesz, że inaczej być nie może. Prawo mnie czyni formalnym właścicielem, ale prywatnie możemy u mów li się inaczej. No to się umawiamy. Zadowolona?

Westchnęłam, starając się jakoś z tym wszystkim dojść do ładu. Przede wszystkim z tym, że nigdy bym się nie spodziewała, że po chwili namysłu istotnie poczuję zadowolenie. Więcej, wręcz byłam usatysfakcjonowana.

Ja, zawsze dręczona niepokojem, zawsze rozedrgana, gdy starałam się zdobyć to, co nieosiągalne, i zawsze nastawiona na to, by /a wszelką

cenę zabezpieczyć przyszłość moich dzieci i swoją. Nigdy nie akceptowałam swego miejsca w życiu. Dama dworu Filipy to było dla mnie za mało. Rozpaczliwie wręcz chciałam mieć coś swojego. Pragnienie posiadania ziemi przerodziło się u mnie w obsesję. Walczyłam o przeżycie w świecie, który potrafi człowieka w mgnieniu oka zniszczyć, potrafi też z równą prędkością człowieka znów wynieść wyżej i wszystko odbudować. Doświadczyłam obu tych wariantów, byłam i na górze, i na dole. Ale spoglądając wstecz, niczego nie żałowałam.

Zmrużyłam oczy, bo słońce było oślepiające, i spojrzałam na swój dom. Żaden królewski pałac, ale ściany solidne, a wokół żyzna ziemia. Tak, ale kiedyś miałam o wiele więcej, nawet więcej, niż miałam prawo domagać się od życia, bo miałam władzę. Teraz mam to, co mam przed oczami, i najwyższy czas pogodzić się z faktem, że żadnej władzy już mieć nie będę. Przecież nawet moja ziemia wróci do mnie tylko dlatego, że będzie na nazwisko mego męża. Bo kobieta zawsze będzie zależna od mężczyzny. Nic na to nie poradzisz. Ja też, gdybym miała możliwość wyboru, zawsze wybrałabym Williama de Windsora. Tylko jego.

Windsora, który stał tam, w blasku słońca, wypełniając swoją osobą cały dziedziniec. Uśmiechał się, a uśmiech miał urzekający. I kto by się spodziewał, że ten nikczemny William de Windsor potrafi tak się uśmiechać? A do mnie tak właśnie się uśmiechał i nagle wszystkie moje tęsknoty za czymś, czego mieć nie będę, znikły.

- I jak? - spytał Windsor, wskazując wygrzane słońcem ściany. - Nic więcej nie jestem w stanie ci ofiarować, ty niewdzięcznico!

- Przecież wiem... - odparłam, biorąc go pod ramię. - I niewdzięcznicą nie jestem. O nie! Jestem ci wdzięczna. I... - To na koniec, z uśmiechem, kiedy wchodziliśmy już do domu: - Jestem zadowolona. Bardzo zadowolona ze wszystkiego, Will. I to jest właśnie szczęście...